

WOJCIECH WÓJCIK



**BILET DLA  
ZABOJCY**

**WOJCIECH WÓJCIK**

**BILET DLA  
ZABOJCY**

---

**ZYSK I S-KA  
WYDAWNICTWO**

---

Wojciech Wójcik  
Bilet dla zabójcy

ISBN

Copyright © by Wojciech Wójcik, 2023  
*All rights reserved*

Redaktor  
Hanna Kossak-Nowocień

Projekt okładki i stron tytułowych  
Joanna Wasilewska

Projekt typograficzny i łamanie  
Grzegorz Kalisiak | *Pracownia Liternictwa i Grafiki*

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo  
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań  
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67  
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90  
[sklep@zysk.com.pl](mailto:sklep@zysk.com.pl)  
[www.zysk.com.pl](http://www.zysk.com.pl)

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

*Ani, Beatce, Arturowi i Madzi*

# 1.

Listopad 2021 r.

Dochodziła północ, ale niebo nad Pałacem Kultury nigdy nie jest ciemne. Wisząca nad miastem pomarańczowa łuna zdawała się muskać skorodowaną iglicę, a w powietrzu wirowały płatki pierwszego w tym roku śniegu. Olga Bojko zamknęła służbowy notatnik i wyciągnęła zmarzniętą dłoń. Między palcami trzymała poplamiony dokument — książeczkę wojskową.

— Czy zgłosił pan utratę dowodu?

W jej akcencie pobrzmiwały wschodnie nuty, ale legitymowany mężczyzna był zbyt otępiały, by cokolwiek mogło go zdziwić.

— Zgłoszę — obiecał, chowając książeczkę do obszarpanej kurtki.

Chciał odejść, a ona miała ochotę mu na to pozwolić, bo odór niemytego ciała przyprawiał o mdłości.

— Jeszcze chwilę. W nocy będzie przymrozek. Czy ma pan dokąd pójść?

Przesunął brudną czapkę na tył głowy, odsłaniając wysokie czoło. Nie był już młodzieniaszkiem.

— Tak — odparł krótko, unikając jej badawczego wzroku. — Miałem właśnie pójść do znajomego.

W pierwszej chwili chciała podać mu adres najbliższej noclegowni, ale byłaby to strata czasu. Facet nie był nowicjuszem. Poznała wielu takich jak on. Żył na ulicy od dawna, być może od wielu lat.

— Pan nie jest stąd, prawda?

Bezdomni z okolic Dworca Centralnego tworzą zamkniętą społeczność

i niechętnie witają obcych. Chciała go ostrzec, ale łypnęła na nią tak niechętnie, że zmieniła zdanie. Już dawno wyzbyła się złudzeń. W tym środowisku życzliwość traktowano z podejrzliwością, zwłaszcza jeśli była okazywana przez funkcjonariuszy policji.

— I co z tego? — burknął z nieukrywaną wrogością. — Pani też nie jest stąd.

Dalsza wymiana zdań nie miała sensu. Olga skinęła na towarzyszącego jej mężczyznę. Miał ze dwa metry wzrostu i sylwetkę, która ledwo mieściła się w mundurze Straży Ochrony Kolei, ale gabaryty nie przekładały się na pewność siebie. Ruszył za nią potulnie jak baranek.

— Nie wkurza cię to? — spytał nieśmiało, gdy weszli do opustoszałego przejścia podziemnego.

Uśmiechnęła się, bo od chwili, gdy kilkanaście minut temu wyruszyli na wspólny patrol, milczał jak głaz. Okazało się, że jednak umiał mówić. Sokiści, z którymi współpracowała, byli na ogół wygadanymi pięćdziesięciolatkami, ale on dopiero zaczynał służbę.

— Co masz na myśli? — spytała z przymrużeniem oka, ale nie załapał.

— No... — zaciął się i poczerwieniał. — Nie zrozum mnie źle. Świetnie mówisz po polsku i w ogóle...

— Daj spokój. Wiem, jak mówię. Jak babina spod Hrubieszowa.

Chciała mu powiedzieć, żeby wyluzował, ale nie zdążyła. Radiotelefon wydał z siebie alarmujący pisk.

— Tak, szefie?

— Dwie sprawy. — Głos dyżurnego był tak wyraźny, jakby stał obok niej, a nie gapił się w ekrany kilkaset metrów dalej, w centrum monitoringu. — Po hali głównej kręci się facet. Wygląda jak ktoś od ciebie.

Przewróciła oczami. Przywykła już do takich uwag, ale wciąż nie rozumiała, dlaczego dla niektórych kolegów ze służby każdy, kto zachowuje się podejrzanie, musi być Ukraińcem. Tym szowinistycznym komentarzom

kres miała położyć dopiero zbrodnicza napaść Putina i wywołana przez niego wojna w Ukrainie, ale wtedy — w listopadzie dwa tysiące dwudziestego pierwszego roku — prawie nikt nie wierzył, że takie bestialstwo w ogóle jest możliwe.

— A druga sprawa?

— Mam zgłoszenie o pijaku. Siedzi przy wejściu na przystanek tramwajowy przy Chałubińskiego. Tym od Burger Kinga.

— Przytomny?

— Nie wiem. Jest poza światłem kamery.

— No dobrze. — Przyspieszyła kroku. Młody sokista ruszył za nią niczym wyjątkowo wyrośnięty owczarek niemiecki. — Będę za dwie minuty. Wstaw wodę.

Wyjście na przystanek tramwajowy znajdowało się zaraz obok zlokalizowanego w podziemiach dworca komisariatu. Komisariatu Kolejowego Policji, będącego od blisko pół roku jej miejscem pracy. Uznała, że marznący pijak ma pierwszeństwo przed potencjalnym złodziejem, ale dyżurny miał inne zdanie.

— Najpierw idź do hali głównej. Facet wyraźnie czeka na okazję. Gdybyś mogła zobaczyć jego dres. Jak ze Stadionu.

Żyła w Polsce wystarczająco długo, by wiedzieć, że nowoczesny Stadion Narodowy był kiedyś ogromnym targowiskiem z trefnym towarem, w tym z podrabianymi ciuchami. Umieściła radiotelefon z powrotem na biodrze, posłała młodemu sokiście oszczędny uśmiech, a potem podciągnęła maseczkę.

— Słyszałeś? Skoro facet ma obciachowy dres, to na pewno jest Ukraińcem. Dobre, co?

— Niezbyt dobre — odparł, wbiegając po kilku stopniach. Podziemia dworca zaprojektowano w czasach, gdy nikt nie zawracał sobie głowy udogodnieniami dla niepełnosprawnych. — Uważam, że takie uwagi...

— Daj spokój. Jak znam swojego pecha, to zaraz się okaże, że miał rację.

Z komunikatu dyżurnego wynikało, że potencjalny złodziej miał grasować w hali głównej, ale to nie było precyzyjne wskazanie. Po remoncie hala podzielona była na dwa poziomy. Olga bez wahania ruszyła w kierunku antresoli. Ruchome schody jak zwykle nie działały, zatem skorzystała ze zwykłych.

— Nie tup tak — upomniała niedoświadczonego partnera, po czym wysforowała się na czoło ich dwuosobowego patrolu.

Z usytuowanej na antresoli poczekalni rozciągał się widok na całą ogromną halę. Zwykle była zatłoczona, ale o tej porze obok pracowników firmy sprzątajacej znajdowała się tam zaledwie garstka zapóźnionych podróżnych. Na ławkach poczekalni siedziało tylko kilka osób. Facet w dresie od razu rzucał się w oczy. Nie tylko z powodu ubioru. Jako jedyny nie siedział, tylko stał.

— Cześć, Antonio.

Czując, jak spada jej adrenalina, zbliżyła się do mężczyzny, opuszczając maseczkę. Było to wbrew procedurze, ale chciała, by ją rozpoznał. To, że nie był złodziejem, wcale nie oznaczało, że nie mógłby narobić problemów. A ona nie chciała problemów. Nie dzisiaj. Nie w taką senną pogodę.

— Królewno. — W uśmiechu, który zapamiętała, brakowało górnych siekaczy. Gdy widzieli się po raz ostatni, były lekko nadpsute, lecz od tamtego czasu minęły przynajmniej trzy lata. — Co to za strój?

Miała ochotę zapytać o to samo, bo jego dres był nie tylko niemodny, ale również podarty. Przez dziury na wysokości kolan widać było blade, bezwłose ciało.

— Teraz jestem panią starszą posterunkową.

— Widzę. I gratuluję. To było twoje marzenie, prawda?

Usiłował przygarnąć ją do piersi, ale nie zdążył. Kamil, barczysty sokista, wkroczył między nich niczym sędzia-olbrzym między bokserów wagi muszej. Olga położyła mu dłoń na ramieniu.

— Spokojnie. To tylko stary przyjaciel. Daj nam chwilę.



Nie wiedziała, jak nazywa się naprawdę. W dawnych czasach wszyscy znali go tu jako Antonia — łagodnego dziwaka, który brzdąkał na mandolinie i usiłował zebrać, utrzymując nieodmiennie, że brakuje mu na bilet do Bydgoszczy. Dlaczego właśnie do Bydgoszczy? To akurat owiane było tajemnicą. Dla nikogo nie było natomiast tajemnicą, że jego ekscentryzm od czasu do czasu wymykał się spod kontroli. Ostatecznie wymknął się do tego stopnia, że piękny Antonio wylądował w szpitalu. Na oddziale zamkniętym psychiatryka.

Dochodziły słuchy, że czuje się tam jak ryba w wodzie, ale Olga nigdy w to nie uwierzyła. Szpitale psychiatryczne nie były miejscem, które mogło się dobrze kojarzyć. Komukolwiek. Jednak teraz, gdy na niego patrzyła, nie mogła się oprzeć wrażeniu, że Antonio wygląda zdrowiej. Gdyby nie ten nieszczęsny dres...

— Uciekłeś?

Odchylił głowę do tyłu i wybuchnął dudniącym śmiechem, który tak dobrze pamiętała. Gdy po przyjeździe do Polski dostała pracę w ochronie dworca, widywali się prawie codziennie.

— Przecież przed chorobą nie da się uciec. Kto jak kto, ale ja wiem to lepiej niż inni.

Kilkakrotnie wspominał jej, że kiedyś — w innym życiu — był lekarzem. Nie miała pojęcia, czy to prawda. I nigdy się nad tym nie zastanawiała. Z jednej strony życiorysy bezdomnych kryły wiele niespodzianek, ale z drugiej... co ją to obchodziło? W tej chwili istotne było coś innego. Czy piękny Antonio nawiał ze szpitala? Jego słowa pozostawiały pole do interpretacji.

— Co tu robisz? — spytała, waząc w dłoni radiotelefon.

Stare znajomości należało pielęgnować, ale nie za cenę wymarzonej pracy. Zdawała sobie sprawę, że jako naturalizowana Polka jest na cenzurowanym. Przełożeni obserwowali każdy jej krok.

— Nazwijmy to podróżą sentymentalną. Powrotem na stare śmieci.

— Naprawdę chcesz tu wrócić?

— To powrót metaforyczny — oznajmił, zbijając ją z pantałyku.

Kiedyś zachowywał się podobnie. Dobierał słowa w taki sposób, że musiała się wysilać, by go zrozumieć.

— Wracasz czy nie?

— Nie wracam. Dostałem od miasta lokal socjalny. Na Muranowie. Ale czasem lubię poszwendać się po starych kątach. Zawsze można spotkać kogoś znajomego.

Olga obróciła głowę i pomachała do kamery. Miała świadomość, że każdy jej ruch jest uważnie śledzony. Dyżurujący przed monitorami Maciek, którego tytułowała żartobliwie szefem, był ambitnym policjantem zesłanym tu z komendy stołecznej za jakieś domniemane lub prawdziwe przewinienie. Marzył o tym, by się wykazać. Bijąca od nich zażyłość musiała być niczym sól na jego rany. Pisk radiotelefonu wydał jej się bardziej natarczywy niż zazwyczaj.

— Potrzebujesz wsparcia? — spytał, gdy tylko wsadziła do ucha słuchawkę.

Doszukiwał się w jej machaniu drugiego dna, którego nie było.

— To stary znajomy — wyśpiewała swym wschodnim akcentem. — Jest w porządku.

— Twój rodak?

— Nie. Twój.

Kazał jej spisać dane Antonia, co sprawiło jej autentyczną przykrość. Na szczęście Antonio podszedł do sprawy ze zrozumieniem. Gdy przepisywała dane z dowodu, zasypywał ją pytaniami. Odpowiadając, uświadomiła sobie, jak wiele się zmieniło.

— Nie mam pojęcia, co u Jaśka — przyznała, usiłując wywołać z pamięci twarz byłego chłopaka. — I chyba nie chcę tego wiedzieć.

— Miałaś za niego wyjść — przypomniał Antonio. — Chociaż ja zawsze uważałem, że to błąd. Obywatelstwo można uzyskać również w inny sposób.

Obywatelstwo polskie było niezbędne, by ubiegać się o pracę w policji. Otrzymała je prawie dwa lata temu. Otworzyła usta, by pochwalić się swoim sukcesem, ale jej słowa zagłuszył komunikat o opóźnionym ekspresie z Zakopanego, a potem sygnał radiotelefonu.

— Co jest, szefie?

— Nie błaznuj — warknął Maciek. — Jest kolejne zgłoszenie o tym koleśiu z przystanku tramwajowego, tak więc przestań szczebiotać i...

Rozmowy przez radiotelefon podlegały rejestracji. Miarą jego zdenerwowania było to, że okrasił polecenie kwiecistym przekleństwem. Chciała odpowiedzieć, że przecież się nie pali, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Już i tak żyli ze sobą jak pies z kotem. A przecież nie szukała wrogów.

— Ciągłe siedzi? — spytała, oddając dokumenty.

Antonio uśmiechnął się domyślnie. Określenie „siedzi” w ustach policjantki kojarzyło się jednoznacznie, ale nie miała na myśli więzienia, tylko pozycję, którą przybrał mężczyzna z przystanku. A raczej z wiodących na przystanek schodów.

— No właśnie... nie bardzo. Teraz podobno leży. I nie reaguje.

Olga również miała ochotę zakląć. Na poprzednim dyżurze reanimowała kobietę, która zasłabła, a kilka dni wcześniej — pijaka po ataku epilepsji. Dzisiejszej nocy takim problemom mogła towarzyszyć hipotermia. Idąc nad peronami, kątem oka dostrzegła spóźniony pociąg z Zakopanego, z którego właśnie wysypywali się podróżni.

— Wezwałś karetkę?

— Dałem znać, by czekali w gotowości. Ocenisz na miejscu, czy będzie potrzebna.

Jakiś facet na ruchomych schodach, widząc policyjny mundur, zaczął w panice szukać maski. Odruchowo pogroziła mu palcem, ale myślami była

daleko. Podczas ostatniego dyżuru czekali na karetkę ponad godzinę. Większość załóg pogotowia skierowano na front walki z covidem.

— Znasz się na pierwszej pomocy? — zagadnęła towarzysza.

Sokista, który na swych długich nogach zdążył ją wyprzedzić, zwolnił i energicznie pokiwał głową.

— Skończyłem kurs ratownictwa medycznego.

— Nawet nie wiesz, jak cię lubię.

Poganiani przez dyżurnego minęli wejście do komisariatu i chwilę potem dotarli do miejsca, w którym od korytarza odbijały schody. Mężczyzna leżał w ich połowie, na dwumetrowym wypłaszczeniu. Głowę miał odchyloną, i to pod bardzo dziwnym kątem. Olga przestała się spieszyć. Zbliżyła się, zakładając gumowe rękawiczki.

— Halo. Proszę pana.

Miał na sobie skórzaną kurtkę, zbyt krótką jak na dzisiejsze przymrozki. Twarz ukryta była w cieniu.

— Proszę pana!

W głosie Olgi nie było wielkiej nadziei. Włączyła latarkę i usłyszała za sobą suchy kaszel. Kamil usiłował w ten sposób powstrzymać mdłości. Kurs ratownictwa nie przewidywał takich wyzwań. Głowę mężczyzny pokrywała szarawa maź przypominająca półpłynny klej. Olga nie miała wątpliwości. Kiedyś, jeszcze we Lwowie, widziała coś podobnego.

Facet wyglądał, jakby pływał we własnym mózgu.

Skóra mężczyzny wciąż była ciepła. Olga przez ułamek sekundy miała nadzieję, że facet jakimś cudem przeżył. Szeroko otwarte, nieruchome oczy nie świadczyły jeszcze o śmierci — widywała już nieprzytomnych z właśnie tak wytrzeszczonymi oczami. Wszelkie wątpliwości rozwiewał jednak kształt jego czaszki. Była z jednej strony spłaszczona. Jakby przejechał po niej tir.

Odszukała wzrokiem Kamila. Sokista opierał się o poręcz. W świetle latarki

jego twarz wyglądała na upiornie bladą, ale jej twardy wyraz dowodził, że chłopak szybko dochodzi do siebie. Wszyscy sokiści, których poznała, mieli mocne żołądki. Ofiary potrąceń przez pociąg, do których jeździli, wyglądały zazwyczaj znacznie gorzej niż ta.

— Stań w przejściu i kieruj ludzi naokoło.

— Czyli gdzie? — spytał z przejęciem, przestępując z nogi na nogę.

— Gdziekolwiek — odwarknęła, łącząc się z dyżurnym.

Mała słuchawka wypadła jej z dłoni, więc przełączyła na głośnomówiący.

— Facet nie żyje.

Miała ochotę dodać, że doszło do zabójstwa, ale postanowiła nie uprzedzać faktów. Procedury i tak były takie same. Taśma, karetka, patrole prewencyjne, a na końcu prokurator. Dyżurny nie zadawał pytań. Mieli to przecież przećwiczone. Dworzec Centralny był świadkiem niejednej śmierci. Ale Olga jeszcze nigdy nie była świadkiem czegoś takiego.

Oderwała wzrok od zmasakrowanej głowy i wspięła się na poziom przystanku. Schody były strome, lecz nie było ich tyle, by upadek — nawet z samej góry — mógł spowodować aż takie obrażenia. Zgoda, przy splocie nieszczęśliwych okoliczności mógł zakończyć się nawet śmiercią. Ale przecież nie zmiążdżeniem czaszki.

Niebo zasłonięte było wstęgą wiaduktu, po którym przejeżdżał sportowy samochód. Gdy ryk silnika przebrzmiał, usłyszała od strony wejścia do podziemia stanowczy głos Kamila. Straciła jeszcze ułamek sekundy, by sprawdzić, jak sobie radzi. Po oddalających się głosach pasażerów poznała, że był skuteczny. Ruszyła przed siebie, dając znaki motorniczemu wjeżdżającego na przystanek tramwaju. Motorniczy przyhamował na skraju przystanku i otworzył swoje drzwi.

— Niech pan się wstrzyma — nakazała, a potem ruszyła szybkim krokiem w kierunku trzech oczekujących osób. — Dobry wieczór, policja. Proszę zostać na swoich miejscach.

Wiele spraw o zabójstwo rozwiązywano w pierwszych minutach od zgonu,

względnie odnalezienia ciała. Te minuty były bezcenne. Każdy świadek mógł okazać się na wagę złota, ale entuzjazm w ich pozyskiwaniu nie mógł przysłonić względów bezpieczeństwa. Każdy świadek był bowiem potencjalnym zabójcą. Spośród trzech osób, do których się zwróciła, dwie zareagowały pełnym zaniepokojenia zdziwieniem, ale Olga skoncentrowała się na tej trzeciej — młodym mężczyźnie w kurtce z polaru i narciarskiej czapce. Facet obrzucił ją wzrokiem, a potem rozejrzał się na wszystkie strony. Tak, jakby rozważał swoje szanse... ale na co? Na ucieczkę? Czy atak? Na wszelki wypadek położyła dłoń na kaburze.

— Proszę pozostać na swoich miejscach — powtórzyła, zezując w stronę wejścia do podziemi. Koledzy powinni już tu być. Komisariat znajdował się kilkadziesiąt metrów stąd, a zasada była taka, że w jego obrębie zawsze dyżurował rezerwowy patrol. — I proszę przygotować dokumenty.

Słowo „dokumenty” okazało się katalizatorem sytuacji, której wolą unikać. Facet w wełnianej czapce nagle odepchnął stojącą mu na drodze dziewczynę i zerwał się do biegu. Jego stopy zadudniły po płytach chodnika. Po sekundzie dopadł do przeciwległej części przystanku i zaczął zbiegać po schodach.

Olga ruszyła w tamtą stronę, ściskając radiotelefon.

— Podejrzany mężczyzna ucieka do podziemi w kierunku...

Zakłęła. Części podziemia miały swoje nazwy, ale w tej chwili pamiętała tylko, że w tamtym segmencie znajduje się piekarnia, w której od czasu do czasu kupowała drożdżówki. Wierzyła, że Maciek zrozumie, o co jej chodzi. W końcu z przystanku można było dostać się do podziemi jedynie na dwa sposoby, a trudno oczekiwać, by podejrzany o zabójstwo wybrał drogę obok swej ofiary.

Z oddali dobiegały odgłosy karetki. Olga, nie spiesząc się szczególnie, nakazała dwójce pozostałych oczekujących na tramwaj — starszemu mężczyźnie i umalowanej dwudziestolatce — by zaczekali na jej kolegów, a potem potruchtała za uciekinierem. Wiedziała, że w sprincie nie ma z nim

szans, ale gdy postawiła stopę na pierwszym stopniu, zrozumiała, że te szanse nieoczekiwanie wzrosły. Facet podnosił się powoli, głośno jęcząc z bólu. Dzieliła ich jedynie wysokość schodów, z których najwyraźniej upadł.

— Stój! — nakazała.

W jej dłoni zamiast radiotelefonu zmaterializował się pistolet, ale mężczyzna w czapce nie posłuchał. Rzucił się przed siebie, jednak nie zrobił tego tak szybko, jak wcześniej. Wyraźnie oszczędzał nadwerżoną kostkę. Uważając, by nie podzielić jego losu, Olga zbiegła ostrożnie po wyslizganych stopniach i nie usiłując zmniejszyć dzielącej ich odległości, ruszyła za nim. W jej prawej dłoni znów zamiast pistoletu pojawił się służbowy radiotelefon.

— Wychodzi na zewnątrz przy Marriotcie — wydyszała do słuchawki.

A potem zaczerpnęła powietrza niczym niedoszły topielec. Krótki oddech nie był efektem zmęczenia, tylko stresu.

Maciek poinformował ją, że wysyła tam posiłki, po czym już innym, nieformalnym tonem nakazał jej, by nie robiła nic głupiego. To akurat nie było potrzebne. Była zbyt doświadczona, by grać bohaterkę, ale oni wszyscy traktowali ją jak rekrutkę w służbie przygotowawczej, a nie doświadczoną funkcjonariuszkę, która w ciągu sześciu lat służby w milicji metropolitalnej we Lwowie dochrapała się stopnia sierżanta i dwóch blizn po ranach postrzałowych — na udzie i ramieniu.

— Dwoje ludzi na przystanku...

— Mamy ich. Niczym się nie przejmuj.

Zanim znalazła się na powierzchni, miejsce radiotelefonu znów zajął pistolet. Prawo nie pozwalało jej strzelać, ale dotyk zimnej stali dodawał odwagi. Uciekający mężczyzna z każdym krokiem jęczał z bólu. Przedtem brała go za swojego rówieśnika, teraz jednak dostrzegła, że bliżej mu do dwudziestki niż do trzydziestki.

— Zatrzymaj się! — wrzasnęła, a on po raz pierwszy się zawahał.

Patrząc na niego, miała wrażenie, że patrzy na przestraszonego chłopca.

Przestraszeni chłopcy nie rozwalają ludziom czaszek. A jeśli nawet, to nie

czekają potem na tramwaj.

— Stój, chłopcze. Bo załatwisz sobie nogę. Chcesz do końca życia chodzić o kulach?

Przez okrągłą sekundę miała wrażenie, że się podda, ale nie doceniła jego determinacji. Z dzikim okrzykiem rzucił się przed siebie i przebiegł przez ulicę, tuż przed jadącym samochodem. Damski okrzyk zza pleców uświadomił Oldze, że mimo późnej pory nie są sami. Z tyłu krzyczała kobieta, zszokowany kierowca otarł się o latarnię i wjechał kołami na krawężnik, a po drugiej stronie ulicy przechodzień wskazywał ich palcem. Musiała to przerwać, zanim ktoś zrobi coś głupiego.

— Stój!

Włożyła w ten okrzyk całe serce, ale chłopak był już po drugiej stronie Chałubińskiego i biegł, kuśtykając, wzdłuż ulicy. Ruszyła, początkowo równoległe do niego, omiatając wzrokiem jezdnię. Gdy zniknęła z niej ostatnia taksówka, przebiegła na przeciwną stronę i — na wysokości Nowogrodzkiej — znalazła się tuż za uciekinierem. Jęczał tak, jakby na kostce z każdym stąpieniem zaciskały mu się zęby dobermana. Nie puszczając broni, wolną ręką usiłowała chwycić go za ramię, ale strącił jej dłoń i przyspieszył niczym podcięty batem.

W pobliżu rozległy się nagle dźwięki syreny. Radiowóz przejechał przez torowisko i sunął obok nich, a z głośnika rozległ się komunikat nakazujący natychmiastowe zatrzymanie. Chłopak jednak zdawał się go nie słyszeć. Przebiegł jeszcze kilkadziesiąt metrów, a potem niespodziewanie skręcił i wpadł do budynku. Oczy Olgi zatrzymały się na przytwierdzonej do muru tabliczce i rozszerzyły z przerażenia. Białe litery informowały, że w budynku mieścił się Szpital Kliniczny

Dzieciątka Jezus.

— Uzbrojony?

Spojrzała na przejętą funkcjonariuszkę, która wyskoczyła z radiowozu.

— Jeśli już, to najwyżej w młotek — odparła lekkim tonem, bo podczas



pościgu przestała wierzyć, że goni zabójcę.

Człowiek, który przed chwilą rozwalił bliźniemu czaszkę, nie umykałby jak zając przed kobietą sięgającą mu najwyżej do pachy.

— Zaczekaj!

Kobieta chciała przejąć komendę, ale Olga nie zamierzała słuchać obcej baby. Pchnęła drzwi i podobnie jak przed chwilą ścigany młodzieniec weszła do holu. Jediną osobą, którą tam napotkała, była wiekowa sprzątaczką. Na umytej niedawno podłodze wyraźnie rysowały się ślady męskich butów.

— Tam? — spytała, wskazując na pogrążony w półmroku korytarz.

— W łazience — sprostowała sprzątaczką.

Nie wyglądała na przestraszoną, nie była też zdziwiona widokiem munduru. Była zła. Zła, że ktoś zniweczył jej wysiłek, brukając posadzkę.

Olga wstrzymała oddech i wpadła do łazienki. Pistolet, który trzymała, okazał się niepotrzebny. Chłopak siedział na podłodze, ściskając skrzyżowaną kostkę. Wyglądał jak kupka nieszczęścia. Gdy wyciągnęła kajdanki, z oczu popłynęły mu łzy.

Policjantka, która próbowała przejąć kontrolę nad akcją zatrzymania w szpitalu Dzieciątka Jezus, miała na imię Agata i była komisarzem. Tak się przedstawiła: komisarz Agata jakaś tam, zastępca naczelnika wydziału w Komendzie Stołecznej Policji. Olga starała się unikać osób, które lubiły podkreślać swój stopień i znaczenie, ale w tej sytuacji nie miała wyjścia. Agata miała zostać szefem zespołu śledczego. Pewność, z jaką wydawała polecenia, podzielała nawet na dyżurnego prokuratora, który stosował się do jej życzeń niczym prymus stający na uszach, by zadowolić surowego nauczyciela.

— Ach, to ty — mruknęła. — Usiądź. Nie poznałam cię w tej szmacie. Zdejmij.

Olga posłusznie zdjęła maseczkę, by zaraz znów zasłonić twarz. Tym razem dłonią, którą przyłożyła do ust, chcąc bezskutecznie stłumić ziewanie. Była

czwarta nad ranem. Zwłoki mężczyzny z rozwaloną czaszką pojechały do kostnicy, technicy ze stołecznej zabezpieczyli wszelkie możliwe ślady i przed kwadransem wyjście z podziemi zostało przywrócone do ruchu. Od tego czasu usiłowała rozgrzać ręce, ale wciąż były zgrabiące. Te kilka godzin, które spędziła, strzegąc przy policyjnej taśmie dostępu do miejsca zbrodni, wysało z niej większość ciepła i niemal całą energię.

— Mogę sobie zrobić kawy?

Stołeczna urządziła sobie tymczasowe miejsce dowodzenia w pokoju socjalnym, odcinając ich od kofeiny. Nie czekając na pozwolenie, Olga włączyła czajnik i sięgnęła po kubek ze swoim imieniem i dużym, różowym sercem — upominek, który dostała od załogi na imieniny. Agata posłała jej nieprzychylnie spojrzenie, które jednak nie zrobiło na niej wrażenia. Była u siebie.

— Poznałam kiedyś taką jak ty — burknęła Agata. Olga zmrużyła oczy, przygotowując się w duchu na obraźliwą uwagę o charakterze narodowościowym, ale starszej koleżance chodziło o coś innego. — Też chciała zostać bohaterką. Wlazła za typem do łazienki, a on wyciągnął nóż i pociął jej tę piękną buźkę. Tutaj — dotknęła policzka, a potem przesunęła palcem po górnej części szyi. — I tutaj. Ledwo ją pocerowali. Chcesz tak skończyć?

Zapytana wzruszyła ramionami. Agata była z jednej strony przemądrzała, a z drugiej — protekcyjna. Nie były to największe z możliwych wad. Takie teksty spływały po Oldze jak po kaczce.

— Mogę jakoś pomóc? — spytała pogodnie, nie chcąc tracić czasu na drętwe gadki, Agata jednak najwyraźniej nie miała jeszcze dość.

— To był tylko rozpieszczony gówniarz z gramem zielska. Ale przecież nie mogłaś tego wiedzieć. A gdyby wyciągnął młot i walnął cię nim w łeb? Co byś zrobiła?

— Jestem szybka — zażartowała, lecz policjantka wciąż patrzyła na nią z powagą. Niczym matka na nastoletnią córkę, która wróciła z randki o pół

godziny za późno. — Wiedziałam, że to dzieciak. Uciekał, bo bał się, że znajdziemy przy nim narkotyki?

— Zgadza się. Nie miał pojęcia, że na schodach leżały zwłoki. Przechodził obok denata, ale myślał, że to bezdomny. Zresztą stosowanie słowa „myślał” powinno w jego przypadku zostać uznane za nadużycie. Typowy przykład patointeligencji. Rozpieszczony synalek zamożnych rodziców, lekarza i prawniczki...

— Ojciec pracuje w tym szpitalu?

— Nie. Synalek chce pójść w jego ślady. Studiuje medycynę. To szpital Uniwersytetu Medycznego.

Olga nie lubiła wydawać pochopnych ocen. Nawet z tak nieodpowiedzialnego chłopaka mógł wyrosnąć świetny lekarz. Pod warunkiem że odstawi marihuanę.

— Puściliście go?

Policjantka pokręciła głową.

— Uznałam, że noc w POZ-ie dobrze mu zrobi. Będzie miał czas, by przemyśleć sobie kilka rzeczy. To oczywiście poza protokołem, a skoro już jesteśmy przy protokole...

— Jeszcze jedno. — Olga wiedziała, że będzie musiała złożyć zeznanie, ale najpierw chciała się dowiedzieć, czy jej działanie przyniosło jakiegokolwiek rezultaty. — Tych dwoje świadków...

— Nic nie widzieli. Przyszli na przystanek schodami od południa. — Olga zmarszczyła czoło, usiłując umiejscowić przystanek względem stron świata, tymczasem Agata mówiła dalej: — Udało się nam skontaktować z osobami, które poinformowały nas o sytuacji. Zwłoki najpierw pozostawały w pozycji siedzącej, a potem się osunęły. Od pierwszego ze zgłoszeń do chwili, gdy znalazłaś się na miejscu, minęło prawie dwadzieścia minut. Trochę długo, prawda?

Kierunek, jaki obrała ich rozmowa, nie był dla Olgi zaskoczeniem. Myślała o tym od momentu, gdy dotknęła szyi zamordowanego. Była ciepła, co mogło

wskazywać na to, że w chwili, gdy wpłynęło zgłoszenie, wciąż jeszcze tliło się w nim życie. Gdyby zareagowali wcześniej...

— Treść zgłoszenia nie wskazywała na priorytetowy charakter interwencji — wyrecytowała płynnie.

Mogła się zacinać na trudniejszych słowach, ale akurat policyjny slang miała opanowany do perfekcji.

— Skąd wiesz? Odsłuchiłaś to zgłoszenie?

Zgłoszenie przyjął Maciek, ale nie zamierzała zrzucać na niego całej winy.

— Nie, ale wiem, że była w nim mowa o mężczyźnie, który siedział. To raczej nie kojarzy się zbyt...

— Dramatycznie, tak? — Agata popatrzyła na nią z ukosa. Bojko wiedziała, co jest grane, ale nie zamierzała pogrążyć dyżurnego. Ewentualne stawianie zarzutów natury dyscyplinarnej leżało w kompetencjach Biura Spraw Wewnętrznych. — No dobrze, zjawiał się na miejscu i...

Olga opisała jej te kilka minut, które upłynęły od chwili, w której znalazła ciało, do momentu, w którym pochwyciła i skuła dzieciaka. Policjantka klepała w klawiaturę, notując każde słowo. Nie dodawała nic od siebie. Protokół nie zdobyłby nagrody w nawet najbardziej poślednim konkursie literackim, ale był zrozumiały. Prawie w całości.

— Co to są naruszniki?

— Narucznyki — poprawiła odruchowo, a potem przygryzła wargi. Nie lubiła się tak mylić. — Po polsku kajdanki.

Agata nie skomentowała. Przebiegła jeszcze raz wzrokiem po tekście, a potem puściła go na drukarkę. Przez ten czas Olga zdążyła zalać kawę i wsypać ze słoika łyżkę cukru. Mieszając, jeszcze raz przyjrzała się pani komisarz. Wysoko upięte włosy i wyraźnie zarysowana szczeka składały się na obraz silnej kobiety, takiej, którą reżyser obsadziłby w filmie o sufrażystkach. Napotkawszy jej twarde spojrzenie, podziękowała losowi, że oszczędził jej takiego szefa. Komendant komisariatu kolejowego z pewnością miał specyficzne poczucie humoru. I nie zawsze pachniał fiołkami. Ale

przynajmniej nie traktował jej z góry, a gdy na nią patrzył, nie czuła się jak pod mikroskopem.

— Mam się podpisać?

Agata położyła na biurku trzystronicowy protokół, a potem wskazała na krzesło.

— Siadaj. Mam jeszcze jedną sprawę. Ale najpierw... Opowiedz mi trochę o sobie.

Olga nie lubiła okazywać zaskoczenia. Wolała uchodzić za zblazowaną luzaczkę, ale tym razem, aby zamaskować zdziwienie, musiała unieść do ust kubek z kawą. To nie był dobry pomysł. Kawa nie zdążyła wystygnać, co boleśnie odczuł jej język.

— Co chciałybyś usłyszeć? — spytała z pozorną beztroską.

— Nie obraż się, ale w policji nie ma wielu osób narodowości ukraińskiej. — Policjantka mówiła z namysłem, ostrożnie dobierając słowa. Olga ze zdziwieniem odnotowała, że usiłuje być empatyczna. Nie pasowało to do obrazu wrednego babska. — Jestem ciekawa, czemu zdecydowałaś się wstąpić do policji.

— Ciekawość to pierwszy krok do piekła — odparowała, ale gdy Agata uniosła brew, nakazała sobie powagę. — Byłam policjantką w Ukrainie. Nie umiem robić nic innego. Taki był cel od pierwszego dnia, gdy przyjechałam do Polski. Obywatelstwo i służby mundurowe.

— A czemu tu przyjechałaś? Wybacz, że pytam o takie prywatne sprawy, ale lubię wiedzieć, z kim pracuję. Jestem po prostu ciekawa.

Olga uznała, że takie pytania to przesada, zwłaszcza że ich wspólna praca miała się ograniczyć do przepychanki słownej po zatrzymaniu studenta medycyny oraz tego półgodzinnego przesłuchania. Agata nie była ciekawa, tylko ciekawska, skoro jednak odpowiedź miała ją uszczęśliwić, Olga nie widziała powodu, by odmawiać.

— Nie byłam zadowolona z pracy w Ukrainie. A koledzy nie byli zadowoleni ze mnie.

— Dlaczego?

— Miałam za płytkie kieszenie. Nie tylko ja. — Zazaczyła, bo takich jak ona było wielu. Może nawet większość, ale system sprzed dużej reformy premiował tę skorumpowaną mniejszość. Sytuacja zmieniła się dopiero kilka lat temu, gdy rozwiązano milicję, powołując w jej miejsce Narodową Policję Ukrainy. Wtedy jednak Olga była już zdecydowana wyjechać. — Chciałam po prostu łapać przestępców.

Agata kiwnęła głową, jakby właśnie takiej odpowiedzi oczekiwała. A potem przez jej bladą twarz przemknął uśmiech. Olga odniosła wrażenie, że był to uśmiech pełen wyższości. Być może była przewrażliwiona.

— Długo czekałaś na to obywatelstwo?

— Miałam szczęście. Rodzina mojej matki pochodzi z Polski. Dla takich jak ja ścieżka jest krótsza. Czekałam niecałe trzy lata.

— Chyba nie beczynnienie, co?

— Pytasz, czym się zajmowałam, tak? — Policjantka ze stołecznej beznamiętnie skinęła głową. Zachowywała się tak, jakby prowadziła postępowanie dyscyplinarne. Teraz nawet ta delikatność, z którą traktowała kwestie narodowościowe, wydała się Oldze inscenizacją na poczet poprawności politycznej. Zrozumiała, że musi ważyć słowa. Jak dalece umiała. — Pracowałam w ochronie. Najpierw w supermarkecie, potem w biurowcu, a w końcu tu, na Centralnym. Poznałam wszystkie zakamarki. To między innymi dlatego wrzucili mnie tutaj od razu po podstawówce. To znaczy po kursie przygotowawczym.

— Wiem, co to podstawówka — przerwała jej Agata. — Znasz też rosyjski?

— Tak. W Ukrainie wszyscy go znają. Niestety. We wschodnich obwodach jest częściej używany od ukraińskiego. To stopniowo się zmienia, ale na razie...

Wciąż nie miała pojęcia, czemu ma służyć to wypytywanie. Była jednak cierpliwa. Popijając kawę, odpowiadała na kolejne pytania. Skoro starsza

koleżanka uznała tę rozmowę za bardziej priorytetową niż poszukiwanie zabójcy z kijem bejsbolowym, to widocznie miała ku temu powody.

— Czy w Ukrainie też pracowałaś w prewencji?

— Nie. Od początku byłam w pionie kryminalnym.

Agata zapisała coś w notatniku.

— A chciałybyś znów tam pracować?

W pierwszej chwili odniosła wrażenie, że policjantka proponuje jej powrót do Lwowa, ale z dalszej części wypowiedzi wynikało, że była w błędzie. Chodziło o pion kryminalny tu, na miejscu. W Warszawie. Resztką senności wyparowała. W głowie Olgi rozdzwoniły się dzwonki ostrzegawcze. Czyżby ta wściekła baba proponowała jej pracę u siebie?

— Jestem zadowolona ze swojego dotychczasowego miejsca pełnienia służby — odparła dyplomatycznie.

Z półuśmiechu na twarzy Agaty można było wysnuć wniosek, że oczekuje na wybuch radości. Olga nie zamierzała jednak wyskakiwać z majtek. Jeśli jej oszczędna reakcja na niewypowiedzianą propozycję wywołała rozczarowanie, to Agata dobrze je ukryła.

— Chodzi tylko o czasową pomoc. — Spojrzenie jej jasnych oczu było przeszywające. — Zawsze będziesz mogła tu wrócić. Masz umiejętności, które mogłyby się przydać. Pewnie już się domyślasz, o co chodzi.

Olga pokręciła głową, ale wtedy jej wzrok padł na stary portfel leżący na biurku obok wciąż niepodpisanego protokołu przesłuchania. To nie był portfel Agaty ani żadnej innej kobiety. Już na pierwszy rzut oka było widać, że należał do mężczyzny. Olga przez chwilę szukała na nim plam krwi, a potem ostrożnie go rozchyliła.

— To portfel zamordowanego mężczyzny?

Agata potwierdziła. Wewnątrz, w ofoliowanej przegródce, znajdowało się ukraińskie prawo jazdy.

W centrum monitoringu — niewielkim pomieszczeniu o ścianie zabudowanej

kilkunastoma ekranami — było sino od tytoniowego dymu. W normalnych okolicznościach nikt tu nie palił, ale tym razem okoliczności nie były normalne. Maciek miał minę zbitego psa. Siedział przed jednym z monitorów i manipulował myszką, naprzemiennie zatrzymując i przewijając obraz.

— Witaj w zespole, młoda — mruknął, nie odrywając wzroku od obrazu.

Olga już dawno pogodziła się ze swoim mało wyszukanym przezwiskiem. W komisariacie kolejowym pracowali młodszy od niej, ale to ona miała tu najkrótszy staż.

— Ciebie też delegowali? — spytała, powstrzymując się od nazwania go szefem.

Był wystarczająco przygnębiony. Nie potrzebował złościwości.

— W rzeczy samej. Ta wariatka powiedziała, że to dla mnie ostatnia szansa.

— Na co?

Westchnął i włożył do ust kolejnego papierosa.

— Na odkupienie winy.

Określeniu „wariatka” towarzyszyła spora doza niechęci. Maciek trafił tu z komendy stołecznej, więc można było domniemywać, że się znali. Ale za te opary papierosowego dymu i jego parszywy nastrój nie odpowiadała Agata, tylko przerośnięte ego. Uważał się za alfę i omegę. Nie znosił popełniać błędów, a już szczególnie tak rażących, jak ten dzisiejszy. Patrząc na niego, Olga poczuła coś, czego w ich wzajemnych, podszytych złościwością stosunkach nigdy by się nie spodziewała. Współczucie.

— Facet siedział. Skąd mogłeś wiedzieć, że jest umierający?

Oderwał wzrok od monitora i spojrzał na nią w taki sposób, że jej współczucie wyparowało. A potem przekręcił się na krześle i zapisał godzinę i numer kamery, po czym opatrzył zapisek liczbą siedemnaście.

— Pierwsze zadanie.

Wrócił na swoje stanowisko. Olga zrozumiała, że obraz na monitorze jest puszczany z odtworzenia. Maciek analizował nagrania wykonane w czasie poprzedzającym zabójstwo. Siedemnastka oznaczała zapewne siedemnastą



osobę, która pojawiła się wtedy w oku kamery w pobliżu miejsca zbrodni. Do każdej z tych osób należało dotrzeć, ale zadanie było poważnie utrudnione.

— Cholerne maseczki.

— Na szczęście nie wszyscy są tacy prawomyślni.

System monitoringu był dość nowoczesny i umożliwiał identyfikację twarzy. Kadr o wysokiej rozdzielczości można było skonfrontować ze zdjęciem z bazy dowodów osobistych, ale by to zrobić, niezbędne było zapisanie obrazu większej części twarzy. Maski były równie skuteczne co kominiarki, którymi zasłaniali twarze krewcy pseudokibice. Maciek mógł tylko bezsilnie westchnąć. Potencjalny świadek numer osiemnaście również miał zakrytą twarz.

— Udało ci się wysledzić tego Zająca?

— Jakiego zająca?

— Wasyla Zajcewa — uściśliła, a potem, zakładając, że po tylu godzinach stresującej służby może nie kontaktować na tym poziomie, co zwykle, dodała: — Tego zabitego Ukraińca.

Zamiast odpowiedzieć, wcisnął kilka klawiszy na pulpicie. Ekran był podzielony na cztery części. W lewej górnej pojawił się obraz jednego z peronów wraz ze stojącym przy jego krawędzi zielonym pociągiem.

— Koleje Mazowieckie.

— Podmiejski z Działdowa — sprecyzował Maciek, a Olga otworzyła usta, ale od razu je zamknęła.

To, że samo Działdowo nie leżało w strefie podmiejskiej, tylko cholernie daleko od Warszawy, nie miało w tej chwili żadnego znaczenia. Pociąg zatrzymywał się na wielu stacjach. Przez chwilę obserwowała w milczeniu męską sylwetkę. Wasyl Zajcew nie miał maseczki. Wbiegł po ruchomych schodach i zniknął z kadru.

— Był sam?

— Na dworcu wysiadły jeszcze trzy inne osoby, ale z innego wagonu. Zaraz

się pojawią. Dwie udało mi się zidentyfikować, ale nie spodziewam się cudów. Poszły w innym kierunku.

Po chwili na ekranie pojawili się wspomniani ludzie, ale Olgi nie interesowała ich podróż z peronu na górę.

— Dokąd poszedł Zajcew?

Maciek przełączył obraz i trochę go cofnął. Ofiara śmiertelnej napaści, jeszcze niczego nieświadoma, pojawiła się dla odmiany w dolnym okienku po prawej. Przez chwilę widać było wejście do ich komisariatu, a potem obraz przeskoczył i teraz obejmował okolice lokalu Burger King i wyjścia na przystanek.

— Chyba się spieszy.

— Ja też się w tym miejscu spieszę. Tam robi się straszny przeciąg.

Przytaknęła, a potem odnotowała, że facet zniknął im z oczu dokładnie o dwudziestej trzeciej trzydzieści. Wiedziała, że na przystanku powyżej nie było kamery. To czyniło ich zadanie znacznie trudniejszym. Zajcew mógł zginąć od razu albo po kilku minutach oczekiwania na tramwaj.

— O której wpłynęło pierwsze zgłoszenie?

— O dwudziestej trzeciej czterdzieści cztery. Mamy zatem czternaście minut. Czternaście minut i kilkanaście osób w maseczkach plus niewiadomą liczbę dodatkowych osób, które mogły w tym czasie przebywać na przystanku...

— A co z monitoringiem w tramwajach?

W oczach Maćka rozbłysło rzadko oglądane tam uznanie.

— Wpadłem na to dopiero przed chwilą. Według rozkładu przez te czternaście minut przejeżdżały tamtędy dwa pojazdy — jeden w kierunku Mokotowa, a drugi Żoliborza. Niestety nie wiem, jakiego były typu.

— A to ma znaczenie?

— Fundamentalne. Najnowsze składy mają kamery również na zewnątrz.

Umilkł i zanotował coś na kartce. Traktował swą dodatkową fuchę śmiertelnie poważnie, i to wcale nie dlatego, że zawisła nad nim groźba

postępowania dyscyplinarnego. Po prostu był perfekcjonistą. Olga żałowała, że nie może tego powiedzieć o sobie.

— Ja mam pojechać do Ciechanowa — poinformowała, przewracając oczami. — Zajcew mieszkał tam w czymś w rodzaju hotelu robotniczego. Tak przynajmniej twierdzi ta cała Agata. Chce, żebym zrobiła rozpytanie wśród jego kolegów. Najpierw twierdzi, że jestem jej niezbędna, a potem daje mi coś, co mógłby dla niej zrobić zwykły tłumacz. To robota na jeden dzień...

— Zaczekaj.

Wstał i podszedł do jednego z ekranów, na którym wyświetlał się obraz z kamery w hali głównej. Powiększył jego fragment, centrując go na obdartusie, który zgięty wpół nachylał się nad koszem na śmieci. Podzielność jego uwagi była imponująca. Olga była pewna, że nie zauważyłaby tego chorego biedaka nawet wtedy, gdy miałaby ten ekran przed samym nosem.

— Dwójka, sprawdźcie człowieka w hali głównej — odezwał się do mikrofonu, a potem obrócił się w jej stronę i pokręcił głową. — To nie robota na jeden dzień.

— No to na dwa...

— I nie na dwa. To śledztwo ma absolutny priorytet. I to nie tylko lokalnie, ale w skali całego kraju. Na pewno nie będziesz narzekać na brak zajęć.

Popatrzyła na niego z powątpiewaniem. Owszem, rozwalone czaszki w centrum miasta nie trafiały się codziennie, ale priorytet... I to w skali ogólnopolskiej? Kolega używał zdecydowanie zbyt wielkich słów.

— Bez przesady — zaczęła, a on niespodziewanie parsknął śmiechem.

— Wiedziałem, że jesteś zakręcona, ale nie sądziłem, że aż tak. Nie widzisz, że ta sprawa to część większej całości?

— Jakiej całości?

Popatrzył na nią z politowaniem.

— Chyba mi nie powiesz, że nie słyszałaś o Trepanatorze?

W oczach współpracowników Olga uchodziła za niezniszczalną i chyba

rzeczywiście coś w tym było. Nawet teraz wyglądała tak, jakby przed chwilą wyszła ze spa. Jedynym śladem po nieprzespanej nocy były zaczerwienione oczy — pamiątka po dwóch kwadransach spędzonych w towarzystwie palącego jak smok Maćka. Przemyślała je wodą, a potem — nie spiesząc się — wyszła przed komisariat. Kamil, czyli jej dzisiejszy partner sokista, nie zdążył jeszcze przyjść. Gdy gadała z nim przez telefon, miał zaspany głos i opóźnione reakcje. Prawdopodobnie przysnął w kanciapie SOK-u i teraz usiłował się pozbierać. Cóż, nie wszyscy byli niezniszczalni.

Ich zmiana kończyła się o szóstej, tak więc mieli przed sobą jeszcze pełną godzinę służby. Czekaając na opustoszałym korytarzu, Olga wyciągnęła telefon i jeszcze raz wklepała w wyszukiwarkę hasło Trepanator. Maciek nie do końca miał rację — oryginalny przydomek obił jej się o uszy, ale nie wzbudził zainteresowania. Temat zbrodni był w jej środowisku tak oklepany, że zaskłyszane historie szybko ulatywały jej z głowy.

Ta historia była dosyć świeża. Z doniesień medialnych wynikało, że we wrześniu tego roku w wagonie pociągu znaleziono zmasakrowane zwłoki młodego mężczyzny. Ofiara, podobnie jak Wasyl Zajcew, miała rozbitą czaszkę. Sprawca nie został ujęty. Dziennikarze jednego z tabloidów ochrzcili go mało trafnym przydomkiem Trepanator, jakby zapominając, że trepanacja polegała na nawiercaniu otworów w czaszce, a nie na jej rozbijaniu. Poważniejsze media posługiwały się określeniami „morderca z młotkiem” albo „zabójca z pociągu”. Określenie „Trepanator” powróciło w październiku, przy okazji znalezienia innych zmasakrowanych zwłok, tym razem na peronie w Pomiechówku. Z krótkiego artykułu wynikało, że zwłoki zostały odkryte przez sokistów.

Olga zrozumiała wreszcie, co miał na myśli Maciek, mówiąc o priorytetach. Wyglądało na to, że Zajcew był ofiarą seryjnego zabójcy. Uświadomiwszy sobie tę zdumiewającą prawdę, zadrżała w przeciągu. Dotąd seryjnych zabójców znała jedynie z seriali na Netfliksie. Kamil wyłonił się zza zakrętu. W jednej ręce niósł długą kanapkę, a w drugiej plastikowy kubek z kawą.

— Długa nocka, co? — wychrypiał, bezskutecznie walcząc z ogarniającą go sennością. — Po peronie drugim kręcą się jacyś dwaj pijacy. Jeden z nich to chyba ten twój znajomy, a drugi ma brodę jak Święty Mikołaj.

Myślał chyba, że będzie chciała ich wylegitymować, ale Olga ruszyła w przeciwną stronę. Przechylił kubek i w kilka sekund opróżnił jego zawartość, a potem go zgniótł i — niczym specjalista od rzutu na trzy — trafił nim do pojemnika na śmieci. Po chwili znaleźli się na miejscu zbrodni. Ekipa sprzątająca spisała się na medal — po tragedii sprzed kilku godzin nie został nawet najmniejszy ślad.

— To nie mógł być zwykły młotek — mruknęła, bo obraz obrażeń zapisał się w jej głowie wyraźniej niż na najlepszym zdjęciu. — Jeśli już, to wielki młot.

Zakładała, że Kamil słyszał o poprzednich ofiarach z rozwalonymi czaszkami, ale nie spodziewała się, że będzie miał informacje z pierwszej ręki.

— To samo mówił kolega, który znalazł tamtego biedaka na torach w Pomiechówku. Zwykłym młotkiem trudno rozwalić komuś czaszkę... Musisz kojarzyć tę wypowiedź. Puszczali ją w *Wiadomościach*.

Małe mieszkanie Olgi było tak zagracone, że zabrakło w nim miejsca na telewizor. Teraz po raz pierwszy tego żałowała. Nie chciała wyjść na aż taką ignorantkę, chociaż... może lepiej przed nim niż przed Agatą.

— Opowiedz mi o tych zabójstwach — poprosiła, wspinając się po schodach. Przystanek był pusty, ale przez skrzyżowanie przejeżdżało coraz więcej samochodów, a prawa nitka Alei Jerozolimskich — ta w stronę placu Zawiszy — powoli się zatykała. — Najpierw był jakiś facet w pociągu, tak?

Kamil, który przed chwilą odgryzł duży kęs kanapki, przełykał go tak szybko, że istniało ryzyko, iż się udławi.

— W KM-ce — uściślił, ocierając załzawione oczy. Kanapka musiała być na ostro. — Czyli pociągu Kolei Mazowieckich. Znalazła go załoga konduktorska. Nie pamiętam dokładnie, jaka to była miejscowość. Gdzieś na północnym Mazowszu.

Olga nie była mistrzynią geografii, ale żyła w Polsce wystarczająco długo, by skojarzyć, że przez północne Mazowsze przejeżdżał pociąg z Działdowa. Ten sam, którym przyjechał dzisiaj Zajcew.

— Obrażenia czaszki?

— Tak jest. To były wczesne godziny ranne. I to w sobotę. Pociąg był prawie pusty. Kolega mówił, że nie byli w stanie ustalić, gdzie to się stało. Zanim się połapali, że coś jest nie w porządku, mógł przejechać nawet kilka przystanków. Podobno chcieli mu sprawdzić bilet...

Roześmiał się. Być może taka reakcja była nieodpowiednia, ale Olga była ostatnią osobą, która miałaby prawo do moralizowania. Na ogół to ona zachowywała się niestosownie. Odczekała, aż Kamil przestanie chichotać.

— A gdzie jest ten Pomie...

— Pomiechówek? Za Nowym Dworem. Przy trasie na Gdańsk.

— Trasie kolejowej, tak? — uściśliła. — Tej przez Działdowo?

Pokiwał głową, a potem znów zaatakował swą diabelską kanapkę. Zapach tabasco był tak intensywny, że Oldze kręciło się w nosie.

— Czy facet, którego znaleźli na torach, mógł wypaść z pociągu?

Tym razem odpowiedziało jej wzruszenie ramion. Kamil odkaszlnął, a potem otarł czoło. Kanapka była zbyt ostra, ale się nie poddawał. Musiał mieć w sobie coś z masochisty.

— To drugie ciało leżało tam kilka dni. W gęstych krzakach, na końcu peronu. Gdyby facet nie zaczął cuchnąć, pewnie leżałby aż do teraz.

— Nikt go nie szukał?

Przypuścił atak na kanapkę po raz trzeci. Olga czekała cierpliwie, aż znów zacznie mówić, ale to, co miał do powiedzenia, okazało się rozczarowujące.

— Nie wiem. Powinnaś spytać swoich. My jesteśmy tylko od sprzątnięcia.

Zaśmiał się, ale gdy przypomniał sobie o kanapce, natychmiast posmutniał. Była zbyt pikantna. Przez moment patrzył na nią z żalem, a potem wyrzucił to, co z niej zostało, do pojemnika na śmieci. Na przystanek dotarła fala ludzi

z jakiegoś porannego pociągu. Olga wskazała głową w kierunku wejścia do podziemi. O takich sprawach nie należało rozmawiać przy świadkach.

Gdy przechodzili obok McDonalda, niespodziewanie spytał, czy nie wyskoczyłaby z nim na kawę. Po służbie, dziś lub kiedy indziej. Napomknął coś o wspólnych przeżyciach i konieczności odreagowania, ale instynktownie wyczuła, że chodzi mu o coś więcej niż koleżeńskie pogaduszki. Odmówiła.

Umiała odmawiać. Życie w obcym kraju nauczyło ją asertywności.

Odparł, że nie ma sprawy, a potem zamilkł. Dopiero kiedy wyszli z podziemi, dotarło do niej, że się obraził. Zerknęła na niego i dostrzegła, że pod masą mięśni wciąż kryje się rozpieszczony gówniarz.

— No weź. — Trąciła go ręką. Wciąż było ciemno niczym w środku nocy, ale z powietrza zniknęła ta mroźna wilgoć. Obok wieży Varso Tower połyskiwał sierp księżyca. — Nie wygłupiaj się. Nie pójdę z tobą, bo nie chcę się w tobie zakochać.

Wyczuł, że robi sobie jaja, ale te kilka słów osłodziło mu porażkę i pomogło zachować twarz. Tak przynajmniej odebrała jego uśmiech. Faceci potrafili być naprawdę dziwni.

— Fajrant — stwierdził, zerkając na zegarek, ale prawda była taka, że do końca zmiany pozostało jeszcze siedem minut, a śledzący ich na monitorach Maciek potrafił być bardzo upierdliwy.

— Jeszcze jedno kółko — zdecydowała. — Opowiedz mi coś jeszcze.

— Ale... o czym?

— No przecież nie o sztuce współczesnej. O tych dwóch zabójstwach i facecie, który lubi zabawiać się młotkiem... Pardon, młotem.

Przez chwilę szli w milczeniu.

— No wiesz... — zaczął z wahaniem, a potem umilkł i zaczął się przyglądać staruszce, która karmiła gołębie.

Kiedyś stado liczyło kilkaset sztuk, ale z roku na rok populacja ptaków robiła się mniejsza. Plotkowano, że za tym zmniejszeniem pogłowia stali

głodni bezdomni, lecz Olga nigdy w to nie wierzyła. Warszawskie gołębie były chore i brudne. Nie nadawały się na posiłek. W żadnej formie.

— Zasnąłeś?

— Co? — Wzdrygnął się, po czym popatrzył na Olę z wahaniem. — Po prostu się zastanawiam, czy mogę ci to powiedzieć. To tajemnica.

— Obiecuję, że jej nie zdradzę.

Przeszli przez Aleje i skierowali się w stronę hali dworca. Z zewnątrz wyglądała jak relikwida epoki postmodernizmu. Przynajmniej w oczach Olgi, która od zawsze uważała ten obiekt za brzydki i dziwaczny. Nie rozumiała ludzi, którzy traktowali go jak perełkę architektury.

— Było jeszcze trzecie zabójstwo.

Przez chwilę słychać było tylko odgłosy podeszew ich butów uderzających o płyty chodnika. Na każdy krok Kamila przypadały dwa mniejsze — Olgi.

— W Olsztynie. — Chociaż w okolicy nie było ani jednego ciekawskiego ucha, Kamil ściszył głos do szeptu. — Ciało również odkrył członek załogi konduktorskiej. W kiblu.

— W pociągu?

— W ekspresie „Kormoran” — uściślił sokista. — To zabójstwo udało się utrzymać w tajemnicy przed mediami. Mój szef, w porozumieniu z twoim szefem, zarządził całkowite embargo informacyjne. Chyba nie muszę mówić dlaczego.

Nie musiał. Olga z pewnym opóźnieniem zdała sobie sprawę, że dzisiejszej nocy też zadbano o dyskrecję. Podróżni, usiłujący dostać się na przystanek, byli informowani o pęknięciu rury, a taśma, którą przegrodzono korytarze po obu stronach przystanku, nie była niebiesko-biała, tylko pomarańczowa. Dwa podobne zabójstwa można było uznać za przypadek. Każde kolejne z pewnością wywołałoby panikę.

— Ten sam schemat?

Kamil z ponurą miną pokiwał głową.

— Śmierć w wyniku mocnego uderzenia w głowę. W toalecie albo



w przejściu między wagonami. Czyli akurat tam, gdzie nie ma kamer. Tym razem ofiarą nie był jednak podróżny, tylko pracownik PKP.

— Prowydnik? — spytała, a potem szybko się poprawiła: —

Konduktor?

— Zgadza się. Ale nie na służbie. Wracał tym pociągiem do domu po zakończeniu pracy. Miał wysiąść gdzieś po drodze... ale nie wysiadł.

Olga wyciągnęła telefon i przez chwilę przyglądała się mapie.

— Czy ten „Kormoran” przejeżdża przez Działdowo?

— Wszystkie pociągi z Warszawy do Olsztyna przejeżdżają przez Działdowo.

Chciał dodać coś jeszcze, ale w tym momencie jego wzrok zatrzymał się na podświetlonej tarczy ogromnego zegara umieszczonego nieopodal zwieńczenia bryły Pałacu Kultury. Wskazówki utworzyły linię prostą. Była szósta rano, a to oznaczało, że ich dyżur dobiegł końca.

— To co? Zdamy służbę i może jednak skoczymy na tę kawę?

Miał w sobie mnóstwo pozytywnego tupetu. Olga lubiła tę cechę, ale nie aż tak, by złamać własne zasady. Nie zamierzała umawiać się z kolegami z miejsca pracy. Nigdy.

— Wybacz, ale mam już plany.

— Jakie ty możesz mieć plany o szóstej rano?

Uśmiechnęła się szeroko. W ogóle nie była zmęczona.

— Idę na randkę.

Randka, o której Olga wspomniała Kamilowi, wcale nie miała być randką, tylko zwykłym spotkaniem. I to nieumówionym. Człowiek, z którym zamierzała się spotkać, mógł być w wieku jej ojca. Mógł, bo tak naprawdę nikt nie wiedział, ile ma lat. Z dokumentów, którymi się posługiwał, wynikało, że był sześćdziesięciolatkiem, ale kiedyś wyznał jej w tajemnicy, że w latach dziewięćdziesiątych przejął tożsamość kolegi, który zaćpał się w tunelu średnicowym nieopodal stacji Warszawa-

-Ochota. Podobno szkielet tego kolegi wciąż tam leżał, ale nigdy nie odważyła się tego sprawdzić. Oczywiście gdy o tym rozmawiali, Olga nie była jeszcze policjantką. Teraz, gdy przywdziała mundur, starała się go unikać. Tak było lepiej. Wiedzieli o sobie za dużo rzeczy, by czuć w swoim towarzystwie chociaż namiastkę komfortu.

Nie miała pewności, czy zdoła go odnaleźć, ale okazało się, że wciąż nie opuścił miejsca, w którym przed godziną wypatrzył go Maciek. Jego broda wydała się jej jeszcze bielsza niż ostatnio. I jeszcze dłuższa. Porównanie ze Świętym Mikołajem nasuwało się samo, ale — nie wiedzieć czemu — w środowisku bezdomnych od lat nosił przydomek Gargamel. Być może chodziło o przymioty charakteru...

— To ty?

— Cześć, Gargamelu.

Uśmiechnął się, odsłaniając bezzębne dziąsła. Zapuścił zarost właśnie po to, by choć częściowo zamaskować braki w uzębieniu. Utrzymywał, że przed nim podobnie zrobił marszałek Piłsudski, ale Olga sprawdziła, że polski bohater narodowy nosił tylko wąsy.

Gargamel nie był sam. Towarzyszył mu Antonio. To, co miało być krótką, sentymentalną wizytą na dworcu, wyewoluowało w dłuższy pobyt. Być może permanentny. Bezdomność, podobnie jak alkoholizm, miała tendencję do nawracania. Nawet jeśli była zaleczona.

Mężczyźni siedzieli na końcu peronu drugiego, na żebrowanej ławce. To zawsze było ulubione miejsce Gargamela. Kilka kroków dalej znajdował się wąski korytarz prowadzący poza wyspę peronu do tunelu. Przegrodzono go barierką, która nie stanowiła żadnej przeszkody. Kiedyś, w czasach, gdy na Dworcu Centralnym nocowali bezdomni, Gargamel urządził sobie za zamykającą peron ścianą coś na kształt kawalerki — z siennikiem i oszklonym regałem, w którym trzymał książki.

Jak niemal każdy z żyjących w okolicach dworca bezdomnych był alkoholikiem. Z kieszeni obszernego płaszcza wystawała mu szyjka butelki,

której nie zamierzał chować. Uśmiech, którym ją powitał, nie obejmował oczu. Te patrzyły wyzywająco, zdając się przekazywać komunikat: ciekawe, co mi zrobisz. Ale Olga nie była tu służbowo. Gargamel, przy wszystkich swoich deficytach, był najinteligentniejszym bywalcem dworca. Jego analityczny umysł gromadził fakty na podobieństwo starego komputera, który mimo zużytej obudowy wciąż był sprawny.

— Mogę usiąść?

Zaprosił ją gestem, w którym wciąż można było wyczuć rezerwę. Od chwili, gdy pół roku temu wróciła tu po kursie i stażu w oddziałach prewencji, wymienili tylko kilka zdawkowych uwag. Wiedziała, że nie pochwała jej wyboru. Nie znosił policji i nigdy się z tym nie krył.

— Jak za starych czasów, co? — stwierdziła pojednawczo, bo przegadali na tej ławce wiele godzin.

Do jej obowiązków, jako pracownika ochrony, należało wówczas przeganianie bezdomnych z przestrzeni publicznej, ale nie bardzo się do tego przykładała. Była to walka z wiatrakami, to po pierwsze. A po drugie, takie działania nie miały podstaw prawnych. Bezdomni mieli takie same prawa, co podróżni. Mogli tu przebywać tak często, jak chcieli.

— Nie jestem kapusiem.

— Wiem. Nie przychodzę, by coś z ciebie wyciągać.

Po tych słowach atmosfera nieco się rozgęściła. Antonio skwitował to kiwnięciem głowy, a potem oparł się plecami o filar i zapadł w drzemkę, używając jako zagłówek dresowej kurtki. Musiał przysypiać już wcześniej, bo kurtka była zmięta, a na lewym policzku miał odcisnięty suwak. Na pustym peronie rozległy się odgłosy chrapania. Przez dłuższą chwilę był to jedyny dźwięk.

— W nocy przy wyjściu z podziemi zginął człowiek — odezwała się wreszcie Olga, przerywając milczenie. — Oberwał czymś ciężkim — dodała po chwili. Zdawała sobie sprawę, że jeśli chce uzyskać informacje, najpierw

musi dać coś od siebie. — Czaszka popękała mu jak skorupka jajka. Nigdy czegoś takiego nie widziałam...

— To mało widziałaś — wszedł jej w słowo, a potem przez chwilę przeczesywał palcami długą brodę, wytrząsając z niej okruchy chleba. — To był twój rodak, ale pewnie już o tym wiesz. Pracuje... Pracował na budowie, na osiedlu Za Żelazną Bramą. Podobno mieszkał pod Ciechanowem, ale to może być plotka.

Nie pytała, skąd zna te elementy biografii Zajcewa. I jakim cudem wiedział o jego zabójstwie. I tak by jej nie odpowiedział. Czasem odnosiła wrażenie, że do tego stopnia wrósł w dworcowy pejzaż, iż nawet budynki zdradzały mu sekrety, ale miała świadomość, że takie myślenie było wypadkową wschodniej duszy i fantazji, której nigdy jej nie brakowało. Jedno było pewne — facet wiedział co w trawie piszczy.

— Chciałabym się dowiedzieć, kto mógł aż tak go nie lubić.

Gargamel pociągnął z butelki. Zwykle sporządzał własne mieszanki. Olga nigdy nie miała dość odwagi, by zapytać, co w nich było.

— Czasem śmierć nie jest aktem przemocy, tylko łaski.

Jak wielu inteligentnych ludzi, którzy na pewnym etapie spadli z karuzeli życia do rynsztoka, Gargamel miał tendencję do filozoficznych wstawek, z których niewiele wynikało. Olga nauczyła się je ignorować.

— To musiał być duży facet. Ten zabójca. Aby zrobić coś takiego, trzeba mieć dużo siły.

— Czasem wystarczy praktyka — nie zgodził się Gargamel. — Jest na głowie takie miejsce, w którym schodzą się trzy czy cztery kości czaszki. Ciśnieniowa, czołowa... Jaka jeszcze, Antonio? — Bezceremonialnie szarpnął kompana za szalik, ale osiągnął tylko tyle, że ten zaczął chrapać jeszcze głośniej niż dotychczas. — Nasz zabójca ma praktykę, ale nie zawsze tak było. Ile razy uderzył tego pierwszego, zanim rozbił mu czaszkę? Sześć? Czy siedem?

Olga domyśliła się, że mówi o ofierze znalezionej w pociągu. Skąd miał

taką wiedzę, rodem z raportu patologa? Nie próbowała nawet pytać. Przez chwilę w milczeniu obserwowała piętrowy pociąg, który ruszał z peronu pierwszego w kierunku wschodnim, do Siedlec.

— Ktoś taki powinien trafić do więzienia.

— Raczej na szubienicę. — Gargamel był zdeklarowanym zwolennikiem kary śmierci. W dawnych czasach często o tym dyskutowali, bo ona była za prawem do życia. — Gdybym wiedział, kto to jest, to od razu bym wam powiedział. Chyba nie myślisz, że kryłbym zabójcę?

Wyczuła, że jest oburzony. Zapewnienie, że nigdy by tak nie pomyślała, ułagodziło go tylko częściowo. Obserwowała go ukradkiem, aby nie zaskoczył jej wybuchem złości. Znajomy może i wyglądał jak Święty Mikołaj, ale na pewno nie był święty. Kilka lat temu, działając pod wpływem wzburzenia, o mało nie wyprawił na tamten świat zazwyczaj łagodnego Antonia. Sama wzywała wtedy karetkę. Antonio wrócił na dworzec dopiero po kilku dniach, z ozdobą w postaci kilkunastu szwów w okolicach lewego oka.

W policyjnej notatce zapisano wówczas, że sprawca nie został ustalony. Nie zakapowała, a Gargamel — ochłonawszy — dopuścił ją do wąskiego kręgu przyjaciół. Była u niego na specjalnych prawach. Być może dlatego trzymał nerwy na wodzy.

— Mówią, że chodzi o zemstę — mruknął ze wzrokiem utkwionym w szybko topniejącej zawartości butelki. — Ale ja tego nie kupuję. Dla mnie to coś w stylu makabrycznego rytuału. Gość jest świrem.

Olga nie mogła nie przyznać mu racji. Jej zdaniem każdy zabójca był świrem. Ale takim świrem mógł być każdy, a jej zależało na maksymalnym zawężeniu kręgu potencjalnych podejrzanych. Dlatego poprosiła, by opowiedział jej wszystko, co wiedział. Chronologicznie, od pierwszego zabójstwa do ostatniego.

Relacja zawierała więcej szczegółów niż to, co usłyszała od Kamila. Gargamel podał jej dokładne daty zgonów lub — w wypadku ofiary z Pomiechówka — datę odnalezienia ciała. Znał także szczegóły towarzyszące

odnalezieniu zwłok konduktora — załoga pociągu natknęła się na nie dopiero następnego dnia, podczas rutynowej inspekcji toalet. Olga żałowała, że nie ma przy sobie czegoś do pisania. Ostatecznie zanotowała najważniejsze fakty w telefonie:

*Zabójstwo numer 1: młody mężczyzna, ciało odnalezione wkrótce po śmierci na podwójnym siedzeniu w pociągu Kolei Mazowieckich relacji Działdowo–Warszawa między stacjami Krośnice i Pniewo-Czeruchy; obrażenia głowy zadane w wyniku trzykrotnego uderzenia ciężkim narzędziem, bez defragmentacji czaszki.*

*Zabójstwo numer 2: młody mężczyzna, ciało odnalezione kilka do kilkunastu dni po śmierci w zaroślach przy wyłączonym z użytkowania torze przy peronie stacji w Pomiechówku; obrażenia głowy zadane w wyniku dwukrotnego uderzenia ciężkim narzędziem, z częściową defragmentacją czaszki.*

*Zabójstwo numer 3: mężczyzna w sile wieku, pracownik PKP (konduktor), ciało odnalezione następnego dnia po śmierci, w toalecie pociągu ekspresowego „Kormoran” relacji Polanica-Zdrój–Olsztyn Główny, na stacji końcowej; obrażenia głowy zadane w wyniku jednokrotnego uderzenia ciężkim narzędziem, bez defragmentacji czaszki.*

Od pewnego czasu pisała po polsku. Gargamel, który nachylił się nad nią i nie przestając mówić, na bieżąco kontrolował wklepywane zapiski, najpierw wyraził swoje uznanie dla postępów, które poczyniła, a potem zaczął korygować błędy językowe. Robił to z wyraźną przyjemnością, bo w dawnym życiu był niespełnionym literatem, a przy tym absolwentem filologii polskiej.

— Gdzie jest Polanica-Zdrój?

— W Kotlinie Kłodzkiej — odpowiedział, a gdy uniosła brwi, rozpoczął wykład z geografii.

Był człowiekiem wielu talentów. Olga, korzystając z tego, że przestał recenzować jej zapiski, dodała krótką notkę o Zajcewie:

*Zabójstwo numer 4: Wasyl Zajcew, robotnik, lat 27, ciało odnalezione bezpośrednio po śmierci w podziemiach Dworca Centralnego, przy wyjściu na przystanek pod wiaduktem na Chałubińskiego; obrażenia głowy zadane w wyniku uderzenia ciężkim narzędziem, ze znaczną defragmentacją czaszki.*

Po napisaniu przeczytała notatkę raz jeszcze i przy przyczynie obrażeń dopisała jedno słowo: prawdopodobnie. Przed sekcją nie można było wykluczyć, że do rozbicia czaszki doszło w wyniku innego zdarzenia. Wszystko wskazywało jednak na to, że ktoś znów zabawił się młotem.

— Boisz się? — spytała, przerywając Gargamelowi opowieść o orogenezie hercyńskiej, w trakcie której wypiętrzyły się Sudety. Punktem wyjścia do tej opowieści było chyba jej pytanie o Polanicę-Zdrój. Gargamel potrafił odpłynąć naprawdę daleko.

— Kogo? Tego świra? Złego diabli nie wezmą.

Usiłował nadać swym słowom buńczuczny wydźwięk, ale nie do końca mu wyszło, a przecież nie był tchórzem. Skoro nawet on obawiał się kontaktu z właścicielem dużego młotka, to jak zareagowaliby inni — zwykli ludzie dojeżdżający pociągiem do pracy czy szkoły? To, że kraju nie ogarnęła jeszcze medialna histeria, było wielkim sukcesem służb. I jak na razie jedynym. Zresztą trudno było oczekiwać, że temat nie wypłynie. A jak wypłynie, zepchnie na dalszy plan nawet pandemię.

Na peron wjechał skład pendolino. Obły dziób lokomotywy pokrywała śnieżna breja. Milczeli przez okrągłą minutę obserwowani przez wystrojonego konduktora. Wreszcie konduktor dmuchnął w gwizdek i pociąg ruszył, szybko znikając w tunelu. Olga śledziła wzrokiem jego czerwone światła tylne. Gdy zniknęły, obróciła głowę. Do ich ławeczki zbliżał się mieszany patrol.

Policjantce towarzyszył funkcjonariusz straży miejskiej. Jego wielki brzuch korespondował z marsową miną i sumiastym wąsem. Pomachała do nich, a oni — pomijając początkowe zaskoczenie — zrozumieli ten gest tak, jak powinni, i zawrócili w kierunku ruchomych schodów. Strażnik obejrzał się

jeszcze dwukrotnie, ale w końcu policjantka — krótkowłosa Basia — wytłumaczyła mu, że to, czego był świadkiem, było zakonspirowaną rozmową z osobowym źródłem informacji.

— Coraz was tu więcej.

— Przyzwyczaj się. W nocy zginął człowiek. Gdy wychodziłam z komisariatu, obilo mi się o uszy, że od dzisiaj aż do odwołania ma być dwa razy więcej patroli.

Gargamel znów przeczesał brodę. Była tak sztywna od brudu, że mógł jej nadać dowolny kształt.

— Złe czasy — mruknął. — Dobrze, że przynajmniej tobie nic nie grozi.

Uśmiechnęła się, ale on pozostał poważny. Nie żartował.

— Nie zawsze mam przy sobie broń — zauważyła.

Zostawił w spokoju swą skołtunioną brodę.

— Chodzi mi o to, że jesteś kobietą. Ten świr nie zaatakuje kobiety.

— Niby dlaczego? Jesteśmy gorsze?

Odślonił bezzębne dziąsła. Był przewrotnym starym draniem. Powinna się domyślić, że miał jeszcze w zanadrzu coś, co postanowił zostawić na sam koniec. Coś najlepszego.

— Ten zabójca to imitator.

— Kto?

— Naśladowca — wyjaśnił z pozoru obojętnym tonem, w którym pobrzmiwała jednak satysfakcja.

Olga miała ochotę nim potrząsnąć, ale wiedziała, że to nic nie da. Postanowiła rozgrywać rozmowę jego tempem, irytująco powolnym.

— Możesz to rozwinąć?

— Oczywiście. Spotkałaś się z określeniem „Trepanator”?

Odparła, że w taki sposób określiła sprawcę jedna z gazet, relacjonując zabójstwo w pociągu Kolei Mazowieckich. Zabójstwo numer jeden. Wysłuchał jej, a potem odpalił wreszcie bombę.

— W latach dziewięćdziesiątych po terenach kolejowych grasował inny



Trepanator. Zginęło wtedy siedem osób. Siedmiu zdrowych, młodych mężczyzn, wszyscy przy trasie jednego pociągu. Ekspresu „Świętowit”.

Olga przygryzła wargi. Musiała usłyszeć odpowiedź, chociaż trochę się jej bała.

— W jaki sposób zginęli?

— Rozwalał im głowy. Młotkiem.

## 2.

Noc była czarna jak atrament. Chmury pędziły po niebie poganiane podmuchami arktycznego wiatru. Ognisko syczało i przygasało. Dorzuciłem dwa brzozowe polana, przysunąłem się bliżej i uniosłem kubek, ale uczucia zimna nie odpędziła nawet dziesięcioletnia whisky.

— Idziemy?

— Jak chcesz, to jedź. Ja zostaję.

Głosy należały do mężczyzny i kobiety. Ich twarze ukryte były w cieniu, ale bez trudu odgadłem rysujące się na nich emocje. Byli wściekli, i to wcale nie na mnie, tylko na siebie. Powarkiwali w taki sposób, w jaki potrafią to robić jedynie małżeństwa. Małżeństwa w kryzysie.

— Masz jeszcze? Bo idę sobie dolać.

Te słowa skierowane były do mnie. Wbrew pogładowi, w myśl którego to mężczyźni mają słabość do alkoholu, wypowiedziała je kobieta. I to kobieta oznajmiła przed chwilą, że zostaje; jej mąż z kolei nalegał, by się zmywać. W tej rodzinie wszystko zdawało się stać na głowie, ale może właśnie dlatego czułem się w tym towarzystwie jak ryba w wodzie. Bo w moim życiu też nie wszystko układało się tak, jak należy.

Przechyliłem kubek, wlewając w siebie przynajmniej pięćdziesiąt mililitrów alkoholu.

— Właśnie mi się skończyło — wychrypiałem, wywołując wybuch perlistego śmiechu.

Zabrała kubek i odeszła, przesadnie kręcąc biodrami. Pewnie wyglądałaby seksownie, gdyby nie to, że miała na sobie dwie bluzy i puchową kurtkę męża, w której przywodziła na myśl ludzika Michelin.

— Dużo pijesz — mruknął jej mąż.

Większa część jego sylwetki pozostawała w cieniu, ale sam widok

wyciągniętych w stronę ognia stóp przypomniał mi, jak wielkim jest mężczyzną. W naszym A-klasowym Starcie grał na pozycji bramkarza. Nie był przesadnie zwinny, ale trudno było go pokonać, bo kiedy rozłożył ręce, zasłaniał znaczną część bramki.

— Zawsze dużo piłem.

Nie była to prawda. Teraz też wcale nie zależało mi na dolewce. Tym, czego pożałowałem, było ich towarzystwo. Nie chciałem, by pojechali, zostawiając mnie tu samego. Na tym pustkowiu chciało mi się wyć do księżyca. Nawet jeśli skrywał się za grubą warstwą chmur. Olbrzym zdawał się czytać w moich myślach.

— Podziwiam cię, wiesz? Ja nie wytrzymałbym tu nawet jednej nocy.

— Bo ty zawsze byłeś wygodny. Pamiętasz? Nawet w szkole nie lubiłeś imprez pod chmurką. No chyba że ktoś odpalił grilla. Wtedy mogłeś siedzieć nawet na mrozie.

Zaśmiał się, potrząsając brzuchem. Odkąd się ożenił, przybyło mu kilkanaście kilogramów. Nie był jeszcze gruby, ale stawał się zwałisty. Teraz nie mógłby już stać na bramce. Nie doskoczyłby do poprzeczki.

— Ile to już nocy?

— Pytasz, od kiedy mnie tu gościcie? Jutro będzie tydzień. Zleciało, co?

Wcale tak nie myślałem. To był jeden z najdłuższych tygodni w moim życiu, a przecież żyłem w różnych miejscach, także ekstremalnych. Na przykład w akademiku warszawskiego AWF-u. Albo ostatnio, na stalowej konstrukcji wzniesionej wśród lodowatych fal zapomnianego morza.

— No tak. Po tej platformie moja działka musi być dla ciebie jak hotel Sheraton.

Obaj wiedzieliśmy, że tak nie było. Na platformie wiertniczej miałem wszystkie możliwe wygody i najlepsze na świecie wyżywienie. Nie musiałem piec ziemniaków ani załatwiać swych potrzeb w spróchniałej wygodce. Ale nie wypadało mi grać światowca. Nie w sytuacji, w której za cały mój majątek

robiły dwie pary spranych dżinsów i kurtka z poliestru — prawie nowa, ale przetarta na lewym łokciu i umazana krwią halibuta.

— Sheraton czy nie Sheraton... Jestem wam dozgonnie wdzięczny. Serio, Konrad. Już na zawsze zostanę waszym dłużnikiem.

Zmieszał się, tak jak oczekiwałem. Miałem nadzieję, że wzbudziłem swoimi słowami wystarczająco dużo litości, by powstrzymać go od rejterady pod ciepłą pierzynę w jego pięknym, nowym domu. Potrzebowałem kontaktu z człowiekiem. Byłem niczym bezpański pies.

— Daj spokój. — Przysiadł się bliżej i poklepał mnie swoją wielką łapą po ramieniu. — To psia buda. Lada dzień będziesz mógł sobie znaleźć coś lepszego. Prawda, Helciu?

Przesunął się, by zrobić jej miejsce, ale Helena wybrała niewygodny pieńek po mojej prawej ręce. Ścisnęła w rękę litrową butelkę czarnego Johnnie Walkera, którą opróżniliśmy dopiero w połowie. Wlała mi do kubka hojną porcję, a potem dopełniła go colą. Sama, nie zwracając sobie głowy konwenansami, pociągnęła bezpośrednio z butelki.

— Kacper mógłby zamieszkać u nas.

Objęła mnie ramieniem. Po alkoholu robiła się bardzo przyjacielska. Wołałem, by taka nie była, bo jej wylewność jak zawsze wywoływała u jej męża tę samą niepożądaną reakcję. Konrad się wściekał. Był o nią cholernie zazdrosny. Od zawsze.

— Macie dziecko — stwierdziłem stanowczo. — Tutaj mi dobrze, a poza tym lada dzień wyniosę się do siebie.

— Czyli gdzie? — Jej duże, czarne oczy odbijały blask ogniska.

Kiedyś się z nią spotykałem. I chociaż było to jeszcze w podstawówce, Konrad nie potrafił o tym zapomnieć.

— Helena, zapnij się. Bo znów będziesz chora.

— Dokąd się wyniesiesz?

Zignorowała męża, przysuwając się jeszcze bliżej. Wydała mi się bardzo

ciepła — być może przez kontrast z podmuchami wiatru i lodowatą wilgocią, która przypełzła tu znad pobliskiego jeziora.

— Znalazłem coś do wynajęcia. Pokój przy starszym małżeństwie, zaraz obok jedyнки. Na początek powinno wystarczyć, a później...

Nie dokończyłem. Moje plany nie sięgały dalej niż do jutrzejszego śniadania. Taka sytuacja miała swoje dobre strony. Mimo trzydziestki z okładem wciąż czułem się jak nastolatek.

— Obok jedyнки? — jęknęła Helena. — Nie wiem, czy to dobry pomysł.

— Czemu? — nie zgodził się jej mąż. — Kacper zaczyna z czystą kartą. Przecież nie będzie ukrywał się przed ludźmi. I tak robił to już wystarczająco długo.

Nawiązywał do mojej pracy na platformie. Powody, dla których ją podjąłem, nie miały nic wspólnego z chęcią ucieczki, ale miałem świadomość, że taka wersja miała w miasteczku wielu zwolenników. Szczególnie wśród pracowników jedyнки, czyli szkoły podstawowej numer jeden, w której pracowałem przed wyjazdem. Nie tylko tam. Działdowo się rozwijało, ale od czasu do czasu wciąż pokazywało swe oblicze zaściankowej dziury.

Helena znów pociągnęła z butelki. Domyślałem się, że ona także się zastanawiała, dlaczego wyjechałem tak daleko. I dlaczego po powrocie byłem jeszcze biedniejszy niż przed wyjazdem. Nie miała jednak dość tupetu, by zapytać wprost.

— Opowiesz, jak tam było? — poprosiła.

Kiwnąłem głową, bo i tak nie miałem nic lepszego do roboty. Odstawiła butelkę i oparła głowę o moje ramię. Konrad na szczęście gdzieś zniknął. Prawdopodobnie poszedł się wysikać. A może nie chciał znów słuchać o moich przygodach na Morzu Północnym? Jeśli tak, to nie mogłem go za to winić.

— Przez cztery tygodnie non stop przebywałem na platformie, a potem miałem dwa tygodnie wolnego. I tak w kółko.

— Gdzie spędzałeś ten wolny czas?

— Już ci mówiłem. W firmowym hotelu w Grimsby...

— Czyli mam rozumieć, że twojego pracodawcę stać było na hotel, ale nie był w stanie porządnie ci zapłacić?

Oho. Okazało się, że jej nie doceniałem. Jeśli czegoś jej brakowało, to z pewnością nie tupetu. Co najwyżej subtelności, ale ten deficyt był zapewne kwestią przyswojonego w nadmiarze alkoholu.

— Chcesz wiedzieć, czemu jestem bez grosza?

Ujęła mnie za policzek i obróciła moją twarz w taki sposób, że patrzyliśmy na siebie z odległości dziesięciu centymetrów. Jej oddech był słodki i gorący.

— Chcę wiedzieć, jak ci pomóc — wyszeptała.

Kątem oka dostrzegłem potężną sylwetkę Konrada. Przyjaciel czaił się tuż poza kręgiem rozedrganego, pomarańczowego światła. Dorzuciłem do ognia i udało mi się dojrzeć jego minę. Jego też trawiła ciekawość. Tak duża, że był w stanie przymknąć oko nawet na intymną bliskość, którą dzieliłem z jego pijaną żoną.

W ostatnich dniach przeżyłem tyle upokorzeń, że jedno więcej nie robiło mi różnicy.

— Zarabiałem kupę kasy — wyznałem. — Ale jak wiecie, przed wyjazdem trochę nabroiłem. A to kosztuje.

— Narobiłeś długów?

Niechętnie pokiwałem głową.

— I to nie tylko w banku. Ludzie, u których się zapożyczyłem, nie lubią czekać na pieniądze. Mają na przykład wiertarki. I inne gadzety.

— Wiertarki? — Nie zrozumiała.

— Tak. Mogą wywiercić nimi dziurę. Na przykład w kolanie.

Nabrała powietrza, a jej mąż przestał udawać, że obserwuje niebo.

— Co to za ludzie? Kacper, nie cwaniakuj. Musisz mi powiedzieć.

Ostrożnie dobierając słowa, skłamałem, że moi pożyczkodawcy wywodzą się spoza jego rewiru. Nie chciałem, by wiedział, że wszedłem w układy z lokalnym podziemiem. Miejscowi przedstawiciele półświatka dopiero od

niedawna zajmowali się pożyczaniem na procent. Ich działalność była zazwyczaj mniej wysublimowana. Ostatnia z wykrytych afer dotyczyła kradzieży części do ciągnika rolniczego.

Oczywiście Konrad nie byłby sobą, gdyby tak po prostu to zostawił. Wiercił mi dziurę w brzuchu jeszcze przez kilka minut, a w tym czasie poziom whisky w moim kubku opadł niemal do samego dna. Policjanci z małych miasteczek potrafili być bardzo dociekliwi, a mój przyjaciel był wśród nich prymusem. Z odsieczą przysłała mi na szczęście Helena.

— Zluzuj gumkę w majtkach. Nie jesteś w tej swojej cholernej komendzie. Skoro Kacper nie chce gadać, musi mieć swoje powody.

— Ale...

— Czasami myślę, że najchętniej byś wszystkich pozamykał. Nawet Kacpra.

Konrad uniósł ręce. Oskarżenie było niesprawiedliwe. Gdy przed wyjazdem trafiłem na krótko do aresztu, w dniu mojego zatrzymania wziął urlop na żądanie.

— Chcę tylko pomóc — zaczął defensywnym tonem, ale nie dała mu dokończyć.

— Pomaganie zostaw mnie — warknęła, a kiedy miotając pod nosem obelgi, ruszył w kierunku samochodu, jak gdyby nigdy nic zaczęła mi przygotowywać kolejnego drinka.

Byłem już świadkiem ich kłótni. Prawdę mówiąc, kłócili się od samego początku, od wczesnych klas liceum, ale nie umiałem się do tego przyzwyczaić i w takich sytuacjach zawsze czułem się nieswojo. Stwierdziłem, że robi się późno, ale kiedy chciałem wstać, chwyciła mnie za rękę.

— Nie wygłupiaj się. To nic takiego.

Lekki ton, z jakim to powiedziała, wcale mnie nie zwiódł. W migoczącym świetle dogasającego ogniska wyraźnie widziałem, że wilgoć w okolicach jej

oczku zapowiadała płacz. Udawałem, że nie słyszę dźwięku silnika i szelestu, z jakim opony ich kilkuletniej skody miażdżyły wyschnięte liście.

— Nie odjedzie. Nigdy nie zostawia mnie samej.

Wbrew tej zapowiedzi tylne światła skody minęły bramę i zniknęły w ciemności lokalnej drogi. Wilgoć w okolicach oczu zniknęła. Helena nie zamierzała płakać. Ja także, chociaż Bóg mi świadkiem, że miałem na to ochotę. Z doświadczenia wiedziałem, że takie drobne z pozoru wymiany zdań mogą po pewnym czasie urosnąć do rangi poważnych problemów. A może w ich przypadku już urosły? Po rocznej nieobecności nie umiałem tego ocenić.

— Sama przycinałaś te piękne jabłonie?

Machnąłem ręką w kierunku kilku ledwo stąd widocznych drapaków, przez które przedzierałem się za każdym razem, gdy chciałem skorzystać z wygodki. Próba rozładowania napięcia powiodła mi się tylko połowicznie.

— To grusze — odparła, próbując się nie roześmiać, ale bezskutecznie. — I nikt ich nie przycinał. Są dziczące i wstrętne. Możesz je ściąć.

— Tylko tę jedną, przy płocie — zaproponowałem, bo to drzewko było najbardziej irytujące.

Przeciskając się między gałęziami, zadrapałem czubek mokasy, a była to moja jedyna para lepszych butów. Byłem gotów od razu pójść po siekierę, ale nie dała mi się podnieść. Jej palce okazały się bardziej czepliwe niż gałęzie tej cholernej gruszy.

— Brakowało mi ciebie — wymruczała takim tonem, że poczułem się jeszcze bardziej nieswojo. Chyba to dostrzegła, bo odrobinę się odsunęła. Jej piersi już nie rozpląszczały się na moim ramieniu. Byłem jej wdzięczny. — Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę.

— Z czego? — spytałem.

Znacznie głośniej niż zamierzałem. Przez chwilę chichotała. To, że mąż postanowił zostawić ją na tym pustkowiu, wywarło na niej mniejsze wrażenie, niż się spodziewałem.

— Z tego, że będziemy razem pracować, głuptasie. — Pogłaskała mnie po



twarzy. — To dobra praca, zobaczysz. I myślę, że będziesz świetny.

— Dlaczego myślisz, że będę świetny?

— Masz predy... Predyspozycje.

Zważywszy na ilość skonsumowanego alkoholu, wymówiła to trudne słowo co najmniej poprawnie. Nie podzielałem jej entuzjazmu. Przeciwnie, sądziłem, że to nie jest robota dla mnie, ale w mojej sytuacji nie wolno było wybrzydzać.

— Niby jakie są te moje... predyspozycje?

— Jesteś kontaktowy. A to podstawa.

Spróbowałem drinka, którego mi przyrządziła. Był znacznie mocniejszy. Widocznie kończyła się cola.

— Chcesz mi powiedzieć, że podstawą pracy kanara jest nawiązywanie kontaktów?

Prychnęła podobnie jak wcześniej. Prychała za każdym razem, gdy używałem określenia „kanar”.

— Zapamiętaj, że będziesz pracownikiem PKP. Członkiem drużyny konduktorskiej, a nie żadnym pieprzonym kanarem. Ile razy mam ci powtarzać, zanim wbijesz to sobie...

— Do swojego tępego łba — dokończyłem, bo tym razem się zawahała.

Zanim nie rozkrochmalił jej alkohol, nie była aż tak delikatna.

Podniosła butelkę i wysączyła z niej ostatnie krople, a potem rzuciła ją za siebie, w kierunku obmierzłych grusz. Rozległ się odgłos tłuczonego szkła. Już wiedziałem, co będę robił po przebudzeniu. Okruchy szkła same się nie sprzątną.

— Dzięki — mruknąłem z sarkazmem, którego nie wyczuła.

— Daj spokój, Kacperku. Kiedy napisałeś, że wracasz, od razu poszłam do szefostwa. Razem z Konradem uznaliśmy, że nie powinieneś pracować w Działdowie. Z jednej strony trudno tu o pracę, a z drugiej... Wiesz, jak jest. Ludzie wciąż pamiętają.

Odszukała w ciemności moją zgrabiałą dłoń i mocno ją ścisnęła.

W miejscu, w którym przed chwilą płonął ogień, teraz jarzyły się węgielki. Ich poblask barwił nasze twarze czerwienią. Helena, nie puszczać mojej dłoni, położyła ją na swym miękkim, ciepłym udzie. Widząc, jak przygryza wargi, rozejrzałem się nerwowo, ale Konrad wciąż nie wracał. To dobrze. Wiedziałem, że nawet po cywilnemu nosi przy sobie naładowaną broń.

— Ten facet z pypciem na nosie... Ten gruby — dodałem, chcąc mieć pewność, że zrozumie, o kogo mi chodzi. — On powiedział, że mogę zacząć z wami jeździć już od przyszłego tygodnia. A w Warszawie mówili mi, że najpierw muszę przejść szkolenie...

— Nie słuchaj tych z Warszawy. Oni są odklejeni od rzeczywistości. — Podniosła rękę do ust i czknęła, a potem znów zaczęła pastwić się nad moimi palcami. Gładziła je, jeden po drugim. Chciałem to przerwać, ale jej dłonie były jak macki ośmiornicy. — Zaczynasz w przyszłym tygodniu, bo mamy wakat. Zapamiętaj sobie, że w życiu najważniejsza jest praktyka.

Obiecałem, że zapamiętam, ale w głowie wciąż miałem słowa kadrowca, którego odwiedziłem trzy dni temu, wracając z badań lekarskich. Wspominał o jakichś zajęciach teoretycznych, egzaminach, kursie BHP i pierwszej pomocy... Wysłuchawszy jego wykładu, nie sądziłem, że rzuca mnie od razu na głęboką wodę. Ale to było mi nawet na rękę. Nie chciałem spędzać całych dni w Warszawie. Marzyłem o tym, by żyć w Działdowie. I tak zbyt długo mnie tu nie było.

Helena, błędnie odczytując moje milczenie, zaczęła zapewniać, że będzie super. Z każdą minutą słowa, które wypowiadała, stawały się coraz bardziej bełkotliwe. Znałem ją jak własną siostrę. Wiedziałem, że lada moment kompletnie się posypie i dlatego z coraz większym niepokojem wyglądałem Konrada. Gdzie on się podziewał? Czyżby naprawdę postanowił zostawić ją tu na noc?

— Mamy naprawdę świetną załogę. Zobacysz, to świetni ludzie. Jest nas czwórka plus maszynista. Świetny facet...

— To świetnie — stwierdziłem z przekąsem.

Chciała mnie chyba pacnąć ręką, ale siadła jej koordynacja. Jej dłoń minęła cel o dobre pół metra. Zachwiała się, a potem — razem z pieńkiem — poleciała do tyłu, na oszronioną trawę. Przez chwilę wyglądała jak przerażony żuczek. Leżała na plecach, a jej kończyny młóciły panicznie powietrze. Nie umiała się podnieść.

— To co, chyba kończymy tę imprezę? — Odstawiłem kubek i przykląknęłam, by pomóc jej wstać. Uwiesiła się na mnie całym ciężarem, zanosząc się od śmiechu. Kiedyś była chuda jak tyczka, ale przez lata nabrała kształtów. Nie byłem tak wielki i silny jak jej mąż. Czułem, że długo jej nie utrzymam. — Jakies pomysły? Czy przyjedzie tu jakaś taksówka?

Szczerze w to wątpiłem, a jej było chyba wszystko jedno. Gdybym jej nie podniósł, zasnęłaby przy ognisku. A rano obudziła się z zapaleniem płuc. W jej załodze konduktorskiej, składającej się z samych świetnych ludzi, powstałby kolejny wakat. Wymacałem w kieszeni kurtki telefon. Chciałem zadzwonić po Konrada, ale okazało się, że mnie ubiegł. Komórka wibrowała wściekle, a na ekranie widniała informacja, że mam czternaście nieodebranych połączeń.

— Co wy tam wyprawiacie?!

Wrzeszczał tak głośno, że nie musiałem włączać trybu głośnomówiącego.

— Czekamy na ciebie — odparłem, powstrzymując się, by nie dodać: ty świrze.

— Złapałem gumę na tym cholernym szutrze. Właśnie... zakładam... dojazdówkę.

Stękał tak mocno, jakby obywatel się bez podnośnika. Dalsze słowa zostały zagłuszone rechotliwym śmiechem jego żony. Helena wyslizgnęła mi się z rąk i upadła na ziemię, ale wcale nie przestała się śmiać. Chichotała dalej, trzymając się za brzuch.

— Nie spiesz się — zażartowałem i przerwałem połączenie.

Wiedziałem, że będzie się spieszyć. Świadomość, że zostawił swą frywolną małżonkę w męskim towarzystwie, musiała doprowadzać go do szaleństwa.

O ich wzajemnych relacjach można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że były zdrowe.

Dorzuciłem do ogniska i rozdmuchałem żar. Po nowym polanie zaczęły pełzać języczki ognia. Posadziłem Helenę na najbardziej stabilnym pniaku, a sam wróciłem do swojego drinka. Być może był to efekt mroźnego powietrza, a może drinki były słabsze, niż myślałem — w każdym razie, w przeciwieństwie do mojej zawianej kompani, czułem się zupełnie trzeźwy. Helena jeszcze przez chwilę chichotała, a potem przymknęła oczy. Wyglądało na to, że zaraz zaśnie.

— Skąd ten wakat? — zagadnąłem, bo zacząłem się obawiać, że wpadnie do ogniska. — Mojemu poprzednikowi znudziła się praca kanara? Czy przeszedł na emeryturę?

Otworzyła jedno oko. Jej słowa były tak niewyraźne, że musiałem poprosić, żeby powtórzyła. Tym razem ograniczyła się do minimum.

— Nie żyje.

— Oj, to niefajnie — stwierdziłem, bo nic mądrzejszego nie przyszło mi do głowy. — Wypadek? Czy choroba?

Przechyliła głowę i zwymiotowała. W pierwszym odruchu zerwałem się na nogi i chciałem zawlec ją w krzaki, ale głos rozsądku podpowiedział mi, że równie dobrze mogła haftować przy ognisku. Tu przynajmniej było ciepło. Ominąłem to, co zwróciła, usiadłem obok niej, zebrałem jej rozwichrzone włosy i schowałem pod czapkę. Nie była pierwszą kobietą, która się przy mnie pochorowała. Wiedziałem, co robić. Jedną ręką objąłem ją w pasie, a drugą wymacałem w trawie butelkę wody, którą zostawił tu jej mąż.

— Spokojnie — powiedziałem łagodnie, gdy zaczęła szlochać. — Nic się nie dzieje. — Wszechobecna ciemność ustąpiła nagle miejsca blaskowi samochodowych reflektorów. Konrad jechał jak szatan, migając przy tym światłami. Mógł to być sygnał, że pomoc jest w drodze. Albo ostrzeżenie. Łapy przy sobie. Nadjeżdżam. — Nie płacz. Nic się nie stało. Zaraz będziesz w domu. Wszystko będzie dobrze.

Klepałem te słowa bez większego zastanowienia. Treść była bez znaczenia, liczył się ton. Łagodny i uspokajający. Helena zakasłała, a potem otarła usta i przy okazji oczy.

— Nic nie będzie dobrze — oznajmiła. Jej słowa były niewyraźne, ale zrozumiałe. — To był naprawdę świetny człowiek.

Już miałem odparować, że to świetnie, ale w porę uzmysłowiłem sobie, że mówi o zmarłym koledze z załogi konduktorskiej, którego miałem zastąpić. Poprzestałem zatem na neutralnym „bardzo mi przykro”. Pociągnęła nosem. Nie było to bynajmniej delikatne siąknięcie. Skojarzyło mi się z odgłosami dobiegającymi ze spacerniaka aresztu śledczego w Bartoszycach.

— Bardzo go lubiłam. Jacek... Nie uważasz, że to piękne imię? Był moją bratnią duszą.

Zacząłem się obawiać, że lada moment wyzna mi coś, po czym będę czuł się bardziej niezręcznie niż w trakcie ich małżeńskich kłótni. Na szczęście odsiecz była już o krok. Konrad zbliżał się do bramy.

— Życie jest kruche — stwierdziłem, a potem zamilkłem, zaskoczony głębią swych przemyśleń.

— Jacek był jeszcze młody. Nie miał nawet pięćdziesiątki.

— Zawał? Czy wylew?

Podniosła głowę. Sądziłem, że na jej twarzy będzie malować się poczucie winy. Wstyd. Albo zażenowanie. Ale ona była zwyczajnie zdziwiona.

— Czasem zapominam, że cię nie było. To była głośna sprawa. Jacek... On umarł w pociągu. Zginął. Został zabity. W Olsztynie.

Kubek z whisky wyślizgnął mi się z dłoni, ale nawet tego nie zauważyłem.

— Zabity? W sensie, że ktoś go... zamordował?

W świetle reflektorów nadjeżdżającej skody policzki Heleny przybrały niezdrową barwę kredy. Jej ciemne oczy wydały mi się większe niż kiedykolwiek. Przez chwilę milczała, jakby zabrakło jej słów, ale gdy wreszcie się odezwała, jej głos brzmiał pewnie i wyraźnie:

— Mówią, że ktoś rozwalił mu czaszkę.

Kiedy ja chodziłem do przedszkola, do budynku mógł wejść każdy, ale teraz łatwiej było dostać się do królewskiego skarbcza. Wklepałem kod dostępu po raz trzeci i po raz trzeci nic się nie stało. Zza pleców dobiegło mnie ciężkie westchnienie.

— Proszę, może pani się uda.

Stojąca za mną kobieta zgromiła mnie wzrokiem. Byłem przyzwyczajony do takich spojrzeń. Doświadczyłem ich w sklepie, w którym kupiłem paczkę cukierków, w banku, gdy uiszczalem ratę kredytu, a także w ciucholandzie, w którym wybrałem sobie gustowną wełnianą czapkę w cenie dziesięciu złotych za kilogram. Liczyłem na to, że gdy ukryję pod czapką swą charakterystyczną czuprynę, będę mógł cieszyć się względną anonimowością, ale okazało się, że niektórym do rozpoznania mnie wystarczył wąski pasek skóry na wysokości oczu. Nie pomogło nawet podciąganie maseczki.

Kobieta wyglądała bardziej na babcię niż na matkę. Zaczekałem pokornie, aż wprowadzi właściwy kod, a potem — czując się jak złodziej — wszedłem za nią do ciepłego wnętrza placówki. Kolejne bazylijszkowate spojrzenie posłała mi postać siedząca pod ścianą — chyba nauczycielka.

— Ochraniacze. — Jej ochryply głos przywodził na myśl skrzek ropuchy. — Tylko niech pan weźmie świeże.

Podążając za jej wskazaniem, podszedłem do pojemnika z foliowymi ochraniaczami. Zużyte leżały obok, w sąsiednim pojemniku. Przez moment zastanawiałem się, czy po wykorzystaniu ktoś je płucze, czy też wędrują na wysypisko, a potem zganiłem się w myślach. Jakie to miało znaczenie?

— W której sali jest grupa pomarańczowa? — spytałem.

Nauczycielka, patrząc gdzieś w bok, machnęła ręką w głąb korytarza.

— Na pewno pan trafi.

Nie zachowała się uprzejmie, ale miała rację. Drogowskazem były kolory farb, którymi pomalowano drzwi. Minąłem granatowe, czerwone i żółte. Pomarańczowe znajdowały się na samym końcu, obok innych, w naturalnym kolorze drewna, z napisem *Dyrektor*.

Powiedziałem grzecznie „dzień dobry” jakiemuś zaaferowanemu tatusiowi, mocującemu się z suwakiem dziecięcej kurtki, a potem zapukałem i nacisnąłem klamkę. Trafiłem na końcówkę posiłku. Kobieta w fartuchu pchała przed sobą wózek, zbierając brudne naczynia. Większość dzieci wciąż siedziała przy stolikach, ale kilkoro zdążyło już przejść na dywan i zająć się zabawą. Bez trudu wyłowiłem spośród małych łebków ten właściwy, zwieńczony długimi, kędzierzawymi włosami. Odruchowo dotknąłem własnych. Gdybym pozwolił im bardziej urosnąć, byłyby niemal identyczne.

— Ja po Olę — oznajmiłem gromko w kierunku młodziutkiej nauczycielki.

— Pan jest... — Podeszła do drzwi, lawirując pomiędzy dziećmi.

— Kacper Słubicki. Jestem tatą.

— Ach tak... — Zerknęła na Olę, która nie okazywała na mój widok specjalnego entuzjazmu. — Czy mogłabym zobaczyć pański dowód?

Widziała mnie tu po raz pierwszy. Bez śladu zniecierpliwienia sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem portfel, a z niego dowód. Podałem go jej, a potem opuściłem na chwilę maseczkę. Prześlizgnęła się wzrokiem po mojej twarzy. Zerknęła też niżej, na poplamioną kurtkę, a potem odrzuciła do tyłu warkocz — gruby jak lina kotwiczna i czarny niczym skrzydło kruka.

— No tak, nie da się ukryć. To pan.

Starła się być profesjonalna, ale nie zdołała ukryć zainteresowania. Być może chodziło o krew halibuta, ale byłem niemal pewien, że powodem takiej, a nie innej reakcji była moja reputacja. Nauczycielka była wysoka. Gdy na mnie patrzyła, miałem ochotę wspiąć się na palce.

— Czy mogę odebrać swoje dziecko?

— Chwileczkę. — Podeszła do Oli i położyła dłoń na jej ramieniu. Gest był tak opiekuńczy, że wzbudził moją sympatię. — Oleńko, czy pójdiesz z tatą?

Moja córka przez chwilę milczała. Gdyby na moim miejscu był ktoś inny, mógłby poczuć się upokorzony, ale ja dostałem od życia wystarczająco dużo kopniaków, by przejmować się takimi drobnostkami. Dopuszczałem możliwość, że się mnie wyprze, lecz postanowiła mi tego oszczędzić.

— Mogę pójść — zgodziła się łaskawie, po czym podeszła i dała się wziąć na rękę. — Mama mówiła, że zabierzesz mnie do cioci Heli i wujka Konrada.

Przeszliśmy do szatni. Tu, poza zasięgiem ciekawskich uszu, wyznałem jej prawdę. Nie całą. Nie wspomniałem na przykład, że ciocia Hela leczy koszmarne kaca, a wujek jest na nią tak obrażony, że zamknął się w garażu. Wybrałem najwygodniejszą z przeszkód.

— Juleczka ma katar. — Julia była córką Heleny i Konrada. Miała osiem lat, a więc o trzy więcej niż Ola. — Nie martw się, mam dla ciebie fajną niespodziankę.

— A jaką? — spytała ostrożnie.

Stosunek córki do mnie charakteryzował się sporą dozą nieufności. Nie winiłem jej za to. Gdybym był na jej miejscu, też bym sobie nie ufał.

— Chcę, żebyś pomogła mi wybrać mieszkanie.

— Hura!

Wyjechałem na platformę w październiku zeszłego roku, a więc ominął mnie ostatni sezon zimowy. Trochę to trwało, zanim się połapałem, że sznurek od rękawiczek należy przełożyć za plecami, a nie z przodu, ale w końcu udało się nam ubrać. Przed budynkiem rozciągało się błotniste podwórko, a obok — nowoczesny plac zabaw. Ola ciągnęła mnie w tamtą stronę, byłem jednak nieugięty. Aby zdusić okrzyki protestu, wyciągnąłem w jej stronę torebkę z krówkami. Złość zniknęła. Zamiast niej na dziecięcej twarzyczce pojawiło się wahanie.

— Tatuś nie pozwala nam jeść słodczy — powiedziała, patrząc na mnie tymi wielkimi, bławatkowymi oczami. Po chwili połapała się, że ta wypowiedź nie była dostatecznie precyzyjna. — Ten prawdziwy tatuś. Nie ty.

Była nieprzeciętnie inteligentna. Zwróciłem na to uwagę już wcześniej, przy pierwszym spotkaniu po powrocie. Przed rokiem, gdy wyjeżdżałem, operowała ledwie kilkunastoma słowami. Teraz wyrażała swe myśli precyzyjniej niż niejeden dorosły.

— Ma rację — stwierdziłem, bo tego wymagała taktyka, którą sobie



narzuciłem. Czasem sytuacja wymagała pójścia na kompromis. — Ale to nie jest zwykły cukierek. Zobacz. Co to za zwierzątko?

— Krówka.

— No właśnie. A krowy co dają?

— Mleczko.

— Dokładnie. A mleko jest bardzo zdrowe. To specjalny cukierek mleczny. Myślę, że możesz spróbować, czy ci smakuje.

Zadarła głowę. Przez chwilę jej buzia była poważna, ale potem pojawił się na niej uśmiech z gatunku tych, które ściskają za serce. Odwinąłem krówkę z papierka, a ona otworzyła usta niczym głodny hipopotam i pożarła ją w całości. Mało brakowało, a ugryzłaby mnie w palec.

— Mogę jeszcze jednego mlecznego cukierka?

— Za chwilę. Jak dojdziemy do szkoły.

Szkoła była zaraz za rogiem. Przecinając boisko, odganiałem wspomnienia, ale one uparcie wracały. Pracowałem tu przez sześć lat. Wywalili mnie w zeszłym roku, na kilka dni przed rozpoczęciem roku szkolnego. Lubiłem tę pracę, ale wiedziałem, że zawód nauczyciela jest dla mnie zamkniętą przeszłością. Nie wierzyłem, że uda mi się do niego wrócić — ani tu, ani gdziekolwiek.

— Tatusiu, dlaczego tak długo cię nie było?

Oderwałem wzrok od nowych obręczy na boisku do koszykówki. Ja nie mogłem się o nie doprosić, ale nowy wuefista miał widocznie większe chody.

— Musiałem pracować. Dorośli muszą czasem wyjechać, żeby zarabiać pieniądze.

— Ale mama nie wyjedzie?

— Nie, nigdy — zapewniłem, otrzymując w zamian promienny uśmiech.

Największy z lęków, które dręczą małe dzieci, właśnie został unicestwiony.

— Tatuś mówił, że siedziałeś w więzieniu.

Kucnąłem, mając świadomość, że to, co powiem, może mieć trwałe wpływy na jej obraz świata. Nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć. Wiedziałem tylko,

że nie mogę skłamać. Już dawno postanowiłem, że nigdy więcej jej nie oszukam.

— Czasem jest tak, że dobrzy ludzie robią złe rzeczy — zacząłem świadomy niedostatków tego wyjaśnienia. — Czasem są niemądrzy. A czasem nie mają wyjścia. Na szczęście zawsze można się poprawić. I ja się poprawiłem. Już nigdy nie zrobię nic złego.

Bałem się, że będzie drażnić, ale moje wyjaśnienie okazało się wystarczające. Z charakterystyczną dla dzieci chaotycznością przeskoczyła z tematu na temat. Teraz zainteresowało ją, jak to jest być nauczycielem. Moje akcje nagle wzrosły, a kiedy przed wejściem do szkoły kilku dawnych uczniów powiedziało mi „dzień dobry”, wspiąłem się na poziom bohatera.

— Trenerze, wróci pan?

— Żeby znów się z wami męczyć?

— Niech pan wróci. Bez pana jest beznadziejnie.

Ola szła dumna jak paw, nie dostrzegając na szczęście, że nie wszyscy traktują mnie tu z takim szacunkiem, jak te dzieciaki. Dla młodzieży byłem kimś interesującym: renegatem, człowiekiem z krwi i kości, tak innym od ich nudnych jak flaki z olejem rodziców. Znaczna część dawnych uczniów wciąż darzyła mnie sympatią, ale uczucia pracowników szkoły były zgoła inne. Cóż, mądrość przychodziła z wiekiem.

— Cześć, Broniek — zaryzykowałem, uśmiechając się do łysiejącego nauczyciela historii.

Drgnął i neurotycznym gestem poprawił okulary.

— Dzień dobry — odburknął chłodno, a potem, by nie przejść obok mnie, wybrał okrężną drogę przez marznącą kałużę.

Kiedyś byliśmy zaprzyjaźnieni, ale nie umiałem się zżymać na taką reakcję. Pogodziłem się już z tym, że jedynymi przyjaciółmi, którzy mi zostali, byli Konrad i Helena. Oprócz nich nie było nikogo, kto nie życzyłby mi wszystkiego, co najgorsze. Być może powinienem stąd wyjechać. Ale miałem powód, by tego nie robić. A konkretnie dwa powody: Olę i Adasia.

Adasia odebrałem ze świetlicy. Jego włosy kręciły się tak samo, jak włosy Oli, ale na tym podobieństwa się kończyły. Ola była trzpiotowatą pięciolatką, a Adaś — poważnym, trochę wycofanym dziewięciolatkiem, amatorem filmów o Harrym Potterze i figurek z superbohaterami. Zawsze uważałem, że zamknięci w sobie wrażliwcy mają w życiu pod górkę. Życie Adasia napisało scenariusz, w którym górka zrobiła się zdecydowanie zbyt stroma.

Wciąż był na mnie obrażony. Gdy nachyliłem się, by cmoknąć go w czoło, odruchowo przymknął oczy. Zabrałem mu z kolan tornister i podałem kurtkę, a gdy ją włożył, pchnąłem wózek inwalidzki w stronę wyjścia. Po drodze minęliśmy wicedyrektorę. Odwróciła głowę, udając, że mnie nie widzi.

— Jak tam w szkole? — spytałem lekkim tonem, gdy znaleźliśmy się na zewnątrz.

Wizyta w dawnym miejscu pracy przyprawiła mnie o dreszcze. Nie sądziłem, że będzie aż tak trudno. Nie spodziewałem się też innej odpowiedzi niż standardowe „dobrze”. Ale Adaś, podobnie jak ja, postanowił nie kłamać. Ze zdumieniem dostrzegłem, że oczy napęchają mu się łzami. Był skryty, cholernie skryty, ale w końcu to z niego wydobyłem.

— Nie mam żadnego kolegi — wyznał, walcząc z całych sił, by zabrzmiało to obojętnie.

— Dokuczają mu inne dzieci.

Ola była dotąd tak cichutka, że prawie zapomniałem, iż maszeruje obok nas, słysząc każde słowo. Adaś, przywołując autorytet starszego brata, kazał jej się zamknąć, ale z wyrazu jego twarzy wynikało, że siostrzana uwaga była celna. Nie byłem szczególnie zdziwiony — dzieciaki potrafiły być okrutne. Uszanowałem, że nie chce o tym gadać. Dopisałem tę pozycję do krótkiej listy spraw, które chciałem obgadać z jego mamą, a potem zabrałem ich na pizzę.

Godzinę później, lżejszy o pięćdziesiąt złotych, ale z bateriami naładowanymi energią dzieci, wróciłem w okolice szkoły. Do spotkania z właścicielką pokoju, który chciałem wynająć, mieliśmy jeszcze dwadzieścia minut. Namówiłem Adasia, by zsiadł z wózka. Kalectwo, którego nabawił się

w wypadku, nie było nieodwracalne. Dał radę przejść powoli kilkanaście kroków, udowadniając mi — i przede wszystkim sobie — że rehabilitacja idzie zgodnie z planem. Kiedy razem z Olą odpoczywał na ławce, podeszła do mnie starsza pani z pieskiem.

— Musi być pan dumny.

— Jestem dumny — odparłem, patrząc na syna.

Dopiero gdy parsknęła, uświadomiłam sobie, że to był sarkazm. Pytała, czy byłem dumny z siebie, a nie z syna. Nawiązywała do tego, że wyjechałem z Działdowa wkrótce po jego wypadku. Że zamiast go wspierać, wybrałem ucieczkę.

Pomilczała wymownie, a potem sobie poszła. Dopiero wtedy rozpoznałem w niej szefową mojej byłej żony, matki moich dzieci. Zdaje się, że miała na nazwisko Rogalska. Pracowały razem na Zamku, w ośrodku kultury. Cieszyłem się, że przyjąłem jej uwagę tak spokojnie. Byłem pewien, że zrelacjonuje wszystko Ewce, a bardzo zależało mi na jej opinii.

Punktualnie o szesnastej wkroczyłem na podwórko starej, poniemieckiej kamienicy. Z jej wyższych pięter z pewnością widać było zarówno szkołę, jak i przedszkole. Lokalizacja była więc wymarzona. Miałem nadzieję, że uda mi się utargować cenę.

— Co to?

Ola wskazała w róg podwórka. Chciałem odpowiedzieć, ale Adaś okazał się szybszy.

— Znicze — wyjaśnił, a potem obrócił głowę w moją stronę. — To znaczy, że tutaj ktoś umarł, prawda?

Nie miałem pojęcia, co moje dzieci wiedziały na temat śmierci. Postanowiłem uważać, szczególnie ze względu na Olę. Nie chciałem jej wystraszyć.

— Może te znicze zapalono na pamiątkę. Na przykład dla żołnierzy.

— Tu nie ma żołnierzy. Popatrz na drzwi.

Na drzwiach kamienicy, w której miałem zamieszkać, wisiał nekrolog. Pod

wpływem wilgoci zaczął się łuszczyć, ale czarne litery wciąż były czytelne. Świętej pamięci Jacek Twardygrosz zmarł śmiercią tragiczną w wieku czterdziestu dziewięciu lat. W Olsztynie.

Był wieloletnim pracownikiem kolei.

Musiałem mieć niewyraźną minę, bo Ola pociągnęła mnie za rękaw, dając do zrozumienia, że chce, abym ją podniósł.

— Wszystko dobrze, tatusiu?

— Oczywiście, kochanie.

Zawsze pokpiwałem sobie z osób, które ulegały bzdurnym przesądom, ale widok tych zniczy i nekrologu mocno mną wstrząsnął. Nie miałem wątpliwości, że zmarły Jacek Twardygrosz jest osobą, o której wczorajszej nocy opowiadała mi Helena. Człowiekiem, którego miałem zastąpić w drużynie konduktorskiej, zamordowanym w toalecie ekspresu „Kormoran”. Nie lubiłem takich zbiegów okoliczności. Miejsce, które miało stać się moim nowym domem, nagle wydało mi się obce, a nawet wrogie.

Ola nie dała się zbyć nieszczerymi zapewnieniami. Obserwowała mnie uważnie, aż do momentu, w którym postawiłem ją na ziemię, by pomóc Adasiowi. W kamienicy nie było windy, a lokal, do którego zmierzaliśmy, znajdował się na ostatnim, drugim piętrze.

— Jesteś smutny.

Natychmiast się uśmiechnąłem. Rodzicielstwo uczy pokory, ale także kontroli nad emocjami.

— Jestem zmęczony, bo po tej pizzy zrobiłaś się strasznie ciężka.

Zachichotała. Adaś również się uśmiechnął, a potem zarzucił mi ręce na szyję. W przeciwieństwie do siostry on rzeczywiście był ciężki, ale po blisko rocznej pracy na platformie byłem w naprawdę dobrej kondycji.

— Nie ukradną nam wózka? To chyba kiepska okolica.

— Coś ty, synku — odparłem, wciąż uśmiechnięty od ucha do ucha. Starłem się manewrować w taki sposób, by nie dostrzegli obscenicznych

grafik, którymi pokryte były ściany. — To najlepszy adres w mieście. Osiedle VIP-ów.

Radosny śmiech moich dzieci był chyba czymś najlepszym, co mogło spotkać te obmierzłe wnętrza. W dobrych nastrojach dotarliśmy na drugie piętro. Odstawiłem Adasia, otarłem czoło i wcisnąłem przycisk dzwonka, a potem — gdy zza drzwi nie dobiegł żaden dźwięk — zapukałem.

— Nie przestraszcie się — ostrzegłem półgłosem, tym poważnym tonem, którego używałem, by ich rozbawić. — Ta pani ma wąsy...

Przez dłuższą chwilę żartowaliśmy, nadal czekając, aż ktoś nam otworzy. Miałem wrażenie, że otwór wizjera na moment stał się ciemniejszy, ale mogło to być jedynie złudzenie. Zapukałem jeszcze raz, znacznie mocniej, a potem — usiłując nie okazać rozczarowania — kucnąłem, by znowu unieść syna.

— Wskakuj, mała foczko.

W tym momencie rozległo się skrzypnięcie. Drzwi uchyliły się powoli, jedynie na szerokość dłoni. Dziecięcy śmiech urwał się jak ucięty nożem. Twarzy, która pojawiła się w szparze, nie zdobiły wąsy. W kiepskim świetle widać było natomiast niechlujny, trzydniowy zarost. Na pewno nie była to kobieta.

— O co chodzi?

W urywanym szepcie było coś znajomego. Opiekuńczym gestem objąłem Olę, która usiłowała schować się za moją nogą. W przeciwieństwie do niej Adaś zrobił chwiejny krok do przodu i niezgrabnie się uklonił.

— Dzień dobry, panie Eugeniuszu — powitał mężczyznę z rzadką u siebie swobodą. Zazwyczaj był nieśmiały. — Mój tata był umówiony w sprawie wynajmu pokoju.

Mężczyzna może i wyglądał jak marynarz z portowej knajpy, ale jego reakcja na słowa mojego syna była zaskakująca. Opuścił ramiona i nagle zrobił się mniejszy. Cofnął się o krok i uczynił taki gest, jakby chciał zatrzaskać drzwi. Opanował się w ostatniej chwili.

— To trzeba załatwiać z żoną — wychrypiął. — Jeszcze nie wróciła.

Znałem go od dziecka. Był w mojej szkole kimś w rodzaju robotnika gospodarczego. Dbał o zieleń, wymieniał migające jarzeniówki i ciekące krany. Uczniowie trochę się go bali, bo zawsze patrzył spode łba i nie przebierał w słowach. Ale teraz był zupełnie inny. Oczy miał przydymione. Dawna zaczepność zniknęła. W jej miejscu zamieszkał strach. Trudny do wytłumaczenia, bo przecież nie wyglądaliśmy groźnie.

— Panie Gienku, to ja, Słubicki. Wpuści nas pan czy mamy poczekać na zewnątrz?

Z tym czekaniem na zewnątrz to był żart, ale odniosłem wrażenie, że potraktował go poważnie i rzeczywiście rozważał, czy nie zatrzęsnać drzwi. Nie dałem mu ku temu sposobności. Wciąż w szoku, że z twardego starego drania przeobraził się w roztrzęsionego neurotyka, śmiało przekroczyłem próg.

— No tak. Proszę. Pan wejdzie.

Czuć było od niego alkoholem. To akurat nie było zaskakujące — w szkole też nie stronił od wódki. Kiedyś znalazłem go chrapiącego w najlepsze na środku boiska w środku dnia. Gdy go obudziłem, chciał się bić, ale wtedy nie byłem już uczniem, tylko nauczycielem. Strach, który we mnie wzbudzał, już dawno został wyparty przez niechęć.

— Co się mówi? — rzuciłem w stronę Oli, by choć trochę ją ośmielić.

Wciąż usiłowała się ukryć za moją nogą.

— Dzień dobry — wyszeptała.

Te słowa dodały śmiałości nie tylko jej, ale i naszemu gospodarzowi. Głos dziecka potrafił zdziałać cuda.

— Teraz poznaję. — Mężczyzna wykrzywił twarz w uśmiechu, a potem oderwał spojrzenie od mojej córki i przeniósł je na mnie. — Nie wiedziałem, że pan wrócił. Żona mówiła, że ktoś się pojawi, ale nie wiedziałem, że to będzie pan.

W jego głosie nie było niechęci. Prawie zapomniałem, jak to jest. Ku

swojemu zaskoczeniu poczułem, że zaczynam go lubić. Był outsiderem — tak jak ja.

— Rozmawiałem z pana żoną na stacji. Od słowa do słowa zgadaliśmy się, że chce wynająć pokój. A ja akurat szukam czegoś niedrogiego...

— Tak, wiem — przerwał mi, wciąż się cofając.

Nie chciałem go denerwować, ale jeśli miałem tu zamieszkać, i tak musiał się do mnie przyzwyczaić.

— Pracuje pan jeszcze w Konopnickiej?

Wzruszył ramionami, a potem zaprosił nas gestem w głąb mieszkania.

— Jestem na chorobowym. Od początku roku. Pan powie dzieciom, żeby nie ściągały butów. To nie jest żaden pałac.

To rzeczywiście nie był pałac, ale na nic takiego nie liczyłem. Drewniane podłogi skrzypiały, ze ścian schodził tynk, a w powietrzu unosił się zapach gotowanej kapusty. Otworzył drzwi, niegdyś przeszklone, a teraz obite dyktą.

— To tutaj?

Na jego twarzy odmalowało się zmieszanie.

— Tak. Jeżeli pan się zgodzi.

Pokój, który miał stać się moją czasową sypialnią, był bardzo mały. Miał tylko kilka metrów kwadratowych, ale moja Ola miała taką minę, jakby patrzyła na królewską komnatę. Wystrój wskazywał, że mieszkała tu wcześniej dziewczynka. Tapety w misie, plakat kucyków z popularnej kreskówki, a na półce regaliku — kilkanaście słoczonych pluszaków.

Stanąłem przy pluszakach i zdjąłem z półki ilustrowaną Biblię dla dzieci.

— To wszystko można stąd zabrać... — zaczął pan Gienek, ale szybko mu przerwałem.

— Może zostać. To pokój pańskiej córki?

Przez jego pobrużdżoną twarz przemknął cień. Od razu pożałowałem tego pytania. To jego wycofanie, ten bijący od niego lęk... W tym wszystkim można było wyczuć gorzki smak tragedii.

— Już tu nie mieszka — mruknął, zanim zdążyłem go powstrzymać. Ale na



szczęście moim dzieciom został oszczędzony opis przedwczesnej śmierci. — Wyjechała do Warszawy. Pusto tu bez niej.

Przepełniony ulgą podszedłem do okna. Szyba była brudna, ale nie aż tak, bym nie mógł zobaczyć błotnistego podwórka z ciągiem garaży i zaułkiem, w którym płonęły znicze.

— Ma pan samochód? Bo tu krucho z parkowaniem.

— Na razie mam tylko rower. Starego grata. Wystarczy mi kawałek słupka, do którego przypnę się kłódką.

— Dostanie pan klucz do piwnicy.

Podziękowałem, a potem klapnąłem na tapczan, obok Adasia. Zauważyłem, że mój syn obserwuje pana Gienka z wyraźnym podziwem. Dzieciaki zawsze miały tendencję do stawiania pracowników szkoły na piedestale. Ale tam, gdzie on widział bohatera, ja dostrzegłem zmęczonego życiem faceta po pięćdziesiątce, bez perspektyw, ale za to ze zrujnowanym zdrowiem.

— Na co pan choruje?

Przez chwilę się wahał, zaskoczony chyba bezpośredniością mojego pytania. Ale taki właśnie byłem. Bezpośredni.

— To nic zaraźliwego — odparł wreszcie. — Nie mówili panu w szkole? Lekarz twierdzi, że mam depresję.

Nikt ze szkoły nie chciał rozmawiać ze mną nawet o pogodzie, ale nie widziałem powodów, dla których miałem mu się zwierzać. Zaproponował herbatę. Dzieci zostały w pokoju, a my przeszliśmy korytarzem do kuchni. Po drodze zajrzałem do łazienki. Była stara i średnio czysta, ale i tak o niebo lepsza od wygodki na działce Konrada i Heleny.

— A może woli pan kawę?

— Nie. Herbatę.

Postawił czajnik na gazie i pstryknął zapalarką, a potem uchylił okno, wpuszczając do środka trochę wilgotnego powietrza. Widok stojącej w łazience poobtłukiwanej wanny uświadomił mi, że od kilku dni wiodłem

życie abnegata, ale w konfrontacji z pyrkającym na ogniu garze z kapustą zapach mojego ciała nie był problemem.

— Na święta? — zażartowałem.

Do świąt Bożego Narodzenia były jeszcze prawie cztery tygodnie, ale już teraz martwiłem się, czy starczy mi pieniędzy na prezenty dla dzieci.

— Nie. To zwykły bigos. Żona dzwoniła, żeby wstawić kapustę. Zaraz powinna być.

— Daleko nie ma. No proszę. Nawet widać.

Pomiędzy drzewami widoczny był fragment budynku dworca. Żona pana Gienka pracowała tam w charakterze sprzątaczk. Była w pewnym sensie moją koleżanką z pracy, bo zatrudniało ją PKP.

— Dzwoniła, że jest jakieś opóźnienie. Była akcja policji.

— Akcja policji?

— Fałszywy alarm. Na peronie znaleźli kobietę. Myśleli, że to kolejna ofiara tego szaleńca z młotkiem... Tego Trepanatora. Na szczęście okazało się, że spała. Oczywiście pijana.

Jego śmiech przywodził na myśl szczekanie psa i szybko się urwał. Wyjrzałem przez okno. Stąd też było widać znicze.

— To miłe, że ludzie pamiętają.

— Jakie tam miłe. — W mig zrozumiał, o co mi chodzi. — Smrodzą tylko pod oknem tą stearyną. Człowiekowi przecież życia nie wróca. Zapali pan?

Wyciągnął ku mnie zmiętą paczkę papierosów.

— Dzięki. Nie palę.

Ludzie woleli na ogół wynajmować mieszkania niepalącym, ale on posmutniał.

— No tak, sportowiec.

— Co najwyżej były wuefista — sprostowałem, bo lata mojej kariery piłkarskiej były już odległe. Zrezygnowałem z poważnej gry, gdy urodził się Adaś. Trzeba było przecież z czegoś żyć.

— Wie pan, że to kolejowa kamienica? — spytał, zaciągając się

papierosem. — Zbudowano ją przed wojną dla pracowników kolei. Teraz na kolei pracuje tylko Twardygrosz i moja Janka, ale każda rodzina ma wśród przodków przynajmniej jednego kolejarza.

— Twardygrosz już nie pracuje — zauważyłem, a on posmutniał.

— No tak. To był dobry człowiek. Często tu wpadał pogadać. A teraz go nie ma.

Zrobiło się ponuro, ale chwilę później do mieszkania wpadła gospodyni. Była tak dużą kobietą, że ledwo zmieściła się w drzwiach. W rękach ścisnęła siaty z zakupami i góralską ciupagę, której używała jako podparcia. Gdy poznałem ją trzy dni temu, poruszała się o własnych siłach.

— Nieszczęsne korzonki — wyjaśniła niepytana. Ciężki płaszcz pofrunął na krzesło, a ona, z cichym jęknięciem, opadła na drugie. — Musiało mnie zawiać na tych peronach. Albo na tej cholерnej działce.

— Pracowała pani na działce? — spytałem domyślnie, bo ostatnie dni, które spędziłem w altance Konrada i Heleny, przypawiły o ból korzonków również mnie.

— To działka koleżanki, zaraz za stacją. Zbierałam zgniłe jabłka. — Wykrzywiła się, a potem zwróciła gniewną twarz w stronę małżonka. — Gieniu, rusz się. Nie widzisz, że zagotowała się woda?

Już podczas pierwszego spotkania, w pociągu, sprawiła na mnie wrażenie władczej, a teraz, widząc, jak komenderuje mężem, utwierdziłem się w przekonaniu, że lepiej z nią nie zadzierać. Pan Gienek szybko wyłączył gaz i zalał mi herbatę. Chodził jak w zegarku. Ja tymczasem dobijałem targu.

— Podoba się panu?

— Może być, pani Janino. Tylko wolałbym za trzysta pięćdziesiąt...

— Czterysta to i tak jest okazja. Jak się panu podoba, to trzeba brać. Za czterysta. To nie majątek.

W wejściu do kuchni pojawiły się dwie dziecięce główki. Dostrzegłem, jak Ola filuje na twarz gospodyni, dyskretnie szukając na niej wąsów. Pani Janina chrząknęła.

— One będą mieszkać z panem?

Zapewniłem ją, że nie. Spodziewałem się westchnienia ulgi, ale nieoczekiwanie posmutniała.

— No tak. Pana żona ma, zdaje się, piękny dom.

— Była żona — poprawiłem. — Czasami będziemy tu siedzieć popołudniami, ale obiecuję...

Nie dokończyłem, bo kobieta niespodziewanie wyciągnęła ręce i przygarnęła moją córkę do obfitego łona. Ola trochę zeszywniała, ale nie wybuchła płaczem, a gdy minął jej pierwszy szok, nawet się uśmiechnęła.

— No dobrze, niech już będzie te trzysta pięćdziesiąt — usłyszałem. Radość, którą poczułem, mówiła wiele o stanie moich finansów. Pięćdziesiąt złotych to nie był przecież majątek. — Lubicie cukierki czekoladowe?

Tym razem z ust mojego młodszego dziecka nie padły słowa o zgubnym wpływie słodyczy. Z Adasiem w awangardzie ruszyła za panią Janiną do sąsiadującego z kuchnią pokoju. Ciekaw, jak mieszkają moi gospodarze, poszedłem za nimi. Pomieszczenie było jednocześnie sypialnią, salonem i salą trofeów. Na półkach stało kilkanaście starych pucharów.

— Mąż uprawiał lekkoatletykę? — spytałem, biorąc do rąk pierwszy z brzegu.

Za zwycięstwo w zawodach pięcioboju na lekkoatletycznej spartakiadzie młodzieży.

— Tak, uprawiał — odparła z lekceważeniem, z którym żony podchodzą do osiągnięć sportowych małżonków. Doskonale to znałem z autopsji. — Proszę, kochani. Poczęstujcie się.

Pod wpływem ich podziękowań roztapiała się jak wosk. Żałowałem, że nie utargowałem ceny jeszcze bardziej. Wydała im po dwa cukierki, a potem schowała resztę do barku. Nie dostrzegłem ani jednej butelki. Pan Gienek musiał trzymać swe zasoby w innym miejscu.

— Kiedy pan się wprowadza?

— Jeśli można, to chciałbym już dzisiaj.

— A co z pana rzeczami?

— Mieszczą się w jednej torbie. — Wróciliśmy do kuchni. Ola wdrapała mi się na kolana, a Adaś stanął w drzwiach, opierając się o framugę. Gospodyni natychmiast podsunęła mu krzesło, z którego nie skorzystał. — Pamięta pani, co mówiłem o swoich godzinach pracy?

Przegadaliśmy to już podczas naszej pierwszej rozmowy, ale wolałem się upewnić, że dobrze mnie zrozumiała. Praca w drużynie konduktorskiej wiązała się wymiennie z wczesnym wstawaniem i późnymi powrotami.

— Nie ma problemu, panie Kacprze. Gienek, podaj ciastka.

Siedzieliśmy w kuchni i piliśmy herbatę, zagryzając herbatnikami. Czułem się jak podczas wizyty u gościnniej ciotki. Atmosfera była tak rodzinna, że zapomniałem na moment o swojej fatalnej reputacji. Czar przysł dopiero w momencie, w którym zorientowałem się, że już późno.

— Miałem odstawić je przed dziewiętnastą...

— Dzieci, idźcie umyć ręce.

Zniknęły posłusznie — tupiąca Ola i Adaś na sztywnych nogach. Patrzyłem za nimi z uśmiechem aż do momentu, w którym poczułem na przedramieniu żelazny uścisk palców. Gabaryty nie kłamały — pani Janina miała krzepę. Tymi rękami mogłaby łamać podkowy.

— Tylko, panie Kacprze... — Popatrzyła mi w oczy. Już nie przypominała przyjaznej ciotki. — Ja wiem, że tu nie ma co ukraść, ale mimo wszystko... Niech się pan pilnuje, bo jak nie... — Ścisnęła mnie jeszcze mocniej. Czułem, jak pod rękawem swetra formuje mi się siniak. — Rozumiemy się?

Pokiwałem głową. Reputacja podążała za mną jak cień. Miałem nadzieję, że kiedyś się od niej uwolnię.

Gdy byliśmy małżeństwem i mieszkaliśmy w blokach nieopodal centrum miasta, Ewka zawsze marzyła o domku. Teraz marzenia wreszcie się spełniły. Jej upragniony dom znajdował się jednak na obrzeżach, dobre trzy kilometry od szkoły. W połowie drogi Ola oznajmiła, że bolą ją nóżki. Gdy posadziłem

ją sobie na plecach, natychmiast odzyskała humor. Śpiewała głośno piosenkę o klaksonie, umilając nam monotonną podróż wzdłuż głównej ulicy.

Przy Żabce skręciliśmy w prawo. Byłem tu kilkakrotnie, ale nie zdążyłem się przyzwyczać do tutejszych przeciągów. Za linią zabudowy rozciągały się pola. Jesienią i zimą prawie zawsze wiał tu zimny wiatr. Nic dziwnego, że dzieci tak często były przeziębione.

— Tutaj przychodzę na rehabilitację — poinformował mnie Adaś z wysokości swojego wózka.

Wózek był nowoczesny, ale Ewa zepsuła regulację rączki, przez co całą drogę musiałem się garbić. Z przyjemnością skorzystałem z pretekstu, by się zatrzymać. Wiedziałem, że Adaś ćwiczył w tym miejscu trzy razy w tygodniu. Czyli tyle samo, co w klubie, z fizjoterapeutą. Wolne miał jedynie niedziele.

— Jest ciężko, co? — spytałem, muskając palcami jego głowę.

Z radością odnotowałem, że tym razem nie zrobił uniku.

— Nie tak bardzo — zapewnił. — Trochę boli, ale można się przyzwyczać.

Obok nas zatrzymał się samochód. Czarne audi, jeden z najnowocześniejszych modeli. Gdy kierowca opuścił szybę, postawiłem Ołę na ziemi. Nie była tym zachwycona, ale to był mój najmniejszy problem.

— Cześć, Kacperku.

Facet w audi miał na imię Roman. Graliśmy kiedyś w piłkę, ale nie byliśmy kolegami. Na boisku był ostro grającym obrońcą. Słyszałem, że poza nim też lubił ostrą grę.

Podąłem mu rękę. Najchętniej powiedziałbym mu, że się spieszę, ale domyślałem się, że nie zatrzymał się obok mnie po to, by pogawędzić. Miałem nadzieję, że nie umknęło mu, iż jestem z dziećmi.

— Nie wiesz, co słychać u Zbycha?

Zbychu też grał z nami w drużynie. Nie miałem z nim kontaktu od kilku lat.

— Chyba się ożenił — burknąłem, nie wiedząc, dlaczego zawraca mi głowę jakimś Zbychem.

— To już dawno. Ostatnio podobno zniknął. Zastanawiam się, czy go

widziałeś.

— Nie widziałem. Jak to zniknął?

W świetle latarni, pod którą staliśmy, jego wychylona przez okno twarz wydawała się pomarańczowa. Takie też były jego zęby, które odsłonił w wilczym uśmiechu.

— Podobno nie oddał na czas pieniędzy, które pożyczył. To nierozsądne, nie uważasz?

— Ja mam czas do jutra — odparłem przerażony, że pomyliłem daty.

Na działce u Konrada nie było kalendarza.

— Nie no, spoko. Do jutra. Tak tylko przypominam.

Roześmiał się, a potem ruszył z piskiem opon, obryzgując nas błotem. W oczach Oli zalśniły łzy.

— Nie wolno tak szybko jeździć. Prawda, tatusiu?

Wsadziłem ją sobie na plecy.

— Ten pan może. On łapie takich, którzy łamią przepisy — powiedziałem i zerknąłem na Adasia, który nie był aż tak naiwny. — Jest policjantem — dodałem, bo chociaż Roman był kimś z drugiej strony barykady, nie chciałem, by się bali. — Pod waszym domem stoi dużo samochodów...

— To klienci — zaszczębiotała Ola. — Tata Tomek mówi, że zawsze czekają, aż jest już za późno.

Tata Tomek, czyli Tomek Mendyk, obecny partner mojej Ewki, był właścicielem warsztatu oponiarskiego. Warsztat zajmował jedno ze skrzydeł ich nowego domu. Ewka udawała, że jej to nie przeszkadza, ale dawno temu, gdy byliśmy jeszcze szczęśliwym małżeństwem i kiedy opowiadała mi o swoim wymarzonym domku, w jej planach nie było miejsca dla warsztatu, trzech pracowników i sznurka klientów. Obiektywnie trzeba było jednak przyznać, że Tomek umiał oddzielić pracę od życia rodzinnego. Dom zaprojektowano w taki sposób, że mieszkańcy nie mieli kontaktu z warsztatem i jego otoczką. Nawet zadbane ogród był odgradzony wysokim murem, zza

którego nie było widać wybetonowanego placyku z wieżami czekających na utylizację opon.

— Wejdiesz, tato? Pokażę ci ten model, o którym ci mówiłem...

— Wejdę tylko na chwilę, do mamy — odparłem, starając się nie dostrzegać rozczarowania, które rozlało mu się na twarzy. — Ale jutro odbiorę cię ze szkoły — dodałem. Adaś trochę się rozchmurzył. — Powstrzymajcie tego waszego brytana, bo mnie rozszarpie.

Przeszliśmy przez ogród. Gdy tylko otworzyłem drzwi, wyskoczył z za nich jazgotliwy york wielkości wyrosniętego szczura. Gdy chciałem go pogłaskać, kłapnął zębami. Nie lubił, gdy odwiedzałem dzieci. Chyba chciał je mieć na wyłączność.

Ewa wciąż miała na sobie kostium, który wkładała do pracy. Spodnie z kantem i koszulę. Traktowała swą pracę w domu kultury bardzo serio. Rzadko nosiła dzinsy.

— Późno jesteście — stwierdziła.

Oboje nie zrobiliśmy żadnego ruchu, żeby się pocałować. Etap przyjacielskich stosunków między eksmałżonkami wciąż był przed nami.

— Ty chyba też.

— Ta wariatka zupełnie zbzikowała. Wszyscy zaszczepieni, a ona zarządza sobie pracę zmianową. I na dodatek sama bierze poranki.

Była zła i zmęczona. W przeciwnym wypadku nigdy nie użyłaby takich słów. Nie lubiła swej szefowej, ale prawie nigdy tego nie okazywała.

— Spotkałem ją dzisiaj.

— Kogo? Rogalską? — Popatrzyła na mnie z zainteresowaniem. Miała zaczerwienione spojówki. — I co?

Spojrzałem na schody, na których zniknęły dzieci.

— Zmieszała mnie z błotem.

Rozmawialiśmy w przedsionku. Było stąd widać salon z rozpalonym kominkiem i fragment jadalni, z częściowo nakrytym stołem. Nie chciałem



przeszkadzać, zwłaszcza że Ewa nie zrobiła żadnego gestu, który miałby mnie zachęcić do pozostania. Przeciwnie, stała mi na drodze.

— Odbierzesz ich jutro?

— No pewnie. Jutro też idziesz na popołudnie?

— Do końca tygodnia — warknęła i szybkim ruchem wcisnęła mi kopertę.

— Trzymaj. Wystarczy?

Czując się bardzo niezręcznie, zajrzałem do środka i przeliczyłem pieniądze. Dwa tysiące. Pożyczka, którą miałem oddać za kilka dni, ze środków z pierwszej pensji.

— Dzięki — rzuciłem, a potem, słysząc kroki, wepchnąłem kopertę do kieszeni.

— Spokojnie. — Ewka objęła swojego partnera, a on musnął ustami jej włosy. — Tomek wie, że ci pożyczam. Nie mamy przed sobą tajemnic.

Wyglądali jak wycięci z ulotki reklamującej usługi portalu randkowego dla trzydziestolatków. Tomek — wysoki i szeroki w barach, o przystojnej, męskiej twarzy i falujących włosach. I Ewa — typowa dziewczyna z sąsiedztwa, o naturalnej, nieposągowej urodzie i figlarnym uśmiechu, gwarantującym brak nudy i w życiu, i w sypialni. Do idyllicznego obrazka pasowały nawet ślady smaru na dłoniach modela — w końcu jaka męska aktywność była seksowniejsza od majstrowania przy samochodzie?

— To miło, że nie masz nic przeciwko temu. Oddam wszystko za kilka dni.

— Spokojnie.

Był porządnym facetem. Trochę sztywniakiem, ale uczciwym i sympatycznym. Podobno nie dorastałem mu do pięt. Tak w każdym razie uważali rodzice Ewy — jej ojciec nie omieszkał mnie o tym poinformować.

— Naprawdę to doceniam.

— Nie ma sprawy. Powiedziałem Ewie, że jak zgodzi się za mnie wyjść, wezmę ją z dobrodziejstwem inwentarza.

Obaj się zaśmialiśmy. Tylko Ewa pozostała poważna. Zawsze czuła się

niezręcznie, gdy ucinaliśmy sobie pogawędkę. Pewnie sądziła, że powinniśmy na siebie warczeć.

— Jest jeszcze jedna sprawa — mówiłem szybko, bo nie chciałem, by wystygła im kolacja. — Adaś wspomniał o kolegach, którzy dokuczają mu w szkole.

— Skarżył się?

— Raczej stwierdzał fakt. Wiem, że macie dużo pracy. Czy mógłbym się tym zająć?

Mówiłem do Ewy, ale ona w towarzystwie Tomka stawała się dziwnie milcząca. Gdy była ze mną, nie dopuszczała mnie do głosu.

— Ja się tym zajmę. — Tomek uderzył pięścią o pięść.

Był silnym mężczyzną. Na początku naszej znajomości, gdy miałem do niego pretensje, że uwiódł mi żonę, przekonałem się o tej jego sile na własnej skórze. Podbił mi oko.

— Super. Tylko myślę, że to jest dość pilne...

— Urwę się na godzinę z pracy. Jutro. Najpóźniej pojutrze. Nie wiem, kim trzeba być, żeby naśmiewać się z kaleki. Utnę sobie pogawędkę z dziećmi, a potem złożę wizyty rodzicom. Nie musisz się martwić. Wstąpisz na zapiekankę?

— Nie, dzięki.

— Na pewno? Zamierzam otworzyć do niej piwo.

Taki właśnie był Tomek. Towarzyski, gościnny i uprzejmy, a jednocześnie — kiedy było trzeba — twardy i godny zaufania. A przy tym bezpretensjonalny. Chociaż stać go było na najlepsze wina, do kolacji wypijał butelkę okocimia. Żegnając go, zastanawiałem się, czy kiedykolwiek będę w stanie go polubić. Bo prawda była taka, że pomimo tych wszystkich zalet szczerze go nienawidziłem. I to wcale nie z powodu Ewki, tylko z powodu tego, co stało się tego straszego wieczoru, w czerwcu ubiegłego roku.

Tamtego wieczoru, który zmienił wszystko, to on był kierowcą. To on wypadł z drogi i owinął się wokół drzewa. Z samochodu zostały drzazgi, a on

wyszedł bez szwanku. Czego nie można było powiedzieć o pasażerze z tylnego siedzenia.

To przez niego mój mały, bezbronny synek najpierw tygodniami walczył o życie w szpitalu, a potem wylądował na wózku.

Działdowo nie jest dużym miastem, ale dom moich rodziców znajdował się dokładnie na przeciwnym krańcu, więc zanim tam dotarłem, zrobiła się dziewiąta. Drugą połowę drogi przejechałem na rowerze, który czekał na mnie cierpliwie pod opustoszałym gmachem przedszkola. Pęd powietrza sprawił, że przemarzłem do kości.

Nie byłem dobrym synem, a oni — w okresie próby — okazali się średnimi rodzicami. Nie mieliśmy za bardzo o czym rozmawiać, ale matka przydybała mnie już przy furtce.

— Wróciłeś? — Ni to spytała, ni stwierdziła, okazując przy tym wyraźną niechęć. — Mogłeś nas uprzedzić. Pokój nad garażem jest nieogrzany. Nie będziemy z ojcem wydawać majątku, czekając, aż raczysz się pojawić.

Też była nauczycielką, ale w przeciwieństwie do mnie nie uczyła WF-u, tylko polskiego. Ojciec pracował z kolei w starostwie, jako urzędnik niższego szczebla. Oboje już dawno pogodzili się z tym, że w moim wypadku ich trud wychowawczy poszedł na marne. Swe uczucia rodzicielskie przelali na siostrę, i wcale ich za to nie winiłem. Nie miałem też żalu o to, że w chwili rozpadu mojego małżeństwa trzymali stronę Ewki. Ani o to, że nigdy nie dostałem od nich ani grosza. Byłem im w stanie wybaczyć również chłodne przyjęcie po powrocie z platformy wiertniczej i uwagi, że przeze mnie wstydzą się wychodzić na ulicę.

Nie umiałem im darować tego, jak potraktowali moje dzieci. Gdy wyjechałem, nie spotkali się z nimi ani razu. Niechęć, którą czuli do mnie, przelali na wnuki. W moim odczuciu było to niewybaczalne.

— Gdzie się podziewałeś?

Szła za mną krok w krok, z dworu do wnętrza i wreszcie — do mojego

dawnego pokoju, który nazywali pokojem nad garażem. Nie miałem stąd wielu miłych wspomnień.

— Mamo, jakby ktoś o mnie pytał, to mieszkam teraz przy Curie-Skłodowskiej — podałem jej dokładny adres, ale go nie zapisała.

— Skłodowskiej-Curie — poprawiła mnie pedantycznie. — Przeprowadzasz się do tej panienki?

Po rozwodzie spotykałem się z trzema czy czterema dziewczynami. Nie wiedziałem, którą z nich ma na myśli. Żaden z tych związków nie przetrwał dłużej niż kilka tygodni, nie mówiąc już o próbie, którą było moje krótkotrwałe osadzenie w więzieniu.

— Resztę możecie wywalić — powiedziałem, wrzucając do sportowej torby kilka ubrań, które leżały w szafach od czasów, gdy jeszcze tu mieszkalem, czyli od ponad dziesięciu lat.

Nie chciałem, by zabrzmiało to dramatycznie, ale chyba tak to odebrała.

— Wrócisz. Zawsze wracasz. Zaczekaj.

Zeszła do kuchni. Gdy wkładałem buty, wcisnęła mi do ręki siatkę z wałówką. Przez hol przeszedł ojciec, ale udał, że mnie nie widzi. Po ostatniej wymianie zdań obraził się na mnie na śmierć i życie.

— Cześć, mamo.

Cmoknąłem ją w policzek. Westchnęła, a potem wspięła się na palce i gestem, który tak dobrze znałem, zmierzwiła mi włosy. Chwilę później pedałowalem już w stronę centrum, zastanawiając się, czy tym razem sobie poradzę. Dotąd zawsze wracałem z podkulonym ogonem, ale czasy się zmieniają. Teraz miałem wreszcie jasny cel. Dzieci.

Zamyślony zobaczyłem ją dopiero wtedy, gdy oparłem rower o barierkę — przy wejściu do kamienicy, która miała stać się moim nowym domem. Wśród migoczących zniczy wyglądała jak zjawa z niskobudżetowego horroru, a takie są przecież najbardziej przerażające. Wstrzymałem oddech, obserwując każdy jej ruch. Była kobietą, co do tego nie miałem wątpliwości. Jej włosy, pieszczone wiatrem, przypominały czarną woalkę.

Uważając, by nie trafić nogą w jedną z marznących kałuż, które uczyniły z podwórka pole minowe, ruszyłem w kierunku zjawy, która z każdym moim krokiem stawała się coraz mniej wyraźna. Ubywało światła — zjawa podnosiła kolejne znicze, dmuchała w knoty, a potem wrzucała skorupy do solidnej torby. Musiała się oparzyć gorącym woskiem, bo w pewnym momencie cicho zaklęła. Byłem dostatecznie blisko, by rozpoznać słowa. Zjawa była bardzo wulgarna.

— Co pani wyprawia?!

Moje pytanie wywołało ciąg zdarzeń, których wolałbym uniknąć. Torba ze zniczami upadła z głośnym brzękiem, jeden z wprawionych w ruch zniczy potoczył mi się pod nogi, chlapiąc mi buty stearyną, a kobieta straciła równowagę i z cichym okrzykiem usiadła w kałuży. Odruchowo ruszyłem w jej stronę, by pomóc jej wstać. Nie zdążyłem. Coś syknęło, a po sekundzie poczułem taki ból, jakby ktoś wlał mi do oczu stężony rozpuszczalnik.

— Zostaw mnie.

Przez chwilę miałem wrażenie, że gaz, którym mnie potraktowała, poraził także struny głosowe, ale potem dotarło do mnie, że autorką tych słów była ona.

— Możesz być tego pewna. Nie zbliżę się do ciebie na mniej niż kilometr.

Obojętny na chłód i wszystko, co nie wiązało się z bólem podrażnionych oczu, usiadłem w błocie. Zamiast płomyków zniczy widziałem jedynie pomarańczowe plamy.

— Pan mnie zaatakował.

Głos z pewnością nie należał do matrony. Miałem do czynienia z młodą kobietą, a może nawet nastolatką.

— Tak. Ale wygrałaś. Możesz jeszcze połamać mi palce.

Od tego momentu przesadny niepokój, który okazywała, nagle się ulotnił.

— Trafiłam pana? To nie jest groźny gaz. Ojciec woził go ze sobą na rowerze. Dla ochrony przed bezpańskimi psami.

— Z tatusia, jak widzę, miłośnik zwierząt. Proszę go pozdrowić.

Nie odpowiedziała. Miałem wrażenie, że sobie poszła. Potarłem twarz, ale wcale nie zrobiło mi się lepiej. A co więcej, chyba straciłem wzrok, bo pomarańczowe plamy pociemniały. Po chwili poczułem, że po twarzy cieknie mi woda.

— Niech pan się nie rusza. Próbuję wypłukać to świństwo.

Zastygłem zrezygnowany. Nie sądziłem, że to coś pomoże, lecz, o dziwo, zrobiło mi się lepiej. Ból przeszedł w szczypanie. Przetarłem oczy i próbowałem je otworzyć. Znicze zgasły, ale wyraźnie widziałem światło latarki.

— Niech pan tak nie trze.

— Bardzo jesteś nerwowa — burknąłem. — Żeby tak od razu gazem po oczach...

— Bo pan się skradał. — Znów połała mi twarz. Miałem nadzieję, że nie czerpie wody z kałuży. — A tutaj jest tak... strasznie.

— To po co tu przyszedłeś?

— Żeby usunąć te znicze. Już tydzień po pogrzebie. Wystarczy. To nie cmentarz.

Być może miała rację, ja nie miałbym jednak w sobie tyle tupetu, by w tak arbitralny sposób decydować o czyjejs żałobie. Ale czego wymagać od dziewczyny, która tak beztrzesko traktowała bliźnich gazem.

— Ja pana znam. Pan odbierał dzisiaj Olę. Jest pan jej biologicznym tatą.

Przez chwilę nie mogłem uwierzyć w to, co słyszę. Czyżby ta nadwrażliwa wariatka opiekowała się na co dzień moją córeczką?

— Pani jest przedszkolanką? Z grupy... pomarańczowej?

— Tak jest. Miło mi pana poznać... ponownie.

Nie bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć. Uznałem, że najbezpieczniej będzie się uśmiechnąć, ale wyszedł mi chyba płaczliwy grymas.

— Źle się pan czuje? Tak pana boli?

— Nie boli — skłamałem, a potem, by nie siedzieć w milczeniu, zadałem

jedyne pytanie, które w obecnej sytuacji wydało mi się neutralne: — Pani tu mieszka?

Odpowiedź okazała się zaskakująca.

— Nie. Porządkuję mieszkanie po tacie. On nie żyje. To dla niego są te znicze.

Kiedy dotarło do mnie, że stoję — a w istocie siedzę — przed córką zmarłego Jacka Twardygrosza, zrobiło mi się głupio. Uwaga o zwierzętach i pozdrowienia z pewnością były nie na miejscu, ale nie da się cofnąć raz wypowiedzianych słów. Pozostało mi przeprosić, co natychmiast zrobiłem. Wymagała tego kultura, a poza tym nie chciałem się narażać ulubionej ciotce mojej córki. Okazała zrozumienie.

— Jakby ktoś napryśkał mi gazem do oczu, użyłabym znacznie mocniejszych słów niż pan. I nie oszczędziłabym nikogo z rodziny. Może spróbuje pan wstać? Bo w końcu się pan zaziębi.

Wyswobodziłem się z objęć błota. Dopiero kiedy wstałem, zrobiło mi się naprawdę zimno. Do tego stopnia, że zacząłem szczekać zębami.

— Może mnie pani nakierować na drugą klatkę?

— Mieszka pan tutaj?

— Wynajmuję pokój. Od dzisiaj.

Zawahała się, ale tylko na moment.

— Nie mogą zobaczyć pana w takim stanie. Właściciel mieszkania wypowie panu umowę.

Nie sądziłem, by pani Janina, a już tym bardziej pan Gienek, mieli coś przeciwko zabrudzonym spodniom i spuchniętym oczom, ale nie polemizowałem. Głównie dlatego, że byłem na jej łasce i niełasce. Zamierzałem ją poprosić, by zaprowadziła mnie do najbliższej studzienki kanalizacyjnej i pozwoliła zanurkować, ale zanim otworzyłem usta, nieoczekiwanie chwyciła mnie za ramię.

— Osuszy się pan u mnie... To znaczy u mojego taty. Po tym wszystkim

zasłużył pan na gorącą kawę.

Po mojemu był to duży przeskok — od pani „spryskam cię gazem” do pani „chodź ze mną i zobaczymy, co z tego wyniknie”. Ale nie zamierzałem protestować. Było mi naprawdę wszystko jedno. Poprosiłem tylko, żebyśmy po drodze zabrali torbę, którą zostawiłem przy rowerze. Niecałą minutę później weszliśmy do mieszkania, a po kolejnej minucie stałem pod cudownie gorącym prysznicem, zmywając z siebie błoto, brud i — bardzo chciałem w to wierzyć — resztki gazu.

Zostawiła mi ręcznik, ale użyłem swojego, a potem wbiłem się w stare dresy i bluzę z kapturem pamiętającą czasy, gdy takie bluzy były szczytem mody. Moje dotychczasowe ubranie wymagało uprania, nie byłem jednak aż tak bezczelny, by wpakować je do otwartej pralki. Wnętrze pomieszczenia wciąż nosiło wyraźne ślady nieżyjącego właściciela. Przy lustrze stał pędzelek do golenia, a w kubku — bardzo zużyta szczoteczka do zębów. Rozwiesiłem swój ręcznik na ciepłym grzejniku, a potem, wciąż przecierając oczy, stanąłem przed lustrem. Moje włosy sterczały jak włosie szczotki do kibla, oczy miałem czerwone niczym królik albinos, ale poza tym było nieźle. Wyszedłem z tej przygody bez trwałych urazów.

— Wszystko w porządku?

Zapewniłem ją przez drzwi, że tak, po czym jeszcze raz splukałem po sobie kabinę prysznica. Przedszkolanka czekała w przedpokoju z wielce zaaferowaną miną.

— Przepraszam za bałagan — powiedziała, ruchem głowy wskazując na łazienkę. Była wysoka, prawie taka jak ja. I jeśli wzrok nie płatał mi figli, to młodsza ode mnie przynajmniej o pięć lat.

— Nie było tak źle — zapewniłem ją, wspominając, jaki kolor miała woda, która zebrała się w brodziku prysznica po kontakcie z moim ciałem. Miałem nadzieję, że udało mi się usunąć wszystkie zacieki. — Czy mogę do pani mówić „ciociu”?

Na moment odsłoniła w uśmiechu duże zęby.



— Jestem Manuela.

— Oryginalnie. A ja Kacper. — Uścisnęliśmy sobie dłonie. Sprawiała wrażenie trochę speszzonej, ale miałem to gdzieś. Marzyłem tylko o guzowatym tapczanie w moim obskurnym pokoju. — Miło cię poznać. Będziemy się teraz często widywać, ale tymczasem...

Chciałem się odmeldować, lecz wtedy z kuchni dobiegł mnie aromat świeżo parzonej kawy. Na co dzień nie należę do amatorów małej czarnej, ale tamtej nocy poczułem, że potrzebuję czegoś ciepłego. Gdy wprowadziła mnie do pokoju, ujrzałem na stole pokrojone ciasto. Ochota, by zniknąć, wyparowała. I to w mgnieniu oka.

— To twój ojciec? — spytałem, gdy wróciła z filiżankami.

Nie żeby mnie to interesowało. Po prostu nie chciałem wyjść na gburę. Z oprawionego w ramki zdjęcia w rogu pokoju patrzył ponury młodzian w okularach. Wskazałem go łyżeczką, ale Manuela nawet tam nie spojrzała.

— To mój dziadek. W mojej rodzinie wprost roi się od kolejarzy. To cud, że nie poszłam w ich ślady. Czy wiesz, że budynek, w którym jesteśmy, został wzniesiony dla pracowników kolei?

— Pierwsze słyszę — skłamałem. — Twój ojciec odziedziczył mieszkanie po dziadku?

Zacząła opowiadać o dziadku. Historia jego zatrudnienia w PKP nie wydała mi się aż tak zajmująca, by śledzić każde zdanie. Leniwie rozglądałem się po mieszkaniu. Mój wzrok zatrzymał się na oprawionym w ramy wizerunku garbatego karła. Był odrażający. Nigdy nie rozumiałem takiej sztuki. Obok okropnego wizerunku na ścianie wisiały dwie lśniące szable, a obok nich kolekcja niebiesko-białych talerzy. O wnętrzu można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że było bezosobowe. Kolejnym akcentem, który przykuwał uwagę, były gazety. Pliki starych, pożółkłych gazet, porzucane na biurku, na szafkach, a nawet na stole. Zerknąłem na jeden z tytułów, ale druk był zbyt drobny — przynajmniej jak na moje dzisiejsze możliwości. Potarłem oczy. Wywołany łzawieniem dyskomfort stawał się coraz większy.

— Tu jest za jasno — stwierdziłem w pewnym momencie, porażony słusnością tego spostrzeżenia. Pokój rozświetlały wszystkie możliwe lampki, a oprócz nich — dziewięcioramienny żyrandol. — Mniejsza o moje oczy, ale, dziewczyno... Zbankrutujesz.

Przerwała opowieść o dziadku. Moja uwaga musiała ją rozzłościć, bo jej policzki pokryły się szkarłatem. Tak przynajmniej pomyślałem, szybko jednak wyprowadziła mnie z błędu:

— Światło daje mi poczucie bezpieczeństwa. Bez niego... — zająknęła się z zażenowania. — Bez niego czuję się trochę... niekomfortowo.

Te słowa bardzo mnie ucieszyły. Jakoś nieprzyjemnie było mi myśleć o niej jak o wariatce, która bez powodu pryska gazem. Okazało się, że jej zachowanie wcale nie było nieracjonalne. Jeśli bała się ciemności, to gasząc te znicze w mrocznym zaułku podwórka, musiała umierać ze strachu.

— Nie martw się — powiedziałem, myśląc o Ewce. Moja była żona też miała swą piętę Achillesa. Nie znosiła zostawać sama na noc. — To się zdarza. Częściej niż myślisz.

Manuela pokręciła głową. Teraz naprawdę wyglądała na rozgniewaną.

— To nie tak. Ja nie boję się bez powodu. Chyba słyszałeś, co przydarzyło się mojemu ojcu?

Nawalona jak szpadel Helena nie stanowiła wiarygodnego źródła. Jej opowieść była chaotyczna, no i nie zawierała informacji o motywie.

— Wiem tylko, że jakiś pieprzony psychol rozbił mu głowę w pociągu.

— A czy wiesz, że mój tata nie był pierwszą osobą, która tak zginęła?

Helena wspominała mi, że praca, którą mi załatwiła, bywa niebezpieczna, ale sądziłem, że chodzi jej o awanturujących się pasażerów na gapę. Wiadomość, że na linii Warszawa–Działdowo grasuje świr-zabójca rozbijający bliźnim czaszki, przyjąłem z niedowierzaniem. Gdy jednak Manuela pokazała mi w telefonie artykuły, w których opisano dwa kolejne, bardzo podobne zgony, uwierzyłem. I zrobiło mi się trochę niedobrze.

— Zapal więcej światła — poprosiłem, kryjąc pod maską kiepskiego

humoru swe prawdziwe odczucia.

— To nie wszystko. — Dziewczyna wstała i podeszła do biurka. Gdy szukała czegoś wśród starych gazet, ja z fascynacją przyglądałem się odbiciu własnej twarzy w drzwiach balkonu. Wyglądałem nawet gorzej od garbatego karła. Niczym upiór. — Popatrz, tutaj są wydruki. Każda najmniejsza wzmianka. A nawet komentarze z forum.

Położyła przede mną gruby plik papierów. Ze zdziwieniem skonstatowałem, że patrzę na przedziwne dossier. Zbiór artykułów i wzmianek o śmiertelnych wypadkach na kolei. Wszystkie wydrukowane teksty dotyczyły zdarzeń z ostatniego roku. Większość papierów poświęcona była dwóm tragediom, o których usłyszałem przed chwilą: zwłokom znalezionym w pociągu relacji Działdowo–Warszawa oraz truposzowi ze stacji w Pomiechówku.

— To było tutaj.

Czytanie tych wydruków było ponad moje siły. Tu nie mogłem, tak jak w telefonie, powiększyć tekstu. Po raz enty przetarłem oczy, ale wcale nie zacząłem widzieć lepiej.

— Kacper, słyszysz? To wszystko znajdowało się tutaj. W mieszkaniu.

— Tak, słyszę — odparłem, odwracając głowę w stronę biurka.

Nie rozumiałem powodów, dla których powtarzała tę informację. I czemu robiła to z takim naciskiem. Aż do jej kolejnych słów.

— Znalazłam wydruki po jego śmierci. I dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że mój ojciec w ostatnich tygodniach przed śmiercią często wspominał o tych zabójstwach. Wtedy się temu nie dziwiłam, bo przecież do morderstw doszło w pewnym sensie w jego miejscu pracy. Ale kiedy zobaczyłam te papiery, zrozumiałam, że to nie było zwykłe zainteresowanie. Mój ojciec dostał obsesji.

Upiłem łyk kawy. Już nie smakowała mi tak, jak na początku. Chętniej łyknąłbym coś mocniejszego.

— Twój ojciec został zamordowany, bo za bardzo się interesował?

— Nie wiem. — Miała zielone oczy, ale ich wyraz był inny niż wcześniej.

W przedszkolu patrzyły łagodnie, a gdy wyszedłem spod prysznic, iskrzyły humorem. Teraz czaił się w nich strach. — Im więcej o tym myślę, tym bardziej dochodzę do wniosku, że zginął, bo... dotarł zbyt blisko prawdy.

— Dziewczyno, mów do mnie po ludzku!

Ta myśl musiała siedzieć w niej od dawna, a mimo to miała problem z jej właściwym sformułowaniem. Do tej chwili to ja miałem kłopoty ze łzami. Teraz walczyła z nimi także ona.

— Przepraszam, że zawracam ci głowę...

— Mów!

Nabrała powietrza.

— Myślę, że tata wiedział, kto to zrobił. Wiedział... Albo przynajmniej się domyślał.

Nie wierzyłem własnym uszom. To, co miało być jedynie leniwą kawą, niespodziewanie stało się doznaniem, które wywoływało dreszcze.

— I okazało się, że miał rację. — Wstałem tak szybko, że zakręciło mi się w głowie. — Cholera jasna. Czy mówiłaś o tym policji?

Łzy popłynęły ciurkiem, zupełnie jakby ktoś odkręcił kran.

— Znalazłam te papiery już po przesłuchaniu. Ciągłe się zbieram, żeby im to zanieść, ale nie mogę... Tata... On też nie poszedł na policję.

Litościwie nie wspomniałem, jak to się dla niego skończyło. Nie chciałem jej jeszcze bardziej nakręcać. I bez tego trzęsa się jak galareta. A ja... razem z nią, choć próbowałem tego nie okazywać.

— Policja prawdopodobnie o wszystkim już wie. Dziwię się tylko, że nie zadawali ci pytań.

— Myślisz, że wiedzą?

Poczekaj, aż wydmucha nos.

— Przeszukanie mieszkania ofiary zabójstwa musi być rutynową procedurą. Nie mogli o tym zapomnieć...

— Nie zapomnieli. Sama ich wpuściłam. Tylko że tych papierzysk tutaj nie było. Znalazłam je w skrytce, w piwnicy, kiedy już sobie poszli. — Wciąż

pociągając nosem, podeszła do kredensu i wyciągnęła z niego butelkę czystej wódki. — Jakoś nie wpadłam na to, by zajrzeć tam wcześniej. Skąd miałam wiedzieć, że schował tam coś ważnego?

Wskazała na butelkę i popatrzyła na mnie pytająco. Z roztargnieniem pokiwałam głową. To, że Jacek Twardygrosz ukrył papiery w miejscu, w którym trudno było je odnaleźć, było zastanawiające. Czyżby rzeczywiście był na tropie czegoś wstrętnego?

Czekałam, aż Manuela przyniesie kieliszki, ale była zbyt roztrzęsiona, by zawracać sobie głowę takimi drobiazgami. Odkręciła nakrętkę i przez chwilę patrzyła na butelkę w taki sposób, jakby miała ochotę napić się z gwinta. Odniosłam wrażenie, że powstrzymała ją od tego jedynie obecność dozownika.

— Mój przyjaciel jest naczelnikiem wydziału kryminalnego — zacząłem. Precyzyjnie rzecz ujmując, Konrad był zastępcą, ale to nie miało znaczenia. — Jutro pójdziemy do niego razem i wszystko mu opowiesz. Zatajanie takich informacji, w obliczu tego, co się stało... No wiesz, nie jest fajne. Ani mądre.

Pokiwała głową, a potem wreszcie poszła do kuchni. Gdy wróciła, zamiast kieliszków niosła w ręku szklanekę, pod pachą trzymając butelkę coli. Przestała się mazać. Na zaczerwienionej od płaczu twarzy malowało się teraz wyłącznie skupienie.

— Pewnie tego nie wiesz, ale mój ojciec był jednym z tych, którzy znaleźli tego faceta... Tego, który zginął w pociągu. Gdzieś między Mławą a Ciechanowem. Cholernie to nim wstrząsnęło. Przez kilka dni prawie nie spał.

— Skąd wiesz? Przecież tu nie mieszkasz...

— Mieszkam w Działdowie, a to małe miasto. Odwiedzałam go przynajmniej dwa razy w tygodniu. Przecież to mój ojciec.

— No tak — chrząknąłem. Nie była tak wyrodnym dzieckiem, jak ja. — Gadaliście o tym, kto to mógł zrobić?

W spojrzeniu, które mi posłała, dostrzegłem dezaprobatę. Fakt faktem, moje

pytanie nie należało do najmądrzejszych.

— Myślisz, że gdyby coś mi powiedział, pozwoliłabym mu zachować to dla siebie? Problem tkwi w tym, że on do samego końca traktował mnie jak dzieciaka, którego trzeba chronić. Mówił o tych zabójstwach jak o czymś abstrakcyjnym. Jak o fabule serialu na Netfliksie. Najpierw nie zwracałam na to większej uwagi, a potem, kiedy zginął... Wtedy w ogóle nie myślałam. Nie miałam siły. Starłam się po prostu przetrwać. Tknęło mnie dopiero wtedy, kiedy znalazłam w skrytce te wydruki artykułów z Internetu. A obok nich te stare czasopisma... — Sięgnęła na stół po plik pożółkłych gazet. — Spójrz, to same lokalne tytuły.

Uwierzyłem jej na słowo. Mój wzrok skupiony był na szklance i butelce, o których chyba zapomniała. Ale nie dała za wygraną. Podetknęła mi jedną z gazet. Pod sam nos, tak że nawet przez łzy dostrzegłem, że to egzemplarz „Echa Działdowa”. Z 1993 roku.

— Skąd to wziął?

— Chyba z archiwum miejskiego, no bo skąd? „Echo Działdowa”, „Wiadomości Działdowskie”... Te gazety już od dawna nie istnieją. Kiedyś podobno były popularne, ale ja tego nie pamiętam.

— Ja pamiętam. — Przełamałem nieśmiałość i nalałem sobie trochę wódki. Była ciepła i tak ostra w smaku, że szybko zagryzłem ją szarlotką. — Moi rodzice prenumerowali „Echo”. Ale potem chyba rzeczywiście padło.

— Te wszystkie gazety też wyjęłam ze skrytki — powtórzyła. — W pierwszej chwili pomyślałam, że mój ojciec znalazł sobie kolejne, trochę ekscentryczne hobby. Ma już kolekcję starych odznaczeń, kiedyś kleił modele samolotów, zbierał fajans wrocławski... — Wskazała na wiszące pod sufitem talerze. — Sądziłam, że pod wpływem zwłok, na które się natknął, zainteresował się podobnymi przypadkami z przeszłości. Ale jeśli chciałoby ci się przejrzeć te gazety, zobaczyłbyś numery tylko z jednego roku.

Wyteńczyłem wzrok. Na szczęście daty wydrukowano dużą czcionką.

— Z dziewięćdziesiątego trzeciego?

— Tak jest. Sprzed dwudziestu ośmiu lat. Jesteś z Działdowa, prawda? W takim razie chyba wiesz już, czym... a raczej kim zainteresował się mój tata, co?

Nie chciałem wyjść na głupiego, ale nie miałem pojęcia. Dwadzieścia osiem lat temu dopiero gubiłem pieluchy. Usiłowałem wydobyć z pamięci najważniejsze momenty z historii miasta, szło mi jednak opornie. Na szkolnych akademiach najczęściej przysypiałem. Starłem się znaleźć odpowiedź na jej pytanie w pożółkłym czasopiśmie, lecz już po jednym zdaniu literki zaczęły mi tak skakać przed oczami, że poczułem się, jakbym patrzył w mrowisko.

— Nie mam pojęcia. Ktoś wtedy zginął?

— A mówi ci coś nazwisko Arkanowicz?

To było popularne nazwisko, przynajmniej tu, w Działdowie. Byłem pewien, że gdzieś już je słyszałem, ale na pewno nie w dziewięćdziesiątym trzecim. Wtedy mogłem słyszeć co najwyżej głośny płacz mej dopiero co narodzonej siostry.

— Miałem chyba takiego ucznia...

— Dariusz Arkanowicz. Ten zabójca, skazany na dożywocie. Przecież musiałeś o nim słyszeć. Wszyscy o nim słyszeli.

Przyznałem jej rację. Każde miasto ma celebrytę, o którym chciałoby zapomnieć. Dla Działdowa takim celebrytą był Dariusz Arkanowicz, seryjny zabójca. Mimo upływu lat po mieście wciąż krążyły opowieści o jego mrocznych dokonaniach. Z biegiem lat, zgodnie z prawem miejskiej legendy, stawały się coraz barwniejsze.

— To artykuły o Arkanowiczu?

— Zgadza się.

Zebrała całe naręczce gazet i położyła je przede mną, obok butelki. Chyba się nie spodziewała, że będę to teraz czytał?

— Co się z nim stało? Złapali go i dostał czapę?

— Dożywocie — sprostowała. — Potem zmniejszyli mu karę do

dwudziestu pięciu lat.

Nie byłem mistrzem matematycznych łamigłówek, ale ta była akurat banalnie prosta.

— Czyli wyszedł z więzienia... trzy lata temu?!

— Nie wyszedł. Słyszałeś pewnie o ustawie o bestiach?

Zapewniłem ją, że tak. Chyba nie uwierzyła, bo zaczęła mi tłumaczyć, o co w niej chodzi.

— Czyli sprawcy wyjątkowo brutalnych morderstw po odbyciu wyroku kierowani są do ośrodka zamkniętego?

— Tak zwanego ośrodka dla bestii. Tak, wiem, jak to brzmi. Ale takie są fakty.

Jak dla mnie brzmiało to bardzo rozsądnie. Skoro ktoś popełniał najcięższą zbrodnię, nie powinien później powoływać się na prawa człowieka. Być może mój próg wrażliwości sytuował się poniżej średniej, ale było mi z tym dobrze.

— Czyli Arkanowicz siedzi w tym ośrodku?

— Z tego, co wiem, tak. To podobno gdzieś koło Gostynina. Ale nie o tym chciałam mówić. Wiesz, ilu ludzi zabił Arkanowicz?

Wiedziałem, że wielu. Stawiałem na kilkanaście ofiar.

— Siedmiu — mówiła z przejęciem Manuela. — W tych gazetach jest opis każdej ze zbrodni. Modus operandi był taki sam. Arkanowicz wchodził do pustego przedziału, odwracał uwagę ofiary, a potem zabijał ją młotkiem. Niektórych wyrzucał przez okno.

— Był konduktorem, tak?

— Zgadza się. Jeździł po całej północnej Polsce. Od Świnoujścia aż po Olsztyn. To dlatego tak długo nie mogli zidentyfikować sprawcy. Wtedy nie było kamer i imiennych rezerwacji. No ale w końcu się udało. Złapali go i postawili przed sądem w Olsztynie. „Echo Działdowa” relacjonowało każdy dzień procesu. Przyznał się. Do wszystkich siedmiu zabójstw.

Robiło się późno. Już wiedziałem, co chce mi powiedzieć. Postanowiłem to przyspieszyć.



— Sądzisz, że teraz pojawił się świr naśladowca?

— To chyba prawdopodobna koncepcja, prawda? Te ostatnie zabójstwa są bardzo podobne do tych sprzed dwudziestu ośmiu lat. Pociąg, rozbite czaszki... Ojciec też prawdopodobnie szedł tym tropem. Był metodyczny — te fragmenty artykułów, które go interesowały, zaznaczał markerem i karteczkami samoprzylepnymi. Wiesz, co zwróciło moją uwagę? — Popatrzyła na mnie wyczekująco, a nie doczekawszy się odpowiedzi, postanowiła udzielić jej sama: — Najwięcej zaznaczeń znajduje się w artykułach poświęconych dwóm ostatnim zbrodniom Arkanowicza. Szóstej i siódmej. Wydaje mi się, że te dwa ostatnie zabójstwa przebiegły według trochę innego schematu. Ale wiesz, co jest najciekawsze? — Tym razem nie czekała na moją reakcję. — Arkanowicz przyznał się do siedmiu zabójstw, ale był w stanie opisać tylko pięć pierwszych. Jeśli zaś chodzi o dwa ostatnie, to plątał się w zeznaniach. Skład sędziowski specjalnie się nie przyłożył... Nie drążył. Pięć udowodnionych zabójstw w zupełności wystarczało, by zasądzić najwyższy wymiar kary.

Zrobiłem sobie słabego drinka.

— Czego to może dowodzić?

— Autor tych artykułów sugeruje, że Arkanowicz motał się w tych zeznaniach z premedytacją. Jego zdaniem zeznania, których udzielił, nie są spójne.

Klepnęła dłonią w plik starych gazet. Wiedziałem już, że kiedy odzyskam pełnię wzroku, przyjdę, by je przeczytać.

— Twierdzisz, że chciał coś ukryć?

— Ja nic nie twierdzę. To ten dziennikarz. Mój ojciec zaznaczył ten fragment tekstu czerwonym markerem, a na marginesie postawił wykrzyknik. To daje do myślenia, prawda?

— Kogo mógłby kryć Arkanowicz? Swojego pomocnika? A może ucznia?

— Roześmiałem się drwiąco. — Nawet jeśli to prawda, to chyba nie sądzisz, że nagle po dwudziestu ośmiu latach uczeń wrócił, by kontynuować dzieło

mistrza, co? Dwadzieścia osiem lat to szmat czasu, nie uważasz? Nie, to jest niemożliwe... z psychologicznego punktu widzenia.

Trochę zgrywałem mądrałę, bo prawda była taka, że nie miałem pojęcia o psychologii, a seryjnych morderców znałem jedynie z ekranu telewizora. Ale Manuela przyznała mi rację.

— Też tego nie rozumiem. Może ojciec sądził, że były inne zabójstwa... Od dziewięćdziesiątego trzeciego roku do chwili obecnej. Niekoniecznie z użyciem młotka. Drukował przecież wzmianki o potrąceniach. O zawałach serca. O wszystkich nagłych zejściach w pociągach i infrastrukturze kolejowej.

— Tylko za ostatni rok.

Wskazałem na plik, który w przeciwieństwie do innych materiałów nie był poźółkły. Plik, w którym zgromadzono wydruki dotyczące dwóch zabójstw z tego roku. Były tam również materiały dotyczące kilku innych nagłych zgonów. Trzech potrąceń i dwóch zawałów.

— Być może nie zdążył sięgnąć głębiej. Ale ja zdążyłam. Przez ostatnie kilka dni non stop siedzę w Internecie. Nawet w pracy.

Wyobraźnia podsunęła mi obraz mojej małej Oli krztuszącej się klockiem, podczas gdy pani siedzi tyłem, z nosem w telefonie. Wyrzuciłem tę wizję z głowy, koncentrując się na tym, co realne.

— I co, znalazłaś coś, co wskazuje na inne zabójstwa... między dziewięćdziesiątym trzecim a chwilą obecną?

Ta rozmowa może i była realna, ale jednocześnie surrealistyczna.

Pokręciła głową.

— Nic, co przypominałoby robotę Arkanowicza. Żadnych rozbitych czaszek, aż do teraz. Znalazłam natomiast jeszcze coś. Ojciec nigdy mi nie wspominał...

Już wcześniej naląła sobie odrobinę wódki. Teraz wlała ją do ust. Być może wzrok płatał mi figle, ale wydawało mi się, że pozieleniała.

— Mówiłam ci już, że to budynek kolejowy, prawda?

— Owszem.

— Arkanowicz był kolejjarzem i pochodził stąd, z Działdowa. To naturalne, że też tu mieszkał, ale odkąd się o tym dowiedziałam... z jednego z tych artykułów z „Echa”... przychodzę tu znacznie rzadziej. Szybciej sprzątam. I palę wieczorami więcej świateł.

— Arkanowicz mieszkał w tej kamienicy? — upewniłem się, a potem dałem upust swojemu zamięłowaniu do szczegółów. — A w którym mieszkaniu?

Odniosłem wrażenie, że Manuela się wzdrygnęła. Wyglądała tak młodo i bezbronne.

— Na szczęście nie tu, tylko w sąsiedniej klatce — powiedziała, obejmując się ramionami. — Tam, gdzie zostawiłeś rower.

— Serio? — spytałem cichym głosem, czując, jak robi mi się zimno.

— Serio. Zdaje się, że na ostatnim piętrze.

### 3.

Chociaż od niespodziewanej nominacji minął już okrągły tydzień, Ewelina Kasprowicz wciąż nie mogła uwierzyć, że znalazła się tam, gdzie się znalazła. Okna jej nowego gabinetu wychodziły na betonową dżunglę placu Zawiszy, ale — podążając za namową koleżanek — zdążyła już zainstalować we wnętrzu zielony akcent w postaci doniczkowej tui. Reszta wystroju pozostała tu po wieloletnim kierowniku, panu Zygmuncie. Dziewczyny namawiały ją do zastąpienia starych fotografii czymś bardziej reprezentacyjnym, ale ona lubiła zabytkowe parowozy. A poza tym nie miała pewności, czy te żmije jej nie podpuszczają. Od chwili, gdy awansowała, traktowały ją inaczej niż dotychczas. Ich serdeczność na kilometr trąciła fałszem.

Drgnęła, bo dzwonek telefonu był bardzo głośny. Nie zdążyła go wyregulować. Pan Zygmunt ustawił go na maksa. Lata pracy w lokomotywach starego typu nie pozostały bez wpływu na jego słuch.

— Stacja Muzeum, dział naukowo-popularyzatorski — wyrecytowała jednym tchem. Miała wrażenie, że w tle ktoś zachichotał. — To ty, Majka? Co tam się dzieje?

Sekretarka starała się zachować powagę, ale średnio jej to wychodziło.

— Kierowniczo, przyszedł do nas pan... Chciałby uzyskać informacje, które są mu potrzebne do badań genealogicznych.

— Do czego?

— Do badań genealogicznych. Mówiłam mu, że to kiepski adres, ale on nalega...

Urwała i parsknęła śmiechem. Takie zachowanie było do niej niepodobne. W tle rozbrzmiał inny śmiech, tym razem zbiorowy. W sekretariacie musiała zebrać się duża część załogi.

— Czy ten pan jest teraz z wami?

— Nie, skąd. Czeka w korytarzu. Nie wiemy, co z nim zrobić. On jest taki...

Znów się zaśmiała. Ewelina, która jeszcze przed chwilą sądziła, że to ona jest powodem tych chichotów, odetchnęła z ulgą. Nie umiała sobie radzić z koleżankami, które z dnia na dzień stały się jej podwładnymi. I nade wszystko nie chciała, by osoba z zewnątrz — nawet jeśli był nią zbzikowany fan genealogii — uznała jej środowisko pracy za nieprofesjonalne.

— Porozmawiam z nim — zdecydowała, a potem dodała, już mniej oficjalnie: — Dziewczyny, tylko proszę... Nie naróbcie siary.

Znów rozległ się ten pretensjonalny chichot. Ewelina odłożyła słuchawkę. Jej poglądy społeczne ocierały się o radykalny feminizm, ale w takich momentach żałowała, że w jej dziale nie pracuje więcej mężczyzn. Zarządzanie zespołem złożonym prawie z samych pań było trudniejsze, niż mogłoby się wydawać.

— Proszę! — krzyknęła, gdy rozległo się pukanie.

Być może trochę za głośno, ale przecież nie przyjmowała dotąd wielu gości. W drzwiach pojawiła się głowa Majki zwieńczona warkoczykami dredów.

— Pan będzie pił kawę. Ty też, Ewuś?

Ewelina skrzywiła się na tę poufałość, ale z dwojga złego wolała „Ewusię” od „pani kierowniczkii”. To drugie określenie za bardzo kojarzyło się z *Misiem*. „Pani kierowniczo, ja palę cały czas”...

— Tak, taką jak zwykle.

Sekretarka wyszczerzyła jeszcze zęby, a potem otworzyła drzwi i dygnęła tak energicznie, jakby zapraszała do wnętrza przynajmniej księżną Sussexu. Ewelina była przekonana, że do pokoju wkroczy dystyngowany starzec. Gdy ujrzała wreszcie swojego gościa, przez chwilę nie umiała się pozbierać. Na szczęście miała trochę czasu, bo uwaga gościa wciąż skupiała się na sekretarce. Odwzajemnił jej ukłon, a potem uścisnął dłoń.

— Dziękuję za pomoc — powiedział niskim głosem. — I za kawę. Na pewno będzie przepyszna.

Majka zaczerwieniła się jak piwonia, a potem zniknęła bez jednego słowa. Facet miał jakieś trzydzieści lat i był cholernie przystojny, ale to nie był powód, by do tego stopnia tracić głowę. By wdzięczyć się i chichotać. Ewelina zrobiła krok do przodu i wtedy stało się coś dziwnego. Kąciki jej ust zdawały się żyć własnym życiem. Gdy wymieniała swoje nazwisko, podjechały do góry.

— Olgierd Zaniewski. To bardzo miłe, że zgodziła się pani poświęcić mi kilka minut swojego czasu.

Mężczyzna miał na sobie sweter podkreślający muskularność jego sylwetki. Falujące włosy opadały mu na ramiona, a policzki pokryte były gęstym, trzydniowym zarostem. Musiał mieć przynajmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu, ale zbudowany był tak proporcjonalnie, że nie było w nim śladu niezgrabności.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odparła Ewelina. Lubiła mężczyzn pewnych siebie, ale ten był zbyt pewny. Ta pewność pozwalała mu nosić pod konserwatywnym, czarnym swetrem czerwony podkoszulek. Ktoś inny wyglądałby karykaturalnie, a jemu... Jemu świetnie to pasowało. — Proszę mi wybaczyć zdziwienie, ale ludzie nieczęsto szukają u nas materiałów do drzew genealogicznych. Interesują się raczej historią kolejnictwa.

— W moim wypadku jedno wcale nie wyklucza drugiego. Pochodzę z rodziny kolejarzy. I nie zamierzam państwa prosić o pomoc w stworzeniu drzewa, bo to jest już gotowe. Chciałbym tylko uzupełnić swoje informacje.

Mężczyzna niewątpliwie był przystojny, ale miał w sobie coś jeszcze. Coś, co wzbudzało niepokój. Gdy patrzył, oczami zdawał się prześwieć rozmówcę na wylot. Choć Ewelina była w swoim gabinecie, poczuła się niekomfortowo. Do tego stopnia, że miała problem, by dobrać odpowiednie słowa.

— W czym możemy panu pomóc? — wydukała wreszcie, cofając się w kierunku swojego biurka. Znalazł się przy nim wcześniej od niej i niczym kelner w ekskluzywnym lokalu — odsunął jej krzesło.

— Zastanawiałem się, czy macie w muzeum akta dawnych zasłużonych pracowników. Zależy mi na dokumentacji wytworzonej w związku z pracą w PKP mojego dziadka. Floriana Zaniewskiego.

Gdy usiadła, poczuła się trochę pewniej. Wskazała mężczyźnie fotel naprzeciwko biurka. Teraz miała przed sobą barierę w postaci ekranu komputera.

— Wątpię, żebyśmy mieli tu dostęp do takich akt. Mamy sporo dokumentacji przedwojennej, ale pański dziadek pracował na kolei znacznie później, prawda?

— Zaczął na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

— Nie żyje, prawda?

— Niestety. — Gość spuścił na chwilę głowę. — Niedawno odeszła też moja babcia. Coraz mniej jest świadków zdarzeń, które bezpowrotnie przeminęły. Przeszłość staje się teatrem cieni. Chcę wypełnić tyle białych plam, ile się da.

Ewelina udała, że szuka czegoś na ekranie. Słowa jej niezapowiedzianego gościa zabrzmiały wręcz lirycznie. Znała się na tym. Gdy inni wymieniali się kryminałami, ona zaczytywała się w poezji.

— Gdzie dokładnie pracował pana dziadek?

— Kursował po całym kraju.

— To może inaczej: gdzie mieszkał?

— W Lidzbarku Warmińskim.

Zapisała mu na kartce adres i numer telefonu. Nie lidzbarski, tylko warszawski.

— Może niech pan spróbuje tam. W Przewozach Regionalnych, ale nie robiłabym sobie na pana miejscu wielkich nadziei. Dokumentacja osobowa jest po jakimś czasie niszczone. Wątpię, czy mają takie starocie. Może skuteczniej wypełniłby pan te białe plamy, rozmawiając z innymi członkami rodziny. Albo przyjaciółmi dziadka...

— Niestety. Jestem na świecie sam jak palec, więc rodzina odpada. Babcia

była moim jedynym łącznikiem, ale nie zdążyłem jej wypytać.

— Dlaczego? — spytała, zanim zdążyła ugryźć się w język.

— Przez ostatnie kilka lat przebywałem poza Polską. Dlatego teraz jestem tak zdeterminowany. To śmieszne, wiem przecież, że już jest za późno... Ale mimo wszystko chciałbym nadrobić ten stracony czas. Rozumie mnie pani?

— Rozumiem — odparła. Naprawdę go rozumiała. I bardzo chciała mu pomóc. — Czy pan wie, w którym roku pana dziadek zakończył pracę?

— O tak. Znam nie tylko rok, ale też datę dzienną. A nawet godzinę.

— Godzina nie będzie potrzebna. Nie mam tu niestety żadnej bazy danych. — Postukała w ekran komputera. — Chodzi o to, by przekierować pana w miejsce, gdzie mogło coś pozostać. Tak jak już mówiłam, nie liczyłabym na wiele, ale...

— Czternasty września dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Godzina dwudziesta pierwsza.

Uśmiechnęła się. Facet rzeczywiście był dokładny.

— Coś pan jednak wie. Ja nie mam pojęcia, o której mój dziadek postanowił zakończyć służbę. Był żołnierzem w 6. Brygadzie Desantowo-Szturmowej. Mieszkał w Krakowie... — urwała, bo do gabinetu weszła Majka. Tym razem udało jej się nie porozlewać kawy, co było, biorąc pod uwagę stopień rozkojarzenia dziewczyny, dużym sukcesem. — Tak więc spróbowałabym popytać w Przewozach Regionalnych — podjęła Ewelina, gdy nie wykazał zainteresowania dziadkiem z Krakowa. — Może tam skontaktują pana z jego dawnymi kolegami... Mogę spytać, kiedy umarł?

Gość miał taką minę, jakby czekał właśnie na to pytanie.

— Czternastego września tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku. O dwudziestej pierwszej. Mój dziadek został zamordowany. Na stacji w Działdowie.

Informacja o okolicznościach śmierci Floriana Zaniewskiego zmieniła wszystko. Ewelina w pierwszej chwili podejrzewała, że przybysz odwlekał ją



dla lepszego efektu, ale gdy minął szok, zmieniła zdanie. Olgierd Zaniewski nie był przecież jasnowidzem. Nie mógł wiedzieć, że razem z dziewczynami przygotowywały wystawę poświęconą kolejarzom, którzy zginęli na służbie. Wystawa miała zostać udostępniona dla zwiedzających dopiero wiosną.

— Florian Zaniewski... Wiedziałałam, że coś mi to mówi.

To akurat nie była prawda. Nazwiska nie kojarzyła, ale sam fakt zabójstwa w Działdowie tak mocno zapadł jej w pamięć, że była w stanie odtworzyć z pamięci podstawowe fakty. Po pierwsze, że ofiara zginęła w przedziale konduktorskim. A po drugie, że przyczyną zgonu był rozległy uraz czaszki.

— Ma pan szczęście — nawijała zadowolona, że może pomóc. — Mamy tu nawet zdjęcia z miejsca zbrodni. Oczywiście nie zamierzamy z nich korzystać w ramach wystawy, bo to nie są ujęcia dla ludzi o słabych żołądkach, ale jeśli byłby pan zainteresowany...

— Chyba nigdy się pani nie odwdzięczę. To wszystko dużo dla mnie znaczy.

Jego entuzjazm z pewnością nie był pozorowany. Gdy powiedziała mu o wystawie, wstał i spontanicznie uścisnął jej ramię. Nie czuła się tym dotknięta. Przeciwnie, ta manifestacja uczuć sprawiła, że przestała aż tak się przy nim spinać. Już nie kojarzył jej się z przystojnym robotem. Wciąż był przystojny, ale jako człowiek z krwi i kości.

— Część elementów ekspozycji udostępniła nam policja. Do użytku służbowego, więc jeśli będzie pan chciał sobie zrobić zdjęcia lub skorzystać z naszego skanera, to bardzo proszę o dyskrecję.

— No jasne. Lepiej nie denerwować policji.

Wciąż siedzieli w jej gabinecie. Ewelina uznała, że nie ma co ganiać po całym gmachu. Po części ze względu na zobowiązania względem policji, a po części... Nie chciała plotek. W muzeum wszyscy wiedzieli, że jest singielką, a on...

On był wyjątkowym ciachem.

— Dzięki, Sylwia. — Odebrała od koleżanki grubą teczkę. Była niemal

pewna, że za drzwiami czają się jeszcze przynajmniej dwie osoby. Zgoda, Olgierd Zaniewski był sensacją dnia, ale zachowanie zespołu było irytująco infantylne. — Powiedz, żeby nikt nam nie przeszkadzał. Jasne?

— Tak jest, kierowniczo.

Gdy zostali sami, rozsznurowała teczkę. To, czego szukała, znajdowało się na samym wierzchu. Kartka z roboczym tekstem, do opanowania przez przewodnika. Wyciąg z tego wszystkiego, co udało się ustalić.

— Proszę. Może pan robić zdjęcia.

Zaniewski może i nie przebierał nogami, ale był tego naprawdę bliski. Wyjął telefon i pochylił się nad arkuszem.

— Pański dziadek był doświadczonym kolejarem — mówiła, gdy robił zdjęcia. Umiała opowiadać. W ubiegłych latach często oprowadzała wycieczki. — Pracował w PKP przez ponad trzydzieści lat. Rok przed śmiercią dostał złotą odznakę Przewodzącego Kolejara. To taka gwiazda, trochę większa od guzika. Ma ją pan?

— Niestety nie — odparł, sprawdzając jakość zdjęć.

— Może uda mi się zdobyć dla pana replikę. A wracając do pańskiego dziadka, tamtego dnia, a raczej już nocy, był kierownikiem ekspresowego pociągu ze Świnoujścia do Olsztyna, przez Warszawę. Ekspres nosił nazwę „Świętowit”. Kiepsko dobrana nazwa, prawda?

— Dlaczego?

— Bo Świętowit to bóstwo Ranów, którzy zamieszkiwali Rugię. Człowiek, który nazwał tak pociąg do Świnoujścia, musiał być kiepski z geografii. No bo gdzie Rugia, a gdzie

Świnoujście?

— Ten „Świętowit” jechał ze Świnoujścia do Olsztyna... przez Warszawę?

— Zgadza się. — Ewelina nie dostrzegła w tym nic nadzwyczajnego. Bywały pociągi o jeszcze bardziej nieoczywistych trasach. — „Świętowit” zatrzymywał się między innymi na stacji Warszawa Zachodnia, czyli — wycelowała paznokciem w ścianę — tam. Pan jest z Warszawy?

— Można powiedzieć, że jestem znikąd. Dopiero wróciłem z zagranicy.

— Rozumiem... To, co powiem, może okazać się dla pana bardzo przykre, ale w skład personelu ekspresu „Świętowit” wchodził niejaki Dariusz Arkanowicz. Młodzieniec zatrudniony na kolei rok wcześniej, który... okazał się wielokrotnym mordercą. Dokładnie — siedmiokrotnym.

— Kto jeszcze wchodził w skład tego personelu?

Ewelina, która spodziewała się pytań o Arkanowicza, przez chwilę zbierała myśli.

— To był duży pociąg. Siedem wagonów pasażerskich plus jeden wagon Warsu. W skład załogi konduktorskiej wchodziło przynajmniej czterech ludzi, a prawdopodobnie pięciu lub sześciu. W pociągach starego typu, z ręcznie otwieranymi drzwiami, większa załoga była niezbędna... Nazwiska powinny być gdzieś w papierach. Rozumiem, że zależy panu na kontakcie?

— Tak jest. Nazwiska to dobry punkt wyjścia do poszukiwań. Nie każdy nazywa się Kowalski.

Przerzuciła kilka dokumentów, które — po selekcji — miały wejść w skład ekspozycji. Wykaz z nazwiskami załogi miał z kolei pozostać w magazynie. Ochrona danych osobowych obowiązywała także muzea, ale świeżo upieczona kierowniczka nie miała wyrzutów sumienia, gdy fotografował. Liczyły się intencje, a jego były dobre.

— Ciało znalazł jeden z członków załogi. Wezwano pogotowie, ale wystarczy spojrzeć na zdjęcie. Pana dziadek padł ofiarą psychopaty. Równie dobrze można było od razu wezwać karawan.

— Mogę zobaczyć to zdjęcie?

Podawała mu makabryczną fotografię. Sama spojrzała na nią tylko raz. To wystarczyło, żeby żołądek podszedł jej do gardła. Olgierd Zaniewski był twardszy. Na jego twarzy nie odmalowały się żadne emocje.

— To straszne — stwierdził. — Czy tego psychopatę ujęto na gorącym uczynku?

Ewelina wspomogła się ściągawką.

— Tydzień później. Dostał dożywocie. Oczywiście od razu zwolniono go z pracy. Mamy dokument wypowiedzenia, ale nie jestem pewna, czy powinniśmy go wykorzystać w naszej ekspozycji. Ludzie mogliby to odebrać jako gest bez znaczenia, a to nie oddawałoby klimatu instytucji. Polskie Koleje Państwowe przykładają wielką wagę do właściwego doboru personelu.

Zabrzmiało to jak slogan z prospektu reklamowego, ale Zaniewski odebrał jej słowa zgodnie z intencją.

— Nie przyszłoby mi do głowy winić instytucję. Zło czai się wszędzie. Nie sposób go wyeliminować. Jestem naprawdę bardzo wdzięczny za pani czas i zaangażowanie.

Nie było już więcej dokumentów. Ani zdjęć do wykonania. Ewelina przez chwilę myślała, że gość zamierza zaproponować jej randkę, ale ostatecznie żadna propozycja nie padła. Zaniewski poprzestał na jeszcze jednym ciepłym spojrzeniu, uśmiechu i uścisku dłoni. Sama nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle. Z jednej strony urzekł ją swoją pasją, kulturą i nie ukrywajmy — wyglądem. Z drugiej — było w nim coś niepokojącego. Sposób, w jaki patrzył. I ten niemal zupełny brak zainteresowania, który okazał zabójcy swojego dziadka. Bardziej naturalne byłyby pytania — choćby o motyw czy ich wzajemne stosunki. Pytania, na które mogła mu udzielić częściowej odpowiedzi — gdyby zapytał.

Wzięła brudne filiżanki i poszła do łazienki, żeby je umyć. Nie okrzepła jeszcze na swoim stanowisku aż tak, by zlecać tę czynność sekretarce. Postawiła filiżanki na dnie umywalki i przeszła do pomieszczenia z toaletami. Chwilę po tym, jak zamknęła się w kabinie, od strony zlewów dobiegły damskie głosy. W pierwszej chwili ściszone, a potem zupełnie wyraźne.

— Ale popatrz, jaka księżniczka. Nie przyjdzie i nie poprosi, tylko wstawi do zlewu i w długą.

— Widziałaś, jak na niego patrzyła? Jakby chciała mu...

Dalszą część wypowiedzi zagłuszył szum wody, ale Ewelina usłyszała dość, by znów się rozplakać. Nie był to bynajmniej pierwszy raz. Przydarzało jej się

to codziennie — od dnia, kiedy dyrektorka ogłosiła przed całą ekipą, że zastępuje pana Zygmunta na stołku kierownika oddziału. Niby się tego spodziewała, niby wiedziała, że niewiele jest na tym świecie rzeczy równie nietrwałych, co biurowe przyjaźnie.

— Niby człowiek wiedział, a jednak się łudził... — wyszeptała do siebie i uśmiechnęła się przez łzy.

Wiedziała, że sobie poradzi, ale czasem było jej cholernie trudno.

Odczekała, aż dwie nienawistne żmije, Majka i Wanda, opuszczą łazienkę, a potem wyszła z toalety i stanęła przy oknie. Chłodne powietrze skutecznie wypędziło z niej resztki rozżalenia. Odetchnęła głęboko. Raz, a potem drugi. Już miała się odwrócić, gdy go dostrzegła. Olgierd Zaniewski maszerował przez przejście dla pieszych, w kierunku dworca Warszawa-Ochota. Nie była odosobniona w ocenie, którą wystawiła jego atrakcyjności. Na jej oczach dwie idące razem dziewczyny jak na komendę otaksowały go wzrokiem, a gdy je minął, zaczęły jednocześnie poruszać ustami, trochę rozbawione i trochę podekscytowane. Obserwowała go aż do momentu, w którym jego sylwetka wtopiła się w tłum przy schodach na peron. Sięgnęła ręką, by przymknąć okno, i wtedy jej wzrok padł na chodnik poprowadzony bezpośrednio przy budynku.

Na chodniku stała kobieta. Miała na głowie kolorową chustę, na twarzy taką samą maseczkę, a nad nią — ciemne okulary. Trwała nieruchomo, wpatrując się w miejsce, w którym wciąż było widać kurtkę Zaniewskiego. Sprawiała wrażenie przyczaponej.

— Co za cholera?

Kobieta nagle ruszyła przed siebie. Przeszła przez ulicę, pokonując ostatnie metry na czerwonym świetle. Gdy Zaniewski zatrzymał się, by zapalić, odwróciła się do niego plecami. A po chwili znów ruszyła przed siebie — oczywiście jego tropem.

Ewelina rozważała, czy do niego nie zatelefonować. Przecież zostawił jej numer. Własnoręcznie zapisał go na kartce. Czy nie powinna go ostrzec?

Uprzedzić, że chodzi za nim jakaś dziwna kobieta? Wahala się dłużej chwilę, ale ostatecznie postanowiła nie dzwonić. Nie chciała wyjść na desperatkę, a poza tym... Znowu odezwała się jej wrażliwość.

Kobieta, na którą miałyby donieść, była niepełnosprawna. Utykała w taki sposób, jakby zamiast nogi miała protezę.

## 4.

Przedpołudnie minęło Oldze pod znakiem przygotowań. Agata, sztywna jak kołek policjantka ze stołecznej, wyraziła się jasno: w sprawie o zabójstwo to, co najważniejsze, rozgrywa się w ciągu pierwszych kilku lub kilkunastu godzin. Dlatego po powrocie do domu zamiast wpakować się do łóżka, Olga wyprasowała cywilne ciuchy i — ulegając wrodzonej próżności — zrobiła paznokcie. Telefon uparcie milczał. Zamówiła dużą pizzę, obejrzała w telewizji swój ulubiony program kulinarny i wreszcie — około jedenastej przed południem — dopadło ją zmęczenie. Usiłowała je zwalczyć pod prysznicem, ale gdy przestała się chłostać zimną wodą, zrobiło jej się dla odmiany miło i ciepło. Wyciągnęła się na tapczanie, obiecując sobie, że to tylko chwila, może dwie... Pięć minut później spała jak suseł. A po kolejnych pięciu dodzwoniła się do niej Agata.

— Olga? — wymruczała do słuchawki wciąż w półśnie. — Nie, takiej tu nie ma...

— Oprzytomnij. Za pół godziny zaczynasz przesłuchanie.

— W stołecznej?

— Nie. Na Centralnym.

Zgodnie z poleceniem spakowała torbę podróżną, a potem — przeklinając kierowcę autobusu, który odjechał jej sprzed nosa — spędziła ponad kwadrans na przystanku. To nie była ta ekskluzywna część Ursynowa. Tu były tylko bloki z wielkiej płyty i jeden autobus, który nigdy nie trzymał się rozkładu.

— Jestem — oświadczyła jakiś czas później, wpadając jak bomba do komisariatu.

Rzut oka na odbicie w szybie uzmysłowił jej, że nie wygląda jak milion dolarów — włosy miała potargane, wzrok nieco mętny, a bluzce, którą na siebie wciągnęła, brakowało guzika. Agata, która czekała przy drzwiach,

popatrzyła na nią takim wzrokiem, jakby się zastanawiała, czy nie przebadać jej alkomatem.

— Możesz pracować?

— No jasne. Nigdy nie czułam się lepiej. Wasyl Zajcew — wymieniła nazwisko zamordowanego Ukraińca, by pokazać, że rzeczywiście kontaktuje.

Zmierzając w stronę pokoju przesłuchań, przeszły obok pomieszczenia centrum monitoringu. Olga ze zdziwieniem dostrzegła w nim Maćka — przełożony siedział w tym samym miejscu, co poprzednio, i znów gapił się w ekrany. Bładość oblicza, mechaniczne ruchy i miniwieża z plastikowych kubków po kawie z automatu — to wszystko sugerowało, że robi to nieprzerwanie od momentu, w którym się rozstali.

— Czuj duch — rzuciła w jego stronę, ale sprawiał wrażenie tak skupionego na tym, co robi, że tego nie odnotował.

Być może okres tych kilkunastu godzin od zabójstwa rzeczywiście był kluczowy, ale wykonywane czynności w niczym nie przypominały akcji rodem z filmów o Jamesie Bondzie. Były boleśnie rutynowe.

Pokój przesłuchań znajdował się na końcu korytarza, zaraz obok pomieszczenia dla zatrzymanych. To było puste, ale na plastikowych krzesłach po jej stronie kraty siedziały dwie osoby tak różne, jak to tylko możliwe. Facet wyglądał jak pracownik wyższej uczelni — miał okulary i znoszoną marynarkę. Był chyba zdenerwowany, bo obgryzał paznokcie. Natomiast kobieta była prawdopodobnie prostytutką. Bawiła się paczką papierosów, z nogą założoną na nogę. Widoczna spod maseczki gruba warstwa makijażu zdawała się sugerować, że najlepsze lata oczekująca ma już za sobą.

— Najpierw pogadasz z tym gościem — poleciała Agata, gdy znalazły się w pokoju przesłuchań. — To Witalij Mamiedow, szef naszego Zajcewa, właściciel firmy budowlanej. Jest zdenerwowany, ale sądzimy, że wcale nie z powodu śmierci pracownika. Wiemy, że zatrudniał Zajcewa na czarno. Z bazy Pobyt wynika, że jego oficjalnym pracodawcą jest... a raczej był



deweloper z Ciechanowa, który od niedawna znajduje się w upadłości likwidacyjnej... Nadażasz? Hej, dziewczyno, czy ty w ogóle mnie słuchasz?!

Olga z wysiłkiem oderwała wzrok od ustawionego na stole komputera. Koszmary ze szkolenia powróciły. Czy tutaj także będą się z niej nabijać?

— Będę musiała protokołować, tak?

— A jesteś tłumaczem przysięgłym? Spokojnie, tylko pogadamy. Nie lubisz pisać, co?

— Język polski być trudna język — zażartowała, nie umiejąc powstrzymać uśmiechu. Poczucie ulgi było ogromne. Polska ortografia ją dobijała. — Wiedziałaś, mam rację?

Agata machnęła ręką.

— Popytałam tu i tam. Zdziwiło mnie, że taka ambitna dziewczyna nie robi nic, by wyrwać się z przewencji.

— Notatkę z interwencji można poprawić. Sprawdzić trudne słowa w Internecie. Przy protokole nie ma czasu. — Zerknęła w lustro. Pokój przesłuchań miał wszelkie udogodnienia: kamery, system rejestracji głosu i lustro weneckie. Zastanawiała się, kto jest po drugiej stronie tego lustro. Kto zobaczy, jak robi z siebie durnia. — Mam powiedzieć temu Mamiedowowi, że mamy w dupie pracę na czarno?

— Zgadza się. — Tymczasowa szefowa wstała i ruszyła w stronę drzwi. — I nie spinaj się tak. To oni mają się bać ciebie, nie ty ich.

Trafiła kulą w płot, bo Olga, z chwilą gdy się dowiedziała, że nikt nie będzie testował jej ortografii, poczuła taki luz, jak rzadko kiedy. Nie można było tego powiedzieć o jej gościu — zaproszony do wnętrza Witalij Mamiedow literalnie trząsł się ze strachu. Odruchowo spytała, czy nie zamierza tu dostać ataku serca. Był chyba z tych wrażliwych, bo potarł się dłonią po klatce piersiowej.

— To możliwe, bo mam nadciśnienie — odparł, a potem powtórzył to samo niemal idealną polszczyzną.

Olga знаła ten typ swoich rodaków. Gdy tylko przekraczali granicę,

usiłowali zgrywać światowców, wypierając ukraińskie dziedzictwo. Stawali się bardziej polscy niż Polacy. Zwykle nie szczędziła im złości, ale teraz była w pracy. Dlatego z poważną miną poinformowała go — po polsku — że przepisy ustawy o cudzoziemcach to zupełnie nie ich broszka. Facet w pierwszej chwili nie uwierzył. Podejrzliwość miała mu towarzyszyć do samego końca ich rozmowy, ale przynajmniej nie chwycił się już za serce i dał spokój swoim paznokciom. Na samym wstępie oznajmił, że prawie się nie znali.

— Zajcew to nie był żaden fachowiec. Co to, to nie. Zwykły byczek, ale takich też potrzebujemy. Dorywczo, na kilka tygodni.

Olga zerknęła na Agatę. Skoro bariera językowa nie istniała, sądziła, że policjantka będzie chciała pociągnąć tę rozmowę samodzielnie. Agata nie zdradzała jednak najmniejszej ochoty na przystąpienie do konwersacji. Siedziała w kącie, z nosem w telefonie, sprawiając wrażenie nieco znudzonej.

— W jaki sposób trafił na pana budowę?

— Z polecenia.

— Czyjego?

— Znam jego brata. To dobry murarz, pracował u mnie przez... ja wiem, może trzy lata. Kiedyś zagadnął mnie, czy nie wezmę jego młodego. Najpierw myślałem, że chodzi o syna. Przyprowadził tego... Wasyla, tak? No i go wziąłem.

— Kilka tygodni temu, tak?

— No nie... — Ukraińiec wyraźnie się zmieszał. — W lecie, albo nawet... późną wiosną.

— Jego brat ciągle u pana pracuje?

— Nie. Miał jakieś problemy z wizą. Z tego, co wiem, wrócił do Ukrainy.

— Jest pan w stanie wskazać kogoś, z kim się kolegował? Jakichś bliższych znajomych?

— A gdzie tam. Dla mnie to jeden motłoch. Leniwi pijacy. Całą uwagę poświęcam, by zmobilizować ich do pracy. Nie patrzę, kto z kim pije.

— A kto z kim śpi?

— Słucham? Ach, pani chodzi o noclegi? Nie prowadzę hotelu. Jeśli chcą, mogą spać w niewykończonym budynku... — zawahał się. Olga nie знаła przepisów budowlanych, ale zrozumiała, że to może być nie do końca legalne.

— Ale teraz i tak jest za zimno. Śpią na kwaterach, pod miastem.

— Nawet tak daleko, jak w Ciechanowie?

— A kto ich tam wie? Dla mnie mogą spać gdziekolwiek. Byle z rana stawili się w pracy. Trzeźwi. Bardzo tego pilnuję.

— To super — skomentowała Olga, posyłając mu bezosobowe spojrzenie.

— Czy Wasyl Zajcew miał wrogów?

— Pewnie tak, skoro go zabili. Ale ja nic nie wiem. Przykro mi, ale chyba nie potrafię pomóc.

Oldze nie brakowało inwencji, także w życiu zawodowym. Teraz jednak zaczęła opuszczać ją wena. Zadała bez przekonania kilka pytań o znajomych z budowy, otrzymując za każdym razem odpowiedź, z której wynikało, że pan Witalij Mamiedow nie zadaje się z motłochem.

— Jeszcze dwie sprawy — wtrąciła Agata, gdy Olga wystrzelała się już z całej amunicji. — Jakies zamiary na tego brata...

— Po trzydziestce, duży facet.

— Imię?

— Chyba Anatol. Mówiliśmy na niego Gruby. Może mam coś w papierach, ale...

Nie musiał kończyć. Wasyl Zajcew nie był jedynym pracownikiem, którego zatrudniał na czarno.

— Ile pan mu płacił? Pytam o Wasyla.

— Różnie. Umówiliśmy się na trójkę, ale z bonusami. Na pewno nie był bogaty. — Zaśmiał się, jakby sama myśl, że ktoś z jego pracowników może dorobić się majątku, była absurdalna. — Oni wszyscy przepuszczają pieniądze. Na wódkę i tanie dziwki. Takie jak tamta.

Wskazał na drzwi, za którymi czekała jego wymalowana rodaczka. Chyba

się zorientował, że rozmowa zmierza ku końcowi, i zanotował wyraźną zwyżkę nastroju. Humor popsuła mu Agata, informując, że czeka go jeszcze formalne przesłuchanie.

— Pan poprosi tu koleżankę — dodała, posyłając mu przy tym takie spojrzenie, że nie odważył się ponownie użyć słowa „dziwka”.

Kobieta, która zajęła jego miejsce, nie trudniła się prostytutką. Pracowała co prawda w Marriotcie, co kojarzyło się jednoznacznie, ale była tam sprzątaczką czy też — używała tego określenia zamiennie — pokojówką. Przyznała ze wstydem, że woli rozmawiać po rosyjsku. Polski znała słabo, a ukraińskiego nauczyła się dopiero w szkole. W jej rodzinnym domu, w Doniecku, mówiło się w języku Puszkina, który siedem lat temu stał się językiem najeźdźcy.

— Poznaliśmy się tutaj, na dworcu. Przy budce z kebabem. Często u mnie nocował. Zostawał na dzień lub dwa, a potem wracał do siebie. Twierdził, że potrzebuje przestrzeni, ale myślę, że kogoś miał.

— Tej nocy też przyjechał do pani?

Kobieta pociągnęła nosem. Albo była przeziębiona, albo z trudem tłumiała płacz. Olga rozumiała potrzebę zakładania maseczek, ale nie dało się ukryć, że utrudniały pracę.

— Tak. Pisał, że przyjedzie.

— Na dłużej?

— Nigdy nie mówił, jak długo będzie. Czasem wpadał nawet bez zapowiedzi. Chyba mnie sprawdzał. Chciał wiedzieć, czy jestem mu wierna.

— I co? Była mu pani wierna?

Pytanie było bardzo bezpośrednie, ale w oczach kobiety nie było urazy, tylko zmęczenie.

— Pracuję na dwa etaty. Nie mam czasu nawet na jednego faceta, a co dopiero na romanse. W Ukrainie mieszkają moje córki. Chcę zapewnić im lepsze życie.

— Czy Wasyl mówił pani, że ma problemy?

Pokręciła głową.

— On nie był z tych, którzy się zwierniają. Przychodził, zjadł coś, brał mnie do łóżka... Nie rozmawialiśmy za dużo.

— To czemu pani z nim była?

— Pani tego nie zrozumie. Ciężko tak, samemu. Z dala od domu. Ale to nie było nic trwałego. Taka przygoda, i tyle.

— Od kiedy byliście razem?

Przez chwilę liczyła na palcach.

— Przez pięć miesięcy. Od lata. Mogę mieć pytanie?

— Jasne.

— Czy moje mieszkanie długo będzie niedostępne? Koleżanki się denerwują. Pani rozumie, większość pracuje w nocy. Chcą się wyspać.

Olga popatrzyła pytająco na Agatę, a potem, gdy uświadomiła sobie, że policjantka nie wie, o czym rozmawiają, przełożyła ostatnie słowa na polski.

— Robimy tam przeszukanie. Powiedz jej, że niedługo powinni skończyć. I spytaj o te koleżanki. Może któraś ma zaborczego faceta, który nie lubi innych gości.

Bjanka Mylenko, bo tak nazywała się przesłuchiwana partnerka Wasyla, mieszkała w kamienicy na warszawskiej Pradze. Trzypokojowy lokal mógł pomieścić nawet dziesięć lokatorek, ale najczęściej nocowało ich sześć. Rotacja była duża. Mylenko z trudem przywoływała z pamięci kolejne nazwiska, a w dwóch wypadkach poprzestała na samych imionach.

— Materiał na pogłębioną analizę — skwitowała Agata, gdy lista była gotowa. Figurowało na niej siedemnaście nazwisk. Siedemnaście lokatorek mieszkających z partnerką Wasyla w ciągu ostatnich pięciu miesięcy. — Maciek na pewno nie będzie się nudzić.

— Dlaczego akurat Maciek?

— Bo go nie lubię — stwierdziła, a potem spojrzała na Mylenko. — Poproś ją, żeby zdjęła maseczkę.

Kobieta zareagowała na tę prośbę bardzo niechętnie. Tak, jakby nie

chodziło o maseczkę, tylko co najmniej o stanik. Gdy wreszcie odsłoniła twarz, Olga zacisnęła pod stołem pięści.

— To on?

Nawet najgrubsza warstwa makijażu nie mogła zamaskować sińców zlokalizowanych symetrycznie pod oczami. Ukrainka padła ofiarą przemocy. I jak to w takich przypadkach bywa, okazywała swojemu oprawcy nieuzasadnioną wyrozumiałość.

— To nic takiego. Zdenerwowali go w pracy. Zanim do mnie przyjechał, napił się wódki. A ja, zamiast go położyć, niepotrzebnie gadałam...

— Zapytaj, czy to zdarzało się wcześniej — zakomenderowała Agata.

— To nigdy nie zdarza się raz...

— Przecież wiem. Tylko chcę to usłyszeć od niej.

Zgodnie z przypuszczeniem Olgi Wasyl prał Mylenko regularnie, niemal od samego początku ich znajomości. Był zazdrosny... Olga nigdy nie rozumiała, jak można dzielić życie z damskim bokserem. Też kiedyś oberwała, ale tylko raz. Chwilę później wyrzuciła tego bydlaka ze swojego życia. Bezwrotnie.

— Pani po nim płacze. Dlaczego?

Mylenko otarła łzę, a potem skryła poobijaną buzię za maseczką.

— Nie płaczę. To taka alergia.

Chwilę później, uzyskawszy potwierdzenie, że czynności policji dobiegły końca i może wracać do mieszkania, Mylenko posłała Oldze ostatnie spojrzenie w stylu zranionej łani, a potem wyszła z pomieszczenia, by wrócić do swojego przygnębiającego życia. Olga obiecała sobie, że kiedyś odwiedzi ją w tym Marriotcie — przecież nie miała stąd daleko. Była skołowana. Wasyl Zajcew okazał się prymitywnym sukinsynem, który robił krzywdę swojej partnerce. Myśląc o nim, nie mogła nie myśleć o jego zabójcy.

Czy wiedział, że zabija takiego bydlaka?

Agata uprzedziła Olgę, że jeszcze dziś wyruszą do Ciechanowa, ale nie dodała, że pojedą tam pociągiem. Zdążyły w ostatniej chwili. Udało im się

znaleźć jedyne wolne miejsce podwójne, na samym końcu składu. Gdy pociąg ruszył, Olga wyjrzała przez okno. Wypatrywała Gargamela, ale jego ulubiona ławka na końcu peronu drugiego była pusta.

— Pewnie często jeździsz pociągami — zauważyła Agata, gdy w wagonie zapadła ciemność, zakłócana jedynie stroboskopowym blaskiem rzadko rozsianych świateł tunelu średnicowego.

— Tak, ale tylko w granicach aglomeracji — odparła Olga. To było jedno z zadań komisariatu kolejowego. Patrole w pociągach. — Jeździmy na Otwock, Sochaczew, Siedlce i Piaseczno, ale nie na Działdowo, przynajmniej od pewnego czasu... Do wczoraj zastanawiałam się dlaczego.

— No tak, można powiedzieć, że ten kierunek przejęła ostatnio moja grupa ze stołecznej. — Agata uśmiechnęła się ustami, ale jej oczy jak zwykle pozostały poważne. — Sama jeździłam tędy cztery razy. Do samego Działdowa i z powrotem.

Dziwisz się?

— Nie — skłamała Olga.

Od prewencji byli tacy jak ona. Nie rozumiała, czemu miały służyć takie podróże. Chyba że Agata spodziewała się, iż zabójca zaatakuje na jej oczach, ale takie myślenie było naiwne.

— Chciałam mieć pełny obraz sytuacji. Zobaczyć na własne oczy, jakie jest natężenie ruchu, kiedy otwierają się drzwi... Pierwsza ofiara została znaleziona na takim samym podwójnym siedzeniu. Też pod sam koniec składu. Kilka rzędów przed nami.

Olga, która siedziała pod oknem, podwinęła nogi, klękając na siedzeniu. Wnętrza wagonów pociągów podmiejskich przypominały pokłady pasażerskie w średniej wielkości odrzutowcach. Po obu stronach korytarza znajdowały się podwójne siedzenia, a środkiem przebiegał dość wąski korytarz. Każdy wagon podzielony był na kilka otwartych segmentów, pomiędzy którymi znajdowało się coś w rodzaju przeszklonych przedsionków, z drzwiami po obydwu stronach składu. Podczas postoju otwierały się jedynie drzwi od strony

peronu, te przeciwległe były zablokowane. Wyjątkiem była stacja Warszawa-Śródmieście, ze swym centralnym peronem, tak zwaną wyspą.

— To kamera, prawda?

W środkowym punkcie każdego z segmentów, pod samym sufitem wisiała puszka z okienkiem. Poniżej naklejono symbol kamery. Kamera w ich segmencie była zainstalowana na wyciągnięcie ręki od miejsca, które wskazała Agata. O ile działała, całe zdarzenie powinno być na taśmie.

— Gdyby to było takie proste, to już dawno byśmy go mieli — mruknęła Agata. Olga miała wrażenie, że nie robi nic innego, tylko nieustannie czyta jej w myślach. — Tą trasą kursuje dwadzieścia odrębnych składów. Dwadzieścia różnych pociągów, starszych i nowszych. W dwóch najstarszych w ogóle nie było kamer. Pierwszego zabójstwa dokonano akurat w jednym z nich.

— Myślisz, że to przypadek? Nie sędzę...

— Płacą mi za formułowanie hipotez. Tak, wyobraź sobie, że rozważam taką ewentualność.

Olga obiecała sobie, że powstrzyma się od podobnych uwag. Im szybciej oddalały się od centrum Warszawy, tym jej tymczasowa szefowa stawała się bardziej rozdrażniona. Pociąg zatrzymał się na Dworcu Wschodnim. Zbliżały się godziny szczytu i w wagonie zrobiło się tłoczno.

— Tak będzie tylko do Legionowa — zapewniła Agata. — Potem się rozluźni. A co do kamer... Po pierwszym zabójstwie przewoźnik zainstalował je także w dwóch starszych składach. Obraz spływa do Działdowa, do centrali monitoringu PKP. Oddelegowaliśmy tam trójkę funkcjonariuszy. Śledzą wszystko na bieżąco, ale równie dobrze mogliby w tym czasie grać w cymbergaja.

— Nic podejrzanego?

— Zatrzymaliśmy dwóch kieszonkowców. Obraz z tych kamer jest bardzo wyraźny. W pociągu nie ma miejsca, które byłoby niewidoczne.

— Oprócz toalet.

— Toalety są nieczynne. Wyłączone z użytkowania.



— Poważnie? — Olga od razu poczuła parcie na pęcherz.

— Większość kursów nie trwa dłużej niż półtorej godziny. Realizowane są w pętłach: Działdowo–Modlin, a potem Modlin–Warszawa. Albo Działdowo–Ciechanów, Działdowo–Nasielsk... I tak dalej. Tylko kilka pociągów dziennie kursuje tak jak ten. Czyli po całej trasie. Przyspieszone jeżdżą trochę ponad dwie godziny, a osobowe — trzy i pół.

— Bez łazienki?

— Bezpieczeństwo ponad komfortem. Oczywiście pasażerowie nie znają prawdziwego powodu. Nie chcemy, żeby wybuchła panika. Zdrowiej byłoby zainstalować kamery w toaletach, ale na to nigdy nie będzie zgody.

I całe szczęście, pomyślała Olga, odruchowo wyławiając z tłumu pasażerów osoby, które nie miały maseczek. Czasami dostawali polecenie, by karać brak maseczki mandatami, ale najczęściej poprzestawali na pouczeniach. Niektórzy pasażerowie przyjmowali takie pouczenia z pokorą. Inni zaczęli cytować wybrane przepisy konstytucji, jakby ich nie znała, ale najgorsi byli ci, którzy reagowali agresją. Przydarzyła jej się sytuacja, w której musiała ratować się chwytem obezwładniającym, a potem wzywać wsparcie z kaftanem bezpieczeństwa.

— Kim był ten człowiek?

Agata zrozumiała, że pyta o pierwszą ofiarę. Faceta znalezionego na podwójnym siedzeniu.

— Nazywał się Marcel Zieliński. Mieszkał w Mławie, a pracował w korporacji, ale na samym dole piramidy. Był portierem. Jeździł rannym pociągiem, żeby zdążyć na szóstą rano. Kawaler, bezdzietny... Co jeszcze chcesz wiedzieć?

Olga nie spodziewała się tak wyczerpującej odpowiedzi. Agata uprzedziła ją na samym wstępie, że jej udział w sprawie będzie się sprowadzać do rozmów ze środowiskiem ukraińskim.

— Mieszkał sam?

— Tak jest. Z wywiadu środowiskowego wynika, że był człowiekiem...

powiedzmy, że nieskomplikowanym, i takie też wiódł życie.

— Nieskomplikowanym w znaczeniu... prymitywnym?

— Tak. Obracał się w środowisku pseudokibiców. Jego życie kręciło się wokół meczów. Najbardziej lubił wyjazdy. Wiesz pewnie, jak tam jest?

Podczas służby w oddziałach prewencji dwukrotnie obstawiała mecze. Wyjąwszy race świetlne, które — chociaż odpalone nielegalnie — bardzo jej się spodobały, to zdecydowanie nie była jej bajka. Wrogie grupy kibiców przerzucały się okrzykami, od których wiodły uszy — niektórzy byli tak pijani, że niewiele brakowało, a zaczęliby robić pod siebie. A czasem bywało gorzej. Kolega z kursu po jednym z takich meczów wylądował w szpitalu z podejrzeniem wstrząśnienia mózgu.

— Czy też miał kobietę, którą bił?

— Szybko łapiesz. Ale nie, nic takiego nie ustaliliśmy. Z wywiadu środowiskowego wynika, że wobec kobiet zachowywał się po rycersku.

— Czyli jak? — nie zrozumiała Olga.

— Nie rzucał się na nie z łapami. — Rysujący się pod maseczką uśmiech Agaty znów nie obejmował oczu. — Nie miał natomiast takich oporów, jeśli chodzi o mężczyzn. Brał udział w ustawkach. Z bazy NFZ-u wynika, że pół roku temu złamał kość jarzmową. — Dotknęła palcami policzka. — Takich kontuzji nie odnosi się podczas gry w warcaby.

— A więc umiał walczyć?

Podróżni zaczęli przepychać się w stronę drzwi. Agata odczekała do momentu, w którym pociąg zatrzyma się na stacji. To było zapewne Legionowo, bo nagle zrobiło się znacznie luźniej. Już nie musiały ściszać głosu.

— Podobno tak. Był przy tym wielkim facetem. W bicepsie miał ponad pięćdziesiąt centymetrów. — Poklepała się po swoich trochę workowatych dzinsach. — Więcej niż ja w udzie.

Olga zmarszczyła brwi. Marcel Zieliński był pod pewnym względem podobny do Wasyla Zajcewa. Tym, co ich łączyło, była skłonność do

nadużywania siły fizycznej. Z dwojga złego lepszy wydawał się Zieliński, bo on przynajmniej wyładowywał swe frustracje na innych troglodytach, a nie na kobietach, ale konstatacja była oczywista.

W efekcie obu zabójstw społeczeństwo nie poniosło żadnej szczególnej straty.

Podróż z Agatą miała tę dobrą stronę, że policjantka często odbierała telefony. To pozwalało Oldze trochę odetchnąć. Podczas jednej z dłuższych rozmów na chwilę przysnęła. Gdy otworzyła oczy, dotychczasowa szarość krajobrazu przyoblekła znacznie ciemniejszą barwę. Zapadał zmierzch.

Agata szturchnęła ją jeszcze raz, dla pewności. Pociąg wjeżdżał właśnie na peron.

— Pomyślałam, że chciałabyś zobaczyć miejsce zbrodni. — Nadal nie starała się ściszać głosu.

Pociąg opustoszał. W ich sąsiedztwie nie ostał się żaden pasażer.

— To Pomiechówek? — wychrypiąła Olga, prostując się na siedzeniu.

Stacja wydała się jej kameralna, ale być może to wrażenie spotęgował spływający z nieba mrok.

— Zgadza się. W miejscu, gdzie kończy się peron, do niedawna rosły gęste krzaki. Lokalna policja twierdzi, że było to ulubione miejsce miejscowych mętów. Także dlatego, że nie sięga tam obraz kamery. Zwłoki w stanie częściowego rozkładu zostały odkryte przez patrol sokistów. Dwa tygodnie temu, ale śmierć nastąpiła wcześniej. W pierwszej połowie października.

Urwała, bo do miejsca, w którym siedziały, podszedł konduktor. Olga sięgnęła do kieszeni bluzy, ale zanim wyjęła legitymację, mężczyzna zdążył je minąć. Wcześniej pozdrowił Agatę skinieniem głowy. Bynajmniej nie zdawkowym. Pełnym szacunku.

— Mówiłam ci, że mnie tu znają.

— Z pociągu?

— Niekoniecznie. Ja i moi ludzie rozmawialiśmy z każdym z kolejarzy,

którzy obsługują tę linię. Chyba nie muszę ci tłumaczyć dlaczego.

Olga znów poczuła się jak przy tablicy, w towarzystwie wyjątkowo wymagającej pani profesor.

— Bo to główni podejrzani?

— Bingo. Zabójca znał prawdopodobnie rozkład kamer. Umiał wybrać stosowny moment. I nie został nakryty. Musiał się doskonale orientować w specyfice tego kursu. Dopuszczaliśmy rzecz jasna hipotezę, że był stałym pasażerem, ale bardziej prawdopodobne wydawało się to, że pociąg był dla niego nie środkiem lokomocji, tylko miejscem pracy.

Oldze nie umknęło, że jej szefowa posługuje się czasem przeszłym.

— Już się wam tak nie wydaje?

Oczy Agaty powędrowały do góry.

— Od wczoraj sporo się zmieniło. Myślisz, że tylko ty pracowałaś? Maciek nie przeglądał tych wszystkich taśm w poszukiwaniu białego wilka. Staraliśmy się zidentyfikować na nich ludzi z naszej listy.

Lista, o której mówiła, została stworzona z nazwisk pracowników PKP.

— I co?

— I nic. Oczywiście sprawdziliśmy też telefony. Do sieci w okolicach Centralnego logowały się tylko aparaty załogi pociągu, którym przyjechał Zajcew. I to przez chwilę. Potem sygnały płynęły z drogi na Zachodni, czyli stację końcową, na której nocowali. Oczywiście to nie jest bezpośredni dowód... gdybym to ja była zabójczynią, nigdy nie wzięłabym na akcję telefonu. Ale można traktować go jako jeszcze jedną poszlakę, że sprawca wcale nie musi być kolejarzem...

— Tak jak w dziewięćdziesiątym trzecim.

Po rozmowie z Gargamelem Olga przeszukała Internet w poszukiwaniu informacji o seryjnym zabójcy sprzed lat. Wiedziała, że nazywał się Dariusz Arkanowicz, mieszkał w Działdowie i zabił siedem osób. W sieci można było znaleźć naprawdę wszystko, nawet jego aktualne zdjęcie. Arkanowicz po odbyciu kary trafił do ośrodka dla tak zwanych bestii, w położonym na

granicy Mazowsza Gostyninie. Plotkarski portal, który zamieścił zdjęcie, rozpisywał się o niedawnym ślubie Arkanowicza. Jego wybranka została określona jako biznesmenka z Warszawy. Z pewnością nie była wybredna, bo pan młody wyglądał na zdjęciu jak schorowany lump.

Olga rzuciła tę uwagę na wabia, ale Agata nie połknęła haczyka, a w każdym razie — nie zrobiła tego z apetytem. Po raz pierwszy jej uśmiech objął także oczy.

— Widzisz związek?

— Ślepy by widział...

— To nie jest takie proste. Arkanowicz nie wyszedł z paki. A ta teoria o naśladowcy... Wybacz, ale zupełnie do mnie nie przemawia. Każdy psychol chce być oryginalny. Żaden nie marzy o tym, by zostać podróbką.

— Tamten też zabijał tylko mężczyzn...

Agata, wciąż rozbawiona, uniosła rękę.

— Oczywiście śledztwo toczy się również w tym kierunku. Ale efekty są mizerne. Przede wszystkim inny jest modus operandi. Arkanowicz dokonywał na miejscu zbrodni pewnej inscenizacji, a tutaj mamy tylko rozwalone łby i kawałki mózgu. — Zamilkła, czekając, aż minie ich kolebiący się na nogach mężczyzna. — Jak chcesz, to po powrocie skontaktuję cię z chłopakiem, który się tym zajmuje. Oddelegowali go z Archiwum X.

Mianem Archiwum X określano jednostki policji zajmujące się wyjaśnianiem nierozwiązanych spraw z przeszłości przy użyciu niedostępnych wówczas środków technicznych. Olgę zawsze fascynował ten wycinek służby. Jeśli miała kiedyś opuścić Dworzec Centralny, to po to, by sprawdzić się właśnie w takiej jednostce.

— Mogę z nim pogadać — stwierdziła obojętnie. — To nic nie kosztuje. Ale teraz... Czy ten facet z Pomiechówka też był takim agresywnym palantem, jak ci dwaj pozostali?

Agata z ulgą porzuciła wątek Arkanowicza.

— Zgadza się. — Odwróciła głowę, bo pijany pasażer, który przed chwilą

przeszedł korytarzem, właśnie wymierzył solidnego kopniaka drzwiom od toalety. Gdy poinformowała go aksamitnym głosem, że wszystko się nagrało, natychmiast się uspokoił i stanął przy drzwiach, zaciskając nogi. — W porównaniu z facetem z Pomiechówka tamci wypadają jak aniołki. Zaraz, jak on się nazywał...

Zerknęła do kalendarza. Papierowego, w formie oprawionej w sztuczną skórę książki. Ściągawka była niezbędna, bo facet z Pomiechówka obok swojego imienia Zbigniew, miał bardzo nietypowe nazwisko — de Wayher. Nazwisko o niewątpliwie szlacheckich konotacjach, pochodzące z południowych Niemiec. Zbigniew nie miał jednak nic wspólnego ani z zachodnim sąsiadem, ani tym bardziej ze szlachtą. Połowę dorosłego życia spędził w zakładach karnych. Lista popełnionych przez niego przestępstw obejmowała rozbój, bezprawne pozbawienie wolności i dwukrotnie ciężkie uszkodzenie ciała. Nie zajmował się przestępczością gospodarczą — preferował działalność wymagającą sprawnych mięśni, ale niekoniecznie sprawnego mózgu.

— Wszyscy, którzy go znali, odetchnęli z ulgą. A z największą jego siostra, której dom traktował jako swą bezpieczną przystań. Z taką kartoteką niełatwo znaleźć pracę, ale we wrześniu udało mu się zaczepić w zakładzie produkcji cegieł, w charakterze kierowcy ciężarówki.

— Właśnie w Pomiechówku?

— W sąsiedniej miejscowości. Skracał sobie drogę, przechodząc przez tory, nieopodal miejsca, w którym go znaleźli. Zaczynał pracę o piątej rano. Zabójca prawdopodobnie wyszedł za nim na peron, który o tej porze był zupełnie pusty. No i dopadł go na tych torach.

— Nie złapała go kamera? Nie w momencie, w którym zabijał, tylko wcześniej, gdy wysiadał?

— Jego zwłoki znaleziono po kilkunastu dniach. Materiał z kamery dworcowej został już nadpisany. Podobnie jak nagranie z kamer na burtach wagonów.

— Na czym?

— Na burtach. Tak się mówi. Możesz mi wierzyć, w zakresie terminologii kolejowej jestem teraz ekspertem.

Olga nie zamierzała tego kwestionować. Patrzyła w okno, ale zamiast melancholijnego pejzażu mazowieckich pól pod ciemną kopułą nieba widziała jedynie odbicie swojej twarzy. Przymknęła na chwilę powieki, starając się przywołać formujący się w jej głowie obraz zabójcy. Potężnie zbudowanego faceta, który pozbawił życia trzech twardych drani — z taką łatwością, z jaką inni zdmuchiwali świeczki na urodzinowym torcie.

— Tam była przestrzeń.

— Słucham?

— Na tym peronie. W dwóch pozostałych razach, a także — jak sądzę — w przypadku tego kolejarza z Olsztyna zabójca atakował w zamkniętej przestrzeni. Mógł do końca pozostawać niewidoczny. Mógł zaskoczyć...

— No i?

— Na peronie w Pomiechówku to było niemożliwe. Nie mógł zaskoczyć tego de cośtam...

— De Wayhera — odpowiedziała Agata.

— No właśnie. A to znaczy, że stoczył z nim pojedynek. Przecież ten de Wayher nie przyklęknął i nie nadstawił głowy. Musiał walczyć.

— Musiał albo nie musiał... Też wolałabym, żeby to było prostsze. Zawęzić poszukiwania do dwumetrowców, najlepiej byłych komandosów. Niestety ten de Wayher miał pewien feler.

— Co miał?

— Pewną wadę. Przy tych wszystkich swoich zaletach. — Mrugnęła okiem. — Otóż de Wayher był alkoholikiem. Podobno często stawiał się w pracy po piwie... Albo kilku.

— I był kierowcą?

— Jeździł po działce, z której pozyskuje się glinę, prywatną drogą. Czasem zabierali mu kluczyki. Właściciel chyba bał się go wyrzucić... Tak twierdzi,

ale sędzę, że po prostu wolał przymknąć oko. Lepszy taki kierowca niż żaden. Nie sędzę, by miał wielu kandydatów na jego miejsce.

— Czyli w chwili śmierci był pijany?

— Wiele na to wskazuje, ale na wyniki trzeba poczekać. Nie można po prostu pobrać krwi. Czy wiesz, co się dzieje z krwią w ciągu miesiąca od śmierci?

Olga pomyślała o tych wszystkich starych trupach, które widziała podczas pracy we Lwowie.

— Pewnie nic, co ułatwiłoby badania — odparła lekkim tonem, a potem wyjrzała przez okno zdziwiona coraz większą liczbą mających w ciemności światła. Pociąg zauważalnie zwolnił. — Czy to Ciechanów?

— Tak jest — potwierdziła Agata, wciągając czapkę. — Witaj w mieście seksu i biznesu.

Ironiczna uwaga Agaty wydała się Oldze nieuzasadniona. Jadąc taksówką, najpierw dostrzegła malownicze zamkowe mury, a potem zabytkowe śródmieście. Owszem, pora roku nie sprzyjała zachwytom, ale obiektywnie rzecz ujmując, miasto mogło się podobać. W pociągu obiecała sobie, że nie będzie się wychylać, ale nie wytrzymała i wyraziła głośno swoje zdanie.

— To się tu przeprowadź — burknęła Agata.

W pociągu nałożyła na moment maskę równiachy, ale gdy tylko opuściły stację, wszystko wróciło do normy.

Taksówka minęła roгатki miasta, by kilkaset metrów dalej skręcić w polną drogę i klucząc w ciemnościach, dowieźć je do celu podróży. Obiekt nosił szumną nazwę hotelu, ale bynajmniej go nie przypominał. Kojarzył się trochę z cyrkowym barakiem, a trochę z pałacem strachów. Nad przekrzywionym kominem srebrzył się sierp księżycy.

— Czy mam zaczekać? — spytał niechętnie taksjarsz.

— Nie, proszę jechać.

Olga odniosła wrażenie, że mu ulżyło. Ruszył z miejsca niczym kierowca



wścigowego bolidu, wyrzucając spod kół drobne okruchy szutru. Chwilę później tylne światła zmieniły się w dwa czerwone punkciki. Gdy znikły, ciałem Olgi wstrząsnął dreszcz. Była dziewczyną z miasta. Nie lubiła takich klimatów.

Posesja była ogrodzona płotem, w którym brakowało połowy sztachet. Przed wejściem do budynku warował pies — duży brytan nieokreślonej rasy, który na dźwięk ich kroków zerwał się w panice i uciekł w krzaki. Przez uchylone okno na parterze słychać było dźwięki głośnej rozmowy, w której wzajemne wyrzuty przeplatały się z przekleństwami. Przy oknie, na rozciągniętym sznurze, wisiały jakieś brudne szmaty.

— Milutko. Co oni mówią?

Olga nadstawiła uszu, usiłując wyłowić z padających co rusz inwektyw jakąś merytoryczną treść.

— Skarżą się na ceny podstawowych dóbr — powiedziała wreszcie, nie precyzując, że chodzi o papierosy i alkohol. — No i kwestionują moralność własnych matek. Typowa męska rozmowa.

Drzwi nie miały zamka. Wgniecenie w ich środkowej części wskazywało na to, że ktoś w przypływie animuszu wypłacił im kopniaka. Olga bezpośrednio po przybyciu do Polski również zamieszkała w takiej komunie, ale w tamtych czasach standardy były jednak trochę wyższe. Albo po prostu miała kiepską pamięć.

Nie było tu portiera. Naprzeciwko wejścia wisiała kartka z napisem w trzech językach: po polsku, ukraińsku i rosyjsku. *Proszę dzwonić*. Przy przycisku dzwonka doklejono strzałkę. Przycisk był pęknięty i wysmarowany substancją, która wyglądała jak zaschnięte wymiociny.

Na schodach pojawili się dwaj mężczyźni. Szli w milczeniu, koncentrując uwagę na tym, by nie zlecieć ze stopni. Gdy Olga chrząknęła, ich pierwszą reakcją było niedowierzanie. To nie było miejsce, w którym pojawiały się kobiety. Olga nie znała ani jednej, która mogłaby tu wytrzymać.

— W którym pokoju mieszka Wasyl Zajcew?

— Nie rozumiem — odparł pierwszy z nich łamaną ruszczyzną. Prawdopodobnie były to jedyne słowa, które znał. — Bartuś, co te ślicznotki ode mnie chcą? Powiedz im, że nie mam pieniędzy.

Kompan rzeczywiście to powtórzył — tylko trochę mniej kalecząc rosyjski. Gdy Olga powtórzyła — tym razem po polsku — że szukają Wasyla Zajcewa, obaj zgodnie wzruszyli ramionami.

— Nie trzymamy się razem. Ukraińcy sobie, a my sobie. Pani spyta na drugim piętrze.

Zerknęła na Agatę, która przyjęła rolę biernego obserwatora, a potem ruszyła po schodach. Drugie piętro powitało je gryzącym zapachem taniego tytoniu, ale było tutaj trochę ciszej niż niżej, na poziomie polskim. Zza pierwszych drzwi dobiegały odgłosy starej piosenki zespołu Ruki Wwierch. Olga ominęła je szerokim ruchem. Uznała, że osoba, której gusty muzyczne zatrzymały się na końcówce lat dziewięćdziesiątych, nie będzie najlepszym informatorem.

Następny pokój był pusty, a w jeszcze kolejnym na łóżku chrapał owłosiony drab w samych slipkach. Olga zwalczyła pokusę, by nakryć go kocem. Od strony nieszczelnych okien wionęło chłodem, ale drab mógłby niewłaściwie zinterpretować troskliwy gest. Zniecierpliwiona jej brakiem szczęścia Agata przypuściła szturm na sąsiednie drzwi. Wparowała w sam środek jakiejś imprezy. Olga dostrzegła w jej ręce policyjną blachę. Słusznie. Były w cywilu. Z każdą chwilą rosło prawdopodobieństwo, że ktoś weźmie je za kobiety lekkich obyczajów.

— Czy ktoś z was... — zaczęła, ale wtedy jej wzrok padł na stolik.

Obok niemal pełnej butelki — opróżnione stały rządkiem na podłodze — ustawiono zdjęcie przewiązane czarną wstążką. Wiadomość o śmierci Wasyla Zajcewa dotarła tutaj przed nimi. Olga uznała to za interesujące. Zgromadzeni w pokoju mężczyźni zegnali go w sposób, który uznali za najbardziej odpowiedni. Ze szklanką w dłoni.

— Spytaj, czy to jego pokój — podpowiedziała Agata, która również

dostrzegła wyeksponowaną fotografię.

Olga spełniła tę prośbę, licząc zgromadzone głowy. W pokoju przebywało dziewięciu mężczyzn. Ręce, w których trzymali swoje szklanki, nosiły ślady ciężkiej pracy. Pachniało brudnymi skarpetkami. Po jej pytaniu zapadło milczenie. Uznała je za naturalne. Emigranci woleli unikać rozmów z policją. Na początku była taka sama. Chociaż w przeszłości też nosiła mundur, na widok przechodzącego patrolu tłuło jej serce, a tajniacy, tacy jak dzisiaj one, przyprawiali ją o palpacje.

Zauważyła, że oczy ośmiu spośród mężczyzn spoczęły na dziewiątym. Powtórzyła pytanie, kierując je teraz bezpośrednio do niego. Był mały i wychudzony, a z policzka zwisała mu narośl, która zaalarmowałaby każdego onkologa. Nie wyglądał na przywódcę.

— Pan jest jego bratem?

Pokręcił głową. Wypity alkohol nie poprawił mu nastroju. Jego twarz emanowała smutkiem.

— Brat wyjechał. Jestem kolegą. To znaczy... chyba byłem, ale... — Zebrał się w sobie. Kolejne słowa wypowiadał już bardziej składnie. — Przyjechaliśmy do Polski tym samym autobusem, z Łucka. I zawsze trzymaliśmy się razem. To było jego łóżko. On na górze, a ja na dole...

Łóżko, które wskazał, było piętrowe. Wszystkie łóżka były piętrowe. Pokój budził skojarzenie z internatem. Z internatem o bardzo obniżonym standardzie.

— To jego rzeczy? — Olga wskazała na starą torbę i kilka elementów garderoby rozrzuconych na górnym posłaniu.

— Nie. Jego rzeczy zabrali przecież pani koledzy.

— Jasne — mruknęła zła na siebie, że w swym wnioskowaniu pominęła taką oczywistość.

Przeszukanie miejsca zamieszkania ofiary zabójstwa było przecież działaniem na wskroś rutynowym. Policja zapukała tu już wcześniej,

prawdopodobnie z samego rana. Za tym, że współmieszkańcy Zajcewa wiedzieli o jego śmierci, nie kryła się żadna tajemnica.

— Zostawili jego rzeczy do golenia — wtrącił jeden z mężczyzn. — Pożyczył mi krem i maszynkę. Nie wiem, czy to ważne...

Olga założyła, że nie. Nie była też szczególnie wstrząśnięta. Jej dwie najlepsze koleżanki też korzystały przez jakiś czas ze wspólnej maszynki. Proponowały nawet, żeby się przyłączyła, ale uznała, że nie ma co przesadzać z oszczędnością. Zwłaszcza w obliczu nowej choroby cywilizacyjnej, którą w Ukrainie stał się AIDS.

Chciała zadawać pytania według opracowanego po drodze scenariusza, ale zanim zaczęła, poczuła na ramieniu mocne szturchnięcie.

— Odseparuj go od innych — poleciła Agata.

Mówiła o facecie z Łucka. Olga sformułowała to polecenie w sposób możliwie delikatny, ale jej obawy okazały się przesadne. Pozostali mężczyźni posłusznie opuścili pomieszczenie. Nie zdążyli wypić aż tyle, by procenty zagłuszyły w nich naturalny respekt przed władzą.

— Poznał pan Wasyla w Polsce czy w Ukrainie?

Mężczyzna z naroślą odruchowo sięgnął po szklanekę, ale zdołał się powstrzymać.

— Poznaliśmy się w biurze pośrednictwa pracy. Jeśli chcesz się dostać do Polski, potrzebujesz z niego skorzystać. Załatwiają wszystkie formalności, zaproszenie...

Olga знаła te procedury na pamięć. Z autopsji.

— Kto go zaprosił?

— Deweloper. Stąd, z Ciechanowa. Pracowaliśmy tam do wiosny, ale potem splajtował. Ja poszedłem na inną budowę, a Wasyl załatwił sobie coś w Warszawie. Płacili lepiej, ale okazało się, że nie było warto...

Znów zerknął na szklanekę. Ból po stracie kolegi był autentyczny, a alkohol pomagał go uśmierzyć.

— Czy ma pan podejrzenie, kto mógł to zrobić?

Spodziewała się zaprzeczenia, ale ku jej zdziwieniu facet pokiwał głową.

— To przez baby.

— Przez jakie baby?

— No... kobiety. Wasyl nie umiał bez nich żyć. Miał najpierw taką jedną, w Ciechanowie. Salową w szpitalu. Ale się pokłócili. Dostał po gębie od jakiegoś jej brata czy szwagra... No i już tam nie jeździł.

— Chwileczkę.

Przełożyła jego wypowiedź Agacie, bo fizyczna agresja, której doświadczył Wasyl, wydała się jej ważną poszlaką.

— Spytaj, kiedy to było. Kiedy oberwał?

— Kiedy? — upewnił się kolega Zajcewa, zanim zaczęła tłumaczyć. Większość gości z Ukrainy, szczególnie tych z zachodniej części, znała podstawy polszczyzny już po miesiącu czy dwóch. Języki były do siebie podobne. — Jakoś na wiosnę. Pamiętam, że późno robiło się ciemno...

— Pomiń to na razie — poleciała Agata. Słowo „wiosna” brzmiało podobnie w obu językach. — Spytaj o inne kobiety.

Okazało się, że Zajcew był prawdziwym lowelasem. Oprócz kobiety z Warszawy, czyli znanej im już Mylenko, na przestrzeni ostatnich miesięcy prowadzał się z dwoma innymi. Można było śmiało założyć, że te znajomości nie ograniczały się do kwiatów, spacerów w świetle księżyca i figli między prześcieradłami.

— Czy stosował wobec tych pań przemoc fizyczną?

— Czy je bił? Nie, chyba nie. Wasyl był prędko do bicia, to fakt. Ale te dziewczyny były stąd, z drugiego pawilonu. Jakby którąś uderzył, miałby na karku całą społeczność. A taki głupi by nie był.

Okazało się zatem, że na terenie obiektu były również kwatery dla kobiet. Olga była ciekawa, czy wyglądają równie odpychająco, jak męskie, ale ta ciekawość miała pozostać niezaspokojona.

— Obie wróciły do siebie, do Ukrainy. Jedna na stałe, a druga na pewien czas. Poproszę kolegów, żeby ustalili, jak się nazywały...

— Dobrze. Czy to już wszystkie panie?

Ukrainiec niespodziewanie się roześmiał. Narośl podrygiwała niczym targane wiatrem winogrono.

— Nie, nie wszystkie. To był jeszcze dzieciak. Zakochał się, ale tak naprawdę. Kiedy sobie popił, siadał przy oknie i liczył gwiazdy. No i o niej opowiadał. Każdemu, kto chciał słuchać.

Agata, widząc zmianę w jego zachowaniu, zażądała wyjaśnień. Nie czekał na tłumaczenie.

— Nie wiem, jak się nazywa. Wasyl też pewnie nie znał jej imienia. Chociaż widywali się prawie codziennie.

Olga zmarszczyła czoło. To nie miało sensu.

— Gdzie się widywali?

— W pociągu. — Ukrainiec pokręcił głową, a potem zastygł w bezruchu, ze wzrokiem utkwionym w swojej szklance. — Ten wariat zakochał się w babce, która sprawdzała bilety.

— A może ta?

Olga zerknęła na ekran tabletu, który podrygiwał na kolanach Agaty. Na szczęście w tym momencie wyboje ustąpiły miejsca asfaltowi. Jej żołądek przestał wywijać fikołki.

— Trudno powiedzieć. Nie wiem, co podoba się takiemu prymitywnemu bydlakowi. Ta dziewczyna wygląda chyba zbyt subtelnie.

— To może ta?

Agata stuknęła w ekran. Miejsce szczupłej brunetki o nieśmiałym uśmiechu zajęła dorodna blondynka, pozująca do zdjęcia z takim wyrazem twarzy, jakby chciała zamordować fotografa.

— Nie chciałabym, żeby mnie złapała bez biletu.

— Aż tak źle? To może ta?

Pociągi na trasie Działdowo–Warszawa obsługiwało dwadzieścia siedem pięcioosobowych zespołów konduktorskich, czyli łącznie ponad sto

trzydzieści osób, a wśród nich — czterdzieści osiem kobiet. Agata wyświetlała ich zdjęcia. Niemal każda z nich mogła być tą, o której usłyszały przed chwilą od Ukrainca z naroślą. Obiektem intensywnych uczuć Wasyla Zajcewa. Agata skreśliła z listy jedynie kilka pań, które wykluczał wiek. Trudno przypuszczać, by trzydziestoletni facet o mało wyrafinowanym guście zakochał się w kobiecie starszej od własnej matki.

— A może ta?

Olga świetnie się bawiła. Nie sądziła, by dane jej było zasiąść w jury konkursu piękności, a tym bardziej że stanie się to w ramach pracy. Przyjrzała się zdjęciu i gwizdnęła.

— Kiedyś marzyłam o takich... — nie dokończyła, by nie peszyć kierowcy. Pani ze zdjęcia miała czym odetchnąć.

— A teraz już nie marzysz?

— Pogodziłam się z rzeczywistością — odparła, zastanawiając się, czy jej szefowa nie odbierze tego żartu osobiście, bo była płaska jak deska. — Ile ma lat?

— Trzydzieści.

— To chyba w sam raz. — Popatrzyła na zdjęcie. Kobieta była prześliczna, ale wydawanie werdyktów na podstawie zdjęcia z dowodu obarczone było ryzykiem błędu. — Odezdziesz się do niej?

— Odezwę się do dziesięciu, które wybierzemy. Jeśli żadna nie wskaże, że go kojarzy, zwrócę się do kolejnych...

— A czemu nie do wszystkich od razu?

— Żeby choć trochę ograniczyć plotki. Wiem, że i tak powstaną, ale może na trochę mniejszą skalę.

— Myślisz, że to jego uczucie może mieć znaczenie dla... naszej sprawy?  
— dokończyła niezręcznie, w ostatniej chwili powstrzymując się od określenia jej zabójstwem.

— Wszystko może mieć znaczenie — odparła sucho Agata, po czym zerknęła w kierunku kierowcy i ściszyła głos: — Z niespełnioną miłością jest

często więcej problemów niż z tą skonsumowaną. Rodzi mroczne instynkty...  
To tutaj?

Taksówkarz zatrzymał się przy krawędzi jezdni. To nie była ta lepsza część Ciechanowa. Okolica skojarzyła się Oldze z najgorszymi miejscami jej rodzinnego Lwowa. Blokowiskami Łyczakowa — dzielnicy, która polskim turystom kojarzy się jedynie z zabytkowym cmentarzem, a w której istnieją miejsca, gdzie lepiej nie zapuszczać się po zmroku. To gdzieś tutaj zameldowana była pierwsza partnerka Wasyla Zajcewa. Patrząc na grupkę wyrostków w bramie na wpół zrujnowanej kamienicy, można było zrozumieć, dlaczego ten związek zakończył się dla Zajcewa bęciami.

Agata zapłaciła za kurs i poszła wprost do rozbawionej młodzieży. Rozległ się pojedynczy gwizd, ale sekundę później — gdy machnęła blachą — zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Milczenie, które zapadło, nie było przyjazne.

— My do Natalii Wąsik. Jest w domu?

— Ja tam za nią nie biegam — burknął jeden z lokalnych urwisów, a potem skinął na towarzyszy i rzucił po poznańsku: — Wiara, idziemy.

Kamienica przypominała squat. Część okien zabito dechami, ale w niektórych świeciło się światło. Na fasadzie zachowały się jedynie resztki tynku, a drewniany, skośny dach w niektórych miejscach był wybrzuszony, a w innych się zapadał, ulegając stopniowo prawom grawitacji. Całość sprawiała wrażenie, jakby miała się rozlecieć przy pierwszej wichurze. Brak reakcji pracowników nadzoru budowlanego mógł świadczyć o poważnych zaniedbaniach. Lub o zbiorowej drzemce.

— Ale romantycznie.

Olga wskazała na wymalowane na drzwiach klatki serce, w które inna, mniej wprawna ręka wrysowała uproszczony zarys męskiego członka. Ale Agata nie przystanęła, by nacieszyć oczy pracą miejscowego artysty. Na drzwiach do lokali nie było numerów, jednak w ogóle się tym nie przejęła. Zapukała do pierwszych drzwi i już za pierwszym razem trafiła w dziesiątkę.

— Natalia Wąsik?



— Ta... A o co chodzi?

Dziewczyna miała długie, przetłuszczone włosy i pękaty ciążowy brzuch. Reszta elementów jej wyglądu pozostawała w zgodzie ze zdjęciem, które — razem z adresem — ściągnęli z policyjnej bazy danych. Stała w drzwiach, tarasując przejście. Z niewidocznego z klatki schodowej telewizora dobiegały głośne odgłosy meczu.

— Pani była partnerką Wasyla Zajcewa, zgadza się?

Kobieta miała dwadzieścia trzy lata, ale wyglądała na dziesięć więcej. Wyraźnie utykając, wyszła z mieszkania i zatrzasnęła drzwi.

— Nie tak głośno — burknęła, wskazując podbródkiem w stronę, z której jeszcze przed chwilą słychać było śpiewy kibiców i głos komentatora. — Mój narzeczony nie lubi, gdy się o nim wspomina. Po co go denerwować?

Denerwowanie kochającego futbol narzeczonego rzeczywiście było niepotrzebne, zwłaszcza że po ich odejściu mógł wyładować swą złość na ciężarnej partnerce. Olga nie miała co do tego wątpliwości. Znała takie miejsca i wiedziała, czego się spodziewać.

— On nie żyje — odezwała się obojętnym tonem, bo tak umówiły się z Agatą.

Jej przypadła rola policjanta przynoszącego hiobowe wieści. Agata zaś miała ocenić stopień zaskoczenia. Ale zaskoczenia nie było. Dziewczyna poprzestała na pogardliwym strzeleniu z gumy.

— Wiedziałam, że się doigra. — Zaklęła, długo i potoczyście. Dobór przekleństw był świadectwem swoistego kunsztu. Żadne nie powtórzyło się więcej niż raz. — Mam nadzieję, że zdychał długo i w cierpieniu.

— Zrobił coś pani?

— Uderzył mnie. — Dziewczyna wciąż była spokojna. Leniwym ruchem pogładziła się po brzuchu. To musiała być sama końcówka. Ósmy lub dziewiąty miesiąc. — I to nie raz. Za pierwszym razem go kryłam. Za drugim też, ale za trzecim już się nie dało. Złamał mi ząb.

Wyszczrzyła się, odsłaniając odbarwione, zepsute zęby. Olga z przykrością

skonstatowała, że dziewczyna będzie potrzebować sztucznej szczęki grubo przed trzydziestką. W obecnych czasach ludzie rzadko głodowali. Ubóstwo najlepiej widoczne było właśnie w uzębieniu.

— Sprawą zajęli się pani bliscy, tak?

— Zgadza się. Trochę go postraszyli. Więcej nie przyszedł. Została mi po nim tylko ta pamiątka.

Olga spodziewała się, że dziewczyna wskaże na brzuch, ale ta wyciągnęła rękę. Na dłoni miała srebrną bransoletkę, całkiem ładną.

— Narzeczony wie, że to od niego?

— Nie. I lepiej, żeby się nie dowiedział...

— To chyba wartościowa rzecz — wtrąciła Agata.

— Może i tak. Na pewno mi jej nie kupił.

— To skąd ją miał?

— Pewnie ukradł. — Powiedziała to takim tonem, jakby kradzież była czymś najnormalniejszym w świecie. — Umiał kraść. Nauczył się jeszcze w Ukrainie. Miał od kogo.

Olga zerknęła na Agatę, ale policjantka zachowała kamienną twarz. Informacja, że Zajcew był złodziejem, była dla ich śledczej układanki bardzo istotna. Tam, gdzie byli złodzieje, były także ich ofiary. Osoby, które miały motyw, by skrzywdzić sprawcę.

— Co konkretnie kradł?

Dziewczyna przez chwilę w milczeniu gładziła się po brzuchu. Niechęć do Zajcewa rywalizowała w niej z brakiem sympatii do organów ścigania. Ostatecznie uzmysłowiła sobie chyba, że informacje, które przekaże, i tak nie zostaną wykorzystane.

— Twierdził, że był krawcem. Ale ile w tym było prawdy, a ile głupiego gadania...

Określenie „krawiec” było archaiczne, ale w tej kamienicy nie raziło. Oznaczało kieszonkowca. A ulubionym miejscem pracy kieszonkowców były

środki transportu publicznego. Tak więc znów na pierwszy plan trafiły pociągi...

— To w końcu kradł czy nie?

— Nie sędzę. Mocny to on był, ale głównie w gębie. Zresztą... co ja tam mogę wiedzieć? Zapytajcie jego braciszka.

— Anatola Zajcewa, tak? Pani go zna?

— Tylko ze słyszenia. — Podeszła do drzwi mieszkania i przyłożyła do nich ucho. — Mój narzeczony zaraz zawoła, żebym szła po piwo...

— Nie pójdzie pani po to piwo — zakomunikowała Agata. — Chcemy z nim pogadać i lepiej, żeby był trzeźwy. Ale najpierw niech pani nam powie... Co konkretnie pani słyszała o Anatolu Zajcewie?

— Nic ciekawego. Siedzi.

— W zakładzie karnym?

— Tak. Posadzili go właśnie za kradzieże. W Działdowie.

Olga nabrała powietrza, a potem wypuściła je z cichym sykiem. Z KRK wynikało, że w tamtym areszcie siedział nie tylko brat zamordowanego Wasyla Zajcewa, ale także druga z ofiar.

Recydywista Zbigniew de Wayher.

Następny dzień był tak szary i ponury, że Olga, gdy obudził ją dźwięk budzika w telefonie, naciągnęła kołdrę na głowę. Budzik był jednak bezlitosny — dziesięć minut później zadzwonił po raz drugi. Półprzytomna powlokła się pod prysznic. Puściła wodę i zaczęła nucić najnowszy kawałek Sanah. Gdy spłukała włosy, komórka odezwała się po raz trzeci. Dzwoniła Agata.

— Dotarłaś bezpiecznie? — spytała, zawijając włosy w turban ręcznika.

Rozstały się wczoraj tuż przed północą, na Centralnym. Wróciły z Ciechanowa tym samym pociągiem, który dzień wcześniej przywiózł Zajcewa.

— Jak to dotarłam? Dopiero wyruszyłam. — W tle można było dosłyszeć dźwięki radia i miarowy szum silnika. Ty jeszcze śpisz?

Olga owinęła się drugim ręcznikiem. W mieszkaniu było za zimno. Powinna włączyć kaloryfery, ale szkoda jej było kasy.

— Nie śpię. Jedziesz do Działdowa?

— Tak jest. A ty przyjedź do Pałacu Mostowskich i zapytaj o Dawida Lizakowskiego. Zanotowałaś? O Dawida...

— Lizakowskiego.

— Super. No to cześć.

Połączenie zostało przerwane. Olga pozbyła się ręczników i wróciła pod prysznic, ale gorąca woda nie sprawiała jej takiej przyjemności jak przed rozmową, a kawa, którą zrobiła po wyjściu z łazienki, miała cierpki smak. Tak smakowało odstawienie na boczny tor. Liczyła na to, że Agata weźmie ją ze sobą. Razem przecież wpadły na trop, który wiódł do Działdowa, a konkretnie — do aresztu śledczego. Miejsca, w którym przebywali równolegle Zbigniew de Wayher, czyli ofiara z Pomiechówka, oraz Anatol Zajcew, brat Wasyla. Odkryciu temu pikanterii dodawał fakt, że Anatol Zajcew opuścił areszt miesiąc temu i rozpląnął się w powietrzu. Tak więc do trzech ofiar zabójcy z młotem, czyli kibola, damskiego boksera i przestępcy recydywisty, dołączyła potencjalnie czwarta.

Skazany złodziej.

Był oczywiście jeszcze kolejarz, ale akurat on nie pasował do układanki. Natomiast pozostała trójka (a z Anatolem czwórka) była niczym odlana z jednej formy. Wiele wskazywało na to, że klucz do sezamu ukryty jest właśnie w Działdowie. Za kratami dochodziło do wielu nieprawości, z których znaczna część bez wątplenia była warta krwawej zemsty.

Olga bardzo chciała tam być. A zamiast tego czekało ją rendez-vous z jakimś Lizakowskim...

Dopiero na miejscu, w siedzibie komendy stołecznej, uzmysłowiła sobie, że Lizakowski jest tym funkcjonariuszem Archiwum X, który zajmował się w ramach śledztwa wątkiem naśladowcy. Nieco udobruchana czekała przy dyżurce, aż po nią zejdzie. Okazał się jeszcze dzieciakiem, i to

wymoczkowatym. Szklą okularów miał białe od pary oddechu wydostającego się spod maseczki.

— Tutaj. — Zamachała mu przed twarzą.

Przedstawił się, a potem wyciągnął na przywitanie rękę, wypuszczając z niej plik papierów. Kartki rozsypały się po całym przedsionku, a kilka pofrunęło w przeciagu dalej, do holu głównego.

— To coś ważnego? — spytała, bo część papierów opadła na mokry fragment posadzki i pod wpływem wilgoci zaczęła tracić czytelność.

— To tylko mała ściągawka. Dla ciebie. Żebyś nie nudziła się w drodze.

Agata nie mówiła nic o żadnej drodze, ale Oldze było wszystko jedno. Pomogła nowemu koledze pozbierać upuszczone wydruki i rzuciła okiem na jeden z nich.

— Kto to? — spytała, przyglądając się wydrukowanemu zdjęciu. Było niewyraźne i słabo nasycone. Facet wyglądał niczym zjawa. Przymrużyła oko. — Czy to biały mnich z zamku w Ogrodzieńcu?

— Na zamku w Ogrodzieńcu nigdy nie było białego mnicha. Według legendy pojawia się tam jedynie duch czarnego psa.

Wypowiedział ten żart ze śmiertelnie poważnym wyrazem twarzy, więc gdy oddawał klucze, sprawdziła tego czarnego psa w Internecie i okazało się, że wcale nie żartował. Uznała, że nie będzie lekko.

— To jedna z ofiar Dariusza Arkanowicza — podjął, przytrzymując przed nią drzwi. — Na tych kartkach jest pełne dossier popełnionych przez niego zabójstw. Wszystko jest ułożone chronologicznie. — Spojrzał na pozbierane z posadzki kartki, niektóre ze śladami błota. — To znaczy... było ułożone, ale nie przejmuj się. Mamy przed sobą długą drogę.

Prowadził ją przez bramę na wewnętrzny parking. Obok radiowozów stały tam również auta cywilne. Zatrzymał się przed jednym z nich i zaczął przeszukiwać kieszenie.

— Dokąd jedziemy?

— Do Gostynina. Mamy się tam spotkać z Dariuszem Arkanowiczem, tylko

że ja... chyba nie wziąłem kluczyków.

Policja była formacją złożoną i wielowarstwową. Było w niej miejsce dla różnych ludzi, także tych odbiegających od stereotypu policjanta, ale Olga nigdy nie zetknęła się w służbie z aż takim cudakiem. Skryła się pod dachem i czekała. Tak długo, że zdrętwiały jej nogi.

— Przepraszam... — Zjawił się ponownie, gdy zaczynała już tracić nadzieję. — Nie mogłem znaleźć, ale w końcu się udało. Przeczytałaś?

Popatrzyła na niego ze znużeniem.

— Tylko kilka kartek. Resztę postanowiłam zachować na tę długą drogę.

— Bardzo słusznie — pochwalił.

Zrozumiała, że lepiej przy nim nie dowcipkować.

Nerwowość, z jaką jej nowy partner stawiał czoło nasilonemu ruchowi ulicznemu, uniemożliwiała zarówno rozmowę, jak i lekturę. I bez wpatrywania się w drobny druk Oldze robiło się niedobrze. Odetchnęła dopiero wtedy, gdy wyjechali na trasę A-2. Zgoda, chłopak wciąż naprzemiennie dodawał gazu i przyhamowywał, ale na autostradzie nie było to tak irytujące.

Miała wiele pytań, ale postanowiła zacząć od kwestii, która nurtowała ją najbardziej:

— Mam rozumieć, że nie rozmawialiście jeszcze z Arkanowiczem?

Partner chwycił mocniej za kierownicę i przyhamował przed ciężarówką. Prowadził tak, jakby dopiero wczoraj zdał egzamin na prawo jazdy.

— To byłoby nielogiczne. Oczywiście, że rozmawialiśmy z nim wcześniej. Ale z nim jest pewien problem. To pierwsza rzecz, o której powinnaś się dowiedzieć. On bardzo niechętnie rozmawia z kimkolwiek. Przez kilka pierwszych lat odsiadki nie odzywał się w ogóle. Prowadzono nawet badania w kierunku stwierdzenia u niego wtórnego mutyzmu, ale ostatecznie nie postawiono żadnej diagnozy. Szczęśliwie zaczął się odzywać, ale selektywnie.

Olga domyśliła się, że mutyzm oznacza zaburzenia mowy, ale przy ostatnim słowie mogła tylko rozłożyć ręce.

— Jak?

— Odzywa się tylko w towarzystwie wybranych osób. Na przykład więziennego psychologa. Albo kobiety, z którą się ożenił... Tych osób jest garstka, a dziś możemy wreszcie skorzystać z obecności jednej z nich.

— Pan psycholog znalazł chwilę czasu? — spytała sarkastycznie.

— Nie, mówiłem o żonie. Ma na nas czekać.

— To super. Czy mógłbyś tak nie szarpać?

— To stary wóz — stwierdził, a potem nie wiedzieć czemu zredukował biegi.

Silnik wszedł na takie obroty, że jeszcze moment, a wyskoczyłby spod maski.

— Widziałeś go już wcześniej?

— Arkanowicza? Dwa razy. To specyficzny gość.

— Serio?

— No tak. To siedmiokrotny zabójca. — Zabębnił palcami po kierownicy, czekając na moment, w którym będzie mógł wyprzedzić lawetę z rozbitym pojazdem. — Wychowywał się w niepełnej rodzinie, a potem trafił do internatu. Nigdy tego nie powiedział, ale zgromadzone materiały pozwalają domniemywać, że był tam poddawany szykanom przez rówieśników lub wychowawców. Według opinii psychologa to wtedy rozwinęła się w nim osobowość maniakalno-depresyjna...

— Aby to stwierdzić, nie trzeba chyba dyplomu psychologa.

Oderwał wzrok od drogi.

— A czy ja mówię, że trzeba? Omawiam tylko, co jest w papierach. Wszystkie jego ofiary, z wyjątkiem ostatniej, to młodzi mężczyźni kiepskiej proweniencji.

— Czego?

— Kiepskiego pochodzenia. Z nizin społecznych. Ci mężczyźni, co do jednego, byli agresywni i wulgarni. Musieli mu się kojarzyć z oprawcami z internatu. Tak jest w opinii i trudno się z tym nie zgodzić. W papierach masz

szczegółowy opis każdego przypadku, więc jeśli jesteś, jak większość ludzi, wzrokowcem...

— Nie jestem jak większość ludzi. Jestem wyjątkowa. Czy mógłbyś mi o tym opowiedzieć?

Nie był złotoustym mówcą, ale miał umysł jak komputer. Przywoływał kolejne fakty z taką swobodą, jakby przez całe życie nie zajmował się niczym innym, tylko sprawą tych siedmiu zabójstw. W jego opowieści co rusz pojawiały się nowe nazwiska: ofiar, świadków i śledczych, a także miejsca: Świnoujście, Łowicz, Olsztynek... Olga nie usiłowała wszystkiego zapamiętywać. Liczył się kontekst, a ten... był jednoznaczny. Tamte zabójstwa były bliźniaczo podobne do tych z teraźniejszości.

Opowiadając, zapomniał o tym, że prowadzi. Jazda stała się płynniejsza. Przestał nadużywać hamulca. Olga przez chwilę grzebała w pamięci, usiłując wydobyć z niej właściwe imię.

— Słuchaj, Dawid... Czy ten Arkanowicz nie miał czasem jakiegoś psychofana?

Dobra passa nie mogła trwać długo. Policjant nadepnął na hamulec — tak mocno, że kierowca jadącego za nimi tira użył klaksonu.

— Też o tym myślałem. W trakcie pobytu w więzieniu dostał ponad setkę listów. Liczba piszących zawsze oscylowała wokół jednego czy dwóch na rok, ale w ostatnich latach wzrosła dziesięciokrotnie. Na przykład w tym roku otrzymał listy od czternastu osób. Czternastu potencjalnych naśladowców.

Olga westchnęła. Czasy, w których przyszło jej żyć, stawały się coraz dziwniejsze. Liściki do seryjnego zabójcy... Jak można być aż tak popieprzonym?

— Macie ich na oku?

— Dwa listy były anonimowe. Pozostałych nadawców obserwujemy. Podobnie jak tych z lat poprzednich. W większości są to osoby z udokumentowanymi zaburzeniami, ale zdarzają się wyjątki. Jednym z nich jest jego żona.



— Nie mów mi, że jest normalna.

— Nie mówię. Ale pod względem formalnym to zupełnie zdrowa osoba. Jestem bardzo ciekaw tego spotkania. Mój serdeczny przyjaciel pisze o tym doktorat.

— O czym?

Gwałtownie przyspieszył. Olga odruchowo złapała za uchwyt nad drzwiami.

— W skrócie: o partnerach osób skazanych za najcięższe przestępstwa. Coś mi mówi, że rozdział o żonie Arkanowicza będzie taką wisienką na torcie.

— Z pewnością. A jak uda się przy okazji złapać jego ucznia, to będzie miał fajny temat na habilitację.

Oczywiście nie załapał, że żartowała. Odczekała, aż skończył tłumaczyć, że na obecnym etapie życia przyjaciel wcale nie myśli o habilitacji. A potem, już zupełnie poważnie, podzieliła się z nim swym autorskim przemyśleniem:

— Słuchaj, Dawid, a może spróbować z drugiej strony? Mamy punkty wspólne: tu i tu ofiarami są młodzi mężczyźni, z marginesu, agresywni... No i w obu przypadkach...

— W obu sekwencjach przypadków, tak?

— No tak. W obu sekwencjach ofiary giną od mocnych ciosów ciężkim narzędziem. Jedź prosto, okej?

Szarpnął kierownicą, wracając na swój pas.

— Chodzi o to, że koncentrujemy się na tym, co wspólne. Co identyczne lub podobne. A może powinniśmy przyjrzeć się różnicom?

Zwolnił i popatrzył na nią z dziwnym wyrazem twarzy. Czy to był zachwyt? Wolą się nad tym nie zastanawiać.

— Co o tym myślisz?

— To fascynująco nieszablonowe. Żałuję, że sam na to nie wpadłem. Różnic jest rzecz jasna wiele, dobrze byłoby to rozpisać...

— Spróbujmy to najpierw przegadać — zaproponowała, a on pokiwał głową na zgodę.

— Zaczniemy od różnicy zasadniczej. Kwestia stosunku do zwłok. Zabójca z teraźniejszości po prostu je porzuca.

— A Arkanowicz? Jaki był jego... stosunek do zwłok?

Dawid przyspieszył, przyhamował, a potem znów przyspieszył. Uśmiech, który zagościł na jego twarzy po raz pierwszy od chwili, gdy się poznali, był cokolwiek makabryczny.

— Osobliwy. Okaleczał narządy płciowe.

Pociąg psychofizyczny do sprawców najcięższych przestępstw miał w psychologii swoją nazwę — hybristofilia. Zwykle ulegały mu osoby doświadczone przez los. Ofiary gwałtu, molestowania lub przemocy domowej. Życiorys Sabiny Arkanowicz nie potwierdzał tej teorii. W wywiadzie, którego udzieliła wkrótce po ślubie, zapewniała, że jej życie — zanim zakochała się w Dariuszu — było zupełnie normalne. Zwyczajne. No i śmiertelnie nudne. Związek z Arkanowiczem nadał jej życiu nowy sens. Pokazał, że można czuć bardziej. Kochać mocniej. Od dwóch lat nie ustawała w staraniach, by jej ukochany wyszedł na wolność. Pisała w tej sprawie wszędzie. Nawet do Hagi.

W materiale, który ukazał się kilka miesięcy temu w dodatku kobiecym jednego z największych dzienników, było jej jedno zdjęcie, ale zrobione w taki sposób, by nie ukazywać twarzy. Sabina Arkanowicz bała się hejtu. Twierdziła, że związek z Dariuszem nawet bez publikacji wizerunku naraził ją na wiele ciężkich prób, wśród których na pierwszym miejscu wymieniała zerwanie stosunków z rodziną. Nie chciała stać się celem ataku ze strony — jak to określiła — ciemnego ludu. Nie przyjmowała rad od ludzi, którzy chcieli przeżyć za nią jej własne życie. Była niezależna. I bezkompromisowa. Pomiedzy wierszami można było wyczytać, że uważa się za kogoś wyjątkowego. Bohaterkę, która wydała wojnę skostniałym przesądom.

Olga wyobrażała ją sobie jako nawiedzoną wariatkę, ale kobieta, która czekała na nich obok zaparkowanego między drzewami land rovera, wcale tak nie wyglądała. Miała na sobie typowy kostium pracownika korporacji. Spod

rozpiętego płaszcza wyglądał fragment marynarki i kołnierzyk białej koszuli. Trzymała też parasolkę — gdy wysiedli z samochodu, złożyła ją ze świstem, który przywodził na myśl dźwięk towarzyszący opadającej gilotynie.

— Cześć. Jestem Sabina. — Wyciągnęła w kierunku Olgi wypielegnowaną dłoń. A potem odwróciła się do Dawida, który z wrażenia aż upuścił blachę. — Dziękuję, że wpadliście. To dużo dla nas znaczy.

Nie pasowała do tego miejsca. Do dzikiego leśnego parkingu przy wysokim ogrodzeniu, za którym mieścił się ośrodek dla bestii, czyli — formalnie rzecz ujmując — Krajowy Ośrodek Zapobiegania Zachowaniom Dysocjalnym. Jej delikatna uroda kojarzyła się z murami wyższej uczelni. Salą koncertową. Lobby teatru. Albo biblioteką.

Ale na pewno nie z ośrodkiem, w którym przetrzymywano ludzi tak niebezpiecznych, że wymagających odizolowania. Morderców i dewiantów seksualnych.

Olga wyczytała w sieci, że Sabina Arkanowicz, aby być bliżej ukochanego, zamieszkała w sąsiedniej wiosce. Samochód, którym przyjechała, miał jednak warszawskie blachy. Do jedenastej, czyli godziny, na którą się zapowiedzieli, zostało jeszcze kilkanaście minut. Nie mając ochoty na rozmowę o pogodzie, która tego dnia nie była bynajmniej zachwycająca, Bojko zapytała o tę rozbieżność. Wyjaśnienie okazało się najprostsze z możliwych.

— Samochód jest na firmę. Prowadzę agencję public relations. Mamy biuro przy Miodowej, ale większość czasu i tak spędzam tutaj. Pracuję online i dzięki temu mogę częściej przebywać z moim Dariuszem.

Widząc, jak w oczach kobiety zapalają się iskierki uczucia, Olga miała ochotę zapytać o wiele rzeczy, ale przecież nie była tu po to, by kogokolwiek ewangelizować. Dlatego spośród wszystkich nasuwających się pytań wybrała to najbezpieczniejsze:

— Jak często go pani odwiedza?

— Codziennie. To okropne miejsce. — Wskazała na ogrodzenie i się wzdrygnęła, a potem rozłożyła parasol. Osiadająca na włosach i ubraniu

mżawka stawała się dokuczliwa. — Znacznie gorsze niż więzienie. Mam szczerą nadzieję, że ten koszmar wkrótce się skończy.

Olga miała na końcu języka uwagę o innym koszmarze — koszmarze bliskich, którzy stracili ukochaną osobę, bo pewien psychopata postanowił zabawić się w mściciela i rozwalił jej czaszkę. A potem, jakby tego było mało, uchlastał przyrodzenie. Powstrzymała się w ostatniej chwili.

— Sądzi pani, że pani mąż wyjdzie na wolność?

— Wierzę w sprawiedliwość. I w mądre państwo. Takie, które potrafi docenić prawdziwą przemianę, no i chęć udzielenia pomocy. Myśli pani, że co ja tu robię?

— Pomaga pani.

— Tak jest. Wam... i Dariuszowi. Wprost trudno uwierzyć, jaki postęp zrobił w ostatnich miesiącach. Nasz ślub sprawił, że narodził się na nowo. Chcemy założyć rodzinę.

— A jak się poznaliście?

— Korespondencyjnie. Poznałam jego sprawę... Zawsze interesowałam się kryminologią. Uznałam, że rządzący zrobili mu krzywdę, przenosząc go po wyroku w to straszne miejsce. Czy nie uważa pani, że każdy zasługuje na drugą szansę?

Odpowiedź Olgi brzmiałaby, że nie, ale postanowiła jej nie udzielać.

— Chodźmy już — zaproponowała, wskazując na radiowóz, ale małżonka Arkanowicza pokręciła ze smutkiem głową.

— Ja muszę skorzystać z wejścia dla odwiedzających. Przez wartownię. Muszą mnie obszukać. Sprawdzić, czy nie wnoszę Dariuszowi narkotyków albo pornografii...

— Czy są tutaj pokoje dla małżeństw?

Kobieta roześmiała się drwiąco, ale nie był to szczerzy śmiech.

— Sama pani zobaczy, jak tam jest. To białe małżeństwo. Ale mam nadzieję, że już niedługo.

Oczekiwała chyba współczucia, ale Olga nie była aż tak empatyczna.

— Nie myślała pani, by się wstrzymać? — Kobieta spojrzała na nią, unosząc brwi. — Wstrzymać się ze ślubem. Do czasu, aż pani wybranej znajdzie się na wolności.

Brwi powędrowały jeszcze wyżej, niemal pod linię zaczesanych do tyłu włosów.

— Nie mogłam czekać. Nie umiałabym... I nie mogłabym tego zrobić Dariuszowi. On chciał tego ślubu. To było jego marzenie.

— No tak. — Olga miała już dość tej wymiany zdań. Ukrywanie swych prawdziwych emocji na dłuższą metę było bardzo męczące. — Ale... przecież by pani nie uciekł.

Uwaga była niedelikatna i Olga natychmiast jej pożałowała, lecz ku jej zdziwieniu żona Arkanowicza nie okazała urazy. Przeciwnie, rysy jej twarzy nagle zmiękły.

— Pani myśli, że to takie proste... Fizycznie by nie uciekł, ale zawsze mógł ożenić się z inną.

— Niby z kim? Chyba nie znalazłaby się druga taka... — na końcu języka miała słowo „desperatka”, ale w ostatniej chwili się opamiętała — taka kobieta jak pani — dokończyła zgrabnie.

— Sęk w tym, że by się znalazła. Dariusz miał wiele propozycji matrymonialnych.

— Poważnie?

— Przynajmniej siedem. Część od kobiet młodszych ode mnie.

Olga powstrzymała się od komentarza. Świat zmierzał w kierunku, który zdecydowanie jej się nie podobał.

Zastępca dyrektora ośrodka powitał ich na wewnętrznym parkingu mieszczącym się pod wiatą. Chyba spodziewał się kogoś wyższego rangą. Usłyszawszy, że ma do czynienia ze starszą posterunkową i sierżantem, zamienił z nimi tylko kilka słów, po czym przekazał ich w ręce starszawej pani psycholog.

— Tylko proszę was... Pamiętajcie, że jesteście wśród groźnych psychopatów — ostrzegł na koniec z surową miną, niczym dyrektor szkoły upominający rodziców, by wycierali buty.

Ośrodek mieścił się w jednopiętrowym budynku, wkomponowanym w rozciągający się wokół las. Między fasadą a wysokim białym ogrodzeniem odcinającym teren od świata zewnętrznego znajdował się zrudziały trawnik. Psycholożka powiodła ich wzdłuż ogrodzenia — obok białej ściany składała się na nie również wewnętrzna warstwa z siatki. Nie było tu wieżyczek dla strażników ani drutu kolczastego, ale wszędzie znajdowały się kamery. Olga odniosła wrażenie, że jest ich tu nawet więcej niż na Centralnym.

— Ładnie tu — stwierdziła, gdy wyszli z budynku na niewielki plac z ławeczkami, wypielęgnowanym żywopłotem i kilkoma drzewami.

Psycholożka posłała jej zmęczony uśmiech.

— Kurort to nie jest, ale robimy, co się da.

Ośrodek nie kojarzył się Oldze z kurortem, lecz raczej z położonym na odludziu sanatorium. Nawet powietrze zdawało się pachnieć solanką. Taki zapach wydzielały zapewne chłostane deszczem sosny.

— Idziemy do sali widzeń?

— Zrobimy najpierw szybki test.

— Z zasad bezpieczeństwa?

— Nie. Na covid.

Wprowadziła ich do niewielkiego pomieszczenia w baraku przylegającym do budynku. Olga ściągnęła mokrą jak szmata maseczkę i dała sobie wetknąć do nosa długą słomkę z wacikiem.

— Na wiosnę mieliśmy tu falę zakażeń. Tej jesieni jest lepiej, ale też zdarzyły się przypadki... Na szczęście tym razem nikt nie umarł, ale kilkanaście osób z personelu wylądowało na izolacji. Te testy to nasza jedyna broń przed katastrofą. Żaden szpital nie chciałby przyjmować takich pacjentów.

— Ilu macie tu zatrzymanych?

— Używamy określenia „pacjenci”. Jest ich dokładnie dziewięćdziesięciu.

— Aż tylu?

Psycholożka zrobiła smutną minę.

— Czasem sama się dziwię, że jest ich tak wielu. I że tu z nimi wytrzymujemy. Nasz personel to, obok pracowników ochrony, głównie pielęgniarki i lekarze. Zwykli, tacy jak wszędzie indziej.

Testy na covid wypadły pomyślnie. Podążając za psycholożką, opuścili barak i przeszli do głównego budynku. Wrażenie pobytu w sanatorium zniknęło wyparte przez poczucie, jakby znaleźli się w dobrze wyposażonym domu dziecka. Sprzęty były nowe, a ściany pomalowano na różne kolory. Było tu kilka roślin, a na ścianach zawieszono barwne obrazki kwiatów.

— To jest ta sala widzeń?

— Tak jest — potwierdziła psycholożka, siadając na wzorzystej kanapie i odkładając przybory do notowania na niski stolik. — Staramy się zapewnić pacjentom i odwiedzającym możliwie swobodne warunki. To element terapii.

— Rozumiem. — Olga popatrzyła w górę, na wycelowaną w nich kamerę. Wcale nie czuła się tu swobodnie. — Czy będzie pani przy przesłuchaniu?

— Oczywiście. — Psycholożka powiedziała to w taki sposób, jakby chciała ją uspokoić. — Oprócz pani Sabiny i mnie w sali będą obecni dwaj pracownicy ochrony. Takie są procedury... I tak nakazuje zdrowy rozsądek.

— Arkanowicz bywa agresywny?

— Ostatnio nie. Ale w przeszłości bywaliśmy zmuszeni ubierać go w kaftan. Teraz ma prawidłowo dobrane leki, no i jest pani Sabina. Ma na niego dobry wpływ. Zobaczycie, jak bardzo jest otwarty. W porównaniu z tym, co było przedtem, to prawdziwy przełom.

— Wyjdzie stąd kiedyś?

Psycholożka pokręciła głową.

— Wiem, że to nie jest idealny powód, ale świat też nie jest idealny. Nikt nie weźmie na siebie takiego ryzyka. Jeślibyśmy go puścili, a on

zamordowałby kolejną osobę... Psychologia nie jest nauką ścisłą, psychiatria również. Nie da się przewidzieć, co zrobi... O, jest.

Szczęknięły drzwi. Najpierw do pomieszczenia sali widzeń zajrzał mężczyzna w drelichu ochrony. Upewnił się, że wszystko jest w porządku, po czym obrócił się przez ramię.

— Pan wchodzi, panie Arkanowicz.

Dariusz Arkanowicz wyglądał zupełnie zwyczajnie. Był szczupły i niewysoki, a siwe włosy miał przystrzyżone przy samej skórze. Jediną cechą fizyczną, która wyróżniałaby go z tłumu szczupłych pięćdziesięciokilkulatków, była zajęcza wargą. Sprawiała, że wyglądał na zniesmaczonego. Ten niezależny od niego wyraz twarzy mógł być przyczyną szykan, które spotykały go w przeszłości. Tak niestety działała psychologia zamkniętej grupy rówieśniczej — ludzie różniący się od innych nie mieli łatwego życia.

— Dzień dobry. — Dawid odchrząknął, by pozbyć się chrypki. Od kiedy znaleźli się na miejscu, wypowiedział może ze dwa słowa. Nie był w stanie uczestniczyć w luźnych rozmowach. Koncentrował się wyłącznie na Arkanowiczu. — Panie Dariuszu, możemy zacząć? Ja nazywam się...

Mówił w taki sposób, jakby czytał z kartki, ale żadna kartka nie była mu potrzebna. Miał zdumiewającą zdolność do zapamiętywania nawet długich tekstów. Pamięć rekompensowała w jego wypadku całkowity brak spontaniczności. Zachowywał się jak robot, ale Arkanowiczowi w ogóle to nie przeszkadzało. Nie okazywał emocji.

Po prostu milczał.

— Czy zna pan okoliczności zabójstw, do których doszło w ciągu ostatnich dwóch miesięcy na trasie kolejowej między Działdowem a Warszawą?

Milczenie.

— Czy okoliczności tych zabójstw skłaniają pana do przypuszczeń, że ktoś postanowił wcielić się w pańską postać z przeszłości?

Milczenie.



— Czy jest pan w stanie wskazać osobę bądź osoby, które mogły poczuć się zainspirowane tym, co robił pan dwadzieścia osiem lat temu?

Milczenie.

— Czy w sekwencji dokonanych zabójstw dostrzega pan jakąś prawidłowość, która mogłaby nas naprowadzić na ślad sprawcy?

Milczenie.

— Albo zidentyfikować następną potencjalną ofiarę?

Milczenie.

— Albo czas lub miejsce następnego ataku?

Milczenie.

Arkanowicz sprawiał wrażenie, jakby błędził myślami gdzieś bardzo daleko. Psycholożka obserwowała tę jednostronną wymianę zdań z umiarkowanym zainteresowaniem, a ochroniarze wyglądali na znudzonych. Ich jedynym zmartwieniem było to, by Arkanowicz nie zrobił krzywdy — sobie albo odwiedzającym. Na razie siedział spokojnie i nic nie wskazywało na to, by stan ten miał ulec zmianie. A przynajmniej nie w najbliższej przyszłości.

— Mogę? — spytała szeptem Olga, gdy na wymoczkowatym obliczu Dawida pojawiły się pierwsze symptomy zniechęcenia.

Kiwnął głową, więc zaczęła od najprostszego z pytań.

— Ile pan ma lat?

Arkanowicz nie odpowiedział, ale udało jej się osiągnąć przynajmniej tyle, że na nią spojrzał. Miał dziwne oczy. Puste i pozbawione wyrazu. A może było to tylko złudzenie? Projekcja tego, co podpowiadała jej podświadomość? W końcu seryjny zabójca powinien mieć puste spojrzenie, prawda?

Nie, jego oczy były zupełnie normalne. Może tylko trochę podkrążone, ale nie bardziej niż u innych mężczyzn po pięćdziesiątce.

— Nosi pan okulary do czytania?

Znów nie odpowiedział. Miał chyba jeden z tych gorszych dni, o których wspominał Dawid.

— Czy ma pan wiele propozycji matrymonialnych?

Zajęcza warga drgnęła. Albo go zaswędziała, albo jej słowa wywołały reakcję. Tylko jaką? Rozbawienie? A może złość?

— To nie ma sensu — stwierdziła.

I wtedy Arkanowicz się uśmiechnął. W pierwszej chwili Bojko pomyślała, że do niej, ale była w błędzie. Przez drzwi zewnętrzne wkroczyła do sali widzeń żona mordercy w towarzystwie jeszcze jednego ochroniarza.

— Już dobrze, kochanie. Jestem. — Zbliżyła się do niego i musnęła palcami jego gładko ogolony policzek. — Dlaczego nie zaczekaliście, aż przyjdę? On jest cały roztrzęsiony.

Być może widziała więcej niż inni. Zdaniem Olgi Arkanowicz nie był roztrzęsiony, tylko przeciwnie — rozluźniony. Pozycja, którą przyjął w swoim fotelu, byłaby naturalniejsza u nastolatka niż u mężczyzny w sile wieku. Stawy, mimo upływu lat, wciąż miał elastyczne. Być może dlatego, że od dwudziestu ośmiu lat nie wykonywał żadnej pracy.

— Kolega ma sporo pytań. Niestety odnoszę wrażenie, że pani mąż...

Arkanowicz uniósł dłoń. Zaskoczona umilkła. Jego głos był zaskakująco wysoki.

— Czytałem w Internecie wszystko, co napisali o tych dwóch morderstwach. Wykorzystałem na to cały czas, który przysługiwał mi przy komputerze.

Dawid drgnął, jakby ktoś ukłuł go szpilką.

— Czy pana zdaniem mogła to być robota naśladowcy?

Arkanowicz wzruszył ramionami.

— Mam mało danych. Jakiego narzędzia używał sprawca?

On sam, jak wynikało z przytoczonych w sieci zeznań, posługiwał się młotkiem murarskim owiniętym bawełnianą tkaniną. Wyjaśnienie, po co była mu ta tkanina, było trywialne. Prozaiczne. Ukrywał młotek za paskiem spodni. Nagi obuch był zimny. W kontakcie z nim marzł mu brzuch.

— Nie wiemy. Zabójstw było więcej niż dwa. Czy ich liczba może mieć

znaczenie?

— Dla mnie nie miała. Przypisano mi siedem, a to niby magiczna liczba... Ale takie teorie mogą stawiać tylko naiwniacy. Kto normalny będzie się kierował tą, no...

— Numerologią — odpowiedziała mu małżonka, po czym podjęła próbę takiej interpretacji tej wypowiedzi, która postawiłaby męża w mniej niekorzystnym świetle. — Dariusz nie twierdzi, że zabijanie jest normalne. Podważa tylko sens stosowania numerologii jako czynnika determinującego różne dziedziny życia.

Gdyby Olga nie wiedziała, w jaki sposób Sabina Arkanowicz zarabia na życie, uznałaby ją za wariatkę, która zaklina rzeczywistość. Ale to nie było zaklinanie rzeczywistości, tylko public relations.

— Czy przychodzi panu do głowy ktoś, kto mógłby się zainspirować pańskimi zbrodniami?

Arkanowicz sięgnął po dłoń swojej małżonki. Być może zrobił to bezwiednie, ale Olga nie była w stanie wykluczyć czegoś przeciwnego.

— Nie będę ukrywać, że są ludzie, których moja historia fascynuje. Ale to nie takie proste. Nie można ot tak sobie wstać od stołu i dokonać zbrodni. Czy wie pani, jak to jest?

Zwrócił się bezpośrednio do Olgi. Było to o tyle zaskakujące, że do tej pory rozmawiał z Dawidem. Jeden z ochroniarzy porzucił swą znudzoną pozę, drugi wciąż sprawiał wrażenie, jakby drzemał.

— Czytałam o tym w „Glamour”. — Olga nie była wystraszona.

— Chyba jednak nie — skwitował Arkanowicz. — Morderstwo jest trudne. Technicznie. Ludzka czaszka jest cholernie twarda. Trzeba dobrze się zamachnąć, ale prawie nigdy nie udaje się zabić już pierwszym ciosem. Mnie udało się to tylko raz. Najczęściej po pierwszym ciosie musi przyjść drugi, leje się krew, ślina, mocz, kał... Trzeba mieć dużo siły i naprawdę mocne nerwy. Ludzie, którzy do mnie piszą, są rozchwiani. Nawet gdyby chcieli, nie ma w nich... determinacji. Mam powtórzyć?

— Nie trzeba — odparła psycholożka, do której skierował to pytanie.

Odpowiadając, nie przestała notować. Z jej miny można było wywnioskować, że pacjenci nieczęsto aż tak się otwierają. Dawid także był podekscytowany. Być może myślał o doktoracie przyjaciela.

— Czyli nie sądzi pan, że może to być robota jakiegoś pańskiego... fana?

— Ma pan na pewno dostęp do mojej korespondencji. Niczego nie gwarantuję, ale... nie sądzę.

— Przed dwoma tygodniami zginął od ciosu w głowę pracownik PKP, niejaki Jacek Twardygrosz. — Dawid zawiesił głos, czekając na reakcję. Gdy ta nie nastąpiła, westchnął ciężko. Było widać, że nie czuje się komfortowo w roli przepytującego. — Konduktor, tak jak pan... No i Florian Zaniewski.

Arkanowicz spojrział na Dawida zupełnie inaczej niż dotychczas. Zniknął wyraz uprzejmego zdziwienia potęgowany przez zajęczą wargę. Pojawiło się zainteresowanie.

— Oni mają podobno takie radyjka, w których mogą wcisnąć alarm.

— Nasza ofiara nie zdążyła niczego wcisnąć. Morderca dopadł ją w toalecie. Pan też zrobił to kiedyś w toalecie.

— Ale nie z Zaniewskim. Zaniewski został zabity w przedziale konduktorskim, prawda? — Uśmiechnął się. Małżonka posłała mu ostrzegawcze spojrzenie, ale kompletnie ją zignorował. Z uśmiechem przyglądał się pani psycholog, która zapełniała pochyłym pismem kolejną stronę notatnika. — Czy jeśli wam pomogę, będę mógł liczyć na cofnięcie mojej kary?

Małżonka spiorunowała go wzrokiem, ale wyglądało na to, że w ich związku to on jest stroną dominującą, a ona — mimo pewności siebie, którą może dać tylko sukces zawodowy — pełni rolę bluszczu.

— Czy wypuścicie mnie wreszcie?

Tym razem to on zadawał pytania, a Dawid był tym, który milczał. Nie był upoważniony do prowadzenia negocjacji, a sposób, w jaki funkcjonował jego

umysł, uniemożliwił improwizację. Olga postanowiła podać mu pomocną dłoń.

— To zależy od tego, co pan nam da.

— A jeśli dałbym wam coś, co sprawi, że go dorwiecie?

Olga już wiedziała, jak to rozegrać. Arkanowicza zdradziły dłonie. Mówiąc o drugim zabójcy, bezwiednie zaciskał pięści. Psychole tacy jak on nie lubią konkurencji.

— Mogę obiecać, że informacja o udzielonej nam pomocy znajdzie się w pańskich aktach.

— To za mało — nie wytrzymała Sabina. — To zdecydowanie za mało. Żądamy...

— To wszystko, co możemy wam dać — przerwała jej Olga, patrząc cały czas na Arkanowicza. — To nie są negocjacje...

— To są negocjacje!

— Da mi pani skończyć? To nie są negocjacje, które wygracie. Bo jeśli wyjedziemy stąd z niczym, to do akt trafi coś innego. Informacja o odmowie...

Zabrakło jej słów, ale Arkanowiczowa zrozumiała. Była wściekła. Być może na męża, ale prawdopodobnie na siebie. Nie powinna dopuścić, by jej mąż przedstawił swą ofertę pomocy na zasadach transakcji wiązanej. Ale było już za późno, by to cofnąć.

— Dariuszku, przecież ty nic nie wiesz...

— Coś tam wie. — Olga wciąż miała przed sobą zagniewanego zwyrodnialca, który zaciskał pięści. — Panie Dariuszu, prosimy...

Sabina Arkanowicz zwiesiła głowę, a jej mąż poczerwieniał. Olga ze zdziwieniem stwierdziła, że to nie złość, tylko... wstyd.

— Przeczytajcie sobie mój wyrok. Tam jest wszystko, czego potrzebujecie.

Olga przyszpiliła go wzrokiem.

— Jeśli pan sądzi, że zadowolimy się jakimś cholernym rebusem, to jest pan w błędzie. Kawa na ławę, okej? Co jest nie tak z tym wyrokiem?

— Nic. To znaczy... wyrok odzwierciedla prawdę.

Nie rozumiała ani tych enigmatycznych uwag, ani jego zawstydzenia. Ignorując wszystkich obecnych, zwróciła się bezpośrednio do Dawida.

— Czaisz coś z tego?

— Chyba... czaję — odparł z namysłem, a potem spojrział na Arkanowicza.

— Chodzi panu o to, że wyrok zapadł w sprawie tylko pięciu zabójstw, tak? Nie siedmiu, tylko pięciu?

— Zgadza się. Tylko pięciu.

— A co z pozostałymi dwoma?

Arkanowicz na moment podniósł oczy. Oldze bardzo nie spodobało się to, co w nich zobaczyła.

— Nie zabiłem tej ostatniej dwójki. Zaniewskiego i tego... Bosackiego. Zrobił to ktoś inny.

— Ale kto?

Arkanowiczowi opadła głowa. Wciąż się wstydził, że wtedy, przed laty, przypisał sobie cudze zbrodnie. Zbrodnie, które w swym chorym postrzeganiu traktował jako osiągnięcia. Był kompletnie popieprzony. Nie było mowy, by kiedykolwiek wyszedł na wolność.

— Myślę o tym każdego dnia, od dwudziestu ośmiu lat. I nie mam pojęcia. Nie wiem, kto to zrobił. Wiem tylko, że był silniejszy. Robił to lepiej.

— I sądzi pan, że teraz... powrócił?

Arkanowicz pokiwał głową, a potem wstał z krzesła i cisnął nim o ścianę. Ochroniarze w ciągu sekundy przygnietli go do podłogi. Nie walczył. Z jego ust padło jeszcze jedno, ostatnie zdanie:

— Mam nadzieję, że kiedyś się spotkamy.

## 5.

Woda za falochronem była tak spokojna, jakby ktoś wylał w tym miejscu cysternę oliwy. Kuba Bosacki poruszył sterem, korygując kurs. Bujanie ustało. Obaj amatorzy rybackich wypraw, którzy zapłacili mu za możliwość uczestnictwa w dzisiejszym połowie, wciąż byli zielonkawi, ale w ich udręczonych oczach pojawiła się nadzieja. Jeden z nich usiłował nalać herbaty z termosu, lecz ręka trzęsała mu się tak bardzo, że wciąż gorąca ciecz wylądowała w dziewięćdziesięciu procentach na pokładzie.

— Jeszcze dziesięć minut i staniecie panowie na stałym lądzie — powiedział z fałszywą uprzejmością. Nie znosił turystów, ale ekonomia była nieubłagana. Miał do spłacenia tyle kredytów, że liczyła się każda stówka. — Akurat w porze obiadu — dodał, chociaż nie sądził, by choroba morska opuściła ich od razu po zejściu z jego kutra.

W głębi duszy wcale im nie współczuł. Widok ich cierpienia poprawiał mu nastrój.

O dach kabiny zabębniły lodowate krople deszczu. Port rybacki, do którego zmierzali, znajdował się trzysta metrów od ujścia Dziwny. Gdy minęli kapitanat, Bosacki skręcił w lewo — najpierw łagodnie, a potem bardzo ostro. Chwilę później chrząknął na chłopaka. Ten poprawił sztormiak, po czym — kuląc się z chłodu — wyszedł w objęcia ulewy i zaczął się przygotowywać do cumowania.

— No, panowie. Nie było tak źle, prawda?

Starszy z mężczyzn chrząknął i nie odpowiedział. W trakcie połowu rozdarł rękawicę i lewą dłoń miał teraz purpurową. Jego syn trzymał się trochę lepiej. Wysączył z termosu resztki herbaty i przeciągnął się z udawaną nonszalancją.

— Fajnie zobaczyć, jak to wygląda w praktyce. Naprawdę ciężka robota. Zwłaszcza przy takiej pogodzie.

Pogoda była taka, jak zwykle. Ani lepsza, ani gorsza. Bosacki przesunął swą sztywną od brudu czapkę na tył głowy.

— Chcą panowie kupić świeżą rybkę?

Spodziewali się, że dostaną ją w prezencie, ale oczywiście zapłacili, i to więcej niż w sklepiku przy centrali. Przeliczył wilgotne banknoty i wsadził je niedbale do tylnej kieszeni portek. Chwilę później zatrzymali się na swoim miejscu — ten leniwy pętał chciał pognać od razu do ciepłego magazynu, ale głos Bosackiego osadził go w miejscu.

— Ogarnij najpierw kabinę.

— Dobrze, wujku — odparł natychmiast, ale nie zdołał ukryć niechęci.

Nikt nie lubi sprzątać wymiocin.

— Migiem.

Sprowadził pasażerów na nabrzeże i od razu o nich zapomniał. Tak jak się spodziewał, nie zagadnęli go o te pięćdziesiąt złotych, które miał im wydać na łądzie. Mieli serdecznie dosyć morskich przygód, ale Bosacki był pewien, że jutro lub pojutrze znów zgłoszą się do niego jacyś frajerzy. Reklama jego usług wisiała na stronie pensjonatu teścia. Codziennie oglądało ją mnóstwo osób.

Na dnie kutra leżał dywan z fląder, przetykany w kilku miejscach kolistym tułowiem turbota. Westchnął, myśląc o czekającej go robocie. Cuchnące ryby należało przetransportować do chłodni. Nie mógł zlecić tego zadania w całości chłopakowi. Gówniarz mógł się poskarżyć, a on nie chciał znów zadzierać z rodziną żony.

Nie chciał znów usłyszeć, że bez ich kasy byłby gołodupcem.

Poczuł parcie na pęcherz. Ruszył w stronę toalet, ale nagle się zatrzymał. Przed wejściem do magazynu stał jakiś wielki facet. Bosacki parsknął na widok kolorowej parasolki, która pasowała w tym miejscu jak kwiatek do kożucha.

— Jak mogę pomóc? — warknął. Żona powtarzała mu, że powinien być



milszy, ale to nie szło w parze z jego naturą. Zresztą uważał, że lepiej być szczerym niż miłym. — Halo! Co pan tu robi? To własność prywatna.

Po cichu liczył na to, że facet się zachnie. Miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i atletyczną budowę ciała. Bosacki lubił się bić, ale nie z byle kim. W jego kartotece wciąż wisiał wyrok za oklep, który spuścił jakiemuś ratownikowi z Warszawy. Tamten od razu pobiegł na komisariat, ale ten... Mimo pedalskiej parasolki facet nie wyglądał na takiego, który poskarży się policji.

— Słyszysz, chłopie? Czego tu szukasz?

Facet nie mógł być klientem. Ci zawsze najpierw dzwoniли albo załatwiali sobie rejs w recepcji pensjonatu. Nie wyglądał też na urzędnika. Jego strój był zbyt kosztowny. Nie miał czapki. Włosy — jak na gust Bosackiego trochę zbyt długie — płały swobodnie w podmuchach chłodnej bryzy.

— Pytam się...

— Pan Bosacki? Pan wybaczy, ale nie lubię przekrzykiwać się z wiatrem.

Bosacki zmierzył go ponurym wzrokiem. Facet sprawiał wrażenie kompletnie odprężonego. W jego postawie nie było nawet cienia szacunku.

— Czego pan chce?

— Pogadać. Ale nie tutaj. Ten zapach jest odrażający.

Prawdopodobnie mówił o woni złowionych ryb, ale Bosacki wziął to do siebie. Miał świadomość, że także cuchnie. Należał do rybaków, którzy nie znosili wody, nawet tej, która lała się z prysznic. Chciał powiedzieć coś obraźliwego, lecz nagle zmienił zdanie. Facet już się nie uśmiechał. Był dziwny. Trudno było go rozgryźć.

— O czym chce pan rozmawiać?

— O pieniądzach. Sporych... Raczej sporych, ale to oczywiście kwestia punktu odniesienia. Pan pozwoli, że się przedstawię. Olgierd Zaniewski. Reprezentuję kancelarię adwokacką Lloyd & Hughes z Londynu i chciałbym porozmawiać z panem o prawach do spadku.

W głowie Kuby Bosackiego odezwały się dzwonki alarmowe. Nie wierzył

w pieniądze, które spadają z nieba. Do pieniędzy można było dojść jedynie ciężką pracą. Albo — jak w jego przypadku — dobrze się ożenić.

— Masz jakąś legitymację?

— Nie mam. Ale to chyba nie powód, byś nie mógł mnie wysłuchać, mój nieufny kolego. Przed dwoma laty w Londynie umarł niejaki Oscar Hartzell. Nie był szczególnie bogaty, ale pozostawił po sobie mieszkanie, samochód i trochę oszczędności. I żadnych żyjących krewnych. Czy mam mówić dalej?

— Jeśli musisz. — Bosacki wciąż nie był pewien, czy mężczyzna, który przed nim stoi, nie jest oszustem. Gdyby tak się okazało, mógł w każdej chwili wrzucić go do basenu portowego i przekonać się, czy facet umie pływać w zimnej wodzie. — Co ja mam wspólnego z tym Oskarem Harpunem?

— Oscarem Hartzellem — poprawił go facet, jakby to, jak nazywał się zmarły Brytyjczyk, miało jakiegokolwiek znaczenie. — Otóż pan Oscar Hartzell był synem lotnika z Dywizjonu 303. Czy już się pan domyśla, do czego zmierzam?

— Ni cholery.

Facet żartobliwie pogroził mu palcem.

— A czy wśród pana przodków nie ma wojennego bohatera?

Bosacki chciał odpowiedzieć, że w życiu o nikim takim nie słyszał, ale w ostatniej chwili się zawahał. Wyjął z kieszeni zmiętą paczkę i wyłuskał z niej najmniej skrzywionego papierosa. Tak naprawdę nigdy nie interesowały go rodzinne historie. Nie było na nie czasu. Matka, żeby wyżywić jego i młodszą siostrę, tyrała od świtu do nocy, a wieczorami zasypiała przed telewizorem z butelką piwa w dłoni. Któregoś ranka po prostu się nie obudziła. A ojciec... Ta historia była jeszcze smutniejsza. Jeździł koleją, aż pewnego dnia go zabili. Nie pamiętał nawet jego twarzy. Ani twarzy dziadków, którzy odeszli, gdy był jeszcze bardzo mały.

Skąd, do cholery miał wiedzieć, czy miał wśród przodków pilota, który złomotał bachora jakiejś Angielce?!

— Nie lubię grzebać w historii. Pan powie wprost: ile, i ile pan za to chce.

— Jakieś sto tysięcy funtów. Mieszkanie było zadłużone. A jeśli o mnie chodzi, to zero. Moje wynagrodzenie opłaca kancelaria.

— Nie chce pan czegoś na koszty manipulacyjne?

— A czy ja wyglądam jak księżę z Nigerii? Pan powie, jak to było z tym przodkiem. Formalności biorę na siebie.

Fakt, że na stole było sto tysięcy funtów, czyli w przeliczeniu na polską walutę jakieś pięćset tysięcy złotych, odebrał tej historii skazę abstrakcyjności. To były duże pieniądze, ale nie takie, które zmieniłyby jego życie. Jego teść zarabiał tyle na czysto w jeden sezon.

— Nie wiem, jak to było z tym lotnikiem. To znaczy był ktoś taki, ale...

— Nazywał się Bosacki. Jan Bosacki.

— Aha. — Kuba zapalił papierosa, szybko kalkulując. Niczego nie ryzykował, a jakby przyniósł do domu pięćset tysięcy... Może ta dziwka, jego żona, przestałaby się tak wywyższać. I przestałaby wysyłać z nim swojego bratanka, żeby patrzył mu na ręce. — Jest problem. To przodek ze strony mojego ojca, a ojciec od wielu lat nie żyje. Nie mam niestety żadnych papierów, które mógłbym okazać. Żadnego dowodu, że ten Jan był moim przodkiem. Prawdę mówiąc...

— Spokojnie. — Mężczyzna uśmiechnął się pokrzepiająco. Ta jego parasolka... Może nie była aż tak pedalska? — Brytyjskie prawo jest na szczęście trochę inne niż polskie. Papier nie jest tam najważniejszy. Liczą się fakty, które pan poda.

— Jakie fakty?

— Z historii pańskiej rodziny. Schowajmy się gdzieś. Pan mi opowie, ja zapiszę... Za kilka miesięcy sprawa będzie rozpoznana.

— Tylko... Od czego mam zacząć?

— Niech pan zacznie od ojca. Potem już jakoś pójdzie.

Bosacki wyjął klucze. Trochę trzęsły mu się ręce, ale zdołał trafić do zamka. O kim jak o kim, ale o ojcu mógł opowiadać.

I to taką historię, że mecenas wyskoczy z butów.

Magazyn wyposażony był po spartańsku, ale w buczonej lodowce znalazł się czteropak piwa. Dzieciak wciąż był zajęty na łodzi. Bosacki wychylił się na zewnątrz, by profilaktycznie go opieprzyć, po czym wrócił do swojego egzotycznego gościa.

— To był włóczęga. Mój ojciec. Matka mówiła, że nie umiał usiedzieć na miejscu. Wcześniej, gdy jeszcze nie było mnie na świecie, zatrudnił się w cyrku. Matka żartowała, że jako klaun, ale tak naprawdę robił za tragarza, bo w wędrownym cyrku zawsze jest mnóstwo rzeczy do przeniesienia... Ta robota na kolei była dla niego spełnieniem marzeń. Nie był nikim ważnym — maszynistą czy konduktorem. Pracował w Warsie, czyli wagonie restauracyjnym. Takiej jeżdżącej knajpie, która w tamtych czasach była podczepiona pod każdy większy pociąg. Podróżował po niemal całym kraju. Obsługiwał, zdaje się, trasę Świnoujście–Olsztyn, z przystankiem w Warszawie.

— W Warszawie? To chyba nie po drodze.

— Może coś pokręciłem, ale chyba nie. Matka mówiła, że jechał w jedną stronę piętnaście godzin, i to jeśli nie było opóźnień. Potem nocował w Olsztynie i przez następne piętnaście godzin wracał do Świnoujścia. Czyli nie było go przez trzy dni. Napijesz się jeszcze piwa, Olgierd?

Facet okazał się naprawdę sympatyczny. I chyba zależało mu na tym, żeby wypłacić ten spadek. Historia o śmierci ojca zrobiła na nim duże wrażenie. Bosacki podejrzewał, że facet zwyczajnie mu współczuje. Uwielbiał ludzi o miękkich sercach. Tak łatwo robiło się ich w bambuko.

— Kim był ten świr, który go zabił?

— Nie pamiętam w tej chwili nazwiska, ale to była bardzo głośna sprawa. Na pewno można coś znaleźć w Internecie. To może chyba pomóc, nie?

— Na pewno. Im więcej śladów w sieci, tym większa wiarygodność. Ten typ był kolejarzem, prawda?

— Konduktorem — uściślił Bosacki. — Często jeździli razem z moim tatą. Znali się. Byli na ty i w ogóle. Nie rozumiem, dlaczego mój tata skumał się z takim człowiekiem, z mordercą. Matka mówiła, że był naiwny, ale żeby aż tak?

— To stało się w Świnoujściu, prawda?

Bosacki napił się piwa, a potem złapał Anglika za ramię. Facet był Polakiem, ale Anglik to była niezła ksywa. Pachniała pieniędzmi. Angielskimi funtami.

— Nie przerywaj, dobrze? — Znów łyknął piwa, a potem udał, że jest wzruszony. — Niełatwo mi o tym mówić. Rodzina... Czy jest na tym świecie coś ważniejszego?

Zrobił stosowną pauzę i pociągnął nosem. Gość milczał z szacunkiem, prawie nie tknąwszy swojego piwa. Bosacki przez chwilę rozważał, czy nie posłać chłopaka po coś mocniejszego, ale to nie był chyba najlepszy pomysł. Mniejsza już o to, że gówniarz nie miał osiemnastu lat. Przeważało przeświadczenie, że w tej sytuacji należy zachować trzeźwy umysł. Po pijaku mógł łatwo się wygadać. Powiedzieć, że nigdy nie słyszał o pradziadku lotniku i nie wierzy, by jakikolwiek z jego przodków wzniósł się w przestworza.

— To była późna wiosna, jeszcze przed sezonem. Miałem wtedy pięć lat. Powinienem już spać, ale jeszcze nie spałem. Zobaczyłem ich przez okno. Policjantów w mundurach. Podeszli do mojej matki na środku podwórka. A ona upadła na kolana. Taka wiadomość potrafi zabić.

Pociągnął nosem. To, co mówił, nie odpowiadało w stu procentach prawdzie, ale było jej bliskie. Rzeczywiście zobaczył tamtego wieczoru policjantów, którzy przyszli, by zawiadomić ich o śmierci ojca. Ale matka wcale nie rozpacziała, bo ojciec był wiarołomnym sukinsynem, który wydawał pół pensji na dziwki i alkohol. Tak twierdziła nawet wtedy, gdy dogorywała w szpitalnym łóżku. Dzień, w którym dowiedziała się, że ojcu ktoś rozwalił czaszkę, był jednym z najlepszych dni jej smutnego życia.

— Znaleźli go — podjął, upiwszy łyk piwa — przy zejściu na plażę. Tym pierwszym na lewo od ujścia Świny.

— W Świnoujściu?

— A niby gdzie uchodzi Świna? Tak, w Świnoujściu. Bardzo blisko stacji PKP. Zwłoki leżały tam od kilku dni. W krzakach. Podobno znalazła je jakaś wycieczka zakonnica.

Zarechotał, bo zawsze go to bawiło, ale szybko zdusił śmiech. Taki rechot w obliczu nagłej śmierci mógł być odebrany jako niestosowny. Na szczęście gość z Londynu nie zwrócił na to uwagi. Był zbyt pochłonięty opowieścią. Pochylił się do przodu i nie odrywał wzroku od ust rybaka.

— Jak to się stało?

Bosacki zmarszczył czoło. Zarówno wtedy, jak i później wokół śmierci ojca krążyło mnóstwo plotek. Trudno było oddzielić ziarno od plew.

— Widziano ich, jak szli razem brzegiem morza. Mojego tatę i tego mordercę — stwierdził niepewnie.

— Kto ich widział?

Bosacki jeszcze bardziej wysilił pamięć.

— Zdaje się, że stary Walendziak. Prowadził kiosk, przy samej plaży. To było wieczorem, i dlatego pomyślał, że to podejrzane. Dwóch facetów na spacerze? I jeden z nich to mój ojciec? Przecież tata nie był pedałem.

— Mogę porozmawiać z tym Walendziakiem?

Bosacki pokręcił niechętnie głową.

— To by pomogło, tam, w tym sądzie, prawda?

— Na pewno by nie zaszkodziło.

— Niestety, facet nie żyje. — Bosacki zdjął czapkę i podrapał się po tłustych włosach. Chciał, aby gość wyszedł od niego zadowolony. Mógł mu napisać banialuk, ale bał się, że facet go sprawdzi. Wyglądał na wścibskiego. Po namyśle uznał, że najlepsza będzie szczerść. — Ten Walendziak był pijakiem. I często zmyślał. Ludzie wiedzieli, że pieprzy trzy po trzy. Bo przecież w nocy przy tamtej plaży nie było żadnych świateł. Ciemno jak

u Murzyna w dupie... Niby jak mógł rozpoznać mojego ojca? No i zabójcę, skoro nigdy go nie widział?

Prawnik pokiwał głową. Bosacki odniósł wrażenie, że zrobił to z satysfakcją.

— Tamtego faceta złapali i osądziła — dodał. — Ale kiedy matka chciała się sądzić o odszkodowanie, powiedzieli jej, że nic z tego. Nie było dowodów. Facet poszedł siedzieć za inne morderstwa, a to na moim tacie nie zostało rozliczone.

Zgrzytnął zębami. Pamiętał, jak liczył na to odszkodowanie. Może byłoby na buty, a tak musiał dalej chodzić w tych podartych.

Gość z Londynu zapisał coś w notesie. Bosacki wciąż obawiał się, że to za mało, ale nagle spłynęło na niego natchnienie.

— Zostałem sam. Tata nie zdążył mi opowiedzieć o dziadku ani pradziadku...

— Nie szkodzi. To, co usłyszałem, w zupełności mi wystarczy.

Mężczyzna podniósł się i uściśnął mu dłoń, a potem wyszedł z magazynu. Bosacki zobaczył jeszcze, jak rozkłada swą fikuśną parasolkę, po czym jego barczystą sylwetkę pochłonęła gęsta mgła. Rybak był tak zaskoczony, że dopiero kilkanaście sekund później uzmysłowił sobie, iż nie ma do przybysza żadnego kontaktu, nawet numeru telefonu.

— Szlag by to... — Wybiegł na deszcz, ale na nabrzeżu zastał tylko chłopaka, siedzącego na mokrym betonie. — Dokąd on polazł?!

Gówniarz machnął ręką w nieokreślonym kierunku. Zmęczony i zmarznięty był w stanie myśleć jedynie o suchym wnętrzu i ciepłym posiłku. Bosacki miał ochotę sprzedać mu kopniaka. Zaklął i wtedy zobaczył samochód. Stare combi sunące powoli dróżką wzdłuż nabrzeża.

Dopał do samochodu w kilku susach i szarpnął za klamkę, ale drzwi były zamknięte. Samochód zwolnił jeszcze bardziej. Zaparowana szyba zaczęła się opuszczać, odsłaniając najpierw kapelusz, a potem ciemne okulary.

— Przepraszam — wybąkał Bosacki. — Pomyliłem się.

Kobieta kiwnęła głową. Zanim podniosła szybę, dostrzegł, że jej twarz szpecą różowe blizny. Odruchowo się cofnął. Niewiele brakowało, a wpadłby w zimne objęcia Dziwny.

— Co za cholera? — mruknął, patrząc za oddalającym się autem. Na tylnej szybie widoczna była niebieska nalepka z wózkiem inwalidzkim. Symbol niepełnosprawności. — I gdzie ten wielkolud?

Pełen złych przeczuć wrócił do magazynu, po czym wklepał w telefon imię i nazwisko swojego domniemanego krewnego. Oscara Hartzella. Chwilę później kopnął w krzesło, bo to, co przeczytał, niezbyt mu się spodobało. Wielkolud beczelnie z niego zakpił.

Oscar Hartzell... Takie imię i nazwisko nosił słynny amerykański oszust, nęcący swe ofiary mrzonkami o fikcyjnym spadku.



## 6.

W życiu zdarzają się sytuacje, gdy nie wiesz, jak zagaić. Mnie przydarzyło się to zaraz po obudzeniu, gdy zobaczyłem w swoim pokoju pana Gienka. Jego obecność sama w sobie nie była może taka dziwna, ale do myślenia dawał strój, a raczej — jego brak. Pan Gienek miał na sobie tylko dziurawy podkoszulek. Widziałem zatem wyraźnie nagie pośladki, obwisłe i gładkie, bez jednego włoska.

— Chyba dziś znów będzie padać — stwierdziłem, zezując na okno, a on podskoczył i złapał się za serce.

— O Boże. Zupełnie o panu zapomniałem. Przepraszam. Szukałem jednej rzeczy i...

Tą jedną rzeczą, co przyznał z zakłopotaniem pół minuty później, było piwo. Nie świecił już gołym tyłkiem — miał na sobie poplamione farbą dresy. I przetarte na piętach skarpetki.

— Zawsze tu je przede mną chowa — poskarżył się, stając na palcach i grzebiąc we wnękowej szafie, do której wrzuciłem wczorajszej nocy swoją torbę. — Jestem pewien, że i tym razem...

Jego rachuby jednak zawiodły. Na górnej półce znalazł jedynie trochę kurzu. Pomny wrażenia, które wywołał u mnie widok jego nagiego zadka, wciągnąłem spodnie, a potem wydobyłem z szafy torbę ze swoim dobytkiem. Między zmiętymi podkoszulkami i zwiniętym śpiworem namacałem twarde, obły kształt.

— W pana ręce, panie Eugeniuszu — zażartowałem, wręczając mu butelkę taniego piwa.

Uśmiechnął się szeroko, odsłaniając braki w uzębieniu. Gdybym się nie cofnął, chybaby mnie wyściskał.

— Jestem pana dłużnikiem, panie Kacperku.

— Daj pan spokój — powiedziałem z rezerwą. — To tylko piwo.

Nie chciałem, by czuł się zobowiązany do jakiegokolwiek rewanżu. Przysługi osób, które o dziewiątej rano wywracały mieszkanie w poszukiwaniu piwa, mogły być niebezpieczne. Poczłapałem do kuchni, by napić się wody. Podziękowałem za piwo, którym wspaniałomyślnie chciał się dzielić, i zacząłem kroić kupiony wczoraj chleb.

— Zrobię panu kawy — zaproponował. Chciałem się wykręcić, ale zanim zdążyłem podziękować, wsypał do obtłuczonego kubka dużą łychę brązowego proszku. — Posiedzisz pan ze mną, co? Zawsze przyjemniej we dwóch niż samemu.

Miałem na ten temat inne zdanie, ale nie znalazłem wystarczająco delikatnych słów, by je wyrazić. Przypominając sobie czasy, gdy kopałem piłkę w Starcie, ochlapałem się w łazience — prawie tak zapuszczonej, jak ta w starym budynku klubowym. Gdy wyszedłem, czekał w dużym pokoju. Na stole, obok dymiącego kubka z kawą, stał talerzyk z kilkoma pokruszonymi herbatnikami.

— Fajna sprawa — stwierdziłem, wskazując na oszkloną gablotę z kilkunastoma pucharami. — Też kiedyś taką miałem, ale była żona uznała, że w pokoju lepiej będzie wyglądać regał z jej książkami.

— I co?

— I nic. Witrynkę wywaliła, a puchary oddała, chyba do punktu skupu złomu.

— I dobrze. Ja też bym się tego pozbył. — Machnął ręką w kierunku trofeów. Być może przypominały mu, kim był, a kim się nie stał. — Sto razy mówiłem, że tylko zbierają kurz, ale Janina wie lepiej... I nie pozwala mi ich ruszyć.

— Ma pan dobrą żonę — stwierdziłem bez cienia kurtuazji.

Mruknął coś niewyraźnie, a potem odstawił butelkę i nieco chwiejnym krokiem udał się do łazienki. Nie zamknął drzwi, więc mogłem stwierdzić, że piwo podziałało na niego moczopędnie. Sikał i sikał, a ja gapiłem się na

witrynę z pucharami, wspominając swą własną, wyrzuconą. I okoliczności, w których do tego doszło. W rozmowie z gospodarzem tego miejsca nie byłem bowiem do końca szczery. Wcale nie chodziło o regał z książkami. Moja żona wywaliła puchary w ataku złości. Nasze małżeńskie kłótnie były imponujące, a jej iście włoski temperament podgrzewał ich temperaturę niemal do stanu wrzenia.

Ale to nie ona odpowiadała za rozkład naszego małżeństwa. Tomek pojawił się później. Wina leżała niemal w stu procentach po mojej stronie, i dlatego miałem gdzieś puchary. Żałowałem zupełnie czegoś innego, ale nie zamierzałem o tym rozmawiać. Ani z panem Gienkiem, który trochę się obsikał, ani z nikim innym.

— To tylko żelastwo, panie. Tylko stare, niepotrzebne żelastwo.

— Racja. — Obróciłem się w stronę okna. Widok zaułka, w którym jeszcze wczoraj płonęły znicze, przypomniał mi, że miałem o coś zapytać: — Panie Gienku, czy to prawda, że właścicielem tego mieszkania był Dariusz Arkanowicz?

Pan Gienek nie odpowiedział od razu. W jego oczach pojawił się cień urazy. Zapewne traktował kwestię, o którą spytałem, jako coś wstydlivego. Coś, o co nie należało pytać. Odpowiedź, której mi wreszcie udzielił, okazała się jednak zaskakująca.

— A skąd! To mieszkanie zawsze należało do mojej rodziny.

— Ludzie mówią...

— Ludzie zawsze mówią głupoty. On nie był właścicielem... Wynajmował tylko pana pokój.

Odruchowo zmiażdżyłem zębami herbatnik. Gdy popiło się go kawą, nie był taki zły. Przez moment zastanawiałem się, czy informacja, którą uzyskałem, w czymkolwiek mi przeszkadza. W końcu nie każdy chciałby zamieszkać w pokoju, w którym sypiał seryjny zabójca. Ja jednak nie byłem ani przesądny, ani specjalnie wrażliwy.

— Mam nadzieję, że wymieniliście łóżko — zażartowałem, ale pan Gienek

chyba tego nie wyczuł.

— Tam mieszkała przecież nasza córeczka. Wszystko... ale to wszystko jest nowe!

Uderzył się pięścią w pierś niczym goryl w okresie godowym. Zastanawiałem się, czy mówimy o tym samym pokoju, bo ja nie zauważyłem w swoim niczego, co byłoby nowe. Nie zamierzałem jednak jeszcze bardziej go denerwować. Domyśliłem się, że to, co wziąłem za urazę, w rzeczywistości było obawą.

— Nie zamierzam z tego powodu rezygnować z naszej umowy najmu — zapewniłem, ciesząc się, że zależy mu na niej tak samo, jak mnie.

Uniosłem kubek, a on stuknął w niego swoją butelką.

— Jest pan porządnym gościem. Naprawdę tak myślę. Nie dbam o to, co o panu mówią.

Po tej deklaracji nie pozostało nam nic innego, jak tylko przejść na ty. Być może nie byłem wzruszony — to za duże słowo — ale na pewno zrobiło mi się miło. W ostatnim okresie nie mogłem narzekać na nadmiar przyjaciół.

— To jaki on był... Gienku?

— Kto? Ach, Arkanowicz... Nie powiem ci wiele. Mieszkał tu tylko kilka miesięcy, a ja byłem wtedy w wojsku, w Elblągu. Jak już dali mi przepustkę, to nie spędzałem jej u wuja. Jechałem do rodziców albo najczęściej do Janki, na stację.

Z jego słów wynikało, że w tamtych czasach mieszkanie należało do wuja, ale postanowiłem to uściślić.

— To był brat mojej mamusi, świeć panie nad jej duszą. — Na moment zwiesił głowę, a potem kontynuował: — Umarł jeszcze przed nią, niedługo po moim ślubie. Mówił, że Arkanowicz od początku mu nie leżał, ale czy tak rzeczywiście było? Płacił podobno w terminie. — Błądząc we wspomnieniach, patrzył w sufit, teraz jednak spojrzał na mnie. Czyżby się zastanawiał, czy ja także ureguluję czynsz w terminie? — Tu było wtedy gorzej niż teraz. Wszystko się sypało, nawet ściany. Remont zrobiliśmy

dopiero my, i to po tym, jak urodziła się Michalinka. Wiem, że znowu przydałoby się trochę tu odświeżyć, ale teraz, gdy zostaliśmy bez niej... Sam przyznaj. Jest dla kogo?

Jego relacje rodzinne były dla mnie zagadką i prawdę mówiąc — nie chciałem ich zgłębiać. Ale nie pozostawił mi wyboru. Zanim się zorientowałem, rozłożył na stole album rodzinny. Pod pretekstem, by mi pokazać, jak było tu przed remontem, ale na zdjęciu mieszkania się nie skończyło.

— To twoja córka?

— Piękna, prawda?

Dziewczyna ze zdjęcia mogła mieć szesnaście, może osiemnaście lat. Jej uroda była z gatunku tych dyskretnych, ale gdybym to powiedział, prawdopodobnie palnąłby mnie w twarz i tyle by było z naszej dopiero co zadziergniętej przyjaźni. Postanowiłem zatem ostrożnie dobierać słowa.

— No pewnie, że piękna. Przepiękna.

W pierwszej chwili odniosłem wrażenie, że przegiąłem, ale nie doceniłem potęgi ojcowskiego uczucia. Na jego przepitej gębie rozlała się duma.

— Była najlepszą uczennicą w klasie. Na świadectwie maturalnym same piątki i czwórki. No i wzorowy z zachowania. Prawie do końca szkoły trenowała w sekcji zapasów, ale niestety zaczęło szwankować jej kolano.

Przyjrzałem się lepiej. Rzeczywiście miała budowę zapaśniczki. Jeśli chodzi o gabaryty, zdecydowanie wdała się w matkę, bo pan Eugeniusz... dla mnie Gienek, był niski i chudy. To, jak podkreślał jej ocenę z zachowania, było charakterystyczne dla ludzi zatrudnionych w szkole. Sprzątaczek, szatniarek, dozorców — takich jak on, a także niektórych nauczycieli. Rodzice zwykle mieli wywalone, czy dziecko jest wzorowe, bardzo dobre, czy tylko poprawne, ale dla niego stopień z zachowania był równie ważny, jak ocena z polskiego czy matematyki.

— Poszła na studia?

— Tak. Na twoje studia, na AWF. Wiem, że nie jest to uczelnia dla

porządnych dziewczyn, ale się uparła. Chciała pracować w sporcie.

Nie bardzo rozumiałem, o co mu chodzi z wychowaniem fizycznym i tymi porządnymi dziewczynami. Na studiach poznałem prawie same porządne. Co prawda w studenckich kręgach funkcjonowało powiedzenie, że jeżeli po pierwszym roku pozostanie choć jedna studentka-dziewica, to drzewo na głównym placu uschnie, ale wszyscy traktowali je w kategoriach żartu. Nie — z tego, co zaobserwowałem, AWF nie różniła się pod tym względem od innych uczelni.

— Udało się?

— Co się udało?

— No... znaleźć pracę w sporcie?

Posmutniał. Podobnie jak wczoraj, gdy prezentował mi pokój.

— Na razie szuka.

— Ma jeszcze czas — wtrąciłem delikatnie.

— No pewnie. Ale teraz musi odchować dziecko.

Zdjęcia wnuczki zajmowały bez mała połowę albumu. Oczywiście wyraziłem swój zachwyt i tym razem zrobiłem to szczerze. Lubiłem takie maluchy. Jak każdy, kto dochowa się własnych.

— Jak ma na imię?

— Cristina — powiedział trochę mniej radośnie. — Przez C na początku.

Powstrzymałem się, by nie zapytać, czy to po jakimś przodku. Zresztą... mogło tak być. Niestety na żadnym ze zdjęć nie było ojca, więc nie mogłem sprawdzić, czy jest południowcem. Na jednej fotografii dostrzegłem natomiast znajomą twarz. Przedszkolanka o imieniu Manuela, z którą spędziłem wczorajszy wieczór, a także znaczną część nocy, pozowała z Michaliną na tle kamienicy, chyba tej, w której byliśmy. Zdjęcie było stare, prawdopodobnie z czasów szkoły średniej.

— To Manuela powiedziała mi o tym Arkanowiczu.

— Biedna dziewczyna — skwitował Gienek. Jak się okazało, wcale nie

chodziło mu o jej ojca i stratę, jakiej doznała w związku z jego śmiercią. — Kto wybiera dla dziecka takie imię?

Litościwie nie wspomniałem, że imię jego wnuczki jest równie oryginalne. I pochodzi z tego samego kręgu kulturowego. Praca na platformie, w międzynarodowym towarzystwie, uwolniła mnie od uprzedzeń. Imię to imię.

— Ona się boi — wyznałem, chyba niepotrzebnie. Gdy podniósł brwi, wypadało dokończyć: — Jej tata zginął w podobny sposób, co ofiary Arkanowicza.

Specjalnie przedstawiłem obawy Manueli w taki sposób — odzierając je z elementu racjonalności. Myślałem, że uzna je za majaczenia wariatki i co najwyżej popuka się w czoło, ale Gienek nieoczekiwanie się uśmiechnął. Dopiero później uzmysłowiłem sobie, że wszystko zaplanowałem. Alkoholicy, kiedy chcą zdobyć to, na czym im zależy, potrafią się wykazać zaskakującą przewrotnością.

— Bałaby się jeszcze bardziej, gdyby wiedziała, co jest na strychu.

— A co jest na strychu?

Przez chwilę się krygowałem, podkreśając moje zainteresowanie. A potem mi powiedział. Gdy spytałem, czy może mnie tam zaprowadzić, niechętnie się zgodził i poklepał się po pustej kieszeni.

— Masz ze trzy złote? Tak? Świetnie. To ja poszukam kluczy, a ty może skoczyłbyś do Żabki, co?

Aby nie biegać kilka razy, wziąłem czteropak. Taka rozrzutność z mojej strony mogła dziwić, ale traf chciał, że w starych spodniach, które zabrałem od rodziców, znalazłem uprane dziesięć złotych. Ekspedientka oglądała je na wszystkie strony, a potem spytała, czy nie mógłbym zapłacić kartą. Odparłem, że nie, a wtedy machnęła ręką i przyjęła banknot.

— Pranie pieniędzy to przestępstwo — ostrzegła mnie, mrugając okiem.

— Co zrobić, kochanieńka. Kryzys.

Riposta była słaba, ale nie stać mnie było na nic lepszego. Jej prośba o płatność bezgotówkową przypomniała mi, że debet na karcie zbliża się do górnego limitu. Pełen niewesołych myśli wspiałem się na ostatnie piętro, a potem — po pordzewiałych kłamrach — na strych. Gienek czekał na mnie, siedząc w fotelu przy małym oknie. Światła było tu niewiele, ale wystarczająco, by stwierdzić, że dawno nikt tu nie sprzątał.

— Gdzie te rzeczy po Arkanowiczu?

Wskazał na najciemniejszy kąt, a potem otworzył pierwszą z puszek. Syknęło.

— Napijesz się? — zaproponował wspaniałomyślnie.

— Nie, dzięki. Za godzinę mam szkolenie z BHP, a potem odbieram dzieci.

Zadowolony, że wrzuciłem na siebie wczorajsze, i tak już brudne ubranie, zanurkowałem w ciemność. Dach był spadzisty, więc zanim dotarłem we wskazane miejsce, musiałem przyjąć pozycję na czworaka. Gdyby o mnie chodziło, to miałbym gdzieś te stare graty, ale Manuela przy pożegnaniu poprosiła, bym zwracał uwagę na wszystko, co może mieć związek z dawnymi zabójstwami i przedśmiertnymi poszukiwaniami jej tatusia. Wczoraj nie sądziłem, że aż tak się zaangażuję, ale dziś rano obudziłem się z przeświadczeniem, że z tej Manuely jest naprawdę miła dziewczyna. Uznałem, że nie zaszkodzi się jej podlizać. W jakim celu? O tym na razie nie myślałem.

Wyminąłem rozchybotany stół, dwa kulawe krzesła i płachtę papieru, która — podświetlona telefonem — okazała się wyblakłą mapą ścienną Ameryki Południowej, z wielką dziurą na wysokości Ekwadoru. Za te przeszkody nie wpadała nawet odrobina światła. Musiałem liczyć na poblask telefonu, dotyk... i inne zmysły.

— Tu coś zdechło? — spytałem, bo powietrze cuchnęło padliną.

Od strony fotela, w którym usadowił się Gienek, dobiegło mlaśnięcie, a potem nieco bełkotliwy głos:

— Czasem wpadają tu gołębie.



— Chyba jednego znalazłem.

Dopiero po chwili zorientowałem się, że to, co wziąłem za truchło ptaka, było w rzeczywistości gnijącym kapeluszem, który jednak nie był własnością Arkanowicza, chyba że ten lubił się przebierać w damskie fatałaszkę. Sięgnąłem dalej i moje palce dotknęły nieheblowanego drewna.

— Tu nic nie ma.

— Musi być. Sam to nosiłem. Razem z tym starym dywanem.

Kilka razy kichnąłem, pozbywając się z płuc drobinek kurzu, a potem wymacałem chropowatą tkaninę, która mogła być dywanem. Przeczłogałem się dalej i moje dłonie natrafiły na coś jeszcze. Faktura materiału budziła wspomnienia z odległej przeszłości.

— W torbie w kratkę?

— Tak! Kupiłem ją w Warszawie, na Stadionie Narodowym. Wtedy to był jeszcze Stadion Dziesięciolecia. Mówiło się na to bazarówki. Albo ruskie torby. Teraz już takich nie robią.

Jakby na przekór jego melancholii torba pękła, gdy tylko próbowałem ją poruszyć. Część zawartości, w postaci starych szmat, wylądowała na podłodze, ale resztę udało mi się wydobyć. W torbie były nie tylko ubrania. Pierwszym przedmiotem, który wyciągnąłem, była suszarka.

— Nawet działała — poinformował Gienek, śledząc moje ruchy z pozycji fotela. — Tylko kto chciałby suszyć głowę suszarką po mordercy?

Wzruszyłem ramionami. Mojej czuprynie byłoby chyba wszystko jedno, ale każdy miał swój próg wrażliwości — a mój był chyba niski. Wysypałem zawartość torby na drewnianą podłogę. Rozległ się grzechot jakiegoś starego żelastwa.

— To odważniki?

— Hantle. Wujek mówił, że Arkanowicz non stop ćwiczył, ale niewiele to dawało, przynajmniej na zewnątrz. Wciąż był jak kurczak. Podobno dlatego tak długo mu się udawało. Nikt nie podejrzewał, że takie chuchro ma dość siły, by rozbijać czaszki...

Zważyłem w dłoniach hantle, a potem podniosłem ostatni metalowy przedmiot. Gdy zrozumiałem, co to jest, zrobiło mi się nieprzyjemnie. Trzymałem w ręku młotek. Zapewne nie narzędzie zbrodni, bo to z pewnością zabezpieczyła policja, ale zawsze...

— Nie zemdlej. To mój młotek.

— To co tu robisz?

— Obluzowała się głownia, czy jak to się mówi. Myślałeś, że...

Wybuchnął śmiechem, oblewając się piwem. To trochę go otrzeźwiło, bo piwo było z lodówki, a poza tym... dla niego cenna była każda kropla.

— Bardzo śmieszne — burknąłem, a potem nie wytrzymałem i sam zacząłem się śmiać. Mój śmiech przybrał na sile w momencie, gdy się zorientowałem, co trzymam w drugiej dłoni. — To też twoje?

Zamachałem mu przed nosem prześwitującą nocną koszulą, z tych, które można było dostać chyba tylko w sklepie z artykułami dla dorosłych. Jego puszysta żona musiała w tym wyglądać bardzo osobliwie, ale nie to ładne, co ładne, lecz co się komu podoba.

I nagle przestałem się śmiać. Przypomniałem sobie gnijący damski kapelusz. Obraz, który ujrzałem w wyobraźni, różnił się od dotychczasowego. Dotąd miałem Arkanowicza za brutala z młotem, a tymczasem...

— To jego? Arkanowicz przebierał się... za kobietę?

— Nie. Skąd. To musiało należeć do niej. Do tej jego kobitki.

— A miał taką? — spytałem zdziwiony.

— Wyobraź sobie, że miał. Pomieszkiwała tu z nim, ku utrapieniu wuja. Bo wuj był religijny. I jak na starego kawalera przystało, pruderyjny. Ale co mógł zrobić? W umowie najmu nie było widocznie zapisu, który zabraniał lokatorowi zadawać się z kobietami.

— A w mojej jest?

Filuternie pogroził mi palcem. Niepotrzebnie kupowałem czteropak. W głowie szumiało mu już po drugim piwie.

— Co to za kobieta? — spytałem, bo czułem, że tak zrobiłaby Manuela.

Obsesja, której ulegał jej ojciec, stawała się również jej obsesją. Najwyraźniej także... moją.

— Nieszczęśliwa — odpowiedział po namyśle. — Wyobraź sobie, że żyjesz z kimś, kto okazuje się... No, takim Arkanowiczem. A ty nic nie wiedziałeś.

— A ona nie wiedziała?

— Gdyby wiedziała, to zamknęliby ją chyba za współudział, nie? A nie zamknęli. Podobno po wszystkim zwariowała. Krążyły plotki, że rzuciła się pod pociąg. Ale nie tutaj.

Przyglądałem się kolejnym ciuchom. Dziewczyna Arkanowicza lubiła seksowne wdzianka. A może lubił je Arkanowicz? To chyba nie miało większego znaczenia.

— To kiepski sposób na popełnienie samobójstwa, co?

Spojrzałem na Gienka, myśląc, że teoretyzuje, ale pytał zupełnie poważnie.

— Jaki sposób?

— Rzucenie się pod pociąg. Bywa nieskuteczne, a przy tym na pewno bolesne. Nie ma idealnego sposobu, ale ten powinien znaleźć się na samym końcu listy, nie? Gdzieś obok skoku przez okno.

Uznałem, że alkohol mu szkodzi.

— O czym ty gadasz? — burknąłem zły na niego, ale też na siebie.

Sam byłem sobie winny. Po diabła bratać się z pijakiem? Na szczęście chyba się połapał, że przeholował. Roześmiał się, by pokazać mi, że jego wynurzenia nie były na serio.

— Lubisz mocne wrażenia? To spójrz tam.

Odłożył papierosa, którego właśnie miał zapalić, na krawędź popielniczki i wycelował palcem w ciemność. Przez chwilę nie wiedziałem, o co mu chodzi, a potem nagle zdębiałem. W przeciwległym kącie piwnicy wisiał humanoidalny kształt. Wyraźnie widziałem stopy unoszące się kilkanaście centymetrów nad podłogą.

— Co to?

— Manekin — powiedział szybko Gienek.

Chyba obawiał się, że zemdleję, ale dopiero teraz zrobiło mi się słabo. Na drżących nogach podszedłem do manekina, który tak dobrze imitował ludzką sylwetkę. Osoba, która przeciągnęła mu sznur przez plastikową szyję, wieszając na krokwi, musiała mieć nie po kolei w głowie.

— Po co tu manekin?

— Po dawnej lokatorce. Miała na parterze pracownię krawiecką. Lata temu. Zostało po niej tylko to. Manekiny.

Zobaczyłem, że plastikowych lalek jest jeszcze kilka. Leżały na stosie pod samą ścianą, niczym zeszywniałe zwłoki. Niektóre były zdekompletowane. Brakowało im na przykład...

Poczułem, jak po plecach przechodzą mi ciarki.

— Czemu one nie mają głów?

Gienek otworzył trzecie piwo. Wyglądał na zadowolonego z siebie. Domyślałem się, że nie jestem pierwszą osobą, przed którą odkrywa makabryczne sekrety poddasza.

— Domyśl się. Przecież Arkanowicz musiał na czymś trenować, nie?

Szkolenie z BHP przeprowadzała starsza pani pozbawiona zacięcia dydaktycznego — i to do tego stopnia, że nawet ja, zahartowany pracą na platformie wiertniczej, miałem kłopot, by utrzymać się na krześle. Siedzący obok chłopak, taki sam nowicjusz jak ja, nie miał aż tak silnego ducha. Pod koniec drugiej godziny zleciał i obtarł sobie rękę. Incydent ten tak nas rozbudził, że obyło się bez dalszych ofiar. Po szkoleniu zostałem wezwany przed oblicze dyspozytora, który oznajmił mi, że jutro o wpół do trzeciej nad ranem ruszam w swoją pierwszą podróż, jeszcze w charakterze kursanta. Ucieszyłem się, widząc, że dokooptowano mnie do drużyny Heleny. Niby mi to obiecywała, ale teraz miałem to także na papierze — zaświadczeniu o odbyciu stosownych szkoleń i zaliczeniu badań lekarskich.

— Kiedy przyjdzie pensja? — odważyłem się zapytać. Naczelnik udzielił mi odpowiedzi, z której wynikało, że jak przyjdzie, to będzie, ale potem —

z ust chłopaka z obtartą ręką — usłyszałem, że przelewy poszły już wczoraj. Nie ufając mu znanadto, zahaczyłem o bankomat. Miał rację — moje konto nie było wcale tak puste, jak myślałem. W przedszkolu zjawiłem się w tak dobrym humorze, że nie zepsuły go nawet kolejne perypetie z kodem wejściowym.

— Była dzisiaj ciocia Manuela? — spytałem Olę, bo w grupie pomarańczowej urzędowała kobieta o twarzy wygłodniałego indora.

— Była rano — odpowiedziała córeczka, podtykając pod nos naklejkę z uśmiechniętym Świętym Mikołajem. — Zobacz, co mi dała. To moja ulubiona ciocia.

Humoru nie zepsuła mi także wychowawczyni mojego syna, którą — wbrew obietnicy złożonej Ewce i Tomkowi — zagadnąłem o problemy Adasia z rówieśnikami. W pierwszej chwili nie potraktowała mnie poważnie. Gdy nie odpuściłem, obiecała, że przyjrzy się sprawie tych, jak się wyraziła, rzekomych złośliwości. Było mi wszystko jedno, jak zamierza to załatwić. Oczekiwałem jedynie, że mój syn będzie czuł się w grupie rówieśniczej tak komfortowo, jak powinien. Lepiej załatwiłbym to sam, ale wiedziałem, że szkoła nie udostępnia rodzicom kontaktu do innych rodziców. I słusznie, bo rodzice nie potrafią ze sobą rozmawiać: uwagi często przekształcają się w pretensje, a te — w awantury.

Wbrew porannym zapowiedziom Działdowo było skąpane w mroźnym słońcu. Biegliśmy po uliczkach, a potem znów wstąpiliśmy na pizzę. Oczywiście Ewka nie byłaby sobą, gdyby mnie za to nie ochrzaniła. Gdy odstawiłem dzieci, z miną zawodowego detektywa wskazała w kąciku ust Adasia resztkę pomidorowego sosu.

— Daj spokój — powiedziałem, oddając pożyczone wczoraj pieniądze, które, jak się okazało, nie były mi potrzebne. — Coś cię gryzie?

— Tak — odwarknęła, wkładając banknoty do torebki. Nawet na nie nie spojrzała. — Zastanawiam się, kiedy zaczniesz płacić mi alimenty.

— Macie problemy finansowe?

— Nie. — Jej spojrzenie złagodniało. — Przepraszam. To przez tę starą wariatkę. Moją kierowniczkę. Wkurzyła mnie.

Rozejrzała się, a zobaczywszy, że dzieci zasiadły przed telewizorem, zakłęła z pasją. Zawsze była temperamentna, tyle że kiedyś adresatem tych wulgarnych epitetów najczęściej byłem ja. Powiedziałem jej szybko, że rozmawiałem z panią w sprawie Adasia, po czym — uprzedzając ewentualne pretensje — dałem nogę. Na zewnątrz odetchnąłem z ulgą, a potem zerknąłem w kierunku podjazdu do wulkanizacji. Teraz humory Ewki były problemem Tomka. Ja musiałem zająć się swoimi.

Właśnie w tym celu odwiedziłem podziemia kamienicy w centrum, w której w sezonie działała ciesząca się złą sławą dyskoteka. Wyszedłem stamtąd kilka minut później, uboższy o okrągłe dwa tysiące, ale bogatszy o kilka tygodni spokoju. Wiedziałem, jak będzie brzmieć pierwsza rada, którą dam swoim dzieciom, gdy wkroczą w dorosłość. Nie pożyczajcie pieniędzy od bandytów. Chyba że nie będzie innego wyjścia.

Przechodząc przez rynek, minąłem się z tą samą panią, która zaczepiła mnie wczoraj przy placu zabaw — z panią Rogalską alias „starą wariatką”, kierowniczką Ewki. Teraz również, spoglądając w moją stronę, miała taką minę, jakby patrzyła na zdechłego szczura. Tym razem nie miałem pod opieką dzieci i mogłem zrobić wszystko, lecz zamiast ją zwyzywać, tylko grzecznie się ukloniłem.

— Ładny psiak — powiedziałem pojednawczo, ale moja próba pozostała bez odzewu.

Paniusia ściągnęła smycz i oddaliła się bez słowa. Przez chwilę przeszukiwałem pamięć, jednak bezskutecznie. Nigdy z nią nie rozmawiałem. I nie wiedziałem, co takiego jej zrobiłem, że tak mnie nie znosi.

Wiedziałem natomiast, że do końca miesiąca pozostało mi tysiąc dwieście złotych, minus trzysta pięćdziesiąt, które byłem winny za mieszkanie. Dlatego moje wieczorne zakupy ograniczyły się do chleba i keczupu. Chleb z keczupem był przysmakiem, który znałem z akademika. Miałem nadzieję, że

teraz, po latach, docenię ten smak w takim sensie, w jakim docenia się starego przyjaciela. Bo jaki miałem wybór?

Podwórko było tak ciemne, że trochę żałowałem tych zniczy. Zanim przeciąłem dziedziniec, dwa razy wdepnąłem w kałużę. Manuela musiała czekać w oknie, bo gdy otworzyłem drzwi do klatki schodowej, stała po ich drugiej stronie. W bladym świetle żarówki dostrzegłem, że ubrała się bardzo formalnie — w spódnicę i białą bluzkę. Tak, jakby się spodziewała, że po wszystkim zaproszę ją na kolację. Taką prawdziwą, a nie chleb z keczupem.

— Masz dla mnie naklejkę z Mikołajem?

— Bardzo zabawne — mruknęła najwyraźniej spięta.

To, co dla mnie miało być wizytą u dobrego kolegi, dla niej było stresującym przesłuchaniem na komisariacie. Usiłowałem ją rozluźnić, ale bezskutecznie. Nie podziałała nawet historia o znaleziskach na strychu. Oczywiście pominąłem manekiny. Nie byłem aż tak nieczuły, by raczyć ją opowieścią o trenowaniu ciosów młotkiem w sytuacji, gdy ktoś dopiero co zrobił sobie taki trening na głowie jej własnego ojca.

— Masz te gazety?

— No pewnie. Ale wiesz co? Zabrałam je do pracy i zrobiłam kopie. Prawie pięćdziesiąt stron fotokopii...

— Jak to rozpisałaś? — dociekałem, bo przypuszczałem, że w przedszkolu, podobnie jak w innych placówkach edukacyjnych, z każdej kserówki należało się rozliczyć.

— Kolorowanki z Psim Patrolem — przyznała, dodając zaraz zdecydowanym głosem: — Kupiłam naboje z kawą, do ekspresu. To idzie z tego samego funduszu, więc...

— Spokojnie. Nie będę ich wzywał.

— Kogo?

— Psiego Patrolu.

Do komendy mieliśmy dłuższy kawałek, ale jakoś ze mną wytrzymała. Byliśmy trochę spóźnieni, jednak Konrad nie miał pretensji. Z tego, co

wiedziałem, Juleczką zajmował się tego wieczoru dziadek. Konrad był tutaj, a Helena o tej porze zapewne już spała. Aby zdążyć do pracy na drugą trzydzieści, musiała zwlec się z łóżka z godzinę wcześniej.

Ja też. Woląłem nawet o tym nie myśleć.

Konrad w pracy zachowywał się zupełnie inaczej niż poza komendą. Mundur dodawał mu powagi — a może była to kwestia stanowiska? Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, ale teraz dotarło do mnie, że był tu kimś. Grubą rybą. Chłopak w dyżurce tytułował go panem naczelnikiem, a dziewczyna z nocnej zmiany przyniosła nam kawę.

— Znacie się? — spytałem, patrząc na Manuelę i wskazując Konrada.

— Tu wszyscy się znają — odparł niejasno mój kolega. Z widzenia.

Usiłował grać uprzejmego gościa, ale robił to w sposób, który przynajmniej ja odbierałem jako wymuszony. Spytał dziewczynę, czy słodzi, a potem chciał wiedzieć, jak się jej udaje nie zwariować w otoczeniu tylu skrzatów. Doceniałem, że nie nazwał ich bachorami. Nigdy nie lubił dzieci. Brakowało mu cierpliwości.

— No dobra — mruknął, przerywając jej w połowie. Cierpliwość naprawdę nie była jego mocną stroną. — Kacper wspominał, że masz tu w torbie jakąś bombę. Rozumiem, że pod pojęciem bomby kryją się stare gazety, tak?

Manuela dopiero otwierała paczkę, którą dla bezpieczeństwa owinęła sznurem. Byłem zaskoczony, bo przez telefon powiedziałem mu naprawdę niewiele.

— Skąd wiesz, że chodzi o gazety?

— Bo policja, Kacperku, wie wszystko — odparł, a potem od niechcienia zerknął na zawartość paczki, upewniając się, że ma rację. — Pan Twardygrosz był w gronie osób, które znalazły mężczyznę zamordowanego w pociągu Kolei Mazowieckich. Trochę w trosce o ich bezpieczeństwo, a trochę... powiedzmy, że profilaktycznie, objęliśmy te osoby specjalnym nadzorem. My, czyli policja. Pan Twardygrosz mieszkał na terenie naszej miejscowości, więc



w jego wypadku ten nadzór sprawowany był przez funkcjonariuszy z naszej komendy.

— Nie rozumiem. — Manuela przerwała segregowanie pożółkłych gazet.

— Ojciec był pod nadzorem? Podejrzewaliście, że może mu się coś stać?

— To były rutynowe działania. Nikt za nim nie jeździł i go nie pilnował...

— A czy ktoś go ostrzegł?

Policzki przedszkolanki poczerwieniały, a Konrad był związany tajemnicą śledztwa. Nie chcąc, by skoczyli sobie do oczu, postanowiłem wyłożyć kawę na ławę. Mnie nie wiązała żadna tajemnica.

— Oni mieli na niego oko nie dlatego, żeby go ochraniać. Oni go podejrzewali.

— Co za absurd!

— Był w pociągu, gdy umarł ten pierwszy. Mieli mu odpuścić, bo był kolejarzem? Przecież ten Arkanowicz też był kolejarzem...

— Czyli wiedzieliście, że tata gromadził materiały, tak?

Konrad potwierdził skinieniem głowy. Jak na policjanta przystało, zachowywał się enigmatycznie. Szkoda, że dopiero teraz. Mógł po prostu przyjąć od dziewczyny to, co mu przyniosła, wysłuchać jej teorii i puścić nas do domu. Ale nie. On postanowił zgrywać mądrąkę...

— Podejrzewam, że kierownik archiwum zawiadomił policję sekundę po tym, jak wypożyczył te materiały — rzekłem pojednawczo.

Manuela pokręciła głową.

— To niemożliwe. Są... byli przyjaciółmi. On i tata. Chodzili razem do szkoły.

— Z tymi przyjaźniami różnie bywa. — Na samą myśl o wszystkich swoich fałszywych przyjaciółach, którzy teraz nie odpowiadali nawet na moje „cześć”, chciało mi się śmiać. — Zresztą nawet zakładając, że ta ich przyjaźń była szczerą, o powodach wizyty twojego taty na pewno wiedział ktoś jeszcze. Na przykład sekretarka, ta z włosami na jeża...

— Kacper zawsze miał oko do sekretarek — przerwał Konrad.

Można było w nim czytać jak w otwartej księdze. Dowcipkował, by odwrócić uwagę od tego, co powiedziałem. Źródłem była sekretarka.

— Szkoda, że nie obserwowaliście go dokładniej — mruknąłem, a on, ten jeden jedyny raz, wykazał się empatią.

— Też żałuję. I cholernie mi przykro. Proszę przyjąć najszczerze kondolencje.

Wstał i uścisnął dłoń Manueli, a wracając za biurko, zabrał ze sobą zawartość paczki, którą przyniosła.

— Szukaliśmy tych gazet u niego w mieszkaniu. Nie wpadliśmy na to, że mógł trzymać je u pani. Czy... Czy rozmawiał z panią o powodach tego zainteresowania panem Arkanowiczem?

— Te powody są chyba oczywiste. — Manuela nie wspomniała o skrytce w piwnicy. Czyżby było w niej coś jeszcze, o czym wolą nie mówić? — Ojciec dostrzegał zbieżność wydarzeń z ostatnich tygodni z tym, co działo się w kraju dwadzieścia osiem lat temu. Widocznie miał podstawy. Członkiem jego załogi konduktorskiej jest facet, który pracował z Arkanowiczem...

— Poważnie? — spytaliśmy jednocześnie. Drugie pytanie, bardziej konkretne, zadał już samodzielnie Konrad: Który?

— Nie pamiętam nazwiska. Ten najstarszy. Musi mieć już z sześćdziesiątkę. Nie wierzę, że o tym nie rozmawiali. I jeszcze jedno. Nie wiem, czy pan wie, ale Arkanowicz mieszkał kiedyś w tej samej kamienicy, co mój tata.

Konrad starał się odgrywać uprzejmie zdziwionego, ale znałem go zbyt długo, by dać się nabrać. Domyślałem się, że chociaż od ujęcia Arkanowicza minęły prawie trzy dekady, każdy miejscowy policjant znał jego sprawę ze wszystkimi szczegółami. Arkanowicz był dla Działdowa niczym Kuba Rozpruwacz dla Londynu. Hrabia Drakula dla Transylwanii. Albo Nessie dla jeziora Loch Ness.

Nasza wizyta na komendzie przebiegała w sposób coraz bardziej nieoczekiwany. Manuela, zrzuciwszy to, co leżało jej na wątrobie, zaczęła wypytywać Konrada o postępy w śledztwie. Mój przyjaciel znosił to

niezaplanowane przesłuchanie z zaskakującą godnością, zasłaniając się tajemnicą służbową. Postanowiłem ruszyć mu z odsieczą. Wcale nie z sympatii. Po prostu chciałem się wyspać.

— Manuelo, rozejrzyj się. — Wskazałem na skromne wnętrze pokoju. Dwie szafy pancerne, biurko, kilka krzeseł i brudną szybę. Za szybą, w świetle pojedynczej latarni było widać placyk z trzema blaszanymi garażami i opartą o mur drabiną. — To nie jest centrum wszechświata, co?

Wzruszyła ramionami. Uznałem, że to czas, by maksymalnie uprościć przekaz.

— Oni nie prowadzą tego śledztwa. To mrówki. Wykonują tylko czynności techniczne. Tak to się nazywa?

— Mniej więcej — odparł niechętnie Konrad.

Moje porównanie do mrówek najpewniej wydało mu się nietrafne, ale nie zaprotestował.

— Konrad nie ma pojęcia o postępach w śledztwie. Ale wie, komu przekazać twoje sugestie, tak więc podsumujmy... i chodźmy.

Na szczęście podsumowanie w jej wykonaniu sprowadzało się do opartej na przypuszczeniach teorii, według której Jacek Twardygrosz znajdował się na tropie zabójcy. Konrad zadał jeszcze kilka pytań, ale zrobił to bez przekonania. Widać było, że nie kupuje tej hipotezy.

— No dobrze. Dziękuję. Pozwólcie, że was odwiozę.

Chciałem zaprotestować, bo nie mieliśmy daleko, ale spojrzał na mnie w sposób, który nie pozostawiał mi wyboru. Najpierw odstawiliśmy Manuełę, która mieszkała w jednym z bloków przy Nidzickiej.

— Ładna dziewczyna — skwitował, obserwując jej oddalającą się sylwetkę. Gdyby ktoś przypatrywał się w ten sposób jego żonie, musiałby liczyć się z szorstkim komentarzem. — Masz chwilę?

Nie czekając na odpowiedź, zawrócił. Zamiast zawieźć mnie na Skłodowskiej-Curie, skręcił w Męczenników i zatrzymał się przed stacją paliw.

— Zjemy po hot dogu?

— Ja mogę. A tobie niedługo pękną spodnie.

Udał, że nie słyszy. Chwilę później wrócił z dwoma hot dogami. Zapomniał, że nie przepadam za musztardą, ale nie zamierzałem robić scen. Zgodnie z zasadą, że lepszy hot dog z musztardą niż chleb z keczupem.

— Uważaj na nią.

— Na kogo? Na Manuele? A co z nią nie tak?

— Z nią nic, ale ten jej tatuś... To kawał sukinsyna. Pewnie ci nie mówiła, co?

— Czego? — spytałem, zapominając o jedzeniu.

Znałem ten ton. Konrad używał go wtedy, gdy miał do zakomunikowania coś ważnego. Albo gdy kwestionował wierność swojej żony.

— Jej rodzice się rozwiedli. Kilka lat temu. To był paskudny rozwód. W mieście dużo się o tym mówiło...

— Nie bądź taki małomiasteczkowy — rzuciłem.

Wiedziałem, że nic nie działa na niego silniej niż właśnie taka sugestia. Lubił uchodzić za światowca.

— Mam w dupie plotki. Opieram się na faktach. A fakty są takie, że Twardygrosz zostawił nie tylko żonę, ale i dwójkę małych dzieci: Manuele i jeszcze jedną córkę, zdaje się, że niepełnosprawną.

— Anielkę, tak? — Chyba takie imię wymieniła Manuela, kiedy opowiadałem jej o niepełnosprawności Adasia. — W naszym mieście wiele osób twierdzi, że ja też uciekłem przed tym samym. Przed życiem z niepełnosprawnym dzieckiem...

— I kto tu jest małomiasteczkowy? — Konrad się wyszczerzył, ale niemal od razu znów spowaźniał. — Twardygrosz nie wyjechał do pracy. Został tu, w Działdowie. Związał się z dziewczyną o dwadzieścia lat młodszą od swojej żony. Jak się domyślasz, żona nie była tym zachwycona. Dochodziło do awantur. Nawet do rękoczynów.

— Biła go?

— Nie bądź śmieszny. Naświetlam ci tło. Pokazuję, co to za człowiek. Żebyś wyłapał cały kontekst.

— Czego?

— Tego, co zaszło ostatnio.

— A co zaszło?

Konrad kłapnął zębami, odgryzając pół hot doga. Przypomniałem sobie dawne czasy. To, jak mnie wtedy drażnił. Szkoda, że nie był takim flegmatykiem, gdy chodziło o jego żonę.

— Na tydzień przed śmiercią, czyli trzy tygodnie temu, spisała go policja — stwierdził, dłubiąc w zębach. Zdecydowanie wolałem go w maseczce, tak jak w budynku komendy. — To nie miało nic wspólnego z naszymi działaniami. Ot, takie rutynowe sprawdzenie w ramach akcji prewencyjnej.

— Przechodził przez ulicę w niedozwolonym miejscu?

— Nie, cwaniaczku. Stał pod szkołą i gapił się na dzieci.

Natychmiast przeszła mi ochota na głupie żarty.

— Na pewno się gapił?

— Nie umiał wytłumaczyć, co tam robi. Przed samym wejściem do szkoły. Zanim do niego podeszli, trochę go poobserwowali. Stał tak z godzinę. Stał i się gapił.

Zrobiło mi się niedobrze. Manuela pracowała w przedszkolu. Dobro dzieci powinno być jej jeszcze bliższe niż przeciętnemu Kowalskiemu.

— Ona wie?

— Nie mam pojęcia. Wątpię. Ale tamta dziewczyna, dla której zostawił żonę, też miała ze dwadzieścia lat. Poznał ją na dworcu kolejowym. Diabli wiedzą, po co tam chodził.

Pokiwałem głową. Centra komunikacyjne były — obok pływalni — ulubioną areną dla zboczeńców. Nam, pedagogom, wbijali to do głów na każdym kursie.

— Ona po nim rozpacza — mruknąłem, a potem wzruszyłem ramionami.

— On nie żyje. A ona jest córką. Ma prawo go kochać... bezwarunkowo. Ale dzięki za cynk. Doceniam.

Pokręcił głową.

— Nie do końca mnie zrozumiałeś. Nie obraź się, ale w tej sytuacji mam gdzieś twoje podboje.

— W jakiej sytuacji?

Też zapomniał o hot dogu. W jego przypadku było to więcej niż dziwne.

— Widzisz, Jacek Twardygrosz był serdecznym przyjacielem mojej Heleny. Gdy go sprawdziliśmy, wyszły na jaw ich kontakty.

— Jakie? — spytałem z udawanym przestachem, ale on pozostał poważny.

— Na szczęście tylko telefoniczne. Ale zastanawiające. Wiadomości o pierwszej w nocy, telefony o drugiej...

— Nie jestem pewien, czy pamiętasz. Pracujemy o różnych dziwnych porach.

Gdy opanowywał go ten niezdrowy stan, wszelkie racjonalne argumenty padały na jałową glebę. Tak było i teraz. Zastanawiałem się, do czego zmierza. Ale w najgorszych snach nie spodziewałem się, że poprosi mnie o coś takiego.

— Czy mógłbyś jej pilnować?

— Heleny? — wyjąkałem, nie rozumiejąc, jak mógł powiązać domniemane ciągoty Twardygrosza do nieletnich z ciągłymi podejrzeniami o zdradę, kierowanymi w stronę swej Bogu ducha winnej żony.

— Musisz się domyślać, że załoga tego pociągu wciąż jest pod szczególnym nadzorem — wyjaśnił i nagle wszystko stało się logiczne.

— Nie chcesz, by przy okazji tego nadzoru wyszło coś kompromitującego, tak?

— Sam nie wiem, czego nie chcę. Wiem natomiast, czego chcę. Chcę uratować to małżeństwo, zanim będzie za późno. Pomożesz mi?

Powinienem odpowiedzieć, że lepiej pomoże mu psychiatra. I nawet to zrobiłem, ale ostatecznie wyraziłem zgodę. Tak oto za kilka godzin miałem zadebiutować w dwóch nowych rolach. Po pierwsze jako członek drużyny

konduktorskiej. I po drugie jako szpieg, a jednocześnie — strażnik moralności.

Niewiele brakowało, by mój debiut w charakterze członka drużyny konduktorskiej zakończył się spektakularną klapą. Budzik dzwonił trzy razy — w pięciominutowych odstępach — i za każdym razem go wyłączałem. Od kompromitacji uratowała mnie pani Janina. Owinięta w szlafrok wielkości dwuosobowego namiotu potrząsnęła moim ramieniem, a potem, dla pewności, zerwała ze mnie kołdrę. To ostatnie podziałało. W mieszkaniu było zimno jak w kostnicy.

Poranną toaletę ograniczyłem do mycia zębów. Już spóźniony wypadłem z mieszkania, zapominając o czapce. Biegąc na stację, wmusiłem w siebie dwie pajdy chleba. Jediną osobą, którą spotkałem w drodze na dworzec, był obszarpany pijak, który powitał mnie gromkim „dobry wieczór”.

— Dobry wieczór — odparłem zbyt nieprzytomny, by sprostować, że dla mnie to nie jest wieczór, tylko poranek.

Na miejsce dotarłem pięć minut po czasie. Wparowałem do pomieszczenia drużyn konduktorskich, stając się mimowolnym świadkiem sceny, która przypomniała mi o wczorajszej absurdalnej prośbie Konrada. W pierwszej chwili pomyślałem, że Helena jest półnaga, ale w błąd wprowadziło mnie słabe oświetlenie. Dostrzegłem cielisty stanik i odetchnąłem z ulgą, a ona — chyba na widok mojej miny — parsknęła śmiechem.

— Ty nie bądź taki pruderyjny, bo pan Michał pomyśli, że nigdy nie widziałeś gołej baby.

W pomieszczeniu o wymiarach dwa na dwa, które — jak się okazało — pełniło także funkcję przebieralni, był jeszcze ktoś: chudy jak szkielet facet z cienkim, jak pod linijkę przystrzyżonym wąsikiem. Zajęty był wklepywaniem czegoś w komputer, ale to nie powstrzymywało go od zerkania na Helenę i, jak mi się zdawało, pożerania jej wzrokiem.

— Nie przeszkadzam? — wybełkotałem. Nawet jeśli moje zażenowanie

było widoczne, to oni i tak by go nie zauważyli. Byli pochłonięci sobą. Panujący tu półmrok sprzyjał intymności. — Zimno, co?

Ciągle rozbawiona włożyła koszulę, zakrywając miseczki stanika, na których odznaczały się sutki. Pan Michał, który — jak się domyśliłem — był naszym dyspozytorem, odnotował moją obecność, fetując ją mało zachęcającym chrząknięciem.

— Mam nadzieję, że nie zapomniał pan grzebienia.

Uwaga może i była obcesowa, ale doskonale zrozumiała. Na tym polegała jego praca. Sprawdzał, czy stawiający się do pracy pracownicy mogą wyruszyć w trasę. W przypadku maszynistów jego głównym narzędziem pracy był alkomat, a podczas kontroli członków załogi konduktorskiej — bystre oko, które teraz spoczęło na mnie.

Przebrałem się w nową koszulę i nowiutki służbowy garnitur, który przymierzałem wczoraj po szkoleniu, a potem przeszedłem do łazienki, by zrobić porządek z włosami. Jak zwykle kręciły się na wszystkie strony — aby choć trochę je przygładzić, zużyłem równowartość dwóch szklanek wody.

— Przeziębisz się — stwierdziła Helena, teraz już w kompletnym stroju.

Machnąłem ręką. Praca na platformie uodporniła mnie na drobne infekcje.

Dyspozytor zmierzył mnie surowym spojrzeniem, a potem wręczył służbowe radio. Przewiesiłem je sobie przez ramię, patrząc ponurym wzrokiem, jak w wylewny sposób żegna się z Heleną. Niewiele brakowało, a klepnąłby ją w tyłek.

— Co to za palant? — spytałem, gdy znaleźliśmy się sami, w przejściu pod peronami.

— Cicho! — fuknęła niczym rozdrażniona kotka. Odpowiedziała mi, dopiero gdy wyszliśmy na pusty peron. — Lepiej mu nie podpadać. Jest tu kimś na kształt Pana Boga.

— Nie wygląda — mruknąłem, dostosowując się do jej szeptu. — Wygląda jak kelner w podrzędnej knajpie.

— Być może — zgodziła się, obrzucając mnie zdziwionym spojrzeniem, bo



rzadko się tak uzewnętrzniałem. — Ale to on układa grafiki. Każdy tylko kombinuje, jak zrobić mu dobrze.

Miałem nadzieję, że była to tylko przerośnia, ale wolałem nie dopytywać. Rozumiałem teraz, że facet miał władzę. Pracowaliśmy w pięcioosobowych zespołach, obsługując przypisane nam pociągi, ale zawsze mogła się zdarzyć nieobecność, czyli dziura, którą należało załatać. W takich sytuacjach stałe godziny pracy trafiał szlag, a o wszystkim decydował właśnie dyspozytor. Lepiej było mu nie podpaść.

— To nasz pociąg?

Przybrała pozę konferansjera prezentującego pięściarzą przed walką wieczoru, ale podmuch lodowatego powietrza sprawił, że się rozkaszała i efektowną zapowiedź trafił szlag.

— Piękny, co nie?

Skład stał przy końcu peronu, tonąc we mgle. Gdy się zbliżyliśmy, dwukrotnie mrugnął światłami. Wiedziałem, że to najstarszy egzemplarz w naszej flocie, ale wyblakłe kolory i ubytki lakieru litościwie skrywała mgła. Facet, który stał na peronie, też nie należał do najmłodszych. Miał pucułowatą twarz i rzadkie włosy, ukryte teraz pod kolejarską czapką.

— Cześć, szefie.

Mimo różnicy wieku i doświadczenia wszyscy byliśmy na ty. Dowiedziałem się już, że takie zasady panowały we wszystkich załogach. Jak obrazowo wyjaśniła mi Helena, trudno jednocześnie szarpać się z pijanym pasażerem i zwracać się do siebie per jaśnie panie.

— Hej, Kacperku. — Facet słynął jako chodząca łagodność. Był kierownikiem pociągu, a więc naszym szefem, ale z tego, co o nim słyszałem, wynikało, że nigdy nie dawał tego odczuć. — Wypałeś się?

Chciałem skłamać, że owszem, ale moje słowa zostały całkowicie zagłuszone przez metaliczny gong przywodzący na myśl uderzenie dzwonu. Odruchowo złapałem się za uszy, a kierownik — czyli pan Kazio — zachichotał.

— Co to było?

— Kontrola hamulców. Nie przestrasz się. Zaraz uderzy jeszcze raz.

Bez elementu zaskoczenia dźwięk nie robił aż takiego wrażenia, ale i tak był nieprzyjemny. Zanim przebrzmiał, na peron wdrapał się maszynista. Ścisnął w rękę potężny młot. Prowadzący zajęcia z teorii wspominał coś o ręcznej kontroli układu hamulcowego, ale wyobrażałem ją sobie zupełnie inaczej. Nie sądziłem, że sprowadza się do walnięcia w okolicę hamulców kowalskim młotem.

— I tak codziennie?

Skierowałem to pytanie do maszynisty, ale ten wyminął mnie bez słowa i wsiadł do pociągu.

— Tak, każdego dnia przed pierwszym kursem — odpowiedział mi w jego imieniu pan Kazio. — Nie złość się. Nasz maszynista, czyli Mikołaj, jest trochę ekscentryczny. Rzadko się odzywa... O, nadchodzi pierwszy wielbiciel naszej gwiazdy. — Podniósł słuchawkę radia. — Mikołaj, zdejmij, proszę, blokadę na drzwi.

Peronem rzeczywiście zbliżał się mężczyzna. Gdy mijał Helenę, sztywno się uklonił. Ta pozdrowiła go przyjaźnie, ale gdy zniknął w wagonie, przylepiony do jej twarzy uśmiech wyparował.

— Za każdym razem, gdy go widzę, bardziej mnie przeraża...

— Kto to?

— Pasażer. Młody chłopak, który chyba się we mnie zakochał. Dałam mu ksywkę Amator.

— Jaką ksywkę? — Nie zrozumiałem.

— Amator. Wiesz, amator kobiecych wdzięków... Jeździ tym pociągiem tylko po to, by się ze mną spotkać.

— Skąd wiesz?

— Sam mi to powiedział. Późniejszym też by zdążył, bo pracuje od siódmej, ale woli jeździć tym. Masz pojęcie?

Udałem zdziwienie, ale prawda była taka, że jeśli o nią chodzi, to już nic

nie było w stanie mnie zdziwić. Śliniący się na jej widok dyspozytor, psychofani wśród pasażerów... bo przecież Kazio mówił o pierwszym z wielbicieli, co jasno wskazywało, że musi być ich więcej. Zastanawiałem się, co dalej. Błądni rycerze? Jedno było pewne. Konrad, ze swą paranoiczną zazdrością, nie miał z nią łatwego życia. A ona z nim.

— Wstaje przed trzecią, żeby sobie na ciebie popatrzeć... Na twoim miejscu od razu wyszedłbym za niego za mąż.

— To wyjdź — zachnęła się, a potem zniknęła we wciąż ciemnym wagonie.

Po chwili dostrzegłem przez szybę, jak rozmawia z mężczyzną, na którego dopiero co się skarżyła. I jak śmieje się z jego uwag. Niezłe z niej było ziółko...

— Jeszcze dziesięć minut. — Kazio wyciągnął kraciatą chustkę i hałaśliwie wydmuchał nos. — Chcesz o coś zapytać? Nie przejmuj się, dziś biorę cię pod swoje skrzydła.

Zapewne się spodziewał, że będę miał pytania o swoje dzisiejsze obowiązki, ale ja nigdy nie martwiłem się na zapas. Zaczekałem, aż złoży chustkę, a potem zapali papierosa.

— Kaziu, czy to prawda, że pracowałeś w jednej drużynie z Arkanowiczem?

Facet aż upuścił zapalniczkę, ale gdy mu ją podałem, wcale nie wyglądał na zagniewanego. Przeciwnie, był podekscytowany niczym małe dziecko.

— Poznaliśmy się tu, na tym peronie — zaczął, oglądając się przez ramię. — Dosłownie kilka metrów w tamtą stronę. To też był wczesny ranek, czy może raczej późna noc. Pamiętam to tak dokładnie, jakby zdarzyło się wczoraj. Był mróz, a on miał na sobie tylko dżinsową kurtkę. Nie wiem, czy już wtedy nosił pod nią młotek. Na pewno nie można tego wykluczyć. Był bardzo grzeczny, ale przy tym jakiś taki odległy...

Kazio był urodzonym gawędziarzem. Musiał opowiadać tę historię z tysiąc razy, umiał jednak wykrzesać ze swoich słów taki entuzjazm, jakby robił to po

raz pierwszy. Minuty do odjazdu minęły jak z bicza strzelił. Do pociągu wsiadło jeszcze kilku pasażerów, ale ledwie to odnotowałem.

— Wejźmy, bo odjedzie bez nas — zażartował Kazio. Jako kierownik to on decydował o odjazdach. — Będzie jeszcze okazja, żeby powspominać. Dużo okazji. Zobaczysz, Kacperku... — Przybrał taki ton, jakby oznajmiał mi coś bardzo ważnego. Coś, co miało zmienić moje życie. — Nasza praca sprowadza się do zabijania czasu.

Uwaga Kazia sugerowała wkalkulowaną w pracę nudę, ale wcale jej nie doświadczyłem. Przeciwnie, przez następne minuty uwijałem się jak w ukropie, usiłując zrozumieć, na jakiej zasadzie działa radio i reszta przydzielonego mi sprzętu. Dramatyczne wydarzenia, do których doszło na linii Działdowo–Warszawa, spowodowały, że teraz każdy pracownik mógł za pomocą jednego przycisku połączyć się z numerem alarmowym, a drugiego — ze Strażą Ochrony Kolei. Radio zostało przebudowane — to, które miałem, w niczym nie przypominało tego, z którym zapoznawałem się podczas szkolenia. Zanim je opanowałem, pociąg zdążył dojechać do Iłowa.

— Pomóż pani, Kacperku.

Wyskoczyłem na peron i wtaszczyłem do środka ciężki bagaż. Jego właścicielka chciała u mnie kupić bilet, ale obsługa terminala wciąż mnie przerastała, więc odesłałem ją na czoło pociągu, do Kazia. Nasz pociąg tworzyły dwa wagony. Ja z Kaziem obstawiliśmy pierwszy, drugi obsługiwała Helena.

— Zawsze jest tak pusto? — spytałem, gdy dojeżdżaliśmy do Mławy.

W naszym wagonie jechało zaledwie kilku pasażerów, a w drugim — dwóch czy trzech.

— Dziś piątek — odparł pan Kazio, zapraszając mnie, żebym usiadł. Nie mieliśmy odrębnego pomieszczenia, tylko przestrzeń z czterema zwróconymi do siebie fotelami. — Najluźniejszy dzień, chociaż przed samą Warszawą zrobi się tłoczniej.

— Najluźniejszy? A co z sobotą i niedzielą?

— Wtedy jedzie tylko jeden wagon. Na szczęście, bo inaczej mielibyśmy dużo nadgodzin. Ty jesteś młody, ale mnie wystarczy to, co mam w podstawie.

Pokiwałem głową. System, w jakim pracowali członkowie drużyn konduktorskich, był jedyny w swoim rodzaju. Etat zakładał przepracowanie czterdziestu godzin tygodniowo. W naszym przypadku odpowiadało to pięciu kursom do Warszawy i z powrotem. Gdyby pociągi kursowały od poniedziałku do piątku, wszystko byłoby prostsze, ale należało obsadzić jeszcze soboty i niedziele. Dlatego zespoły były pięcioosobowe. Rolą dyspozytora było rozdzielanie kursów w taki sposób, by każdy przepracował te czterdzieści godzin, a jednocześnie wykorzystał urlop, no i mógł od czasu do czasu zachorować.

Obowiązywała zasada, że powinien być przynajmniej jeden konduktor na wagon, ale najczęściej jeździło się we trójkę. Cztery razy w tygodniu jeździliśmy porannym pociągiem, i to było najprostsze. Od wpół do trzeciej do szóstej, godzina przerwy, i powrót, przed jedenastą. Ale pozostałe kursy realizowaliśmy nocami: wyjazd o dwudziestej i powrót następnego dnia, o ósmej rano. Z noclegiem w pomieszczeniach hotelowych przy Dworcu Zachodnim.

— Kiedyś pracowało się zupełnie inaczej. — Kazio, korzystając z chwilowej przerwy w obowiązkach, rozsiadł się wygodnie, po czym podjął przerwana odjazdem pociągu opowieść o Arkanowiczu: — Wagony nie były otwarte jak w samolocie. Podróżowało się w przedziałach. Pamiętasz te czasy?

Szum pociągu i miękkie siedzenie — ta mieszanka była groźna. Moje powieki zrobiły się ciężkie.

— Pamiętam. — Gdy jechaliśmy na obóz, chłopacy wkładali mnie do takiego przedziału przez okno, żebym zajął miejsce. Byłem najmniejszy. — Chyba wtedy było lepiej.

— Na pewno było bardziej kameralnie, ale bywało też niebezpiecznie. Kiedy zebrała się rozrywkowa grupa, w przedziałach odbywały się regularne

impresy. Czasem strach było wchodzić, a przecież bilety trzeba było sprawdzić, chociaż pobieżnie. Wtedy wysyłało się młodego.

Udałem, że oddycham z ulgą.

— To zmieniam zdanie. Lepiej jest teraz.

Spod maseczki Kazia dobiegł basowy rechot.

— Dariusz też byłby tego zdania. Nie znosił, gdy wysyłaliśmy go do takich rozrywkowych przedziałów. Brakowało mu pewności siebie. A to podstawa. Bez tego lepiej zmienić zawód.

— Dariusz... Czyli Arkanowicz? — upewniłem się.

A potem pomyślałem o Manueli. To ona powinna tu być, na moim miejscu. I słuchać tej historii. Na pewno nie chciałoby jej się spać, tak jak mnie.

— Nie nadawał się do tej roboty. Teraz nikt by go nie zatrudnił, ale wtedy bardziej od człowieka liczył się papierek. Jesteś absolwentem Kolejówki, to się nadajesz. No i zrobili mu krzywdę. Dwa, trzy incydenty i coś przestawiło mu się w głowie... — Klepnął mnie w kolano. — Hej, pobudka!

— Ja nie śpię...

Wstał i spojrzał na mnie wyczekująco.

— Chodź ze mną. Za Mławą sprawdzimy bilety.

W Mławie do pociągu dosiadło się kilka nowych osób. Jeden z pasażerów ledwo trzymał się na nogach. Kazio podszedł do niego i coś mu powiedział. Stojąc w otwartych drzwiach, ze zdziwieniem patrzyłem, jak facet podchodzi do przeciwległej krawędzi peronu i zaczyna sikać na tory.

— O co chodzi?

— Powiedziałem mu, że mamy nieczynne łazienki. Lepiej, żeby nasikał na tory, niż zapaskudził nam podłogę, nie?

Przyznałem mu rację, zastanawiając się, czy na którejś ze stacji sam nie pójdę na stronę. Niby wiedziałem, że po serii zabójstw łazienki zostały wyłączone z użytkowania, ale w porannym pośpiechu wyleciało mi to z głowy. Przez dłuższą chwilę czekaliśmy, bo nasz nowy pasażer miał pojemny pęcherz.

— To dodatkowe oświetlenie? — spytałem, wskazując na przytwierdzoną do burty wagonu puszkę ze szklanym otworem.

— Nie, to kamera. Po tym, jak znaleźliśmy pierwsze zwłoki, oba wagony poddano renowacji. W środku też je zainstalowano. I nawet działają. Tak więc... satysfakcja gwarantowana.

— Co?

Kazio zaprosił pasażera do wnętrza pociągu, a potem podniósł radio i poinformował maszynistę o gotowości do odjazdu.

— Satysfakcja gwarantowana — powtórzył. — Nawet jak cię zabiją, to masz pewność, że sukinsyn trafi tam, gdzie jego miejsce. Do celi, z Arkanowiczem.

Gdy zrozumiałem, że to żart, było już za późno, by udawać, że mnie rozbawił. Znaleźliśmy się wśród pasażerów. Świeciła się tylko co druga lampa, więc w miejscach, gdzie było ciemniej, Kazio wspomagał się latarką.

— Dziękuję... Dziękuję... — Oddał bilet podróżnemu, a potem stanął nad kolejnym, pogrążonym w głębokim śnie. — Kontrola biletów! — ryknął, a gdy wyrwany ze snu podróżny zamachał w panice rękami, uklonił się i przyjaźnie go pozdrowił: — Dzień dobry, panie Antoni. Pan wybaczy, ale... taka robota.

Szedłem za Kaziem jak automat, starając się wyglądać równie poważnie jak on. Byłem wystarczająco rozgarnięty, by zdawać sobie sprawę, że uważnie mnie obserwuje. Cieszyłem się, że usta mam schowane za maseczką. Dzięki niej nie widział, jak ziewam. Myślałem, że po skontrolowaniu ostatniego podróżnego wrócimy na swoje miejsca z przodu, ale postanowił chyba sprawdzić, co we mnie siedzi. Wskazał na młodego byczka z tępych wyrazem twarzy, który wsiadł do pociągu na pierwszej stacji za Mławą.

— Poucz pana o konieczności zakrywania nosa i ust.

Zwracanie uwagi nie leżało w moim charakterze, ale w tej sytuacji nie miałem wyjścia. Pamiętając, co mówił o Arkanowiczu, starałem się tryskać pewnością siebie.

— Proszę stosować się do obowiązku noszenia maseczki — zażądałem, a facet przewrócił oczami, ale potem posłusznie zasłonił twarz.

Zadowolony, że nie wstał, by się ze mną pojedynkować, wróciłem na czoło wagonu.

— Jak tam po chrzcie bojowym? — zapytał Kazio, a ja na moment zsunąłem własną maseczkę, prezentując mu swój uśmiech.

— Plus dziesięć punktów do pewności siebie.

— Będą z ciebie ludzie — zawyrokował. — Są szanse, że nie skończysz jak Arkanowicz.

— Cieszę się, że tak uważasz — odparłem, mrugając okiem. Zauważyłem już, że kolejarze mieli specyficzne poczucie humoru. Spróbowałem się do niego dostosować. — Chociaż... nigdy nic nie wiadomo.

— Na pewno tak nie skończysz. Dariusz miał zupełnie inny debiut.

— Nieudany?

— Można tak powiedzieć. Nie dokończył pierwszego kursu. Został na stacji... Bodajże w Iłowie. W środku nocy. Gdy się zorientowaliśmy, było już za późno. Pociągu nie da się zawrócić.

Wbrew sobie poczułem cień współczucia. Stacje, które mijaliśmy, nie prezentowały się gościnnie nawet teraz, a co dopiero trzydzieści lat temu.

— Zestresował się i wysiadł?

Kazio pokręcił głową. Pokłady jego pamięci były imponujące.

— Gorzej. Komuś nie spodobało się, że taki młody chłopak sprawdza bilety. Doszło do szamotaniny. Niestety wtedy nie było przycisków bezpieczeństwa. Mieliśmy tylko prymitywne radia...

— Pobili go?

— Zgadza się. A potem wyrzucili z pociągu.

W Ciechanowie, za namową Kazia, przeniosłem się do drugiego wagonu. Do pociągu zdążyło tymczasem wsiąść sporo ludzi, ale wciąż więcej miejsc było



wolnych niż zajętych. Helenę odnalazłem w środkowej części. Już z daleka słychać było jej energetyzujący śmiech.

— O, dobrze, że jesteś — przywitała mnie z entuzjazmem, który zaskakiwał. A potem nachyliła się nad rozwalonym w fotelu pasażerem. — Mój kolega grał kiedyś w Starcie. Zaraz zobaczymy, czy aby pan mi tu nie ściemnia...

Znałem faceta, ale nie pamiętałem jego imienia. On natomiast natychmiast mnie rozpoznał, i to mimo że — w przeciwieństwie do niego — miałem maseczkę. Jak zwykle zdekonspirowały mnie włosy. To od nich wywodził się mój boiskowy przydomek.

— Cześć, Szczota!

— No hej.

Przybiłem z nim piątkę, ale nie poświęcił mi wiele uwagi. Cały czas gapił się na Helenę. Przypomniałem sobie, że stał na bramce, ale tylko wtedy, gdy Konrad miał kontuzję. Wyglądało na to, że w prawdziwym życiu też nie miałby nic przeciwko, by zostać jego dublerem. Helena nigdzie się nie spieszyła. Zachowywała się tak, jakby zapomniała, że jest w pracy. Stałem przy nich jak baran, wyłapując coraz więcej nieprzychylnych spojrzeń. Ludzie mogą szanować pracę konduktora, ale nikt nie lubi, gdy konduktor stoi nad głową.

— Dokończyć za ciebie? — wypaliłem, przerywając im w pół zdania.

Tak jak myślałem, Helena przyjęła tę propozycję z entuzjazmem.

— Idź w kierunku końca pociągu. I uważaj na niespodzianki.

Siadła obok faceta, który otwarcie ją adorował. Przechodząc, wyłuskałem jeszcze jedno nieprzychylnie spojrzenie, ale tym razem nie było skierowane na mnie, tylko na Helenę i jej przygodnego towarzysza.

— Poproszę bilecik — zagałem.

Choć miał maseczkę, bez trudu rozpoznałem w nim pierwszego pasażera z Działdowa. Tego, o którym Helena powiedziała, że wstaje wcześniej tylko po to, by ją spotkać. Oczywiście nie wierzyłem, by tak było. Facet nie

sprawił wrażenia nawiedzonego. Dlatego jego reakcja, a raczej jej brak, trochę mnie zdziwiła.

— Halo, proszę pana!

Oderwał wzrok od zaśmiewającej się Heleny. Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby dopiero co się obudził.

— Ach tak, bilet — wymamrotał i podał mi miesięczny.

A potem znów zaczął filować na Helenę. Zachowywał się tak, jakby zapomniał, że nad nim stoję. Zmieniłem zdanie. Helena miała rację. Facet naprawdę był nienormalny.

— Jeszcze dokument ze zdjęciem — zażądałem.

Miałem prawo to zrobić, bo bilet był imienny, ale jego tożsamość zainteresowała mnie z innego powodu. Wolałem wiedzieć, z kim mam do czynienia. Taka wiedza mogła mi się przydać. Teraz albo później.

— Proszę.

Obejrzałem jego dowód ze wszystkich stron, notując sobie w pamięci imię i nazwisko. Helena zostawiła wreszcie swojego ekspikarza i przeszła w stronę najbliższych drzwi, bo zwolniliśmy przed kolejną stacją. Facet, nad którym stałem, wyraźnie się odprężył.

— Coś nie tak?

Pociąg stanął. Miałem ochotę odpowiedzieć, że bardzo nie tak, ale z nim. Bez słowa oddałem mu dowód. Schował go do portfela, a potem wlepił wzrok w okno, usiłując zlokalizować na ciemnym peronie sylwetkę Heleny.

— Fajną pan ma koleżankę.

— Nie pan pierwszy mi to mówi — odparłem, tłumiąc westchnienie.

Kobieta, która w ramach kursu w PKP udzieliła nam szkolenia z zakresu psychologii, zwracała uwagę na to, że jednym z najważniejszych narzędzi pracy konduktora jest uśmiech pomagający budować przyjazną atmosferę. Ale Helena zdecydowanie go nadużywała. Owszem, atmosfera była przyjazna, ale za rogiem kryła się tłumiona wrogość.

Zbliżał się dzień, w którym jej podróżni adoratorzy mieli wziąć się za łby.

Zanim dojechaliśmy do Nasielska, zdążyłem dojść z kontrolą do ostatnich rzędów. Kiedy na pojedynczym siedzeniu przy ścianie zamkniętej toalety ujrzałem znajomą sylwetkę, byłem pewien, że to złudzenie. Podeszedłem jeszcze bliżej i przekonałem się, że jednak nie. To naprawdę był Tomek. W pierwszej chwili chciałem go zignorować, ale uznałem, że mimo wszystko nie wypada.

— Nie śpij, bo cię okradną — zagałem, wyrywając go z letargu, w który zapadają podróżni.

Także wtedy, gdy chcą uniknąć nieoczekiwanego spotkania.

— Ach, to ty. — Partner mojej byłej żony zwykle bardziej dbał o swój wizerunek, ale teraz był półprzytomny i rozmemłany. — Helena mówiła o niespodziance, ale nie sądziłem...

Zerknąłem na swój uniform. Gdy widzieliśmy się ostatnio, prezentowałem się jak męt społeczny.

— Do twarzy mi?

— Tak. Gratuluję.

— Mnie też mówiła o niespodziance. Cała Helena: tajemnicza i niezgłębiona. — Uśmiechnąłem się zachęcająco, ale nie przyjął zaproszenia, by trochę ją obgadać. Może i słusznie. Wiedział, że jesteśmy zaprzyjaźnieni. — Jedziesz z Działdowa?

Potwierdził skinieniem głowy, a potem zerknął w telefon. Ludzie często tak robią, by ukryć zmieszanie.

— Już prawie piąta.

— Szybko zleciało, nie? — zakpiłem.

Dla faceta, który kochał motoryzację i był kiedyś nieźle zapowiadającym się rajdowcem, powolne tempo, z jakim poruszał się ten pociąg, musiało być dewastujące.

— Przyzwyczajam się.

— No tak. Jak się nie ma, co się lubi... — urwałem. Nie powinienem tego

mówić. To było z mojej strony złośliwe, wręcz perfidne. Teraz, gdy było za późno, uświadomiłem sobie, jak bardzo. — Jak zdrowie?

— Bez zmian — odparł, nie okazując emocji.

Zawsze nad nimi panował. Jeśli mógłbym pożyczyć od niego jakąś cechę, to byłaby to właśnie zimna krew.

— Jedziesz do lekarza?

— Tak — odparł, nie zagłębiając się w szczegóły.

Nie musiał. Wiedziałem, że regularnie konsultuje się z neurologiem. Po wypadku, w którym ucierpiał mój syn, zdiagnozowano u niego problemy z błędnikiem. Ewa zdradziła mi, że lekarze nie byli zgodni, czy były one skutkiem wypadku, czy też jego przyczyną. Zgadziali się natomiast co do tego, że powinien odpocząć od prowadzenia pojazdów. I tak Tomek stał się zakładnikiem swojej zmotoryzowanej partnerki, taksówek i pociągów, a przez Działdowo przetoczyła się fala plotek. Bo oczywiście nie wszyscy uwierzyli w wersję z błędnikiem.

Byli tacy, którzy utrzymywali, że jechał po kielichu i stracił prawko.

— O której wracasz? — spytałem po dłuższej pauzie.

Rozmowy z partnerami byłych żon nie zawsze układają się gładko.

— Od razu po wizycie. A ty?

Wyczułem w tym pytaniu drugie dno. Pytał nie tylko z uprzejmości.

— Po ósmej.

— No to się nie spotkamy. Nie zdążę obrócić na Ordynacką i z powrotem, nawet jeśli przypnę sobie skrzydła.

Roześmiał się, chyba z ulgą. Mimo pozornej przyjacielskości byłem przekonany, że mnie nie lubi. I nie marzy o kolejnym przypadkowym spotkaniu.

— No dobra, to lecę. — Pozdrowiłem go uniesioną dłonią. Kazio uprzedził mnie, że za Nasielskiem zacznie się prawdziwa robota, z kulminacją między Legionowem a Warszawą. — Jak będziesz rozmawiał z Ewką, to przypomnij jej, że odbiorę dzieci. Może skupić się na obłaskawianiu swojej ulubionej

szefowej. Bo ostatnio chyba średnio jej to wychodzi, co? Wczoraj bałem się, że mnie pogryzie...

Myślałem, że doceni moje poczucie humoru, ale najwidoczniej się myliłem. Zamiast rozbawienia w jego jasnych oczach dostrzegłem wrogość. Poniewczasie zdałem sobie sprawę, że może nie lubić żartów, które w pośredni sposób uderzały w Ewkę. Zwłaszcza tych żartów, które wychodziły z ust jej byłego. A może nie odpowiadało mu, że odbieram dzieci?

Nie dbałem o to. Stan jego uczuć był mi idealnie obojętny.

Kazio wiedział, co mówi. Za Nasielskiem liczba pasażerów zaczęła wzrastać w tempie geometrycznym. W Legionowie pociąg stał się tak zatłoczony, że trudno było się przepchnąć. Wszelkie obostrzenia sanitarne związane z covidem w takich warunkach traciły rację bytu. Gdy dotarliśmy wreszcie na Centralny i pociąg opustoszał, czułem się tak brudny i wymięty, że najchętniej wziąłbym prysznic.

Helena wymknęła się w sekundę po ostatnim pasażerze. Gdy tylko ruchome schody powiozły ją do góry, oddzwoniłem do jej małżonka. Konrad, zamiast przewracać się w łóżku na drugi bok, wydzwaniał do mnie już od piątej trzydzieści. Nie wiedziałem, co mu powiedzieć, więc przestałem na wyrażeniu swojego niesmaku.

Skoro nie umiałem poradzić sobie z własnym małżeństwem, to jakie miałem kwalifikacje, by dbać o cudze?

Do odjazdu pociągu pozostawała blisko godzina. Miałem następujące możliwości: tę bliższą memu sercu, która zakładała pozostanie z Kaziem w pustym pociągu przy peronie czwartym, oraz tę mniej atrakcyjną, ale bez wątplenia konieczną, zakładającą spacer w poszukiwaniu kibelka. Gdy zwierzyłem się Kaziowi ze swoich rozterek, mrugnął porozumiewawczo, po czym wyciągnął ze służbowego schowka żelazny klucz. Trafnie odgadłem, że pasuje do zamka toalety — oczywiście z obiegim zamkniętym.

— Tylko do użytku służbowego — zaznaczył z uśmiechem.

Był sympatycznym człowiekiem, tak sympatycznym, że gdy oddałem mu klucz, podzielił się ze mną śniadaniem. Po dużej kanapce z boczkiem poczułem senność. Wyciągnąłem się na podwójnym siedzeniu, ale nie dane mi było zamknąć oczu.

— To nic nie da, Kacperku. Jak się obudzisz, będzie tylko gorzej. Zaufaj mi. Robię w tym biznesie od trzydziestu pięciu lat.

Poczęstował mnie kawą z termosu. Była mocna, taka jak trzeba. Inwestycja we własny termos wydała mi się koniecznością, ale odłożyłem ją w myślach do czasów, w których pozbędę się długów. Zgoda, termos był wydatkiem jednorazowym, nie tak dużym, bym nie mógł go ponieść. Rzecz miała się jednak inaczej, kiedy chodziło o samą kawę. Regularne uzupełnianie jej zapasów było luksusem, na który nie mogłem sobie pozwolić. Jeszcze nie teraz.

Kazio przez chwilę nie wykazywał chęci do rozmowy. Jego pucułowate policzki poruszały się miarowo, gdy przeżuwał kurze udko. W końcu odłożył ogryzioną kostkę i zadał mi proste z pozoru pytanie, na które nie umiałem niestety udzielić odpowiedzi.

— Czy lubię Warszawę? To zależy.

Kiedyś bez wahania odpowiedziałbym, że tak. Spędziłem w Warszawie pięć udanych lat, studiując na AWF-ie. Ale półtora roku temu przeżyłem tu wielkie rozczarowanie.

— Ja jej nie znoszę. — Kazio sięgnął do reklamówki po kolejną porcję kurczaka. — Nie umiem tu oddychać, a Pałac Kultury jest najbrzydszym budynkiem na świecie.

— Ja też nie lubię Pałacu — stwierdziłem z pasją. Jego widok kojarzył mi się z tamtym wieczorem, gdy wyszedłem z kasyna uboższy o trzydzieści tysięcy. Na samo wspomnienie łez, które wtedy wylałem, ścisnęło mnie w dołku. To dlatego wolałem zostać w pociągu. — Jestem chłopakiem z Działdowa — dodałem z przymrużeniem oka. — A Warszawa potrafi przytłoczyć.

— Działdowo chyba także. — Wgryzł się w mięso. Jego sylwetka wskazywała, że lubi sobie podjeść, ale to, czego byłem świadkiem, ocierało się już o obżarstwo. — Ja jestem z Nidzicy. Nie mieszam się w wasze sprawy, ale coś tam słyszałem. Zdaje się, że miałeś ostatnio kiepską passę.

Dotknął bolesnego tematu, ale zrobił to z takim wdziękiem, że nie mogłem się nie roześmiać.

— Nie nazwałbym tego złą passą. W życiu różnie bywa. Jedni dostają do pracy kurczaki, a inni się rozwodzą. Tracą robotę i lądują w kryminale.

Zastanawiałem się, skąd wie o moich perypetiach. Helenę wykluczyłem. Była wobec mnie lojalna — do tego stopnia, że tamtej nocy, kilka godzin przed tym, jak mieli mnie zatrzymać, przyszła, by mnie ostrzec. Nigdy jej tego nie zapomniałem. Gdybym przyłapał ją na niewierności, też najpierw bym ją ostrzegł.

— Rozwody to normalna sprawa. Ja też z moją Krysią... Ujmijmy to w ten sposób: nie zawsze dostawałem kurczaki. — Zaśmiał się, ale nagle spoważniał: — Ale kradzież to nie byle co. Jak mamy ze sobą pracować, to musisz mi wyjaśnić: dlaczego, co i jak...

Sielankowa atmosfera prysła już minutę temu, ale teraz zrobiło się naprawdę nieprzyjemnie. Kazio z dobrego wujaszka przeobraził się w prokuratora dociekliwszego niż ten, który prowadził moją sprawę.

— Po co mam wyjaśniać? — zachnąłem się, odsuwając od siebie nakrętkę termosu, z której piłem jak z kubka. — Przecież wszystko już wiesz.

— Wiem, że ukradłeś pieniądze zbierane na szkolną wycieczkę. Kilkanaście tysięcy...

— Prawie trzydzieści — sprostowałem, wracając myślami do tego nieszczęsnego kasyna. To wydawało się takie łatwe. Kręcące się koło ruletki, podskakująca kulka... — To miała być pożyczka... na inwestycję. Niestety inwestycja nie wypaliła. Wypadły czarne.

— O tym nie słyszałem.

— Widocznie masz kiepskie źródła. Wiesz, dlaczego potrzebowałem tych

pieniędzy?

— Twierdziłeś, że na operację syna.

— Prokurator mi uwierzył. A ty?

— Ja chcę to usłyszeć od ciebie. Skoro mamy razem pracować...

Miałem ochotę wstać i rzucić mu w twarz, że mam gdzieś tę pracę, a przede wszystkim jego. Ale to nie była prawda. Praca, i to taka, dzięki której miałem czas na dzieci, była niczym gwiazdka z nieba. Dlatego skłoniłem pojednawczo głowę.

— Boisz się, że będę brał łapówki?

— Boję się o ciebie. To przestępstwo. Nie chcę, byś znowu siedział.

— No dobrze. Te pieniądze miały być na operację. Zadowolony?

— Nie. Bo je straciłeś.

— Na szczęście udało się zdobyć kasę z innego źródła.

— Uczciwie?

Westchnąłem. Chciałem, by takie wypytywanie spływało po mnie jak po kaczkę, ale brak snu sprawiał, że stawałem się wrażliwszy.

— To już pytanie nie do mnie — odparłem zmęczonym głosem, postanawiając nie odsłaniać przed nim wszystkich kart. — Tylko do mojej żony, jej partnera i darczyńców. Pieniądze zostały zebrane za pośrednictwem fundacji.

— A ty wyjechałeś.

Nie było to oskarżenie, tylko stwierdzenie faktu. Uśmiechnąłem się. Postanowiłem grać beztroskiego hultaja. Miałem w tym wprawę.

— Po tym wszystkim, co się stało, musiałem odetchnąć. Złapać dystans.

Miałem świadomość, że tym, co ostatecznie zszargało moją reputację, był właśnie ten wyjazd. Ludzie są w stanie wybaczyć najgorsze draństwa, jeśli popełniane są z miłości do dzieci. Gorzej, gdy się okazuje, że ktoś ma czelność pomyśleć także o sobie. Ale Kazio wcale nie okazywał mi swej niechęci. Przeciwnie, wyciągnął rękę — na szczęście tę czystą, bez śladów kurczaka — i klepnął mnie w ramię.



— Przepraszam, Kacperku. Jestem człowiekiem starej daty. Wiem, że cię prześwietlali na rekrutacji, ale sam musiałem się przekonać...

— I co?

— Podtrzymuję to, co powiedziałem wcześniej. Naprawdę będą z ciebie ludzie. — Sięgnął po radio, wywołał maszynistę i kazał mu zdjąć blokadę z drzwi, bo na peronie zaczęli gromadzić się podróżni. Na razie garstka, ale z każdą chwilą napływali kolejni. — Znam się na ludziach. Będziesz godnym następcą Jacka Twardygrosza.

Zabrzmiało to trochę niesamowicie. Wzdrygnąłem się, a Kazio, który po naszej przykrej rozmowie chciał okazać mi zaufanie i zaprezentować działanie terminala, odłożył go na wolne siedzenie.

— Można umrzeć na wiele sposobów — powiedział, świdrując mnie wzrokiem. — Ale najgorsza jest śmierć ze strachu.

— Ja się nie boję — odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

Obawiałem się wielu rzeczy, ale nie zaliczały się do nich młotki, nawet te największe. Wierzyłem, że gdyby przyszło co do czego, umiałbym się obronić. Jeśli coś czułem, to nie strach, tylko napięcie, które moja świętej pamięci polonistka określiłaby mianem metafizycznego.

— To dobrze. Bo są wśród nas tacy, którzy sikają po majtkach. Albo klepią pacierze. — Uśmiechnął się pogardliwie. Wieść gminna niosła, że jest zdeklarowanym antyklerykałem. — Ostrożność jest dobra, ale nie może paraliżować nam pracy. Pamiętam, że za czasów Arkanowicza kolejarze zaczęli chodzić na chorobowe. W całym kraju. Mało brakowało, a doszłoby wtedy do całkowitego paraliżu. Wolałbym, żeby to się nie powtórzyło.

— Czy Jacek Twardygrosz zaliczał się do tych przestraszonych?

Kazio pomyślał chyba, że z niego kpię, ale widząc, jak poczerwieniał, zapewniłem go, że pytam poważnie.

— Słyszałem, że kręcisz się wokół jego córki. — Widząc moje zdumione spojrzenie, rozłożył bezradnie ręce. — Co ja poradzę, że stałeś się lokalnym... No tym...

— Celebrytą?

— O, to, to... Ludzie śledzą każdy twój krok. — Z nieznanых powodów pogroził mi palcem, a potem spoważniał. — Jacek się nie bał. Ale na pewno miał na punkcie tego świra obsesję. W sumie trudno się dziwić. Gdybym to ja znalazł te pierwsze zwłoki, pewnie sam zachowywałbym się inaczej, chociaż... — Wrócił wspomnieniami do Arkanowicza, racząc mnie opisem jednej z jego ofiar. Tej, którą znalazł osobiście, w przedziale pierwszej klasy. — W każdym razie Jackowi odbiło — spuentował. — Nie potrafił rozmawiać o niczym innym, tylko o morderstwach. Miałem przy tym wrażenie, że wszystko mu się myli. Morderstwa sprzed lat i te współczesne.

— Być może szukał jakiegoś klucza — wtrąciłem.

— Jakiego klucza?

Zmarszczyłem czoło, usiłując sobie przypomnieć, co dokładnie mówiła Manuela. Wtedy miało to sens, ale teraz brzmiało jak wynurzenia wariata. Mimo wszystko spróbowałem:

— Jest teoria, według której współczesne zabójstwa są kopiami tych sprzed lat. Ktoś naśladuje Arkanowicza. Podąża po jego śladach...

— To by znaczyło, że przed nami jeszcze kilka zabójstw, bo Arkanowicz zamordował siedem osób. — Pan Kazio wyciągnął z marynarki grzebień i korzystając z szyby jako lusterka, poprawiał fryzurę, na którą składało się naprawdę niewiele rzadko rozszianych włosów. Ta przyziemna czynność do tego stopnia kontrastowała z tematem naszej rozmowy, że miałem ochotę przetrzeć oczy. — Nie sądzę, by tak było. Arkanowicz zachowywał się jak wściekłe zwierzę. Wpadał w furję i uderzał gdzie popadnie, nawet kilkadziesiąt razy. Słyszałem, że teraz jest inaczej. Jeden dobrze wymierzony cios i... finito.

— Może naśladowca ma po prostu więcej siły.

— Może i tak — mruknął z powątpiewaniem pan Kazio, a potem, zagryzając wargi, jeszcze raz przejechał grzebieniem po czerepie. Był chyba niezadowolony z efektu, bo wcisnął swą czapkę głębiej niż wcześniej. —

Twardygrosz też wspomniał o tej sile, ale co dokładnie mówił... tego niestety nie wiem. W kółko gadał o jednym i tym samym, więc koniec końców przestałem go słuchać. I opowiadać mu o Arkanowiczu.

— Przestałeś? — Nie chciałem uwierzyć. — Przecież chyba lubisz to robić...

— Mam bzika, ale on miał większego. Nie chciałem, by wylądował na kozetce u psychiatry. Zresztą wtedy on nie chciał mnie już słuchać. Przerzucił się na słowo pisane.

— Gazety?

— Zgadza się. Ciągłe nosił ze sobą jakieś stare gazety. Chciał, żebym analizował z nim każdy artykuł, ale powiedziałem, by puknął się w czerep... Nie jestem z tego dumny — dodał po chwili. — Ale trudno było z nim wytrzymać. Poradziłem mu na koniec, że jeśli interesują go te historie, to powinien je sprawdzić u źródła.

— U Arkanowicza?

Popatrzył na mnie z troską. Być może uznał, że niepotrzebnie odradzał mi sen.

— U tego dziennikarza. Oj, Kacperku, Kacperku... Ty chyba nie zamierzasz iść w ślady Twardygrosza?

Zapewniłem go, że nie, a potem — naśladując Kazia — sprawdziłem czas. Przez chwilę musieliśmy wyglądać tak, jakbyśmy synchronizowali radia, co oczywiście nie było konieczne. Czas, który wyświetlały, musiał być ultradokładny.

— Siedem minut — stwierdziłem, zastanawiając się, gdzie do cholery była Helena. Musiałem przywołać ją telepatycznie, bo kilka sekund później zadzwoniła.

— Możesz mi pomóc? Kupiłam kilka rzeczy i rozerwała mi się reklamówka...

Zdziwiony, że nie umie poradzić sobie sama, potruchtałem podziemiami do wyjścia od strony Marriotta. Już z daleka zobaczyłem piłki. Setkę małych,

kolorowych piłek rozsypanych po całej szerokości chodnika i spowalniających ruch poirytowanych ludzi spieszących się do pracy. Wypadek Heleny wydarzył się w najgorętszym momencie porannego szczytu.

— Co to jest?!

Mówiła, że chce sobie kupić jakieś ciuchy, ale jak każda matka nie umiała przejść obojętnie obok działu z zabawkami.

— Julka pisała do Mikołaja o basen z piłkami — poinformowała mnie z poziomu chodnika. Była trochę zła, a trochę rozbawiona. Absurdalność tej sytuacji wzmacniała okoliczność, że do odjazdu naszego pociągu zostało kilka minut. Dwie, może trzy. — Zaszłam do Smyka, trafiła się okazja...

Rozejrzałem się dookoła. Piłki były wszędzie, a w worku, w którym je przyniosła, ziała wielka dziura. Na szczęście jakaś dobra dusza poratowała nas trzema obszernymi reklamówkami. Napełniliśmy je w rekordowym tempie, porzucając tylko kilka piłek, tych, które potoczyły się najdalej.

— Nikt nam nie uwierzy — wydyszała Helena, schylając się po ostatnią piłkę.

— Sam w to nie wierzę. — Zegar pod iglicą Pałacu wskazywał, że do odjazdu została minuta. — Rusz tyłek, bo będziemy wracać autostopem.

Uchachani zbiegliśmy do podziemi. Biegłem pierwszy, ale mijając kwaciarnię, zwolniłem tak bardzo, że wysforowała się na prowadzenie.

— Szybciej!

— Dogonię cię.

Stałem, nie wierząc w to, co widzę. A potem, niczym prawdziwy szpieg, schowałem się za filarem. Tomek, czyli partner mojej byłej żony... i człowiek, który wychowywał moje dzieci... przeszedł tuż obok, ale mnie nie zobaczył. Miał białą koszulę, której wcześniej nie zauważyłem, a w ręku trzymał duży bukiet róż. Jakoś nie wierzyłem, by miał je wręczyć swojemu neurologowi. Pora była wczesna, ale wyglądał tak, jakby...

Jakby szedł na randkę.

Powrotna droga dłużyła mi się bardziej niż ta w stronę Warszawy. Za Nowym Dworem zaczęło lać, więc wyjścia na kolejne perony były niczym wyprawy pod zimny prysznic. Przed przeziębieniem uchroniła mnie tylko kawa, którą poił mnie Kazio. Okazało się, że w swojej przepastnej reklamówce miał jeszcze jeden termos. Osuszyliśmy go do ostatniej kropli.

Dziękowo było szare i zamglone. Kazio życzył nam miłego dnia i przesiadł się do innego pociągu, który miał go dowieźć — już jako pasażera — do Nidzicy. Przyciskając się do siebie pod jednym parasolem, ruszyliśmy z Heleną w kierunku dworca. Jedna z pań, ubrana w żółtą kamizelkę firmy sprzątajacej, posłała nam wymowne spojrzenie. Helena przysunęła się do mnie jeszcze bardziej.

— Największa skandalistka z największym skandalistą, co?

— Kazio nazwał mnie celebrytą.

— Wypytywał cię, prawda? Zapowiadał, że to zrobi. Wszystko okej?

— Wypadłem chyba średnio. Ale w końcu pozwolił mi sprzedawać bilety...

Konrad czekał na nią w hali dworca. Podobno pojawiał się tu często, także bez zapowiedzi. Dotąd nie bardzo chciałem w to uwierzyć, ale teraz miałem wszystko czarno na białym.

— Jak było? — zagadnął nas z niewinnym uśmiechem, a potem cmoknął żonę w policzek. — Nie narobił ci obciachu?

Helena zapewniła, że nie, a ja włożyłem mu do rąk pękate reklamówki. Ze śmiechem opowiedziała o swojej przygodzie z piłkami, ale ja nie byłem w stanie uczestniczyć w ich wesołości. Wciąż myślałem o Tomku. Nie umiałem wyrzucić z pamięci ani jego, ani bukietu róż.

— Czy Tomek często jeździ do Warszawy?

— Dość często. Co najmniej raz w miesiącu.

Helena pojechała do domu, a Konrad — drugim samochodem — podrzucił mnie te kilkaset metrów do kamienicy. Nie chciałem się kłaść, ale gdy zrozumiałem, że alternatywą jest spędzenie następnych godzin w towarzystwie podchmielonego Gienka, szybko wskoczyłem pod kołdrę.

Z sąsiedniego pokoju dobiegało miarowe pochrapywanie. Pani Janina też pracowała o różnych dziwnych godzinach, które musiała potem odespać. Nastawiłem budzik na czternastą, dałem jej mężowi do zrozumienia, że chcę zostać sam, i chwilę później chrapałem zapewne jeszcze głośniejsze niż gospodyni.

Przebudzenie nie było miłe, ale humor poprawiła mi niemal natychmiast perspektywa spotkania z dziećmi. Wstąpiłem po drodze do Żabki po paczkę mamby i punktualnie o wpół do trzeciej wstukałem kod, tym razem ani razu się nie myląc.

— Ochraniacze.

— Obiecuję, że przemknę nad podłogą...

— Ochraniacze. — Pani, która dyżurowała przy wejściu, była nieubłagana. Droczyłem się z nią w ten sposób każdego dnia. Miała groźny głos, ale widziałem, że walczy z rozbawieniem. Zakładając ochraniacz, podskoczyłem zabawnie na jednej nodze. Nie wytrzymała. Po holu poniósł się jej głośny śmiech. — Z pana to lepszy numer — zauważyła bez śladu wcześniejszej wrogości. — Może pan to robić na siedząco. Nie gryzę.

Klepnęła w ławkę, na której siedziała. Usiadłem obok niej z westchnieniem udawanej ulgi.

— Naprawdę pani nie gryzie? — upewniłem się, a potem wykrzywiłem twarz do dziecka, które patrzyło na mnie przez szparę w drzwiach najbliższej sali. — Bo ja, kiedy patrzę na niektórych rodziców...

Nie zdążyłem podzielić się stworzonym na poczekaniu bon motem, bo w drzwiach wejściowych stanęła niespodziewanie moja była żona.

— Co ty tu robisz?

— A ty?

Byłem gotów założyć się o wszystko, że wcale nie powiedziała mi, że ma dzisiaj wolne popołudnie, ale widząc wyraz jej twarzy, ochoczo wziąłem winę na siebie. Nie chciałem oberwać, a w każdym razie — nie przy świadkach.

— Zróbmy tak: ja biorę dzieci, a ty idziesz na tajski masaż, a potem

zapraszasz przyjaciółkę na dużą bezę...

— Nic z tego, cwaniaczku. Dzieci idą ze mną do fryzjera. Tobie też by się przydały nożyczki...

Usługa strzyżenia nie została uwzględniona w moim planie finansowym na ten miesiąc. Ani na następny, więc z przykrością zrezygnowałem ze wspólnej wizyty. Gdy czekaliśmy na Olę pod drzwiami grupy pomarańczowej, obrzuciłem Ewkę uważnym spojrzeniem. Nie wyglądała dobrze. Pod oczami miała cienie, a jej zwykle zadbane paznokcie straszyły odpryskami lakieru.

— Widziałem dzisiaj Tomka.

— Gdzie?! Ach, zapomniałam. Przecież zostałeś kanarem. I co?

Nie miała wysokiego mniemania o pracy konduktora, ale nie zamierzałem się oburzać. Obraz Tomka kupującego kwiaty był tak sugestywny, że zrobiło mi się jej żal.

— I nic. Bilet niestety miał. — Zajrzałem do sali. Nasza córka trzymała w rękach stos rysunków, a jakaś jej koleżanka usiłowała dołożyć jej kolejne. Z kolei ciocia — ale nie ciocia Manuela — wyciągała ku niej pudełko z naklejkami. Nikomu szczególnie się nie spieszyło. — Tomek ciągle się leczy?

Odpowiedziała dopiero wtedy, gdy powtórzyłem, ale i tak zrobiła to niechętnie, ograniczając się do krótkiego potwierdzenia. Woląłem nie drażnić jej bardziej, zwłaszcza że Ola, która wreszcie do nas wyszła, na wieść o zaplanowanym fryzjerze zalała się łzami.

— Nie dawaj jej słodyczy — warknęła Ewka, ściągając szalik tak mocno, że mała chwyciła się za szyję i zapłakała jeszcze głośniejsze. — Tyle razy ci powtarzam, a ty ciągle pasiesz ją tą cholerną chemią...

Nie byłem zwolennikiem językowego purytanizmu, ale zakładałem, że przedszkole nie jest miejscem, w którym powinny padać nawet najniewinniejsze przekleństwa. Żeby jeszcze bardziej jej nie drażnić, usunąłem się w kąt po przeciwnej stronie korytarza i udałem, że zainteresowały mnie wywieszane tam dziecięce prace. Chwilę później

poczułem na ramieniu przelotny dotyk. Lekkie klepnięcie. Nawet nie odwracając się, wiedziałem, że to nie moja była żona. Ewka nie była tak delikatna. Po jej klepnięciach pojawiały się siniaki.

— Ale masz świadomość, że to prace dzieci z innej grupy?

Manuela miała na sobie kurtkę, co wskazywało na to, że wybiera się do domu.

— Poważnie? Przecież tutaj pisze Ola...

— Jest napisane — poprawiła z przesadną pedanterią. Chociaż znaliśmy się ledwie od czterdziestu ośmiu godzin czy coś koło tego, umiała poznać, że żartuję. To było niepokojące. — Robisz coś wieczorem? O której odprowadzasz dzieci?

— Nie odprowadzam.

— Ach, tak. — Chyba zrozumiała mnie opacznie, ale nie dała mi szansy na sprostowanie. — A jutro? Jesteś wolny? Przepraszam, że tak naciskam, ale...

Za jej plecami dostrzegłem Ewkę. Zbliżała się z bardzo niezadowoloną miną.

— Przepraszam za niego — powiedziała, zakładając, że to ja narzucam się przedszkolance, a nie ona mnie. — Kacper, ogarnij się. Pani jest już po pracy.

Manuela na moment zaniemówiła. Nie spodziewała się ujrzeć nas razem i teraz nie bardzo wiedziała, jak się zachować. Postanowiła wybrać najbezpieczniejszą opcję.

— Chodź tutaj, gwiazdo. Co to za płakanie?

Wzięła naszą córkę na ręce i mocno ją przytuliła. Oczy Oli, jeszcze przed chwilą pełne łez, nagle zrobiły się suche. Sprawność, z jaką przedszkolanki rozwiązywały dziecięce problemy, mogła u nas, rodziców, wywoływać lawinę kompleksów.

— Ewa zabiera ją do fryzjera.

— Nie lubisz tam chodzić? — zapytała Manuela, a Ola pokręciła swą kędzierzawą główką, potwierdzając jej przypuszczenia. — A ty odbierasz Adasia, tak?



— Nie — odpowiedziała za mnie Ewka. — Adaś też idzie się obciąć...

Wyglądała na skonfundowaną. Dopiero po chwili zrozumiałem, że był to efekt ostatnich słów Manueli, a przede wszystkim tego, że zwróciła się do mnie per ty. Manuela też dostrzegła jej zmieszanie.

— Jesteśmy w pewnym sensie sąsiadami — powiedziała, ale to enigmatyczne wyjaśnienie, zamiast pomóc, jedynie zaciemniło charakter naszej relacji.

Ewka spojrzała na mnie tak ostro, że w środku aż się skuliłem.

— Trzepiemy razem dywany.

Manuela udała, że ją to bawi, ale Ewka poprzestała na krzywym uśmiechu, który szybko zniknął.

— Proszę przyjąć kondolencje z powodu śmierci taty — odezwała się do Manueli, odbierając od niej Olę. — Wcześniej jakoś nie było okazji. Ola, zrób cioci pa, pa...

Mnie nie zaszczyciła nawet jednym spojrzeniem. Odwróciła się i po chwili wyszła z przedszkola.

— Ochraniacze! — krzyknąłem w kierunku zamykających się drzwi, ale nie usłyszała. Dolna część jej kozaków wciąż tkwiła w foliowych nakładkach. Machnąłem ręką. — U fryzjera będą jak znalazł...

— Przepraszam. — W głosie Manueli nie było przesadnego poczucia winy. Dominowała ciekawość. — Nie wiedziałam, że między wami jest tak... jak jest.

— Myślisz, że jest kiepsko? Żałuj, że nie poznałaś nas dwa lata temu. Wtedy to dopiero był bal. W porównaniu z tym, co było, dziś jest pełna sielanka. Prawdziwy wersal.

— Nie żałuję. — Pozdrowiła koleżankę z pracy, a potem skierowała się w stronę wyjścia. Nie miałem tu już nic do roboty. Ruszyłem za nią. — Ale to nieprawda, że was nie znałam. Panią Ewę kojarzyłam z gimnazjum. Była w ostatniej klasie. Połowa moich kolegów nie odrywała od niej wzroku. No, a jeśli chodzi o ciebie...

Miałem nadzieję, że powie coś analogicznego, tylko w miejsce kolegów wstawi koleżanki. Okazało się jednak, że swego czasu chodziła na mecze Startu. Im byłem starszy, tym więcej spotykałem takich kibiców. Można by pomyśleć, że naprawdę mieliśmy rzeszę fanów, ale jakoś nie pamiętałem pełnych trybun.

— Szczota, do usług — skłoniłem się, a ona zachichotała.

— Zawsze byłeś moim ulubionym piłkarzem. — Nie musiałem długo czekać. Wyjaśnienie, dlaczego była dla mnie taka miła, znalazło się już w jej następnych słowach: — Dzisiaj podczas leżakowania pomyślałam sobie, że warto byłoby pogadać z tym starym dziennikarzem „Echa Działdowa”. Wiesz, o Arkanowiczu i śledztwie mojego taty. Nazywa się Gerard Wasilewski. Jakby udało się nam dowiedzieć, czy żyje, a jeśli tak, to gdzie mieszka...

— Spodziewałem się, że na to wpadniesz — przerwałem jej z miną omnibusa. Prawda była taka, że przed rozmową z Kaziem nie wiedziałem nawet, że był jakiś dziennikarz. — Mam dwie wiadomości: dobrą i złą. Wasilewski żyje i ma się dobrze. Ale niestety wyniósł się na wieś. Aż pod Olsztynek.

Kazio podał mi nawet nazwę miejscowości, ale nie sądziłem, że dane mi będzie ją odwiedzić. Maróz znajdował się z dala od miejsc, do których docierała komunikacja. Nie przewidziałem tylko jednego. Jej determinacji. Sprawdziła w telefonie, gdzie to jest, a potem wyszukała połączenie.

— Możemy pojechać pociągiem do Olsztyna i wysiąść w Waplewie. Odjeżdża za piętnaście minut, a ty masz zniżki. A ze stacji do Maróza są już tylko jakieś trzy kilometry, przez las. Niedużo, a poza tym... Czy masz coś lepszego do roboty?

Nie miałem.

Pożałowałem swej pochopnej decyzji już godzinę później, gdy chłostany zimnym deszczem brnąłem błotnistym poboczem na spotkanie szybko zapadających ciemności. To, co na mapie było centymetrowym odcinkiem

asfaltowej szosy wśród zieleni lasów, w rzeczywistości okazało się blisko godzinną wędrówką przez zamglone pustkowia. Manuela zniosła ją lepiej ode mnie. Być może dlatego, że jej ulubionym sposobem spędzania wakacji była wólczyca z plecakiem, ale dopuszczałem też możliwość, że zwyczajnie nadrabia miną. Gdy dotarliśmy wreszcie do tej piekielnej, skrytej wśród lasów wioski, znalazła w sobie dość energii, by zachwycić się widokiem na jezioro. Jeśli o mnie chodzi, to widziałem tam jedynie mgłę i warstwy coraz ciemniejszej szarości.

— Jest tu jakiś sklep?

— Chyba nie. A co, jesteś głodny?

Spojrzałem na nią żałośnie, ale tego nie odnotowała. Wciąż gapiała się na to swoje jezioro.

— Nie. Muszę wydmuchać nos.

Dała mi całą paczkę chusteczek. Dziękując, uzmysłowiłem sobie, że dawno nie dostałem żadnego prezentu. Zrobiło mi się jeszcze smutniej. Widok warmińskiej wsi, nawet najpiękniejszej, o tej porze roku potrafi przyprawić o depresję.

Teren z jednej strony opadał ku jezioru, po drugiej zaś stronie drogi wznosiły się zabudowania ośrodka wypoczynkowego i kilku poniemieckich chałup. Zastukałem do pierwszej z nich, a gdy nikt nie otworzył, pofatygowałem się po betonowych schodkach do furtki ośrodka. Kompleks położony był na wzniesieniu, wśród starych drzew. Wieczorna mgła ograniczała widoczność do kilkadziesiątu metrów. W zasięgu wzroku wznosiły się dwa poniemieckie budynki, które wydały mi się wyniosłe i ponure — być może ze względu na aurę. Z komina jednego z nich unosił się dym.

Manuela trzymała się nieco z tyłu. Zauważyłem, że jej pewność siebie ogranicza się do budynku przedszkola. Poza nim była raczej wycofana. Nie zabrała mnie tutaj przez wzgląd na mój urok osobisty czy walory

intelektualne, tylko umiejętności społeczne. Wierzyła w nie chyba bardziej niż ja sam.

— Chodź tutaj.

Gdybym był mieszkańcem tej chaty na końcu świata, to w wieczór taki jak ten chętniej otworzyłbym męsko-damskiej parze niż samotnemu facetowi w poplamionej kurtce. Zaczekałem, aż zajmie miejsce u mojego boku, po czym zastukałem pięścią w dębowe drzwi. Raz, a potem drugi.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo, ale gdy wreszcie w drzwiach stanął starszy mężczyzna, poczułem nadzieję. Nie znałem wielu dziennikarzy, ale zawsze wyobrażałem ich sobie jako ludzi kontaktowych i ciekawych świata. Ten sprawiał wrażenie ciekawego, a nawet ciekawskiego. No i był w odpowiednim wieku. Świdrował nas swoimi małymi oczkami spod siwej strzechy włosów, usiłując odgadnąć, jakie diabły przywiały nas do tego zapomnianego zakątka.

— Redaktor Wasilewski?

Cofnął się i zamknął drzwi, ale zanim zdążyłem się zdziwić, otworzył je ponownie. Tym razem nie był sam. Trzymał za obrozę wielkiego, ujadającego wściekle wilczura.

— Odsuńcie się — polecił.

Postąpiliśmy, jak kazał. Prawdopodobnie w tamtej chwili zrobilibyśmy wszystko... lub prawie wszystko, o co by nas poprosił. Zaciągnął brytana w okolice zbitej z desek budy i przywiązał go do haka. Miałem nadzieję, że jest solidny. Sznurek był długi, ale na szczęście nie aż tak, by bestia mogła nas dosięgnąć zębiskami.

— Spokój, Reksio!

Pies miał chyba ubytek słuchu, bo wcale nie był spokojny. Rzucił się w naszą stronę z mordem w oczach. Gdyby nie postronek, pożywiałyby się właśnie moją ręką.

— Czy chce pan, żebyśmy sobie poszli? — zapytałem z nadzieją, ale odpowiedź, która padła, rozwiała tę nadzieję niczym podmuch orkanu.

— Czekałem na was. Wejdźcie. Przepraszam za Reksia. Nie lubi obcych.

Przedstawiłem się, ale nie dał po sobie poznać, że mnie usłyszał. Przebywanie z Reksiem mogło prowadzić do głuchoty. Wszedłem do sieni, a potem na korytarz. Na ścianie dostrzegłem instrukcję przeciwpożarową, a na rzędzie drzwi numery.

— Pan Wasilewski? — spytałem głośno, a on, ku mojemu zaskoczeniu, wręczył mi dowód. Tak, to był Gerard Wasilewski. Pierwsze cyfry numeru PESEL wskazywały, że miał za sobą osiemdziesiąte siódme urodziny. Od dwudziestu lat powinien być już na emeryturze, ale... — Pan tu pracuje?

— A skąd! W zimie nikt tu nie pracuje. Oprócz mojej córki. Pilnuje, by niczego nie rozkradli. A my jej pomagamy.

Szczekanie Reksia słyhać było nawet przez grube mury wschodniopruskiej chaty. Byłem pewien, że zasoby ośrodka są bezpieczne.

— Jest pan pewien, że czekał pan właśnie na nas? — spytałem delikatnie, bo po tym, jak wręczył mi dowód, nabrałem podejrzeń. Facet był niemal dziewięćdziesięciolatkiem. W takim wieku miał prawo zachowywać się nieracjonalnie, ale chciałem wiedzieć jak bardzo.

— No jasne, że na was. Wiedziałem, że w końcu się do mnie zgłosicie. Lepiej późno niż wcale.

— Pan chyba myśli, że jesteśmy z policji — zauważyła szeptem Manuela. — Może mu powiedz...

Powiedziałem, ale chyba nie przyjął tego do wiadomości, a w każdym razie — nie do końca. Zaawansowany wiek nie pozostał bez wpływu na jego zdolności poznawcze. Zostawianie go na straży ośrodka, a przede wszystkim na straży Reksia, wydało mi się skrajnie nieodpowiedzialne.

— Dlaczego pan na nas czekał? — spytałem, przyjmując zaproszenie do świata ułudy.

Nie miałem ochoty tracić więcej czasu na tłumaczenie mu rzeczy, które dla wszystkich zainteresowanych stron i tak nie miały większego znaczenia.

— Słyszałem, co spotkało pana...

— Twardygrosza? — odpowiedziałem, a on pokiwał głową.

— Dobrze wiem, co się dzieje. On wrócił. I znów robi swoje porządki.

— Arkanowicz?

Wasilewski zaczął się śmiać, ale ten śmiech szybko przeszedł w atak duszącego kaszlu.

— Nie bądźcie naiwni. Arkanowicz... Przecież on siedzi. Zamknęliście go. Nie pamiętasz?

Wyglądało na to, że Wasilewski wsiadł w wehikuł czasu i cofnął się o niemal trzy dekady. Poczujęm się naprawdę dziwnie.

— Skoro nie Arkanowicz, to kto? Kto powrócił?

— Ten, którego zamknęliście w szafie. A przecież mówiłem... Ostrzegałem. Każdy trup prędzej czy później z tej szafy wypadnie.

Domyśliłem się, że mówił o trupie w sensie metaforycznym, chociaż... w jego wypadku niczego nie można było brać za pewnik.

— Chodzi panu o to...

Podsumowanie karkołomnej teorii Manueli nie chciało mi przejść przez gardło. Staruszek, nic sobie nie robiąc z mojego zmieszania, gestem dłoni zaprosił nas do jedyńki, czyli pokoju numer jeden. Wyposażenie było spartańskie: dwa krzesła, stolik i szafka, na której stał włączony telewizor.

— Chodzi panu o to, że Arkanowicz miał... ucznia?

— Chodzi mi o to — sprostował staruszek — że dwie ostatnie ofiary zginęły w inny sposób niż pięć poprzednich. Ciosy były znacznie mocniejsze. Arkanowicz przyznał się do wszystkich siedmiu zabójstw, ale w przypadku dwóch ostatnich nie potrafił podać szczegółów. — Spojrzenie starego dziennikarza stało się zaczepne. — Nie wiem, czy to był uczeń. Jeśli tak, to chyba pasowałoby tu stwierdzenie, że uczeń przerósł mistrza.

— Uważa pan, że ostatnie dwie ofiary to nie robota Arkanowicza, tak? — wykrztusiłem, patrząc na napisy końcowe jakiejś polskiej opery mydlanej.

W tle widać było kadr z uśmiechniętą blondynką, którą kojarzyłem z ambitniejszych produkcji.

— To chyba powinno być dla was oczywiste.

— Dlaczego pan o tym nie napisał w swojej gazecie?

Posłał mi spojrzenie pełne wyrzutu.

— Czytał pan moje artykuły? Jeśli tak, to powinien pan się zorientować, że to sugerowałem.

— Chyba między wierszami...

— Sugerowałbym mocniej, gdybyście nie nałożyli mi wtedy kagańca.

Popatrzyłem z naciskiem na Manuełę. To powinien być jej występ. W końcu to ona mnie tu zaciągnęła, nie na odwrót.

— Skąd ta pewność? — spytała, emanując ciepłem, którego mi brakowało. Staruszek wyraźnie się odprężył.

— Arkanowicz nie mógł zabić Zaniewskiego. W ogóle nie było go wtedy w tym wagonie.

Domyśliłem się, że Zaniewski był jedną z ofiar Arkanowicza. Prawdopodobnie jedną z dwóch ostatnich. Manuela sprawiała wrażenie, jakby wiedziała, o kogo chodzi. Cóż, czytała te artykuły tyle razy, że pewnie nauczyła się ich na pamięć.

— Skąd pan to wie?

— Od świadków. Arkanowicz był wtedy chory i odwodniony. Grypa żołądkowa albo jakieś inne paskudztwo. Całą podróż spędził w toalecie w ostatnim wagonie, a Zaniewski został zabity w pierwszym. Ale oczywiście wszystkie dowody zostały zignorowane. Wystarczyło, by się przyznał.

Wytrwałem w milczeniu niecałą minutę. Rację mieli ci, którzy zarzucali mi gadulstwo.

— Pan z kolei musi przyznać — wtrąciłem — że prawdopodobieństwo jednoczesnej obecności w tym samym pociągu dwóch zabójców jest... No właśnie, jakie?

— Znikome?

— Zerowe. Dwóch zabójców, dwa młotki... Chyba ich nie sklonowali, co? Staruszek wyraźnie się zacietrzewił.

— Wciąż te same argumenty. Brakuje tylko tego z dachem.

— Z jakim dachem?

— Nie pamiętasz? Upierałeś się, że nie można wykluczyć, że Arkanowicz dostał się na przód pociągu po dachu.

Trochę się zaniepokoiłem. Już nie byłem jakimś policjantem. Byłem policjantem konkretnym i na domiar złego upartym.

— Panie Gerardzie... Co konkretnie powiedział pan Twardygroszowi?

— Prawdę. — Emerytowany dziennikarz uderzył się zaciśniętą dłonią w chudą pierś. — To, co pisałem. I to, czego nie daliście mi napisać. Że on powrócił. Wypadł z szafy.

Był przekonany, że tak właśnie było. Że dwadzieścia osiem lat temu w pociągach PKP działało dwóch morderców o podobnym modus operandi. Pewność, z jaką wyrażał te sądy, z jednej strony dawała do myślenia. Z drugiej... wciąż, wbrew nakazom zdrowego rozsądku, brał nas za policjantów. Czy zatem można było mu wierzyć?

Odłożyłem te rozważania na bok i słuchałem, jak Manuela zadaje najważniejsze pytanie:

— Czy pan wie, kto popełnił zabójstwa, które przypisano Arkanowiczowi?

Przez dłuższą chwilę milczał. Być może uznał pytanie za niemądre, może zastanawiał się, czy aby na pewno jesteśmy policjantami... A może po prostu się zawiesił. Mnie zdarzało się to regularnie, a przecież byłem od niego prawie trzy razy młodszy.

— Byłem dziennikarzem — oznajmił nieoczekiwanie, gdy już straciłem nadzieję, że się odezwie. — W zupełnie innych czasach, gdy istniało jeszcze coś takiego jak etyka dziennikarska. Moje dziecko, gdybym miał chociaż cień podejrzeń, kto to zrobił, to nie dałbym zamieść tej sprawy pod dywan. Nie uległbym waszym szantażom. Napisałbym o tym na pierwszej stronie. Największą czcionką. — Wstał z krzesła i uniósł rękę, tak jakby zgłaszał się do odpowiedzi. Albo składał ślubowanie. — Sprawdziłem każdą osobę, która



była wtedy w pociągu. I nic. Żadnego tropu. Tamten człowiek musiał być fachowcem. Albo sprzyjało mu szczęście, ale ja... Ja nie wierzę w szczęście.

Ja wierzyłem, lecz to nie był odpowiedni moment, by oddawać się polemice. Stary redaktor sprawiał wrażenie wyczerpanego. Ta rozmowa musiała go kosztować mnóstwo sił.

— Ostatecznie jednak zatrzymali Arkanowicza — stwierdziłem.

Nie chciałem, by zabrzmiało to zaczepnie, ale tak to odebrał. Jego policzki pokryła niezdrowa czerwień.

— Poszliście na łatwiznę — zaczął, jednak zanim na dobre się rozkręcił, jego gniew ukołysa Manuela:

— Jak go... złapaliśmy?

Patrzył na nią inaczej niż do tej pory. Tak po ojcowsku.

— Jesteś bardzo młoda, moje dziecko — zauważył. Jego wzrok wciąż był wystarczająco sprawny, by to dostrzec. — Ale zadajesz bardzo mądre pytania. Tak jak ten kolejarz. On też chciał to wiedzieć. No i trafił pod dobry adres...

Zakaszła. Manuela podeszła do półki i zdjęła z niej szklanę, a potem napełniła ją wodą z własnej butelki. Wasilewski opróżnił ją w kilku haustach.

— Policja była szczelna, ale ja wiedziałem, kogo pytać. Oczywiście nie mogłem wykorzystać tego w tekście... To był anonim. Anonimowy telefon. Policję zawiadomiła kobieta. Przekazała im tyle szczegółów, że wszystko potoczyło się bardzo szybko. Kilka godzin później Arkanowicz był już w ciupie.

— Zidentyfikowali tę kobietę?

— Niestety. Ten kolejarz też o to pytał. Twardygrosz czy jak mu tam. Chyba nie muszę mówić dlaczego.

Chyba nie musiał, ale postanowiłem się upewnić:

— Dlaczego?

Staruszek wyłączył telewizor. Chciał, by jego słowa zapadły nam w pamięć — i to bez tła w postaci flagowej piosenki z *Klanu*. Nastąpiła niemal idealna cisza, zakłócana jedynie stłumionym poszczekiwaniami krwiożerczego Reksia.

— Skoro ta pani wiedziała, że Arkanowicz zabijał w Szczecinie, Krzyżu, Łowiczu, Nidzicy i Sochaczewie — odpowiedział, prostując kolejne palce lewej dłoni — to powinna również wiedzieć, kto zrobił to w dwóch ostatnich miejscach. — Zacisnął dłoń, a potem uderzył nią w stół tak mocno, że podskoczyła szklanka. — Tylko ona wie, co tak naprawdę wydarzyło się w Świnoujściu i Działdowie. I tylko ona...

Zachłysnął się powietrzem i nie dokończył, ale dobrze wiedzieliśmy, co chciał powiedzieć. Tajemnicza kobieta była jedyną żyjącą osobą, która mogła wskazać mordercę. Tego sprzed lat i tego, który zabijał teraz.

Mogła to zrobić. Jeśli żyła.

## 7.

Przez całe życie zawodowe przełożeni powtarzali to jak mantrę: funkcjonariusze mają wykonywać czynności w zespołach, optymalnie dwuosobowych. Ten aspekt policyjnej rutyny funkcjonował po obu stronach granicy. Ukraiński przełożony Olgi wyjaśnił jej kiedyś, bez zbędnych ozdobników, że chodzi o to, by policjanci patrzyli sobie na ręce. By wzajemnie się pilnowali. By nie kradli. W Polsce uzasadniano to względami bezpieczeństwa. Niezależnie od powodów — tych oficjalnych i tych ukrytych — Olga przyzwyczała się do działania w dwójkach, nawet jeśli jej partnerem miał być sokista czy pracownik straży miejskiej. Dlatego teraz czuła się nieswojo. Brakowało jej kogoś, kto osłaniałby plecy.

— Spokojnie, nie pali się — powiedziała, chcąc opanować panikę, którą wywołało jej niespodziewane wtargnięcie.

Sekretarka w muzeum kolejnictwa, funkcjonującego pod kreatywnym szyldem Stacji Muzeum, drżącą ręką ujęła słuchawkę. Jej zdenerwowanie na pierwszy rzut oka mogło wydać się podejrzane, lecz Olga złożyła je na karb zaskoczenia. Była skłonna się założyć, że wizyty policjanta, domagającego się rozmowy z szefem, nie były elementem tutejszej codzienności. Na biurku sekretarki, obok aparatu telefonicznego rozłożone były produkty spożywcze: biały ser, dwa pomidory, cebula i porcja dietetycznego pieczywa, budząca skojarzenie z płatem styropianu.

— Nie odbiera...

— Spokojnie — powtórzyła, wykrzywiając usta w grymasie, który przy dużej dozie dobrej woli można było uznać za uśmiech. — Wiem, że jest środek nocy, a dyrektorzy lubią sobie pospać. Mogę pogadać z kimkolwiek. Byle kompetentnym.

Sekretarka wybrała inny numer, ale ten też nie odpowiadał. Było kilka

minut po ósmej rano, więc zbiorowa absencja nie dziwiła — muzea miały niewiele wspólnego z piekarniami. Olga umiała skrywać swoje emocje, ale wewnątrz była zażenowana. Nie chciała tu być. Nie wierzyła w sens tych odwiedzin, ale musiała wierzyć w hierarchię służbową. Rozkaz to rozkaz, trzeba go było wykonać.

— Może połączę panią z kierowniczką działu udostępniania? — zaproponowała sekretarka, gdy kolejna próba dodzwonienia się do kogoś bardziej znaczącego spelzła na niczym. Olga skinęła przyzwalająco głową. Była gotowa spotkać się nawet ze sprzątaczką, byle tylko zakończyć ten festiwal żenady. Powinna być teraz w prokuraturze i zapoznawać się z aktami, ale Agata miała dla niej inne zadanie. Dlatego zamiast robić coś, co miało sens, zawracała głowę muzealnikom, żądając od nich czegoś, czego nie mieli prawa mieć.

Tym razem połączenie zakończyło się sukcesem. Sekretarka, łamiącym się z przejęcia głosem, oznajmiła rozmówcy — zapewne kierownicze, o której wspomniała — że chce z nią rozmawiać pani komisarz. Olga, którą od stopnia komisarza dzieliły lata doświadczenia i kurs oficerski, zdążyła pomyśleć, że kobieta ogląda zbyt dużo seriali kryminalnych, których bohaterowie są zazwyczaj komisarzami. Nie zdążyła jednak zapytać, jakie to seriale, bo kierowniczka okazała się zdumiewająco szybka. Wparowała do pomieszczenia, zanim sekretarka zdążyła odłożyć słuchawkę.

— To właśnie ta pani...

— Widzę — warknęła, patrząc na podwładną z mieszaniną pogardy i niechęci. — Ewelina Kasprowicz. Czy mogłabym zobaczyć pani legitymację?

Olga spełniła jej życzenie, starając się nie okazać zdziwienia. Miała inne wyobrażenie o atmosferze pracy w takim miejscu. Muzeum miało przecież status placówki kultury, tymczasem stosunki na linii przełożony–podwładny skojarzyły jej się z komisariatem w Żółkwi, gdzie trafiła kiedyś na staż.

— Przejdźmy do mojego gabinetu. — Kierowniczka posłała sekretarce

jeszcze jedno miażdżące spojrzenie, po czym przytrzymała drzwi. Miała nie więcej niż trzydzieści lat i mogłaby uchodzić za piękność, ale ogólne wrażenie psuł jeden istotny szczegół. Była wyniosła i skrzywiona. Wyglądała jak szlachcianka, której podsunięto pod nos coś śmierdzącego. — Napije się pani kawy?

— Nie, dzięki.

— To zrób tylko jedną.

Trzasnęła drzwiami tuż przed nosem zaaferowanej sekretarki, po czym wskazała Oldze krzesło. Ściany pomieszczenia, które nazwała gabinetem, były wytapetowane zdjęciami i dyplomami. Jeszcze więcej dyplomów leżało na biurku, oczekując na umieszczenie w leżących obok ramkach. Ewelina Kasproicz była osobą ambitną, dobrze wyedukowaną... i raczej próżną.

— Zmieniam wystrój — wyjaśniła niepytana, a potem opadła na fotel. Olga westchnęła w duchu, a potem wyłuszczyła sprawę, z którą przyszła. Na skrzywionym obliczu kierowniczkę pojawiło się zdziwienie. — Przygotowujemy wystawę poświęconą tym wydarzeniom. Ale nie sądzę, byśmy dysponowali czymś więcej niż prokuratura.

Bojko nie spodziewała się innej odpowiedzi. Od początku zgłaszała swe obiekcje, ale Agata, która obudziła ją telefonem o szóstej rano, nie dała się przekonać. Jej słowa wciąż dudniły Oldze pod czaszką: „Wiem, że akta sprawy są w prokuraturze. Ale chciałabym zobaczyć, co mają na jego temat w PKP”.

— Dariusz Arkanowicz był waszym pracownikiem. Miał chyba jakąś teczkę personalną czy coś takiego... Czy dobrze się pani czuje?

Kierowniczka miała przez chwilę taką minę, jakby straciła kontakt z rzeczywistością. Pozbierała się z wyraźnym trudem.

— Przepraszam, miałam *déjà vu*.

— Co pani miała?

— Nieważne. Tak, mamy tu teczkę Arkanowicza. Ale to tylko kilka stron. Życiorys, jakieś podstawowe dokumenty kadrowe... i tyle. — Otworzyła

biurko i wyjęła z niego segregator. Tak, jakby przewidywała, że ich rozmowa lada moment dobiegnie końca. — Wszelka dokumentacja dotycząca obsługi połączeń, w których uczestniczył pan Arkanowicz, została przekazana prokuraturze. Dwadzieścia osiem lat temu.

Olga skryła satysfakcję za fasadą beznamiętnego spojrzenia. To samo mówiła Agacie.

— Mogłabym przejrzeć te kilka stron?

— Jasne. — Kierowniczka otworzyła segregator, od razu we właściwym miejscu, po czym wyjęła z niego foliową koszulkę. Jej zawartość ograniczała się do kilku kartek. Olga przechyliła głowę. Na grzbiecie segregatora ktoś napisał flamastrem nazwisko Arkanowicz.

— Trzyma pani te papiery w biurku?

— Przeglądałam je ostatnio. Jak już wspominałam, przygotowujemy wystawę, a poza tym...

Urwała i zmieniła się na twarzy. Olga odniosła wrażenie, że zrobiło jej się niedobrze, ale była to tylko reakcja na pojawienie się sekretarki. Dziewczyna postawiła przed nią kawę, rozlewając trochę na spodek. Toksyczność tej relacji znajdowała się poza sferą śledztwa, lecz Olga była zbyt doświadczona, by ją zignorować. Takie detale czasem miały znaczenie.

— Co ona pani zrobiła? — spytała, gdy sekretarka znalazła się po drugiej stronie drzwi.

— Byłyśmy koleżankami — odparła niechętnie kierowniczka. — Niedawno awansowałam, a ona nie potrafi tego przeboleć.

Po tym wyznaniu irytujący sposób bycia, który prezentowała kierowniczka, wydał się Oldze trochę bardziej uzasadniony. Nic nie dzieliło ludzi bardziej niż awanse i promocje.

— Rzeczywiście, niewiele tego — stwierdziła, kartkując zawartość koszulki. Większość dokumentów, w tym życiorys na jedną stronę, sporządzono ręcznie tym samym nieczytelnym charakterem pisma. Olga utknęła już na drugim wersie życiorysu. — Gdzie jest Nidzica?

— W warmińsko-mazurskim. — Kierowniczką obróciła ekran komputera w taki sposób, by wyświetloną zawartość mogła zobaczyć także Olga, po czym otworzyła mapę, na której dominował zielony kolor lasu. — Arkanowicz urodził się w Nidzicy, ale dorastał w wiosce kilkanaście kilometrów na północ. To nie jest nawet wieś, tylko osada przy torach. Z życiorysu wynika, że matka Arkanowicza pracowała jako dróżniczka. W tamtych czasach pracownikom takim jak ona przysługiwały lokale służbowe, najczęściej przy samej stacji. Niestety, nie ma podglądu, ale ze zdjęć satelitarnych wynika, że Arkanowicz wychowywał się de facto w budynku dworca. Tam nie ma nic innego. Tylko stacja, jeziora i lasy.

— A co to jest Kolejówka? — spytała Olga, odcyfrowując kolejne gryzmoły.

— Technikum kolejowe przy Szczęśliwickiej. Szkoła dla kolejarzy. Biorąc pod uwagę miejsce, w którym dorastał, wybór ścieżki zawodowej nie może budzić zdziwienia...

— To fakt. — Olga oderwała wzrok od kartki i przeniosła go na ekran. — Rzeczywiście, miał niewielki wybór. Mógł zostać kolejarzem albo leśniczym.

Uwaga miała charakter filozoficzny, ale pani Kasprowicz odebrała ją jako żart i wybuchnęła śmiechem. Chyba szczerem, bo po policzku pociekła jej łza. Jej twarz, pozbawiona grymasu rezerwy, stała się zaskakująco sympatyczna. Olga zweryfikowała swą pierwotną ocenę. Być może tą złą w skłóconym duecie była jednak sekretarka.

— Rzeczywiście, niewiele tego — powtórzyła, potrząsając skromną zawartością koszulki, jakby liczyła na to, że spomiędzy kartek wypadnie coś interesującego.

Nie wypadło. Obok życiorysu dokumentacja składała się z nic niewnoszących szpargałów, na przykład wypełnionego testu z BHP.

— Mówiłam. Gromadząc materiały do wystawy, wystąpiliśmy o wgląd do akt sądowych. Gdyby nie one, nie mielibyśmy nic do pokazania.

Olga zerknęła na segregator, a potem na zawieszony między dyplomami

zegar ścienny. Było jeszcze bardzo wcześnie.

— Czy to kopie tych akt?

— Tylko fragmentów. Te akta są bardzo obszerne. Zrobiliśmy coś na kształt résumé. Koncentrowaliśmy się na tych fragmentach, które uznaliśmy za najbardziej interesujące z punktu widzenia naszej wystawy. Ze szczególnym uwzględnieniem zdjęć.

Otworzyła segregator na chybił trafił. Oczom Olgi ukazała się fotografia zmasakrowanych zwłok.

— Rozumiem, że wystawa ma być przeznaczona tylko dla osób pełnoletnich?

— Ocenzujemy te zdjęcia. A niektórych w ogóle nie opublikujemy. Kolega, którego wysłaliśmy do archiwum, trochę za bardzo się rozpędził...

Olga była zdania, że tym, kto naprawdę za bardzo się rozpędził, był pracownik archiwum, który zezwolił na tak swobodne powielanie akt. Zgoda, wtedy jeszcze nikomu się nie śniło, że sprawa Arkanowicza znów znajdzie się na tapecie, ale mimo wszystko... Przecież te ofiary miały bliskich. Rozpowszechnianie wizerunku ich martwych ciał mogło otworzyć wiele starych ran.

— Mogłabym to przejrzeć?

— Jasne. Ale to nie jest pełny materiał. Tylko sensacja. I to taka rodem z tabloidu...

— Mnie pasuje.

Olga rozłożyła segregator. Nie sądziła, by dane jej było zapoznać się z oryginalnymi aktami. W końcu to było kilkadziesiąt tomów, a jej czas — staraniem Agaty — był mocno ograniczony. Jeszcze dziś czekał ją kolejny wyjazd. Tym razem do Działdowa, do zakładu karnego.

— W papierach był bałagan, ale wczoraj ułożyłam je tematycznie. I chronologicznie. Wszystkie siedem zabójstw jedno pod drugim.

— Tak nagle panią naszło?

— Miałam przeczucie, że okażą się potrzebne. — Pod wpływem spojrzenia



Olgi kierowniczką przestała się uśmiechać. — Oczywiście żartuję. Po prostu zobaczyłam, że jest w nich bałagan i...

— Spokojnie. — Olga zganiła się w myślach za nadmierną ostrość. Wciąż zapominała, że jej rozmówczynią jest pracownica muzeum, a nie złodziejka z peronu. — Tak tylko spytałam. Czy to pierwsze zabójstwo?

— Tak. — Kierowniczką orientowała się w papierach tak dobrze, że nie przeszkadzało jej oglądanie ich do góry nogami. — Jan Kotynia, spawacz z Goleniowa. Zamordowany między Świnoujściem a Szczecinem, w czerwcu dziewięćdziesiątego trzeciego roku. W chwili śmierci miał we krwi prawie dwa promile alkoholu, więc nie bardzo mógł się bronić. Zginął tak jak pozostali. Po uderzeniu w głowę. O, tutaj jest zdjęcie.

Fotografia była kolorowa i zdecydowanie nie nadawała się na wystawę. Mimo kiepskiej rozdzielczości widać było spustoszenie, które poczynił młotek. Twarz denata była zalana krwią, która rozbryznęła się na cały przedział. Jej ślady widniały na podłodze, kanapie, a nawet na zagłówku.

— Czy to lista pasażerów?

— Nie, personelu. To był ekspres ze Świnoujścia do Olsztyna. W pociągu obowiązywała rezerwacja miejsc, ale nie imienna. Na bilecie nie było nazwiska, tylko numer wagonu i numer miejsca.

— No tak. — Na liście było ponad dwadzieścia nazwisk, a wśród nich nazwisko Arkanowicz. — Pociąg miał stałą obsadę?

— Częściowo tak. Kierownik, od czterech do sześciu konduktorów, dwóch maszynistów, troje pracowników Warszawy...

Olga liczyła na palcach. Wyszło jej maksymalnie dziesięciu pracowników, czyli zaledwie połowa pozycji na liście.

— Konduktorzy pracowali odcinkami. Niektórzy obsługiwali trasę od Świnoujścia do... na przykład Poznania. Tam przesiadali się do pociągu, który wracał do Świnoujścia, a w ich miejsce wsiadali kolejni członkowie załogi, którzy jechali na przykład do Warszawy. I tam następowała kolejna zmiana.

— Czy byli tacy, którzy jechali tym pociągiem od początku do końca?

— Od Świnoujścia do Olsztyna? Tak. Jednym z nich był Arkanowicz. Drugim kierownik pociągu. Był jeszcze trzeci, konduktor... — Odnalazła na liście personelu właściwe nazwiska. — Wszyscy trzej na pewnym etapie znaleźli się na liście podejrzanych, ale oprócz nich byli na niej również pasażerowie. Policja kręciła się w kółko. Kolega, który kserował akta, posłużył się określeniem: zjadali własny ogon.

Olga pokiwała głową. Kierowniczką nie mogła o tym wiedzieć, ale teraz było podobnie. I to mimo skoku technologicznego, dzięki któremu dysponowali lokalizacjami telefonów, nagraniami z kamer i systemem identyfikacji twarzy — choć to ostatnie udogodnienie w dobie maseczek okazywało się zawodne.

— Drugi był Krzyż, tak?

— Zgadza się. Jeden z ważniejszych węzłów kolejowych. Ofiara to Adam Ciećwierz. Był pracownikiem restauracji dworcowej, czyli poniekąd również kolejarzem, bo takie knajpy obsługiwał wtedy Wars. Ale pociągiem jechał jako osoba prywatna, na wesele brata. Też miał we krwi alkohol. I nie miał połowy twarzy. Niezły widok, co?

Olga potwierdziła. Zdjęcie drugiej ofiary było jeszcze drastyczniejsze niż pierwszej. Jako element ekspozycji na pewno wzbudziłoby furorę, chociaż wrażliwsi zwiedzający mogliby potrzebować soli trzeźwiących.

— A to jest Piotr Paziewski. Student Politechniki Warszawskiej. Zabity w okolicach Łowicza, w drodze do domu po ostatnim egzaminie. O dziwo, był trzeźwy, przynajmniej tak wynika z akt. Podróżował z grupą znajomych, wyszedł z przedziału, by zapalić... Znaleziono go kwadrans później, w przejściu między wagonami. Pani wie, jak wyglądały wtedy takie przejścia?

Olga nie korzystała w tych czasach z usług polskich kolei, ale nietrudno się było domyślić.

— Były ciasne?

— Bardzo ciasne. Ledwie się zmieścił. Na zdjęciu prawie nic nie widać, bo jest zbyt ciemne. Znow uraz czaszki. A w spisie załogi znow Arkanowicz.

Sposób, w jaki go przesłuchali, zdaje się sugerować, że mieli go na liście podejrzanych, ale jakoś się wyłgał. Znowu. Kolejny raz uderzył już następnego dnia, tym razem w Nidzicy. Niedaleko swych rodzinnych stron. Ofiarą był Aleksander Olszowy, szemrany biznesmen, który właśnie w Nidzicy prowadził sklepik z podróbkami odzieży. Dresy z czterema paskami i tym podobne... Piątą ofiarą był Sylwester Rokita, mechanik samochodowy z Sochaczewa, a szóstą — uwaga! — kolejny pracownik kolei, ze Świnoujścia. Marek Bosacki. Był w ekipie wielu przejazdów, podczas których Arkanowicz zabijał kolejne osoby.

Tym razem Olga nie poprzestała na przejrzeniu akt, tylko wyjęła telefon i sfotografowała każdą stronę. Ostatnie dwa zabójstwa — to i następne — były kluczowe. Bo zabójcą wcale nie był Arkanowicz.

— Zwłoki znaleziono na plaży?

— Owszem. To zabójstwo było do pewnego stopnia atypowe. Nie doszło do niego w pociągu. Zgadza się natomiast sposób uśmiercenia.

— Rozbita czaszka?

— Tak jest. Arkanowicz używał do tego młotka.

Olga przewróciła kilka stron i znów zaczęła fotografować. Ostatnią ofiarą był Florian Zaniewski. Zdjęcie jego zwłok leżało luzem, między kartkami. Standard, rozbita czaszka... chociaż w jego wypadku obrażenia były chyba najbardziej rozległe.

— Skąd nagle takie zainteresowanie sprawą sprzed dwudziestu ośmiu lat?

Olga spodziewała się, że to pytanie padnie wcześniej, już na początku ich rozmowy. Miała zasłonić się tajemnicą służbową, ale po tym, jak dziewczyna okazała jej daleko idącą pomoc, nie chciała być obcesowa.

— Takie stare sprawy potrafią być inspirujące — powiedziała, starannie dobierając słowa. A potem nagle ją olśniło. — Ktoś już w tej sprawie był, tak?

Kobieta pokiwała głową. Niepewnie, jakby z wahaniem. Olga, zła na siebie, że wpadła na to dopiero teraz, przyszpiliła ją wzrokiem.

— Pani Ewelino, proszę odpowiedzieć. Kto to był?

Kierowniczką nie mogła się już wycofać, chociaż chyba miała na to ochotę.

— Taki młody człowiek, zainteresowany życiem swojego zmarłego dziadka. Jego wizyta na pewno jest bez związku...

— Chciałabym sama to ocenić. — Olga położyła dłoń na segregatorze. Kierowniczką wyjęła go z biurka, a potem wspomniała, że wczoraj układała w nim dokumenty. — Kiedy tu był?

— Przedwczoraj. Zostawił wizytówkę. Proszę. — Wyjęła ją nie z biurka, tylko z portfela. — Pan Olgierd Zaniewski. Wnuk Floriana Zaniewskiego, czyli ostatniej ofiary Arkanowicza.

— Interesował się Arkanowiczem?

— W ogóle. Pytał jedynie o swojego dziadka. Tu jest telefon, ale jeśli będzie pani dzwonić, to proszę nie powoływać się na mnie. Nie chciałabym, żeby pomyślał...

Olga dała jej znak, by zamilkła, a potem wklepała numer z wizytówki. Po drugiej stronie nikt nie odbierał. Chciała ponowić połączenie, ale zanim to zrobiła, telefon zawibrował.

— Halo?

— Oddzwaniem. — Głos był głęboki i bardzo męski.

— Pan Olgierd Zaniewski?

— Owszem. Czy mam przyjemność z panią Kasprowicz?

Kierowniczką oblała się rumieńcem. Olga, nie chcąc, by przysłuchiwała się rozmowie, wyszła z gabinetu, a potem z przylegającego do niego sekretariatu. Na korytarzu było pusto.

— Tu Olga Bojko, komisariat kolejowy policji — przedstawiła się, wymieniając z rozpędu jednostkę, z której chwilowo była oddelegowana. — Chciałabym zapytać...

Ale nie doszło do stawiania pytań. Ani do rozmowy. W słuchawce rozległ się dźwięk zerwanego połączenia. A gdy oddzwoniła, telefon był wyłączony.

Olgierd Zaniewski nie chciał rozmawiać z policją.

Olga może i była oddelegowana do komendy stołecznej, ale nie miała tam ani pokoju, ani choćby jednego kulawego krzesła. Jej miejscem pracy — jedynym, jakie знаła — wciąż był komisariat w podziemiach Centralnego. Wysiadła pod Marriottem i odruchowo rozejrzała się za kolorowymi piłeczkami, ale widocznie ich pechowa właścicielka je pozbierała. Wspominając z rozbawieniem poranny incydent, którego była świadkiem, namierzyła jedną z piłek w betonowej donicy przy krawędzi chodnika. Namacalny dowód na to, że zabawne zdarzenie nie było projekcją jej wyobraźni.

— Możesz zidentyfikować mi jeden numer telefonu? — spytała, wparowując do pokoju, w którym urzędował jej dotychczasowy szef Maciek. Dopiero gdy spojrział na nią z wyrzutem, zrozumiała swoje faux pas. — Przepraszam. Daj znać, jak będziesz wolny...

— Zaczekaj. Co to za numer?

Podawała mu kartonik z ciągiem cyfr, który na wszelki wypadek owinęła foliową torebką. To, że facet nie chciał rozmawiać z policją, było podejrzane samo w sobie, a dochodziła jeszcze kwestia jego oryginalnych zainteresowań. Życiorys dziadka, też coś. Oldze trudno było uwierzyć, że ktoś chciał trwonić czas i pieniądze, by się dowiedzieć, czy dziadek był lubiany.

— Sprawdź mi też przy okazji w bazach tego człowieka. — Wskazała na imię i nazwisko, które umieszczono na wizytówce, powyżej numeru. Olgierd Zaniewski. Mogła sprawdzić go sama, ale Maciek był w tym lepszy. Umiał wycisnąć z tych baz znacznie więcej niż ona. — Oczywiście w wolnej chwili.

Zerknęła na człowieka, którego przesłuchiwał. Facet był młody, na pewno młodszy od niej. Tej młodości nie były w stanie przykryć designerskie okulary i formalny strój — garnitur z konserwatywnym krawatem. Uśmiechnął się do niej, ale udała, że tego nie dostrzega. Niektóre przesłuchania przybierały postać psychologicznej gierki, w której jeden uśmiech mógł zniweczyć całą mozolnie budowaną strategię.

Maciek posłał jej znaczące spojrzenie.

— To pewnie sprawa życia i śmierci, co?

— To zawsze jest sprawa życia i śmierci — odparła defensywnie, nie wiedząc, do czego zmierza.

— No dobrze. Ale zajmiesz się panem do czasu, aż wrócę?

Zrozumiała, że był zmęczony i jej prośba dostarczyła mu pretekstu do krótkiej przerwy. Podziękowała mu z teatralną wylewnością, którą — w obecności świadka — musiał przyjąć z powagą i szacunkiem. Dopiero zza drzwi pokazał jej, co naprawdę czuje. I co myśli o swoim gościu. Pozorowanie ataku mdłości było tak sugestywne, że na moment zrobiło jej się niedobrze.

— Pan w jakiej sprawie? — zagadnęła przyjaźnie, bo gdyby to było naprawdę ważne przesłuchanie, Maciek nie poszedłby na wagary.

Facet wyglądał jak przerośnięty dzieciak. Elegancki strój wyglądał na nim jak na niestarannie odlanym manekinie. Patrzył na nią w taki sposób, jakby widział w niej mniej policjantkę, a bardziej kobietę, ale pozory myliły. Nie był wygadany podrywaczem w stylu Howarda Wolowitza, tylko nieśmiałym kolesiem z dobrze płatną robotą w branży IT.

— Grzesiek Umer. Pracuję w PKP Informatyka. W charakterze tutejszego specja od kamer.

Olga przedstawiła się, czytając z ekranu treść jego zeznania. Facet został wezwany jako ekspert, ale Maciek nie omieszkał zapytać go o alibi na wieczór z wtorku na środę. W chwili, gdy Wasyl Zajcew otrzymywał śmiertelny cios, Grzegorz Umer był w pracy. Pełnił nocny dyżur w budynku przy Alejach. Na siódmym piętrze. W protokole znajdowały się nazwiska dwóch kolegów z pracy, którzy mogli to potwierdzić.

— Ile jest tych kamer? Kiedyś próbowałam liczyć i wyszło mi...

— Trzysta sześćdziesiąt sześć — wypalił, zanim skończyła.

— Aż tyle?

— Tak. — W jego głosie zabrzmiała taka duma, jakby sam je ufundował.

— Z tego sto czterdzieści z ultradużą rozdzielczością obrazu, a siedemnaście z funkcją rozpoznawania twarzy.

— Nawet pod maseczką? — zażartowała.

Jeśli w grę wchodziła technika, to miał ograniczone poczucie humoru. Jak każdy nerd.

— To zależy. W niektórych przypadkach wystarczający może się okazać nawet fragment twarzy...

— Rozumiem, że pana praca wymaga służbowych wizyt na Centralnym?

— Tak, mamy tu nawet pomieszczenie, przy hali głównej, obok kas. Często panią widuję, pani... Olgo.

— I jak wyglądam w wysokiej rozdzielczości?

Zaczerwienił się niczym gimnazjalista przyłapany z okiem przy dziurce od klucza.

— Widuję panią przez szybę...

— Obłądnie, prawda? — Uśmiechnęła się, nie chcąc go płoszyć. Tacy faceci jak on powinni być pod ochroną. — Czy na dworcu jest dużo miejsc, których nie obejmują kamery?

— Nie ma ich w ogóle. Wyłączając toalety. Wasz komisariat. I pomieszczenia PKP.

— No i przystanki tramwajowe.

— To już nie jest teren dworca. Proszę popatrzeć. Przed chwilą pani kolega kazał mi narysować schemat.

Okrążyła stół i pochyliła się nad jego ramieniem. Był obficie spryskany perfumami, od których Oldze zakręciło się w głowie. Znał się nie tylko na nagrywaniu — plan podziemi dworca wyglądał tak, jakby wyszedł spod pióra utalentowanego architekta. Wszystko było proporcjonalne i czytelne. Obszar objęty monitoringiem był zaznaczony na szaro.

— Narysuje pan jeszcze kamery?

— Wszystkie? — spytał z niedowierzaniem.

Wróciła na swoje miejsce. W tym czasie dotarło do niego, że nie mówiła poważnie. Uśmiechał się, nie odrywając od niej wzroku. Był uroczy... na swój sposób.

— Czy taki schemat zasięgu monitoringu jest publicznie dostępny?

— W Internecie?

— Gdziekolwiek. W Internecie, na tablicy informacyjnej, w przewodniku po Dworcu Centralnym...

— Jest taki przewodnik?

— Nie wiem. Ale chyba pan chwyta, o co mi chodzi.

— To dane zastrzeżone. Pracownicy mojej spółki podpisują klauzule poufności. Nie wierzę, by ktoś wyniósł to na zewnątrz.

— A czy można go stworzyć samemu, na podstawie obserwacji?

Z powątpiewaniem pokręcił głową.

— Nie wszystkie kamery rzucają się w oczy. Sama była pani zdziwiona, że jest ich aż tyle. A przecież jest tu pani co drugi dzień.

— Pan naprawdę mnie szpieguje. — Odczekała, aż skończy zaprzeczać. Nie robił tego z przekonaniem. Może i był uroczy, ale niektóre jego zachowania mogły wydawać się niepokojące. — Czyli żeby mieć pewność, że w danym miejscu nie ma kamer, trzeba być pracownikiem PKP Informatyka?

— Trzeba się na tym znać. Wiedzieć, gdzie patrzeć. Wbrew pozorom to nie jest takie trudne. Jeśli pani chce, to mogę pokazać...

Zanim zdążył sprecyzować, co konkretnie chce jej pokazać, do pokoju zajrzał kolega policjant, który trafił tu już po niej. Zupełny świeżak, mało rozgarnięty i gburowaty.

— Masz iść do Maćka — burknął, nawet na nią nie patrząc.

Poradziła mu w myślach, by wyciągnął z zadka kij, po czym wyszła na korytarz. Maciek czekał tuż za drzwiami, przestępując z nogi na nogę.

— Skąd wytrzasnąłaś tego Olgierda?

— Znalazłam go w supermarkecie, na stoisku z...

— On nie istnieje.

— Co?!

Okazało się, że nikt o takim imieniu i nazwisku nigdy nie figurował



w żadnej bazie danych. To było zaskakujące, ale nie aż tak, by od razu zakładać mistyfikację.

— Ta kierowniczką wspomniała, że przyjechał z zagranicy. Może jest obywatelem innego państwa? Albo tak naprawdę ma na imię Aleksander, czyli Olek, ale od dzieciństwa wszyscy mówią do niego Olgierd. Jak Jan i Janusz. Takie nieporozumienia czasem się zdarzają...

— Nie słyszałem. Ale mniejsza o to. Tę kierowniczkę trzeba tu wezwać, i to najlepiej zaraz.

— Bo faceta nie ma w bazie PESEL?

Maciek wyjął papierosa. Olga rzadko widywała go tak podekscytowanego.

— Bo sprawdziłem ten numer telefonu.

— I co? Jest zarejestrowany na kogoś innego?

— Zgadza się. Na Arkanowicza.

Olga wolałaby wejść w skład zespołu, który udał się do Stacji Muzeum, ale Maciek zlecił to zadanie koledze gburowi, a ją wysłał na spotkanie, które umówiła z samego rana. Była zła, ale nie umiała odmówić mu logiki. Ewelinę Kasproicz mógł przyprowadzić tutaj pierwszy lepszy policjant, a jeśli chodzi o jej przesłuchanie... Uczciwość nakazywała przyznać, że i tak nie mogli wybrać do tego akurat jej. Po pierwsze, nie była najlepsza w gramatyce i ortografii, a po drugie — i znacznie ważniejsze — jej kariera w pionie śledczym trwała ledwie dwie doby z kawałkiem. Jakieś pięćdziesiąt godzin. Trudno wymagać, by grała tutaj pierwsze skrzypce.

Dawid, jej wczorajszy partner, został wysłany do Gostynina, aby jeszcze raz porozmawiać z Arkanowiczem. Było to zadanie karkołomne, bo po wczorajszym ataku szału Arkanowicz zamknął się w sobie i w charakterystyczny dla siebie sposób przestał mówić. Podobno nie mogła się z nim dogadać nawet żona. Olga nie zazdrościła Dawidowi jego misji. Ale nie zazdrościła też sobie. Znow była sama. I znow nie bardzo wiedziała, o co pytać.

Potężny, czteropiętrowy gmach technikum numer siedem wznosił się nieopodal dworca Warszawa Zachodnia i wiecznie przytkanego ronda Zesłańców Syberyjskich, znanego wśród kierowców pod mało wyszukaną nazwą ronda Zasrańców. Gdy dzwoniła tutaj rano, nie wiedziała, że technikum funkcjonowało pod mianem Kolejówki, ale z czerwonej tablicy przy wejściu wynikało, że człon ten obecny jest nawet w oficjalnej nazwie. A gdyby ktoś jeszcze miał wątpliwości, czy szkoła ta rzeczywiście kształciła przyszłych kolejarzy, za ostateczny dowód posłużyć mogła ciuchcia stojąca na skwerze pod oknami. Ciuchcia była tak stara, że musiała pamiętać czasy, gdy głównym wejściem — tak jak teraz Olga — wchodził do gmachu nastoletni Dariusz Arkanowicz. Świadomość ta towarzyszyła Oldze także podczas drogi na piętro, do sekretariatu. Miała wrażenie, że stąpa po śladach ducha.

Wrażenie minęło z chwilą, gdy rozbrzmiał dzwonek. Puste dotąd korytarze wypełniły się ciżbą młodzieży, a poziom decybeli rósł z sekundy na sekundę, aż dotarł do setki. Dopchała się do obitych skórą drzwi i nie pukając — schroniła się w środku. Drzwi okazały się dźwiękoszczelne. Wewnątrz panowała niemal idealna cisza, przerywana jedynie chrupnięciami towarzyszącymi jedzeniu herbatników. Olga poprawiła maseczkę i zaczęła od grzecznego „dzień dobry”. Nie musiała dodawać nic więcej.

— Pani z policji. — Puszysta sekretarka zmiażdżyła zębami następne ciastko, po czym podniosła się zza biurka i trochę władczym gestem wskazała na przejście do sąsiedniego pomieszczenia.

— Skąd pani wie, że to ja?

— Łączyłam pani rozmowę. Mam ucho do obcych akcentów.

— Gratuluję.

Stosunki na linii sekretarka–szef były tutaj zupełnie inne niż w muzeum kolei. Sekretarka, wprowadziwszy Olgę do gabinetu, zajęła miejsce w fotelu i poczęstowała się wafelkiem. Gospodarz tego miejsca, zwalisty facet ze skłębioną brodą, znad której spoglądały tatarskie oczy, okazał się zastępcą dyrektora. I to on zaproponował kawę.

— Nie trzeba. Ja na chwilę. Pewnie nie ma tu w szkole osoby, która pracuje tak długo, że pamiętałaby czasy Dariusza Arkanowicza?

Nazwisko seryjnego mordercy nie zrobiło na nikim wrażenia. Wymieniła je wcześniej, podczas rozmowy przez telefon. Zastępca dyrektora wskazał na sekretarkę, która rozprawiała się z kolejnym wafelkiem.

— Z nauczycieli nie ma już nikogo. Ale ma pani szczęście. Pani Marianna była wychowawcą w internacie. Gdy zaczynała...

Umilkł pod wpływem spojrzenia pracownicy, a potem usiadł, oddając jej głos.

— Gdy zaczynałam, Dariusz był w ostatniej klasie. Pewnie się pani zdziwi, ale go lubiłam. Był grzeczny. I bardzo cichy. Jak przymknę oczy, to wciąż go widzę, jak stoi ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Agata, telefonując do Olgi z samego rana, usiłowała ją przekonać, że w sprawie Arkanowicza ważne mogą być nawet z pozoru nieistotne szczegóły. Ale chyba nie chodziło jej o szczegóły, które były aż tak nieistotne. Mając jednak na uwadze, że będzie musiała zrelacjonować tę rozmowę, i to na piśmie, postanowiła trochę podrażnić. Wspomnienia osoby, która go poznała, były z pewnością cenniejsze od starych świadectw, a jeśli nawet nie, to na pewno wypadają lepiej na kartach notatki służbowej.

— Był grzeczny i nieśmiały, tak?

— Bardzo nieśmiały. Chociaż nauka trwała pięć lat, to nie udało mu się zaprzyjaźnić choćby i z jednym kolegą. Chłopcy śmiali się z niego i mu dokuczali, nawet ci młodzi. A on był bezradny. Nie umiał się bronić. I bardzo to przeżywał. Aż szkoda było patrzeć.

Z jej słów wynikało, że Dariusz Arkanowicz wkraczał w dorosłość w środowisku, które sprzyjało, i to w sposób modelowy, kształtowaniu się osobowości psychopatycznej.

— Była też przemoc fizyczna?

— Jeśli już, to sporadyczna. To był porządny internat, przy technikum, a nie jakiejś zawodówce.

— A przemoc seksualna?

Kobieta aż się zakrztusiła. Kawałki wafla pofrunęły na stół, dywan i buty zastępcy dyrektora.

— Nie, skąd. Nigdy nie słyszałam o takich świństwach.

Olga w myślach sformułowała kolejne zdanie swojej notatki: *Rozpytywana zaprzeczyła, by miała wiedzę o przypadkach przymusowego doprowadzenia D. Arkanowicza do obcowania płciowego lub poddania się innej czynności seksualnej.* Ujęłaby to prościej, ale przełożeni lubili takie rozbudowane zdania, najeżone słownictwem rodem z kodeksu karnego. Prawdopodobnie dlatego, że lepiej maskowały brak rzeczywistej treści.

— Ktoś go odwiedzał? W internacie?

— Nie jestem pewna. Nie kojarzę. Wątpię, by zapraszał tam kogokolwiek. Jego pozycja w grupie rówieśniczej była niska. Internat musiał kojarzyć mu się z piekłem.

— A szkoła?

— Kiedy w klasie jest trzydziestu chłopów i ani jednej dziewczyny, obyczajem stają się szorstkie. W szkole też musiał mieć ciężko, zwłaszcza że stykał się tam z kolegami z internatu. — Przy słowie „koledzy” nakreśliła w powietrzu cudzysłów, a potem aż się wyprostowała. — Była jakaś afera podczas studniówki. Pocięli mu spodnie albo coś przykleili. Coś mi się majaczy, że płakał. Trudno wyrzucić z głowy taki widok. To był stary koń, musiał mieć ze dwadzieścia lat.

Olga zaczęła układać w głowie kolejne zdanie, zaczynające się od słów: *Podczas zabawy studniówkowej D. Arkanowicz padł ofiarą złośliwego zachowania współuczestników...* Po następnych słowach dawnej opiekunki internatu musiała je jednak wykreślić. Wygumkować. Usunąć.

— Było inaczej. Tam poszło o dziewczynę.

— Arkanowicz miał w szkole dziewczynę?

— Nie, w szkole nie. — Kobieta odchyliła się w fotelu, który niepokojąco zatrzeszczał. — To była studniówka, można było wprowadzić partnerkę

z zewnątrz. Prawie wszyscy to robili, bo nasze technikum było niemal wyłącznie męskie. Kobiet było jak na lekarstwo. Tylko skąd ona była? Pewnie tak jak większość, z liceum ekonomicznego. Tam z kolei chodziły prawie same dziewczyny. Pamięta pan, panie Janku?

Zastępca dyrektora, który dotąd przysłuchiwał się rozmowie w całkowitym milczeniu, teraz pokiwał głową, ale bez specjalnej energii.

— Chyba słyszałem tę historię. Dziś byłaby z tego afera, ale czasy były inne. Wszystko rozeszło się po kościach, niestety.

Olga przeniosła wzrok z powrotem na sekretarkę i ze zdziwieniem zdała sobie sprawę, że kobieta jest zmieszana. Rozumiała, że niechętnie dzieliła się wspomnieniem, które — uderzając w uczniów — uderzało też w samą szkołę, ale... bez przesady. Arkanowicz skończył szkołę w dziewięćdziesiątym drugim roku, a zatem od tamtych wydarzeń upłynęło prawie trzydzieści lat.

— Co mu zrobili? Zwyzywali? Obsmiali? — Oboje ze smutnymi minami pokręcili głowami. — Ściągnęli mu gacie?

— Nie zrobili nic jemu — powiedział w końcu dyrektor, akcentując ostatnie słowo.

— A komu? — spytała Olga i nagle to do niej dotarło. — Skrzywdzili dziewczynę?! Tę, którą zaprosił?!

— Właściwie to nic się nie stało. — Wyraz twarzy sekretarki zdawał się przeczyć tym słowom, ale to, co powiedziała, rzeczywiście nie zabrzmiało strasznie: — Tylko ją obsmiali. Obsmiali ją, a on się przejął. Trudno się dziwić, że się przejął, ale z drugiej strony... powinien być przyzwyczajony. Z niego śmiano się przez pięć lat.

Olga nie bardzo rozumiała, dlaczego tak się z tym czaili. Owszem, złośliwy śmiech potrafił wyrządzić krzywdę, ale w swojej karierze była świadkiem znacznie większych tragedii.

— Coś z nią było nie tak?

— Nie, skąd. — Dyrektor uderzył się w piersi. — To chodziło o niego, a nie

o nią. Gdyby przyszedł z nią ktoś inny, nikt nawet by się nie uśmiechnął. Jestem tego pewien, a pani?

W jego spojrzeniu zawarty był jakiś niewypowiedziany komunikat. Olga nie była w stanie go rozszyfrować. Na szczęście sekretarka okazała się bardziej prostolinijna:

— Śmiali się z tego, jak mówiła.

— A jak mówiła?

Spojrzała na dyrektora, ale on gapił się w okno. Zaczerpnęła powietrza jak przed skokiem na głęboką wodę.

— Mówiła podobnie jak pani. Trochę zaciągała. Z rosyjska.

Przez ostatnie kilka miesięcy widywali się z Maćkiem parę razy w tygodniu, lecz Olga dopiero teraz się dowiedziała, że jej dotychczasowy przełożony z komisariatu na Dworcu Centralnym jest szczęśliwym ojcem. W portfelu przechowywał trzy fotografie. Na pierwszej spało w beciku niemowlę, na drugiej malec miał na głowie dziecięcą czapkę z daszkiem, a na trzecim — fantazyjnie zawiązaną bandankę.

— Ile ma lat?

— Trzynaście. — W głosie Maćka pojawiły się nutki dumy. — Mówi po angielsku, pływa w reprezentacji szkoły i trenuje taekwondo. A w zeszły weekend zabrał koleżankę z klasy na koncert Zalewskiego.

— Zalewskiego? Romantycznie. A rozmawiałeś z nim, co musi robić, żebyś za wcześnie nie został dziadkiem?

— To mądry chłopak — odparł, wyprzedzając rozklekotanego poloneza. Ten odcinek siódemki wciąż był jednopasmowy, więc prędkość, z jaką się poruszali, znacznie spadła. — W ferie świąteczne zabieram go na narty, do Korbielowa. W zeszłym roku wybraliśmy się po raz pierwszy i po trzech dniach śmigał tak, jakby wychował się w górach.

— Często się widujecie?

— Raz w tygodniu. Mam to zagwarantowane sądownie.

— Ciężki rozwód?

— Nie bardziej niż samo małżeństwo — jęknął, a potem się wzdrygnął. — Znasz życie, młoda. Wiesz, jakie potrafią być baby.

Olga puściła tę uwagę mimo uszu. Maciek potrafił być upierdliwy. W pracy dawało się z nim wytrzymać, ale wspólne życie nie ograniczało się do wymiany złośliwych uwag przez służbowe radio. Dziewczyna, która związała się z nim w nadziei, że zdoła go zmienić, zasługiwała na laur pierwszej naiwnej. Tacy jak on się nie zmieniali.

— Widujecie się z synem w weekendy?

— W sobotnie popołudnia. Mam nadzieję, że zdążymy wrócić, chociaż... może być różnie. Z tą wariatką niczego nie można być pewnym.

Było piątkowe popołudnie, a wariatką, o której mówił, musiała być Agata. Fakt, że wchodząc w skład zespołu do sprawy zabójstw, stał się jej podwładnym, przyprawiał go o chandrę, której nie próbował ukrywać. Olga nie miała pojęcia, co między nimi zaszło. Pytała o to już dwu- albo i trzykrotnie, ale za każdym razem zbywał ją ogólnikami. Teraz spróbowała raz jeszcze:

— Co ona ci zrobiła?

— Spytaj, czego mi nie zrobiła. — Ciężko westchnął. Takie westchnienia bywały preludium do zwierzeń, ale w tym wypadku stanowiły wstęp do serii wyzwisk. — To głupia, małostkowa, fałszywa dziwka. Nie, nie dziwka. Dzwinki to kobiety, a Agata to jakaś hybryda. Wstrętny babochłop.

Teraz westchnęła Olga. Agata bywała irytująca, ale nie aż tak, by ją obrażać. I to określeniami ze słownika ludzi marginesu.

— Ona też nie jest o tobie najlepszego zdania — zauważyła, wspominając rozmowę, którą odbyły, wracając pociągiem z Ciechanowa. — Twierdziła, że nadajesz się tylko do czynności technicznych. Takich jak przeglądanie nagrań...

Nie odpowiedział, tylko mocniej wcisnął pedał gazu. Tę irytację potęgowało zapewne to, że obecnie również wykonywał czynności czysto

techniczne. Jego rola w ich wypadzie miała się ograniczać do kierowania samochodem. W Działdowie był zbyteczny. Przesłuchanie w areszcie śledczym poprowadzić miała Agata, z Olgą jako tłumaczką.

Czynność przesłuchania miała się odbyć jeszcze dzisiaj. Przesłuchiwanym miał być Ukraińiec, który przez kilka miesięcy dzielił celę z Anatolem, bratem zamordowanego Wasyla Zajcewa. Osoba tego Ukraińca była pomostem łączącym Anatola z inną ofiarą zabójcy, Zbigniewem de Wayherem. De Wayher również przebywał w areszcie i również dzielił z nim celę, ale znacznie wcześniej. Opuścił więzienie w zeszłym roku — Anatol trafił tam kilka miesięcy później.

Anatol Zajcew nie zetknął się zatem w więzieniu ze Zbigniewem de Wayherem. Ale mieli wspólnego kumpla. Ukraińca, który nie znał ani słowa po polsku, a przynajmniej tak twierdził, uchylając się od zeznań.

Słowa, które padły z ust Olgi, ubodły Maćka do tego stopnia, że przestał się odzywać. Bojko nie miała nic przeciwko temu. Założyła słuchawki i kiwała głową w takt muzyki zespołu Sinoptik. Metalowe brzmienie sprzyjało rozważaniom o seryjnych zabójcach. Trop, który wiódł do więzienia w Działdowie, był kolejnym, przy którym przewijali się jej rodacy. Była z tego powodu bardzo zadowolona, bo dzięki temu miała robotę — z pewnością atrakcyjniejszą niż patrolowanie warszawskich dworców. Bracia Zajcewowie, Ukraińiec z celi, a także dziewczyna Dariusza Arkanowicza, która mówiła z akcentem... Roboty było aż nadto.

Najbardziej intrygowała ją była partnerka Arkanowicza. Od chwili, gdy dowiedziała się o jej istnieniu, zastanawiała się, jak ją zidentyfikować. Odwiedziła w tym celu budynek dawnego liceum ekonomicznego przy Szczęśliwickiej, gdzie mieścił się obecnie zespół szkół, ale informacje, które tam uzyskała, nie przybliżyły jej do celu nawet o milimetr. Wśród uczniów szkoły w okresie, gdy w pobliskim technikum kolejowym uczył się Arkanowicz, nie było dziewczyny narodowości ukraińskiej lub rosyjskiej. Ani



żadnej innej wschodniosłowiańskiej. Żadna z absolwentek nie miała też wschodniego imienia lub nazwiska. Liceum okazało się ślepym tropem.

Pogrążona w myślach i odgradzona od innych bodźców słuchawkami z ostrą muzyką, zareagowała dopiero na kuksańca.

— Pobudka! — Maciek szczyrzył się do niej, znów irytująco zadowolony z siebie. Po złym nastroju nie było śladu. — Witamy w Działdowie!

Sunęli wąskimi uliczkami. Wieczorny półmrok rozświetlały światła starszej części miasta. Minęli obszerny rynek i po chwili zatrzymali się przed budynkiem z czerwonej cegły, budzącym skojarzenie z pałacem wiedzmy. Przed wejściem czekała Agata. W swoim zbyt obszernym płaszczu i falującym na wietrze szalu wyglądała jak prawdziwa czarownica.

— Ale się stęskniłem...

— Cicho.

Agata nie okazała się mistrzynią wylewnych powitań. Oldze ledwo skinęła głową, a Maćka zignorowała. W pałacu wiedzmy mieściła się lokalna jednostka prokuratury i sąd rejonowy. Poganiani podmuchami lodowatego wiatru ruszyli za Agatą wzdłuż budynku, a potem na jego tyły. Tam wznosił się znacznie bardziej współczesny budynek z okratowanymi oknami. Więzienie.

— To zakład typu półotwartego — poinformowała Agata, kierując tę uwagę jedynie do Olgi. — Coś na kształt filii aresztu śledczego w Iławie. Anatol Zajcew odbywał tu karę za kradzież, w systemie oddziaływania programowanego. Trzy miesiące temu wyszedł na wolność, a potem wyjechał do Ukrainy. Znaleźli go.

— Żyje?

— Tak. Na koszt państwa. Kilka dni po powrocie został zatrzymany na kradzieży. To zawodowy złodziej.

— System oddziaływania nie zadziałał?

— Nigdy nie działa. To fikcja.

Pchnęła drzwi. W pomieszczeniu przypominającym recepcję w szpitalu nie

było żywego ducha. Zastukała w szybę.

— De Wayher też odbywał karę w systemie?

— Do czasu, aż wystawiono mu opinię. Potem trafił do zakładu zamkniętego.

Zakład taki jak ten — półotwarty — różnił się od zamkniętego stopniem odizolowania osadzonych. W zakładzie typu półotwartego więźniowie mogli wykonywać pracę poza murami, a sprawowany nad nimi nadzór nie miał charakteru permanentnego. Osadzeni mogli przemieszczać się po terenie aresztu samodzielnie, przy uwzględnieniu zapisów regulaminu, a ich cele, zwane celami mieszkalnymi, były wyposażone w liczne udogodnienia, o których skazańcy przetrzymywani w zakładach zamkniętych mogli jedynie pomarzyć. Ale największa różnica dotyczyła przepustek — w zakładach półotwartych można się było o nie ubiegać co dwa miesiące. De Wayher, który wywodził się ze środowiska wysoce kryminogennego, został w toku odbywania kary uznany za niezasługującego na takie nagrody. Nie rokował poprawy. Anatol Zajcew miał więcej szczęścia — ale tylko do czasu. W Ukrainie ze swoją kartoteką nie mógł liczyć na przepustki. Olga znała tamtejsze więzienia. Te w Polsce były przy nich niczym sanatoria.

W recepcji pojawił się funkcjonariusz Służby Więziennej. Formalności związane z wejściem na teren aresztu trwały znacznie krócej niż w Gostyninie. No i nikt nie robił im testów. Funkcjonariusz, na prośbę Agaty, wystawił im dwie przepustki. Maciek został w poczekalni.

— Ten facet, z którym będziemy gadać, to też zawodowy złodziej. Początkowo nie chciał współpracować, ale gdy zrozumiał, że wystarczy jedno nasze słowo, a trafi do Płocka albo Goleniowa, nagle wyraził gotowość do pomocy. A przynajmniej tak zrozumiałam. Nie mówi po polsku.

— Wcale?

— Prawie wcale.

— Od dawna tu jest?

— W Polsce? Od pięciu lat. A w areszcie od trzech.

— I nie potrafi się dogadać?

Agata wzruszyła ramionami.

— Nie każdy rodzi się poliglotą.

Sala widzeń oddziału zewnętrznego w Działdowie była przystosowana do odbywania wizyt w pełnym reżimie sanitarnym. Stoły przedzielono szklaną przegrodą. Agata przesunęła palcem po szkle, a potem spryskała je płynem do dezynfekcji i przetarła chusteczką.

— Teraz będzie coś widać.

Jej zabiegi zdały się na niewiele, bo mężczyzna, który minutę później zajął miejsce po drugiej stronie szyby, miał na sobie obszerną maseczkę, znad której widać było jedynie oczy i bezwłosy czerep. Brak włosów nie był wyznacznikiem wieku. Wielu skazanych goliło się na zero, bo tak było wygodniej.

— Zapytaj go o imię i nazwisko. Zachowuj się tak, jakby to było formalne przesłuchanie. Przyciśnij go. Spraw, by poczuł odpowiedzialność za słowa, okej? I nie bądź zbyt grzeczna.

Olga pokiwała głową, usiłując za nią nadążyć. Agata wydawała zdecydowanie za dużo poleceń naraz.

— Jak się nazywasz?

Oczy mężczyzny stały się nieco większe. Powód wydawał się oczywisty — spodziewał się kolejnej rozmowy na migi, a nie wymiany zdań w rodzimym języku. Ale szybko się okazało, że zdziwienie miało swe korzenie w czymś innym.

— Nie poznajesz mnie?

Ściągnął maseczkę. Olga odniosła wrażenie, jakby cofnęła się w czasie. Ten złamany nos i kpiące spojrzenie były częścią jej przeszłości.

— Danił Rybakow?

Facet wyszczerzył nierówne zęby.

— Mały jest ten świat, prawda?

Olga wychowywała się na Łyczakowie, ale nie w jego zabytkowej części z cmentarzem, tylko na zupełnie niezabytkowym blokowisku. Po wstąpieniu do policji (a właściwie milicji, bo nazwy „policja” zaczęto używać dopiero kilka lat później) rozpoczęła służbę w miejscowym komisariacie, przy Chmielnickiego. Danił Rybakow działał w jej rewirze. Ich ścieżki zetknęły się kilkakrotnie, mieli też wielu wspólnych znajomych. Widząc go po latach tak daleko od Łyczakowa, i to za kratami, na moment straciła rezon.

— Skąd się tu wzięłeś?

— Wyemigrowałem. Z powodów ekonomicznych, zapewne tak jak ty.

— Ekonomicznych?

Uśmiechnął się od ucha do ucha, a potem, zerknąwszy na pracownika Służby Więziennej, który go tutaj przyprowadził, podciągnął maseczkę.

— Ludzie zrobili się tak biedni, że żal było ich okradać.

Olga, czując na sobie badawcze spojrzenie Agaty, powstrzymała się od śmiechu. Wskazała na zakratowane okno.

— Chyba żałujesz, co?

— Raz na wozie, raz pod wozem. To nie jest złe miejsce. Da się żyć. Trzeba się po prostu przystosować.

Danił był inteligentnym facetem. Przystosowanie w jego rozumieniu musiało polegać na udawaniu głupszego niż w rzeczywistości. Oldze trudno było uwierzyć, że przez tyle lat nie nauczył się polskiego. Dlatego kiedy Agata zapytała, co się dzieje, ograniczyła się do krótkiej informacji.

— To mój stary znajomy ze Lwowa.

Danił Rybakow dobrze pamiętał Zbigniewa de Wayhera. Gdy o niego spytała, w jego uśmiechniętych dotąd oczach pojawił się niesmak.

— To świnia. Ale mimo to nie chcę mu zaszkodzić.

— Nie zaszkodziś.

Popatrzyła na niego w taki sposób, że zrozumiał. Jego ręka odruchowo powędrowała w stronę czoła, ale w ostatniej chwili opanował potrzebę, która

kazała mu się przeżegnać. Jak na kryminalistę był bardzo religijny. W Polsce była to rzadkość, a w Ukrainie — ewenement.

— A więc się doigrał?

— Czy słyszałeś o kimś, kogo mogłoby to ucieszyć?

Przymrużył oczy.

— Znam wiele takich osób. Nawet stąd. — Potoczył wzrokiem po sali widzeń, lecz Olga domyśliła się, że ma na myśli więzienie jako całość. — To śmieć. Najgorszy rodzaj...

Określenie, którym się posłużył, w wolnym tłumaczeniu oznaczało konfidenta. W słowniku kogoś takiego jak Danił nie było większej obelgi.

— Podasz nazwiska?

Olga wiedziała, że nie ma na to szans, ale musiała spytać. Gdy pokręcił głową, rozważała przez moment zastosowanie szantażu, zgodnie z wcześniejszymi sugestiami Agaty. Ale chociaż miała świadomość, że wszystkie te opowieści o przestępczym kodeksie są przesadzone, to akurat Danił był honorowy. Nie wydusiłaby z niego siłą żadnej informacji, nawet jeśli dysponowałaby takimi środkami perswazji jak jej koledzy z początku pracy we Lwowie.

— Zastanawiasz się, czy nie zacząć wyrywać mi paznokci? — Uśmiech, który zarysował się pod maseczką, mógł pojawić się jedynie na ustach kogoś, kto przeżył już tortury w śledztwie i wiedział, że na powtórkę nie ma szans.

— Myślałam, że znasz mnie lepiej — odparła. Nigdy nie posunęła się do takiej przemocy, a gdy jeden z dawnych kolegów próbował to zrobić w jej towarzystwie, najpierw wzięła go na muszkę, a potem doniosła o wszystkim przełożonym. Gdyby nie trafiła na okres reformy, prawdopodobnie skończyłoby się to dla niej utratą pracy. — Zastanawiam się, czy tych osób, o których mi nie powiesz, jest więcej, czy też masz na myśli kogoś konkretnego.

— Nie mam — odparł od razu. — Zibi jest... albo był bydlakiem. Nie pasował tutaj. Gady szybko się na tym poznali i przenieśli go do Płocka.

Nie zdołała powstrzymać śmiechu. Grypsera tłumaczona na ukraiński? Tego jeszcze nie grali.

— A co te gady sądzą o Anatolu Zajcewie?

Natychmiast spowaźniał. W jego oczach pojawił się lęk, ale Danił nie bał się Zajcewa. Bał się... o niego.

— Nie mów tylko...

— Nie powiem. Pan Zajcew odpoczywa na Horodeckiej.

— Na Horodeckiej? — Danił lekko się uśmiechnął. Na tej ulicy we Lwowie mieścił się owiany złą sławą zakład karny. Tak zwane Brygidki. — To dobry człowiek. A w zestawieniu z de Wayherem... bardzo dobry.

— Znali się?

— Nie sądzę.

— A czy przychodzi ci do głowy coś, co mogło ich łączyć?

Danił w nerwowy sposób pokręcił głową. Gdyby jego krzesło nie było przyspawane do podłogi, jeździłby na nim od ściany do ściany. Nagły stres objawiał się u niego potrzebą ruchu.

— Tola na pewno tego nie zrobił. Nie skrzywdziłby muchy. Wiem, co mówię.

Dopiero teraz zrozumiała, że dawny znajomy wyciągnął z jej pytań błędne wnioski. Postanowiła trochę się z nim zabawić.

— Nie rób z niego takiego łagodnego baranka.

— Ale on właśnie taki był. Spójrz w kartotekę.

— Spojrzałam. I znalazłam tam zapisy, które nie pasują do obrazu niewinnego baranka. Pobicia, rozboje...

— Tola jest tylko nieszkodliwym złodziejem.

Osoby, które padły ofiarą kradzieży, z pewnością nie zgodziłyby się z określeniem „nieszkodliwy”, lecz Olga rozumiała, co miał na myśli. Nie dała tego jednak po sobie poznać. Wielokrotnie słyszała, że praca śledczego wymaga zdolności aktorskich, a teraz przekonywała się o tym na własnej skórze. Jej publicznością był poczciwy i zdenerwowany Danił, również

zirytowana — chociaż z innego powodu — Agata oraz idealnie obojętny strażnik więzienny, oparty o ścianę i ziewający w taki sposób, jakby chciał ich wszystkich połączyć.

— Widziałam wpisy o pobiciach. Więcej tego było przy jego bracie, Witaliju, ale...

— Wasylu — poprawił gorliwie Danił. — Jego brat to Wasyl Zajcew. Dzieciak, nie bardzo udany. Jestem w stanie uwierzyć, że zrobił coś głupiego, ale Tola... wykluczone.

— Myślisz, że mogli pomylić braci?

— U was? Na pewno. Tutaj jest jeszcze większy burdel niż w Ukrainie.

W tym, że potraktował ją jak Polkę, nie było nic zaskakującego. Od początku służby we Lwowie funkcjonowała w środowisku właśnie pod taką ksywą. Polka. Dziwne było to, jak łatwo dał się nabrać. Kiedyś nie połączyłyby przynęty, ale na więziennym wikcie najwyraźniej zmiękł.

— Czyli ten Witalij... Wasyl czy jak mu tam... On jest w Polsce?

— Wasyl. Tak, zgadza się. Miał trochę problemów u siebie, w Łucku. Podpadł niewłaściwym ludziom. Tola postanowił mu pomóc. Zawsze się nim opiekował. Ściągnął go do Polski, na budowę. A potem, gdy znalazł się tutaj, bardzo się o niego martwił.

— Myślał, że w Polsce też zwiąże się z niewłaściwymi ludźmi? — spytała niewinnym tonem, a potem, pod wpływem impulsu, postanowiła pomieszać mu w głowie jeszcze bardziej: — Na przykład z de Wayherem?

— A niby jak miałyby się związać z de Wayherem? Na budowie? Nie, Tola bał się, czy jego brat się tu zaadaptuje. Nigdy nie wyjeżdżał z Łucka. Jest trochę nierozgarnięty i ma pewien problem z kobietami.

— Jaki?

Spodziewała się, że usłyszy o biciu, ale nie wzięła pod uwagę, że Danił znał Wasyla jedynie z opowieści jego starszego brata. A starsi bracia często woleli nie dostrzegać tego, co złe. Patrzyli przez palce.

— Wasyl jest naiwny i wrażliwy. Kobiety mają nad nim władzę. Pierwsza

lepszą mogłaby go oskubać.

— Polki nie są takie...

Rzuciła tę uwagę prowokacyjnie, ale nie spodziewała się, że zareaguje tak gwałtownie. Widocznie trafiła w czuły punkt.

— Polki to najgorsze dziwki — warknął. — Coś o tym wiem. I Tola też wiedział. Mówił Wasylowi, żeby uzbierał pieniędzy i wrócił, a dopiero po powrocie szukał sobie żony. Niestety młody nie bardzo chciał słuchać.

— Przyjeżdżał tutaj, na widzenia?

— Był dwa albo trzy razy. Tola zawsze wtedy się wkurzał. Najbardziej na to, że nie mógł nic zrobić.

— Z kobietami? Czy z tą jedną, konkretną?

W oczach Daniła pojawiły się pierwsze zapowiedzi podejrzliwości, ale tym razem jeszcze odpowiedział:

— Wasyl nie jest monogamistą. Były podobno różne babeczki, ale żadna na stałe. Znalazł sobie robotę w Warszawie. Tola bał się tej Warszawy. Bał się, że tak duże miasto go wciągnie. I zniszczy. Za dużo pokus... Młody nie chciał jednak słuchać. Nie wiem, jak to się skończyło.

— Może zabrał go ze sobą?

— Do Ukrainy? Może i tak...

Danił pochylił głowę i wsparł ją na rękach. Niezależnie od tego, jak bardzo chwalił sobie pobyt w takim miejscu, więzienie dodało mu lat. Poza, którą przyjął, bardziej niż z lwowskim baciarem kojarzyła się z zafrasowanym staruszkiem.

— Może narozrabiali wspólnie?

Danił jeszcze przez chwilę rozmyślał, a potem pokręcił głową. Lojalność wobec współwięźnia okazała się silniejsza niż to, co czuł do jego brata.

— Wasyl narozrabiał już wcześniej. Sam, bez Toli. Tola siedział wówczas w areszcie. Kiedy się dowiedział, bardzo się przejął.

— Cóż takiego zrobił ten jego Wasyl?

— Podobno wdał się w bójkę. Był pijany, więc wiele nie pamiętał, ale gdy



obudził się rano, był cały we krwi.

— Gdzie to było?

— A bo ja wiem? W jakimś rowie. Wiem, że wyrzucił koszulę i chyba spodnie, i wrócił do hotelu w samych majtkach. Nikogo to nie zdziwiło, bo to taki hotel... Bał się, że go zamkną, ale sprawa przyschła. Ja nic nie wiem. Tylko tyle, że Tola był wtedy tu, w więzieniu.

— Gdzie doszło do tej bójkii?

— Nie za wiele chcesz wiedzieć?

— Skoro tyle powiedziałeś...

— Nic nie powiedziałem.

Danił nagle się usztywnił. Widocznie dotarło do niego, że nie był wystarczająco enigmatyczny. Olga wiedziała, że lada moment zupełnie zamknie się w sobie i będzie skłonny rozmawiać jedynie o pogodzie.

— Czy to stało się w pociągu?

Mrugnął oczami. To było potwierdzenie, najwyraźniejsze, na jakie mógł sobie pozwolić. I tak nagiął własne zasady. Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

— Ile ci jeszcze zostało?

— Odsiadki? Siedem miesięcy.

— I co zamierzasz?

Przez chwilę się wahał, ale nie chodziło o decyzję, bo tę miał już podjętą. Wracał do Lwowa. Po prostu nie chciał jej urazić.

— Polska to dobre miejsce. Ale dla Polaków. Ukrainiec zawsze będzie czuł się tu obco.

— To nieprawda...

— A co ty możesz o tym wiedzieć, Polko?

Agata jeszcze na terenie więzienia kazała sobie przetłumaczyć każde słowo. I wszystko zarejestrowała. Olga przypłaciła to bólem głowy. Nie każdy lubi być nagrywany na dyktafon.

— Czujesz się Polką?

— Nie wiem, kim się czuję. Kiedy rozmawiam z takimi Ukraińcami, jak Danił, wydaje mi się, że jestem Polką, ale kiedy gadam z tobą... Sama już nie wiem. Wiem za to, że mi zimno. Możemy pójść coś zjeść?

Agata z roztargnieniem pokiwała głową. Szły więziennym dziedzińcem w kierunku biura przepustek, lecz ona była myślami daleko stąd.

— Dziewczyna z pociągu.

— Słucham? — zdziwiła się Olga.

— Była taka książka... Myślę o tej konduktorze, w której zakochał się Zajcew. Wydaje mi się, że ją zidentyfikowałam.

— Dlaczego mówisz to takim tonem? — W świetle latarni Olga dostrzegła, że Agata uniosła brew. — Tak, jakbyś się martwiła?

— Bo trochę się martwię. To żona policjanta z Działdowa, bardzo profesjonalnego i pomocnego. Nie chciałabym wylać dziecka z kąpielą.

Olga nigdy nie rozumiała tego wyrażenia, ale postanowiła się tym nie dzielić.

— Musimy z nią pogadać.

— Wiem. Tylko nie wiem, czy będzie z nami szczerą. Ten jej mąż ma dużo zalet, ale przy tym jedną wadę. Jest cholernie zazdrosny. Dlatego w pierwszej kolejności zaplanowałam sobie rozmowę z obiektywnym obserwatorem.

Nie sprecyzowała, o kogo chodzi, a Olga nie dopytywała. W tym momencie bardziej interesowało ją to, co Agata zaplanowała dla niej. Nie chodziło o to, gdzie spędzi noc — o to kompletnie nie dbała, ale uznała, że lepiej będzie, jak zapyta o nocleg, a nie o następne zadanie. Nie chciała wyjść na nadgorliwą. Maciek zawsze powtarzał, że nadgorliwość jest gorsza od faszyzmu.

— Śpicie w Olsztynie.

— Śpimy?

— Ty i Maciek. Przepraszam, że przydzieliłam ci akurat jego, ale mamy niedobory kadrowe. — Skrzywiła się tak, jakby ugryzła cytrynę. — Chciałabym, żebyś jeszcze trochę została. Najpierw ci coś pokażę, potem pójdziemy zjeść, a potem...

Olga nie usłyszała, co będą robić po jedzeniu. W biurze przepustek czekał Maciek. Agata zakomunikowała mu, że ma czekać dalej. Nie zamierzała zapraszać go na obiad. Gdy się odwróciła, Maciek chwycił się za gardło w pantomimie samoduszenia. Olga rozłożyła bezradnie ręce. Był palantem, to fakt, ale odrobinę mu współczuła.

Samochód Agaty stał obok ich opla. Olga wsunęła się na miejsce pasażera. Ku jej zdziwieniu nie skierowały się w stronę centrum. Po chwili dojrzała tory, a potem — budynek stacji.

— Działdowo to duży węzeł kolejowy. — Agata powiedziała to w taki sposób, jakby uczestniczyła w wycieczce krajoznawczej. — Można stąd jechać w cztery strony świata. Na południe do Warszawy, na północ do Trójmiasta, w prawo do Olsztyna, a w lewo — od biedy — do Torunia i Bydgoszczy. Kolej jest tu jednym z najważniejszych pracodawców. Tak było też przed laty. Kiedyś bawiła się nawet w deweloperkę.

— Kolej?

— Tak jest. — Budynek stacji został za nimi. Wjechały w ciemną, mało atrakcyjną okolicę i wtedy Agata niespodziewanie zjechała na pobocze. — To właśnie przykład takiej deweloperki. Dom dla kolejarzy. Podobno przedwojenny. Chodź, przyjrzyjmy się.

Olga, idąc w ślady Agaty, wysiadła z samochodu. Budynek pamiętał z pewnością lepsze czasy. Teraz należało uważać, by nie oberwać obłuzowaną cegłówką. Od strony ulicy oświetlały go latarnie, ale podwórko tonęło w mroku. Jedyne światło, bardzo słabe, sączyło się z okna na poddaszu.

— Klimatycznie, co?

— Kwestia gustu. Dla mnie... niezbyt.

— Kilka dni temu było tu podobno jasno od zniczy. W tej pierwszej klatce, na parterze, mieszkał Jacek Twardygrosz. Ten kolejarz, który...

— Zginął w Olsztynie — dokończyła Olga, zdając sobie sprawę, że nie wie o nim nic ponadto.

— No właśnie. Pan Twardygrosz był tak szanowanym obywatelem, że

współmieszkańcy zapalali lampki pod jego domem. Był człowiekiem zupełnie innego formatu niż Marcel Zieliński, Zbigniew de Wayher i Wasyl Zajcew. Człowiekiem niepasującym do schematu.

— Czemu mieszkał w takim miejscu?

Agata złapała Olę pod rękę i poprowadziła przez podwórko, pomiędzy głębokimi kałużami. W błocie można było zgubić pantofel.

— Podobno kryzys wieku średniego. Romans, kosztowny rozwód i związany z tym powrót do mieszkania po rodzicach.

— A więc pan Twardygrosz nie był taki idealny?

— Nie był. Ale ludzie mówią, że druga strona też nie była bez winy.

— Druga strona, czyli... żona?

— Tak. Ale to stare dzieje. Twardygrosz rozwiódł się ponad dwadzieścia lat temu. Z naszej perspektywy interesujące wydaje się coś innego. Widzisz to okienko?

Olga zadarła głowę. Rozświetlone okno znajdowało się niemal idealnie nad nimi.

— Kto tam mieszka?

— Małżeństwo w średnim wieku. Pan Eugeniusz Kossakowski, woźny z pobliskiej szkoły, i jego żona Janina, pracownica techniczna PKP. Sprzątaczką. Zupełnie zwyczajni ludzie. Wcześniej, wiele lat temu mieszkał tam ktoś nie tak zwyczajny. Domyślasz się?

Wiatr, który wiał od strony torów, przenikał przez warstwy ubrania, kłując chłodem. Olga zadrżała.

— Dariusz Arkanowicz?

— Zgadza się. Tutaj został zatrzymany. Zwinęli go z łazienki, jak siedział na kiblu. Wiem, że to kolejowe miasto i kolejowy blok, a oni obaj... Arkanowicz i Twardygrosz, byli kolejarzami, ale nie lubię takich zbiegów okoliczności. I to miejsce... Jest ponure, nie sądzisz?

Olga dotknęła kierownicy roweru przypiętego łańcuchem do metalowej balustrady. Dzwonek był po prawej stronie. Zadzwonila.

— Jest brzydkie. — Dźwięk dzwonka odgonił strachy. — Ale czy ponure?

— Być może jestem uprzedzona — wyjaśniła Agata. W jej głosie pojawiła się zaskakująca skrucha. Chyba było jej głupio, że tak uległa nastrojowi. — Poprosiłam kolegów z tutejszej komendy, żeby sprawdzili wszystkich mieszkańców tego bloku. Nie wyszło nic nadzwyczajnego... z jednym wyjątkiem. Pan Eugeniusz...

Zadarła głowę, patrząc na małe okno pod linią dachu.

— Co z nim?

— Leczy się psychiatrycznie. W lecie tego roku przydarzył mu się... wypadek. Ledwo go odratowali.

— Co to za wypadek?

— Przykry. Próbował się powiesić.

Budynek dworca w Działdowie zwracał uwagę intensywną czerwoną farbą, ale nie należał do obszernych. Patrząc na jego gabaryty, trudno było uwierzyć, że zaraz obok znajduje się tak ważny węzeł kolejowy. Znacznie lepiej prezentował się przed wojną — na czarno-białym zdjęciu uwagę przykuwał przede wszystkim imponujący skośny dach, dzięki któremu budynek wyglądał niczym zamczysko, a nie — jak obecnie — betonowy klocek. Olga, obejrawszy zdjęcie, obrzuciła wzrokiem prawie pustą halę. Na jej przeciwległym końcu drzemała dwójka obszarpańców: zarośnięty mężczyzna i kobieta — starsza, o rysach zniekształconych alkoholową opuchlizną i tłustych włosach, spiętych groteskową kokardą. Ciesząc się, że nie musi ich legitymować, Bojko ruszyła za Agatą do drzwi, za którymi rozciągała się część niedostępna dla pasażerów, z posterunkiem ruchu, punktem ekspedycyjnym i pomieszczeniem obsługi drużyn konduktorskich. Ich celem było właśnie to ostatnie pomieszczenie, stanowiące skrzyżowanie gabinetu, pokoju socjalnego i szatni. Za biurkiem czekał na nich czterdziestolatek ze starannie przyciętym wąsem, a obok — wyraźnie zestresowana czarnooka

piękność. Przyszły tu dla niej, ale najpierw Agata zwróciła się do faceta, który był jej przełożonym:

— Chciałabym się upewnić, że pan zrozumiał. Zależy nam na całkowitej dyskrecji...

— To oczywiste.

Mrugnął okiem. Olga odniosła wrażenie, że jest w nim coś oślizgłego. Fałsz, obłuda, a może zwykły konformizm... Facet niezbyt jej się spodobał. Agacie chyba także, bo jej głos był wyjątkowo oschły — nawet jak na nią.

— Czy ma pan dla nas jakieś dyskretne pomieszczenie?

— Dyskretnych pomieszczeń mamy pod dostatkiem... Czy mogę obsadzić panią Iwonę na poranny kurs?

— Nawet na wieczorny. To zajmie najwyżej godzinę.

Olga była nieco zaskoczona, gdy wyszli z budynku, i to od strony peronów. Po chwili marszu domyśliła się, że pomieszczenia, o których wspomniał dyspozytor, to stojące na bocznicach pociągi. Było ich tu kilkanaście — stały burtą przy burcie na równoległych torach. Parking dla pociągów... Mimo późnej pory przynajmniej połowa miejsc była wolna.

— Proszę. — Dyspozytor otworzył im wagon starego typu, z wąskim korytarzem i zamkniętymi przedziałami. Tak zwany wagon pulmanowski, który tu — na boczniccy przy dworcu w Działdowie — pełnił funkcję stricte hotelową. Przedziały można było zamknąć na klucz.

— Kto tu mieszka?

— Pracownicy PKP. Na przykład konduktorzy, którzy po zakończeniu kursu nie mają jak wrócić do domu. Przy większości ważniejszych stacji funkcjonują pokoje służbowe, ale Działdowo jest pod tym względem ubogie. Powiedziałbym nawet, że minimalistyczne.

Na korytarzu, już bez dyspozytora, który wrócił do budynku dworca, minęły się z otyłą kobietą w pomarańczowej kamizelce. Niosła ze sobą kubeł, nad którym unosił się zapach cytrynowego detergentu. Było tu czysto,

znacznie czyściej niż w regularnych pociągach. Nie był to oczywiście standard Savoyu, ale nie wypadało narzekać.

— Może siądziemy sobie tutaj — zaproponowała brunetka o imieniu Iwona.

Miała na sobie uniform konduktora z wyszytym na spódnicy logotypem pracodawcy, czyli Kolei Mazowieckich. Była zdenerwowana. Zupełnie niepotrzebnie, bo nie były tutaj, by pytać o nią. Agatę interesowała jej koleżanka z drużyny konduktorskiej. Niejaka Helena Wiącek, żona policjanta.

Przedział, do którego przyprowadziła ich konduktorka, był podwójny, a zamiast kanap, na których można się było położyć, we wnętrzu ustawiono fotele. Był to typowy pokój socjalny, z ekspresem do kawy, lodówką i zlewozmywakiem. Nietypowy był jedynie widok z okna — na szereg pociągów i oświetloną lokomotywownię.

— Jeśli dobrze pamiętam, była pani jedną z osób, które we wrześniu bieżącego roku znalazły w pociągu ciało mężczyzny...

— Tak jest. — Chociaż policjantki usiadły w fotelach, kobieta trwała w pozycji stojącej. Pod cielistymi rajstopami rysowały się napięte mięśnie łydek. Była młoda, ładna i przejęta. Co rusz odgarniała włosy, które pod wpływem regularnego dotyku zaczynały wyglądać jak naelektryzowane. — Złożyłam już w tej sprawie zeznania. Najpierw w Działdowie, a potem w Warszawie.

— Odświeżmy to sobie — zaproponowała Agata takim tonem, jakby zabijały czas przy herbacie. — Kto z państwa strony obsługiwał tamten kurs?

— Kierownikiem pociągu był świętej pamięci pan Jacek Twardygrosz. Oprócz niego w skład drużyny konduktorskiej wchodziłam tylko ja. To była niedziela, a w niedziele działamy w dwójkach. W pociągu był oczywiście jeszcze maszynista, pan Mikołaj.

— A kto jeszcze wchodzi w skład pani drużyny?

Olga spodziewała się, że kobieta zacznie od drugiej kobiety, Heleny Wiącek, ale w tym przypadku babska solidarność ustąpiła miejsca hierarchii.

— Szefem zespołu jest Kazio, czyli Kazimierz Ścibor. Mamy dwóch młodych chłopaków: Bartka Fudałę i Kacpra Słubickiego. No i jest jeszcze Helena.

Oldze nie umknęło, że mówiąc o Helenie, konduktorka nawet nie próbowała ukrywać niechęci. Ale Agata niespodziewanie zainteresowała się innym współpracownikiem.

— Kto to jest ten Słubicki? Pierwsze słyszę.

— To nasz, że się tak wyrażę, świeży narybek. Dopiero zaczął. Przyjęli go w miejsce Jacka Twardygrosza.

— Zna go pani?

— To małe miasto — odpowiedziała kobieta. — Ale nie znamy się dobrze. Lepiej znam jego żonę. Była żoną — poprawiła się natychmiast.

Wykazywała nieograniczoną chęć do współpracy, stanowiąc pod tym względem absolutne przeciwieństwo Daniła Rybakowa.

— Dlaczego pan Kacper postanowił zostać kolejarzem?

— Prawdopodobnie ze względów ekonomicznych. Kacper trochę się pogubił. Przed rokiem miał problemy w miejscu pracy... Czyli w szkole. Przywłaszczył sobie pieniądze na wycieczkę i próbował je pomnożyć w kasynie.

— Ciekawy człowiek — mruknęła Agata, ale konduktorka pokręciła głową, a potem usiadła.

Wreszcie. Olgę zaczynała już boleć szyja.

— Potrzebował pieniędzy na leczenie syna, który uległ wypadkowi. Sąd orzekł, że działał w stanie wyższej konieczności, i odstąpił od wymierzenia kary.

— I postanowił zarobić na leczenie, pracując w PKP?

— Nie, koszty leczenia pokrył partner Ewki... czyli byłej żony Kacpra. Kacper zrobił sobie roczne wakacje, ale ostatnio wrócił. To typ takiego wiecznego dzieciaka, jeśli panie wiedzą, co mam na myśli. Chociaż podobno



się zmienił. Spoważniał. Tak przynajmniej mówi Ewa, więc chyba coś w tym jest.

Olga w duchu przyznała jej rację. Kobiety rzadko chwalą byłych mężów, a już na pewno nie robią tego na wyrost. Chyba że chcą do nich wrócić. W tym kierunku poszła Agata. Jeszcze przez kilka minut zadawała kobiecie pytania o kompletnie nieistotnego Słubickiego, starając się w ten sposób odwrócić jej uwagę od pytań, które były naprawdę ważne. Pytań o Helenę.

Kobieta nieświadomie wyszła jej naprzeciw, proponując, by dokładniejsze informacje o Kacprze Słubickim uzyskali właśnie u Heleny.

— Kacper zna się z nią od podstawówki. Chodził do jednej klasy z jej mężem, a ona była klasę niżej.

— Załatwiła mu tę pracę?

Konduktorka wzruszyła ramionami.

— Za rekrutację odpowiadają struktury w Warszawie. Ale na pewno zachęciła go, żeby spróbował. Niewątpliwie wspierał ją w tym jej mąż.

— Czemu?

Twarz Iwony — dotąd skupiona i poważna — wykrzywiła się w namiastce uśmiechu.

— Nie znacie go?

— Niestety nie — skłamała Agata.

— Konrad... czyli mąż Heleny, jest zazdrośnikiem. Najchętniej sam by ją pilnował, ale nie może, bo pracuje. W policji, tu, w Działdowie. Teraz może powierzyć to zadanie kumplowi. Chyba mu ufa, chociaż... z nim nigdy nic nie wiadomo.

Olga zbyt długo chodziła po tym świecie, by potraktować te słowa jako nieśmieszny żart. Zazdrośnicy zdarzali się zarówno wśród kobiet, jak i mężczyzn. Cierpiący na tę przypadłość przedstawiciele obu płci rozwalali swe związki z taką samą skutecznością.

— Ma powody do zazdrości? — spytała tymczasem Agata idealnie obojętnym tonem.

Iwona po raz pierwszy się zawahała.

— Nie wiem. Nie jesteśmy takimi koleżankami, żeby się sobie zwierzać. Helena ma małe dziecko. I dom w budowie. Nie sędzę, żeby doprawiała mu rogi.

Ale jej oczy zdawały się mówić co innego. Krzyczały: rozmawiajmy o tym dalej! Agata odczytała ich wyraz prawidłowo.

— Pani Iwono, niech pani się skupi. Prowadzimy sprawę o zabójstwo. Liczą się nawet najmniejsze szczegóły. I najgłupsze plotki.

Kobieta w teatralny sposób wyłamała palce, a w jej oczach zaślniły łzy, ale z gatunku tych krokodylich.

— Trudno tak obgadywać koleżankę... — Odczekała chwilę, a gdy nikt jej nie przerwał, zaczęła z wysokiego C: — Helena to rozrywkowa dziewczyna. Wesoła. Doskonale czuje się wśród mężczyzn. I nie stawia barier.

— Jakich barier?

Agata wciąż zachowywała się tak, jakby ta rozmowa była jedynie luźną pogawędką, ale z miejsca, w którym siedziała, Olga mogła dostrzec symptomy tłumionego zainteresowania. Trochę szybszy oddech, wyschnięte wargi i ukradkowe spojrzenia, którymi raz po raz obrzucała przepytowaną kobietę, by sprawdzić, czy nie zaczyna zmyślać.

Iwona nie zdawała sobie z tego sprawy. Zachowywała się jak wzorowa uczennica. I niezbyt wzorowa koleżanka.

— Anglicy mają na to świetne określenie: *accessibility* — mówiła, gapiąc się w okno, za którym parkował na noc kolejny skład. — Najbliższym odpowiednikiem w języku polskim byłaby chyba dostępność. Helena jest dostępna... Wiem, jak to brzmi. Nie chodzi o dostępność w sensie seksualnym. Po prostu każdy może do niej podejść i zagatać, a ona odpowie. I nie będzie się spieszyć. Na pewno lubi być adorowana.

— Nawet w pracy?

— Przede wszystkim w pracy. Przy mężu to ona może sobie pozmywać naczynia, a nie ruszyć na łowy...

— Nie irytuje was ta jej dostępność? W końcu w robocie powinno się przede wszystkim pracować.

Agata była doskonałym psychologiem. Po tej uwadze Iwona, która im dalej w las, tym bardziej poddawała się autocenzurze, nagle się ożywiła.

— Trafiała pani w samo sedno. Trudno się z nią pracuje. Sprawdzanie biletów trwa w jej wykonaniu w nieskończoność. Z tym pogada, z tamtym się pośmieje, a z kolejnym zrobi sobie selfie. Wyobraża sobie pani? Selfie. Teraz, w dobie pandemii. Czasem robi się nam naprawdę głupio.

— Wpływają skargi?

— Szefostwo ją lubi. Najważniejszym narzędziem pracy konduktora jest uśmiech i życzliwość... To ich słowa, nie moje. A poza tym... Helena nie jest taka zła. Nikt nie nakrył jej z pasażerem na czymś więcej niż śmichy-chichy. Bardzo uważa, by nie przekroczyć granicy. Zwłaszcza teraz, gdy wszędzie są kamery.

Nawet pochwały, które kierowała w stronę koleżanki, zawierały element szyderstwa i słabo zamaskowane szpile. Nie była jej koleżanką. Była śmiertelnym wrogiem. Jej zeznanie w normalnych okolicznościach nie miałyby żadnej wartości dowodowej — ale nie chodziło o dowody, tylko o poszlaki. Jakikolwiek punkt zaczepienia przed przesłuchaniem samej Heleny, które — dla Olgi był to jasne jak słońce — musiało nastąpić w ciągu kilkunastu godzin.

— Czy jest pani w stanie wskazać pasażerów pozostających z panią Heleną w stosunkach, które można by określić jako zażyłe?

Kobieta uśmiechnęła się — trochę bezradnie, a trochę złośliwie — i rozłożyła ręce.

— Jest ich zbyt wielu.

— A czy ktoś z nich wydał się pani bardziej zaangażowany niż inni?

Otworzyła usta, ale od razu je zamknęła. Upłynęło trochę czasu, zanim otworzyła je ponownie.

— Jest taki chłopak, stąd, z Działdowa, który specjalnie dla niej wybiera

pierwszy poranny pociąg, chociaż śmiało mógłby pojechać drugim, półtorej godziny później. Inny pisał dla niej wiersze, ale już nie pisze. Podobno zamknęli go w psychiatryku...

— Kiedy? — wyrwała się Olga.

Pacjent oddziału psychiatrycznego idealnie wpisywał się w profil seryjnego zabójcy. W innych okolicznościach uznałaby to za stygmatyzację, ale okoliczności były wyjątkowe. Odpowiedź okazała się jednak rozczarowująca.

— W czasach, gdy była jeszcze piękna i młoda. Czyli dawno temu.

Olga poczuła na sobie parzący wzrok Agaty, która dawała jej do zrozumienia, że woli występy solowe i nie potrzebuje wsparcia. Postanowiła trzymać język za zębami. Przykład Maćka działał na wyobraźnię. Nie chciała podpaść i skończyć tak jak on. Agata kiwnęła głową, a potem odwróciła się z powrotem w stronę Iwony. Jej spojrzenie wcale nie złagodniało.

— I to wszystko? Tylko dwóch adoratorów? Nie chce mi pani powiedzieć o kimś jeszcze?

Konduktorka przygryzła wargi, a jej policzki zmieniły kolor, pokrywając się szlachetną bielą.

— Był ktoś jeszcze. Być może powinnam o tym wspomnieć, ale nie wiedziałam... Nie chciałam...

Nie mogła reagować w ten sposób na Wasyla Zajcewa. Z prostego powodu — przecież nie wiedziała, że nie żyje. Strzał Agaty był chybiony, ale niespodziewanie trafił w inny cel. Chociaż zaskoczona, szybko odzyskała kontrolę.

— Czy panią Helenę Wiącek łączyło coś z Marcelem Zielińskim?

Wspomnienie zmasakrowanej twarzy pierwszej z ofiar wciąż musiało być żywe, bo wraz z bladością przyszły łzy. Tym razem nieudawane.

— Żartowała z nim raz, może dwa razy... Była wstrząśnięta, ale nie był dla niej nikim ważnym. Nikim wyjątkowym.

— Dlaczego dowiaduję się tego dopiero teraz... i to od pani?

Iwona pociągnęła nosem.

— Ja nie chciałam...

— Czego pani nie chciała?

Odchrząknęła. Jej głos zabrzmiał mocniej. Nie było w nim łez, tylko determinacja.

— Nie chciałam, byście pomyśleli, że to Konrad. On jest zazdrosny, ale nie szalony. Nie mógł zrobić czegoś tak głupiego.

Agata pokiwała głową, ale nie wyglądała na przekonaną. Policjant z Działdowa musiał odpowiedzieć na kilka nieprzyjemnych pytań.

Nie tylko o żonę.

— Niektórzy proszą się o śmierć.

Maciek w ostatniej chwili wyminął rowerzystę samobójcę, a potem przytrzymał klakson. W nocy spadło kilka centymetrów śniegu i Olsztyn tonął teraz w szarej brei. Okolice dworca PKP zawsze były zatłoczone, ale teraz — po stłuczce na skrzyżowaniu Partyzantów i Kościuszki — zapanował tu armagedon.

— Spokojnie, mamy czas — odezwała się Olga, ale równie dobrze mogłaby gasić pożar lasu konewką.

Maciek klął ustawicznie, tocząc się metr po metrze za skandalicznie brudnym autobusem PKS. Olga była natomiast idealnie wyluzowana. Dobrze przespana noc w hotelu komendy wojewódzkiej nastroiła ją pozytywnie — do życia, do Maćka, a nawet do Agaty. Zapomniała o wczorajszej chandrze. Jasne, wolałaby zostać w Działdowie i patrzeć, jak jej szefowa przypiera do muru zazdrosnego policjanta, ale tutaj też mogło być fajnie. Tutaj przynajmniej była panią własnego losu. Nie musiała słuchać poleceń, za to mogła je wydawać. Z nadania Agaty to ona była dowódcą ich dwuosobowego zespołu.

Maciek nie był tym rzecz jasna zachwycony, ale nie okazywał jej wrogości. Na razie wystarczyli mu inni uczestnicy ruchu.

— Znasz trochę historię Polski?

Zastanawiała się, czemu nie zostawili samochodu pod hotelem. Szybciej dotarliby na miejsce na piechotę.

— Znam — warknął Maciek, sugestywnie pukając się w czoło.

Wymieniał takie uprzejmości z innymi uczestnikami ruchu przez cały czas i Olga zaczynała się obawiać, że wkrótce zakończy się to mordobiciem.

— To może mi wytłumaczysz: na czyją cześć nadano tej ulicy taką nazwę?

Wskazała na granatową tabliczkę. Ulica Partyzantów.

— Nie masz większych problemów?

— Chwilowo nie. Zastanawiam się, jacy tu działali partyzanci... Werwolf?

Roześmiał się.

— Może chodzi o partyzantów Mietka Moczara. Zdaje się, że po wojnie był tu wojewodą.

Nie zrozumiała tego żartu. Wyjęła komórkę, ale zanim zdążyła się doksztąpić, Maciek — przy akompaniamencie trąbienia — przejechał skrzyżowanie i wcisnął się na jedyne wolne miejsce, przy samym dworcu. Byli spóźnieni, ale tylko kilka minut.

Policjant, który czekał na nich w cywilnych ciuchach przed budynkiem stacyjnym, nosił oryginalne imię Dobromir. Albo Dobromił. Wczorajszego wieczoru, zanim ruszył z Maćkiem w rajd po olsztyńskich knajpach, powtórzył Oldze kilka razy, żeby zwracała się do niego per Dobek. Był grubą rybą w tutejszej komendzie wojewódzkiej. Z Maćkiem znał się ze Szczytna, gdzie kilka lat temu ukończyli razem kurs oficerski.

— Ale jesteś śliczny! — zawołał na przywitanie, przybijając z Maćkiem głośną piątkę.

On również nie wyglądał zbyt świeżo. Pijacki wieczór, a może i noc odcisnęły na ich twarzach wyraźne piętno. Olga cieszyła się w duchu, że wyskoczyła z ich pijackiego pociągu już po drugim piwie. Miała mocną głowę i w normalnych okolicznościach siedziałaby dłużej, ale dziś czekała na nią robota, podczas gdy Maciek był tu na wpół turystą.

Dobek powiódł ich do miejsca, które przypominało bocznice w Działdowie,

ale było od niej znacznie większe. Pociąg, do którego zmierzali, był bardzo podobny do tego w Działdowie, ale nie pełnił funkcji hotelu. Do niedawna jako „Kormoran” kursował regularnie na trasie między Polanicą-Zdrojem a Olsztynem. Od ponad dwóch tygodni stał jednak na bocznicy i wiele wskazywało na to, że tam pozostanie. Decydenci w spółce PKP Intercity podjęli decyzję o zastąpieniu go nowym składem. Nowoczesnym i bez ponurej historii. Stary pociąg już na zawsze miał pozostać pociągiem przeklętym. Pociągiem, w którym jakiś chory świr rozsmarował po ścianie mózg kolejarza, Jacka Twardygrosza.

Obaj policjanci zdawali się nie dostrzegać powagi tego miejsca. Być może chcieli sobie wzajemnie pokazać, jak twardy robi się facet po kilkunastu latach w mundurze. Olga bez trudu dostosowała się do atmosfery. Metafizyczne rozterki jej również były obce.

— Czy to nie jest ten legendarny złoty pociąg? — zażartowała, bo skład wyglądał na przestarzały.

Sprawiał wrażenie żywcem przeniesionego z lat dziewięćdziesiątych, czyli epoki Dariusza Arkanowicza. Po polskich torach jeździło już bardzo niewiele takich dinozaurów.

Drzwi do pierwszego wagonu były wciąż zabezpieczone plastikową plombą. Dobek wspiął się na pierwszy schodek i potraktował ją nożycami, a potem przez chwilę szarpał za klamkę. Otwieraniu towarzyszyło skrzypienie, od którego Oldze przeszły ciarki — bynajmniej nie z zimna. Zastanawiała się, jak z tymi piekielnymi drzwiami poradziłaby sobie samotnie podróżująca staruszka, ale gdy podeszła bliżej, rozważania okazały się jałowe. Łuszczące się litery informowały, że jest to wejście służbowe.

— Panie przodem. — Dobek złapał się poręczy, robiąc akurat tyle miejsca, by zdołała się precyzyjnie. — Ładnie pachniesz.

— A ty brzydtko.

Zarechotała razem z nimi. Jego uwaga w normalnym miejscu pracy mogła zostać uznana za seksistowską, ale w policji było inaczej. Wszystko poniżej

klepięcia po tyłku uchodziło tu za normę. Olga wyzbyła się już ambicji, by to zmienić.

Wnętrze wagonu również nie pachniało pierwiosnkami. Chociaż po nocnych opadach śniegu dziś nad Olsztynem świeciło słońce, przez brudne szyby docierało tu niewiele światła. Mimo to Olga zdołała dostrzec, że dywaniki były poprzecierane, a ściany ozdobione wydrapanymi grafikami, wśród których dominowały herby drużyn piłkarskich. Wagon był nie tylko stary, lecz także zaniedbany.

— Gdzie go znaleźli? — spytał Maciek, zakończywszy wspinaczkę po żelaznych stopniach do wnętrza wagonu.

Te kilka ruchów przyprawiło go o zadyszkę. Alkohol szkodzi zdrowiu.

— W służbowej łazience.

Dobek wskazał na uchylone wąskie drzwi. Olga usiłowała otworzyć drugie drzwi, na korytarz, z którego można było dostać się do przedziałów. Te jednak były zamknięte.

— Tam przechowywano przesyłki konduktorskie — wyjaśnił Dobek, otwierając drzwiczki w politurze. Za nimi ukryty był nowoczesny, niepasujący tu panel. — Trzeba wpisać kod. System ma odrębne zasilanie — dodał, gdy popatrzyła na niego ze zdziwieniem, bo przecież w pociągu nie było prądu. — Na zasadach alarmu pożarowego. Zdaje się, że trzeba wcisnąć krzyżyk i cztery dwójki.

Zapamiętał prawidłowo, ale przy takim zestawie cyfr nie była to wielka sztuka. Kolejarze nie utrudniali sobie życia. Zajrzała na korytarz. Pierwszy z przedziałów doskonale korespondował z innymi elementami spartańskiego wnętrza. Nie było w nim kanap, tylko zrudziałe ze starości szafki.

— Zapraszam. — Dobek otworzył drzwi łazienki. Była mała. Tak mała, że z trudem się do niej wślizgnęli, a dla Dobka zabrakło już miejsca. — Kameralnie, co?

— Jak cholera.

Maciek uczynił ruch, jakby zamierzał palnąć Olgę młotkiem, ale uderzył



dłonią o rezerwuar i syknął z bólu. Dobek uśmiechnął się złośliwie. W ich wzajemnych stosunkach nie było miejsca nawet na chwilę słabości.

— Zwłoki leżały na podłodze, oparte o ściankę i o drzwi. Kiedy sprzątaczkę otworzyła, wyskoczyły jak diabeł z pudełka. Kobieta zemdlła. Zawieźli ją do szpitala.

— Weź się tu, człowieku, zamachnij...

Ich obecność na miejscu zbrodni miała charakter wyłącznie poznawczy. Wszelkie czynności techniczne wykonano bezpośrednio po znalezieniu zwłok. Przeprowadzono również eksperyment z udziałem kaskadera, który machał młotkiem, i drugiego, który odgrywał Twardygrosza. Zadanie skutecznego ciosu w tak ograniczonej przestrzeni uznano za możliwe, ale mało prawdopodobne. Jako miejsce, w którym doszło do śmiertelnego ciosu, uznano ostatecznie wejście do łazienki — z zabójcą atakującym z zewnątrz i ofiarą upadającą do środka. Ustalenie to było obarczone ryzykiem błędu, ale odpowiedzialnością za taki stan rzeczy z pewnością nie należało obciążać techników. Ci wykonali kawał dobrej roboty, nie ograniczając się jedynie do łazienki i przedsionka, ale szukając ewentualnych śladów w całym wagonie, a nawet w jego okolicach. Niestety, zadziałała siła wyższa. Członkowie zespołu sprzątającego, zanim natknęli się na zwłoki, zdążyli poddać cały wagon gruntownej dezynfekcji, a także rozpocząć ozonowanie wybranych wnętrz. Określenie „sterylnie czyste” nabierało w tych okolicznościach zupełnie nowego wymiaru.

— Co z tą babeczką? — spytała Olga, przesuwając palcem po szybie okiennej.

Od środka była wypucowana. Brud czał się na zewnątrz.

— Ze sprzątaczką? Nic. To było tylko omdlenie. Dostała kilka dni zwolnienia, a potem złożyła wypowiedzenie.

— Trudno się dziwić...

— Podobno je wycofała. To dobra praca. I relatywnie nieźle płatna. Nie

mają problemu ze znalezieniem chętnych. I to wśród Polaków. Ten twój Ukrainiec jest jednym z nielicznych.

Olga po raz kolejny spotykała się z przeświadczeniem, że obywatele jej dawnej ojczyzny wykonują jedynie prace, których nie chcą podjąć się Polacy. Dysponowała setką dowodów, że to nieprawda, ale nie zamierzała kruszyć o to kopii.

— Gdzie ten mój Ukrainiec? — spytała tylko, akcentując złośliwie słowo „mój”.

— Powiedziałem, żeby czekał w pobliżu. Mam go już wydzwonić?

— Tak, proszę.

Powodem, dla którego przybyli do Olsztyna, nie były bynajmniej amatorskie oględziny miejsca zbrodni, tylko informacja o ukraińskim pracowniku dworca, który zgłosił się na lokalny posterunek, chcąc przekazać nowe informacje o śmierci Twardygrosza. Początkowo nie potraktowano go poważnie, a potem napotkano barierę komunikacyjną. Olga była tu właśnie po to — by go wysłuchać.

A Dobek od samego początku wykazywał sceptycyzm.

— Wątpię, żeby miał do powiedzenia coś, co mogłoby pomóc.

— Czemu? — spytała bez większego zainteresowania, bo powtarzał to od chwili, gdy się spotkali, nie przedstawiając sensownego uzasadnienia.

— Tamtego dnia sprzątał inny wagon, a tutaj przyszedł tylko na chwilę. A poza tym... sama zobaczysz.

— Okej — odparła zmęczonym głosem, bo to „sama zobaczysz” przewijało się w każdej podejmowanej przez niego próbie, by ją zniechęcić. — Przepuścisz mnie?

Jeszcze raz obejrzała sobie ukryty w ścianie panel z kodem, a potem wystukała go i weszła do przedziału. Intensywny zapach, który w pierwszej chwili wydał jej się nieprzyjemny, pochodził od pasty do podłogi. Można było się do niego przyzwycząić.

— Tylko trzy przedziały?

Wydzielony fragment wagonu obejmował przedział z szafkami, w którym przewożono przesyłki konduktorskie, a także dwa przedziały służbowe, w tym jeden urządzone jak sypialny. Dalej znajdowały się kolejne drzwi na kod, a za nimi — część ogólnodostępna, dla podróżnych. Nad tymi drugimi drzwiami znajdowała się kamera, która obejmowała swym zasięgiem wyłącznie część pasażerską. Olga podejrzewała, że na nagraniu nie zaobserwowano niczego podejrzanego, ale wolała dopytać.

— Przeglądałem tę taśmę osobiście. Pociąg był niemal pusty. Twardygrosz nie pojawił się na niej ani razu. Przebywał w części służbowej. Przez większą część podróży samotnie, bo załoga konduktorska była ograniczona do trzech osób, które miały pełne ręce roboty z obsługą podróżnych i zacinającymi się drzwiami.

Jacek Twardygrosz nie był członkiem załogi tego pociągu. Podróżował nim jako gość. Tamtego dnia zakończył pracę na stacji w Modlinie i musiał jakoś dostać się do domu. Na mocy porozumień między swoim pracodawcą — Kolejami Mazowieckimi — a innymi przewoźnikami miał prawo do przejazdu dowolnym składem. Wybrał „Kormorana”. Załoga zaprosiła go — zgodnie ze zwyczajem — do części konduktorskiej i aż do następnego dnia pozostawała w przekonaniu, że wysiadł w rodzinnym Działdowie. To, że prawda wyszła na jaw dopiero przy sprzątaniu, było niezwykłym zbiegiem okoliczności. Zwykle nie zdarzało się, by żaden członek załogi nie korzystał z toalety, ale akurat tamtego wieczoru... cóż, nikogo nie przyparło. Oczywiście członkowie załogi „Kormorana” trafili na długą listę podejrzanych, ale do tego czasu zostali już z niej skreśleni.

Ukrainiec, który — po telefonie Dobka — dołączył do nich w pociągu, miał mongoloidalne rysy twarzy, zastygłe w wyrazie permanentnego zdziwienia. Cuchnęło od niego brudem i przetrawionym alkoholem. Na twarzy Dobka pojawił się rzecz jasna stygmatyzujący uśmiezek, ale Olga nie zamierzała nikogo oceniać. Ani jego, ani tym bardziej podpitego Ukraińca, który — z tego, co wiedziała — miał dzisiaj wolny dzień.

— Jak leci? — zagadnęła, ale przybysz nie należał do entuzjastów rozmowy o niczym.

Nie okazał też zdziwienia, słysząc rodzimy język. Zdjął czapkę i podrapał się po zmierzwionej resztkę włosów.

— Tam. — Wskazał umorusanym paluchem, nie celując w drzwi do łazienki, tylko w stronę przedziałów. — Nie widziałem tego od razu. Byłem zmęczony. Ale to dziwne. To nowa rzecz.

Bredził jak potłuczony, Oldze jednak udzieliło się jego podekscytowanie. Wystukała ponownie kod i przepuściła go przodem. Minął magazyn przesyłek konduktorskich i skręcił do przedziału sypialnego. Tu też, podobnie jak na korytarzu, niemal wszystko było retro. Zmechaczone materace, wystrzępione firanki... Nowa wydawała się jedynie żebrowana półka na wysokości głowy. Ukraińiec zatrzymał się i wskazał na jej ocynkowaną krawędź.

— Widzi pani?

Olga podeszła bliżej, ale dostrzegła to dopiero wtedy, gdy dotknął tego miejsca palcem.

— To nowa półka? — upewniła się, a on skinął głową.

— Sam ją instalowałem. Proszę się przyjrzeć...

Nie musiała się przyglądać. Złapała za krawędź półki i mocno ją ścisnęła, ale metal był twardy jak skała. A mimo to, w miejscu, które wskazywał Ukraińiec, krawędź była wygięta.

Tak, jakby ktoś potraktował ją młotkiem.

Dziewczyna, która przeszła przez drzwi dwupiętrowego budynku mieszczącego zespół szkół gastronomiczno-spożywczych, miała figurę modelki, podkreśloną przez odważny strój: skórzaną spódnicę, kabaretki i zakiet z tak głębokim dekoltem, że na sam widok Oldze zrobiło się zimno. Ale tylko jej. Dobek i Maciek wyglądali na rozgrzanych. Maciek szczyrzył zęby, a Dobek prezentował mu uniesiony kciuk. Mało było widoków bardziej

żałosnych niż ten — dwaj panowie w średnim wieku śliniący się na widok roznegliżowanej dwudziestolatki.

— Może Twardygroszowi chodziło o takie uczennice?

Maciek przestał się uśmiechać. Uwaga Dobka była nie na miejscu. Na zabitym kolejarzu ciążyło podejrzenie zachowań pedofilnych. To nie był temat do żartów.

— Dziś jest sobota — przypomniała Olga. — W budynku mieści się także studium policealne. — Wyteżyła wzrok i udało się jej odczytać napis na najniższej zawieszanej tabliczce przy wejściu: — Policealna Szkoła Wizażu i Charakteryzacji. — Odprowadziła spojrzeniem kolejną skąpo odzianą dziewczynę, zastanawiając się, czy w budynku był prowadzony casting do roli prostytutki. — Jacek Twardygrosz został spisany w tygodniu, a wtedy uczą się tu dzieci.

Nie była to do końca prawda. W polskim systemie prawnym pojęcie dziecka ograniczało się do osób niepełnoletnich. W technikum uczyli się także dwudziestolatki. Stosunek dzieci do ogółu uczniów kształtował się na poziomie jakichś sześćdziesięciu procent.

— Nie potrafił wyjaśnić, co tu robi. — Dobek oderwał wzrok od ruszającej z parkingu corvette'y. Sportowe samochody przykuwały jego uwagę nawet bardziej niż dziewczyny. — W mieście cyklicznie prowadzona jest akcja Stop Pedofilii. Policjanci potrafią odróżnić kogoś, kto tylko stoi, od kogoś, kto przyszedł, żeby sobie popatrzeć... Albo zrobić coś gorszego.

— Co dokładnie powiedział im Twardygrosz? — spytała Olga, przyglądając się swej prawej dłoni.

Po zewnętrznej stronie miała niewielką bliznę w kształcie litery V. Przy samych knykciach. Była to pamiątka po jej ostatnim spotkaniu z pedofilem. Po jej ciosie stracił ząb. Nienawidziła pedofilów bardziej niż morderców i gwałcicieli, ale to, czego dowiedziała się dotąd o Twardygroszu, kazało jej przyjmować rewelacje Dobka ze sceptycznym dystansem. Skłonności pedofilskie nie pojawiały się z dnia na dzień. Aż do incydentu spod szkoły

w dossier Twardygrosza nie było żadnej wzmianki, która mogła wskazywać, że coś jest nie tak.

— Powiedział policjantowi, że czeka. Ale nie był w stanie podać na kogo.

Dobek przytoczył jej te słowa już wcześniej, na dworcu. Uznała je za interesujące, ale nie z powodu domniemanej pedofilii Twardygrosza. Zadzwoiła do Agaty i po krótkiej dyskusji zdołała ją przekonać do swojego punktu widzenia. Śledczy, sugerując się profilem poprzednich ofiar zabójcy, uznali Twardygrosza za kolejny czarny charakter i bezskutecznie drążyli wątek domniemanej pedofilii.

A co, jeśli mówił wtedy prawdę?

Przed szkołą zainstalowano kamerę monitoringu, ale nagrywany przez nią obraz nie obejmował swym zasięgiem miejsca, w którym zainstalował się Twardygrosz. Na kogo mógł czekać? Wylegitymowano go o czternastej czterdzieści dwie, czyli już po zakończeniu lekcji w większości klas. Agata zasugerowała, żeby spróbowali zdobyć listę uczniów, którzy wciąż byli w szkole, ale — podobnie jak Olga — myślała przede wszystkim o personelu. Jeśli Twardygrosz umówił się pod szkołą na potajemne spotkanie, to prędzej z dorosłym niż z dzieckiem, chociaż... Nie można było wykluczyć, że jednak z dzieckiem.

Jedno było pewne. Był tutaj tylko ten jeden raz. Tak przynajmniej wynikało z analizy logowań do BTS-ów.

Pani dyrektor czekała na nich w swoim gabinecie. Miała dziś wolne, ale gdy Olga poprosiła telefonicznie, czy mogłaby pojawić się w szkole, nie okazała irytacji, tylko co najwyżej ciekawość. Zirytowana była natomiast sekretarka, mniej więcej trzydziestoletnia kobieta z kwadratową szczęką i fryzurą, która wyglądała na niedokończoną. Gdy się przedstawiali, wspomniała coś o przerwanej wizycie u fryzjera.

— Czy stało się coś złego? — przerwała jej dyrektorka.

Sprawiła wrażenie kobiety kompetentnej, konkretnej i zaangażowanej. Olga zapewniła ją, że wszystko jest w porządku.

— To zajmie tylko chwilę. — Wyjęła spod kurtki papierową teczkę z portretowym zdjęciem Jacka Twardygrosza, po które zajechali wcześniej do komendy. — Czy któraś z pań zna tego mężczyznę?

Dyrektorka pokręciła głową. Sekretarka również.

— Kto to jest?

Nazwisko, które im podała, również nie wywołało reakcji, na którą w głębi duszy liczyła. Jeśli Twardygroszowi chodziło o kontakt z instytucją, to trudno, by pominął akurat te dwie osoby: dyrektorę i sekretarkę. Ale niby jaki interes mógł mieć do instytucji? Najpewniej chodziło mu o konkretnego człowieka. Pracownika. Albo ucznia.

Olga postanowiła zacząć od pracowników. Poprosiła o ich listę. Dyrektorka uruchomiła komputer.

— Mamy na etacie pięćdziesięciu sześciu nauczycieli — poinformowała, otwierając listę w Excelu. — I kilkanaście osób personelu pomocniczego. Wydrukować pani tabelkę?

Olga upewniła się, że przy nazwiskach będą numery telefonów. Było ich troje, tak więc wypadło niecałe dwadzieścia rozmów na osobę. Przynajmniej godzina, i to przy założeniu, że żaden z pracowników nie okaże się gadułą. Podziękowała za kawę.

— To wszystko? — spytała dyrektorka.

— Tak, ale na wszelki wypadek... proszę być pod telefonem.

Potrzebowali cichego kąta. Maciek zaproponował powrót do samochodu, ale Oldze udało się znaleźć odpowiednie miejsce w budynku szkoły, za załomem korytarza, vis-à-vis pokoju pielęgniarki. Podzielili się pracą, która poszła szybciej, niż mogłoby się wydawać. Przede wszystkim dlatego, że co drugi numer nie odpowiadał.

— Halo, z tej strony Olga Bojko, Komenda Stołeczna Policji... — wyrecytowała mechanicznie. To miała być jej przedostatnia rozmowa. Upewniła się, że rozmawia z Bożeną Różewicz, a potem wymieniła imię i nazwisko zamordowanego kolejarza. — Czy zna pani tego człowieka?

Dotąd słyszała najpierw krótkie nie, a dopiero potem pojawiały się pytania. Pytania, które szybko uciniała, zasłaniając się koniecznością zachowania poufności. Bożena Różewicz zaburzyła ten schemat, rozpoczynając od pytania. Pytania inspirowanego... akcentem.

— Pani pochodzi ze Wschodu?

— Tak. Jacek Twardygrosz. Czy pani go zna?

— Jestem polonistką. Proszę wybaczyć mi ciekawość, ale regionalne naleciałości to moja pasja. Mam nadzieję, że pani nie uraziłam...

Określanie wieku rozmówcy na podstawie barwy głosu obarczone było ryzykiem błędu, lecz Olga odniosła wrażenie, że rozmawia ze staruszką. Chociaż po szesnastu niemal identycznych rozmowach nie było to łatwe, nakazała sobie cierpliwość.

— Pochodzę z Ukrainy.

— Doskonale opanowała pani nasz język.

— Czy możemy wrócić do Jacka Twardygrosza?

— Oczywiście. Bardzo charakterystyczne nazwisko. Oczywiście, że je zapamiętałam. Ale tylko nazwisko. Sam pan Twardygrosz niestety nie raczył się pojawić... Chociaż byliśmy umówieni.

— Była pani umówiona z Jackiem Twardygroszem?

Jej koledzy — Maciek i Dobek — już zakończyli swoje rozmowy i teraz przyglądali jej się z rosnącą ciekawością. Aby się nie rozpraszać, ruszyła korytarzem.

— Pani Bożeno. Czy była pani...

— No przecież mówię. — Zasięg rwał się i zanikał. — Umówiliśmy się dwukrotnie. Za pierwszym razem pod szkołą, ale nie przyszedł. Napisał, że coś mu wypadło. Za drugim razem nie był już taki uprzejmy. Po prostu się nie zjawił, chociaż czekałam naprawdę do późna.

— Gdzie się umówiliście?

— Tak jak mówiłam. Na dworcu.



Bożena Różewicz mieszkała w Dywitach — miejscowości znajdującej się tuż za granicami administracyjnymi Olsztyna. Dom, będący własnością jej córki i zięcia, wznosił się na skarpie, z której roztaczał się przepiękny widok na jezioro. Okolica była bajkowa, i to nawet teraz, późną jesienią. Minusem był z pewnością dojazd do miasta — szczególnie że pani Bożena poruszała się o kuli.

— Adres mojej poczty internetowej znajduje się na stronie naszego technikum — tłumaczyła, mieszając herbatę, do której wsypała uprzednio trzy łyżeczki cukru. Przez panoramiczne okno salonu widać było fragment jeziora, w którym odbijało się słońce. — Jest tam także mój obszerny biogram. Pana Twardygrosza zainteresował jego chyba najmniej interesujący fragment. To musi być oryginał. Naprawdę chciałabym go poznać.

Zaśmiała się nieświadoma, że jej życzenie było niemożliwe do spełnienia. Chyba że przy udziale świec i talerzyka — jeśli ktoś wierzył w wywoływanie duchów. Nie miała pojęcia, że Twardygrosz dotarł tamtego wieczoru na dworzec w Olsztynie — tyle że w charakterze trupa. Olga nie zamierzała jej uświadamiać. Popijała herbatę, usiłując wyłowić z barokowej polszczyzny nauczycielki interesujące ją sedno. Koledzy zostali w samochodzie. Wspólnie uznali, że nie ma co robić niepotrzebnego tłoku.

— Ma pani tego maila?

— Niestety. Usunęłam całą korespondencję po tym, jak się nie zjawił. Żeby dotrzeć na dworzec, musiałam zaangażować mojego wnuczka. Po wszystkim byłam poirytowana. — Uśmiechnęła się, by pokazać, że już jej przeszło. — Nie spodziewałam się, że panem Jackiem zainteresuje się policja. To oszust? Czytałam, że oszuści potrafią udawać, że są mili. A on był miły... Korespondencyjnie.

— Czego od pani chciał?

— To może panią zaskoczyć, ale z treści listu wynikało, że informacji. I to, że się tak wyrażę, mało praktycznej. Zwrócił się do mnie tylko dlatego, że przed trzydziestu laty zajmowałam się organizacją praktyk zawodowych.

— W tej samej szkole, w której uczy pani obecnie?

— Też się dziwię, że zapuściłam tam korzenie na tak długo... A jeszcze większe zdziwienie budzi we mnie okoliczność, że dałam się namówić na to pośrednictwo. Jestem introwertyczką, a tamta praca wymagała intensywnych kontaktów z ludźmi. Intensywnych, a przy tym często nieprzyjemnych. Do dziś, gdy wspominam, jak przebiegały niektóre spotkania, przechodzą mnie dreszcze. To było wbrew moim predyspozycjom, nie wspominając o temperamencie...

Olga siorbnęła swą herbatę. Chciała przerwać w ten sposób słowotok nauczycielki, ale ta nie zwróciła na ten mało elegancki odgłos najmniejszej uwagi. Była uodporniona. W ciągu tych kilkudziesięciu lat pracowała z różnymi uczniami.

— Najgorsze były te spotkania z notablami z PKP. Kolejarze mają bardzo specyficzne poczucie humoru, a przy tym zaskakująco knajackie słownictwo. Niech pani sobie wyobrazi, że po którymś tam spotkaniu sama zaczęłam opowiadać sprośne dowcipy. Tak to już jest: kto z kim przestaje...

Zakaszła, dopuszczając Olgę do głosu.

— Pan Twardygrosz odezwał się do pani ze względu na te kontakty z PKP?

Nauczycielka przetarła okulary.

— W pośredni sposób... tak. Szkoła, w której uczę, od zawsze miała profil gastronomiczny. A Polskie Koleje Państwowe były naszym największym partnerem, jeśli chodzi o organizację praktyk.

— W gastronomii? — Olga myślała, że się przesłyszała, ale okazało się, że nie.

— Pani nie może tego pamiętać. W czasach tak zwanej demokracji ludowej dworce kolejowe pełniły znacznie ważniejszą funkcję niż teraz. Były miejscem spotkań. Centrum lokalnej kultury. Na każdym dworcu funkcjonowała restauracja. Często jedyna w miasteczku, a jeśli nie jedyna, to najlepiej zaopatrzona. Przydworcowe lokale działały całodobowo...

— I Twardygroszowi chodziło o któregoś z uczniów, którym organizowała

pani praktyki w tych lokalach?

— Lokalami zarządzało przedsiębiorstwo Wars. To samo, które obsługiwało wagony restauracyjne... Z listu, który do mnie skierował, wynikało, że zaciekał go ten aspekt mojej działalności. Nie wspomniał, że chodzi o konkretną osobę. Interesował się organizacją praktyk zawodowych w Warszawie.

Olga dopiła swoją herbatę, przedłużając tę czynność, jak tylko się dało. To, co usłyszała, wydało jej się tak dziwaczne, że nie wiedziała, jak zareagować.

— Jak wiele osób udało się pani umieścić na tych praktykach w Warszawie?

— Rocznie? Nie jestem pewna. W granicach piętnastu–dwudziestu osób. Najwięcej w restauracji na dworcu Warszawa Zachodnia.

— Czy może mi pani sporządzić listę?

Olga słyszała o nauczycielach, którzy nawet po latach pamiętali każdego ucznia, ale Bożena Różewicz z pewnością do nich nie należała.

— Chciałabym pomóc, ale to niemożliwe. I wątpię, by taka lista kiedykolwiek istniała. Wszystko odbywało się nieformalnie. Na pani miejscu sprawdziłabym w PKP, ale... nie robiłabym sobie wielkich nadziei.

— Czy przychodzi pani do głowy, dlaczego pan Twardygrosz zainteresował się tak... oryginalnym zagadnieniem?

Nauczycielka podsunęła w stronę Olgi paterę z ciastem.

— Może jeszcze kawałek? Bardzo proszę. Córka piekła. — Olga posłusznie sięgnęła po szarlotkę, nie odrywając oczu od kobiety. — Pan Twardygrosz okazał się mężczyzną bardzo tajemniczym. Rzecz jasna dociekałam, w jakim celu indaguje mnie o tak... nietypowe sprawy. Obiecywał, że wszystko wyjaśni mi na spotkaniu... do którego, jak pani wie, ostatecznie nie doszło.

Zamilkła i upiła trochę herbaty. Olga nie umiała nie myśleć o Dariuszu Arkanowiczu, ale mimo usilnych starań nie potrafiła go powiązać z przedsiębiorstwem Wars. Wizyta w Dywitach, zamiast rozjaśnić jej w głowie, wszystko zagmatwała.

— W enigmatycznych wyjaśnieniach pana Twardygrosza zawarta była

jednak pewna wskazówka — podjęła niespodziewanie nauczycielka. — Zapewne nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, że ją tam umieścił. Otóż w tamtych czasach oferta naszej szkoły skierowana była w znacznie większym stopniu niż obecnie do mężczyzn. Wychodzono wówczas z błędnego założenia, że dobry kucharz musi być mężczyzną, przytaczając pseudonaukowe teorie, jakoby mężczyźni mieli więcej kubków smakowych.

Oczekiwała chyba okrzyków oburzenia, lecz Olga nie była oburzona. Jak dla niej gotowanie mogło być zarezerwowane wyłącznie dla mężczyzn.

— Chodziło o mężczyznę? — spytała niecierpliwie, ale pani Bożena zmierzała do puenty iście żółwim tempem.

— PKP poszukiwało u nas niemal wyłącznie mężczyzn. Nie było w tym nic dziwnego, mężczyźni lepiej sprawdzali się w dworcowych knajpach. Jak pani sobie pewnie wyobraża, nie były to lokale wysokiej klasy.

— Pani Bożeno...

— Już kończę. Proszę mi tylko pozwolić powiedzieć o wyjątku. PKP oferowało naszym uczniom praktyki w restauracjach dworcowych na terenie województwa, ale od czasu do czasu pojawiała się możliwość, by umieścić kogoś w tak zwanym wagonie restauracyjnym. Na pewno pani słyszała o takich wagonach... Mam rację? W przeciwieństwie do restauracji wciąż funkcjonują, i to pod tym samym szyldem Warszawy. W obsadzie załóg obsługujących te wagony preferowano kobiety. To właśnie ten wyjątek. Zainteresowanie takimi praktykami było niewielkie, bo praca w wagonie restauracyjnym wiązała się z oczywistymi niedogodnościami...

— Twardygrosz interesował się praktykami w restauracjach dworcowych? Czy w wagonie restauracyjnym?

Nauczycielka pokręciła głową.

— Pan Twardygrosz nie określił w naszej korespondencji miejsca i rodzaju praktyk, ale wspomniał o praktykach dla uczennic. Nie uczniów, tylko uczennic. Wszystko wskazuje zatem na to, że chodziło mu o praktyki, które nazywałam wyjazdowymi. Halo, proszę pani...

Olga opanowała emocje i usiadła z powrotem na krześle, a nawet zmusiła się do przełknięcia kawałka szarlotki. Miejsce odbywania praktyk nie było według niej ważne. Bardziej zainteresowała ją kwestia płci.

Wyglądało na to, że Jacek Twardygrosz wpadł przed śmiercią na trop kobiety. A raczej dziewczyny, uczennicy technikum gastronomicznego, która odbywała praktyki w wagonie restauracyjnym Warszawy. Intuicja podpowiadała jej, że nie chodziło o przypadkowy wagon, tylko o wagon w konkretnym pociągu.

W ekspresie „Świętowit”.

## 8.

Trawa na boisku była zmrożona, ale tak zielona, jakby to nie była późna jesień, tylko maj. Grupka nastolatków trenowała pod okiem Kermita, mojego kumpla z boiska. Kiedy piłka potoczyła się w moją stronę, wydarł się tak, jakby to nie był trening, tylko mecz o mistrzostwo świata.

— Dawaj, Szczota!

Miałem na nogach wzmocnione blachą glany, których używałem na platformie, ale z graniem w piłkę było jak z talentem wokalnym. Albo miałeś to coś, albo nie. Zamachnąłem się i piłka pomknęła w stronę bramki. Bramkarz pofrunął, ale był to pusty przelot. Piłka zatrzepotała w siatce. Ktoś krzyknął, ktoś inny zaklaskał.

— Zagra pan jeszcze w Starcie?

Spojrzałem kpiąco na nastolatka. W jego głosie była taka dawka podziwu, że znów poczułem się jak gwiazda okręgówki. Kiedyś to uczucie potrafiło uderzyć do głowy niczym whisky, ale po trzydziestce człowiek nabierał do takich rzeczy chłodnego dystansu.

— Tak, zagram. Na cymbałkach.

Wróciłem na bieżnię, starając się nie utykać. Piłka była sportem ludzi bardzo młodych. Gdy tam dotarłem, znów zetknąłem się z wyrazami podziwu, ale tym razem poczułem autentyczną dumę.

— Super, tato.

— Kiedyś nauczę cię tak kopać.

Adaś szedł po bieżni, podpierając się kulami. Rehabilitacja, której się poddawał, przynosiła zauważalne efekty, ale celem, jaki sobie wyznaczyliśmy — i o jaki się modliłem — miało być tylko (i aż!) swobodne poruszanie się. Kariera wyczynowego sportowca nie wchodziła w grę. Adaś zdawał sobie z tego sprawę, ale na szczęście nie było to dla niego powodem do zmartwień.

Powiedział mi, że super byłoby grać w Starcie, ale nie włożył w to energii. Potem wrócił do liczenia siedzeń na trybunie. Był typem mózgowca, a nie — tak jak ja — fizola.

Pomachałem koledze trenerowi, a potem wszedłem na trawnik za bramką. W moją stronę biegły dwie dziewczynki. Gdyby nie znacząca różnica wzrostu, można by je wziąć za bliźniaczki. Miały podobne, wściekle różowe kurtki i takie same warkoczyki — dzieło Manueli. Obie głośno się śmiały, powtarzając — w różnych wariacjach — moje boiskowe przezwisko:

— Szczota! Szczoteczka! Szczotunia!

Ola była szybsza. Wskoczyła mi na ręce z takim rozpędem, że ledwo utrzymałem się na nogach. Druga z dziewczynek, Anielka, okazała więcej rozwagi. Odetchnąłem z ulgą, bo była od Oli ze trzy razy cięższa. Gdyby poszła w ślady mojej córeczki, potoczylibyśmy się po trawie jak kula do kręgli.

— Nie było rurek z kremem?

— Nie — odpowiedziała mi Ola. Anielka tylko się uśmiechała. Obie były wymazane lukrem. — Ale ciocia kupiła nam pączki. Były pyszne.

Anielka, niepełnosprawna siostra Manueli, wciąż się uśmiechając, podała mi reszkę swojego pączka, bym spróbował, jaki jest pyszny. Miała niecałe dwadzieścia lat i buzię, która korespondowała z jej imieniem. Buzię aniołka. Potrafiła wypowiadać pojedyncze wyrazy, a czasem nawet łączyła je w proste zdania, ale przy mnie na razie głównie milczała. Manuela twierdziła, że musi się oswoić, i pewnie miała rację. W końcu poznaliśmy się zaledwie pół godziny temu. Co do mnie, pokochałem ją od razu. Od pierwszego wejrzenia. Była ultrasłodka.

— Skaczemy? — spytałem, bo kilka minut temu właśnie skakaniem udało mi się ją rozbawić.

Pokiwała głową. Chwilę później, niczym trzy polne koniki, ruszyliśmy na spotkanie jej starszej siostry. Adaś kuśtykał tak szybko, że prawie dotrzymywał nam kroku.

Manuela miała na nosie ciemne okulary. W swym eleganckim płaszczku i zamszowych botkach wyglądała jak celebrytka. Gdy wyhamowałem, wyciągnęła w moją stronę papierową torbę. A więc ja również zasłużyłem na paczka.

— I co? Nie znalazłeś tego swojego prezesa?

— Musi gdzieś tu być. Jeśli go nie ma, to znaczy, że umarł.

Uniosła oczy ku niebu, ale nie odważyła się podsumować mojej uwagi w taki sposób, na jaki zasługiwała. Widocznie wciąż czuła wdzięczność. Wczorajszej nocy przeprowadziłem ją przez ciemny las i tylko dwukrotnie uraczyłem słowami „a nie mówiłem?”. Pomysł, by odwiedzić starego dziennikarza, z perspektywy czasu wydawał mi się jeszcze bardziej karkołomny niż w momencie, w którym się na niego zgodziłem. Cud, że nie przyplaciliśmy go przeziębieniem. Ani inną chorobą, chociaż jeśli chodzi o Manuellę, nie byłem tego taki pewien. Bo Manuela wróciła odmieniona. Nie umiała mówić o niczym innym, tylko o kobiecie, która doniosła na Arkanowicza. Nazywała ją kluczem do wszystkiego.

Chęć poznania prawdy zamieniła się u niej w obsesję.

— Może jest w klubie?

Teraz dla odmiany uczepiła się tego prezesa. Tylko dlatego, że wspominając o nim, stwierdziłem, że jest najlepiej poinformowanym człowiekiem w mieście.

— Jest taka szansa — odparłem sarkastycznie, bo staruszek praktycznie tam mieszkał. — Przekonamy się za dziesięć minut.

Właśnie tyle dzieliło nas od godziny rozpoczęcia zajęć Adasia z fizjoterapeutą. Zajęcia odbywały się w budynku klubowym, który ona nazywała klubem. Dla mnie budynek od zawsze był nowym klubem. W odróżnieniu od starego, który mieścił się w baraku z prefabrykatów.

Poganiani przez Olę ruszyliśmy wzdłuż boiska w kierunku owalnej klatki, w której trenowali lekkoatleci. Mała koniecznie chciała przyjrzeć im się z bliska. Gdy podeszliśmy bliżej, potężna zawodniczka jak na zawołanie



zakręciła nad głową sportowym młotem i cisnęła go kilkadziesiąt metrów dalej.

— O rany! Widziałaś?

Patrzyłem z sympatią na swoją córkę, która od początku traktowała wyższą o ponad pół metra Anielkę jak najlepszą koleżankę, a przy tym osobę, o którą należy się troszczyć. Teraz złapała ją za rękę i pociągnęła za sobą w kierunku grupki rozciągających się zawodników. Każdy z nich potrzebował kilku metrów kwadratowych boiska wyłącznie dla siebie. To chyba właśnie ich gabaryty były tym, czym moja córka fascynowała się najbardziej. Nic dziwnego. Jej ojciec był kurduplem i chuderlakiem, a ojczym... Ojczym wcale nie był lepszy.

— O czym myślisz?

— W tej chwili o Tomku — odparłem machinalnie.

— Czemu?

— Bez konkretnego powodu — skłamałem.

Prawda była taka, że nie umiałem wyrzucić z pamięci tych cholernych kwiatów. Jakaś część mnie na pewno chciała, by facet, który zajął miejsce u boku mojej byłej żony, okazał się łajdakiem... Ale mimo wszystko wolałem, by tak nie było. Moje dzieci i bez tego miały niełatwe dzieciństwo. Lepiej było go nie komplikować.

— Szczota, to ty?!

Wołanie dobiegło z górnej części trybuny, od strony tak zwanego źródelka. Nazwa wywodziła się z czasów, gdy podczas meczów sprzedawano tam piwo z nalewaka. Teraz nie było ani meczu, ani piwa, ale miejsce wciąż przyciągało — zazwyczaj właśnie amatorów mocnych trunków, które można było przecież przynieść ze sklepu.

— Hej, Szczota! Ile ty narobiłeś tych bachorów? Co jedno, to lepsze.

Zesztywniałem, a potem ruszyłem w kierunku kretyna, który mnie zaczepiał. Stał kilkanaście metrów ode mnie, w towarzystwie dwóch innych, rozbawionych. Wszedłem na pierwszy stopień trybun. Chciałem powiedzieć

mu, żeby się zamknął, ale on zinterpretował to inaczej. Stał w bojowej pozycji, zaciskając pięści. Nie chciałem się bić, a już na pewno nie na oczach własnych dzieci.

— Co, Szczota? Strach cię obleciał?

Zerknąłem w stronę Manieli, ale zamiast niej dostrzegłem czterech chłopaków z sekcji lekkoatletycznej. Każdy z nich ścisnął w rękę młot, ale nie taki, jakim posługiwał się Arkanowicz, tylko młot sportowy — ponad siedmiokilowy odważnik na stalowej linie. Grupa moich adwersarzy ulotniła się w jednej chwili, zabierając ze sobą opróżnioną w dwóch trzecich butelkę wódki.

— Dzięki, chłopaki.

— Drobiazg. — Jeden z nich wziął na ręce Olę, a drugi Anielkę. Adaś na wszelki wypadek zrobił dwa kroki w tył. — Pozdrówcie mamę.

— Pozdrowimy — zapewniłem, utwierdzając się w przekonaniu, że sportowcy to jedna wielka rodzina.

Moja matka uprawiała w młodości rzut oszczepem. To nic, że bez sukcesów. Wciąż o niej pamiętano.

Zostawiwszy Adasia pod czujnym okiem rehabilitanta, ruszyłem korytarzem w kierunku wiecznie zadymionej kanciapy — gabinetu prezesa. Prezes Andrzej Głazewski był człowiekiem instytucją. Działał w Starcie od ponad pół wieku — najpierw jako zawodnik sekcji lekkoatletycznej, potem trener, aż wreszcie działacz. Teraz był już na emeryturze i funkcję prezesa pełnił wyłącznie honorowo, ale wciąż spędzał tu większą część doby. Był kopalnią historyjek i anegdot — gdyby komuś chciało się je pospisywać, powstałaby z tego niezła książka. Studium obyczajów miejscowej społeczności wychodzące daleko poza sferę sportu.

Andrzej Głazewski przypominał żółwia z Galapagos. Miał okazały tułów, z którego wyrastała mała, pomarszczona główka. Zaglądał do gabloty z pucharami, usiłując dostrzec coś pod warstwą kurzu, co było o tyle

utrudnione, że szkła jego okularów pokrywała mgiełka pary wodnej. Brudną maseczkę zsunął aż na podbródek. Z kącika ust sterczał na wpół wygasły papieros.

— Puk, puk...

— Szczota! — Okulary mogły być zaparowane, ale prezes wciąż kontaktował. Szeroki uśmiech odsłonił klawiaturę sztucznej szczęki. — Myślałem, że całkiem o nas zapomniałeś. Chodź tutaj. Daj pyska!

Znałem to aż za dobrze. Prezes zawsze był wylewny. Chwycił mnie w ramiona i wciągnął do swojej kanciapy. Wciąż miał krzepę. W młodości święcił sukcesy w rzucie młotem. Podobno ocierał się nawet o reprezentację. Gdy już mnie wyściskał, odsunął się i złapał za ramiona, owiewając zapachem tytoniu i kurzu.

— Czemu zjawiasz się dopiero teraz?

— W życiu różnie bywa, prezesie. Powiedzmy, że nie pcham się na afisz...

— Co za bzdura. Tutaj zawsze będziesz mile widziany. Niezależnie od... wszystkiego.

Po takim wstępie nie wypadało mi odrzucić zaproszenia na kawę. Kawa parzona przez Głazewskiego była inna niż wszystkie. Zgrzytała w zębach niczym piach, a po pierwszym łyku drętwiały usta.

— Panie prezesie, czy poznał pan Dariusza Arkanowicza?

Staruszek drgnął i niewiele brakowało, a upuściłby poobtłukiwany czajnik z gorącą wodą.

— Całkiem nieźle, Kacperku. — Na twarz wróciły mu kolory. Uśmiechnął się, poruszając sztucznymi zębami. Wyglądało to cokolwiek makabrycznie. — Słyszałem, że zamieszkałeś u Janki i Gienia. Dowiedziałeś się, że wynajmował tam pokój, prawda?

Pokiwałem głową, gratulując sobie w duchu pomysłu, by tu przyjść. Głazewski wciąż trzymał rękę na pulsie miasteczka. Nie zardzewiał.

— Gienek lubi o tym opowiadać.

— Nie sądziłem, że kiedyś to powiem... Biedny facet.

Głazewski zerknął w stronę gablot. Zawsze smuciło go, gdy byłemu zawodnikowi w późniejszym życiu szło gorzej niż na stadionie. Gienka na pewno nie można było uznać za człowieka sukcesu. Alkoholizm i skłonności do depresji... Trudno o mieszaninę, która byłaby bardziej zabójcza.

— Wiem, że prezes znał wszystkich... Ale, u diabła, skąd akurat Arkanowicza?

Czajnik zaczął podskakiwać na palniku kuchenki gazowej. Głazewski wziął się za przyrządzanie swej diabelskiej mikstury. Nie spieszył się. Ręce trzęsły mu się bardziej niż przed rokiem, a poza tym — od zawsze był miłośnikiem mocnego efektu.

— Był tutaj częstym gościem — powiedział nagle, a mnie z zaskoczenia odebrało mowę. — Pijał ze mną kawę. Siedział w tym samym fotelu, co ty.

Rozpadające się ze starości siedzisko trudno było nazwać fotelem, ale to były drobiazgi.

— Arkanowicz uprawiał sport?

Głazewski zaczął się śmiać — długo i chrapliwie.

— Gdyby i tobie było dane go poznać, zrozumiałbyś, jak zabawną rzecz powiedziałeś — powiedział wreszcie, rozlewając trochę wrzątku. Na wszelki wypadek cofnąłem się ze swoim fotelem na tyle, na ile pozwoliła mi ściana. — Arkanowicz był zdechlakiem. Do teraz się dziwię, jak udało mu się zrobić te wszystkie rzeczy. Przecież nawet teraz... — Podwinął rękaw koszuli, prezentując biceps. Obwisły, upstrzony brązowymi plamkami. — Nawet teraz położyłbym go na łopatkę. Jedną ręką.

— To po co tu przychodził? Był kibicem?

— Skąd to niedowierzanie?

— Bo ten klub nigdy nie miał kibiców.

Nie była to do końca prawda. Wokół klubu funkcjonowali fani, ale trudno ich było nazwać zagorzałymi. Na tyle, by regularnie tu wpadać, i to na tak niezwykłą kawę.

— A żebyś wiedział, że był kibicem.

W spojrzeniu prezesa nie było urazy. Przeciwnie, wyglądał tak, jakby zamierzał mi zrobić psikusa. Zdradzał go sposób, w jaki poruszał sztuczną szczęką. Ktoś bardziej wrażliwy ode mnie na ten widok poczułby mdłości.

— Jakiej dyscypliny? — spytałem sceptycznie.

— Każdej, którą uprawiały kobiety. Lubił sobie popatrzeć.

Nie podzielałem jego wesołości. W pierwszej chwili przeszedł mnie nawet dreszcz, bo pomyślałem o swojej matce. Ale niemal natychmiast poczułem ulgę, bo kiedy Arkanowicz zamieszkał w Działdowie, mama była w ciąży z moją siostrą. Jej kariera w klubie była już wówczas odległym wspomnieniem. Świadomość tego nie wypleniała jednak ze mnie oburzenia.

— A pan mu na to pozwalał? — spytałem zaczepnie, ale on machnął ręką.

— Daj spokój, Kacperku. Sam wiesz, jak wyglądają niektóre dziewczęta z sekcji siłowych... Oczywiście nie wszystkie. Znałem jedną ładną. — Poprawność polityczna nigdy nie była jego mocną stroną. — Nie tylko pozwalałem, ja wręcz go zachęcałem. Nie chciałem przeciwdziałać mocy przysłowia... No jak to szło... Ach, wiem: każda potwora znajdzie swego amatora!

Był człowiekiem z innej epoki, ale nawet to go nie usprawiedliwiało. Mogłem się jedynie cieszyć, że kilka lat temu ktoś mądry postanowił wręczyć mu order i odsunąć od bieżącego zarządzania klubem. Ale jego prymitywizm miał swoją dobrą stronę. Ułatwił mi zadanie, z którym przyszedłem. Zadanie, z którym przysłała mnie Manuela.

— Czy miał wśród tych dziewcząt jakąś... faworytkę?

Napiłem się kawy. Była taka, jaką ją zapamiętałem. Gdy kiedyś napiłem się jej przed meczem, w pierwszej połowie ustrzeliłem hat tricka, a w drugiej zszedłem z boiska na skutek problemów z nieregularnym rytmem serca.

— Tego nie wiem. Nie o tym rozmawialiśmy. — Zarechotał tak, jakby uwaga, którą wygłosił, była przezabawna.

— A o czym?

— Kacperku, to było trzydzieści lat temu. — Spróbował kawy i cmoknął ze

smakiem. Kiedyś po podobnym cmoknięciu zgubił uzębienie, ale tym razem udało mu się je utrzymać na swoim miejscu. — Jeśli musiałbym zgadywać, to postawiłbym na kolejnictwo, a konkretniej: na spedycję biletów. W tamtych czasach na obozy kondycyjne jeździło się pociągami. Nie zaszkodziło mieć wśród znajomych kogoś, kto mógł doradzić, jak uzyskać jeszcze większy rabat.

Pokiwałem głową. Teraz w sprawie rabatów należałoby dzwonić na kolejową infolinię, ale wówczas — u zmierzchu komuny i w początkach gospodarki wolnorynkowej — takie sprawy załatwiała się inaczej. Znajomości były na wagę złota, a ten stary drań czuł się w tych kombinacjach niczym ryba w wodzie.

— A więc dziewczyny z sekcji były czymś w rodzaju łapówki?

— A skąd — zaprzeczył z urazą. — Naprawdę życzyłem im jak najlepiej. Nie zapominaj, że wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze, co to za bydlę. Traktowałem go jak dziwaczego zdechlaka, który pomimo swych mankamentów usiłuje ułożyć sobie życie.

Uśmiechnąłem się w duchu. Te próby ułożenia sobie życia nie skończyły się najlepiej. Nie dla Arkanowicza. Manuela była przekonana, że dziewczyną, która go zadenuncjowała, była jego partnerka. Ta, z którą mieszkał — i figlował — w moim pokoju.

— Gadałem z Gienkiem Kossakowskim. Nie jest do końca pewien, ale według niego Arkanowicz znalazł sobie dziewczynę. Pomieszkiwała z nim przy Skłodowskiej-Curie.

Ku mojemu rozczarowaniu Głazewski wzruszył ramionami. Potem jednak łyknął kawy, a ta — niczym magiczny eliksir — przywróciła mu pamięć.

— Była taka... Zdaje się, że brunetka. Ale to żadna z naszych. Takie chucherko. Coś jak twoja Ewka.

Moja — a raczej już nie moja — Ewka nie była żadnym chucherkiem. Jak mawiają nieokrzesani wujowie, miała na czym usiąść i czym odetchnąć. Ale standardy Głazewskiego były zaniżone. Każda dziewczyna, która nie umiała

cisnąć tym garnkiem na sznurku dalej niż na czterdzieści metrów, była chucherkiem.

Przez uchylone drzwi usłyszałem szczebiot mojej córki. Nie podniosłem się. Wiedziałem, że bez trudu tu trafią.

— Gienek Kossakowski wspominał, że dziewczyna popełniła samobójstwo — rzuciłem, chcąc pobudzić jego pamięć.

— Tak ci powiedział? Użył słowa „samobójstwo”?

Obecne w jego głosie niedowierzanie sprawiło, że moje serce zaczęło bić mocniej nie tylko od kawy. Poczułem się niczym pies gończy, który zwietrzył zwierzynę.

— Tak. — Wysiliłem pamięć. — Powiedział coś w stylu, że to kiepski sposób na popełnienie samobójstwa. Mało skuteczny...

Głazewski nakreślił znak krzyża. Nie znałem go od tej strony. Zrobiło mi się nieswojo, bo zawsze deklarował się jako ateista.

— Niesłychane — wymamrotał. — Chwalił się, że zna skuteczniejsze?

Zgłupiałem. W ciszy, która zapadła, coraz lepiej słychać było damskie głosy. Anielka pouczała właśnie kogoś o obowiązku zakrywania ust i nosa. „Proszę założyć maseczkę”.

— Czemu miałyby się chwalić?

— Ach, więc nie wiesz? No tak, byłeś za granicą... Ten głupi sukinsyn próbował się zabić. Latem. Odcięli go w ostatniej chwili.

Poczułem się tak, jakbym dostał w łeb obuchem. Być może reakcja organizmu była zwielokrotniona przez działanie dużej dawki kofeiny, ale i bez tej piekielnej kawy byłbym w szoku. Wiedziałem, że Gienek ma depresję. Po tym, jak dziś rano po raz kolejny poprosił mnie, bym skoczył do sklepu, domyśliłem się, że ma jakąś blokadę, która nie pozwala mu się oddalać z mieszkania dalej niż na strych. Ale nie miałem pojęcia, że jego problemy są aż tak poważne.

— Jak do tego doszło? — spytałem i natychmiast tego pożałowałem, bo do pokoju wparowały dziewczynki.

Na szczęście prezes wykazał się taktem, o który go nie podejrzewałem.

— W szkole — powiedział, wstając z miejsca. — W jednej z szatni. Tam są takie kraty...

— Wiem — przerwałem, bo przecież spędziłem w tej szkole pół życia. Nigdy bym nie wpadł na to, że okratowanie szatni może być wykorzystane w charakterze mocowania wisielczego sznura. Cóż, człowiek uczy się przez całe życie. Oczekałem, aż prezes złoży pocałunki na czołach Oli i Anielki, a także — z zaskakującą czułością — na policzku Manuela, a potem zaryzykowałem jeszcze jedno pytanie: — Dlaczego?

Zanim mi odpowiedział, wyciągnął z szafy puszkę z landrynkami. Musiały być stare, być może tak stare, jak wiszące na honorowym miejscu godło — orzeł miał dorysowaną ręcznie koronę. Poczęstował tymi landrynkami najpierw Olę, a potem Anielkę. Obawiałem się, czy im nie zaszkodzą, ale nie miałem serca, by protestować.

— Diabli wiedzą. Można się tylko domyślać.

Przejechał krawędzią dłoni po szyi, sugerując, że za nieszczęściem Gienka stał alkohol. Natychmiast pożałowałem każdego z tych trzech razy, kiedy przynosiłem mu piwo. Ale przecież alkohol dostarczała mu także małżonka, pani Janina. Być może nie dostrzegала związku. A może uznała, że byłoby jej do twarzy w czarnej woalce?

— O czym rozmawiacie? — spytała nieopatrznie Manuela.

Miała zaczerwienione od mrozu policzki, ale nie przygnał jej tu chłód, tylko ciekawość. A przynajmniej tak podejrzewałem.

— O starych znajomych — odparł dyplomatycznie prezes, ale mu nie odpuściła.

— O Dariuszu A.?

— Między innymi. Wyobraź sobie, drogie dziecko, że twojego kawalera zainteresowało jego życie uczuciowe.

Taki był od zawsze. Lubił, jak to mawiają, dorzucić do pieca. Ale Manuela,



choć usłyszała, że jestem jej kawalerem, nawet się nie zarumieniła, a w każdym razie — nie bardziej niż od mrozu.

— I jakie było to jego życie uczuciowe?

— Chyba niezbyt intensywne.

Wstałem i złapałem Olę, która usiłowała wspinać się na szafę z pucharami. Wciąż byłem wstrząśnięty tym, czego dowiedziałem się o Gienku. Myślałem o innych pucharach — tych, które zdobył — i tym, co wydarzyło się później. Stwierdzenie, że jego dojrzałe życie nie było usłane różami, nie oddawało skali problemu. Obecnie był na zwolnieniu lekarskim, ale zwolnienia nie trwały wiecznie, a po numerze, który wywinął, nie miał szans na powrót do pracy w szkole. Jego jedyną nadzieją była renta.

Trzymałem na rękach córkę, a Manuela — zupełnie nieświadomie — powtarzała pytania, które ja zadawałem przed chwilą.

— To prawda, że miał dziewczynę, z którą mieszkał?

Chociaż Głazewski obwołał mnie jej kawalerem, wciąż niewiele o niej wiedziałem. Teraz odkryłem, że jej słabą stroną jest cierpliwość... a konkretniej jej brak. Ciekaw byłem, jak radzi sobie z opieką nad stadkiem pięciolatek.

— Czy byli zgodną parą? — spytała, zanim dokończył zdanie.

Już nie zwracał się do niej per drogę dziecko.

— Dziewczyno, przecież ci mówię, że jej nie znałem. Widziałem ją może ze dwa razy w życiu. Nie mam pojęcia... O niczym. Wiem tylko, że... — Znów dotknął szyi, ale tym razem nie po to, by sugerować alkoholizm, tylko nagły zgon.

— Czy wiemy, skąd ją wytrzasnął?

Popatrzyła na mnie, a potem znowu na prezesa. Głazewski łagodnym gestem odebrał Anielce przycisk do papierów, a potem — jakby chcąc okazać swój brak entuzjazmu do tej tematyki — wstał i uchylił okno, wpuszczając do kanciapy trochę chłodnego powietrza. Smród papierosów stał się odrobinę mniej dokuczliwy.

— Była ze Wschodu — oznajmił nieoczekiwanie, jakby powietrze odświeżyło mu pamięć.

— Z Dalekiego czy Bliskiego? A może ze wschodu województwa?

Popatrzył na mnie w taki sposób, że odechciało mi się żartów.

— Pochodziła z ZSRR — stwierdził, a potem, przypomniawszy sobie, że rozmawia z osobami, które znały Związek Radziecki jedynie z lekcji historii, uściślił: — Z Białorusi. Albo z Ukrainy. Teraz sobie przypominam... Po tym, jak złapali

Arkanowicza, wszystkim zaczęło to przeszkadzać.

— Skąd się znali?

— Nie mam pojęcia, moje dziecko. Naprawdę.

Pochylił głowę. Z perspektywy miejsca, w którym stałem, wyglądało to tak, jakby składał Manueli ukłon.

— To, co ją spotkało — zacząłem ostrożnie, unikając słowa „samobójstwo” — wydarzyło się wkrótce po tym, jak ujęli Dariusza A., prawda?

— Owszem. — Na dnie szklanki, którą odstawił, zalegała gruba na kilka centymetrów warstwa czarnego szlamu. — Pamiętam, że Kowalski bardzo się tym gryzł. Obwiniał się. Twierdził, że mógł zachować się inaczej.

Jedyny Kowalski, którego znałem, był długoletnim kierownikiem działdowskich placówek edukacyjnych, między innymi mojej szkoły. Zmarł kilka lat temu. W jego pogrzebie uczestniczyło całe miasto.

— O co się obwiniał? — spytała Manuela.

Ona też musiała go znać, a przynajmniej o nim słyszeć.

— O to, że nie zdążył jej pomóc. A powinien, w końcu była jego pracownicą. Sądzę, że w pierwszej chwili uległ tym samym emocjom, co wszyscy. Nikt nie chciał w mieście dziwki, która żyła z seryjnym zabójcą. Gdy opadły emocje, było już za późno.

Całe moje wysiłki, by oszczędzić Oli i Anielce szczegółów nieodpowiednich dla ich wieku, spełzły na niczym. Kto miał dzieci, ten wie, że doskonale wyłapują takie smaczki. Byłem pewien, że z naszej rozmowy

zapamiętają właśnie te dwa określenia: dziwka i seryjny zabójca. A potem, w najbardziej nieodpowiednim momencie, głośno je powtórzą.

— Ta dziewczyna pracowała w szkole?

Ola poruszyła się w mych ramionach. Wyczułem, że nadstawia uszu. Spodziewała się kolejnej porcji nowych, fascynujących określeń. Ale odpowiedź prezesa okazała się fascynująca głównie dla mnie i w jeszcze większym stopniu — dla Manueli.

— Była nauczycielką. Ale nie pracowała w szkole, tylko w przedszkolu.

Wiadomość, że kobieta, która spędzała jej sen z powiek, pracowała w przedszkolu — i to jej przedszkolu — wprowadziła Manuellę w takie osłupienie, że przegapiła swój przystanek. Wsiadły z Anielką na następnym, a ja pojechałem dalej, na przedmieścia. Też byłem poruszony. Tak bardzo, że nie umknęło to uwadze Ewki, która — o czym przekonałem się chyba po raz tysięczny — znała mnie lepiej niż ktokolwiek inny.

— Umarł ktoś?

— Tak — odparłem z rozpędu, a potem szybko ją uspokoiłem: — Dwadzieścia osiem lat temu. Przedszkolanka. Może ją pamiętasz? Mówiła z akcentem...

Zanim zdążyłem dodać, że akcent był rosyjski, pacnęła mnie w ramię.

— Dwadzieścia osiem lat temu nie chodziłam jeszcze do przedszkola. W przeciwieństwie do ciebie, staruszk.

Zaśmiałem się, rozcierając ukradkiem miejsce, w które uderzyła. Moja była żona nie trenowała nigdy lekkoatletyki, ale miała do niej wrodzone predyspozycje. Szczególnie do konkurencji siłowych. Jej dobry nastrój był dla mnie niespodzianką. Jeszcze wczoraj ziała ogniem.

— Wolny weekend? — spytałem, ale okazało się, że moja ocena była błędna.

Dobry humor nie wynikał z braku roboty, tylko z jej nadmiaru.

— Dziś jest *Sobota z kryminałem*. Przyjeżdża... — wymieniła nazwisko,

które nic mi nie mówiło, ale należało chyba do jakiejś nowej gwiazdy na pisarskim firmamencie, bo aż się zarumieniła. — Zaraz jadę na Zamek. Muszę przygotować salę, sprawdzić nagłośnienie, a potem rzucę jeszcze okiem na pytania, żeby się nie zbłąźnić...

— Ty prowadzisz?

— Razem z wiedźmą. — W ten sposób konsekwentnie określała szefową, której nie znosiła. — Ale lepszy rydz niż nic. À propos, co tam u Manueli?

Nie miałem pojęcia, czy ją też uważa za wiedźmę, czy tak się jej powiedziało. Nie zamierzałem dociekać.

— Wszystko okej — odpowiedziałem enigmatycznie, a potem, dostrzegając szansę, spytałem o dzieci.

— Nic z tego. Zostają w domu, z Tomkiem. Niedługo przychodzą moi rodzice...

Nie musiała kończyć. Z byłymi teściami nie chciałem mieć nic wspólnego. Gdy widziałem ich ostatnio, teściowa zwyzywała mnie od najgorszych, a jej mąż miał taką minę, jakby chciał się bić. Ich jedyną zaletą było to, że kochali wnuki miłością, do której zdolni są jedynie dziadkowie. Miłością bezwzględną, zaborczą i nieujarzmioną. Miłością, której brakowało moim rodzicom.

— To serwus — powiedziałem, wywołując jej wesołość.

— Spokojnie. Rodzice mają być dopiero w południe. — Udałem, że ocieram czoło. Odczekała, aż przestanę błaznować. — Mam do ciebie prośbę. Czy mógłbyś się nimi zająć podczas spotkania?

Domyśliłem się, że chodzi jej o spotkanie autorskie w ramach *Soboty z kryminałem*. Zapewne zaprosiła na nie Tomka i rodziców, zapominając o opiece nad dziećmi. Miałem dla niej kiepskie wieści.

— Wieczorem pracuję — powiedziałem z żalem. — Mam nocny kurs...

— Ale to dopiero o dwudziestej, a spotkanie trwa do dziewiętnastej. Dałbyś radę?

Kiedyś, gdy patrzyła na mnie w taki sposób, moje serce wywijają koziółka.

Teraz już na mnie tak nie działała, ale wciąż nie umiałem jej odmawiać. Dlatego, chociaż kołderka czasowa była krótka, bo miałem zjawić się na stacji już o dziewiętnastej dwadzieścia, powiedziałem „tak”. Z Zamku na stację było najwyżej półtora kilometra, czyli kilka minut truchtu.

— To na razie.

Zamknęła drzwi, a ja wsiadłem na rower, który zostawiłem tu rano, i popedałowałem na Hallera, pod blok, w którym mieszkała Manuela. Czekając na nią, podjąłem kolejną próbę odświeżenia wyblakłych wspomnień z przedszkola. Byłem w stanie przywołać pojedyncze slajdy: widok z huśtawki, grządkę z kwitnącymi fiołkami, obraz pani Czesi podającej mi pajdę ciemnego chleba po tym, jak połknąłem ość... I zapach, ten upajający zapach liści i mokrej ziemi albo odpychający zapach owsianki, nalewanej na talerze wprost z odrapanego kubła. Ale w żadnym ze wspomnień nie było młodej pani, która mówiłaby z rosyjskim akcentem i która by znikła — najpierw z przedszkola, a potem już definitywnie z tego świata.

— O czym myślisz? O tej dziewczynie? I co?

— Nic. Czarna dziura. W dziewięćdziesiątym trzecim miałem cztery lata. Byłem w maluchach. Albo w średniakach.

— Dzwoniłam do koleżanek. — Manuela obrzuciła mój rower podejrzliwym spojrzeniem. Chyba dotarło do niej, dlaczego poprosiłem, by się nie stroiła. — Żadna nie pracuje tak długo, żeby ją pamiętać. Nawet pani Jagoda. Zaczęła u nas pracować w dziewięćdziesiątym siódmym.

— Ale w przedszkolu powinny być na nią jakieś namiary...

— Numer alejki na cmentarzu?

— Imię i nazwisko — sprostowałem z godnością, a potem poklepałem ramę roweru. — Wskakuj.

— Żartujesz, tak? — Podeszła ostrożnie i zeszkrobała z lakieru grudkę zaschniętego błota. — Przedszkole jest zamknięte do poniedziałku. A nawet jeśli udałoby mi się namówić dozorcę, żeby mnie wpuścił, to nie wiedziałabym, gdzie szukać tych namiarów.

Zakładałem, że stare dokumenty kadrowe wcale nie znajdowały się fizycznie w przedszkolu, tylko w archiwum urzędu miasta — o ile ich nie zmielono. Nie zamierzałem jednak myszkować po archiwach. Miałem inne plany.

— Wskakuj — powtórzyłem. — Wykorzystamy moje znajomości.

Przycupnęła na ramie z taką miną, jakby zaraz miała z niej zeskoczyć. Chwyciłem za kierownicę i stanąłem na pedałach. Jej włosy były tak długie, że wystawały spod czapki. Gdy rozwiął je wiatr, załaskotały mnie w szyję.

— Naprawdę musimy jechać rowerem? — spytała, przekrzykując podmuchy wiatru.

Czułem na plecach spojrzenia przechodniów. Spodziewałem się, że w żadnym z nich nie było sympatii.

— To daleko. Aż przy Raginisa.

— To kto tam mieszka?

Jedną ręką trzymała się pałką kierownicy. Przez dłuższą chwilę kombinowała, gdzie umieścić drugą, aż w końcu złapała mnie za pasek od spodni, nad tyłkiem. Poczułem przyływ sił. Mógłbym z nią tak jechać nie tylko na skraj miasta, ale nawet do Brodnicy.

— Do kogo jedziemy? — powtórzyła, patrząc mi w oczy z odległości kilkunastu centymetrów. Na wszelki wypadek zwolniłem, bo takie spojrzenie dekoncentrowało.

— Do szefa tutejszej policji.

Antoni Wiącek przestał być komendantem miejscowej jednostki policji z chwilą, gdy powstały powiaty. Reforma samorządowa była pretekstem, by pozbyć się ludzi, których uznano za niewygodnych — z administracji, ale także ze służb. Gdy go poznałem, był już emerytem. Niespełnionym i trochę zgorzkniałym. Całe dni spędzał w ogrodzie, wśród grządek z warzywami. Usiłował tam odnaleźć to, co napędzało go przez całe życie. Satysfakcję z dobrze wykonanej roboty. Ale uprawa warzyw nigdy nie zastąpiła mu służby

w policji. Z czasem porzucił swój ogród, który wyglądał teraz jak najbardziej jałowy fragment Sahary. A po śmierci żony porzucił też swoje domostwo. Teraz mieszkał w nowym budynku na sąsiedniej działce. Ze swoim synem Konradem i jego żoną Heleną. Moimi najlepszymi przyjaciółmi.

Ogrodzenie dopiero powstawało, więc podjechałem pod same drzwi. Manuela zeskoczyła z ramy i przez chwilę rozcierała siedzenie. Spytałem, czy jej nie pomóc, i w tym momencie w drzwiach stanął Konrad. Oczekiwałem złośliwego komentarza, ale mój kolega sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nas nie widział. Za jego plecami dostrzegłem Juleczkę.

— Cześć, królewno. — Wziąłem ją na ręce. Miała zaczerwienione oczy. Od płaczu? — Czy jest twój dziadek?

— Tak, na górze — odpowiedziała cichutko.

Była nieśmiała i trochę znerwicowana. Helena prowadziła ją na zajęcia z psychologiem, chociaż uważałem, że takie spotkania bardziej przydałyby się jej małżonkowi. Chorobliwa zazdrość na pewno nie sprzyjała atmosferze domowego ciepła.

— Co z tobą? Zawiesiłeś się?

Konrad popatrzył na mnie w taki sposób, jakby widział mnie po raz pierwszy, a potem — nie bacząc na to, że trzymam na rękach jego córeczkę — mocno mnie odepchnął.

— Spierdalaj!

Roześmiałem się, tak jakbym usłyszał dobry żart. Byłem wstrząśnięty, ale nie chciałem fundować Juleczce nowych traum.

— Co ten twój tatuś taki zdenerwowany? — spytałem lekkim tonem, obserwując, jak Konrad wsiada do samochodu i raptownie odjeżdża, zostawiając za sobą chmurę spalin. — Nawet nie zabrał kurtki.

Dziewczynka zaczęła szlochać. Przytulilem ją i pogłaskałem, zaglądając przez drzwi w poszukiwaniu Heleny, która — przy całej lekkości, z jaką podchodziła do życia — była w ich małżeńskim stadle tą mniej narwaną.

— To ciocia Manuela.

Wskazałem na swą zakłopotaną towarzyszkę, po czym przekazałem jej rozsłochany pakunek. Julka miała osiem lat, ale jak na swój wiek była niska i szczupła. Przypominała przedszkolaka — zakładałem, że Manuela dobrze odnajdzie się w roli pocieszycielki. Zostawiłem je w sieni i nie zdejmując butów, bo na parkiecie i tak było mnóstwo błota — ruszyłem na poszukiwania. Najpierw poszedłem do kuchni, ale tam nikogo nie było. Na kuchennym blacie znalazłem natomiast napoczętą flaszkę wódki. Miałem nadzieję, że Konrad pozostał wierny swym zasadom. Nigdy nie wsiadał za kółko po alkoholu, ale... Jeśli nie on, to kto? Helena nie piła białej wódki od czasów, gdy chodziliśmy do liceum. Nawet na ślubach.

— Kto tu jest?

Odwróciłem się szybko, bo słyszałem, że ojciec Konrada trzyma w domu broń. Teraz jednak uzbrojony był jedynie w kieliszek. Tajemnica napoczętej flaszki rozwiązała się sama, i to po mojej myśli. Ściągnąłem czapkę. Widok mojej fryzury znaczył więcej niż formalna prezentacja.

— Cześć, Kacper. — Witając się ze mną, nie zdołał ukryć niechęci. Chociaż byłem najlepszym przyjacielem jego jedyne syna, nigdy mnie nie polubił. Twierdził, że sprowadzałem jego synka na złą drogę. Nie bez racji, ale czasy, w których to robiłem, były przecież bardzo odległe. — Wybacz, ale to nie najlepszy moment...

— Widzę. — Wskazałem głową na Manuele, która tuliła do piersi małą Julkę. — Co się stało?

Popatrzył na wnuczkę, a potem na butelkę. Wiedziałem, że był dobrym dziadkiem, ale druga z namiętności okazała się silniejsza. Napełnił swój kieliszek, po czym — z wahaniem w głosie — zaproponował, że należy również mi. Gdy odmówiłem, odetchnął z ulgą.

— Małe nieporozumienie rodzinne — mruknął lekceważąco i jakby zadając kłam swojemu tonowi, opróżnił kieliszek takim ruchem, jakby miała to być ostatnia czynność przed wejściem na szafot.

— Jest Helena?



— Wszyscy dzisiaj pytają o Helenę — stwierdził z taką goryczą, jakby jej zazdrościł. — Nie ma jej. I szybko nie wróci.

— To szkoda — stwierdziłem. — Julka jest za mała, by zostawać sama.

Gdy uniósł brwi, wskazałem na butelkę. Doceniłem to, że nie próbował ze mną polemizować. Z poczuciem winy zakręcił wódkę i wstawił ją do lodówki.

— Zdenerwowałem się. Ta twoja Helenka wpędzi nas kiedyś do grobu.

Nie pierwszy raz słyszałem, jak na nią narzeka. Atmosfera w tym domu bywała toksyczna nie tylko ze względu na zazdrość Konrada. Tatulek wcale nie był lepszy.

— Widziały gały, co brały — burknąłem niedelikatnie, upewniwszy się zawczasu, że Julka, wciąż w objęciach Manueli, znajduje się poza zasięgiem słuchu.

W obecności Konrada nigdy nie pozwoliłbym sobie na taką szczerość, ale teraz trochę mi się uląło.

— Ona to robi specjalnie. Drażni się z nim. Prowokuje.

Ostatnie słowo budziło paskudne konotacje. Prowokuje... do czego?

— Co tu się stało?

Na szczęście okazało się, że moje obawy były bezpodstawne. Problemem nie była przemoc, tylko... wymiar sprawiedliwości. Mimo wszystko odetchnąłem z ulgą.

— Jaki prokurator? I w jakiej sprawie?

— Prokurator z Warszawy. A co do sprawy... Jeździsz z nią pociągiem, nie? To sam się domyśl.

Odetchnąłem z ulgą po raz drugi.

— Chyba pan nie podejrzewa, że Helena zaciukała pasażera? Albo swojego kumpla z drużyny konduktorskiej?

— Nie podejrzewam. — Wstał i podszedł do lodówki. Musnął dłonią szyjkę butelki, ale ostatecznie wrócił z kartonem soku pomidorowego. — Ale nie jestem głuchy i ślepy. Wiem, czemu ją wezwali. Tak, kolego. — Nie wiedzieć

czemu, nagle stał się bardzo z siebie dumny. — Ja z nią rozmawiam. Zwierza mi się z takich rzeczy, o których boi się powiedzieć nawet Konradowi.

— Po co ją wezwali? — spytałem, bo również byłem ciekaw.

Z tego, co mówił mi Kazio, wynikało, że policja przesłuchiwała całą załogę, i to nie raz. Nie znałem się na tym, ale wydawało mi się, że trzy przesłuchania to wystarczająco dużo czasu, by zadać wszystkie ważne pytania. Wyjaśnienie mogło być jedno. Nowe okoliczności.

Antoni Wiącek wlał sobie do szklanki soku i przytknął ją do ust, udając sam przed sobą, że to Krwawa Mary.

— Znasz ją, co nie? — Pytanie było tak głupie, że nie odpowiedziałem. — Wiesz, jaka potrafi być... rozrywkowa?

Pomyślałem o tych wszystkich pogawędkach, którym oddawała się, sprawdzając bilety. Nie pamiętałem, jakich dokładnie słów użył Konrad przedwczoraj na stacji benzynowej... Ich sens sprowadzał się do tego, że ożywione kontakty żony z pasażerami mogłyby — w przypadku zebrania ich do kupy — narazić go na głupie komentarze w miejscu pracy.

— Sądzą, że Helena kontaktowała się z potencjalnymi świadkami?

— Gorzej.

— Z zabójcą? — spytałem całkiem serio, bo przecież nie można było tego wykluczyć.

Ale wyjaśnienie było jeszcze inne.

— Z ofiarami.

Nie byłem tym szczególnie zaskoczony. Wiącek, który spodziewał się chyba, że spadnę z krzesła, popatrzył na mnie podejrzliwie.

— Z tobą też o tym gadała?

— Nie. Ale nietrudno się domyślić. Zwłaszcza jeśli widziało się ją w akcji.

— Co masz na myśli?

Niedaleko pada jabłko od jabłoni. To powiedzonko doskonale charakteryzowało Konrada i jego ojca. Było jakby pod nich skrojone, tyle że ojciec był jeszcze bardziej pieprznęty niż synalek. Bo przecież nie chodziło

o jego żonę, tylko synową. Wyjaśniłem, że nie mam na myśli nic zdrożnego. Jedynie rozmowę. Gdy powtórzyłem to po raz trzeci, trochę się uspokoił.

— Znała tego, którego znaleźli z rozwaloną głową. Zawsze z nim żartowała. Twierdził, że traci dla niej... głowę.

— O cholera. Po czymś takim można mieć koszmary.

— To ja mam koszmary. Ja i Konrad. Ty wiesz, na jakim stanowisku on pracuje, prawda? A ta... ta dziewczucha go ośmiesza.

Chciał chyba określić ją w inny sposób, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Nie powinniśmy toczyć tej rozmowy tutaj. Nie, kiedy zza cienkiej ściany dobiegał wciąż rozedrgany głos ośmiolatki.

— Zabrali ją na komendę?

— Zaprosili — prychnął z rozdrażnieniem. — Prokurator z Warszawy, śledczy też z Warszawy... Za moich czasów już dawno byliby na dywaniku u komendanta głównego. Dwa miesiące śledztwa, a rezultaty? Żałosne.

— Za pana czasów też sporo się działo — wtrąciłem, uśmiechając się do Juleczki.

Dziewczynka również się uśmiechnęła. Starania Manueli zakończyły się sukcesem. Weszły do kuchni, trzymając się za ręce niczym najlepsze koleżanki.

— Masz na myśli Arkanowicza?

— Niech pan używa wersji Dariusz A. — zaproponowałem.

Być może była to siła autosugestii, ale nazwisko zbrodniarza wydało mi się plugawe. Tak bardzo, że nie chciałem nim kłaść uszu dziecka.

— Tamtą sprawę też prowadziła Warszawa. To były inne czasy. I inne techniki. Nie mieliśmy do dyspozycji takich środków jak obecnie. Nie było sieci komórkowych, a filmy z kamer miały tak mało pikseli, że człowiek nie wiedział, czy patrzy na starą kobietę, młodego mężczyznę, czy na pawiana, który uciekł z zoo.

— Miało to swoje dobre strony — odezwała się Manuela. Mówiła cichym, łagodnym głosem. Napastliwa była jedynie treść: — Można było przypiąć

dowolną zbrodnię człowiekowi, który jej nie popełnił. I wszyscy mieli wtedy mniej roboty. Policjanci, prokuratura, sądy... Wszyscy byli zadowoleni.

Antoni Wiącek był modelowym reprezentantem postawy: za moich czasów było lepiej. Nowe czasy kojarzyły mu się z rozczarowaniem towarzyszącym przedwczesnemu odsunięciu na boczny tor. Dlatego potraktował sugestię Manueli bardzo osobiście, chociaż jego udział w śledztwie w sprawie Arkanowicza był niewielki, gdyż — jak sam stwierdził — wszystkim zawiadywała Warszawa.

— Słyszałem już przedtem takie brednie. Był taki dziennikarzyna. Zawsze powtarzałem mu, że chciałbym mieć taką robotę: wymyślić jakąś teorię z dupy, narobić wokół niej szumu, a potem, bez żadnej odpowiedzialności za słowo, pobiec do kasy po wypłatę.

— Taka robota ma też swoje ciemne strony. Po pierwsze: cenzura.

Popatrzył na Manuele z niechęcią, którą dotąd rezerwował wyłącznie dla mojej osoby. Teraz na jego czarnej liście znajdowaliśmy się oboje, ale dziewczynę postanowił zignorować.

— Rozmawialiście z nim? — spytał, zwracając się wyłącznie do mnie.

— Niech pan mi uwierzy na słowo: to nie była przyjemność — zapewniłem, uświadamiając sobie, że to samo można było powiedzieć również i o tej rozmowie. To było ostatecznym dowodem, że Manuela owinęła mnie wokół palca. Zamiast bimbać na wszystko i przygotowywać się do wieczornego kursu do Warszawy, odbywałem kolejne pogawędki z osobami, które w innych okolicznościach omijałbym szerokim łukiem. — Fakty przemawiają same za siebie — dodałem, nie zwracając uwagi na jego buntowniczy wyraz twarzy. — Ostatnie dwa zabójstwa, które przypisano Dariuszowi A., były inne niż poprzednie. A prokuratura nie przedstawiła sądowi przekonujących dowodów...

— Przyznał się do wszystkich siedmiu zabójstw! Wszystkie zabójstwa były do siebie podobne!

— Ale nie identyczne — wtrąciła Manuela wciąż z uśmiechem.

— Nie ma dwóch identycznych zabójstw. — Wiącek dopił swoją Krwawą Mary bez wódki i ruszył do lodówki z miną, która zdawała się mówić: tylko spróbujcie mnie powstrzymać.

— Czyli wyklucza pan, że ostatnie dwa... przypadki mogły zostać zainscenizowane? Tak, aby odpowiedzialność spadła na... na pana A.?

— Droga pani. — Spiorunował Manuelę wzrokiem. — To jest właśnie przykład teorii z... — urwał, bo obok Manueli dostrzegł zasłuchaną wnuczkę. — Teorii błędnej. Na jej podstawie można by podważyć wszystkie ustalenia. W dowolnej sprawie. A my mieliśmy jasne wskazanie. Zgadzały się wszystkie szczegóły. — Zwalczył pokusę i wrócił na swoje miejsce. Butelka została w lodówce. — Słuchajcie, ja sam odebrałem ten telefon.

Zamilkł przerażony własną niedyskrecją. W jego milicyjno-policyjnej świadomości pojęcie tajemnicy służbowej urastało do rangi absolutu. I to absolutu bez daty ważności.

Na twarzy Manueli pojawił się wyraz triumfu. Pogłaskała Julkę, szepcząc jej do ucha, że dziadek jest mądrym człowiekiem. Dziadek zrobił kwaśną minę.

— To była jego dziewczyna, tak? Ta Ukrainka, Białorusinka... albo Rosjanka... Co powiedziała?

Spojrzenie jego błękitnych oczu złagodniało.

— Wskazała, że zabójcą jest Arkanowicz — powiedział. — A potem podała okoliczności wszystkich zabójstw. Mówiła przez pół godziny. Notatka, w której spisałem szczegóły, miała kilkanaście stron. Najdłuższa notatka w moim życiu. Jest w aktach sądowych. Napiszcie, może dadzą ją wam do wglądu.

Złośliwy śmiech wskazywał, że jego zdaniem było to mało prawdopodobne. Łagodność była chwilowa. Znów patrzył na nas jak szczywany lis.

— Chcielibyśmy poznać te szczegóły już teraz — odezwałem się, bo z miny Manueli wynikało, że nie podoba jej się moja bierność.

— To może zapytajcie tej waszej Ukraineczki — zaproponował Wiącek.

— Bardzo śmieszne. Ona nie żyje. Rzuciła się pod pociąg.

Było to z mojej strony stwierdzenie faktu, ale on — ku mojemu zdziwieniu — pokręcił głową.

— To plotki. Przewieźli ją do szpitala wojewódzkiego w Olsztynie. Straciła rękę i nogę, ale przeżyła.

Manuela odetchnęła. Byliśmy o krok od... Może nie od prawdy, ale od prostej drogi do jej poznania.

— Zna pan jej nazwisko?

Wiącek wstał i poszedł po wódkę. Nalał sobie kieliszek i przełknął jego zawartość z głośnym mlaśnięciem. Napięcie, które odczuwała Manuela, udzieliło się także mnie. Miałem ochotę nim potrząsnąć. Zwłaszcza po tym, jak odpowiedział:

— Nawet jakbym znał, to niewiele by to wam dało.

— Dlaczego? — spytała spokojnie Manuela.

Podziwiałem jej opanowanie. Bywała niecierpliwa, ale gdy przychodziło co do czego, potrafiła trzymać nerwy na wodzy. Praca w przedszkolu sprzyjała szlifowaniu samokontroli. Jej powściągliwość w okazywaniu uczuć przyniosła nieoczekiwane rezultaty. Wiącek, ku mojemu zaskoczeniu, postanowił odstąpić od swych żelaznych zasad.

— To proste. — Wstał i wylał resztę wódki do zlewu. Gest może i był teatralny, ale gwarantował, że nie nawali się jak zwierzę, co przyjąłem z satysfakcją. Julka mogła zostać w domu. — Otóż kobieta, która wtedy zadzwoniła, na pewno nie była Ukrainką.

— Jest pan pewien?

— Słuchałem jej przez pół godziny. Jestem pewien, że była rodowitą Polką.

Pobyt za granicą nauczył mnie nowoczesności. Tak odpowiedziałbym, gdyby ktoś zapytał, ale prawda była taka, że przez całe dwie godziny — bo tyle czasu zajęła nam konsumpcja obiadu w najpopularniejszej knajpce przy rynku — walczyłem ze sobą, by nie okazać zawstydzienia. Wstydziłem się, że jestem

takim biedakiem. Że nie mam kasy, by zafundować ten obiad albo przynajmniej zapłacić za siebie. Byłem chyba niezłym aktorem albo Manuela udawała, że nie widzi mojego zakłopotania — w każdym razie czas, który ze sobą spędziliśmy, upłynął nam na miłej rozmowie, często przerywanej wybuchami śmiechu. Nie przeszkadzały nam nawet jadownicze spojrzenia, którymi obrzucała nas para przy sąsiednim stoliku. Ja przyzwyczailem się już, że robię za lokalną persona non grata, a Manuela była chyba zbyt światowa, by przejmować się swą rolą w małomiasteczkowej operze mydlanej.

Manuela naprawdę spędziła kawał życia w wielkim świecie, który nie ograniczał się — jak w moim przypadku — do platformy wydobywczej i doków Grimsby. Ze zdziwieniem przyjąłem informację, że studiowała przez dwa lata na Universidad Autónoma w Madrycie — jednej z najlepszych uczelni w Europie. Ze swoim wykształceniem i znajomością języków — obok hiszpańskiego władała płynnie również angielskim — mogła naprawdę ubiegać się o pracę w każdej placówce opiekuńczo-wychowawczej w Europie. Wybrała rodzinne Działdowo ze względu na Anielkę — chciała trochę odciążyć matkę. W przyszłości planowała zabrać siostrę za granicę — do Hiszpanii. Była w trakcie załatwiania jej na miejscu szkoły specjalnej i dodatku opiekuńczego. Słyszając, że nie zamierza zostać w kraju, poczułem ukłucie smutku, ale nie na długo. Zwykle kierowałem się w życiu zasadą *carpe diem* — nie było potrzeby, by martwić się tym, co będzie jutro.

— Dlaczego akurat Hiszpania? — spytałem przy deserze, na który zamówiła dwa imponujące kawałki sernika.

— Jakby rodzice nadali ci imię Juan, też ciągnęłoby cię na południe Europy — wyjaśniła ze śmiechem. — Zaczęłam od Francji, ale Hiszpania spodobała mi się jeszcze bardziej. Ta luzacka atmosfera, sjesta, knajpiane ogródki, Real Madryt... No i lubię, jak jest dużo słońca.

— To wyjrzyj za okno. — Wskazałem na bezchmurne niebo, a potem zapytałem, skąd u niej to obco brzmiące imię.

— Nie mam pojęcia. Podobno w latach dziewięćdziesiątych była taka

telenowela... Ale rodzice upierają się, że nie oglądali. — Wspomnienie ojca sprawiło, że posmutniała, ale tylko na chwilę. — Przyzwyczyłam się, chociaż w podstawówce nie było mi łatwo. Dzieci nie lubią oryginalnych imion. Ty chyba też — dodała, nawiązując do imion moich maluchów.

Po obiedzie odprowadziłem ją pod klatkę schodową, ale nie przyjąłem zaproszenia na kawę. Ta od prezesa wystarczała na cały weekend. Wróciłem do domu, włożyłem służbową koszulę i krawat w barwach Kolei Mazowieckich i na pół godziny przed rozpoczęciem *Soboty z kryminałem* stawiłem się na Zamku.

Nasz działdowski Zamek przez długie lata popadał w ruinę, ale po remoncie było tu zupełnie inaczej niż kiedyś. Jedno skrzydło zostało zagospodarowane na Urząd Miasta, a w drugim jakiś czas temu umieszczono dom kultury — miejsce pracy mojej byłej żony. Dziedziniec, niegdyś z kocich łbów, został uporządkowany i wyrównany, a w rogu wybudowano kameralny plac zabaw. I właśnie tam, na największej z huśtawek, ujrzałem Anielkę.

— Wariatka — mruknąłem.

Oczywiście nie miałem na myśli Anielki, tylko jej starszą siostrę, która najwyraźniej postanowiła mi zrobić niespodziankę. Ruszyłem szlifowanym brukiem, rozglądając się na wszystkie strony. Na dziedzińcu, w mniejszych i większych grupkach, zebrało się kilkadziesiąt osób. Żadna z nich nie miała jednak włosów do pasa, i to w barwie antracytu.

— Tata!

Poczułem przenikliwy ból w stopie. Adaś miał dziś swój dobry dzień — niemal nie dotykał wózka, poruszając się o kulach. Teraz jedną z nich nadepnął mi na służbowy pantofel. Lakierowana skóra wytrzymała, za to na mojej z pewnością pojawił się fioletowy siniec.

— Gdzie mama? — spytałem, ciesząc się, że w jego oczach nie ma już śladu tej urazy, którą widywałem po powrocie. Od jakichś dwóch dni nasze stosunki wróciły do zadowalającej normy. — Wyszła zapalić, tak?

Pokręcił głową. Mój uśmiech zniknął, bo uzmysłowiłem sobie, że opiekują



się nim dziadkowie. Mój były teść stał pod oknami domu kultury, zabawiając rozmową — a jakże! — kierowniczkę Ewki, czyli wiedźmę od pieska, która zmieszała mnie z błotem pod szkołą i drugi raz — na rynku. Teściowa była tuż obok, ale nie brała udziału w konwersacji, tylko patrzyła wprost na mnie. Ściągnięte wargi miały chyba wyrażać dezaprobatę. To, że na pewnym etapie życia zawiodłem ich córkę, mogli mi jeszcze wybaczyć. Ale nie byli mi w stanie wybaczyć, że zawiodłem ich wnuki. Prawdę mówiąc, szczególnie się im nie dziwiłem.

— Gdzie Ola?

— Tam, za dziadkiem.

Córka, ujrawszy mnie, wydała z siebie przesywający uszy pisk, zwracając na siebie uwagę nie tylko dziadka, ale także połowy osób na placu. Gdy utonęła w moich ramionach, uwaga ta przerzuciła się na mnie. Większość zgromadzonych zaczytywała się kryminałami. Być może sobie wmawiałem, ale odniosłem wrażenie, że spojrzenia kierowane w moją stronę zawierały sporą dozę morderczej niechęci.

Poczułem się trochę jak aktor na scenie. W dawnych czasach lubiłem być w centrum uwagi, ale w ciągu ostatniego roku doceniłem korzyści płynące z życia w cieniu. Pomoc nadciągnęła z zupełnie niespodziewanej strony. Nagle rozległ się szmer i wszystkie głowy — jedna po drugiej — odwróciły się w kierunku bramy. Stał w niej niewysoki gość w garniturze, z maseczką poniżej linii nosa. Zbiorowe westchnienie zachwytu uzmysłowiło mi, że to wyczekiwany gość. Pisarz.

— Chodźcie, odsuniemy się.

Dzieci też sprawiały wrażenie zainteresowanych, ale przeszło im w momencie, gdy się okazało, że przybysz nie ma ani rogów, ani skrzydeł. Ruszyliśmy w stronę placu zabaw, na którym nie było już Anielki. Pozostali obrali przeciwny kierunek — w stronę bramy. Na czele pochodu dostrzegłem swych teściów, wciąż w towarzystwie kierowniczki domu kultury.

— Idziemy gdzieś? — spytałem, patrząc na jej absurdalne nakrycie głowy.

Kapelusik z piórkiem, który w normalnym świetle z pewnością był żółty, w zapadających ciemnościach przybrał ponurą, zgniłą barwę.

— Zostańmy, aż zrobi się zupełnie ciemno.

— To już zaraz...

— Tatusiu, proszę!

Pomogłem Oli wdrapać się na huśtawkę, wciąż zerkając na boki w poszukiwaniu Anielki i Manueli. Dziedziniec stopniowo pustoszał. Coraz więcej czytelników — obowiązkowo w maseczkach — znikało we wnętrzu Zamku. Udał się tam także pisarz, na herbatę, która tradycyjnie poprzedzała kilkugodzinne przepytывanie, przeplatane podpisywaniem książek.

— To jest życie, prawda, tato?

— Co masz na myśli, synku?

— Życie pisarza. — Spostrzeżenia mojego syna bywały dojrzałe, ale tym razem chyba przedobrzył. — Przyjeżdża na gotowe. Mama przygotowywała wszystko przez kilka godzin.

Zacząłem mu tłumaczyć, że praca pisarza to ciężki kawałek chleba. Wiedziałem o tym od Ewki, która stykała się z nimi zawodowo. W połowie mojego wywodu Adaś stracił zainteresowanie i również zamarzył o zimnej jak lód huśtawce. Pomogłem mu zająć miejsce, a potem jeszcze raz zerknąłem na dziedziniec. Zerknąłem i zgłupiałem, bo jedyną osobą, która na nim pozostała, nie była wcale Manuela. Na dziedzińcu, w jego najmroczniejszym zaułku, dostrzegłem wzorzystą czapkę Ewy.

Moja była żona sięgała po papierosy tylko w dwóch wypadkach: gdy była zestresowana i po seksie. Druga ewentualność raczej odpadała, więc powodem, dla którego wydmuchiwała dym, musiały być zszargane nerwy. Patrząc na nią, miałem wrażenie, jakbym patrzył na postać z tragedii Szekspira.

— Nie powinnaś być w środku?

Strzepnęła gniewnie popiół.

— Możesz iść — poinformowała, połykając łzy. — Jesteś wolny, słyszysz?

Nie poprowadzę spotkania.

— Wiedźma? — spytałem domyślnie, bo w takie nastroje jak ten wpędzała ją tylko przełożona.

— Aha — potwierdziła, a potem nazwała ją znacznie gorzej. — Przepraszam, ale jak pomyślę, ile pracy włożyłam w to spotkanie... Zwyczajnie trafia mnie szlag. A ona tak po prostu podeszła i spytała, czy nie mam nic przeciwko... Wyobrażasz sobie? Moje pytania, moje notatki... Wzięła wszystko. To jak plagiat, nie?

Udałem, że rozumiem jej oburzenie, ale tak naprawdę nie rozumiałem. Pewnie był to efekt tego, że od dziecka grałem w piłkę. Umiałem odnaleźć się w zespole i nie przeszkadzało mi, jeśli ktoś zabierał mi futbolówkę — o ile grał ze mną w drużynie i trafiał do bramki. Ewa, w przeciwieństwie do mnie, była indywidualistką. Wyglądało na to, że jej szefowa również.

— Jak mi wytłumaczysz, która to jest — podpuściłem Ewkę, żeby ją nieco rozbawić — wejdę tam i walnę ją prosto w nos.

Prychnęła, ale przynajmniej przestała pociągać nosem.

— Poznasz ją od razu. Ma taki fikuśny kapelusik.

— Z piórkiem?

— Tak. Musiała skubać pawia.

Sprzedalem jej przyjacielskiego kuksańca.

— Co ty jej o mnie nagadałaś? — spytałem, a potem nakreśliłem tło naszych dwóch spotkań.

Z każdym moim słowem poprawiał jej się nastrój. Chyba się cieszyła, że mamy wspólnego wroga.

— Ja z nią nie gadam, jeśli nie muszę. Informacje o tobie czerpie z najbardziej wiarygodnego źródła: od moich rodziców...

— Bardzo zabawne.

— Nie wtajemniczałam ich w nasze sprawy. Opinię na twój temat wyrobili sobie sami.

Zmrużyła oczy i wysunęła koniuszek języka. W takich chwilach miałem

ochotę znów ją pocałować, ale nasze relacje i tak były skomplikowane. Po ostatnim razie, gdy wylądowaliśmy w łóżku... a raczej w łazience jej nowego domu, nie odzywała się do mnie przez dwa miesiące. Czuła się winna. Nie chciała zdradzać Tomka. Czy wiedziała o kwiatkach, które kupił w Warszawie... innej? To chyba był zły moment, by o to pytać. Każdy moment był zły. Na szczerą, a także na bezsensowny flirt. Dlatego musnąłem dłonią jej policzek, a potem kazałem jej iść.

— Do jaskini więdźmy?

— Może udławi się ciastkiem. Wtedy ty przejmiesz lejce i...

Odskoczyłem ze śmiechem, bo próbowała kopnąć mnie w tyłek. Dzieci huśtały się na placu zabaw, ale nawet gdyby nas zobaczyły, przeszłyby nad tym do porządku. W dawnych czasach często się wygłupialiśmy, także przy nich.

— Dziwię się, że jeszcze się nie poznaliście.

— Z więdźmą? No przecież zmieszala mnie z błotem.

— Bliżej. Że nie poznaliście się bliżej — uściśliła, a potem znów pokazała mi czubek języka.

Nie miałem pojęcia, co roilo się w jej zwariowanej głowie, ale odprowadzałem ją wzrokiem z nieskrywaną przyjemnością — do czasu, aż z ciemności wyłoniła się Manuela.

— Gdzie się ukrywałaś? — Cmoknąłem ją w policzek zimny niczym sopel lodu.

— Nie chciałam przeszkadzać. Fajnie, że się dogadujecie. Wyglądacie jak dwójka konspiratorów.

Określając swą relację z Ewką, nie użyłbym akurat takich słów, ale zanim zdążyłem to wyrazić, mówiła już o swojej wizycie w szpitalu. W pierwszej chwili pomyślałem, że coś się stało, ale chodziło jedynie o nakarmienie demona jej obsesji na punkcie sprawy Arkanowicza.

— Moja koleżanka pracuje w pogotowiu ratunkowym. Akurat była na miejscu. Spytałam ją o wyjazdy do ofiar potrażeń przez pociągi, ale okazuje

się, że w dokumentacji medycznej nie ma na to odrębnej kategorii. Nikt nie pracuje tam tak długo, by pamiętać wypadek tej Rosjanki...

— Prezes Głazewski mówił, że Ukrainki. Lub Białorusinki.

— Tej Ukrainki lub Białorusinki — poprawiła posłusznie. — W szpitalu mają dział dokumentacji medycznej i nawet archiwum, ale Majka twierdzi, że tak stare rzeczy są już poniszczone. Tak więc, jak to mówią...

— Dupa zbita — dokończyłem, usiłując w zapadających ciemnościach wypatrzeć Anielkę. — Gdzie twoja siostra?

— W środku.

— Interesuje się kryminałami? — spytałem, zanim zdążyłem ugryźć się w język.

Anielka nie umiała czytać.

— Lubi, jak coś się dzieje. — Zadrżała, bo staliśmy w przeciagu, naprzeciwko bramy. — Idziemy gdzieś? Bo tutaj można uświerknąć.

Zaprosiłem wszystkich do siebie. Pani Janina, usłyszawszy ze swojego tapczanu głosy dzieci, zwlekła się i przyniosła nam do pokoju pół blachy szarlotki. Siedzieliśmy na moim wąskim łóżku, popijaliśmy ciasto herbatą, a dzieci recytowały Manueli wierszyki. Było cudownie.

Cudowna atmosfera nie mogła jednak trwać wiecznie. Punktualnie o siódmej odstawiłem dzieci na Zamek. Spotkanie zakończyło się przed czasem i w domu kultury pozostały jedynie pojedyncze osoby. W tym Anielka, która stała samotnie w sali prelekcyjnej, oglądając malunek na szkle autorstwa mojej uzdolnionej byłej żony.

— Jest tu z mamą, tak? — spytałem domyślnie, bo Manuela nie była osobą, która zostawiłaby siostrę na łaskę i niełaskę obcych ludzi. — Mama lubi kryminały?

— Uwielbia. Zaczekaj, spróbuję ją znaleźć. Na pewno ją polubisz.

Spotkanie z jej matką nie znajdowało się na czele listy moich priorytetów, ale nie pozostawiła mi wyboru. Zniknęła mi z oczu, a ja popatrzyłem smętnie na swoje służbowe wdzianko, skryte częściowo pod kurtką ze śladami krwi

halibuta. Nie byłem pewien, czy powiedzenie „za mundurem panny sznurem” odnosiło się również do uniformu konduktora Kolei Mazowieckich. Zastanawiałem się nad tym, gdy z pomieszczenia przylegającego do sali wyłoniła się ona. Wiedźma z piórkiem, na domiar złego w towarzystwie mojego byłego teścia.

— Dobry wieczór — powiedziałem uprzejmie, lecz moja grzeczność nie wywarła odpowiedniego wrażenia.

Teść miał tyle oleju w głowie, by nie obrażać mnie przy dzieciach, ale właścicielka pieska nie była tak delikatna.

— Jaka piękna kurtka — powiedziała donośnym głosem, rozglądając się, czy wszyscy usłyszeli.

Jej spojrzenie było jadowite jak u żmii.

— Dziękuję. — Oparłem się barkiem o ścianę, usiłując ukryć brudny rękaw.  
— Piękny kapelusz.

W przeciwieństwie do niej wypowiedziałem swój komplement z kamienną twarzą, a potem, by nie zaognić sytuacji, zrobiłem krok w tył. Ale ona, nie wiedzieć czemu, dążyła do konfrontacji.

— To miłe, że zdecydował się pan wrócić do Działdowa. Tyle tu... kłopotliwych obowiązków.

Przygarnąłem do siebie dzieci. Niewiele rozumiały, potrafiły jednak wyczuwać emocje. Ola zrobiła taką minę, jakby miała się rozplakać.

— Jakoś sobie radzimy.

— Wolałabym, żeby radził pan sobie samodzielnie.

— To miłe, że tak się pani przejmuję moimi sprawami. — Położyłem dłoń na piersi. Stara lampucera myślała, że może swobodnie mnie obrażać. Nie przewidziała, że szyderstwo potrafi być bronią obosieczną. — Takie zaangażowanie jest w obecnych czasach czymś wyjątkowym. Czymś, z czym można się jeszcze spotkać wyłącznie w małych miasteczkach.

W wolnym tłumaczeniu znaczyło to: „spadaj na drzewo, małomiasteczkowa kretynko”. Odebrała mój komunikat właściwie.

— Proszę zostawić dzieci i wyjść z mojego domu kultury.

Miałem na końcu języka uwagę, że razem z moim wyjściem zniknie i kultura, ale przewidywałem, że taki komentarz wywoła karczemną awanturę, której chciałem uniknąć — zarówno ze względu na dzieci, jak i na Ewę. Zobaczyłem, że obserwuje tę scenę z drugiego końca sali, stojąc nieruchomo niczym lodowy posąg. Dlatego tylko się skłoniłem, a potem — bez pośpiechu — pożegnałem się z dziećmi.

— Wychodzi pan?

— Owszem.

— Proszę tu nie wracać.

Czując się jak bohater westernu, przemierzyłem salę. Cisza była tak idealna, że można było usłyszeć bzyczenie wybudzonej muchy, która obijała się o żyrandol. Przy drzwiach wpadłem na Manuełę, która — nie zdając sobie sprawy z wiszącego w powietrzu napięcia — pociągnęła mnie za kurtkę.

— Chodź...

— Nie. Muszę już iść.

— Coś się stało?

— Miałem małe starcie. Ze starą wariatką. — Wskazałem dyskretnie w kierunku pani od pieska. Manuela włożyła czapkę i wyszła za mną na dziedziniec. — Nie obraż się, ale jestem już w tak zwanym niedoczasy. Muszę bieć. Przepróż ode mnie Anielkę. I mamę. Powiedz jej, że poznamy się przy najbliższej... Co jest?

Manuela sprawiała wrażenie zawstydzonej. Próbowałem spojrzeć jej w oczy, ale odwróciła głowę.

— Wy już się znacie.

— Z twoją mamą?

— Tak. — Wciąż unikała mojego wzroku. — Ma na imię Elżbieta i jest... Jest kierowniczką domu kultury. Czy to ją nazywasz wiedźmą?

W pokoju dyspozytora grało radio. Optymistyczne dźwięki skoczego

przeboju miały się nijak do mego samopoczucia, w którym wstyd rywalizował o palmę pierwszeństwa z zaskoczeniem. Poniewczasie zrozumiałem złośliwą uwagę Ewki, która — wspomniawszy o swojej szefowej — zastanawiała się, dlaczego jeszcze nie poznaliśmy się bliżej. Byłoby to usprawiedliwione. Prowadzałem się przecież z jej córką... Dlaczego spośród wszystkich mieszkańców Działdowa matką Manueli musiała okazać się właśnie irytująca szefowa Ewki? Zawsze miałem pecha do teściów, także tych potencjalnych, ale żeby aż tak?

Dyżurujący dyspozytor — starszawy facet w grubych okularach — obrzucił mnie krytycznym spojrzeniem, po czym kazał poprawić węzeł krawata.

— Wszystko w porządku?

Podobieństwo było uderzające. Matka Manueli też była wysoka, a pod swoim kapelusikiem miała takie same ciemne włosy. Przełknąłem ślinę, a potem czym prędzej przegnałem jej obraz.

— W najlepszym — skłamałem i w tym momencie usłyszałem sygnał SMS-a. Odczytałem go i wtedy na mojej twarzy pojawił się autentyczny uśmiech. To była Manuela. Pisała, żebym się nie przejmował, bo jej matka jest... specyficzna. Sam użyłbym innego, dosadniejszego określenia, ale poprzestałem na emotikonie. Odpowiedź przyszła już po kilku sekundach.

*Między nami wszystko okej?*

*Bardzo okej* — odpisałem, a potem zdjąłem krawat przez głowę i podałem go dyspozytorowi.

— Lepiej nie umiem. Przykro mi. Może warto by z tego zrobić element szkolenia?

Facet spojrzął na mnie z politowaniem, po czym rozsypał mój żaloszny węzeł i zaczął formować go na nowo.

— Jaki facet nie umie wiązać krawatów? — gderał, gdy obserwowałem jego ruchy, usiłując rozgryźć, w którym miejscu popełniam błąd.

— Gdzie Helena?

Helena miała być dzisiaj kierownikiem pociągu. Oczekiwałem, że dowiem



się czegoś o jej przesłuchaniu, ale się okazało, że moja ciekawość pozostanie niezaspokojona.

— Zgłosiła niedyspozycję. — Dyspozytor ścisnął węzeł tak mocno, że na wewnętrznej stronie przedramienia wystąpiły kable żył. — Pół godziny temu, psiakrew. Mało brakowało, a pojechałbyś sam.

— Wrzucicie go do wody, niech pływa — zażartowałem ze wzrokiem wbitym w ekran telefonu.

Manuela właśnie wysłała mi emotkę całusa. Nie miałem pojęcia, co się ze mną dzieje. Czuję się jak nastolatek po pierwszej udanej randce.

— A co, jeśli się utopi? — Dyspozytor uśmiechnął się i oddał mi krawat. — Na szczęście udało się ściągnąć Iwonę. Przyszła przed tobą. — Zerknął na zegar i westchnął. — Jak się pospieszysz, to może zdążycie wyjechać o czasie...

Oczywiście przesadzał, bo do odjazdu wciąż było dwadzieścia minut. Ale dyspozytorzy już tak mieli. Byli wiecznie zestresowani.

— Dalej ma tę swoją grzywkę? — spytałem, zapinając guzik przy kołnierzyku.

— Kto? Iwona? Nie wiem, człowieku. Sam się przekonasz. Będziesz miał na to całą noc — zachichotał.

Pociąg stał już na peronie. Tak jak można się było spodziewać, pasażerów było jak na lekarstwo. Przy krawędzi peronu czekał maszynista, ten sam, z którym jechałem wczoraj rano. Zdaje się, że Mikołaj. Rzuciłem mu krótkie „cześć”, na które nie odpowiedział, a potem — w milczeniu — podaliśmy sobie ręce. Zrozumiałem, że nie ma co liczyć na nocne pogaduszki.

— Jest Iwona?

Machnął ręką w kierunku pierwszego wagonu. Domyśliłem się, że musi być w jego wnętrzu.

Miałem ze sobą podręczną torbę ze świeżą koszulą i zmianą bielizny. To miał być mój pierwszy nocny kurs, ale wiedziałem od Heleny, czego mam się spodziewać. Pociąg wysadzał ostatnich pasażerów na Dworcu Centralnym

o dwudziestej trzeciej trzydzieści jeden (według rozkładu), a potem zjeżdżał na bocznicę w okolicach dworca Warszawa Zachodnia. Tam, na Zachodnim, w budynku socjalnym PKP mieliśmy spędzić noc — a ściślej kawałek nocy, bo już o czwartej trzydzieści ruszaliśmy z powrotem. Nasza delegacja kończyła się punktualnie o ósmej, tu, w Działdowie.

Wszedłem do pociągu z zamiarem umieszczenia torby w służbowym schowku. Konduktorzy ze składów piętrowych mieli do dyspozycji regularną bagażownię, ale nam — w pociągach jednopoziomowych — musiała wystarczyć wnęka o wymiarach metr na metr. Wcisnąłem torbę obok okazałej walizki Iwony — zamykając, musiałem pomóc sobie kolanem, ale drzwiczki i tak odskoczyły, pozostawiając szparę. Zakląłem pod nosem i wtedy za plecami usłyszałem znaczące chrząknięcie.

— Co ty ze sobą zabrałeś? Ziemniaki?

Odwrociłem się, ale zamiast Iwony zobaczyłem panią Janinę. Miała na sobie jaskrawą kamizelkę, a na dłoniach — gumowe rękawice. Skojarzyła mi się z lekarką sadystką, mającą przystąpić do zabiegu kolonoskopii — ale tylko do momentu, aż się uśmiechnęła. Była sympatyczną kobitką. No i piekła pyszne ciasta.

— Szukałam cię. — Ściągnęła rękawiczkę i zdjęła z mojej marynarki białą nitkę, a potem sięgnęła do torby. — Masz tu wałówkę. Pewnie nie pomyślałeś o jedzeniu, co?

Wręczyła mi paczuszkę owiniętą sreberkiem. Zważyłem ją w dłoniach — żarcia było tyle, że wystarczyłoby go dla dwóch osób. Nie miała racji. Zdawałem sobie sprawę, że w Warszawie nie czeka na mnie kolacja, ale w kwestii aprowizacji liczyłem na Helenę.

— Dziękuję. — Skłoniłem się niczym ministrant przed biskupem. — Życie mi pani ratuje. Czy jest tu może...

— Szarlotka? Są dwa kawałki. Nie żałuj sobie. — Obrzuciła mnie spojrzeniem, jakim gospodarz patrzy na najmniejszego prosiaka w miocie. — Facet nie powinien być taki chudy...

Wypiąłem brzuch, ale nie na wiele to się zdało.

— Dziękuję, pani Janko.

— Na zdrowie!

Gdy wciągała z powrotem rękawiczkę, dotknąłem jej kamizelki. Moja sympatia nie była na pokaz. Naprawdę ją lubiłem. I nie chodziło nawet o wałówkę ani o to, że mogłem mieszkać pod jej dachem, płacąc jak za frytki. Patrząc na nią, czułem współczucie, na które zasługiwała. Jej mąż kilka miesięcy temu próbował popełnić samobójstwo, jedyna córka wyniosła się do Warszawy i — jeśli wierzyć w to, co wyznał mi Gienek — całkowicie zerwała kontakt, a praca, którą wykonywała pani Janina, usiłując utrzymać dom... Cóż, była znacznie bardziej męcząca niż moja.

— Przepuścisz mnie?

— Proszę. — Patrzyłem, jak się schyla, a potem wyciąga spod siedzenia zbrązowiły ogryzek jabłka i foliową torebkę z czymś, co na pierwszy rzut oka przypomniało pleśń. Zrobiło mi się niedobrze, ale pani Janina nawet się nie skrzywiła. — Nie brzydzi się pani?

— Robota jak robota — odparła, umieszczając swe obrzydliwe znaleziska w na wpół zapełnionym foliowym worku. — Najgorsze są kible, ale na szczęście teraz są zamknięte. Nawet sobie nie wyobrażasz, co ludzie potrafią po sobie zostawić...

Nie chciałem sobie tego wyobrazić i miałem nadzieję, że nie zechce dzielić się ze mną doświadczeniami. Przykląknę przy schowku i włożyłem do niego swoją kolację. Zobaczyłem, że przedmiotem, który blokował zamknięcie, był uniwersalny klucz Kazia, którym można było otworzyć łazienkę. Błyskawicznie go schowałem. Wolałem omijać temat łazienek, i to szerokim łukiem.

— Myślałem, że sprzęta pani tylko w budynku dworca.

— Dworzec, perony, pociągi... Jestem uniwersalna.

Rozpyliła trochę cytrynowego środka czyszczącego, a potem ruszyła dalej. Jej zmiana kończyła się o północy, z chwilą gdy zamykano halę dworca.

Życzyłem jej spokojnej pracy, dodając w duchu, że jej nie zazdrozczę. Przez jakiś czas obserwowałem przez okno, jak się oddala — utykając na lewą nogę. Większość dużych, otyłych ludzi, których poznałem, była gołębiego serca. A znaczna część takich jak ja — małych i chudych — przeciwnie. Ciekawa prawidłowość.

Iwona Ciechańska był właśnie taka — mała i wredna. Sięgała mi zaledwie do ramienia, ale była wulkanem energii. Ścięła grzywkę, dodając sobie kilka punktów do urody. Była serdeczną przyjaciółką Ewki i zawsze się jej zwierzała ze swych miłosnych przygód i zawodów. Tym sposobem wiedziałem o niej niemal wszystko, w tym to, że uwielbia miłość w pozycji na pieska, i to, że cierpi na bolesny refluks. A także to, że kiedyś w Gdyni, na wieczorze panieńskim koleżanki, upiła się na wesoło i biegała po miejskiej plaży w samych majtkach — i to założonych na głowę.

Ta ostatnia historia sprawiała, że na jej widok nie umiałem powstrzymać się od uśmiechu, który ona interpretowała po swojemu, myśląc, że to oznaka sympatii albo nawet skrywanego afektu.

— Ale wiesz, że masz wypełniać wszystkie moje polecenia? — spytała zupełnie poważnie.

Jeśli w tym, co mówiła Ewce, była chociaż część prawdy, to miała za sobą szereg romansów z żonatymi facetami, ale umiała być bardzo dyskretna. Różniły się z Heleną niczym ogień i woda. Helena była flirciarą z zasadami, a ona — zimną jak lód królewną, która roztapiała się jedynie w sprzyjających okolicznościach.

— Jak chcesz, to mogę być nawet twoim niewolnikiem.

— Nie wygłupiaj się. Jak tylko ruszymy, masz przejść do dwójki i pilnować, żeby wszystko było w porządku. I zrób coś z tymi włosami. Czy one muszą tak sterczeć?

Przejechałem palcami po czubku głowy, udając, że się przejąłem. Helena wspominała, że Iwona w pracy zamienia się w sztywniarę, ale nie sądziłem, że jest aż tak źle.

— Ale numer z tą Heleną, co? — rzuciłem, chcąc wy badać, czy coś wie.

Obrzuciła mnie spłoszonym spojrzeniem i nie podjęła tematu.

— W dwójce spotkasz znajomego. — Zmarszczyła czoło, chcąc chyba wzbudzić u mnie respekt. — Ale pamiętaj, jesteś w pracy. Nie potrzebujemy tu drugiej Heleny. Dwa słowa i idziesz dalej. Rozumiemy się?

Udzieliła mi jeszcze kilku takich cennych porad, a potem — na dwie minuty przed odjazdem pociągu — pozwoliła mi odejść do drugiego wagonu, który nazywała dwójką. Wiedziałem już od niej, że znajomym, o którym mówiła, jest Tomek. Jej obawy były niepotrzebne. Nie zamierzałem z nim rozmawiać. Nie przewidziałem natomiast, że ta niechęć będzie jednostronna. Tomek odszukał mnie minutę po tym, jak ruszyliśmy.

— Jak było na spotkaniu z kryminałem?

W pierwszej chwili pomyślałem, że ze mnie szydzi. Ale gdy wróciłem myślami do sceny z matką Manueli, uzmysłowiłem sobie, że go tam nie widziałem. Ani tam, ani na dziedzińcu. Ani przed spotkaniem, ani po.

— Nie dotarłeś?

— Wiesz, jak to jest. Robota, szesnaście godzin na dobę. Taki sezon...

Ewa utrzymywała, i to z nieskrywaną dumą, że wybiła mu z głowy pracę w weekendy, ale być może nie dotyczyło to okresu, gdy wszyscy przypominali sobie o potrzebie zmiany opon na zimowe.

— Wiedźma w ostatniej chwili zdecydowała, że poprowadzi spotkanie osobiście.

— O cholera. I co na to Ewa?

— Jak to Ewa. — Wzruszyłem ramionami.

Byli ze sobą od ponad dwóch lat. Znał ją nie gorzej ode mnie.

Pociąg zwolnił, a potem zatrzymał się na stacji Iłowo. Wyszedłem na peron z nastawieniem, że gdy wrócę, już go nie będzie, ale czekał na mnie w tym samym miejscu, w którym się rozstaliśmy — w przedsionku, na rozkładanym krześle. Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Ta ostentacyjna towarzyskość

wydała mi się podejrzana. Nie tak, jak jego regularne wypadki do stolicy, ale zawsze...

— Do Warszawy? — spytałem od niechcienia.

— Niestety. Muszę powtórzyć badania.

— Źle wyszły?

Machnął ręką.

— Średnio na jeża. Profesor chce przeprowadzić je poza kolejnością. Stąd ta chora godzina. Pracują na okrągło.

— Też szesnaście godzin na dobę?

Zaśmiał się, ale bardzo oszczędnie.

— Sądzę, że nawet dłużej.

Miał na sobie wytarte dzinsy i sweter — bardziej wygodny niż elegancki. Nie był to strój, który włożyłbym na randkę, ale i tak nie umiałem wyzbyć się podejrzeń. Ewka doskonale wiedziała, że po spotkaniu mam kurs do Warszawy. Dlaczego mi nie powiedziała, że spotkam w pociągu jej partnera?

— Miejsce zwolniło się w ostatniej chwili — powiedział, jakby czytał w moich myślach. — Ewa nie będzie zachwycona. Nie lubi zostawać sama tak zniecka.

— W razie czego może zaprosić swoich rodziców. Jak trzeba, zawsze są pod ręką.

Spodobał mi się sposób, w jaki zareagował na wspomnienie o teściach. Kiedyś też się tak wzdrygałem.

— Wolalbym, żeby ich obecność w naszym życiu pozostała na takim poziomie, jak obecnie. Nie mam nic przeciwko, że odwiedzają wnuki, ale...

Umilkł zakłopotany. Rozumiałem, co czuł, ale nie zamierzałem niczego mu ułatwiać.

— Słuchaj, Tomek, zaraz będzie Mława, więc muszę zacząć zarabiać na chleb. Wybierz sobie miejsce, a ja znajdę cię... później.

Ruszył korytarzem w kierunku pojedynczego fotela, usytuowanego bezpośrednio pod kamerą. Pociąg był niemal pusty. Oprócz niego w zasięgu

wzroku miałem tylko pograżoną w rozmowie parę i głośno chrapiącego faceta. Postanowiłem sprawdzić, czy uda mi się go obudzić, ale zanim tam doszedłem, obok mnie znowu pojawił się Tomek.

— Jeszcze jedno. — Złapał mnie za rękaw koszuli, psując fakturę zaprasowanego materiału. Patrzyłem na niego z rosnącym zdziwieniem. Zwykle był pewnym siebie, przemądrzałym bubkiem, ale teraz wyglądał tak, jakby zaraz miał się rozplakać. — Chciałbym, żebyś wiedział...

— Tak? — spytałem ponagląco, bo się zapowietrzył, a pociąg zwalniał przed kolejną stacją. — O co chodzi?

Spodziewałem się wszystkiego. Ten wzrok zaszczutego zwierzęcia mógł być preludium do wyznania, że toczy go śmiertelna choroba albo że zakochał się na zabój w rosyjskiej panczenistce i za cztery godziny wylatuje z nią do Jekaterynburga. Tymczasem okazało się, że partner mojej byłej żony zbierał się do tego, by... powiedzieć mi komplement.

— Jesteś dobrym ojcem. Wiem, że ludzie twierdzą inaczej... I że Ewa twierdzi inaczej, ale naprawdę tak uważam.

— To miłe — odparłem, udając, że przyjmuję te słowa za dobrą monetę.

Spodziewałem się dalszego ciągu, na przykład oskarżenia, że wciąż romansuję z Ewą... Ale nic takiego nie nastąpiło. Tomek uściskał mnie jak brata, cmoknął w policzek, a potem szybko odszedł. Odniosłem wrażenie, że pociąga nosem w taki sposób, jakby ostatkiem sił tłumił płacz. Czy to była z jego strony próba pojednania?

Wzruszyłem ramionami. Po chwili okazało się, że jego gest mógł być interpretowany zupełnie inaczej.

— Po co te manifestacje? — burknął facet z fotela naprzeciwko.

Już nie chrapał. Był rozbudzony, a dodatkowo zniesmaczony.

— Jakie manifestacje?

— No... pedalskie.

Zażądałem biletu, a potem kazałem mu założyć maseczkę. Udawałem

surowość, ale tak naprawdę miałem go gdzieś. Umiałem myśleć tylko o Tomku.

W co on grał?

Do Chotomowa podróż szła jak po maśle, ale później nagle wszystko się skomplikowało. Iwona zaalarmowała mnie przez radio o grupce agresywnych młodych mężczyzn, którzy odmawiają okazania biletów. Przeszedłem do jedyńki, czyli wagonu numer jeden, ale moja młodzieńcza twarz i sylwetka wymoczka nie wywarły odpowiedniego wrażenia. Jakimś cudem udało mi się uniknąć konfrontacji fizycznej. Wezwani przez Iwonę policjanci czekali już na stacji Legionowo-Przystanek. Zwinęli naszych delikwentów dosyć sprawnie, ale w dalszą drogę i tak ruszyliśmy z dwudziestominutowym opóźnieniem, które — zanim dotarliśmy do granic Warszawy — zmieniło się w półgodzinne.

— Kiepsko ci poszło — skrytykowała mnie Iwona.

Wiedziałem, że takie sytuacje zdarzały się mniej więcej raz w miesiącu, ale przez dłuższy czas sprawiała wrażenie wybitej z rytmu, tak jakby doświadczyła tego po raz pierwszy.

— Gdy się zjawiłem, byli już rozjuszeni...

— Kazałam im założyć maseczki. Takie są przepisy.

— I słusznie — zgodziłem się szybko, nie chcąc dokładać jej stresu.

Przypadek awaryjnej przerwy w kursie wymagał sporządzenia obszernej dokumentacji, za którą odpowiadał kierownik pociągu, czyli ona. Czekala ją pracowita noc. Nie powiedziałem jej, że sprawę można było załatwić w sposób bardziej dyplomatyczny. Z humorem, a nie na krzyki i groźby. Byłem pewien, że gdyby na jej miejscu była Helena, wszystko rozeszłoby się po kościach.

Na Centralny dotarliśmy dokładnie o północy. Już wcześniej wyciągnąłem ze schowka swoją torbę i kolację od pani Janiny. Nie chciało mi się spać, ale



na wszelki wypadek zapisałem sobie adres budynku socjalnego PKP. Było zimno, a nie chciałem koczować na dworcu.

— Jesteś pewny? Naprawdę nie jedziesz z nami?

— Nie, dzięki. Mam jeszcze coś do załatwienia.

Iwona popatrzyła na mnie takim wzrokiem, jakby podejrzewała mnie o korzystanie z usług prostytutek, względnie o sprzedawanie własnego ciała. Nie miałem czasu, by rozwiać jej obawy. Rzut oka przez szybę uświadomił mi, że Tomek jest już na peronie i kieruje się w stronę ruchomych schodów — ile pary w silnikach.

— Ucałuj ode mnie maszynistę — rzuciłem, po czym wyszedłem z pociągu.

Na peronie naciągnąłem na oczy czapkę z pomponem, w której wyglądałem trochę jak smerf. Nie zależało mi na wyglądzie — najważniejsze było to, że mogłem pod nią schować swoje charakterystyczne kudły. Skinąłem dłonią przyklejonej do szyby Iwonie, a potem — starając się maksymalnie wtopić w szarość dworca — ruszyłem za szybko oddalającym się Tomkiem. U podnóża schodów zaczepił mnie jakiś obdartus:

— Zbieram na bilet do Bydgoszczy...

— Sorry, kolego. — Ominąłem go szerokim łukiem. — Jestem goły.

W Warszawie jest wiele miejsc, które nigdy nie śpią, ale Dworzec Centralny — przynajmniej tamtego wieczoru — był senny i wyludniony. Czyniło to moje zadanie trudniejszym, lecz Tomek nie rozglądał się na boki, tylko parł przed siebie w z góry ustalonym kierunku.

Do całodobowej kwaciarni w przejściu pod Alejami.

Nie byłem tym szczególnie zaskoczony. Przejście podziemne było puste, więc przyłożyłem twarz do kwaciarnianej witryny. Tym razem kupował irysy. Bukiet niebieskich irysów, podobno symbolizujących nadzieję. Tak przynajmniej twierdziła Ewka, która interesowała się takimi bzdurami. Żółte kwiaty — zazdrość, czerwone — miłość, a niebieskie — nadzieja. Nadzieja, ale na co? Patrząc, jak Tomek przykłada kartę do terminala, z trudem

zwalczałem mdłości. Zgoda, moja ekszona nie była święta... Ale dlaczego spotykało ją w życiu aż tyle złego?

Gdy Tomek skierował się do wyjścia, przycupnąłem za filarem. Dwie młode kobiety, zmierzające w stronę hali głównej i peronów, zmierzyły mnie trochę pytającym, a trochę podejrzliwym spojrzeniem, a potem przyspieszyły kroku. Tomek poszedł w przeciwnym kierunku, w stronę hotelu Marriott. Gdy wspiął się po schodach, ruszyłem za nim, starając się trzymać blisko ścian. Minąłem jeszcze jedną parę, tym razem chłopaka z dziewczyną. Oboje spojrzeli na mnie z rozbawieniem. Być może byli w dobrym nastroju, a może rozśmieszyła ich moja czapka smerfa?

O ile dobrze kojarzyłem, przy Marriocie parkowały taksówki. Gdyby Tomek wsiadł do jednej z nich, musiałbym się poddać. Kwestia rodem z amerykańskiego filmu, coś w stylu: „jedź, pan, za tą taksówką”, była w tym wypadku nierealna. Mój budżet nie przewidywał finansowania takiej ekstrawagancji. Na szczęście Tomek, który nigdy nie był rozrzutny, skierował się na przystanek. Przyczaiłem się za skrzynką z piachem — jedną z dziesiątek ukrytych w betonowej dżungli skrzynek, które dostrzegają jedynie tacy jak ja. Byli pracownicy zieleni miejskiej. Przez chwilę gapiłem się w ekran telefonu, przeglądając dwie warszawskie aplikacje. Gdy zamknąłem tę z rozkładem autobusów i podniosłem wzrok, nie umiałem powstrzymać przekleństwa. W moją stronę zmierzał patrol policji.

Wyglądało na to, że moje ambitne plany właśnie wzięły w łeb.

Ale gdy poszukiwałem w myślach wiarygodnego wyjaśnienia mojej aktywności śledczej, którą — co uświadomiłem sobie poniewczasie — bez wątplenia zarejestrowały kamery dworcowego monitoringu, z pomocą przyszedł mi przypadek. Z gatunku tych... jeden na milion. Zza rogu, niezgodnie z rozkładem, wyłonił się autobus. Podjechał na przystanek i wtedy w jego stronę pobiegł jakiś przechodzień. Policjanci, będący kilka metrów od mojej prowizorycznej kryjówki, rzucili się za nim niczym podcięci batem. Obserwowałem, jak zabiegają mu drogę i zmuszają do zatrzymania.

Odnotowałem jeszcze, że miał podobną czapkę do mojej, a potem ruszyłem w przeciwnym kierunku. Starłem się iść spokojnie i nie zwracać niczyjej uwagi. Udało się. Zniknąłem za przyziemiem Marriotta i dopiero wtedy zerwałem się do galopu. Przez krótką chwilę sądziłem, że aplikacja wprowadziła mnie w błąd, ale na szczęście to ja byłem w błędzie. Czekala na mnie przy przejściu dla pieszych. Hulajnoga elektryczna. Podczas poprzedniego pobytu w Warszawie zjeździłem na takiej całej miasto.

Nie wziąłem rękawiczek, a kierownica była zimna jak lód, ale jaki miałem wybór? Przerzuciłem torbę przez ramię i ruszyłem, kierując się uliczką równoległą do Alej, chyba Nowogrodzką. Było tu ciemno i zupełnie pusto. Tak pusto, że odważyłem się rozpędzić do czterdziestki. Jadąc w takim tempie, mogłem ścigać się z każdym autobusem. Pod warunkiem że wiedziałem, dokąd zmierzał.

Jeszcze raz odpaliłem aplikację z rozkładem i wyszukałem trasę linii 175. Jej następny przystanek wypadał pod Rotundą, a kolejny — przy Kruczej. Skierowałem się od razu tam. Gdyby Tomek chciał się dostać jedynie do Rotundy, na pewno wybrałby się tam na piechotę. Wciąż ściskając w ręku telefon, skręciłem na zakazie w Marszałkowską i przez chwilę — do ronda — jechałem pod prąd. Tamtej nocy naprawdę kusilem los.

Chwilę później byłem już przy Kruczej. Autobus właśnie ruszał z przystanku. Zwolniłem, przyglądając się dwóm mężczyznom, którzy wysiedli, ale żaden z nich nie przypominał Tomka. No i żaden nie ściskał w ręku kwiatów. Autobus gnał w stronę Wisły i Pragi, ale tuż przed rondem de Gaulle'a zjechał na lewy pas i — na późnym żółtym — skręcił w Nowy Świat. Gdy ustawił się do mnie bokiem, wyraźnie ujrzałem swój cel. Tomek stał przy oknie, wpatrując się w swój niebieski bukiet. Sprawiał wrażenie pogrążonego w myślach.

Nowy Świat, w przeciwieństwie do sennego dworca, tętnił życiem. Było tu mnóstwo knajpek — od piwiarni, idealnych na grupowe wyjście, po klimatyczne, kameralne lokale w sam raz na romantyczną kolację we dwoje.

Byłem przekonany, że celem Tomka jest właśnie jeden z takich lokali, ale z pewnym zdziwieniem odnotowałem, że nie wysiadł. Autobus ruszył dalej, w kierunku kliniki przy Ordynackiej. Czyżby Tomek mówił prawdę? Czyżby rzeczywiście jechał na badania, a ja robiłem z siebie durnia? Ale skoro tak... to na cholerę były mu kwiaty?

Tomek nie wysiadł ani przy Ordynackiej, ani przy Uniwerku. Na placu Piłsudskiego przesiadł się w N44 i pojechał w kierunku Starówki. Gdy minęliśmy gmach sądu najwyższego, zniknęły knajpki i wokół znów zrobiło się ciemno. Starówka została w tyle. Znaleźliśmy się na Muranowie, który jest bardziej sypialnią niż centrum rozrywki.

Temperatura oscylowała wokół zera, ale na pędzącej, niczym nieosłoniętej hulajnodze takie zero oznaczało mniej więcej minus piętnaście. Trząsałem się jak osika, a moje oparte na kierownicy dłonie musiały zamarznąć, bo straciłem w nich czucie. Na szczęście cierpienia, które sprowadziłem na siebie z własnej woli, wreszcie dobiegły końca. Tomek wysiadł przy skwerze Matki Sybiraczki, w tak ciemnym miejscu, że prawie to przegapiłem.

— O co tu chodzi? — wyszeptalem do siebie zeszytwniałymi z zimna wargami, porzucając swą hulajnogę obok kilku innych. Tomek szedł przed siebie tak pewnym krokiem, jakby bywał tu codziennie. Miejsce wydało mi się z gatunku tych, w których można było stracić portfel, a może i zęby. Wrażenia tego nie rozwiewała nawet rozświetlona wieża Intraco. — O w mordę...

Zatrzymałem się i w przypływie irytacji trąciłem butem kamień, bo moje oczy wyłuskały z ciemności neon z napisem: *Przychodnia*, i drugi — nieco poniżej: *Całodobowa opieka*. Tomek zmierzał w tamtą stronę jak po sznurku. Przecisnął się między zaparkowanymi samochodami i zniknął w ciemnej bramie ogromnego, socrealistycznego gmachu. Chociaż powinienem się cieszyć, byłem zły jak chrzan. Nie na niego. Na siebie. Na ten cholerny gen podejrzliwości, który kazał mi się włóczyć za nim po Warszawie i marznąć na kość.

Teraz czekała mnie długa droga powrotna. Wróciłem po swoją hulajnogę. Nie miałem już powodów, by się spieszyć. Owinąłem zmarznięte dłonie elementami bielizny, w której miałem spać, i ruszyłem powoli skrajem ulicy. Wyjechałem kilkanaście metrów i stanąłem na czerwonym świetle. Obróciłem głowę, by jeszcze raz spojrzeć na tę cholerną przychodnię, i... zgłupiałem. Za rzędem samochodów ukryty był jeszcze jeden neon stanowiący element nazwy. *Przychodnia. Całodobowa opieka... dentystyczna.*

Pobiegłem do bramy. Było w niej wejście do dentysty, ale przecież Tomek nie przyjechał tu, by leczyć zęby. Dalej znajdowała się krata z domofonem. Tak jak podejrziałem to kiedyś na filmie, wcisnąłem kilkanaście guzików naraz. Odezwały się zaspane, pytające głosy, a potem dźwięk, na który czekałem.

Brzęczenie zwalnianej blokady.

Podwórko, a raczej podwórze wielkości połowy boiska piłkarskiego, było ciemne i puste. Ciemna była też większość okien, ale gdy tak stałem, zastanawiając się, co dalej, nagle rozjaśnił się cały ich rząd — od parteru aż po siódme... nie, ósme piętro. Ktoś musiał zapalić światło na klatce schodowej. Nie zastanawiając się, bo nie było nad czym, dopadłem do drzwi do klatki. Tu też był domofon i tutaj także posłużyłem się numerem z wszystkimi przyciskami.

I znów ten sposób zadziałał.

Budynek wzniesiono przynajmniej pół wieku temu, ale winda była dość nowa, więc na panelu nad wejściem wyświetlały się cyfry oznaczające kolejne piętra. Winda pięła się do góry. Na moich oczach trójka zmieniła się na czwórkę. Starając się nie tupać, pogałęm w stronę stromych schodów, a potem w górę, aż do utraty tchu. Zatrzymałem się dopiero wtedy, gdy usłyszałem szcęknięcie, a potem miarowy odgłos kroków.

W taki sposób stąpali ludzie, którzy się spieszyli. Którzy nie mogli się doczekać.

Wspiąłem się na kolejne piętro. Siódme, przedostatnie. Odgłos kroków

dobiegał z góry, a po chwili dołączył do niego inny. Dźwięk dzwonka przypominający ćwierkanie. Stąpając niczym kot po aksamicie, pokonałem te kilka ostatnich stopni, opadłem na kolana i wyjrzałem zza winkła. Na sekundę, ale to wystarczyło, bym ujrzał znajome plecy.

Głos, który dobiegł mnie kilka sekund później, też był znajomy.

— Przepraszam, że tak późno — usprawiedliwił się Tomek, ale kobieta, która czekała na jego wizytę, wcale nie sprawiała wrażenia urażonej.

— Dobrze, że jesteś... — Usłyszałem.

Nie widziałem jej, ale ton, z jakim wypowiedziała tę kwestię, nie pozostawiał wątpliwości co do ich relacji. Wibrował uczuciem. A potem, jakby tego było mało, usłyszałem coś jeszcze. Cmoknięcie, a po nim — gardłowy jęk. To mi wystarczyło. Nie czekając, aż zamkną drzwi, ruszyłem w dół. Tym razem nie próbowałem zachowywać się cicho.

Byłem załamany.

Dopuszczałem taką możliwość, ale nie sądziłem, że będą aż tak szybcy. Policjanci, bo o nich mowa, czekali na mnie w sieni budynku socjalnego PKP, czyli wstrętym baraku z dykty, wzniesionym tuż przy zardzewiałym torze wiodącym donikąd. Dwa młode byczki, jeden większy od drugiego. Gdy wszedłem do środka, natychmiast stanęli po obu stronach — tak blisko, że ledwo mogłem się poruszyć.

— Pan Kacper Słubicki? Komenda stołeczna, chcielibyśmy zadać panu kilka pytań. Możemy?

Nie miałem wielkiego wyboru. Zaprosiłem ich do swojego pokoju — maleńkiej kanciapy, w której wszystko było w liczbie jeden: jedno łóżko, jeden komplet pościeli, jedno krzesło... Usiadłem na tym krześle, a oni — po chwili wahania — opadli na kanapę. Ten większy obejrzał mój dowód, a ten mniejszy — który w pozycji stojącej przerastał mnie o głowę — posłał mi spojrzenie z gatunku tych, po których człowiek boi się zasnąć.

— Panie Kacprze, co pan tam robił?

Nie usiłowałem grać idioty. Nie miałem odwagi. Przez następne kilka minut opowiedziałem im o skomplikowanym uczuciu, które łączyło mnie z byłą już żoną, oraz o Tomku — jako tym trzecim. Nie wiem, czy mi uwierzyli, ale chyba przestali mnie traktować jako osobę potencjalnie niebezpieczną, bo wyraźnie się rozluźnili. Ten większy podsunął mi nawet papierosy. Podziękowałem, ale postawiłem przed nim popielniczkę. W takich miejscach nikt nie zawracał sobie głowy zapachem. Ani przepisami przeciwpożarowymi.

— I co? Dorwał go pan na gorącym uczynku?

Do tej chwili byłem szczery, ale teraz uznałem, że to sprawa między mną a Tomkiem.

— Zgubiłem go na Trakcie Królewskim. A potem uświadomiłem sobie, że jestem za stary na zabawy w kowboja.

— Postawił pan na nogi cały garnizon.

— Poważnie? — zdziwiłem się. — To chyba dobrze, że garnizon nie miał nic poważniejszego do roboty, co?

Zaśmiali się zdawkowo, a potem jeszcze przez kilka minut indagowali mnie o pobyt na platformie wiertniczej. Musieli dokładnie mnie sprawdzić, bo przecież sam się tym nie chwaliłem. Byli żywo zainteresowani kwestiami płacowymi. Być może nosili się z zamiarem zmiany branży. Pożegnaliśmy się o drugiej trzydzieści. O drugiej trzydzieści pięć do mojego pokoju zapukała Iwona. Włączyłem czajnik.

— Mam herbatę — poinformowałem, bo na spodeczku jakaś dobra dusza zostawiła dwie torebki. — Ale jeśli liczysz na coś więcej, to wybac... Nie jestem w nastroju.

Oczywiście przygnała ją ciekawość. Byłem pewien, że jutro o nocnej wizycie policjantów plotkować będzie całe Działdowo. W odpowiedzi na moją dwuznaczną uwagę poprawiła szlafrok, a potem — widząc popielniczkę ze zduszonym niedopałkiem — wyciągnęła własne papierosy.

— Przyznaj się. Co znów nawywijałeś?

Jak niemal każda dorosła osoba w naszym mieście, wiedziała o mojej

niesławnej kradzieży w szkole i późniejszej przygodzie z kasynem. Nie miałem pojęcia, co jeszcze nagadali jej tak zwani życzliwi. Czy była w grupie tych, którzy podejrzewali, że po wypadku Adasia zwałem przed odpowiedzialnością? A może myślała, że uciekłem przed ludźmi z miasta, u których miałem długi? Obie wersje krążyły z jednakową częstotliwością, ale prawdę znaleźliśmy tylko my. Ja i Ewka. Nie znał jej nawet Tomek. To był nasz sekret, którego strzeżliśmy jak źrenicy oka.

Właśnie ze względu na Tomka.

Był dumnym człowiekiem. Nie zniósłby myśli, że pieniądze na operację i rehabilitację Adasia pochodziły ode mnie, z kredytów i mojej pracy na platformie. Wolał wierzyć, że wpłacili je darczyńcy ze zbiórki internetowej, a ja byłem tylko nieodpowiedzialnym utracjuszem. Ewka nie chciała ranić jego miłości własnej, która po wypadku i tak była w strzępach. W rezultacie wychodziłem na straszego dupka, ale miałem to gdzieś. Moja reputacja nie była ważna. Podobnie jak samopoczucie Tomka i lojalność Ewki. Liczyło się tylko szczęście. Szczęście naszych dzieci.

— Masz tu kogoś, w Warszawie, prawda?

Iwona nigdy nie była asem intelektu, ale teraz przeszła samą siebie.

— Tak. Dlatego właśnie przyszła tu policja.

Przez chwilę rozważała, czy mówię poważnie, ale w końcu się uśmiechnęła.

— Nie zalewaj. Skoro nie dziewczyna, to o co chodzi?

— Może o chłopaka? Coś ty taka nieprogresywna?

Wstała i zalała herbatę. Westchnąłem w duchu, bo miałem nadzieję, że sobie pójdzie. Wciąż myślałem o Tomku, a konkretnie — o jego wyznaniu. Powiedział, że jestem dobrym ojcem. Czyżby dowiedział się, że jednak nie byłem utracjuszem? I ta wiedza zachwiała fundamentem jego związku z Ewą?

I dlatego kupowałem kwiaty jakiejś kobitce z Muranowa?

— Masz taką minę, jakby zagotował ci się mózg.

— Bo trochę się zagotował — przyznałem. To nie była odpowiednia pora na rozważania w tak zawiłej materii. Między drugą a trzecią w nocy należało



spać. Albo ostatecznie uprawiać namiętą miłość. Obecność Iwony uniemożliwiała jedno i drugie. Pozostawała rozmowa. Wolałem jednak, by nie była to rozmowa o mnie: — Dlaczego nasz maszynista jest takim mrukiem?

— Mykoła? On nie jest mrukiem. Po prostu nie zna polskiego. Jest Ukraińcem.

Dwie godziny później, kiedy spotkaliśmy się — niczym trójka bohaterów kiepskiego kryminału — na ciemnej bocznicy kolejowej, przekonałem się, że uwaga o kiepskiej znajomości polszczyzny była nieprecyzyjna. Mykoła czy też Mikołaj — bo tak brzmiała spolszczona wersja jego imienia, której używał na przykład Kazio — dość sprawnie posługiwał się językiem branżowym. Wiedział, co to jest chłodnica, wysokie napięcie czy przedział baterii akumulatorów, a wyrażenie „turbodoładowany silnik wysokoprężny z przepłukiwaniem wzdłużnym” wypowiadał niczym rodowity Polak. Problemy zaczynały się przy luźnej konwersacji. Mykoła zwyczajnie nie brał w niej udziału. Może to była kwestia braków językowych, a może zwyczajne lenistwo. Ale na innych polach z pewnością nie był leniem. Po każdym jego uderzeniu — młotem w układ kołowy — sypały się iskry.

— Po co to robi?

— Sprawdza stabilność obręczy...

Iwona ziewnęła, a potem pociągnęła nosem. Sprawiała wrażenie urażonej — zupełnie jakbym to ja kazał jej siedzieć u siebie do trzeciej i sączyć herbatę. Ja również nie tryskałem humorem. Godzina snu to zdecydowanie za mało.

Pociąg ruszył z Centralnego punktualnie o czwartej czterdzieści pięć. Na szczęście o tej porze nie spotykało się na ogół agresywnych pasażerów. Większość podróżnych była po całonocnej imprezie, więc w wagonach rozbrzmiewało zbiorowe chrapanie. Chętnie bym się do niego przyłączył, ale nie pozwalał na to Tajemniczy Klient, czyli projekt mojego pracodawcy, wdrożony — oficjalnie — w celu sprawdzenia jakości usług, a nieoficjalnie —

żeby napsuć trochę konduktorskiej krwi. Projekt sprowadzał się do regularnych, niezapowiedzianych kontroli przeprowadzanych przez ludzi udających pasażerów. Gdyby taki kontroler złapał mnie na spaniu, moja kariera w PKP skończyłaby się zaraz po tym, jak się zaczęła.

Dopiero w Nasielsku przypomniałem sobie o wałówce. Znalazłem zaciszny kąt i spałaszowałem pyszne kanapki, a potem kawałki szarlotki. Gdy poczułem parcie na pęcherz, wahałem się tylko chwilę. Przeszedłem na przód składu, a potem — uzbrojony w uniwersalny klucz — cofnąłem się na tył, do łazienki.

— Można? — ożywił się jakiś jegomość w kaszkiecie, łypiąc w kierunku toalety przekrwionym z niewyspania okiem.

— Niestety, to tylko kontrola — skłamałem, a potem zamknąłem drzwi i otworzyłem sedes. Pociągiem szarpnęło. Po podłodze potoczyło się z brzękiem jakieś metalowe narzędzie. Nie zwróciłbym na nie większej uwagi, ale gdy uderzyło mnie w nogę, opuściłem wzrok i zobaczyłem coś, co mi się nie spodobało. Natychmiast zapomniałem, po co tu przyszedłem. Schyliłem się i przesunąłem paznokciem po metalowej powierzchni narzędzia. To, co pozostało mi pod paznokciem, na pewno nie było rdzą. Narzędzie było przecież całkiem nowe...

— Możesz przyjść do łazienki w jedyńce?

— Przecież jest zamknięta. — Głos Iwony nawet przez radio sprawiał wrażenie zniekształconego ziewaniem.

— Już nie. Mogłabyś?

Zawarłem w tej prośbie taki ładunek ekspresji, że zjawiła się po kilku sekundach. Zabębniła w drzwi. Bez zbędnego certolenia wciągnąłem ją do środka.

— Co to?

Podąłem jej swoje znalezisko. Przesunęła paznokciem po rdzawym nalocie.

— To chyba nie jest...

— To łycha do zmiany opon — stwierdziłem ze spokojem, którego nie

czułem.

Zważyła ją w dłoniach.

— Ciężka.

— Wystarczająco ciężka.

Gdy dotarło do niej, co kryje się za tymi słowami, błyskawicznie odłożyła łychę na podłogę.

— Czy ten nalot to... krew? — wyjąkała, a ja ponuro pokiwałem głową.

Po raz kolejny tego poranka pomyślałem o Tomku, ale tym razem inaczej. Teraz w moich myślach nie był niewiernym Tomaszem, tylko właścicielem firmy wulkanizacyjnej. Firmy zajmującej się głównie wymianą opon. Dotąd myślałem, że ma kłopoty.

Ale jego kłopoty miały dopiero się zacząć.

## 9.

Poranki Eugeniusza Kossakowskiego, przez przyjaciół zwanego Gienkiem, od kilkunastu tygodni wyglądały bardzo podobnie. Budził się nad ranem z kapciem w ustach, a jego myśli krążyły wokół dwóch namiętności — jedynych, jakie mu zostały. Papierosy i piwko, piwko i papierosy... Kiedyś też palił i popijał, ale wtedy było to dodatkiem. Dziś stanowiło treść jego życia.

Słabnący wzrok zatrzymał się na wskazówkach zegara. Było kilka minut przed szóstą. Nie miał żadnego powodu, by budzić się tak wcześnie, ale wiedział, że już nie zaśnie. Konował z ośrodka zdrowia tłumaczył mu, że to jeden z objawów depresji, ale co on mógł wiedzieć o depresji? Co on mógł wiedzieć o tym czarnym, kudłatym psie — wytworze wyobraźni — który towarzyszył Gienkowi w każdej sekundzie życia. Który był przy nim, milczący, dyskretny, wierny. Który siedział i nie robił nic więcej.

Tylko siedział i... patrzył.

Eugeniusz Kossakowski poczuł, że musi się napić. Przesunął się na przeciwległą krawędź łóżka, znajdując tam wygrzane miejsce po swej żonie, a potem opuścił nogi i — chwiejnie niczym lunatyk — ruszył w stronę kuchni. W kuchni była lodówka, a w niej dwie butelki żywcyka, tak gładkie i chłodne, że miało się ochotę je wycalować.

— Dziękuję, Janeczko.

Zwykle rzadko okazywał takie uczucia swojej ślubnej, ale akurat teraz mógł sobie na to pozwolić. Janina była w pracy, na dworcu. Pracowała wczoraj do późna w nocy i dziś, od wczesnego ranka. Zawsze miała mnóstwo pary, ale ostatnio przechodziła samą siebie.

Otworzył piwo i ugasił pragnienie. Pił tak długo, aż do oczu napłynęły mu łzy rozkoszy. Ostrożnie odstawił butelkę i zapalił pierwszego papierosa, zauważając z niepokojem, że w paczce pozostało jedynie siedem. Miał co

prawda pieniądze, a po drugiej stronie ulicy — dobrze zaopatrzony sklep. Niestety, czarny pies depresji nie pozwalał na samotne spacerować. Kossakowski dobrze pamiętał ostatni atak paniki. Wcale się mocno nie oddalił. Wystarczyło, że wyszedł na podwórko.

Wraz z kolejnym łykiem piwa w serce Eugeniusza wlał się optymizm. Był przecież Kacperek, wspaniały chłopak. Chłopak, którego traktował niemal jak syna. Był pewien, że Kacperek nie odmówi mu małej przysługi. W końcu jechali na jednym wózku. Byli odszczepieńcami. Pożywką dla lokalnych plotkarzy.

— Twoje zdrowie, synku.

Łyknął piwa, odpędzając wyimaginowane szeptaki, które zdawały się złośliwie mu podpowiadać, że w rzeczywistości nie ma syna, tylko córkę, wyrodną cholere, która wyrzekła się własnej matki, a ojca od zawsze miała za prostaka, niewartego nawet spojrzenia. Kolejny łyk sprawił, że obraz córki rozpląnął się niczym dym z papierosa. Niestety, w butelce pokazało się dno. Eugeniusz sięgnął szybko po drugą butelkę, obiecując sobie, że wystarczy mu do ósmej rano. A potem... A potem obudzi Kacperka, który...

Ożeż kurwa mać!

Gdy dotarło do niego, że Kacper pojechał na noc do Warszawy, poczuł się tak, jakby dostał cios w żołądek. O której miał wrócić? O ósmej, dziewiątej, a może później? Jego pamięć nie była już tak sprawna jak dawniej. Zrobiło mu się żal samego siebie. Tak bardzo, że pomiędzy kępkami siwego zarostu popłynęły łzy.

I wtedy rozległ się dzwonek do drzwi.

Nigdy nie mieli wielu gości, a po lecie... po tym koszmarnym lecie wizyty urwały się na dobre. Przez ten czas odwiedzał ich tylko Kacper, dwukrotnie z dziećmi, a raz z ładniutką dziewczyną z grubym, czarnym warkoczem. Co miał oznaczać ten dzwonek, i to o szóstej rano? O szóstej? Zerknął na zegar. Była już ósma. Czas płynął szybciej, niż mu się wydawało, ale czy to coś zmieniało?

O cholera. Przez te dwie godziny wypalił prawie wszystkie papierosy. Został mu tylko jeden, ostatni.

— Kto tam?!

Drzwi wejściowe wyposażone były w łańcuch. Eugeniusz uchylił je na kilka centymetrów. Zapomniał o nałożeniu łańcucha, ale nie było powodów do obaw. Facet, który do niego pukał, sprawiał wrażenie jeszcze bardziej nieśmiałego niż on.

— Ja bardzo... Przepraszam, że tak nachodzę. Nigdy bym sobie na to nie pozwolił, ale...

Facet umilkł i poczerwieniał na twarzy. Wyglądał tak, jakby lada chwila miał dostać ataku apopleksji.

— Co z panem?

— Ja... Ja przepraszam — wyjąkał gość. — To nerwy. Wysłali mnie, a ja... Ja naprawdę nie lubię się narzucać.

Facet był wysoki i potężny, a przy tym miękki jak plastelina. Eugeniusz poczuł do niego sympatię. Problemy z nerwami nie wybierają. Trafiają zarówno małych, jak i dużych.

— Spokojnie. Kto pana wysłał?

Odpowiedź, udzielona tym samym rozedrganym tonem, była zaskakująca:

— Jestem dziennikarzem. Pracuję w lokalnym dodatku do „Dziennika”. W Olsztynie.

Wyobraźnia Kossakowskiego dopuszczała wizję nieradzącego sobie z nerwami urzędnika, sklepikarza czy woźnego. Do cholery, sam był właśnie takim woźnym. Ale sama myśl o niewytrzymującym ciśnieniu dziennikarzu była tak dziwaczna, że w pierwszej chwili zupełnie ją odrzucił. Przecież wszyscy dziennikarze, których znał, byli wścibscy i pozbawieni skrupułów.

— A czego mógłby tu szukać dziennikarz? — Zaśmiał się ochryple, ale zaraz umilkł, bo facet skulił się w sobie. — No, mówże pan, o co chodzi. Przecież nie gryzę.

— Dziękuję. — Mężczyzna uklonił się, po czym wyciągnął drżącą rękę. —

Bardzo pan miły. Nazywam się Olgierd Zaniewski. Jeszcze raz przepraszam, że przeszkadzam. Chodzi o to, że w tym mieszkaniu mieszkał kiedyś podobno...

— Arkanowicz?

Eugeniusz nagle uwierzył, że to nie jest głupi dowcip. Gazety lubiły takie tematy. Chwytny tytuł, krótki artykuł i kilka dużych zdjęć. Z wahaniem potrzęsła jego dłoń. Była gorąca i wilgotna.

— Tak. — Facet powachlował się drugą ręką, w której trzymał... paczkę marlboro. — Jezu, nie chciało mi to przejść przez gardło. Dla pana to chyba nie jest miły temat, co?

— To było dawno. — Kossakowski patrzył chciwie na paczkę papierosów. — Możemy pogadać, czemu nie. Tylko... Nie zgadzam się na żadne zdjęcia.

Był gotów zgodzić się nawet na te cholerne zdjęcia, ale coś za coś. Dziennikarz wyglądał na kompletnego frajera. Miał nadzieję, że da mu w zamian choćby te papierosy, ale facet od razu się wycofał.

— Nie mam aparatu.

Otworzył torbę. Eugeniusz ku swojemu zdziwieniu zobaczył w niej czteropak. Cztery lśniące butelki piwa EB, czyli tak zwanego ebusia.

— Piwo?

— Ojej. To moja tajemnica. Niech pan nie dzwoni do naczelnego. Lubię sobie czasem wypić piwo. To mnie odstresowuje.

Eugeniusz myślał intensywnie. Zapowiadało się przyjemne przedpołudnie. Uznał jednak, że lepiej nie wpuszczać gościa do mieszkania. W gruncie rzeczy niczego o nim nie wiedział.

— Mamy tu w budynku taki stryżek. Można tam spokojnie posiedzieć i popalić. — Znów zerknął na paczkę marlboro, którą dziennikarz wciąż pieścił w dłoni. — Tak więc, jeśli pan jest zainteresowany...

— Oczywiście, że jestem. — Facet miał taką minę, jakby wygrał los na loterii. — Może ma pan po tym Arkanowiczu jakieś pamiątki... rzeczy, które zostały, korespondencję...

Eugeniusz uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Mam manekin, na którym trenował uderzenia.

Rzut oka na uradowaną twarz dziennikarza uzmysłowił mu, że to będzie udany dzień nie tylko dla niego. Olgierd Zaniewski promieniał. Dziennikarze lubili takie makabryczne gadzety.

Piwo Olgierda było tak chłodne, jakby dopiero co wyjął je z lodówki. Eugeniusz rozsiadł się w swoim fotelu i cierpliwie czekał, aż jego kumpel dziennikarz skończy grzebać w starych łachach po Arkanowiczu. Oczywiście rozpoczął od oględzin manekinów, w tym tego najbardziej poobijanego, bez głowy. Był zdumiony jego idealnym stanem. Trudno było uwierzyć, że leżał na tym strychu od niemal trzydziestu lat.

— Czy uderzając młotkiem, trzeba trenować celność?

— Widocznie trzeba. Ja prawie zawsze uderzam się w palec.

— Świetny żart, panie Gienku.

— Jestem Gienek. Po prostu Gienek. Bez pan. Zapamiętasz wreszcie?

Na strychu od dawna nikt nie sprzątał. W powietrzu wirował kurz, lecz Olgierdowi zdawało się to nie przeszkadzać. Był tak zajęty, że zapomniał o swoim papierosie, który dymił porzucony na popielniczce. Eugeniusz wsadził go do ust i mocno się zaciągnął. Amerykański tytoń. Nie można dopuścić, by tak się marnował.

— Nie widziałem tego sukinsyna na oczy — przyznał, otwierając drugie z czterech piw.

Olgierd nawet swojego nie dotknął. I dobrze. Istniała szansa, że zadowolili się jedną butelką, a wtedy Eugeniusz mógłby mieć trzy.

— Nie odwiedzał pan... nie odwiedzałeś wuja, Gienku?

To „Gienku” zabrzmiało po pedalsku. Eugeniusz miał już na końcu języka kąśliwą uwagę, ale się powstrzymał. Facet mógł być ciepły. Był zbyt delikatny.

— Byłem wtedy w wojsku. Byłeś w wojsku?



— Niestety.

— Powinieneś dziękować losowi. Bardzo by cię tam gnoili, ale nieważne. Widzisz, podczas służby zasadniczej od czasu do czasu dostawało się przepustki. Najczęściej dwudziestoczero-, rzadziej czterdziestoośmiogodzinne. Jak człowiek miał te kilka nędznych godzin, to nie marnował ich na odwiedziny u wuja. Jeździłem do swojej Janki, do Olsztyna. A jeśli nie, to do domu. Na Malinowie.

— Gdzie?

— To taka wioska, zaraz pod miastem. Pod Działdowem — dodał, bo facet był zupełnie niezorientowany. — Kiedyś dwie chałupy na krzyż. Święty spokój, koledzy, koleżanki... Niby po co miałbym jeździć do wuja dziwaka?

— A jak do tego Olsztyna, to gdzie?

— Do żeńskiego internatu. Przechodziło się pod okienkiem recepcjonistki, a jak zauważyła, to dziewczyny spuszczały skręcone prześcieradła. To było drugie piętro, ale czego to człowiek nie robił, by sobie podogadzać? Miałem dwadzieścia kilka lat. Wtedy wszystko wydaje się prostsze.

Upił piwa trochę zdziwiony, a trochę zły, że to stare wspomnienie podziałało na niego tak bardzo. Otarł oczy i głośno beknął. To drugie dodało mu animuszu.

— Wujek pewnie opowiadał o swoim gościu, co?

— Rzadko z nim gadałem, ale z tego, co wiem... to tak. Lubił pogadać, powspominać. Może czuł się przez to ważniejszy? Pamiętam, że lubił pokazywać jego pokój. Po śmierci wuja wywaliliśmy większość gratów, a w pokoju zamieszkała nasza córka.

Znów posmutniał. Michalina dostarczyła mu w życiu więcej smutków niż radości.

— Kto wziął te stare meble?

— Nikt. Były w takim stanie, że spaliłem je na działce. Na Malinowie. Uwierz, nie było w nich nic interesującego. Podobnie jak w samym Arkanowiczu. To był taki spokojny, nieco niedorozwinięty typ.

— Skąd wiesz, skoro go nie poznałeś?

— Miałem znajomych. To małe miasto. Jeśli jesteś towarzyski, to znasz w zasadzie wszystkich. Wszystkich, którzy się liczą. Ze szkoły, z podwórka, z klubu... Czy mogę trzecie piwo?

— Jasne, Gienku. Częstuj się. I pomyśl, kto mógłby mi o nim opowiedzieć?

— O Arkanowiczu? Może prezes Głazewski. Arkanowicz przesiadywał tam całymi dniami i zaczepiał dziewczyny. Mówiło się, że chodzi tam na łowy.

— Jakie dziewczyny?

Eugeniusz podrapał się po głowie. To straszne, co alkohol robił z jego pamięcią.

— Musisz pogadać z Kacprem.

— Kim jest Kacper?

— Moim przyjacielem. Wynajmuje ode mnie pokój. On też bardzo interesuje się Arkanowiczem. Wczoraj... Albo przedwczoraj pokazywałem mu to samo, co tobie. Te manekiny, stare ciuchy...

Eugeniusz urwał i przełknął ślinę. Olgierd zgubił gdzieś swoje miękkie ruchy, a jego głos nie był już głosem znerwicowanego frajera.

— Kim jest ten Kacper? — spytał, zaciskając pięści.

Każdą wielkości grejpfruta.

— Nauczycielem w mojej szkole. Mojej starej szkole. Zaczekaj.

Przed oczami pojawiły mu się czarne mroczki. Przez chwilę walczył, by nie zemdleć. Uspokoił go dotyk chłodnego szkła.

— Przepraszam. — Olgierd znów był miękki. Trudno było uwierzyć, że na moment stał się taki... inny. — Mam problem z kontrolą emocji. Myślałem, że to ktoś, kto może mi pomóc. Ktoś, kto go znał.

Kilka głębokich wdechów i kolejny łyk piwa pozwoliły Eugeniuszowi odzyskać panowanie. Nad sobą, ale także nad rozmową.

— Jak chcesz pogadać z kimś, kto znał Arkanowicza, to idź na kolej. Tam wciąż pracują ludzie, którzy z nim jeździli.

— Zapoznasz mnie?

Przez krótką chwilę Eugeniusz widział oczami wyobraźni kolejny czteropak, ale musiał przyznać sam przed sobą, że nie jest gotowy, by wyjść na zewnątrz. Nie z nim. Przed chwilą miał przedsmak tego, co mogło go czekać. Atak paniki w ciągu sekundy zmieniał go w drżącą galarete.

— Nie chodzę na stację.

Olgierd usiadł naprzeciwko na starym stołku. Spojrzenie jego jasnych oczu stało się hipnotyzujące.

— Dlaczego? — spytał, wyciągając w stronę Gienka papierosy.

— Bo tak — zachnął się Gienek. Nie miał ochoty o tym rozmawiać. A może miał? — Zwróciłem uwagę niewłaściwym ludziom. Oberwałem. Tak mocno, że po powrocie Janka zaprowadziła mnie na pogotowie.

Historia może i była banalna, ale wypowiedzenie tych kilkunastu słów kosztowało go mnóstwo siły. Miał ochotę krzyknąć, a Olgierd, ta ostatnia fujara... To dziwne, ale wyglądało na to, że go rozumie.

— Trudno jest pogodzić się z takim zdarzeniem. Zwłaszcza wtedy, gdy człowiek uważa się za niezniszczalnego. Prawda?

Gienek powoli pokiwał głową. Psycholog z poradni używał podobnych słów, ale zawarta w nich treść wydawała się płytka.

— Byłem woźnym.

— Wzbudzał pan szacunek. Respekt. A może nawet lęk. A ci w pociągu potraktowali pana jak zwykłego pętaka.

— Uderzyli mnie. Gdy upadłem, przycisnęli mnie do ziemi. Ciągnęli za uszy. Jeden z nich wziął gaśnicę i udawał, że chce mi ją wetknąć w dupę.

— Dokonali gwałtu. Jeśli nie fizycznego, to na pana psychice. Ktoś to widział?

Eugeniusz nie był w stanie odpowiedzieć. W końcu pokręcił głową.

— Na szczęście nie — wyszeptał.

— Jest pan pewien?

— Jestem... Gienek — wykrztusił. — Nie żaden pan.

— Nieprawda. Nie jest pan jakimś Gienkiem, tylko panem Eugeniuszem.

Szanowanym działdowianinem. I żaden bydlak tego nie zmieni.

— Łatwo ci mówić. Ja już wisiałem...

— Cicho. — Dziennikarz przyłożył palec do ust. — Po co wracać do tego, co nieprzyjemne?

— Ja mogę nie chcieć. Ale ludzie... Oni nigdy nie dadzą mi spokoju.

— To ich problem, a nie pana. Pan ma szczęście.

— Ja? Szczęście?

— Nawet pan nie wie, jak wielkie. Ma pan wokół siebie ludzi, którzy panu pomogą. Którzy wyciągną pana z tego bagna, w które pan wpadł. Arkanowicz nie miał tyle szczęścia...

Eugeniusz miał wrażenie, że to mu się śni. Wzmianka o Arkanowiczu kompletnie go rozstroiła.

— O czym ty mówisz, człowieku?

Ale Olgierd przestał go słuchać. Podszedł do uszkodzonego manekina i jeszcze raz uważnie go obejrzał. Szczególną uwagę poświęcił — nie wiedzieć czemu — jego lewej stopie.

— Ty nie jesteś dziennikarzem.

Facet pokręcił głową. A może to było tylko złudzenie? Alkohol szumiał Eugeniuszowi w głowie. Nie pamiętał, kiedy ostatnio wlał w siebie aż tak dużo. Zwykle wystarczały mu trzy, góra cztery butelki, i to na cały dzień. Ile wypił od rana?

Pięć? Sześć?

Na pewno za dużo.

— Kim ty jesteś, człowieku?

— Twoim przyjacielem. Pomogę ci. Gdy to wszystko się skończy, przyjadę i postawię cię na nogi.

— Co się skończy?

Odpowiedź nie nadeszła. Eugeniusz przymknął oczy, a gdy je otworzył, tajemniczego Olgierda Zaniewskiego już nie było. Usiłował wstać, ale miał zbyt ciężką głowę. Umościł się w fotelu i zapadł w sen — ciężki, pijacki sen.

Ocknął się kilka godzin później, nie mając pojęcia, gdzie się znajduje. Powoli wyodrębnił znajome kształty, a gdy panika ustąpiła, skupił wzrok na manekinie. Stał tam, gdzie zostawił go Zaniewski. A może stał tam już przedtem, a Zaniewski był jedynie częścią jego snu?

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej paczkę marlboro. Była realna, nie wyśniona. Zapalił jednego, a potem — na chwiejnych nogach — podszedł do manekina. Po drodze odnotował, że ma przemoczone spodnie, ale przeszedł nad tym do porządku. Nie pierwszy i nie ostatni raz. Przez chwilę dumał nad facetem, który grał psychotyka, by zdobyć jego zaufanie i wyciągnąć wszystkie, nawet najintymniejsze sekrety. A potem przyklęknął.

Do lewej stopy manekina, tej, której przyglądał się Zaniewski, była przytwierdzona tabliczka. Znajdowała się na niej nazwa firmy i telefon do działu handlowego. A na samym dole — rok produkcji. Eugeniusz Kossakowski przetarł oczy, nie dowierzając temu, co zobaczył.

Manekin wyprodukowano w dwa tysiące siódmym roku. A więc czternaście lat po tym, jak Arkanowicz trafił do aresztu. Eugeniusz podrapał się po głowie. Alkohol wypalił mu w mózgu dziurę, ale nie aż tak dużą, by tego nie zauważył.

Coś było bardzo nie tak.

# 10.

Bufet był w formie szwedzkiego stołu, ale o siódmej rano Olga nie miała wilczego apetytu. Wmusiła w siebie dwa jajka z majonezem i trochę sałatki jarzynowej, popiła wszystko kawą i właśnie zastanawiała się, czy wypada robić kanapki, gdy w pustej sali jadalnej rozległ się dzwonek jej telefonu.

— Cześć, szefowo. Czy to prawda, że nigdy nie sypiasz?

Okazało się, że Agata wciąż siedzi w Działdowie. Oldze przemknęło przez głowę, że uwiła tam sobie przytulne gniazdko. Sama była zachwycona życiem na walizkach. Wczoraj spała w Olsztynie, a dziś — nieco na północ, w Lidzbarku. Swoje zamiłowanie do włóczęgi odziedziczyła po matce. Obie, niczym nomadki, najlepiej czuły się w drodze.

— Masz coś nowego?

Olga przewróciła oczami.

— Od wczorajszego wieczoru? Tylko nowego partnera.

— Wstał już?

— Dawid? — spytała, by zyskać na czasie.

Policjant z Archiwum X dołączył do niej o dwudziestej drugiej i od razu poszedł spać. Nie miała z nim kontaktu. Nie wiedziała nawet, czy żyje.

— Jak wstanie, to opowiedz mu o swoich ustaleniach z Olsztyna. Od czasu do czasu warto, żeby ktoś spojrział na sprawę świeżym okiem.

— Czyli sprawa wciąż jest otwarta?

Agata nie podzielała jej entuzjazmu. Olga mogła w niej czytać jak w otwartej księdze. Szefowa marzyła tylko o jednym — by ująć zabójcę i iść na zasłużony urlop.

— Jeśli pytasz o nadkomisarza Konrada Wiącka, to tak. Sprawa jest otwarta, a on — niewinny.

— Motyw zabójstw z zazdrości odpada?

— Raczej tak. Chyba że zazdrośnikiem był jeszcze ktoś. Nie tylko mąż.

Olga miała cały wieczór, by dobrze to przemyśleć. Teraz uzupełniała jedynie brakujące elementy. Helena Wiącek zeznała, że знаła zarówno Wasyla Zajcewa, jak i Marcela Zielińskiego, a zatem dwie spośród trzech cywilnych ofiar seryjnego zabójcy. No i oczywiście Jacka Twardygrosza, czwartą ofiarę. Było zatem prawdopodobne, że odgrywała w tej układance jakąś rolę. Tylko jaką? Z pewnością nie była zabójczynią — gdy czaszka Marcela Zielińskiego rozpryskiwała się na kawałki gdzieś między Mławą a Ciechanowem, Helena Wiącek przebywała w Warszawie, w siedzibie Kolei Mazowieckich przy Lubelskiej, na okresowym szkoleniu. Widziało ją kilkadziesiąt osób, a jej zgrabna sylwetka nagrała się na taśmach umieszczonych w budynku kamer — w takiej rozdzielczości, że jakakolwiek pomyłka była wykluczona. Nie mogła też zabić Jacka Twardygrosza. Gdy on ginął w wagonie ekspresu „Kormoran”, ona była w Działdowie — w kolejce do placówki nocnej pomocy lekarskiej. Z córką, którą bolało ucho.

Do kategorii głównych podejrzanych szybko awansował jej mąż. Konrad Wiącek, policjant z komendy powiatowej, a jednocześnie furiat i zazdrośnik.

— Mąż ma alibi, tak?

— Niepodważalne. Tamtego dnia, gdy zginął Zieliński, pełnił służbę. Podobnie jak w nocy, gdy umierał ten kolejarz.

Olga przytrzymała komórkę między uchem a ramieniem i dołała sobie soku pomarańczowego. Nie musiała się obawiać, że zostanie podsłuchana. Oprócz niej na parterze przebywał jedynie zaspany pracownik hotelu, który w tym momencie prowadził inną rozmowę telefoniczną, z recepcji.

— A czy w życiu Heleny Wiącek jest ktoś jeszcze, kto mógłby być o nią zazdrosny?

— Być może — odpowiedziała tajemniczo Agata. — Helena ma w sobie to coś, co wzbudza w facetach emocje. Nawet te skrajne. O tych cichych wielbicielach wspominała zresztą ta czarnulka, jej koleżanka z pracy...

— Iwona Ciechańska.

— No właśnie. Niestety... Gdy zapytaliśmy o nich Helenę, zaczęła cierpieć na amnezję. Słuchając jej, można by pomyśleć, że jedynym facetem, z którym rozmawia, jest jej mąż.

Olga nabiła na widelec jeszcze jedną połówkę jajka.

— Kryje kogoś?

— Jest taka możliwość, ale ja sędzę, że kryje siebie.

Jajko zatrzymało się w połowie drogi między talerzem a ustami.

— W jakim sensie?

— Helena Wiącek boi się męża. Wie, że prędzej czy później, jako policjant, będzie miał możliwość zapoznać się z protokołami zeznań. Twierdzi, że w jej życiu nie ma innego mężczyzny. Podkreśla to w co drugim zdaniu, tak stanowczo, że jest mi jej żal.

— To pogadaj z nią nieoficjalnie.

Z Działdowa dobiegło niecierpliwie westchnienie.

— Myślisz, że nie próbowałam? Ale to żona policjanta. Wie, jak to działa. Wie, że z każdej takiej nieoficjalnej rozmowy sporządzą notatkę, którą potem przeczyta jej mąż. Najśmieszniejsze w tym wszystkim jest to, że ona go kocha.

— Helena — swojego męża?

— I to na zabój. Kiedy dotarło do niej, że go podejrzewamy, niewiele brakowało, a odjechałaby na zawał. Dlatego osobiście nie wierzę, by w jej stosunkach z innymi mężczyznami chodziło o coś więcej niż flirt.

— Czasem drugiej stronie to wystarcza.

Olga cofnęła się pamięcią do jednej ze spraw ze Lwowa, a potem do następnej. W obu wypadkach zabójcą był zazdrosny przyjaciel, którego z obiektem zazdrości łączyły uczucia wyłącznie platoniczne. W obu sprawach okazało się, że zabójca nie jest zdolny do miłości w ujęciu fizycznym.

Agata prawidłowo odczytała jej enigmatyczną uwagę.

— Chcesz zidentyfikować wszystkich pasażerów impotentów? Powodzenia. Spróbuj przygotować ankietę...



Ale myśli Olgi pomknęły w zupełnie innym kierunku. Była tak skupiona, że nie wyczuła sarkazmu.

— Jaką ankietę? Myślę o jej mężu... Skoro tak go kocha, to gdybym była świrem-zazdrośnikiem, nie zawracałabym sobie głowy przypadkowymi fagasami z pociągu, tylko w pierwszej kolejności załatwiłabym...

— Jej męża? — W beznamiętnym dotąd głosie Agaty pojawiły się nuty zaciekawienia. — Tak, to dość logiczne. Zapominasz tylko, że jej mąż jest policjantem. Jakby przyszło co do czego, umiałby rozpoznać zagrożenie i się obronić...

— Nie żartuj. Ofiarami są kryminaliści. O nich można by powiedzieć to samo.

— No nie wiem...

Agata przejawiała nieuzasadnione zaufanie do wyszkolenia kolegów w mundurze. Olga, świeżo po szkoleniu podstawowym, miała na ten temat swoje zdanie, ale postanowiła go nie wypowiadać. Chociaż znała Agatę zaledwie od kilku dni, wiedziała już, że nieroztropne było przekraczanie wyznaczonych przez nią granic.

— A co z de Wayherem? — spytała, wygrzebując z zakamarków pamięci oryginalne nazwisko ofiary z Pomiechówka.

— Helena twierdzi, że nie wie, o kogo chodzi. Nie rozpoznała go na zdjęciu, ale to jeszcze żaden dowód. Równie dobrze może ściemniać, bojąc się reakcji męża.

— Tak czy inaczej, dziewczyna ma specyficzny gust...

Olga urwała, chcąc wyodrębnić ulotną myśl, która czaiła się gdzieś na granicach jej świadomości. Niestety myśl umknęła.

— Niektóre kobiety nie oczekują od mężczyzn uniwersyteckiego wykształcenia.

— Ani manier. — Bojko uśmiechnęła się do wspomnień. — Znałam kiedyś taką, która umawiała się tylko ze skończonymi prostytutkami i łajdakami. Mówiła, że to ją kręci... — urwała, bo udało jej się wreszcie pochwycić

pierzchliwą myśl. Pochwycona, nie wydała jej się szczególnie błyskotliwa. — Jeśli założylibyśmy zazdrość, to trzeba odrzucić hipotezę o naśladowcy Arkanowicza. To znaczy...

Nie była zadowolona ze sposobu, w jaki to sformułowała, ale Agata rozumiała, że chodzi jej nie tyle o naśladowcę Arkanowicza, ile o człowieka, który przed laty zamordował dwie ostatnie ofiary w sprawie ekspresu „Świątowit”.

— Teraz naśladowca musiałby mieć co najmniej pięćdziesiątkę. Jesteś jeszcze młoda. Nie wiesz, do czego potrafią być zdolni faceci w takim wieku, gdy spotkają tę właściwą...

Olga chciała zaprotestować. Chodziło jej o coś zupełnie innego — sytuacja, w której zabójca sprzed dwudziestu ośmiu lat zakochałby się akurat w Helenie i z tego powodu powrócił do swej krwawej działalności, wydawała jej się mało realna. Ale śmiech po drugiej stronie uświadomił jej, że Agata żartuje.

— Uznajmy w takim razie, że mężczyźni nie mają wieku — powiedziała, udając rozbawienie. Jej poczucie humoru zwykle budziło się dopiero po śniadaniu. — W takiej sytuacji idealnym kandydatem w teorii o powrocie naśladowcy byłby pan Olgierd Zaniewski.

— Pan, który przedstawia się jako Olgierd Zaniewski — uściśliła Agata. — No właśnie, ten facet nie daje mi spokoju. Właściwie to dzwonię w jego sprawie...

To właśnie Zaniewski był powodem, dla którego znaleźli się tutaj, w Lidzbarku. W sprawie, obok Olgierda, przechodził jeszcze inny Zaniewski. Florian, kolejarz, którego określano w gazetach jako ostatnią ofiarę Arkanowicza. Olgierd twierdził, że jest jego wnukiem. Był tylko jeden problem. Nikt taki nie istniał.

— Tak? — zaniepokoiła się Olga.

Ostatnią rzeczą, jaką chciałyby usłyszeć, było to, że mężczyzna, który przedstawiał się jako Olgierd Zaniewski i posługiwał telefonem zarejestrowanym na Dariusza Arkanowicza, został ujęty i właśnie przewożono

go do prokuratury w Warszawie. Agata miała rację: była jeszcze młoda i marzyła o tym, by się wykazać.

— Pan Zaniewski objawił się ponownie. Tym razem w okolicach Świnoujścia. Czy zdajesz sobie sprawę, co to oznacza?

Olga doskonale wiedziała, co to oznacza, ale nie mogła tego zaakcentować tak, jak by chciała. Do sali jadalnej wkroczył drugi tego dnia gość — młody mężczyzna w okularach, za którymi skrywał zaspane oczy. Nie wyglądał na polującego na jej tajemnice dziennikarza śledczego, ale i tak ściszyła głos, przestając na personaliach.

— Chodzi o Marka Bosackiego?

Agata potwierdziła. Marek Bosacki był przedostatnią ofiarą przypisywaną Arkanowiczowi. Pracownikiem Warsu, zamordowanym wcale nie w pociągu — jak pozostałe ofiary — tylko na plaży, w Świnoujściu. Z perspektywy Olgi najbardziej interesującym elementem jego biografii był ten Wars. Ale Agata, chociaż znała wyniki rozmów, które przeprowadzili wraz z Maćkiem z pracownikami technikum gastronomicznego w Olsztynie, nie wspomniała o Warsie. W tej chwili najważniejszy był dla niej Olgierd Zaniewski.

— Skontaktował się z synem Bosackiego, niejakim Jakubem. Ten Jakub jest wędkarzem, a może rybakiem... W każdym razie wypływa na połowy, ale mniejsza o to. Z naszego punktu widzenia najistotniejsze jest to, że to ptasi mózdzek. Olgierd Zaniewski nagadał mu bzdur o jakichś brytyjskich lotnikach i o spadku. Wszystko po to, by wyciągnąć od niego informacje o okolicznościach śmierci ojca.

— I jakie były te okoliczności?

— Jakub Bosacki nie wie nic więcej niż my z akt śledztwa. Miał wtedy kilka lat. Ale niezależnie od tego działalność szanownego pana Olgierda zaczyna być irytująca.

— Może to dziennikarz?

— Wątpię. Dziennikarze nie pracują w taki sposób. Po prostu mówią, że są dziennikarzami. Zaniewski zachowuje się jak przykrywkowiec, i to

przykrywkwowiec amator, bez spójnej legendy i pokrycia w papierach. Jakbym miała zgadywać, powiedziałybym, że to wariat.

Gość w okularach nałożył sobie kopiastą porcję jajecznicy i z nieśmiałym uśmiechem na ustach skierował się do stolika Olgi. Miał niewielki wybór, bo sala, podobnie jak hotel, była kameralna, ale gdy Olga posłała mu spojrzenie — z gatunku „uwaga! gryzę” — zmienił marszrutę i usiadł przy okienku, przez które zwracano brudne naczynia.

— Udało się go znaleźć na nagraniach monitoringu?

— Tylko niewyraźne ujęcia. Potwierdziliśmy, że facet ma długie włosy. I nic poza tym. A jeśli już mowa o monitoringu, to mieliśmy w nocy zabawną sytuację na Centralnym. Z nocnego pociągu z Działdowa wyszedł gość, a za nim drugi, który go śledził. I w ogóle się z tym nie krył — chował się za filarami, filował zza zakrętów korytarza... Miał ze sobą torbę, w której mógł trzymać nawet największy młotek. Twoi koledzy od razu zadzwonili po antyterrorystów i próbowali go zatrzymać. Tak się przy tym czaili, że w pierwszej chwili im zwiął.

— Współczuję. Rozumiem, że facet nie miał młotka?

— Okazało się, że to kolejarz. Szedł za tym drugim, bo podejrzewał, że koleś zdradza jego byłą żonę.

— Słucham?

— Wiem, jak to brzmi. Ale kiedy się w to zagłębić, ma to nawet sens. A nawet gdyby nie miało, to facet jest niewinny. To ten Słubicki, który dopiero co wrócił z platformy wiertniczej...

— Ten przyjaciel Heleny? — W głowie Olgi zapaliła się lampka ostrzegawcza. Po następnych słowach Agaty zaświeciła na czerwono. — Najbliższy?

— Najbliższy i jedyny. A w każdym razie jedyny, do którego się przyznaje. Pewnie ma to związek z tym, że Słubicki jest też najlepszym przyjacielem jej męża...

— I wrócił z zagranicy? A nie ma czasem długich włosów?

— Długich nie ma. Ma dziwne. Nie, to na pewno nie jest nasz Zaniewski. Nic z tego, nie kombinuj. Robota i tak cię nie minie.

Olga udała rozczarowanie, ale tak naprawdę cieszyła się na tę robotę bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Tym razem nie miała ze sobą niańki w postaci Maćka, tylko Dawida, który sprawiał takie wrażenie, jakby to jego trzeba było prowadzić za rękę.

— Wykop tego swojego partnera z łóżka i ruszajcie. — Słowa Agaty zabrzmiały jak rozkaz, a przynajmniej Bojko tak je zinterpretowała. Miała dość bezczynności. Od siedzenia w jadalni bolał ją tyłek, a od rozmowy — ucho. Chciała się odmeldować, ale Agata miała dla niej jeszcze jedną niespodziankę: — Ten rybak ze Świnoujścia wspomniał, że Zaniewski nie był sam. Podobno zaraz po nim pojawiła się u niego kobieta. Odniósł wrażenie, że działają razem. Nie pytaj, na jakiej podstawie.

— I co z nią?

— Bosacki zauważył, że była niepełnosprawna. Nie miała ręki. Zwrócił uwagę na to i na coś jeszcze. Na akcent.

— Nietypowy? — spytała Olga.

Domyślała się, co zaraz usłyszy. I się nie zawiodła.

— Rybak twierdzi, że mówiła jak... cytuję: „banderowiec”.

Olga skrzywiła się na to stygmatyzujące określenie. Problem ze Stepanem Banderą był taki, że dla jednych był bohaterem, a dla innych zbrodniarzem.

— Jest Ukrainką?

— Facet nie jest lingwistą. Ale możemy założyć, że kobieta pochodzi ze Wschodu.

Główną atrakcją turystyczną Lidzbarka Warmińskiego było średniowieczne zamczysko, niemniej swój urok miały także wąskie uliczki starego miasta. Miałyby większy, gdyby pośród zgrabnych zabytkowych kamieniczek o spadzistych dachach pokrytych czerwoną dachówką nie wyrastały co jakiś

czas betonowe klocki z epoki realnego socjalizmu, szpecące większość miasteczek w tej części świata — od Łaby aż po Krym.

— Osiemdziesiąt procent miejskiej zabudowy Lidzbarka zostało zburzone podczas styczniowej ofensywy Armii Czerwonej — poinformował Dawid.

Wciąż sprawiał wrażenie nie w pełni obudzonego, co było tym bardziej niepokojące, że prowadził. Olga zdążyła zapomnieć, jak marnym jest kierowcą.

— Na pewno nie chcesz chociaż kawy?

— Na pewno. — Przyłożył dłoń do ust takim gestem, jakby zrobiło mu się niedobrze. — Poza domem kiepsko jadam — dodał, a potem przyhamował tak ostro, że Olga mocniej ścisnęła uchwyt na krawędzi sufitu.

Za tymi słowami stały również czyny. Gdy obudziła go pukaniem — a potem waleniem — w drzwi pokoju, Dawid podziękował za śniadanie i w dziesięć minut był gotowy. Zadanie ułatwiał fakt, że nie musiał się golić. Twarz miał gładką jak pupa niemowlaka.

— Zaparkuj — poradziła, wskazując wolne miejsce w zatoczce.

Po drodze nie widziała wielu miejsc parkingowych, a lidzbarskie stare miasto nie było aż tak rozległe, by wykluczyć poruszanie się piechotą.

— Za wąsko — stwierdził, chociaż zdaniem Olgi mogłaby tam zaparkować nawet ciężarówka.

Starając się nie okazywać zniecierpliwienia, odczekała, aż skręci z podporządkowanej.

— To może tutaj?

Składał się do tego parkowania na trzy razy, ale misja zakończyła się sukcesem. Za plecami mieli teraz fragment Zamku, a przed sobą odkryty kawałek terenu otoczony kamienicami — tymi starymi, a także tymi rodem z Peerelu. Plac Wolności. Florian Zaniewski i jego żona, Katarzyna, mieszkali kilkadziesiąt metrów stąd, w jednym z peerelowskich koszmarków.

— Idziesz?

— Chwileczkę. Sprawdzę, co słychać u Arkanowicza.

Przyjechał tu prosto z ośrodka dla bestii. Spędził tam okrągłą dobę, usiłując przebić się przez mur milczenia, niestety bezskutecznie. Arkanowicz po ataku wściekłości, podczas którego wyznał im, że to nie on zabił Bosackiego i Zaniewskiego, nie wypowiedział już ani jednego słowa. Odmawiał też przyjmowania pokarmów — jego zawziętość w tym zakresie była tak wielka, że personel rozważał dokarmianie dożyłne. Nie byłby to zresztą pierwszy raz. Arkanowicz bywał już humorzasty. Prawdę mówiąc, był to u niego stan niemal permanentny.

— Bez zmian — poinformował Dawid, chowając telefon.

— A ta jego żona... Ona nie może pomóc?

— Pani Sabina robiła, co w jej mocy. Miała do siebie mnóstwo żalu.

— O to, że zdecydowała się za niego wyjść?

Pokręcił głową. Nie dostrzegłby sarkazmu nawet wtedy, gdyby się zmaterializował i palnął go w nos.

— O to, że namówiła go na to spotkanie. I na wyznanie.

— Da mu dużego buziaka i wszystko będzie dobrze.

— Chyba nie. Spakowała się i wyjechała. Pytałem, dokąd się wybiera, ale nie chciała powiedzieć.

W tej sprawie było zbyt dużo niewiadomych, by dopuszczać do powstania kolejnej. Na szczęście Dawid myślał podobnie. Zgłosił wyjazd Sabiny Arkanowicz przełożonym w komendzie stołecznej. Aktualnie trwało jej namierzanie.

Budynek, w którym mieszkali państwo Zaniewscy, chociaż młodszy od zabytkowych kamienic w sąsiedztwie, nosił ślady intensywnej eksploatacji. Tynk był spękany, a mur w okolicach nieszczelnych rynien pokrywała warstwa zielonkawego nalotu.

— Mieszkali tutaj od osiemdziesiątego pierwszego roku. Przeprowadzili się z lokalu przy ulicy Kopernika. Zamiana lokatorska...

— Nieźle. — Olga naprawdę była pod wrażeniem. Facet miał umysł jak

komputer. — Powiedz jeszcze, kto odziedziczył ich obecne mieszkanie po śmierci pani Zaniewskiej.

Katarzyna Zaniewska zmarła w lipcu tego roku, w wieku osiemdziesięciu ośmiu lat. Akurat pod tym względem legenda faceta, który podawał się za jej wnuka, była spójna. Podczas spotkania w Stacji Muzeum wspominał o niedawnej śmierci babci.

— Postępowanie spadkowe jest w toku. Nie ma danych o uprawnionych do dziedziczenia, więc spadkobiercą będzie Skarb Państwa. Ale mieszkanie, które zajmowała Katarzyna Zaniewska, nie wchodzi w skład masy spadkowej. Jest komunalne. Urząd miasta skierował już w jej miejsce kolejnego najemcę.

Olga, która mieszkała najpierw we Lwowie, a potem w Warszawie, doskonale wiedziała, czym jest mieszkanie komunalne. A także jakie uprawnienia przysługują jego lokatorom w wypadku braku zawirowań w kwestiach własnościowych.

— Nie mogli go wykupić, z bonifikatą? Przecież tutaj nie obowiązywał dekret Bieruta.

— A po co mieli je wykupywać? Dla Skarbu Państwa?

Przyznała mu rację. Jeśli Zaniewscy nie mieli potomstwa, to gromadzenie majątku — także nieruchomości — miało się z celem. Kim w takim razie był tajemniczy wnuczek?

— No to zacznijmy od nowego najemcy — zdecydowała, kierując się w stronę pierwszej z trzech klatek schodowych. Idziesz?

Ruszył za nią, ale zrobił to niechętnie. Olga rozgryzła go już wcześniej, podczas spotkania z Arkanowiczem. Dawid był świetnym analitykiem, ale kiedy trzeba było rozmawiać z ludźmi, natychmiast tracił rezon. Na takim Dworcu Centralnym nie wytrzymałby nawet jednego dnia. Cóż... coś za coś.

Nie było domofonu. Lokal numer siedem znajdował się na trzecim piętrze, po lewej stronie. Na wycieracze stały podarte męskie adidasy, z którymi kontrastował intensywny zapach perfum. Bojko zapukała, najpierw delikatnie, a po chwili mocniej. W nagrodę rozległ się dźwięk zwalnianej zasuw.



Otworzył właściciel butów, zarośnięty facet o zmierzwionych włosach, w brudnym podkoszulku.

— O co chodzi?

Olga pokazała legitymację, a potem — po raz nie wiadomo który — przekonała się, że nie wolno ulegać pozorom. Facet sięgnął do kieszeni i wyjął z niej taką samą legitymację. Był funkcjonariuszem miejscowej komendy — aktualnie po nocnej zmianie. Przez dłuższą chwilę patrzył na nich nieufnie, a jego nozdrza poruszały się w taki sposób, jakby ich obwąchiwał. Jak prawdziwy pies. Olga od razu poczuła do niego sympatię. Wolała szczerzy dystans niż fałszywą uprzejmość.

— Dają wam mieszkania komunalne?

— To mieszkanie partnerki. Spełniła kryteria, odczekała swoje w kolejce... Naprawdę nie ma w tym nic kontrowersyjnego. Dlaczego Warszawa interesuje się mieszkaniem w Lidzbarku?

Gdy wyjaśniła, że nie interesują się mieszkaniem, tylko byłymi lokatorami, jego nastawienie zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni. Zaprosił ich do dużego pokoju, wyniósł kołdrę, a potem zniknął w kuchni, by zaparzyć herbatę. Pod jedną ze ścian wciąż stały nierozpakowane kartony.

— Dopiero się wprowadzamy — wyjaśnił, stawiając na stole pudełko ptasiego mleczka.

Olga, która je uwielbiała, nie czekała na herbatę.

— Czy była lokatorka miała jakąś rodzinę? — spytała, odrywając zębami pasek czekolady.

Nie spodziewała się jednoznacznej odpowiedzi. W końcu facet trafił tu już po tym, jak zmarła. Okazało się jednak, że znał ją bardzo dobrze. Był dzielnicowym.

— Krewni? — Też sięgnął po ptasie mleczko. — O nikim takim nie słyszałem. Nikt się nią nie interesował. Była bezdzietną wdową.

— Jacyś znajomi? Kontakty?

Wzruszył ramionami.

— Przychodziła do niej pani z ośrodka pomocy społecznej, czasem pomagała sąsiadka z dołu. Pod koniec życia ta pomoc była już niezbędna. Kiedyś zapomniała zakręcić gaz. Niewiele zabrakło, by posłała w kosmos całą kamienicę... Pewnie mi nie powiecie, o co chodzi?

— A nie domyślasz się?

Rozłożył ręce.

— To była zwyczajna kobieta. Biedna i samotna.

— A jej mąż?

— Zmarł wiele lat temu. Był kolejajarzem. Moja Basia znalazła w kredensie jakieś stare odznaczenia, dyplomy...

— Gdzie to teraz jest?

— Nie mam pojęcia. — Popatrzył bezradnie. — Basia powinna niedługo wrócić z kościoła, ale jeśli miałbym stawiać, to postawiłbym na to, że wszystko wyrzuciła. Nie chodzi wam o staruszkę, tylko o tego kolejarza, tak?

Jego zdziwienie uświadomiło Oldze, jak bardzo cofali się w przeszłość. Policjant nie miał pojęcia o Arkanowiczu i jego ofiarach. Zabójstwo Zaniewskiego na pewno było sensacją, którą żyło całe miasto. Ale kiedy? Prawie trzydzieści lat temu. Dziś nikt tego nie pamiętał. A w każdym razie — nikt młody.

— Ta sąsiadka, która przychodziła pomagać Zaniewskiej... W jakim jest wieku?

— Była chyba jeszcze starsza od niej. Ale bardziej na chodzie.

Olgę zaniepokoił ten czas przeszły, jednak okazało się, że sąsiadka żyła i miała się dobrze. Bojko zgarnęła jeszcze dwa ptasie mleczka i zapowiedziała, że wróci, by pogadać z żoną o znaleziskach z kredensu, po czym — ciągnąc za sobą bezwolnego niczym manekin Dawida — zeszła piętro niżej, by porozmawiać ze staruszką.

Pani Aldona rzeczywiście była bardzo stara. Może nie aż tak, by uznać jej imię za pamiątkę czasów, gdy pobliska Żmudź trafiła pod wpływy litewskie, ale — odkładając żarty na bok — Olga nie spotkała jeszcze nikogo, kto

wyglądały tak jak ona. Faktura jej skóry przywodziła na myśl wysuszoną śliwkę, a dłonie zdawały składać się wyłącznie z kości, żył i plam wątrobowych. Oglądając policyjną legitymację, zdjęła ciemne okulary. Wokół oczu, niczym kobra, miała czerwone obwódki. Błękit tęczy był tak jasny, że wyglądały na wyblakłe.

— Nie widzę — poskarżyła się, oddając legitymację. Przez chwilę wpatrywała się w twarz Olgi, a potem dotknęła jej palcami. — Jesteś taka młoda.

Uczyniła gest, jakby chciała również dotknąć twarzy Dawida, ale on cofnął się o krok z przerażoną miną. W przeciwieństwie do niego Olga nie czuła wstrętu. Pani Aldona wydała jej się miłą babcią. Miłą, ale to nie znaczy, że naiwną. Wciąż się wahała, czy wpuścić ich za próg.

— Proszę zadzwonić na tutejszą komendę. Skontaktują się z Warszawą i potwierdzą naszą tożsamość.

— Chcecie rozmawiać o Kasi Zaniewskiej?

— Przede wszystkim o Florianie.

Imię zmarłego przed laty sąsiada podziałało jak klucz do sezamu. Staruszka przestała tarasować drzwi. Odwróciła się i bardzo powoli ruszyła w głąb mieszkania. Jej kapcie w kontakcie z wyfroterowaną podłogą wydawały odgłos szurania.

— Wejdźcie. Mam ciasteczka.

Mieszkanie było bliźniaczym odbiciem tego powyżej, ale w odróżnieniu od towarzyszącego przeprowadzce bałaganu wewnątrz salonu, do którego ich wprowadziła, było sterylne czyste. Umeblowanie sprawiało wrażenie, jakby przeniesiono je z innej epoki, a może z zamkowego muzeum. Czego tu nie było? Stoliki, stołeczki, sekretarzyki, szafeczki — wszystko misternie rzeźbione i upchane na powierzchni najwyżej dwudziestu metrów. Przechodząc do obitej zieloną skórą sofę, należało uważać, by niczego nie przewrócić, zwłaszcza że każda płaska powierzchnia zastawiona była różnej

maści bibelotami: porcelanowymi słonikami, wazonikami, ceramiką, kryształami, muszlami i Bóg wie czym jeszcze.

— Uwielbiał to.

Głos staruszki przypominał szelest. Dopiero po chwili Olga dostrzegła na ścianie oprawiony w ramki plakat z czołgiem i wielkimi literami, układającymi się w niewiele jej mówiący tytuł *Cztery pancerni i pies*.

— To film?

— Serial — sprostowali jednocześnie staruszka i Dawid w rzadkiej chwili współdziałania. Przez większość czasu Dawid sprawiał wrażenie, jakby się bał, że pani Aldona rozpadnie się na części, a ona kompletnie go ignorowała.

— Jeden z bardziej kultowych — dodał — chociaż ocieka komunistyczną propagandą.

— A jaką ma ociekać, syneczku? Takie były czasy. Florian kochał *Pancernych*. — Uśmiechnęła się, błyskając srebrną koronką. — To był dobry człowiek. Może nawet za dobry. Gdy go zabrakło, Kasi nie udało się już pozbierać. Żyła przez tyle lat, ale to nie było życie, tylko...

— Wegetacja — uzupełnił Dawid, otrzymując w zamian promienny uśmiech.

— Nie miała innej rodziny?

— Była samiutka jak palec, moje dziecko. Wiem, bo często się widywałyśmy. Ja też szybko owdowiałam. — Wskazała kościstym, upierścienionym palcem na duży portret, z którego patrzył szczupły młodzieniec w mundurze. — Janusz umarł w szpitalu, po resekcji żołądka. Wiedzieliśmy, że to rak. Na raka umarła przedtem jego matka i siostra. Biedulka, miała ledwie pięćdziesiąt lat.

Olga nie bała się rozmów o śmierci, ale wolała rozmawiać o śmierci Floriana. Wiedziała jednak, że w przypadku starszych osób pewnych rzeczy nie wolno było przyspieszać. Pozwoliła staruszce mówić. Nazwisko Arkanowicza wypłynęło szybciej, niż można było przypuszczać.

— Pogrzeb Floriana wypadł tego dnia, kiedy go złapali. Pamiętam, że

wróciłyśmy z konsolacji. Zaprosiłam Kasię do siebie, bo przykro tak po pogrzebie, w pustym domu... Włączyłam telewizor. Powiedzieli o tym w *Dzienniku*. Pokazali jego zdjęcie. Dobrze, że Kasia była wtedy na środkach uspokajających. Mój Boże, jak ona go nienawidziła.

— Co się dziwić? Arkanowicz zabił jej męża.

Olga rzuciła tę uwagę na wabia. Miała nadzieję, że usłyszy zaprzeczenie albo chociaż cień wątpliwości, ale staruszka pokiwała głową.

— Florian wiedział — oznajmiła niespodziewanie. — Wiedział, że Arkanowicz jest mordercą. Dla Kasi ta świadomość była zabójcza. Winiła się. Nie umiała sobie wybaczyć, że w porę nie zareagowała.

— Pan Florian był z Arkanowiczem w jednej drużynie konduktorskiej, tak?

— Zgadza się. Jeździli przez pół kraju, z Olsztyna do Świnoujścia i z powrotem. Dwa razy w tygodniu. Napatrzył się i nasłuchał. Wpadł na to szybciej od milicji. Ale zamiast im powiedzieć, uparł się, że zdobędzie dowody. No i... nie zdążył. A może zdążył, ale ta bestia okazała się szybsza. Arkanowicz dopadł Florka w Działdowie. Ponoć obiecywał Kasi, że to już ostatnia podróż z zabójcą. Przysięgał, że będzie uważać. Ale jak można uważać na takiego psychopatę?

Pytanie może i było retoryczne, ale Olga nie potrafiła się powstrzymać:

— Oczywiście, że można! Jeśli pan Florian wiedział, skąd płynie zagrożenie, to mógł je zminimalizować. Choćby przez unikanie sytuacji, w której znalazłby się z Arkanowiczem sam na sam.

— Ale nie uniknął.

— Bo może nie wiedział.

Staruszka odłożyła ozdobny wachlarz i uderzyła pięścią w stół. Tak mocno, że figurki na blacie zagrzechotały, a jeden ze słoni — z długą trąbą — upadł na podłogę i potoczył się po dywanie aż pod szafę.

— Wiedział. Przecież Kasia mówiła prawdę. Po co miałaby mnie okłamywać?

Znając już temperament pani Aldony, Olga nie odważyła się polemizować.

Przekonywanie staruszki było zresztą bezcelowe. Liczyło się tylko to, czy zdoła przekonać Agatę. Skoro Florian Zaniewski rzeczywiście podejrzewał Arkanowicza, to śmierć z innej ręki stawała się jeszcze bardziej prawdopodobna.

Tylko kto w takim układzie był zabójcą? Odpowiedź narzucała się sama. Ktoś, komu zależało, by prawda o zbrodniach Arkanowicza nie wyszła na jaw.

Staruszka, chyba zmęczona wybuchem sprzed kilku sekund, zapadła się w fotelu. Dawid, zaniepokojony, nie odrywał od niej wzroku. Olga uniosła brwi, a on wyjął telefon, stuknął w klawisze i podsunął jej pod nos.

*Ona płacze.*

Miał rację. Spod ciemnych okularów rzeczywiście wypłynęła łza. Olga uklękła obok fotela i delikatnie ujęła starczą dłoń.

— Co się dzieje?

Staruszka siąpnęła nosem.

— Przepraszam. — Usiłowała się pozbierać, ale łzy płynęły dalej. — Kasia była tragiczną postacią. Kiedy o niej myślę, prawie zawsze kończy się to płaczem. Miała podłe życie. Długie i podłe.

Uniosła głowę, szukając na ścianie pięciu portrecików, zawieszonych obok portretu męża. Łzy zniknęły.

— To pani dzieci?

— Tak. Dwóch chłopców i trzy dziewczyny.

Olga uznała, że to może być ważne. Bez konkretnego powodu. Zadziałał instynkt.

— Chodzi pani o to, że Katarzyna Zaniewska była nieszczęśliwa, bo... nie mogła mieć dzieci?

— W pewnym sensie tak.

— Jak to... w pewnym sensie?

— Bo Kasia miała dziecko. Synka. Zmarł w dzieciństwie. Nie wiem dlaczego. Nigdy o tym nie mówiła. Ta śmierć bolała ją o wiele bardziej niż śmierć męża.

Olga popatrzyła pytająco na Dawida. Przecież sprawdzali to w bazach danych, szukając informacji o fałszywym potomku. Zaniewscy nie mieli dzieci. Ku jej zdumieniu Dawid załapał, o co chodzi.

— Baza PESEL działa od siedemdziesiątego dziewiątego roku. Dane osób, które zmarły wcześniej, nie zostały w niej umieszczone. Jeżeli wpisaliście dane pani Katarzyny i pana Floriana, a ich dziecko zmarło przed tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym rokiem, to wynik sprawdzenia będzie negatywny.

— Ten chłopiec na pewno umarł wcześniej — włączyła się staruszka. — Na długo przed tym, jak się tu wprowadzili.

Olga przygryzła wargi. Skoro był syn, to może był i wnuk?

— Mówi pani, że zmarł w dzieciństwie... Ile mógł mieć lat?

— Nie wiem. Na cmentarzu jest jego grób. Niedaleko grobu Floriana i Kasi. Może tam będą jakieś daty?

Olga podniosła się z klęczek. Była z siebie cholernie zadowolona.

— Pewnie nie zna pani jego imienia?

Staruszka również wstała, po czym — nie wiedzieć czemu — wskazała na plakat z *Czterema pancernymi*.

— Tak się składa, że znam — oznajmiła, po czym dodała, pozornie bez związku: — Florian kochał *Pancernych*.

— Pani Aldono...

— Nazwał syna po jednym z nich. Olgierd.

Przełom listopada i grudnia to najbardziej depresyjny czas w roku, a las tonących w szarej mgle krzyży czynił go jeszcze bardziej depresyjnym. Olga postawiła kołnierz kurtki, ale i tak drżała — trochę z chłodu, a trochę z przejęcia. Dziecięce groby zawsze działały na nią w taki sposób. Zwłaszcza jeśli umieszczono na nich zdjęcie.

— Jak myślisz? Czy twoi ludzie będą w stanie go postarzyć? — spytała, wskazując na fotografię. Chłopczyk, czyli Olgierd Zaniewski, był na niej

nieprzyzwoicie uśmiechnięty. Wyglądał jak aniołek. Jak siedmioletni aniołek. Wykute w płycie cyfry wskazywały daty graniczne. Chłopiec urodził się w siedemdziesiątym roku, a zmarł w siedemdziesiątym siódmym.

O ile rzeczywiście zmarł.

Dawid też wyglądał na zmarzniętego i także nie był to wyłącznie efekt chłodu. Wśród tych wszystkich grobów czuł się bardzo nieswojo. Co chwila poprawiał jakiś element garderoby: to czapkę, to szalik, to pasek od spodni. Te gesty świadczyły o zdenerwowaniu. Były cholernie neurotyczne.

— Postarzą go bez problemu. — Nachylił się nad tablicą i zrobił zdjęcie. Zdjęcie zdjęcia. — To zajmie chwilę. Jest taki program... Ale nie rozumiem, jak mogłoby to pomóc. Chyba nie myślisz, że jego śmierć została sfingowana. Bo niby po co?

Olga nie odpowiedziała. Matematyka nigdy nie była jej mocną stroną, ale to było proste obliczenie. Syn Katarzyny i Floriana Zaniewskich miałby dziś — gdyby żył — pięćdziesiąt jeden lat. Nie można go było zatem utożsamiać z facetem, który przedstawił się jego imieniem i nazwiskiem w Stacji Muzeum i w okolicach Świnoujścia. Tamten Olgierd Zaniewski miał około trzydziestki. Nie był chłopcem z nagrobkowej fotografii, ale mógł być jego synem. Czyli wnukiem państwa Zaniewskich, dokładnie tak, jak utrzymywał.

— Czy to w ogóle możliwe? Czy w Polsce lat siedemdziesiątych dało się sfingować śmierć dziecka?

— Na pewno. — Dawid kucnął z nosem w smartfonie. Olga domyśliła się, że przesyła zdjęcie informatykom. — Znacznie łatwiej niż obecnie. Pozostaje pytanie: po co? Dlaczego ktoś miałby to robić?

Nie umiała odpowiedzieć. Facet, który podawał się za Olgierda Zaniewskiego, był nieuchwytny niczym duch. Olga opisała go jako wysokiego trzydziestolatka o jasnych oczach i długich, falujących włosach — najpierw pani Aldonie, potem policjantowi i jego żonie, która wróciła z nabożeństwa, a jeszcze później — wszystkim obecnym w domu mieszkańcom pierwszej klatki. Równie dobrze mogła oszczędzić sobie fatygi. Nikt nie kojarzył, by



mężczyzna o takim rysopisie kręcił się w pobliżu bloku, nie mówiąc już o kontaktach z jego mieszkańcami. Wszystko wskazywało na to, że w ogóle go tu nie było. Z Lidzbarka pożyczył sobie jedynie tożsamość. Tylko dlaczego? Pytań było wiele, a odpowiedzi — jak na lekarstwo.

— Idziemy?

— Jeszcze chwila.

Olga ruszyła alejką w kierunku grobu Katarzyny i Floriana. W przeciwieństwie do nagrobka ich syna był przy głównej alei i stało na nim kilka zniczy. Prawdopodobnie jeszcze z pogrzebu. Tu również były zdjęcia — wiotkiej staruszki z trwałą ondulacją oraz faceta w średnim wieku, w mundurze kolejarza. Przy nazwisku Floriana znajdowała się informacja, że pracował w PKP, oraz druga: *Zginął śmiercią tragiczną.*

Dawid nagle porzucił swą pozę zająca, który zwietrzył wilka. Ku zdziwieniu Olgi opadł na ławeczkę vis-à-vis sąsiedniego grobu i wyjął z wewnętrznej kieszeni oprawiony w imitację skóry notes. Otworzył go i swoim eleganckim piórem naszkicował na szczycie strony trzy litery: PKP, a potem dorysował dwie strzałki.

— Florian Zaniewski, w chwili śmierci pięćdziesiąt siedem lat. Kolejarz, członek drużyny konduktorskiej ekspresu „Świętowit”, będącego areną działań seryjnego zabójcy... łącznie siedem ofiar. Zamordowany w przedziale konduktorskim swojego pociągu. Przed śmiercią tropił człowieka, który zabijał, i prawdopodobnie poznał jego tożsamość.

Dawid kaligrafował każde z wypowiedzianych przez siebie słów, a potem otoczył całość podwójną ramką. Na nagrobku przysiadła wrona. Popatrzył na nią takim wzrokiem, jakby poszukiwał u niej natchnienia.

— Brzmi znajomo, prawda? — wymamrotał, a potem zaczął zapełniać miejsce pod drugą strzałką. Jego pismo było drobne, ale tak wyraźne, że Olga mogła odczytać każde słowo.

*Jacek Twardygrosz, w chwili śmierci czterdzieści dziewięć lat. Kolejarz, członek drużyny konduktorskiej pociągu Kolei Mazowieckich relacji*

*Działdowo–Warszawa, będącego areną działań seryjnego zabójcy (łącznie cztery ofiary). Zamordowany w module konduktorskim swojego pociągu. Przed śmiercią tropił człowieka, który zabijał, i być może poznał jego tożsamość.*

Zapiski po obu stronach kartki notesu były niemal identyczne. Olga usiadła obok Dawida, bezwiednie gapiąc się na tę samą wronę, co wcześniej on. Była pod wrażeniem precyzji, z jaką wyłuskał z morza faktów te, które wskazywały na podobieństwo obu zabójstw. Były jednak i różnice, o których dotąd nie wiedział.

— Możesz dopisać przy Twardygroszu, że śmierć nastąpiła w strefie niedostępnej dla pasażerów. Aby się do niej dostać, należało wklepać kod, który — przynajmniej w teorii — znali jedynie kolejarze.

Brwi Dawida podjechały do góry.

— To nowe ustalenie? W aktach nie ma o tym najmniejszej wzmianki.

Olga przywołała z pamięci obrazek uszkodzonego ożebrowania w przedziale konduktorskim. Nie był to, rzecz jasna, niepodważalny dowód, że do zabójstwa doszło właśnie tam... ale mógł takim zostać. Zależało to od wyników badań olsztyńskiego laboratorium. Technicy w pierwszej kolejności mieli sprawdzić, z jaką siłą należało uderzyć, by spowodować takie uszkodzenia. Olga i bez badań miała przeczucie, że z pewnością nie większą niż taka, która wystarczała do rozbicia czaszki...

— To hipoteza, ale bardzo prawdopodobna.

— Raczej mało prawdopodobna. Gdyby tak było, to musiałyby zaistnieć jedna z trzech możliwości: albo zabójca jest kolejarzem, albo został wpuszczony przez kolejarza...

— Albo został wpuszczony przez samego Twardygrosza — uzupełniła Olga.

Bardzo podobną rozmowę odbyła już dwukrotnie — najpierw z Maciejem i Dobkiem, a potem, przez telefon, z Agatą. Teraz Dawid wyraził podobne wątpliwości, co przedtem jej szefowa:

— Skoro Twardygrosz domyślał się, kto może być zabójcą, to dlaczego go wpuścił? I to do miejsca, gdzie byli sami?

— Może źle się domyślał — odparła tak samo jak wcześniej Agacie. — Przecież nie jesteśmy w stanie włamać się do jego mózgu. Wiemy jedynie, że przed śmiercią zbierał stare czasopisma i umawiał się na spotkanie z nauczycielką, która kiedyś organizowała praktyki w Warszawie.

— Pracownikiem Warszawy był Marek Bosacki. Ofiara Arkanowicza ze Świnoujścia. Ta, której się wyparł.

Właśnie to musiała mieć na myśli Agata, wspominając o świeżym spojrzeniu. Olga nie zwróciła na to uwagi. Wątpiła również, by zrobił to ktoś inny. Wątek z technikum gastronomicznym traktowany był przez tak zwaną górę raczej po macoszemu.

— Ciekawa koncepcja — przyznała, ciskając w stronę wrony czapeczką żołędzia. — Zabójca naśladowca jako członek obsługi wagonu restauracyjnego. Oczywiście nie stały, bo ich prześwietlono... Ale na przykład praktykant?

— W aktach Arkanowicza nie ma słowa o praktykancie — stwierdził stanowczo Dawid.

Jeśli chodzi o znajomość tych akt, to nie miał sobie równych. Miał je zapisane — na twardym dysku swojego komputerowego mózgu.

— Jeśli zabijał tylko dwa razy, to może pojawiał się w pociągu sporadycznie?

Dawid nie wyglądał na przekonanego.

— Śledztwo prowadzono bardzo skrupulatnie. Trudno uwierzyć, że prokurator przegapił jakąkolwiek osobę z personelu, nawet jeśli mówimy o praktykantach. To byłoby możliwe jedynie w sytuacji, w której kryliby go wszyscy pozostali.

Olga nie umiała znaleźć w tym rozumowaniu żadnej luki.

— To byłaby kobieta.

— Jaka kobieta?

— No tak, nie zdążyłam ci powiedzieć... Zgodnie z tym, co mówiła ta nauczycielka, do obsługi restauracji Warsu kierowani byli uczniowie, a do pociągów — uczennice. Z maili Twardygrosza wynikało, że chodzi mu właśnie o uczennicę, z tym że... Jest tu pewien słaby punkt. Jeśli to była kobieta, to jakim cudem miałyby aż tyle siły?

— By rozwałać czaszki młotkiem? Raczej nie ma szans.

To stanowcze zaprzeczenie, sformułowane bez choćby strzępu analizy, wyzwoliło w Oldze przekornego ducha. W swoim komisariacie często słyszała, że jako kobieta nie jest zdolna do tego i tamtego, a potem okazywało się, że radziła sobie lepiej od kolegów.

— Słyszałeś o kobietach, które potrafią podnosić samochody, aby wydobyć spod nich swoje dzieci?

— To mit — odparł Dawid, udowadniając po raz kolejny, że brakuje mu dystansu. — W określonych sytuacjach, pod wpływem adrenaliny, ludzie rzeczywiście są zdolni do podejmowania wysiłku, któremu w normalnych okolicznościach by nie podołali, ale nie są w stanie pokonać ograniczeń własnej fizyczności.

Olga przeszukiwała pamięć, lecz jak na złość nie umiała sobie przypomnieć nazwiska żadnej polskiej lekkoatletki czy specjalistki od podnoszenia ciężarów.

— Spójrz na taką Swietlanę Czerniawską — warknęła wreszcie, ale złość przeszła jej tak szybko, jak się pojawiła.

Dawid sprawiał wrażenie zakłopotanego. Nie lubił się przyznawać, że czegoś nie wie. Jedna z gałek ocznych drgnęła mu w zapowiedzi nerwowego tiklu.

— Możesz powtórzyć?

— To ukraińska mistrzyni podnoszenia ciężarów. Jak to się mówi krócej? Sztangistka? Jestem pewna, że ktoś taki jak ona miałby wystarczająco dużo siły.

— Wyczynowe sportswomenki, owszem — przyznał po chwili wahania

Dawid. — Trzeba więc sprawdzić, czy w wagonie Warsu zatrudniona była sztangistka, kulomiotka... Mogą być też bokserki i zapaśniczki, ale tylko z wyższych kategorii wagowych.

Olga uniosła rękę, chcąc go trzepnąć, ale w samą porę uświadomiła sobie, że jej kolega mówi poważnie. Ręka opadła z powrotem na kolana, w sposób, który miał wyrazić jej bezradność. Tego gestu także nie zrozumiał. Rozmowa z nim uczyła cierpliwości.

— Pewnie nie bierzesz tego pod uwagę, ale z moich spostrzeżeń wynika, że nie każda silna kobieta wpada w oko skautowi i decyduje się na karierę sportową... Co tam masz?

Jeszcze przez chwilę przesuwiał palcem po ekranie swojego smartfona, a potem bez słowa jej go podał. Z wypełniającego ekran zdjęcia patrzył na Olę zupełnie obcy mężczyzna. Jego przyprószone siwizną włosy opadały na ramiona, a bruzdy na policzkach były tak głębokie, że musiały utrudniać golenie. Mężczyzna był jednak gładko ogolony, ale tylko przez chwilę. Na oczach Olgi urosła mu broda, a chwilę później zniknęły długie włosy. Jako łysy brodacz wyglądał zupełnie inaczej.

— To postarzone zdjęcie Olgierda Zaniewskiego, tak? załapała.

Przez moment rozważała, czy nie przejechać się znów na plac Wolności, ale ostatecznie stwierdziła, że okazywanie portretu nie ma sensu. Facet, którego poszukiwała, nie był pomarszczonym pięćdziesięciolatkiem, tylko przystojnym trzydziestolatkiem. Podniosła się z ławki, a potem machnęła na wronę, ale ptaszysko ani myślało odlecieć. Przyglądało jej się drwiąco ze swojego siedziska na ramieniu krzyża.

— Co teraz? — Dawid sprawiał wrażenie, jakby marzył o powrocie do Warszawy, ale nie miała dla niego dobrych informacji.

— Zostało jeszcze jedno miejsce — oznajmiła, wskazując na fragment cmentarnego ogrodzenia.

Ostatni adres, który chciała odwiedzić, znajdował się zaraz za tym ogrodzeniem, na wyjąłowanej parceli z pryzmą żwiru i starą, zamurowaną

studnią. Przedwojenna kamienica była niewielka — parter i jedno piętro — i z pewnością pamiętała lepsze czasy. Z jej okien roztaczał się widok na nekropolię. Takie sąsiedztwo mogło przytłaczać, ale stojąca przy wejściu nastolatka — przecząc temu spostrzeżeniu — zanosila się śmiechem.

— To Kopernika jedenaście A? — upewniła się Olga, bo tabliczka z numerem domu była tak wyblakła, że niemal nieczytelna. Dziewczyna, nie przestając chichotać, kiwnęła głową. Na jej zębach połyskiwała klamra aparatu. — Czy ktoś z obecnych lokatorów zamieszkuje tu od lat siedemdziesiątych?

Dziewczyna spoważniała. Miała taką minę, jakby Olga pytała o czasy bitwy pod Grunwaldem.

— To było dawno — wysepleniła. Aparat musiał być nowy, jeszcze się do niego nie przyzwyczaiła. — Niech pani zapyta mojego dziadka. Jest bardzo stary.

Olga też poczuła się stara. Jeszcze niedawno żadnej nastolatce nie przyszłoby do głowy zwracać się do niej per pani. Westchnęła i — podążając za wskazaniem dziewczyny z aparatem — wdrapała się po drewnianych, butwiejących schodach na piętro. Dawid podążał za nią cichutko jak myszka. Już się przyzwyczaiła, że w takich sytuacjach był kompletnie bezużyteczny.

— Dzień dobry. — Zapukała w nieodkryte drzwi, a potem lekko je pchnęła i wsadziła głowę przez szparę. — Wnuczka mówiła, że tutaj pana znajdę. Jestem z policji i mam nietypowe pytanie...

Dziadek wcale nie był tak stary, jak można było wysnuć z rozmowy z nastolatką. Stał w kurtce i przeszukiwał mosiężną misę na drobiazgi w poszukiwaniu kluczyków do samochodu. Nie przerywając tej czynności, wysłuchał pytania o małżonków Zaniewskich.

— Oczywiście, pamiętam ich — odparł. — Przecież nie zapomniałbym własnych sąsiadów. Pan Florian, zdaje się, zginął tragicznie. Ale wtedy mieszkali już w centrum. Zamienili mieszkanie na mniejsze.

Znalazł wreszcie kluczyki. Podrzucił je w rękę, po czym schował do

kieszeni.

— Czy znał pan ich syna?

— Znałem. — Przez twarz mężczyzny przemknął cień. — Czy to długo potrwa? Muszę zawieźć wnuczkę do kościoła. Śpiewa w chórze — dodał, jakby to miało jakieś znaczenie.

Chyba chciał się pochwalić, ale Olgę interesowało w tej chwili inne dziecko.

— Czy ich syn umarł?

Mężczyzna wyszedł na klatkę i zamknął drzwi, a potem przekręcił w nich klucz.

— Chodziliśmy do tej samej szkoły. Był kilka klas niżej. Chociaż mieszkaliśmy przez ścianę, nie zamieniliśmy w życiu więcej niż kilka słów...

— Czy umarł?

Dziadek nastolatki potoczył w koło spojrzeniem, a potem zerknął w dół, na wnuczkę. Dziewczyna wróciła do oglądania w telefonie tego czegoś, co wywoływało jej śmiech. Wprost się nim zanosila.

— Proszę, ciszej. Nie przy dziecku...

Zawahał się, a potem znów otworzył drzwi i zaprosił, żeby weszli. W przedpokoju Dawid przykląkł, jakby chciał zdjąć buty, ale ku zadowoleniu Olgi chodziło jedynie o rozwiązana sznurówkę. Policjanci nie zdejmowali butów. To było abecadło.

— Umarł czy nie?

— Umarł. — Mężczyzna podszedł do małego okna z widokiem na cmentarz. Gdzieś tam, za ogrodzeniem, stał dziecięcy grobek. — To był tragiczny wypadek. Po tym, co się stało, Zaniewscy nie mogli tu mieszkać. Ona wpadła w depresję. To było ich jedyne dziecko, a ona... zdaje się, była za stara, by urodzić następne.

Olga również stanęła przy oknie. Nie chciała zwracać się do jego pleców.

— Tragiczny wypadek?

Facet aż się wzdrygnął.

— Byłem przy tym, jak go wyciągali. Mówią, że śmierć przez utonięcie jest straszna, ale on wyglądał jak aniołek. Jak śpiący aniołek. — Wypuścił klucze. Uderzyły w podłogę z metalicznym dźwiękiem. — Ja przepraszam za swoje zdenerwowanie. Po prostu... Staram się o tym nie myśleć. I nigdy o tym nie mówię. Ze względu na Jagodę, moją wnuczkę. To wrażliwe dziecko. Nie chcę, by bała się tu przychodzić.

— Skąd go wyciągali?

Wskazał palcem za okno. Nie na cmentarz, tylko bliżej, na centralną część podwórka. Na popękane ze starości kręgi.

— Mały Olgierd utopił się w studni.

Olga jeszcze dwukrotnie upewniła się, że topielcem był syn państwa Zaniewskich. Facet zapewniał ją, że tak. Był przy tym zbyt zdenerwowany, by coś ukrywać. Opuszczając jego mieszkanie, miała pewność, że Zaniewscy nie mieli żadnych żyjących potomków. Ani syna, ani wnuka.

Mężczyzna podający się za Olgierda Zaniewskiego był bezczelnym oszustem.

Olga nosiła policyjny mundur w dwóch krajach: w Polsce i w Ukrainie. Poznała w tym czasie wielu policjantów i wiele policjantek. Byli wśród nich ludzie wprost stworzeni do tej służby, ale też sporo osób przypadkowych. Tchórzy, łapówkarzy, bumelantów... Zdarzył się nawet jeden kleptomani. Jednak nigdy dotąd nie współpracowała z kimś takim jak Dawid.

— Spokojnie — szepnęła, bo kolega wyglądał tak, jakby miał zaraz zhaftować.

Zdenerwowanie było usprawiedliwione okolicznościami, ale... Bez przesady. Siedzieli na tylnych siedzeniach samochodu, czekając na sygnał. Kierowca, aspirant miejscowej komendy powiatowej, dodawał sobie animuszu pogwizdywaniem. Gdy zobaczył Dawida w wewnętrznym lusterku, na moment przerwał.

— Nie wchodzimy pierwsi. Kiedy będziemy w środku, delikwent będzie



już skutu. A jeśli będzie fikał, to chłopcy położą go na podłodze. Tak więc, kolego... Nie ma strachu.

Mówiłby dalej, ale umilkł pod parzącym spojrzeniem Olgi. Chwilę później znowu gwizdał. Z dwojga złego gwizdanie było lepsze od tych protekcjonalnych uwag, które wygłaszał. Pozował na wielkiego cwaniaka, ale w głębi duszy też trzął się ze strachu. Działdowo było jednym z tych spokojnych, sennych miasteczek, które można spotkać pod każdą szerokością geograficzną. Takie akcje nie zdarzały się tu często. Ostatnią przeprowadzono dwadzieścia osiem lat temu. Wtedy zatrzymano tu pierwszego seryjnego zabójcę. Teraz sytuacja miała się powtórzyć.

Jazda z Lidzbarka Warmińskiego do Działdowa zajęła im niecałe półtorej godziny. Oczywiście za kółkiem siedziała Olga — z kierowcą takim jak Dawid jechaliby godzinę dłużej, a liczyła się każda minuta. Tak w każdym razie przedstawiła to Agata zaraz po tym, jak poinformowała Olgę o wytypowaniu potencjalnego sprawcy. Potencjalnego i... zaskakującego. Seryjnym zabójcą miał być trzydziestoletni właściciel zakładu wulkanizacyjnego, Tomasz Mendyk. Niekarany, niemający nic wspólnego z Dariuszem Arkanowiczem, z banalnym życiorysem, w którym próżno było szukać epizodów w szpitalach psychiatrycznych, aktów przemocy domowej czy nawet mandatów za przechodzenie w niedozwolonym miejscu. Jednym słowem — nuda. Życie pisze niekiedy banalne scenariusze.

Narzędziem zbrodni nie był wcale młotek — mały czy duży — tylko łycha do opon. Solidny kawał metalu, sporządzony na zamówienie dla warsztatu Mendyka. Przy rękojeści, czy jak to się nazywało, zaraz obok nazwy producenta, wytłoczono jego imię i nazwisko. *Tomasz Mendyk, wulkanizacja*. Trudno o precyzyjniejszą wskazówkę. Można było się śmiać, gdyby nie jeden makabryczny szczegół. Łycha była wymazana zakrzepłą krwią. Aktualnie trwały badania w kierunku ustalenia jej grupy, a potem innych właściwości. Mogła to być krew Zajcewa, de Wayhera, Zielińskiego lub Twardygrosza... A może jeszcze kogoś innego.

Tomasz Mendyk był w tej chwili w swoim domu, dwie przecznice dalej. Niedawno wrócił z Warszawy — istniało ryzyko, że zapolował po drodze na kolejną ofiarę, dlatego policja przeszukiwała aktualnie pociągi, perony i okolice dworców, z Dworcem Centralnym włącznie. Łycha ze śladami krwi została znaleziona w pociągowej toalecie. Na tym etapie nie sposób było ustalić, jak długo tam leżała.

Kierowca napił się wody i rozpoczął kolejną sesję gwizdania. Olga zobaczyła zbliżającą się Agatę i z dużą ulgą opuściła wnętrze samochodu. Też była zdenerwowana. Tak bardzo, że nie poczuła chłodu.

— Włóż płaszcz.

— Nie trzeba. Na co czekamy?

— Mają wpaść chłopcy z BOA. To decyzja góry. Ja bym wchodziła od razu. Jeśli facet zabił cztery osoby, to w każdej chwili może zabić piątą, choćby i żonę.

— Kto jest w domu?

— Właśnie żona. A raczej nie żona, tylko partnerka. Ślub nie odbył się przez pandemię. Oprócz żony w środku są jej rodzice, no i dwójka dzieci.

— Cholera.

— Właśnie. — Agata skinęła głową, dzieląc obawy Olgi. Tam, gdzie były dzieci, pojawiały się silne emocje. Zarówno u zatrzymywanych, jak też u zatrzymujących. — To będzie wasze zadanie. Twoje i Dawida.

— Mamy zająć się dziećmi?

— Tak. — Agata zrobiła przeproszącą minę.

— Cholera.

Olga otworzyła drzwi i sięgnęła po płaszcz. Przerażone, zapłakane, histeryzujące dzieci... Trudno było sobie wyobrazić bardziej niewdzięczną robotę. I bardziej stresującą. Taki stres był nawet gorszy od tego, który towarzyszył konfrontacji z potencjalnie niebezpiecznym dorosłym. Trudniej było nad sobą zapanować.

— Nie martw się. Będzie dobrze. Jeśli wszystko pójdzie tak, jak

zaplanowała góra, to dostaniesz kilka dni wolnego, a potem wrócisz do swoich zajęć na Centralnym.

— Super — westchnęła Olga.

Nie chciała tam wracać, ale tym mogła pomartwić się później. Po tym, jak nasyci się już widokiem płaczących dzieci. Po tym, jak złamią jej serce.

— Jest jednak nikła możliwość, że to jeszcze nie koniec.

Olga ze zdumieniem odkryła, że Agata jest rozbawiona. Nie było to jednak rozbawienie bezrefleksyjne, ale raczej podszyty humorem fatalizm.

— Nie wierzysz, że to on?

— Zabójca, który zostawia w kiblu narzędzie zbrodni, i to z własnym nazwiskiem, musiały być bardzo głupi. Wszystko jest możliwe, ale skoro jest tak głupi, to czemu nie złapaliśmy go od razu?

Olga pokiwała głową. Koncentrowała się na tym, by dojechać tu w jednym kawałku. Gdyby miała mniej zajętej głowę, wpadłaby na to sama. Dziwiła się, że ktoś dał się nabrać na tak tani numer.

— Kto znalazł tę łychę?

— Nieźle kombinujesz. Mamy go na komendzie. To ktoś, kto bardzo nie lubi pana Mendyka. Tak bardzo, że mógłby podłożyć mu świnie.

— To czemu nie jesteśmy z nim, tylko tutaj?

— Bo nie można lekceważyć nawet najmniej prawdopodobnej ewentualności. Kto wie, może pan Tomasz rzeczywiście jest głupi. Faceci, u których zmieniam opony, nie sprawiają wrażenia tytanów intelektu.

Olga uznała tę opinię za krzywdzącą, ale nie zamierzała podejmować dyskusji. Świat znów nabrał barw. Wyglądało na to, że jej płaczące dzieci żegnały się z tatusiem jedynie na chwilę. O jego niewinności mogły zaświadczyć dane logowania do BTS-ów, analiza odcisków palców... i sto innych rzeczy. Jeśli był niewinny, to jeszcze tego samego dnia wróci do domu.

— Kto jest tym życzliwym znalazcą łychy?

— Nigdy nie zgadniesz. To Słubicki.

Olga potrząsnęła głową.

— Ten przyjaciel Heleny Wiącek? I jej szanownego małżonka psychopaty? Znowu on?

— Dzisiejszej nocy latał po podziemiach Centralnego — przypomniała szefowa. — Osobą, którą śledził, był właśnie Tomasz Mendyk.

— Mówisz serio?

Agata kopnęła ze złością bryłkę błota.

— Mam go powyżej uszu. Facet wyskakuje jak diabeł z pudełka.

Antyterroryści dotarli kwadrans później. Wszystko odbyło się sprawnie i szybko. Olga weszła do środka niedługo po nich — wystarczająco wcześnie, by zobaczyć na twarzy zatrzymywanego mężczyzny wyraz kompletnego zaskoczenia. Dzieci były na szczęście w innej części domu. Nie widziały, jak na nadgarstkach ich tatusia zaciskają się kajdanki. W salonie oprócz Tomasza Mendyka była jeszcze kobieta, młoda, atrakcyjna, trochę przestraszona i bardzo wkurzona.

— O co chodzi?! O co chodzi?!

Powtarzała to coraz głośniej, a jej partner — z kajdankami na przegubach — próbował ją uspokoić. Bezskutecznie. To, co nie udało się jemu, osiągnęła bez większego trudu umundurowana policjantka. Olga usłyszała, jak mówi cichym głosem, że to na pewno pomyłka. To było małe miasto, w którym wszyscy się znali.

— Nie rób dymu, Ewka. Szkoda dzieci. Daj dowód i usiądź. To nie potrwa długo.

Olga, która na kursie poznała wszystkie policyjne procedury i miała je na świeżo, nie była tego taka pewna, ale nie zamierzała się wtrącać. Jej miejsce było przy dzieciach, jednak zanim przeszła na górę, skąd dochodziły już głosy kolegów po fachu, zdążyła odczytać z dowodu nazwisko kobiety. Słubicka. A zatem to nie były dzieci Tomasza, tylko tego całego Słubickiego. Jeśli to za jego sprawą fundowali im takie rozrywki, to musiał być wyjątkowo kiepskim ojcem.

Dzieci Słubickich siedziały spokojnie w kolorowym pokoju w towarzystwie dwójki starszych ludzi. Jeden z policjantów dyskretnie spisywał dane z ich dowodów, a drugi — w którym ku swojemu zdziwieniu rozpoznała Maćka — układał wieżę z klocków.

— Co tu robisz? — spytała ze zdziwieniem, bo gdy się rozstawali, mówił, że wraca do Warszawy.

— Zmiana planów — rzucił enigmatycznie, a chwilę później, gdy uwagę dzieci przyciągnął jego kolega w mundurze, dodał z przekąsem: — Nasza przyjaciółka uznała, że jestem niezastąpiony. Kazała mi naciskać Olsztyn w sprawie listy tych uczniów technikum. A gdy wszystko zaczęło się walić, wezwała mnie tutaj.

Olga ucieszyła się w duchu, że Agata potraktowała wątek uczniowskich praktyk w Warsie poważniej, niż to okazała. Widocznie dostrzegła to, co Oldze w pierwszej chwili umknęło — że pracownikiem Warsu był mężczyzna zamordowany w Świnoujściu, przedostatnia z ofiar przypisywanych Arkanowiczowi. Wewnętrzna radość nie znalazła jednak odbicia na jej twarzy. Gdy babcia dzieci spytała, czy mogą zabrać wnuki do siebie, zrobiła współczującą minę.

— Zaraz się zorientuję.

Agata nie robiła trudności. Olga odprowadziła dzieci do samochodu dziadków, a potem wróciła po kule lekarskie i wózek inwalidzki. Syn Słubickich był niepełnosprawny. Dziadek pomógł jej załadować wszystko do bagażnika. Otworzyła im bramę i czekała, aż odjadą.

— Zamknij — rzuciła w stronę Dawida, który ostatecznie nie wziął udziału w zatrzymaniu, tylko wraz z jeszcze jednym policjantem zabezpieczał tyły. — Wreszcie się do czegoś przydasz.

Dawid wypełnił jej polecenie z miną, która wskazywała na to, że nie wyczuł sarkazmu. A może rzeczywiście chciał się przydać. Zanim Bojko doszła do drzwi wejściowych, pojawiła się w nich Agata.

— Dobra, wystarczy. Wracajmy na komendę i weźmy w obroty pana

Kacpra.

Słubicki siedział w pomieszczeniu do przesłuchań i chociaż drzwi na korytarz były otwarte, miał bardzo nieszczęśliwy wyraz twarzy. Jak skazaniec. Olga, która dopiero co przyglądała się jego byłej żonie, nie umiała powstrzymać uśmiechu, który nie umknął czujnemu spojrzeniu Agaty.

— Chodzi o jego włosy?

Mogły rozmawiać swobodnie, bo od kolejarza dzieliła je tafla szkła. Olga domyśliła się, że było to lustro weneckie. Słubicki, zamiast pokoju, w którym stały, widział swe odbicie.

— O całokształt. Nie wygląda na byłego męża tamtej kobiety. I na ojca tak dużych dzieci. Wygląda bardziej jak... żrebak.

Jakby na potwierdzenie jej słów Słubicki wstał i przespacerował się po pokoju, zezując w stronę drzwi. Nie odważył się jednak przez nie wyjść. Dokończył kółko, po czym znowu usiadł. Przez chwilę wyglądał jak żrebak... na lonży. Agata również sprawiała wrażenie rozbawionej, ale ten stan nie trwał długo.

— Myślisz, że uda ci się go przycisnąć?

Olga w pierwszej chwili nie uwierzyła własnym uszom, ale potem dotarło do niej, że facet jest co najwyżej złośliwym cwaniaczkiem, który próbował narobić kłopotu partnerowi swojej byłej. Z zabójstwami nie miał nic wspólnego z prostego powodu. Nie było go w Polsce.

— Jasne. Chyba dam radę.

— Daj mu popalić. I nie przejmuj się pisaniem. Będę twoją protokolantką.

Słubicki może i był blotką, lecz Olga wyczuła, że jest poddawana próbie, która może zaważyć na całej jej karierze. To była szansa na ciekawszą pracę, a także lepsze pieniądze. Wparowała do pokoju przesłuchań naładowana energią. Słubicki drgnął, a potem otworzył usta i zaraz je zamknął.

— Ma pan jakiś dokument ze zdjęciem?

Wstał i wyjął ze zniszczonej kurtki równie zniszczony portfel. Z pewnością

nie był gadźeciarzem. Z bliska nie wyglądał już tak młodo. Powagi dodawały mu mocno podkrążone oczy.

— Dzień dobry — odezwał się głosem niesfornego ucznia, chcącego się przypodobać surowej nauczycielce. — Wiem, że narobiłem zamieszania. Chciałbym przeprosić.

Olga popatrzyła na wchodzącą do pomieszczenia Agatę. Czyżby to miał być koniec?

— Przyznaje się pan do podłożenia tego przedmiotu celem skierowania podejrzeń na pana Tomasza?

Nie pamiętała nazwiska, ale Słubicki chyba zrozumiał, o kogo chodzi, bo zmienił się na twarzy.

— Tomka do tego nie mieszajcie. To dupek, ale nie skrzywdziłby nawet muchy. Pewnie nawet by nie umiał.

— Czy to pan podrzucił to narzędzie?

— Tak. A przedtem spryskałem je krwią.

Starła się, żeby w spojrzeniu, które posłała Agacie, nie było nawet grama pychy, ale wyszło jej to raczej średnio. To musiał być rekord świata. Facet przyznał się do wszystkiego, zanim zdążyła obejrzeć jego dowód. A teraz westchnął tak ciężko, jakby zrobiło mu się smutno. Grzech, skrucha... a potem pokuta. Kolejność była prawidłowa.

— Niech pan usiądzie — poleciała Agata. Słubicki opadł na krzesło. — Zawsze jest pan takim wesołkiem?

— Tylko wtedy, gdy nie daje mi się spać. — Spojrzał na Agatę, ale zaraz spuścił wzrok. — Ma pani rację. To nie jest temat do żartów, ale już sam nie wiem, co się dzieje. Zgłupiałem. Wchodzę do kibla i potykam się... No wiecie, o co. Moje życie to ostatnio jakiś film. O, nawet wiem jaki. *Matrix*.

Z potoku słów Olga wyłowiła smutną prawdę. Nie odniosła sukcesu, a tylko interwencji Agaty zawdzięczała, że jej pierwsze oficjalne przesłuchanie nie zakończyło się porażką. Słubicki ironizował. Widocznie nie przyszło mu do głowy, że ktoś mógłby go posądzić o preparowanie dowodów. Niepotrzebnie

czepiała się Dawida. Ich zdolność do wyłapywania sarkazmu była się na podobnym poziomie.

Kto z kim przestaje, takim się staje.

— Niech nam pan więc opowie o tym filmie — poleciła, starając się zachować resztkę godności.

Słubicki założył nogę na nogę i wykrzywił usta w uśmiechu. Był to uśmiech klauna z wędrownego cyrku.

— A więc dziesiątego listopada bieżącego roku wylądowałem na lotnisku w Modlinie. Na dworcu czekała na mnie koleżanka z dzieciństwa, Helena Wiącek. Prosto z lotniska pojechaliśmy do Warszawy, a konkretnie na ulicę Lubelską, do siedziby spółki Koleje Mazowieckie. No i zostałem kolejarem. Przez dwa tygodnie mnie szkolono, a potem dołączyłem do załogi pociągu, w którym doszło do zabójstwa, w miejsce kolegi, który również został zamordowany. Żeby było śmieszniej, zupełnym przypadkiem zamieszkałem w kamienicy, w której wcześniej mieszkał ten zamordowany kolega. W mieszkaniu, w którym kiedyś mieszkał inny kolejarz, Dariusz Arkanowicz...

Olga, która chciała pozwolić mu mówić, w tym momencie nie wytrzymała. Jej poza zdystansowanej profesjonalistki doznała kolejnego uszczerbku.

— Mieszka pan w tym samym mieszkaniu, co Arkanowicz?!

— Widzi pani? — Słubicki, nie wiedzieć czemu, bardzo się ucieszył. — To jest jak fatum. Ale idźmy dalej. W pociągu, w którym pracuję, regularnie spotykam partnera mojej byłej żony, którego nie znoszę. No i ten partner twierdzi, że jeździ do neurologa, a tymczasem po przyjeździe do Warszawy kupuje kwiaty i gdzieś z nimi znika. Gdy próbuję go śledzić, mnie śledzi policja. W środku nocy zgarniają mnie w hotelu... przepraszam, w baraku socjalnym. Puszczają mnie, wracam. No i znajduję w nieczynnej toalecie łyżkę do opon ze śladami krwi. Uznaję to za idiotyczną inscenizację, ale grzecznie biegnę na komisariat. A wy znowu mnie zgarniacie.

— Na razie nikt pana nie zgarnia.



— I jeszcze mi grozicie. Ale jest mi wszystko jedno. Marzę o tym, żeby się wyspać. Choćby i w celi.

Olga miała ochotę zbadać Słubickiego alkomatem. Mówił wyraźnie i płynnie, dobrze dobierał słowa... Ale jego wypowiedź była jednym wielkim bełkotem.

— Gdzie pan znalazł tę łyżkę?

Zamrugnął półprzytomnymi oczami, a potem przejechał dłonią po bałaganie, który miał na głowie. Po burzy czarnych loków.

— W łazience.

— No przecież wiem, że w łazience. Gdzie był wtedy pociąg? W Warszawie? W Działdowie?

— W Mławie.

— Dlaczego nie zgłosił pan tego od razu, tylko jechał do Działdowa?

— To już pytanie do Iwony. — Uśmiechnął się mściwie. — Do Iwony Ciechańskiej, kierowniczkę pociągu. Kazała jechać do Działdowa. I kazała mi tu przyjść — dodał po chwili znacznie cichszym głosem.

— A jeśli by nie kazała...

— Nie przyszedłbym — wyznał ponurym głosem, patrząc smętnie na okratowane okno. — Bo wiedziałem, co sobie pomyślicie, a Tomek... To ostatnia osoba, którą podejrzewałbym o... No wiecie, o co. Zgoda, to łajdak. Ale nie morderca. — Oparł się i nieco teatralnym gestem wyciągnął przed siebie dłonie. — To co? Teraz mnie zamkniecie?

Wyznaniem sprzed chwili oczyścił się z podejrzeń, ale ta odrobina stresu nie przeszkadzała. Była gwarantem większej szczerości. Bo Słubicki, chociaż stawał na głowie, by przekonać je o swoich dobrych intencjach, w pewnych momentach uciekał wzrokiem. Jeśli jego życie było filmem, to pewnych kadrów wolał nie ujawniać. Wyczuwała to nawet Olga — chociaż w swojej obecnej roli śledczego nie przepracowała nawet jednego pełnego dnia.

— Czemu rozstał się pan z byłą żoną?

Odparł odruchowo, bez zastanowienia:

— Bo byłem palantem.

Podrapała się po nosie, maskując uśmiech. Wbrew sobie poczuła, że go lubi. Był wariatem, ale pozytywnym. Przypominał jej kogoś, kogo już poznała. Ta natrętna myśl wracała do niej przez następne kwadransy, wybijając z rytmu. Aż wreszcie, pod sam koniec, gdy podpisywał się pod protokołem — zrozumiała.

Słubicki nie przypominał żadnego z jej znajomych. Przypominał... ją. Ją samą. Oczywiście nie fizycznie, ale jeśli chodzi o charakter, sposób formułowania myśli, podejście do życia... Byli do siebie cholernie podobni.

Niby pizza wszędzie smakuje tak samo, ale w knajpce przy rynku była jakaś inna. Lepsza. Może to była kwestia składników, może temperatury pieca, a może... głodu. Olga skoncentrowała się na jedzeniu do tego stopnia, że nie zauważyła powrotu Agaty. Szefowa wciąż miała na sobie płaszcz, a w ręku telefon. Sprawiała wrażenie zniecierpliwionej.

— Zakochałaś się w tym swoim żrebaku czy co?

Dopiero po chwili zrozumiała, że Agata mówi o Słubickim. Pomysł był tak absurdalny, że aż się uśmiechnęła. To tak, jakby zakochać się w samej sobie.

— Co tam słyhać w wielkim świecie? — spytała, przeżuując ostatni kęs.

Siedzący naprzeciwko Dawid uniósł brwi. Olga była pewna, że on nigdy nie pozwoliłby sobie na tak nieformalną odzywkę do Agaty. Trudno. Na kursie było tak samo. Zawsze to ona musiała być tą złą. Niesubordinowaną.

— Jest odpowiedź na zapytanie o BTS-y — odparła szefowa. Pod tą tajemniczą formułą kryło się lokalizowanie telefonu. W tym wypadku — telefonu Tomasza Mendyka. — Jeśli chodzi o numer trzy i cztery — przebywał w domu. Albo w warsztacie, na tej samej parceli. Co do jedyńki — był w Nowym Mieście Lubawskim. Miejscowi chłopcy spisali się na medal. Mendyk jeździ tam regularnie, do hurtowni opon.

Cyfry, które wymieniła, oznaczały zabójstwa. W porządku chronologicznym, gdzie jedyńką był Marcel Zieliński, a czwórką — Wasyl

Zajcew. Pominęła dwójkę, bo w przypadku Zbigniewa de Wayhera precyzyjne określenie momentu zgonu okazało się niemożliwe. Nieprecyzyjne zresztą też — mógł leżeć w tych krzakach tydzień, mógł i dziesięć dni.

— Jedziesz z nim pogadać?

Olga również potrafiła szyfrować przekaz, może nie tak spektakularnie jak Agata, ale zawsze. Rozmowa oznaczała przesłuchanie. Tomasz Mendyk przebywał aktualnie w tym samym pomieszczeniu, co wcześniej Słubicki.

— Chyba muszę. — Agata nie próbowała maskować swej niechęci. Po części wynikała ona z tego, że przesłuchanie koordynował Maciek, jej „faworyt”. Olga zachodziła w głowę, dlaczego, mimo oczywistej niechęci, dokooptowała go do swojego zespołu. Ich stosunki musiały być bardziej złożone, niż mogłoby się wydawać. — Zawsze jest szansa, że pan Tomasz zostawił telefon w domu albo pożyczył go koledze, który jechał do hurtowni, a sam... — Zawiesiła głos, bo przy sąsiednich stolikach siedzieli ludzie. — Sam bawił się młotkiem — dokończyła ciszej. — To jednak mało prawdopodobne. Jestem prawie pewna, że to na łyżce to nie krew. A jeśli już, to kurczaka.

Wbrew swojej deklaracji nie ruszyła w stronę wyjścia, tylko usiadła przy stole. Przez chwilę grzebała w torbie, aż w końcu wyciągnęła z niej zdjęcie. Fotografie Sabiny Arkanowicz.

— Atrakcyjna babeczka — stwierdziła obojętnie, a potem równie obojętnym tonem dodała: — Szkoda, że ma nie po kolei w głowie.

— Serce nie sługa.

— Skoro tak twierdzisz. — Agata prychnęła niecierpliwie, a potem zwróciła się do milczącego uparcie Dawida: — Jej nagły wyjazd mocno nas zaniepokoił. Tak mocno, że postanowiliśmy ją namierzyć. Znalazła się na siódemce, w okolicach Płońska. Na nitce w stronę Warszawy. Domyślasz się, co mogła tam robić?

— Niestety. — Dawid pokręcił bezradnie głową.

Olga nie miała nic do dodania. Nie pamiętała nawet, kiedy Arkanowiczowa

opuściła Gostynin. Wczoraj? Czy przedwczoraj? Dawid wspominał o tym rano, ale głowę miała wówczas nabita Olgierdem Zaniewskim.

— Poprosiliśmy zaprzyjaźnionych chłopców z drogówki, żeby ją przepytali. Udało im się zaaranżować rutynową kontrolę. Pani Arkanowicz nie była szczególnie rozmowna. Wspomniała o odwiedzinach u rodziny. W Nidzicy. Twierdziła, że właśnie stamtąd wraca.

— Nidzica jest blisko — zauważyła Olga, bo nic innego nie przyszło jej do głowy.

— No właśnie. Poprosiliśmy o pomoc komendę w Nidzicy, a jednocześnie zwróciliśmy się do naszych przyjaciół z firmy telekomunikacyjnej... Darujcie, ale nie pamiętam której. Wyniki spłynęły w tym samym czasie. I wiecie co?

— Arkanowiczowa nie była w Nidzicy?

— Nawet sekundy. Wracła z Działdowa. Spędziła tu ostatnią noc.

— Co tu robiła? — zapytał zaintrygowany Dawid. Przyjazd Arkanowiczowej do miejsca, w którym przed laty ujęto jej męża, zaciekał także Olgę. Pani Sabina nie wpadła tu przecież na wycieczkę krajoznawczą. Jej intencje były nie tylko zagadkowe, lecz także mętne. I podejrzane. Bo czy w przeciwnym razie wymyślałaby fikcyjną historyjkę o krewnych w Nidzicy i raczyła nią nawet policjantów?

— Pytasz, co tu robiła... — Agata spojrzała na Dawida z wystudiowanym namysłem, a potem niespodziewanie się uśmiechnęła. — To doskonałe pytanie. Chciałabym, żebyś spróbował na nie odpowiedzieć.

Położyła na stole pojedynczą kartkę, po czym — bez słowa wyjaśnienia — opuściła lokal. Dawid sięgnął ręką, ale nagle ją cofnął. Miał taką minę, jakby się obawiał, że kartka jest napromieniowana. Olga nie miała oporów. Przez chwilę wpatrywała się w wydrukowany plan Działdowa, zastanawiając się, co oznaczają naniesione nań okręgi. Było ich kilkanaście, a największy znajdował się na południowych rubieżach miasteczka.

— To schemat miejsc, z których telefon Sabiny Arkanowicz logował się do

sieci — wyjaśnił Dawid. — Wielkość tych okręgów jest wprost proporcjonalna do czasu, jaki spędził w danym miejscu.

Olga spojrzała na niego pytająco, a gdy skinął głową, poczęstowała się jego pizzą. Polecenie Agaty sprawiło, że stracił apetyt.

— Zatem tutaj — wskazała na największy okręg — spędziła noc.

— Dokładnie. W tych chmurkach są godziny graniczne. Była tam od dwudziestej drugiej do dziewiątej rano.

Olga zlokalizowała wskazaną chmurkę, a potem wyszukała kolejne. Wydruk był niczym plansza pasjonującej gry. Na podstawie zawartych na nim informacji można było pokusić się o precyzyjne wskazanie miejsc, które odwiedziła Arkanowiczowa, i to w ujęciu chronologicznym. Wymagało to jednak skupienia... i czegoś do pisania. A także planu miasta, z nazwami ulic. Dawid poradził z tym sobie błyskawicznie. W teorii był naprawdę niezły. Jego piętą Achillesa była praktyka.

— Pomożesz mi? — spytał niepewnie.

Olga udała, że się waha. Nie miała wątpliwości, że polecenie Agaty skierowane było także do niej, ale patrzył na nią w taki sposób, że trudno było się nie podroczyć.

— No nie wiem. A co będę z tego miała? — Zrobił taką minę, jakby rzeczywiście zastanawiał się, jak ją wynagrodzić. Była złym, bardzo złym człowiekiem. — Zacznijmy od hotelu — zdecydowała. — Zobaczymy, czy pani Arkanowicz nie dorobiła szanownemu małżonkowi rogów jak stąd do Vegas.

Hotel, w którym Sabina Arkanowicz spędziła noc, znajdował się w spokojnej okolicy na obrzeżach. Z parkingu widać było tabliczkę z przekreśloną nazwą miejscowości. Budynek był dwupiętrowy, ze spadzistym dachem. Czerwony neon, świecący także w dzień, budził skojarzenie z klubem uciech, ale wewnątrz było bardzo skromne. Dyżurujący w holu chłopak, biorąc ich za gości, poderwał się z taką energią, jakby od początku swojej zmiany

czekał tylko na nich. Jego gromkie „dzień dobry” poniosło się po całym obiekcie. Niewiele brakowało, a wróciłoby echem.

— My tylko na moment.

Na widok legitymacji, którą okazała mu Olga, entuzjazm recepcjonisty skurczył się do poziomu akceptacji tego, co nieuniknione. Gdy Olga wręczyła mu zdjęcie, spojrzął na nie tylko przelotnie.

— To martwy sezon — stwierdził z przygnębieniem. — Nie mamy wielu gości. Ta pani spała tu ostatniej nocy. Pewnie chcą państwo obejrzyć jej pokój, prawda?

Olga udała, że o niczym innym nie marzy. Wraz z milczącym Dawidem ruszyli po wąskich, niemiłosiernie skrzypiących schodach. Z zewnątrz budynek nie wyglądał na aż tak stary. Tu, we wnętrzu, pachniało Peerelem, i to nie tym schyłkowym. Znała ten zapach. Podobnie pachniał Lwów jej dzieciństwa.

— Ile kosztuje doba hotelowa?

Chłopak wymienił kwotę. Niewygórowaną. Sabina Arkanowicz była osobą względnie zamożną, ale być może cenila sobie oszczędność. Albo dyskrecję. W takim miejscu miała pewność, że nie spotka nikogo ze sfery swych znajomych.

— Czy pani Arkanowicz była sama?

— Tak. — Chłopak otworzył drzwi do pokoju. — Macie państwo szczęście. Jeszcze nie sprzątałem.

Olga nie miała pojęcia, na czym miało polegać to szczęście. Jeśli chłopak sądził, że będą szukać mikrośladów albo pakować wszystko, co wpadnie im w ręce, do foliowych torebek, to musiał poczuć rozczarowanie. Ale dzielnie je zwalczył. Gdy rozglądała się po pokoju, z obojętną miną patrzył w okno. Widok na brązowe pola, hen, aż do odległej linii lasu, był z pewnością największym atutem tego pokoju, o ile nie jedynym. Pojedyncze łóżko, kulawa szafa i politurowany stolik z biurową lampką — wszystko to skłaniało do szybkiego pójścia spać. Choćby dlatego, by dłużej tego nie oglądać.

— Czy miała duży bagaż?

— Nie. Tylko podręczną torbę.

— Skąd przyjechała?

— Nie pytałem.

Olga otworzyła szafę, a potem — bez większego przekonania — zerknęła pod łóżko, natykając się na zasuszone zwłoki ogromnego pająka. Kluczowe dowody, porzucone przez roztargnienie w hotelowym pokoju... Takie rzeczy można było znaleźć tylko w przedwojennych powieściach kryminalnych.

— Zgłaszała jakieś potrzeby? Kolacja, żelazko, dodatkowa pościel... — urwała, bo zabrakło jej inwencji.

Zbyt rzadko nocowała w hotelach.

— Nie zapewniamy wyżywienia — poinformował młody recepcjonista. A może właściciel? Nie, gdyby był właścicielem, nie omieszkałby jej o tym poinformować. Zresztą... to i tak nie miało znaczenia. — Pani Sabina prosiła jedynie, by jej nie przeszkadzać. Tego przeważnie szukają u nas goście. Spokoju.

— Korzystała z wi-fi?

Pytanie było z gatunku tych, na które odpowiadało się przeczącym ruchem głowy. W hotelu nie było wi-fi. Nie było tu nawet telewizji.

— Czy mówiła, po co przyjeżdżała do Działdowa?

— Wieczorem nie. Rano odprawiała ją koleżanka. Pewnie śpi, ale mogę do niej zadzwonić.

— Proszę zadzwonić. I dać ją na głośnik.

Długo nie odbierała. Chłopak wyjaśnił, że pracuje na noc, a on pilnuje interesu w ciągu dnia. Przy okazji wyszło na jaw, że bliżej mu do właściciela niż do recepcjonisty. Był jego synem.

— Co jest? — odezwała się wreszcie jego podwładna. Pozbawiony szacunku głos zdawał się dobiegać z dna studni. — Wiesz, która jest godzina?!

Olga pozwoliła, by chłopak naświetlił sytuację. Dziewczyna przestała się

ciskać. Głos pod wpływem stresu stał się piskliwy. Niektórych spinała sama świadomość, że mieli rozmawiać z policją, ale od recepcjonistki w hotelu można było wymagać pewnego obycia. Olga zaczęła żałować, że nie skontaktowali się z nią osobiście.

— Gdzie pani jest?

— Aktualnie? — Pytanie również było przejawem stresu, któremu często towarzyszyła gra na czas.

— A jak pani myśli?

— W Mławie. U chłopaka.

— Trudno — westchnęła Olga. Nie mieli czasu, by tłuc się po lokalnych drogach, musiał wystarczyć kontakt przez telefon. Zadała jej te same pytania, co chłopakowi, pomijając rzecz jasna kwestię wi-fi. Gdy dotarły do kwestii związanych z wymeldowaniem i wyjazdem, rozmówczyni wyraźnie się usztywniła.

— Ta pani twierdziła, że nie zna miasta... Pytała, czy może zostawić samochód na parkingu, i poprosiła, żebym wezwała jej taksówkę...

— A ty, zamiast po taksówkę, zadzwoniłaś po tego swojego kochasia? — włączył się chłopak. — Naraiłaś mu naszą klientkę? Ile ci odpalił?

Jego głos nie wróżył nic dobrego. Dziewczyna chyba to wyczuła, bo zaczęła szlochać. W tle odezwał się pytający męski głos, a potem dźwięk zatrzaszczanych drzwi.

— Dzwoniłam do Wierzbickiego, ale nie odbierał. Pani chciała taksówkę... To co miałam robić?

— Zadzwonić gdziekolwiek indziej. Choćby i do...

Olgi nie interesowały personalia wszystkich taksówkarzy z Działdowa. Zależało jej na tym jednym. Okazało się, że facet nie ma licencji. Przewóz osób był jego dodatkowym źródłem dochodu, a zarabiał jako windykatorka w sektorze kredytów chwilówek.

— Mogę się założyć, że będzie miał dwa metry w barach, łysy łeb i wydziarane łapska — oświadczyła Olga, gdy opuścili budynek hotelu.



Dawid nie przyjął zakładu. Chciał wsiąść za kółko, ale Olga stanowczym ruchem odebrała mu kluczyki. Stan ledwie tłumionej paniki, w którym się znajdował, nie sprzyjał bezpiecznej jeździe. — Nie łam się. — Zanurkowała pod jego ramieniem na miejsce kierowcy. — Zjadam takich na śniadanie.

Umówili się niedaleko dworca. Już na nich czekał — rzeczywiście miał posturę atlety i malownicze tatuaże, ale jego głowa nie była łyśa. Bujne włosy zaczesywał do tyłu. Trzymały się dzięki grubej warstwie żelu. Obrazu dopełniały ciemne okulary — w ten mglisty, pochmurny dzień kompletnie nieprzydatne.

— Tutaj — powiedział, nie czekając, aż się wylegitymują. Umiał rozpoznać policjanta, nawet tak niestandardowego jak Dawid. — Przywiozłem ją tutaj.

— Ile za to wzięłeś?

Przeniósł wzrok na Olę.

— Tajemnica handlowa — zarechotał. — Nie miała z tym problemu. Zapłaciła i poszła.

— Dokąd?

Facet obrócił się w stronę zapuszczonej kamienicy. Olga dopiero teraz uświadomiła sobie, że to tę kamienicę pokazywała jej przedwczoraj Agata. To tutaj niemal trzydzieści lat temu mieszkał Dariusz Arkanowicz. Ale jaki interes mogła tu mieć jego żona?

— Dobra, zjeżdżaj — burknęła, nie zaszczycając faceta spojrzeniem. Zaklął pod nosem, ale zastosował się do polecenia. Po chwili rozległ się pisk opon. Spojrzała na oddalające się bmw. Lubiła tę markę i żałowała, że jej gust podzielają takie indywidua, jak ten pseudotaksówkarz. Robili niemieckiej firmie czarny PR. — To co? Przespacerujemy się po piętach?

Praca w policji wiązała się z częstym wchodzeniem po schodach, ale tutaj nie można było dostać zadyszki. Budynek miał zaledwie dwa poziomy. Zapukali do każdego z dwunastu lokali — po sześć na każdą klatkę. Drzwi ostatniego z mieszkań otworzył półnagi Kacper Słubicki. Jego twarz wyrażała tak komiczne zaskoczenie, że Olga nie umiała powstrzymać uśmiechu.

— Znowu pani?!

Podobnie jak pozostali mieszkańcy kamienicy, on również nie kojarzył kobiety ze zdjęcia. Gdy spytała, czy w mieszkaniu jest ktoś ze stałych mieszkańców, odsunął się i zaprosił ją do środka.

— Sami sprawdźcie — zaproponował. — Nie mam nic do ukrycia.

Życzyła mu miłego wypoczynku, chociaż chyba jeszcze bardziej potrzebował wysokokalorycznej diety. Był chudy jak szkielet. Literalnie. Przez skórę można było policzyć mu zębra. Pod tym względem też byli podobni.

— Pokaż tę mapę. — Wzięła od Dawida wydruk, nieco już pomięty od częstego oglądania. Okrąg przy ulicy Skłodowskiej-Curie, w miejscu, w którym się znajdowali, był dość duży. Według informacji z chmury Sabina Arkanowicz spędziła tu prawie godzinę. Ale „tu” nie ograniczało się do samej kamienicy. Wskazania z BTS-ów nie były tak dokładne. Margines błędu mógł wynosić sto metrów, a czasem nawet więcej. Wszystko zależało od rozmieszczenia stacji bazowych. — Chodź, rozejrzemy się.

W najbliższej okolicy znajdowały się dwa lokale usługowe: poczta i sklep spożywczy. Poczta była zamknięta, ale sklep, będący jednocześnie centrum nadawania i odbioru przesyłek, działał także w niedziele.

— Nie kojarzę — poinformowała sprzedawczyni, oddając Oldze zdjęcie. Na jego obrzeżach widniała już cała kolekcja odcisków palców. — Ale proszę się tym nie sugerować. Nie mam pamięci do twarzy, a przez sklep przewijają się tysiące klientów.

Olga rozejrzała się po pustawym wnętrzu. Żywego ducha.

— Proszę pomyśleć. Między dziewiątą a dziesiątą... — Zerknęła na oszkloną ladę. Jej wzrok zatrzymał się na gorących kielbaskach. W sklepie można było nie tylko zrobić zakupy, lecz także zjeść. — Może kupowała u pani hot dogi?

Założenie, które poczyniła, było logiczne. Hotel, w którym spała Sabina

Arkanowicz, nie serwował śniadań. Sklepiarka jeszcze raz przyjrzała się zdjęciu, a potem znów pokręciła głową.

— To nie ona. Obsługiwałam rano jedną taką... bardzo głodną, ale to nie była ona. Tamta była starsza.

— Z wyglądem różnie bywa...

— Dużo starsza. A poza tym bardzo charakterystyczna.

— W jakim sensie?

— Była niepełnosprawna. Nie miała ręki. I nogi.

Godzinny pobyt Sabiny Arkanowicz w rejonie, w którym trzy dekady temu pomieszkiwał jej nowo poślubiony mąż, pozostawał w sferze tajemnic. Olga pofatygowała się z jej fotografią także do sąsiednich budynków, ale żadna z przepytanych na tę okoliczność osób nie udzieliła pozytywnej odpowiedzi. Nikt jej nie widział. Zupełnie jakby była duchem. W przypływie desperacji Olga skierowała się nawet na pobliski dworzec PKP. Tam, przy kasach biletowych, poczuła wreszcie odrobinę nadziei.

— Twarz jakby znajoma... — Kasjerka poprawiła okulary. Na brzegu zdjęcia pojawiły się odciski kolejnych palców. — A kto to jest?

Olga wahała się jedynie przez sekundę. W końcu to nie była tajemnica fatimska.

— Sabina Arkanowicz.

— Ach tak. — Spojrzenie kasjerki stwardniało. Była w takim wieku, że mogła znać sprawę zabójcy z ekspresu „Świętowit” nie tylko z opowieści. — To żona tego zwyrodnialca. Pisali o niej w jednym z czasopism. Na okładce było to samo zdjęcie. Albo bardzo podobne.

— Czyli nie widziała jej pani dzisiaj?

Kasjerka aż wyciągnęła szyję.

— Zaginęła? — Z jej oczu wyzierała ciekawość. — Czy on...  
Podejrzewacie, że mógł zrobić jej krzywdę?

Ostatnią rzeczą, na której zależało policji, był wysyp plotek. Jak dotąd

jakimś cudem udało się trzymać sprawę pod kocem, z dala od dziennikarzy. Kasjerka wyglądała na plotkarę. Przyznać musiała to nawet Olga, która na ogół unikała intuicyjnych ocen.

— Pan Dariusz Arkanowicz przebywa w ośrodku zamkniętym — poinformowała, a potem, uprzedzając dalsze pytania, zabrała zdjęcie i wyszła z hali dworca.

Zrozumiała, że takie wymachiwanie na wszystkie strony fotografią Arkanowiczowej może wyrządzić więcej szkody niż pożytku. Ludzie czytali kolorową prasę, a historia młodej, atrakcyjnej kobiety, która postanowiła związać się z bestią, zapadała w pamięć.

Zamiast zdjęcia wzięła do ręki mapkę logowań do sieci. Spośród trzech miejsc, oznaczonych największymi okręgami, dwa mieli już za sobą: hotel i okolice kamienicy, którą nazwała w myślach gniazdem Arkanowicza. Pozostawał trzeci okręg, usytuowany w samym centrum miasta, mniej więcej w połowie drogi między rynkiem a Zamkiem. Gdy odnalazła to miejsce na Google Maps, na ekranie jej telefonu zaroilo się od symboli. Obszar, w którym Sabina Arkanowicz spędziła godzinę między dziewiątą a jedenastą, był zagłębieniem lokali i punktów usługowych. Poszukiwanie tego właściwego mogło zająć długie godziny, ale na ich korzyść działał dzień tygodnia. W niedzielę wiele miejsc było nieczynnych. W grę wchodziły głównie lokale gastronomiczne, a tych nie było aż tak dużo.

— Przyszła tam na piechotę?

Pytanie Dawida było celne. Zgodnie z informacjami zawartymi w chmurkach obecność Arkanowiczowej przy Skłodowskiej-Curie trwała do dziewiątej pięćdziesiąt siedem, a w centrum pojawiła się już dwie minuty później, o dziewiątej pięćdziesiąt dziewięć. Aby dostać się tam w takim tempie, musiała skorzystać ze środka transportu.

— Jeżdżą tu autobusy?

— W Działdowie tak, ale... — Dawid stuknął kilka razy w ekran

smartfona. — Nie tą trasą. Może znów zamówiła taksówkę? Ale to chyba mało prawdopodobne.

Przyznała mu rację. Taksówkarz-windykator nie wspominał o dodatkowym kursie, a Sabina Arkanowicz wydawała się zbyt leniwa, by szukać innej taksówki na własną rękę. Nie żeby była to jakaś filozofia, ale skoro w hotelu zleciła to dziewczynie z recepcji...

— Mają tu jakiś monitoring? — spytała, ignorując to, że Dawid trzyma przy uchu słuchawkę.

— Właśnie dzwonię, żeby się dowiedzieć. — Uzyskał połączenie z tutejszą komendą. W takich chwilach jak ta był wymarzonym partnerem, z którym nadawała na tych samych falach. Niestety w obecności osób trzecich czar przyskał. — Na Skłodowskiej-Curie nie ma kamer — poinformował ją po chwili. — Centrum miasta jest monitorowane, ale nie jest to monitoring komplementarny.

— Jaki? Nie szpanuj, tylko mów do mnie po ludzku.

— Są w nim dziury. Jeśli jechała Jagiełły albo Męczenników, to jej przejazd został zarejestrowany, ale jeśli wybrała Poprzeczną albo Poczтовую czy Waryńskiego...

Olga podziwiała sprawność, z jaką zapamiętywał układ ulic obcego miasta. Niestety, sprawność ta nie przekładała się na konkretne efekty. Skoro monitoring nie był kompletny, należało znaleźć inny sposób. Przypomniała sobie oznaczenia, na które zwróciła uwagę, gdy parkowali pod pizzerią.

— Tu jest strefa płatnego parkowania. Pewnie można uzyskać z systemu dane o godzinie nabycia biletu parkingowego...

Urwała, bo jej słowa zagłuszał sunący po szynach pociąg towarowy. Sądząc po odgłosach, przewoził uderzające o siebie płyty blachy.

— Jest niedziela — przypomniał Dawid, gdy odgłosy oddaliły się w kierunku Ławy, umożliwiając normalną rozmowę. — Parkowanie jest dziś bezpłatne.

Chwilę później przekonali się, że darmowy parking stanowił dla

zmotoryzowanych działdowian pokusę nie do przewyciężenia. Zanim udało im się znaleźć wolne miejsce, objechali ten fragment miasta tyle razy, że teraz doskonale wiedzieli, gdzie skierować się najpierw. Między dziesiątą a jedenastą ludzie — nawet głodni — rzadko myślą o daniach obiadowych. Knajpka, którą wypatrzyli, kusila wielkim dwupoziomowym szyldem. Na górze: *Kawiarnia u Romana*, a niżej: *Pyszne śniadania*.

Kawiarnia nie ograniczała się na szczęście tylko do śniadań. Teraz, kilka minut po siedemnastej, też była otwarta. Asortyment zmienił się ze śniadaniowego na deserowy. Sączące się przez oszklone drzwi ciepłe światło zachęcało do wejścia, tym bardziej że ciemnoszare niebo zraszało ulice jesiennym kapuśniaczkim.

— Jest kamera.

Dawid wskazał na umieszczone nad wejściem urządzenie rejestrujące, a potem, gdy znaleźli się w środku, tradycyjnie pozostał z tyłu. Można było o nim powiedzieć wiele rzeczy, ale nie to, że pcha się na pierwszy plan. Olga skierowała się do baru. Stojąca za nim dziewczyna miała na sobie skromną sukienkę, a na niej biały fartuszek pokojówki. Jej uśmiech pozostał szczery nawet wówczas, gdy dowiedziała się, że są tu służbowo.

— Twarz jakby znajoma, ale... — Zawahała się, a potem jeszcze raz przyjrzała się fotografii.

Olga zachowywała olimpijski spokój.

— To ktoś w rodzaju celebrytki — poinformowała, spodziewając się, że dziewczyna wspomni zaraz o czasopiśmie, ale jej pesymizm był nieuzasadniony.

— Ta pani, która przyszła tu rano, miała duże ciemne okulary. Zastanawiałam się nawet po co, bo dziś nie było ani odrobiny słońca, ale skoro to celebrytka... — Dziewczyna skrzywiła się odruchowo, pokazując swój stosunek do osób, które są znane z tego... że są znane. — To mogła być ona. — Wskazała na zdjęcie. — Miała bardzo ładne, zadbane paznokcie.

— A więc to ona. — Olga zwróciła uwagę na te pazury podczas spotkania

pod Gostyninem. Były długie jak u żbika. — Czy była tu sama?

Gdy barmanka kręciła głową, Olga poczuła uniesienie. Wyglądało na to, że zdobyli wreszcie punkt zaczepienia. Zanim jednak nasyciła swą ciekawość, jeden z klientów poprosił o dolewkę kawy. Miała ochotę rzucić mu się do gardła, ale zamiast zaspokoić mordercze instynkty, przyoblekła twarz w tolerancyjny uśmiech.

— Proszę bardzo. — Wskazała w stronę ekspresu w zachęcającym geście.  
— My zaczekamy.

Kawa nalewała się boleśnie długo, ale na szczęście wszystko ma swój kres. Gdy uszczęśliwiony klient wrócił do stolika i swej czarującej blondwłosej towarzyszki, barmanka wypowiedziała słowa, na które warto było poczekać:

— Tej pani towarzyszył mężczyzna. Koło trzydziestki, może trochę starszy. Bardzo przystojny. Wysoki, z włosami mniej więcej dotąd. — Dotknęła ramienia. — Przystojny, bardzo grzeczny i w ogóle...

Olga dostrzegła, że policzki dziewczyny pokryły się różem. Czyżby był aż tak przystojny?

— Czy zwróciła pani uwagę na to, jak się do siebie zwracali? Czy usłyszała pani może jego imię?

Miała nadzieję, że kobieta odpowie twierdząco. Czekwała na to imię, płonąąc z niecierpliwości. Opis pasował do człowieka, którego bardzo chciała poznać. Ale barmanka, zamiast potwierdzić jej podejrzenia, rozłożyła ręce. Imię Olgierd pozostało niewypowiedziane.

— Chyba na pan–pani. To nie było spotkanie przyjaciół, a przynajmniej na takie nie wyglądało. Jeśli miałabym zgadywać, to postawiłabym na spotkanie biznesowe.

Olgierd Zaniewski wcielił się już w rolę miłośnika genealogii i polsko-brytyjskiego prawnika. Czemu nie miałby zostać biznesmenem? Tyle że w tamtych sytuacjach mógł łączyć do upadłego, a tutaj... nie za bardzo. Arkanowiczowa z pewnością go znała. Musiała go znać. Przecież posługiwał

się telefonem jej małżonka. Więc może rzeczywiście był biznesmenem? Kto wie, może nawet działali z Sabiną Arkanowicz w jednej branży?

— Jak określiłaby pani ich relację? Sprzedawca–klient? Czy raczej partnerstwo?

Dziewczyna zmarszczyła czoło. Starła się pomóc. Tak, jak umiała.

— Raczej partnerstwo. Nikt tu niczego nie sprzedawał, chyba że... rady. Kobieta zadawała pytania, a mężczyzna odpowiadał. Tak to przynajmniej wyglądało. Gdy podchodziłam, przerywali. Facet zagadywał, żartował... ale to była chyba poważna rozmowa. Szczególnie z jej strony. Rzadko się widzi, by ktoś słuchał tak uważnie. Jak...

Urwała, szukając właściwego porównania. Olga pospieszyła jej z pomocą.

— Jak klient swojego prawnika?

— Być może. — Dziewczyna podrapała się po nosie, w miejscu śladu po kolczyku. Niewykluczone, że pracodawca wymagał, by go zdejmowała. — Ale chyba bardziej jak pacjent lekarza. Albo ten, no... Ktoś, kto się spowiada — księdza. W jej postawie było coś jakby... szacunek. Tak w każdym razie to widziałam.

Olga popatrzyła na nią z sympatią. Dziewczyna była spostrzegawcza. Być może dlatego, że facet był przystojny, ale to nie zmieniało faktu, że zaobserwowała więcej, niż można było oczekiwać.

— Kto płacił? — spytała karmiona nadzieją, że zdoła poznać tożsamość mężczyzny dzięki jego karcie płatniczej.

— On. — Dziewczyna dygnęła, zegnając wychodzącego klienta. Nadzieja zapłonęła mocniej, by za chwilę zgasnąć. — Gotówką.

— Dał pani napiwek?

— Tak. Ale to nie była duża suma. Dziesięć, może dwadzieścia złotych. Nie pamiętam, ale mogę to sprawdzić w zeszycie. Odkładamy napiwki do wspólnej puli...

Olga pokręciła głową. Wysokość napiwku miałyby znaczenie jedynie wówczas, gdyby istniała szansa wytypowania banknotów, na których



pozostały odciski. Skoro kobieta nie pamiętała kwoty, tym bardziej nie umiałyby wskazać banknotów.

— Czy kamera nad drzwiami działa?

— Tak. Całą dobę. Materiał nadpisuje się po czterdziestu ośmiu godzinach, więc jeśli poprosi pani szefa, to na pewno udostępni nagranie.

Olga poprosiła o kontakt do szefa. Nagranie mogło okazać się niepotrzebne, ale warto było je mieć. Wszelkich odpowiedzi w sprawie mężczyzny, który podawał się za Olgierda Zaniewskiego, mogła udzielić Sabina Arkanowicz, ale w polskim systemie prawnym nie było instrumentów, które zmusiłyby ją do mówienia. A Olga instynktownie wątpiła w jej chęć współpracy.

Podręczny hotel, ciemne okulary, kłamstwo o odwiedzinach u nieistniejących krewnych... Wszystko wskazywało na to, że Sabina Arkanowicz ma sekret. I chce, by pozostał w ukryciu.

Maciek odbił butelkę, uderzając w nią po kolei łokciem, grzbietem dłoni i czołem. Takich sztuczek, jak sam twierdził, nauczył się w pierwszych latach służby, w komendzie rejonowej na warszawskim Żoliborzu, czyli — w jego własnym slangu — w „komisie na Żeromskiego”. Agata, widząc ten pokaz wątpliwego kunsztu, uniosła oczy i przez chwilę patrzyła w sufit.

— Superpowód do świętowania — stwierdziła z przekąsem. — Impreza z okazji zwolnienia podejrzanego. Bomba.

Chociaż udawała zniesmaczoną, w głębi duszy nie miała nic przeciwko chwili relaksu. W przeciwnym razie wróciłyby do swojego pokoju. Istniała co prawda możliwość, że brała udział w tej imprezce tylko dlatego, by pilnować, żeby się za bardzo nie upili, lecz Olga szczerze w to wątpiła. Wszyscy byli przecież dorosłymi ludźmi. A w odwodzie pozostawał Dawid, który — jako abstynent — od godziny siedział w swoim pokoju i... w zasadzie nikogo nie obchodziło, co robił.

Analiza biochemiczna łyżki do opon wykazała, że zaschnięta na niej krew należała do ptaka. Nie kurczaka, jak domniemywała wcześniej Agata, tylko do

reprezentanta rodziny gołębiowatych. Prawdopodobnie zwykłego miejskiego gołębia, które widywało się w okolicy większości dworców. Maciek, gdy się o tym dowiedział, wydał z siebie kilka odgłosów przypominających gruchanie, a potem zacharczał, racząc Olę pantomimą słabnącego ptaka. Puknęła się w czoło, zadając sobie w duchu pytanie, czemu w ogóle się z nim kumpluje.

Po takich, a nie innych wynikach z laboratorium dalsze przetrzymywanie Tomasza Mendyka było nieuzasadnione. Olga była tą, której przypadł zaszczyt odwiezienia go do domu. Zrobiła to cywilnym samochodem, a on nie ukrywał swej wdzięczności, że nie wzięła radiowozu. W tak niewielkiej społeczności zatrzymanie przez policję było bardziej stygmatyzujące niż w dużym mieście. Nic więc dziwnego, że sprawiał wrażenie człowieka, który nie chce mieć do czynienia z policyjnymi symbolami, nawet jeśli w grę wchodził tylko środek transportu.

Zadanie dorwania żartownisia, który tak zabawił się kosztem Mendyka, zostało powierzone lokalnym siłom porządkowym. Osobistą pieczę nad jego wykonaniem miał sprawować nie kto inny, tylko Konrad Wiącek, który nie dalej jak wczoraj sam znalazł się po drugiej stronie stołu do przesłuchań. Jego pierwsza decyzja wzbudziła w Oldze wesołość, nad którą ledwo zapanowała. Wiącek zapragnął jeszcze raz przesłuchać Kacpra Słubickiego. Żałowała, że nie będzie jej dane zobaczyć jego miny. Chłopak zdecydowanie miał dzisiaj Dzień

Świstaka.

Zadania na dziś zostały wykonane. Byli wolni. Olga sądziła, że od razu ruszą w drogę powrotną do Warszawy, ale Agata miała inne plany, którymi nie zamierzała się dzielić. W przypiływie buntu Olga przyjęła więc zaproszenie Maćka na małą wódeczkę. Małą oczywiście w cudzysłowie. Picie z jej niedawnym szefem z Centralnego nigdy nie kończyło się na kieliszku czy dwóch.

Kieliszki były zresztą luksusem, na który zapewne nie zasłużyli. Maciek

nalewał do plastikowych kubków. Olga, w przeciwieństwie do niego, popijała raczej oszczędnie. Umiała pić, ale nie chciała, by alkohol mieszał jej w głowie. Gdy wracali z komendy, doznała olśnienia. Teraz cierpliwie rozpisywała wszystko na kartce papieru.

— Nie garb się tak. Bo wszystko ci obwiśnie.

— Martw się, żeby tobie nie obwisło — rzuciła z roztargnieniem.

Na kartce narysowała schemat linii kolejowej Działdowo–Warszawa, ze wszystkimi stacjami. Te, które ją interesowały, zaznaczyła czerwonymi krzyżykami. Krzyżyki znajdowały się przy Ciechanowie i Pomiechówku. Obszar między nimi — łącznie siedem stacji, z największą, czyli Nasielskiem — wzięła w klamrę. Przy klamrze znajdował się duży znak zapytania, który teraz starła gumką.

— Zdrowie, młoda!

Odruchowo uniosła swój kubek. Po odbiciu drugiej butelki tempo Maćka wzrosło — odwrotnie proporcjonalnie do poziomemu żartów. Agata wciąż wyglądała na zniesmaczoną, ale niesmak nie przeszkadzał jej w picciu. Pierwszy kubek opróżniła eleganckimi łyżkami. Zawartość drugiego wlała w siebie jednym haustem.

— Jak ty z nim wytrzymujesz? — spytała.

Na policzkach wykwitły jej czerwone plamy. Może z powodu ogrzewania, które Maciek ustawił na pełen zakres, może ze złości... a może powodem był alkohol? Olga nie zastanawiała się nad tym nawet przez chwilę. Całą swą uwagę skupiła na fragmencie kartki oznaczonym klamrą. Powtarzała w pamięci nazwy kolejnych stacji. Pomiechówek, Brody, Nasielsk, Jackowo... To była ta wspólna część, której szukali. Powiązanie — między Marcelem Zielińskim, Zbigniewem de Wayherem i Wasylem Zajcewem. Trzema typkami spod ciemnej gwiazdy, którzy padli ofiarą zabójcy.

Te kilka stacji było przestrzenią, w której mogli się poznać. Zieliński jechał z Mławy, Zajcew i de Wayher dosiadali się w Ciechanowie, przy czym ten drugi wysiadał w Pomiechówku. Siedem stacji, które pociąg Kolei

Mazowieckich pokonywał — zgodnie z rozkładem jazdy — przez dwadzieścia osiem minut. Czy te dwadzieścia kilka minut to wystarczająco dużo czasu, by wejść w interakcję? Z pewnością. A jeśli dodać do tego, że pokonywali tę trasę wielokrotnie, tym samym, na wpół pustym pociągiem... Mieli naprawdę dość czasu, by coś zmalować. Coś niedobrego. Coś, co mogło zadać komuś ból.

Tak duży, że postanowił ich ukarać.

— Zapalisz?

Ku swojemu zdziwieniu Olga spostrzegła, że jest jedyną osobą bez papierosa. Agata, którą brała dotąd za entuzjastkę zdrowego trybu życia, zaciągała się z taką pasją, jakby chciała wypalić całego peta naraz. Oczy jej błyszczały i nie był to zdrowy błysk. Każdy miał jakieś demony, ale zazwyczaj były one ukryte. Ona najwyraźniej postanowiła wypuścić swoje z szafy.

— Może za chwilę — skłamała Olga.

Chciała się wymknąć. Maćka znała i akceptowała, ale ta nowa, podpita Agata wzbudzała w niej niepokój. Wolą ją jako zgryźliwą mentorę niż szaloną kapłankę Dionizosa. Jednak w stronę drzwi pchała ją przede wszystkim chęć skonfrontowania swych przemyśleń z Dawidem. Jego analityczny umysł wydawał się wprost stworzony do łamigłówek, którą usiłowała rozwikłać.

— A ty dokąd? — Maciek chwycił ją za ramię.

Wymierzyła mu cios. Niby żartobliwy, ale na tyle mocny, by zabolął. Gdyby byli tu tylko we dwoje, już byłaby na korytarzu. Agaty, która zastąpiła jej drogę, nie mogła jednak potraktować tak, jak Maćka.

— Weź się nie wygłupiaj. Pokaż, w czym tak dłubiesz?

Chcąc nie chcąc, pokazała jej swoje zapiski. W innych okolicznościach zrobiłaby to z przyjemnością, ale teraz Agata cuchnęła wódką i fajkami, a w jej oczach wciąż czaiło się coś, czego Olga wolałaby nie poznać. Jeszcze we Lwowie spotkała się z opinią, że aby zajmować się zabójstwami, należało

być nieco szurniętym. Dotychczas myślała, że to jedynie taka bajeczka dla nowicjuszy, ale właśnie zmieniła zdanie.

— To tylko takie luźne przemyślenia — zaczęła zniechęcającym tonem, z nadzieją, że Agata uzna jej towarzystwo za niewarte uwagi i wróci do swych przekomarzań z Maćkiem.

W miarę jak opadał poziom alkoholu, ich słownictwo stawało się coraz bardziej wulgarne. Teraz też się o coś spierali. Maciek perorował, a Agata łąpała na niego złym okiem. Drugie niestety skierowała na schemat Olgi.

— Fajna wizualizacja — stwierdziła, po czym poprawiła błąd w jednej z nazw. Polski język potrafił być zaskakujący. Nazwę „Narzym” należało pisać przez rz. — W Pałacu Mostowskich mamy podobną, tylko że na pół ściany. Grafik zrobił nam nawet plany poszczególnych peronów.

— I co wam to dało? — wtrącił zaczepnie Maciek.

Agata odpowiedziała mu słowem, które nie nadawało się do cytowania. Olga, nie chcąc, by znów skoczyli sobie do oczu, przedstawiła im koncepcję, którą roboczo nazwała koncepcją siedmiu stacji. Oboje słuchali. Maciek odstawił nawet kubek.

— Tym, co przeszkadza nam najbardziej, jest brak kamer w porannym pociągu, którym jeździli — podsumowała pierwszy etap rozważań. — Ale szansa, że się znali... że ofiary się znały, jest naprawdę duża. Mieli okazję się poznać. Na tamtym odcinku pociąg jest niemal pusty...

Urwała, bo Agata zaczęła się śmiać. Nie był to zaraźliwy, wesoły śmiech, tylko złośliwy chichot. Śmiał się także Maciek. To był ten pierwszy raz, gdy robili to wspólnie. A przedmiotem ich wesołości była Olga. Oraz to, co powiedziała.

— Dziewczyno, zasługujesz normalnie na Nobla.

Agata chciała mówić dalej, ale znów zrobiło jej się wesoło. Olga patrzyła na nią, żując gumę. Nie była szczególnie zła. Na co dzień stykała się z ludźmi, którzy byli jeszcze mniej taktowni, a przy tym — prymitywniejsi.

— Ludzie z komendy stołecznej na pewno rozłożyli to już na czynniki

pierwsze — odezwał się Maciek, chyba trochę zakłopotany chichotem przełożonej. — I to w pierwszej kolejności. Inaczej nie płaciliby im takich pensji.

— To moja wina. — Agata zakasłała, a potem zwilżyła usta sokiem z limonki. Pewnie podziałałby na nią orzeźwiająco, gdyby wcześniej nie wlała do niego setki wódki. — Nagadałam jej o świeżym spojrzeniu, ale zapomniałam dodać, że chodzi mi o szczegóły, a nie całokształt. Nie masz pojęcia, dziecko, czym się zajmujemy. Zapoznałaś się tylko z wycinkiem. Rozumiem, że odbija ci soda... Każdy z nas miał swoją pierwszą poważną sprawę i każdy próbował na niej wypłynąć. Fajnie, że się starasz, ale musisz pamiętać o jednym. To praca zespołowa, rozumiesz?

Wesołość przeszła w atak. Na razie maskowany uśmiechami i poklepywaniem, lecz Olga zawsze bardziej ceniła sobie szczerść niż pozory.

— Wiem, jestem tylko tłumaczką, która akurat była na miejscu... Ale może, zamiast robić z siebie idiotkę, pozwolisz mi dokończyć, co? A jeśli nie... to może pozwolisz mi wyjść i trochę popracować?

Przez twarz Agaty przemknął cień. Olga pomyślała, że przeszarżowała, ale szefowa wyładowała swój gniew na papierosie. Zaciągnęła się tak, jakby to miał być ostatni raz przed egzekucją. A potem odsłoniła w uśmiechu końskie zęby.

— No dobrze, młoda. Pokaż nam, co potrafisz.

Olga nie zamierzała niczego pokazywać. Zupełnie nie o to jej chodziło. Nadgorliwość była tak sprzeczna z jej charakterem, jak to tylko możliwe. Oboje ją irytowali, i to do tego stopnia, że w innych okolicznościach posłałaby im całusa i kazała iść do diabła. Ale teraz czuła, że jest na dobrym tropie. I chciała się przekonać, dokąd ją zaprowadzi.

Z braku laku mogła udać się w tę podróż nawet z nimi.

— Co łączy Zbigniewa de Wayhera, Marcela Zielińskiego i Wasyla Zajcewa? — spytała, a potem odpowiedziała sobie sama: — Każdy z nich

miął kartotekę kryminalną. I nie były to przestępstwa gospodarcze, tylko pobicia, rozboje i kradzieże. Przestępstwa oparte na przemocy fizycznej...

— No i przemoc domowa — uzupełnił Maciek.

Patrzył na Olgę życzliwie, a przynajmniej życzliwiej niż Agata. Jej oczy zdawały się zadawać wciąż jedno, to samo pytanie: „i co z tego?”.

— Wszyscy trzej na swój sposób byli do siebie podobni — ciągnęła Olga. — Nawet z wyglądu — łyse łby, brak dbałości o higienę, niewyszukany ubiór. Jeździli tym samym pociągiem, w takich godzinach, że byli jednymi z nielicznych pasażerów. Założyliśmy, że tym, co ich łączyło... obok wspólnej podróży i typu osobowości, była Helena Wiącek, a raczej to, co do niej czuli. Tymczasem... — Wzięła głęboki wdech, bo doszła do miejsca, w którym porzuciła wydeptane ścieżki. I za cholerę nie umiała znaleźć słów, które poskładałyby jej myśli w sensowną całość. — Gdy dodamy do siebie trzech agresywnych palantów, wynikiem nie będzie *Love Story*, tylko *Rambo* — powiedziała wreszcie, a z twarzy Agaty, po raz pierwszy od początku tej rozmowy, zniknął wyraz sceptycyzmu.

— Zmierzasz do tego, że nasi panowie byli zamieszani we wspólne przestępstwo?

— Nie określiłabym tego w taki sposób. To nie musiało być przestępstwo, a przynajmniej — niekoniecznie. Mam raczej na myśli jakąś formę wspólnego zachowania, przy którym wystąpiła agresja. Fizyczna bądź psychiczna. Pamiętasz, co mówił Danił? — Zwróciła się wyłącznie do Agaty, która towarzyszyła jej przy rozpytaniu w działdowskim areszcie. — Wasyl opowiadał bratu, że obawia się reperkusji po bójce. — Nie miała pewności, czy użyła właściwego słowa, ale Agata skinęła głową. Ona również odstawiła kubek i w tej chwili szukała czegoś w torebce. Odtrutki na alkohol? — Mamy siedem stacji i trzech agresywnych palantów. A my zakładamy, że podpadli komuś tym, że bajerowali dziewczynę. To takie trochę nie za mądre, nie uważasz?

Agata znalazła wreszcie to, czego szukała. Pendrive. Wetknęła go do portu

Maćkowego laptopa, stojącego między butelkami.

— Hasło — zażądała, a kiedy Maciek wprowadził szereg liter i cyfr, wklepała drugie — to, którym zabezpieczony był pendrive. — Widzisz, moja droga, tu nie do końca chodziło o bójkę. Nie wiem, czy to on coś pokręcił, czy też twój Danił ma kiepską pamięć...

— On, czyli... Anatol Zajcew?

— Tak. Dotarliśmy do niego za pośrednictwem twoich dawnych kolegów z lwowskiej policji. Podobno na początku nie był zbyt gadatliwy, ale gdy poinformowali go o śmierci brata, zmienił front. Obiecali mu przepustkę z więzienia, na pogrzeb... Otóż z tego, co zeznał, wynika, że jego braciszek nikogo nie pobił, lecz jedynie był świadkiem pobicia. I bał się, czy nie będzie miał problemów, że tego nie zgłosił.

— To niczego nie zmienia — wtrąciła szybko Olga, a Agata przyznała jej rację.

— Opowiedziałam ci to tylko dlatego, żeby ci uświadomić, że robimy więcej, niż ci się wydaje. Dużo więcej. Dołączyłaś do tej sprawy na ostatniej prostej. — Westchnęła, bo widocznie przypomniła sobie, że na końcu tej ostatniej prostej wciąż nie było widać mety. — Wersja ze wspólnym pobiciem była analizowana ze wszystkich stron.

— To może warto do niej wrócić?

Agata zachichotała. W dłoni znów trzymała drinka. Drugą dłoń położyła na myszce, otwierając zawartość pendrive'a.

— Żeby do czegoś wrócić, trzeba najpierw to porzucić... A tej wersji nikt nie porzucił. Pracuje nad nią zespół ludzi. Proszę, popatrz sobie. To wszystko to skany dokumentów... — Przesunęła suwakiem, przewijając listę plików, a potem otworzyła pierwszy z brzegu: skan *Protokołu oględzin zapisu cyfrowego z kamery na stacji w Brodach Warszawskich* z jedenastego sierpnia tego roku.

— Szukaliście na tych nagraniach naszych trzech panów?

— Ich też, ale przede wszystkim ofiar pobicia. Wyszliśmy poza twoją teorię



dotyczącą tych siedmiu stacji. Sprawdziliśmy monitoring także z dalszej części trasy, aż do Warszawy. De Wayher jeździł tylko do Pomiechówka, ale może ten jeden raz pojechał dalej? Na tej samej zasadzie sprawdzeniem objełiśmy także odcinek między Ciechanowem a Działdowem. Mam nadzieję, moja droga, że teraz będziesz już mogła spać spokojnie.

Olga zignorowała protekcyjny ton, a także powtarzający się już któryś raz zwrot „moja droga”, który postrzegła jako irytujący. Zignorowała także to, co mignęło jej przed oczami i co chciała jak najszybciej wymazać z pamięci. Dłoń Maćka, błędząca w okolicach pleców Agaty, a konkretniej — ich dolnej części.

— Czy sprawdzaliście szpitale?

— Oczywiście. Ośrodki zdrowia, punkty ambulatoryjne... Masz pojęcie, ile jest takich miejsc? Od Działdowa po Warszawę? Zapytanie poszło nawet do jednostek w gminach podwarszawskich, na wypadek gdyby ewentualna ofiara zamieszkiwała na obrzeżach aglomeracji.

— Czy w dokumentacji medycznej jest rubryka: *ofiara agresji w pociągu*, obok której trzeba zaznaczyć tak lub nie?

Ku zdumieniu Olgi Agata mocno ją przytuliła. Jej szczupłe ciało zdawało się roztopiać niczym wosk. Była ciepła, zroszona potem i trzęsła się ze śmiechu.

— Niezły numer z ciebie! — wykrzyczała Oldze do ucha, owiewając ją zapachem drinka z limonką, a potem dodała, już nieco ciszej: — Przepraszam, że potraktowałam cię z buta. Czasami potrafię być jędzą...

— Byliście w tych szpitalach czy tylko rozesłaliście pisma?

— Wysłaliśmy tam szeryfów. — W policyjnym slangu określano w ten sposób dzielnicowych, czyli policjantów prewencji przypisanych do konkretnego rejonu. — Czy wiesz, do ilu zdarzeń dochodzi w pociągach?

— Coś tam wiem — odparła Olga.

Agata uderzyła się w czoło, rozchlapując część swojego drinka. Chyba dotarło do niej, że zadała to pytanie funkcjonariuszce z komisariatu

kolejowego. Chciała coś powiedzieć, ale nie zdążyła, bo wszystko zagłuszyła głośna muzyka.

— No, dziewczyny. — Maciek, bardzo z siebie dumny, zredukował głośność do takiego poziomu, by z okien nie wyleciały szyby. Hotelowe radio było niepozorne, ale miało moc. — Tańczymy, tańczymy. Kto nie skacze, ten z policji!

Olga po tym, jak zobaczyła jego rękę na szczupłym tyłku Agaty, obiecała sobie, że nic już nie wprawi jej w zdziwienie, ale teraz miała ochotę przetrzeć oczy. Agata wstała i wykręciła zaskakująco zgrabny piruet, a potem zaczęła poruszać się w rytm muzyki, nie wypuszczając swojego drinka. Maciek nie pozostał bierny. Stał naprzeciwko, a wtedy ona zarzuciła mu rękę na szyję i przywarła do niego całym ciałem w taki sposób, jakby z głośników nie płynęła muzyka funkowa, tylko namiętne tango. Widząc ich w tych czułych podrygach, trudno było uwierzyć, że jeszcze kilkanaście minut temu ledwo mogli na siebie patrzeć.

Olga nie miała ochoty tego oglądać. Odwróciła się do nich bokiem. Sądziła, że Maciek będzie się domagał, by do nich dołączyła, ale po chwili zrozumiała, że w tym momencie jedyną kobietą w tym pokoju jest dla niego Agata. I dobrze. Olga lubiła sobie potańczyć, ale nie była aż tak niewybredna, by ruszać w tany z dwójką pijanych przełożonych. Korzystając z tego, że byli zajęci sobą, otworzyła losowy plik z pendrive'a Agaty. A potem kolejny. I jeszcze jeden.

Sprawdzenia w szpitalach i ośrodkach zdrowia były dokumentowane w formie notatki służbowej. Obiektów było tak wiele, że ich weryfikacja zajęła ponad miesiąc — na taki okres wskazywały daty sporządzenia notatek. Z ich treści wynikało, że śledczych interesowały interwencje medyczne wykonane od czerwca tego roku. Taka cezura czasowa wydała się Oldze racjonalna — jeżeli motywem działania sprawcy zabójstwa była zemsta za doznany uszczerbek, to trudno było zakładać, by czekał w nieskończoność. Przeglądała kolejne notatki. Część sprawdzeń była owocna czy też — jak

określali je autorzy notatek — pozytywna. Szpitalny oddział ratunkowy szpitala w Ciechanowie udzielił w sierpniu pomocy człowiekowi, który wypadł z pociągu do Gdyni, a stacja pogotowia ratunkowego przy Nowodworskim Centrum Medycznym — kobiecie, która padła ofiarą rozboju. W tym drugim wypadku obok pliku z notatką dzielnicowego był również skan protokołu z przyjęcia zawiadomienia o przestępstwie, a także skan postanowienia o przedstawieniu zarzutów. Sprawcę ujęto. Nie było zatem powodu, by się mścić.

Zamknęła plik i zerknęła na zaimprovizowany parkiet. Nie podejrzewała Maćka o taką żywiołowość — kolega skakał wokół Agaty z energią dwudziestolatka. Agata poruszała się o dwa tempa wolniej. Zmysłowo i uwodzicielsko niczym kotka w okresie rui. Jedną dłoń oparła na biodrze, a drugą celowała w sufit. Śpiewała, zerkając na swojego partnera spod półprzymkniętych powiek.

Olga wołała nie rozważać, czym to się skończy.

Korzystając, że nadal byli zajęci sobą, znów zaczęła wertować pliki. Były pogrupowane tematycznie i wszystkie — bez wyjątku — dotyczyły koncepcji, którą przedstawiła. Koncepcji, która była już realizowana. Porażona ogromem wykonanej pracy odnalazła między protokołami oględzin a notatkami ze szpitali kilkadziesiąt raportów sporządzonych przez załogi konduktorskie Kolei Mazowieckich. Znaczna część dotyczyła opóźnień wywołanych zdarzeniami losowymi — awarią trakcji, awarią składu, doraźnymi pracami remontowymi, ztorem... Wśród raportów były jednak te bardziej interesujące, które powstały w wyniku zdarzeń wywołanych przez pasażerów. W jednym z nich Olga znalazła informację o przerwaniu kursu w związku z koniecznością wezwania pomocy medycznej do pobitego pasażera, w innym — o wezwaniu policji po naruszeniu nietykalności fizycznej konduktora, a w jeszcze innym — o wezwaniu policji i Straży Ochrony Kolei w związku ze zbiorową bójką dwóch zwaśnionych grup kibicowskich. Było jeszcze kilka innych agresywnych wystąpień polegających na kierowaniu gróźb w stosunku

do załogi konduktorskiej lub współpasażerów. Geneza takich zachowań nie była zaskakująca, a przynajmniej nie dla Olgi, która uczestniczyła w podobnych interwencjach. Powodem agresji były w przeważającej większości wezwania do założenia maseczki.

Znak czasów, które nastąpiły.

Olga nie zwracała uwagi na nazwiska osób z policyjnych protokołów, które przyporządkowano do raportów. Każda z tych osób i wywołanych przez nie sytuacji była przedmiotem drobiazgowej analizy. Zgłoszone incydenty zostały już sprawdzone. Klucz do rozwikłania sprawy mógł znajdować się w tych niezgłoszonych, ale powstawało pytanie: jak jeszcze ich szukać?

— Ojej.

Oderwała wzrok od ekranu i to, co zobaczyła, bardzo jej się nie spodobało. Maciek i Agata stali w rogu pokoju, spleceni w uścisku niczym dwa węgorki. Usta mieli złączone. Pocałunek nie był namiętny, tylko zaskakująco liryczny. Wstała z zamiarem przerwania tej farsy. We Lwowie poznała powiedzenie, które pasowało tu jak ulał. W wolnym tłumaczeniu, po usunięciu wulgaryzmów, sprowadzało się do napiętnowania romansów w miejscu pracy. Olga uznawała je za trafne. Z takich romansów nie wynikało nic dobrego, zwłaszcza jeśli były przelotne.

— Chyba pora już spać — powiedziała, przekrzykując muzykę, ale nie zareagowali. Byli tak zajęci sobą, że bardziej już się nie dało. — Agata! Halo, tu Ziemia!

Z premedytacją zwróciła się do Agaty, którą miała mimo wszystko za rozsądniejszą. Faceci w tych sprawach zupełnie wyłączali myślenie. Niestety komunikat okazał się nieskuteczny. Agata oderwała się od Maćka tylko na moment:

— Wszystko okej — powiedziała zdyszonym głosem. — Wiem, co robię...

— Wątpię — odparła Olga, ale jej głos rozsądku nie przedarł się przez barierę amoku, który ogarnął tę parę.

Nie chciała być świadkiem tego, co nastąpi. Wychodząc, wyłączyła

muzykę, ale nawet nie zwrócili na to uwagi. Zamiast do swojego pokoju skierowała się na taras. Chciała odetchnąć. Nie przeszkadzał jej wcale chłód.

Hotel mieścił się niedaleko centrum, ale o tej porze — w środku nocy — ulice miasta były wyludnione. Wielkimi krokami nadchodził poniedziałek. Dla większości ludzi — pierwszy dzień pracy po weekendzie. Dzwonek telefonu rozbrzmiał w nocnej ciszy tak donośnie, że aż się wzdrygnęła.

— Słucham — spytała z zaciekawieniem, bo numer był obcy, a pora... nietypowa.

W słuchawce odezwał się męski głos. Należał do Dobka, przyjaciela Maćka z wojewódzkiej w Olsztynie.

— Nie mogę go złapać...

— To będzie raczej trudne — odparła z przekąsem, ale nie posunęła się do tego, by poinformować go o aktualnej aktywności Maćka. — Może ja mogłabym pomóc?

Sprawa, z którą dzwonił, była banalna. Chodziło o listy uczniów technikum gastronomicznego, z lat Arkanowicza. Wśród tych uczniów była zapewne tajemnicza praktykantka z Warszawy, którą interesował się przed śmiercią Jacek Twardygrosz.

— Nie wiem, na jaki adres mam to przesłać.

Podyktowała mu służbowego maila. Chyba czekał na wyrazy wdzięczności, bo zamiast się rozłączyć, zaczął jej wyliczać, ilu ludzi musiał ściągnąć do pracy.

— Dziś jest niedziela — poinformował, jakby tego nie wiedziała.

— A zaraz będzie poniedziałek. — Chciała mu dać do zrozumienia, że trochę późno na pogaduszki, lecz aluzja okazała się zbyt subtelna. Poczowała chłód. Zamknęła drzwi na taras i ruszyła korytarzem w kierunku swojego pokoju, ze słuchawką przy uchu. — Ilu było tych uczniów? — spytała, przerywając jego wynurzenia o konieczności rozliczania nadgodzin.

— Obrobiliśmy dwa roki szkolne... Roki? Czy lata?

— Nieważne. Ilu było uczniów?

— W każdym roczniku po siedem klas. Razy sześć roczników, razy trzydzieści osób w klasie... Łatwo obliczyć, że dużo.

— Ile?

— Dokładnie tysiąc trzysta czternaście osób. Łatwo zapamiętać. To rok śmierci Jakuba de Molay, ostatniego wielkiego mistrza zakonu templariuszy...

— Co?

Nie chodziło jej o nieszczęsnych templariuszy. Kiedyś nawet coś o nich czytała. Była zaskoczona liczbą uczniów. Spodziewała się wartości o wiele niższej.

— Dwadzieścia trzy osoby możesz odliczyć. Nie żyją. Dla pozostałych ustaliliśmy adresy zamieszkania, stany cywilne i pozostałe dane z bazy PESEL, a dodatkowo ZUS i CEPiK.

— Po co CEPiK? — spytała odruchowo.

Pod tym skrótowcem kryła się Centralna Ewidencja Pojazdów i Kierowców.

— Bo większość ludzi, których ściągnąłem, pracuje w drogówce. Zawsze zaczynają od CEPiK-u.

— Aha. — Pomijając CEPiK, była pod wrażeniem. — A ile jest kobiet?

— Sześćset osiemdziesiąt siedem. Trochę mniej niż połowa.

Olga, która od kilku chwil szukała klucza, wreszcie go znalazła. Z sąsiadującego z jej pokojem pokoju Maćka dochodziły odgłosy, których wolałaby nie słyszeć. Jęki Agaty budziły skojarzenie z salą tortur. Zanosilo się na ciekawą noc...

— Czy możesz filtrować te nazwiska pod względem miejsca zamieszkania?

— Pod każdym względem, jaki tylko chcesz. Nazwiska, wieku, miejsca zamieszkania, podmiotu odprowadzającego składkę emerytalną... Tak właśnie działa Excel.

— A obywatelstwa?

— Nie ma potrzeby. Sami Polacy.

— A czy są jakieś nazwiska rosyjskie? Ukraińskie, białoruskie... Wiesz, o co mi chodzi?

— Wiem — odparł sucho Dobek. — Niestety Excel nie ma opcji rozpoznawania rosyjskich nazwisk. Będziecie musieli to sprawdzić... na piechotę. Zaraz wyślę ci listę na maila.

Olga wzruszyła ramionami. Po cichu liczyła na to, że wśród uczniów olsztyńskiego gastronomika znajdzie Ukrainkę (lub Białorusinkę), z którą prowadzał się Arkanowicz. Dziewczynę, którą wyśmiali jego kumple podczas studniówki. Musiała jednak uzbroić się w cierpliwość. Nie miała służbowego laptopa, a laptop Maćka... Był poza jej zasięgiem. Nie zamierzała wkraczać do krainy rozkoszy.

— A mógłbyś sprawdzić, czy na liście jest ktoś z Działdowa? spytała.

W Działdowie mieszkał kiedyś Arkanowicz, a dziś... znaczna część kolejarzy obsługujących połączenie z Warszawą. Można powiedzieć, że wszystko w tej sprawie kręciło się wokół Działdowa.

— Jest trzydzieści dziewięć osób.

— A kobiet?

Westchnął, ale po chwili odpowiedział.

— Szesnaście.

— Mógłbyś zrobić mi zrzut ekranu i przesłać MMS-em?

— Nie jestem informatykiem — stwierdził, jakby do tego, o co poprosiła, potrzebne były specjalne umiejętności. — Ale mogę zrobić ci zdjęcie. Co to za wrzaski?

Agata przechodziła samą siebie. Było ją słyhać nie tylko na piętrze, ale zapewne również na parterze. A także w Olsztynie. Albo Maciek był świetnym kochankiem, albo była bardzo wyposzczona.

— To z telewizora.

— Oglądasz pornosa?

MMS ze zdjęciem przyszedł kilka chwil po tym, gdy Dobek się rozłączył. Policjanci z Olsztyna wykonali kawał dobrej roboty. Tabela, w której umieszczono dane, była nabita danymi, ale przy tym czytelna. Obok nazwisk znajdowały się numery PESEL, po nich miejscowości, a jeszcze dalej —

dokładne adresy zamieszkania. Olga przeczytała nazwiska, z których żadne nic jej nie mówiło, a potem zerknęła na adresy. Serce zaczęło jej uderzać trochę szybciej, bo jeden z nich wydawał się znajomy. Ulica Marii Skłodowskiej-Curie...

— O kurczę.

Jedna z dawnych uczennic mieszkała w tej nieszczęsnej kamienicy. Tej, w której mieszkał Jacek Twardygrosz, a przedtem Dariusz Arkanowicz. Pod piątką. Olga wynotowała sobie jej nazwisko. Czyżby Jacek Twardygrosz szukał w Olsztynie informacji o sąsiadce?

Janinie Kossakowskiej?



# 11.

W swoim prawie trzydziestodwuletnim życiu miałem kilka naprawdę trudnych dni. Na przykład dzień, w którym Ewka kazała mi się wynieść z naszego mieszkania. Dzień, w którym oznajmiła, że chce rozwodu. Dzień, w którym przegrałem w kasynie pieniądze, które pożyczyłem sobie ze szkolnej kasy. Dzień, w którym się do tego przyznałem. Dzień, w którym trafiłem do więzienia. I nade wszystko dzień wypadku. Wypadku, po którym mój syn został kaleką.

Dzisiejszy dzień nie był aż tak zły, lecz na pewno — bardziej męczący. Sądziłem, że po kilkugodzinnym pobycie na komendzie dane mi będzie wreszcie się zdrzemnąć, ale najpierw niezapowiedzianą wizytę złożyła mi ta piekielna baba, która mnie przesłuchiwała, a jakiś czas potem, gdy wreszcie udało mi się zasnąć, zadzwonił Konrad. Gdy dotarło do mnie, że każe mi znów przyjść na komendę, przerwałem połączenie. Jak zwykle był jednak uparty. Zanim zdążyłem usnąć, pojawił się pod drzwiami. Walił w nie tak długo, że w końcu się poddałem.

— Czego chcesz?

— Przydałby mi się jakiś mały sukces. — Nie czekając na zaproszenie, władował się do mieszkania, a potem wszedł za mną do łazienki. — Jesteś sam?

— Nie wiem — zabulgotałem z głową pod kranem.

Nie wiedziałem nawet, która jest godzina. Mieszkanie było ciemne, ale to niczego nie dowodziło. Pani Janina spała o różnych porach, a jej mąż często alkoholizował się na strychu.

— Mówią, że dałeś dziś czadu.

— Tak mówią? — Zakładałem, że nawiązywał do moich występów na

komendzie. — Skąd wytrzasnęliście tę babkę? — Uniósł brwi. — Tę chudą, co ciągle się uśmiecha i zaciąga jak w *Samych swoich*...

— To Ukrainka. Z Warszawy.

Machnął ręką, jakby informacja, że jest z Warszawy, wystarczała za komentarz. Nie lubił warszawiaków. Prawdopodobnie zakładał, że każdy mieszkaniec stolicy ostrzy sobie zęby na jego rozrywkową żonę.

— Helena jedzie dziś na noc?

— Nie. Bierze zwolnienie. Ta cała sytuacja wyczerpała ją psychicznie.

Nie dopytywałem, o co dokładnie chodzi. Nie miałem ochoty na wysłuchiwanie długiej listy pretensji i uraz, które żywił do swojej małżonki. To, co usłyszałem od jego ojca, w pełni mi wystarczało. Wytarłem głowę, a potem sprawdziłem godzinę i cicho jęknąłem. Mój pociąg ruszał za pięćdziesiąt minut. Za kwadrans powinienem być na stacji.

— Czego ode mnie chcesz? — spytałem, rzucając na krzesło elementy garderoby, które miałem włożyć.

Majaczyło mi, że mówił coś o potrzebie sukcesu. Nie miałem pojęcia, jak mógłbym pomóc.

— Kto ma dostęp do łazienek w pociągach?

Pomyślałem o poczciwym Kaziu, który podzielił się ze mną swoją wałówką. Postanowiłem go nie obciążać. Znałem ten błysk, który pojawił się w oczach Konrada. Gdybym teraz powiedział, że o kluczach dowiedziałem się od Kazia, wsiadłby w radiowóz, pojechał do Nidzicy i zepsuł mu niedzielny wieczór.

— Klucz uniwersalny jest w schowku. Dostęp do niego ma każdy członek drużyny konduktorskiej. Nasz skład obsługuje trzy zespoły, czyli jakieś piętnaście osób... Którą byś włożył?

Wskazałem na dwie koszule: tę, którą miałem na sobie dzisiaj, i drugą — świeżą, ale niewyprasowaną. Konrad ledwo rzucił na nie okiem.

— I tak będziesz brzydki — stwierdził mściwie, niezadowolony, że nie

wskazałem mu konkretnej osoby, do której mógłby się doczepić. — A oprócz kolejarzy? Kto jeszcze mógł podłożyć tam tę łyżkę do opon?

— Każdy. To nie jest skomplikowany zamek. Wystarczy kilka minut i odrobina smykałki technicznej...

— Czy wejście do łazienki znajduje się w zasięgu kamery?

— Tak — odparłem, wybierając koszulę numer dwa. Pachnącą, ale jak psu z gardła wyjętą. Nie było czasu na dokładne prasowanie, ale podłączyłem żelazko i przeciągnąłem chociaż przód — a przynajmniej te jego fragmenty, które wystają spod marynarki. — Ale kamery nie są włączone przez całą dobę. Uruchamia się je na czas jazdy.

— Czyli jak pociąg stoi w zajezdni...

— Wtedy nie działają — dokończyłem, rzucając mu krawat. — Tylko bez fuszerki. Węzeł ma być gruby. I prosty.

Uczepił się mnie niczym rzep psiego ogona. Uwolniłem się od jego towarzystwa dopiero na stacji — postanowił osobiście obejrzyć zabezpieczenia łazienek, udając się w tym celu na bocznice, którą uparcie nazywał zajezdnią. Wparowałem do pokoju dyspozytora grubo po czasie, ale zamiast spodziewanej reprymendy otrzymałem jedynie ciężkie westchnienie.

— Masz farta, Słubicki. — Wąsaty dyspozytor ledwo podniósł wzrok znad rozłożonych na biurku papierów. — Była awaria trakcji. Wyjedziecie z opóźnieniem.

Poszedłem do kiosku z przekąskami, ale właścicielka zamknęła mi go przed samym nosem. Słyszając, jak burczy mi w brzuchu, skierowałem się na perony. Pociąg, który miał być dziś moim miejscem pracy, wciąż był w drodze. Przy czole peronu czekał już Mikołaj, a raczej Mykoła — maszynista z przylepionym do ust petem.

— Ahoj!

Pozdrowiłem go po marynarsku, a on w odpowiedzi skinął głową. Nasze stosunki stawały się coraz cieplejsze, ale nie czułem potrzeby ich dalszego zacieśnienia. Schowałem się pod daszek, bo z nieba spadała wilgotna mgła,

i przez chwilę przyglądałem się drewnianemu siedzisku, zastanawiając się, czy dam radę uciąć na nim komara. Doszedłem do wniosku, że tak, ale zanim wcieliłem mój plan w życie, mój wzrok wyłowił ze spowijającego peron półmroku znajomą, pękatą sylwetkę pani Janiny.

— Znowu w pracy? — spytałem przyjaźnie, a ona poprawiła kamizelkę odblaskową. — Nie oszczędzają pani.

— Co poradzić?

— Nic. — Rozłożyłem ręce. — Witam w klubie.

— Pewnie jesteś głodny?

Miałem cichą nadzieję, że znów poczęstuje mnie czymś do jedzenia. Ku mej radości sięgnęła do torby i wyjęła z niej okazałe zawiniątko, a potem podzieliła je na dwie części. Mnie przypadła ta większa, z jabłkiem. Jej bezinteresowna dobroć była czymś tak niespotykanym, że na chwilę mnie zatkało. Nie umiałem znaleźć słów, by wyrazić swoją wdzięczność.

— To wczoraj... było pyszne — wydukałem wreszcie, niczym opóźniony w rozwoju krytyk kulinarny. — Pani powinna otworzyć kiosk z przekąskami. Konkurencja poszłaby z torbami — dodałem mściwie, myśląc o złośliwej jędzy, która zamknęła mi przed nosem swój żaloszny kramik.

— Chodziłam do gastronomika w Olsztynie. — Przez zmęczoną twarz kobiety przemknął melancholijny uśmiech. — Ale nie skończyłam. Zaszłam w ciążę, urodziła się Michalinka... A potem nie było już czasu na naukę. Trzeba było zarabiać na chleb.

Schyliła się i podniosła papieraek po batoniku. Słyszając jej stęknienie, poczułem żal. Była do tej roboty zbyt schorowana. I za tęga. Ale życie potrafiło być brutalne. Kosztowało i — przynajmniej tu, w Działdowie — nie oferowało innych opcji zarobkowania.

— Czy nie wyciągnęłaby pani więcej za ten pokój? — spytałem niczym kamikaze.

Cena, którą jej płaciłem, czyli trzysta pięćdziesiąt złotych miesięcznie, była

niewygórowana. Tak niewygórowana, że wręcz śmieszna. Czysze najmu innych pokoi „przy rodzinie” były zdecydowanie wyższe.

— A możesz zapłacić więcej?

— Na razie... chyba nie — przyznałem.

— Pieniądze to nie wszystko. Jak staniesz na nogi, to pogadamy o podwyżce. A na razie... Na razie się nie przejmuj. — Zdjęła rękawiczkę i musnęła spracowaną dłonią mój zarośnięty policzek. — Nadjeżdża nasz pociąg.

— Nasz? — spytałem ze zdziwieniem.

— Usługa mobilnego sprzątanego pociągów. Jadę i sprzątam. Do Mławy, a potem wracam innym składem. Latem to jak wycieczka, ale teraz zrobię się po łokcie. Przy takiej pogodzie podłogi są czarne od błota...

Odwróciłem się, słysząc swoje imię. Moim dzisiejszym partnerem był Bartek Fudała, zwany Studentem. Młodszy ode mnie, pracował na pół etatu, studiując archeologię. Pamiętałem go ze szkolenia — miał wygląd wymoczka i często się zacinał. Cieszył się zasłużoną ponoć reputacją bumelanta. To jedno wystarczało, bym go polubił.

— Dwanaście minut w plecy już na starcie — stwierdził, zabawnie się krzywiąc. — Nadrobimy... albo i nie. Weźmiesz dwójkę, okej? I mam dla ciebie dobrą radę: nie czepiaj się, jak ktoś nie będzie mieć maseczki. Łatwo można dostać w pysk, a chyba nie płacą nam aż tyle...

Nie zamierzałem nikogo się czepiać. Korzystając z tego, że w moim wagonie numer dwa są trzy osoby na krzyż, znalazłem sobie przytulny kącik i zapadłem w coś na kształt letargu. Oczywiście nie siadałem — jeśli chodzi o nowicjuszy takich jak ja, to siadanie jest zakazane nawet podczas wypisywania biletu. Podsypiałem na stojąco, trzeźwiejąc na moment tylko wtedy, gdy zatrzymywaliśmy się na stacjach.

— Spokojnej służby. — Pani Janina, tak jak zapowiadała, zakończyła swą podróż w Mławie.

Starając się nie zniszczyć jej pracy, unikałem kałuż z błotem, ale akurat na

peronie w Mławie wdepnąłem w tak głęboką, że zachlupotało mi w bucie. Lodowata woda podziałała na mnie lepiej niż kawa. Pomachałem pani Janinie, a gdy ruszyliśmy w dalszą drogę, przeszedłem przez skład z pierwszą kontrolą biletów. Pod jej koniec wypisałem pierwszy w życiu mandat.

— Ile to będzie?

— Sto pięćdziesiąt.

— Ile?!

Dyskusja z niezadowolonym pasażerem odegnała resztkę senności. Zanim przekonałem go, że ulgowa płatność pod stołem nie wchodzi w grę, dotarliśmy do Ciechanowa. Jeden z ciechanowian wkroczył do pociągu ze śpiewem na ustach. Nie mogłem narzekać na brak zajęć.

— Ale zoo — poskarżyłem się Studentowi na stacji w Nasielsku.

— A czego byś chciał? — Roześmiał się lekceważąco. — Naród świętuje koniec weekendu...

W przerwach między stacjami, sprzedawaniem biletów i rozwiązywaniem problemów z niesfornymi pasażerami znalazłem jeszcze trochę czasu, by pokorespondować z Manułą. Gdy minęliśmy Nowy Dwór, napisałem również do innej dziewczyny. Do Klaudii. Prowadziła bardzo intensywne życie, ale ku mojemu zaskoczeniu pamiętała. Kiedy z siedmiominutowym opóźnieniem zakończyliśmy kurs na Centralnym, czekała na mnie przy schodach ruchomych.

— Fajna sztuka — skomentował Student. — To coś na stałe czy tak... doraźnie?

— Na stałe — odparłem. — Już do grobowej deski.

— Poważnie?

— Poważniej się nie da. To moja siostra.

Kludia była ode mnie cztery lata młodsza. Po skończeniu studiów została w Warszawie na studiach doktoranckich. Zajęcia na uczelni — te, które prowadziła, i te, w których uczestniczyła jako słuchaczka — zabierały jej tylko kilka godzin tygodniowo. Resztę przeznaczyła na zabawę.

— Wyglądasz jak lump.

Cmoknęła mnie w policzek, pociągając przy tym nosem. Zapewne sprawdzała, czy również tak pachnę, ale na Centralnym trudno było wyczuć coś więcej niż tylko zapach podziemi. Podobnie musiało pachnieć w bunkrach Wilczego Szańca.

— Dziękuję — odparłem sarkastycznie. Chciałem powiedzieć coś złośliwego o jej nowej fryzurze, ale się powstrzymałem. Przychodząc tu, oddawała mi przysługę, a zamierzałem poprosić o jeszcze więcej. — Mogę pomacać? — Nie czekając na odpowiedź, przejechałem dłonią po jej prawie łysej głowie. Kiedyś obcięła się podobnie, ale teraz musiała nastawić maszynkę na jeszcze krócej. Włosy miały tylko kilka milimetrów i były zaskakująco szorstkie. Jak tarka. Gdy wyprowadzała się z domu, sięgały do pasa, kręcąc się na podobieństwo sprężynek. — Nie jest ci zimno?

Nie zaszczyciła mnie odpowiedzią. Student miał rację — rzeczywiście była ładna, chociaż ja wolałem chyba wersję sprzed kilku lat. Z długimi włosami, ale za to bez kolczyków i tatuaży. *Cóż, de gustibus non est disputandum.*

— Co u rodziców?

— Bez zmian. Ciągle jestem tym złym, a ty tą dobrą.

— I prawidłowo. — Zaśmiała się, pokazując kolejny kolczyk. W języku. — Słyszałam, że prowadzasz się z Manuelą. To nudziara, głupia jak gęś. Gratuluję. Pasuje do ciebie jak mało kto.

Jej opinia nie miała dla mnie znaczenia. Były z Manuelą tak różne, że zdziwiłbym się, gdyby ją pochwaliła. Przez głowę przemknęło mi pytanie, skąd, do cholery, wie o Manueli, ale od razu je odegnałem. Już i tak był środek nocy.

— Masz czapkę?

— Mam. — Pokazała mi ogromny twór z wełny we wszystkich kolorach tęczy.

— Super. Chciałbym, żebyś przez chwilę wyglądała jak grzeczna dziewczynka. Przyjechałaś samochodem?

— Tak, sahibie. Zgodnie z twoim poleceniem. — Skłoniła się błazeńsko, a potem naciągnęła czapkę. Przemiana była szokująca. Miałem przed sobą zupełnie inną osobę. — To powiesz mi wreszcie, czego ode mnie chcesz? Mam kogoś zbajerować, tak? Policjanta? Komornika? A może księdza?

Skrzywiłem się na tę ostatnią propozycję.

— Pewną kobietę.

— Kobietę? — Wreszcie przestała się wygłupiać.

Chyba myślała, że sobie żartuję, ale byłem śmiertelnie poważny.

— Tak. Chcę, żeby otworzyła nam drzwi, teraz, w środku nocy. I nie zaczęła krzyczeć.

Cofnęła się o krok.

— A... jeśli mogę spytać: co chcesz jej zrobić?

— Chciałbym jej zadać kilka pytań.

Wy tłumaczyłem jej wszystko w drodze do samochodu. Postawiłem na szczerść — i tak była zbyt warszawska, by wtrącać się w nasze działdowskie sprawy.

— Tomek ma tu dziewczynę? — spytała zdumiona.

Również miała do niego słabość. Większość kobiet, które znałem, traktowała go jak rycerza w lśniącej zbroi.

— I to nie jest jego największy problem — dodałem. Co prawda Konrad zdradził mi, że Tomek został zwolniony do domu, ale sam fakt wyprowadzenia w kajdankach wystarczał, by na długo zatruć mu życie. Wbrew pozorom nie byłem tym zachwycony. Obawiałem się złego wpływu, jaki ta sytuacja mogła mieć na komfort psychiczny moich dzieci. — Nie wiem, czy to dziewczyna w ujęciu romantycznym... Pewnie chodzi tylko o seks, ale wolałbym sprawdzić. Nie muszę ci mówić dlaczego, prawda?

— Nie musisz.

Klaudia zarzekała się, że nie chce dzieci, że ich nie znosi, że dzieci to zło... Ale kochała Adasia i Olę całym swym zbuntowanym sercem. Po wypadku Adasia oddała Ewce wszystkie oszczędności, a gdy zarabiałem na platformie,



odwiedzała bratanków przynajmniej dwa razy w miesiącu — chociaż tak bardzo nie lubiła wracać do Działdowa.

— Gdybym poszedł do tej babki sam, na pewno by mi nie otworzyła. Nie w środku nocy. A jak zobaczy dziewczynę...

— Ty z tymi włosami i gładką buzią też wyglądasz jak dziewczyna... Ale rozumiem, co masz na myśli — dodała szybko, bo znała mnie od dziecka i umiała poznać, kiedy robię się naprawdę zły. Byłem zły głównie ze zmęczenia, ale przecież nie mogła tego wiedzieć. — Jak chcesz to rozegrać? Otwiera drzwi i... co? Gdybym to ja była na jej miejscu i do moich drzwi zapukałby jakiś obcy świr, to wszystkiego bym się wyparła.

Wyszliśmy z opustoszałych podziemi. Na parkingu pod halą dworca stał szereg aut, a wśród nich pomalowany na tęczowo pojazd, budzący skojarzenie z wózkiem golfowym.

— To twój? — spytałem, chociaż znałem odpowiedź.

— W stu procentach eko — oznajmiła z dumą, otwierając go zdalnie pilotem. — Odpowiesz mi czy nie?

— Nie wiem, co jej powiem — odparłem zgodnie z prawdą, bo jakoś nie miałem czasu, by się nad tym zastanowić. Czasu ani energii. — Zamierzam pójść na żywioł.

— Tak myślałam. — Załamała rękę. Podobnie jak zwykła to robić nasza matka, widząc, że przetarłem na kolanach kolejne spodnie. — Pozwól, że przygotuję plan B. Bo jak się za bardzo rozpędzisz, gotowa wezwać policję.

Była psychologiem, i to psychologiem behawiorystą. Prosząc ją o pomoc w zaaranżowaniu rozmowy z kochanką Tomka, miałem nadzieję, że weźmie aktywny udział również w jej dalszej części — zwłaszcza jeśli coś pójdzie nie po mojej myśli. Była w te klocki naprawdę niezła. Umiała się komunikować — także w sytuacjach, które inni odbierali jako niezręczne, niewygodne albo wręcz beznadziejne. To ona zawiadomiła mnie o wypadku, w którym ucierpiał Adaś. Byłem wtedy na zawodach w Reszlu. Gdy wspominam tę rozmowę, wciąż mam dreszcze.

Ruszyliśmy. Wózek golfowy okazał się tak wygodny, że gdy ona powtarzała pod nosem kolejne scenariusze rozmowy i ich wariacje, zapadłem w drzemkę. Obudziła mnie pod Intraco. Wskazałem jej właściwy budynek, a potem — gdy parkowała — przejechałem dłonią po zaspanej twarzy, wyczuwając pod palcami podpuchnięte oczy i tarkę zarostu. Mogła sobie żartować, że wyglądam jak dziewczynka, ale jej pierwsze spostrzeżenie było trafniejsze. Wyglądałem i czułem się jak lump.

Przy furtce zastosowałem ten sam manewr, co wczoraj. Trwało to nieco dłużej, ale w końcu rozległ się odgłos zwolnienia blokady. Po podwórku spacerował mężczyzna z wilczurem. Gdy go mijaliśmy, pies zawarczał głucho, a potem zaczął ujadać. Poczułem, że Klaudia zeszywniała. To, że w pewnych aspektach była twarda i dzielna, nie czyniło jej niezniszczalną. Panicznie bała się czworonożnych zwierząt. Jej lęk ocierał się o fobię.

— Dobry Reksio — zażartowałem, a gdy szliśmy po schodach, przypomniałem Klaudii, że jest aktywnym członkiem towarzystwa przyjaciół zwierząt.

Nadrabiałem w ten sposób miną. Perspektywa spotkania twarzą w twarz z kochanką Tomka wypełniała mi serce przerażeniem, a żołądek — ołowiem. Z każdym krokiem traciłem rezon, a moja siostra przeciwnie. Rozkwitała.

— Potrzebujesz potwierdzenia czy dowodu?

Pomyślałem o Ewce. Zawiodłem jej zaufanie tyle razy, że wątpiłem, by uwierzyła mi na słowo.

— Dowód byłby lepszy, ale...

— No to włącz nagrywanie. Masz chyba taką funkcję w telefonie, co?

Ręce latały mi tak bardzo, że niewiele brakowało, a upuściłbym komórkę. Klaudia westchnęła i dla pewności uruchomiła dyktafon także w swojej. Szedłem coraz wolniej, starając się stąpać jak najciszej. Zinterpretowała to jako tchórzostwo. Cóż, miałem w sobie niewiele z bohatera...

— Nie łam się, Szczota. — Zbliżyła się śmiało do drzwi z numerem pięćdziesiąt siedem. Na kilkorgu spośród drzwi, które minęliśmy, były

tabliczki z nazwiskami właścicieli, ale te były nagie. Tylko numer. — To tu? Patrz, jaka fikuśna wycieraczka.

Z wycieraczki przed drzwiami do mieszkania, w którym wczorajszej nocy zniknął Tomek, patrzył mikołaj i kilka uśmiechniętych reniferów. To nie był znak rozpoznawczy hałaśliwej kurtyzany. Poczulem pierwsze ukłucie wątpliwości, ale było już za późno, by się wycofać.

— Jak wyglądam?

Klaudia poprawiła czapkę, po czym, nie czekając na odpowiedź, nacisnęła przycisk dzwonka. Z wnętrza mieszkania dobiegło ćwierkanie, a po chwili stłumiony damski głos.

— Kto tam?

Zerknąłem na Klaudię ciekawy, co wymyśliła. Mrugnęła do mnie okiem.

— Tomek Mendyk miał wypadek. — Jej głos był łagodny, ale wyrażał pewność siebie. — Prosił, żebym panią powiadomiła.

Drzwi otworzyły się na całą szerokość. Kobieta była młoda, ale bardzo zaniedbana. Zarejestrowałem to w ciągu sekundy — zanim moja siostra wydała gromki okrzyk.

— Co się stało? — spytała kobieta, wbijając spojrzenie w Klaudię. Nie spanikowała. Jej głos był rzeczowy. Bardziej jak głos dziwki niż zakochanej dziewczyny. — Hej, czy ja cię znam?

Klaudia niespodziewanie parsknęła śmiechem.

— No mam nadzieję. — Zdjęła czapkę.

Kobieta, którą brałem za kochankę Tomka, uniosła wyskubane brwi.

— Klaudia. To naprawdę ty? Co się...

— Nic takiego. — Siostra pochyliła się i cmoknęła kobietę w policzek. — Cześć, Michasiu!

Podrapałem się po głowie, bo uświadomiłem sobie, że ja także znam tę twarz. I to dobrze. W ostatnich dniach oglądałem ją codziennie.

Sprawy przybrały nieoczekiwany obrót.

Kuchnia miała pięć metrów na krzyż, ale zmieściliśmy się tam we trójkę: ja, Klaudia i Michalina Kossakowska — córka Gienka i pani Janiny. Na zdjęciu, które wisiało w jej starym pokoju — tym, w którym teraz sypiałem ja — Michalina była o kilka lat młodsza. Przez te kilka lat zmieniła się z dziewczyny w kobietę. I to kobietę niepozbawioną trosk. Miała tyle lat, co Klaudia, czyli dwadzieścia siedem. Wyglądała na dziesięć więcej.

— Z Tomkiem wszystko okej.

Klaudia zapewniła ją o tym chyba po raz czwarty. Michalina niespodziewanie zachichotała, a potem ponownie — jakby nie wierząc w to, co widzi — dotknęła jej króciutkich włosów.

— Trudno cię poznać — stwierdziła. W czasach, gdy chodziły do jednej klasy działdowskiego liceum, Klaudia wyglądała zupełnie inaczej. — Co to jest?

— Jeleń.

Moja siostra zaczęła rozpinać koszulę, by pokazać koleżance resztę tatuażu. W dekolcie widać było jedynie końcówkę jednego z rogów. Na szczęście w tym momencie zagwizdał czajnik. Michalina zerwała się jak oparzona, a ja westchnąłem z ulgą. Striptiz w wykonaniu własnej siostry nie byłby idealnym zwieńczeniem dnia.

— Może być herbata? — wyszeptała Michalina, a my ponownie kiwnęliśmy głowami. — Na kawę chyba za późno, a poza tym... i tak się skończyła.

Powodem, dla którego staraliśmy się rozmawiać po cichu, a gospodyni nawet się tak śmiała, była jej sześciolatnia córka śpiąca za ścianą, w jedynym pokoju mikroskopijnej kawalerki. Gdy przechodziłem przez przedpokój, ujrzałem nie tylko jej skuloną pod kocem sylwetkę, ale również coś jeszcze — duży bukiet niebieskich irysów. Dostała je od ojca, własnego ojca. Od chwili, w której dowiedziałem się, że Tomek ma z Michaliną nieślubne dziecko, nie byłem w stanie wydusić z siebie choć jednego słowa — aż do teraz.

— Skąd się... znacie?

Mój głos był chropowaty, jakbym cierpiał na zapalenie gardła. Michalina spojrzała na mnie w taki sposób, jakby dopiero teraz przypomniała sobie, że Klaudia nie przyszła sama.

— Chodziłyśmy razem do Żeromskiego...

— Pytałem o ciebie i Tomka.

— Ach, Tomka. — Wypowiedziała to imię z niedbałością, która świadczyła o lekceważeniu. — Też chodził do tego liceum. Był dwa lata wyżej. Kochałam się w nim od pierwszej klasy. Nie ja jedyna. Wszystkie się w nim kochałyśmy, nawet Klaudia.

To było coś nowego. Czekałem na dementi i się nie zawiodłem, chociaż moja siostra nie byłaby sobą, gdyby nie mrugnęła przy tym okiem.

— Kochałam się we wszystkich, ale nie w Tomku. W nim kochały się tylko te dziewczyny, które wciąż wierzyły w jednorożce.

— Ja wierzyłam bardzo długo. Myślałam, że jest prawy i mądry. Kiedy podczas szkolnego balu poprosił mnie do tańca, przez kilka następnych tygodni chodziłam jak pijana.

— Potwierdzam. — Klaudia przewróciła oczami. — Byłaś wtedy upierdliwa jak wrzód na tyłku.

— To wtedy... wtedy zrobiliście razem Cristinę?

Spojrzały na mnie tak, jakbym przed chwilą spadł z konia i mocno uderzył się w głowę.

— Szczota też chodził na te bale — odezwała się po chwili Klaudia. — Pamiętasz go?

— No pewnie. Zawsze wymiatał na parkiecie, ale jeszcze bardziej — na boisku. Gra jeszcze?

— A skąd. Skończył studia, chociaż trudno w to uwierzyć. Na szczęście nie miał tam arytmetyki.

Rozmawiały o mnie w taki sposób, jakbym był okazem z zoo, a one stały po drugiej stronie kraty. Zrozumiałem, że uwaga o arytmetyce była

nawiązaniem do niedoskonałości moich obliczeń. Skoro córka Michaliny miała sześć lat, to nie mogła zostać spółdzona w trakcie balu.

— Tomek nigdy się nie chwalił, że ma córkę.

Być może decydującym czynnikiem był mój lichej wygląd, a może chodziło o dobór słów... W każdym razie Michalina wciąż mnie ignorowała, zwracając się bezpośrednio do

Klaudii.

— To była tylko jedna noc, kilka lat po tym cholernym balu. Najpierw koncert w plenerze, potem ławki na rynku, muzyka z samochodowego radia, wycieczki do nocnego po kolejne piwo... Znasz ten klimat, prawda?

— Znam. — Klaudia upiła łyk herbaty. — Między innymi dlatego się stamtąd wyniosłam.

Michalina pokiwała głową, przyznając jej rację. Nie miałem pojęcia, co mogło się im nie podobać w lipcowych nocach na rynku. Jeśli o mnie chodzi, to kochałem tamten klimat. Nawet teraz, gdy byłem już — jak na tamtejsze standardy — starym dziadem.

— Przyjechał tym swoim stuningowanym mercedesem. Pamiętasz tego żółtego mercedesa, co nie?

— Niejedna straciła w nim cnotę.

Jeśli to miało być potwierdzenie, to chyba trochę niedelikatne. Niezręczność wyłapałem nawet ja, chociaż nie byłem psychologiem behawiorystą. Klaudia zaróżowiła się na policzkach. Może był to efekt zawstydzenia, a może... gorącej herbaty.

— Żeby coś tracić, to trzeba najpierw to mieć — skwitowała Michalina bez cienia urazy. — Mniejsza o szczegóły... No dobrze, to był ten mercedes. Nie umiałam się oprzeć. No i tyle. — Wzruszyła ramionami. — Oczywiście wyjechałam z Działdowa. Panna z brzuchem nie ma tam szans.

Uważałem, że dramatyzowała. Znałem wiele samotnych matek i nikt nie robił z tego sprawy. A przynajmniej nikt normalny. W Działdowie było pod tym względem tak jak gdzie indziej. Ani lepiej, ani gorzej.

— Tomek nie wiedział?

— Wiedział, a jakże. Zadbła już o to nasza mamusia. Przyjechał do akademika z bukietem kwiatów. Pod pewnymi względami okazał się jednak prawy i odpowiedzialny. Ale ja nie chciałam jego litości. Kazałam mu wracać do Działdowa i zapomnieć. I o mnie, i o dziecku.

— Posłuchał? — wtrąciła Klaudia.

— I tak, i nie. Nikomu nie powiedział, tak jak prosiłam. Moi rodzice byli zbyt zawstydzeni, by chwalić się wnuczką, więc Działdowo nie miało kolejnego powodu do plotek. Moje zniknięcie nikogo nie obeszło.

— To nieprawda. Zastanawialiśmy się...

— Nie cukruj. O ciąży wiedziały jeszcze Baśka i Iza, ale na szczęście trzymały dzioby na kłódkę.

— A Tomek?

— No właśnie. Kiedy Cristina przyszła na świat, nagle się pojawił. Jak zwykle z kwiatami. Nagle zakochał się na zabój.

— Szybko się odkochał — wtrąciłem, myśląc o nim i o Ewie.

— Nieprawda. Wciąż jest zakochany. Nie rób takiej miny, przecież nie we mnie. Tomek zakochał się w naszej córce. Najpierw robiłam problemy. Nie chciałam takich komplikacji, ale mała też go pokochała, a poza tym... — Nieoczekiwanie wskazała na ubogie wnętrze kuchni: starą, buczącą lodówkę, obtłuczoną kuchenkę i omszały zlew. — Kiepsko mi się powodzi. Pod względem finansów. Po AWF-ie wcale nie jest tak łatwo o dobrą pracę, jak mogłoby się wydawać. Tomek powiedział, że będzie nam pomagał. Wcale nie musiał, bo nie podałam go jako ojca. W papierach stoi NN. Ojciec nieznany.

Pokiwałam głową, by zyskać na czasie. Byłem wstrząśnięty. I to bardziej, niż gdyby okazała się jego sekretną kochanką.

— Czy Ewa wie?

Skierowałem to pytanie w przestrzeń. Odpowiedziała mi Klaudia.

— Musi wiedzieć. Przecież Tomek tu przyjeżdża, prawda? Jak często?

— Dwa, może trzy razy w miesiącu. Nie liczę. Na pewno wie, ale nigdy tu

nie była. Nie chciała... I ja nie chciałam. Nie wiem, czy nie wydrapałabym jej tych wielkich oczu. W końcu dostała od niego to, czego nigdy nie dał mnie.

— Syna? — spytałem, myśląc o Adasiu, którego chyba traktował jak syna.

— Nie, głuptasie. Miśka ma na myśli pierścionek zaręczynowy. Kto jak kto, ale ty powinieneś wiedzieć, jak to jest ze starymi miłościami. Nie rdzewieją.

Nawiązała do niejkiej Wiktorii, jednego z przykładów mojej małżeńskiej niewierności. Nie było to ani eleganckie, ani potrzebne, ale takie już są młodsze siostry.

— W moim przypadku tak nie jest — sprostowała Michalina. — Miłość zardzewiała. Patrząc na niego bez tych różowych okularów i widzę, jaki jest naprawdę. Widzę jego kompleksy, niepewność, strach... Życie z takim słabym facetem to musi być straszna męka. — Popatrzyła na mnie, jakby czekała na potwierdzenie. Ale ja nie miałem pojęcia, o czym mówi. Tomek był przecież taki twardy, męski i zaradny. W każdym razie tak go odbierałem.

— Mówiłam mu to, ale nie chciał słuchać. — Klaudia znów wyłączyła mnie z rozmowy. — Szczota ma go za herosa. Rycerza z bajki o smoku i księżniczce.

— Tomka?

— Inaczej musiałby przyznać, że nawalił. Bo przecież żony nie znikają z innym tak bez powodu...

Miałem dosyć tej taniej psychoanalizy. Chciałem pojechać do hotelu i złapać kilka godzin snu, a przedtem uzyskać odpowiedzi na kilka prostych pytań. Miałem wrażenie, że Michalina z jakichś powodów mnie nie lubi. Dlatego, że zamieszkałem w pokoju, który kiedyś należał do niej? Czy dlatego, że nie pamiętałem jej ze szkolnych zabaw?

— Wszystko fajnie, ale... Po co Tomek przyjeżdża tu w środku nocy?

Michalina wiedziała już, że wczoraj przyszedłem tu za nim, ale chyba wciąż jeszcze się z tym nie oswoiła. Wzdrygnęła się tak jak za pierwszym razem.

— Wiecie, co to jest RSV?

— Taki wirus — odpowiedzieliśmy z Klaudią chórem.



W obecnych czasach każdy był ekspertem od wirusów.

— Tak, wirus. Cholernie groźny dla dzieci. Cristina złapała go trzy tygodnie temu. Wylądowałyśmy w szpitalu. Tomek czasami mnie podmieniał, żebym mogła się umyć i przespać. Wczoraj... a w zasadzie to już przedwczoraj, wreszcie nas wypisali. Tomek wsiadł w pociąg i przyjechał. Bardzo się o nią martwił... Gdy zrozumiał, że wszystko jest okej, cmoknął mnie tak mocno, że mało brakowało, a ukruszyłby mi ząb.

Przypomniałem sobie moment, kiedy czaiłem się na klatce przekonany, że są kochankami. Odgłos pocałunku i jęknięcie, które wziąłem za manifest rozkoszy, a które było wyrazem bólu.

— Zawsze przynosi jej kwiaty? — spytałem.

— Zawsze. Pod tym względem Cristina jest zepsuta. Rozpuszczona jak dziadowski bicz. Jak dorośnie, jej chłopak będzie musiał starać się bardziej niż jego rówieśnicy. Nie opędzi się jednym tulipanem.

Wyszła na palcach z kuchni, by zajrzeć do córki. Klaudia dopiła herbatę i spojrzała na mnie pytająco.

— Jesteś zadowolony?

— Nie wiem. — Niby wszystko się wyjaśniło, ale to wyjaśnienie kazało mi spojrzeć na wiele spraw pod innym kątem. Tomek udowodnił, że potrafi być dobrym tatą również dla moich dzieci. Miałem nadzieję, że bagaż jego przeszłości nie położy się cieniem na szczęściu jego nowej rodziny. — Coś mi tu nie gra.

— Bo nie spałeś. To historia jakich wiele. Która niczego nie zmienia, więc jeśli wciąż myślisz o Ewce...

Trafiła kulą w płot, ale nie zamierzałem jej tego uświadamiać. Zaczekałem na Michalinę. Była chuda jak patyk. Urodę odziedziczyła po ojcu, po matce miała tylko ciemne oczy i włosy.

— Gdzie byli dziadkowie?

— Moi rodzice? — Uciekła wzrokiem. — A gdzie mieli być?

— Pod ręką. A raczej... pod szpitalem, wtedy, gdy ich potrzebowałam.

— Chyba wiesz, że mój ojciec miał wypadek.

Było to bardzo enigmatyczne określenie próby samobójczej, ale załapałem. Gienek nie opuszczał domu, ale pani Janina była mobilna, a przy tym miała dobre serce. Na pewno wnuczka była dla niej pępkiem świata.

— A co z matką?

Michalina odstawiła puste szklanki do zlewu. Na szczęście były nietłukące, bo zrobiła to tak energicznie, że w przeciwnym wypadku posypałoby się szkło.

— Nie utrzymuję z nią kontaktu.

— Ale... dlaczego?

Niechęć, którą wyczuwałem od samego początku tej wizyty, wreszcie ujawniła się w pełnej krasie.

— Wybacz, Szczota. — Odwróciła się do mnie plecami, jakby chciała ją zamanifestować. — Ale to nie twoja sprawa.

Tej nocy nie dotarłem do swojego nędznego hotelu przy Zachodnim. Klaudia, w rzadkim dla niej przypływie gościnności, zaprosiła mnie do siebie, a potem — po tych marnych dwóch godzinach snu — zrobiła mi śniadanie. Nie była w nastroju do rozważań, ale wierciłem jej dziurę w brzuchu tak długo, aż wreszcie powiedziała, co o tym myśli.

— Zdziwiłbyś się, jak wiele osób cię nie lubiło. Byłeś kimś w rodzaju kapitana drużyny futbolowej z amerykańskiej komedii romantycznej. Składałeś się z testosteronu i arogancji.

— Arogancji?

— Tak byłeś postrzegany. Widocznie Michalina ma długą pamięć. Może kiedyś z niej zażartowałeś albo nie odpowiedziałeś na jej „cześć”... Naprawdę, Szczota... Nie masz większych problemów?

Jajecznicą, którą usmażyła, nie umywała się do przysmaków pani Janiny, ale nie byłem aż tak głupi, by to manifestować. Mieszkała na tak zwanym

zielonym Mokotowie, cholernie daleko od centrum. Bardzo liczyłem na podwózkę, tym bardziej że zrobiło się już późno.

— To, jak nazwała na koniec swoją matkę, było niegrzeczne.

— Trzeba było nie zadawać tylu pytań. Przecież powiedziała ci, że nie chce o niej rozmawiać. A ty wciąż drążyłeś. To właśnie jest ta arogancja.

Ostrożnie wymacałem filiżankę. Jedliśmy w niemal całkowitej ciemności — odrobina światła sączyła się jedynie przez otwarte drzwi łazienki. Klaudia nie chciała obudzić swojego kota.

— Jak można mówić tak o własnej matce?

— Ty też nie zawsze byłeś superdelikatny, gdy mówiłeś o naszej.

— Ale nigdy nie nazwałem jej... prostytutką.

Złagodziłem epitet, bo Klaudia nie lubiła wulgarnych słów. Z tego powodu w przeszłości nigdy nie chodziła na moje mecze.

— W rodzinach układa się naprawdę różnie. A Miśka zawsze była dziwna. Nie rozkładaj tego na czynniki pierwsze. Z emocjami tak nie można. Często bywają irracjonalne.

— Czy właśnie to mówisz na zajęciach swoim studentom?

— O co ci chodzi?!

— Emocje bywają irracjonalne. To brzmi jak mądrość z reklamy wróżki na telefon.

— Pocałuj mnie w...

Klaudia odwiozła mnie na dworzec, ale ta wymiana zdań miała wpływ na temperaturę naszego pożegnania. Nie próbowałem jej całować. Wsiadła do swej elektrycznej fury i odjechała, opryskując mnie błotem. Zanim zszedłem na peron, doprowadziłem się do porządku w publicznej toalecie. Rezultat nie był idealny, ale Student wcale nie wyglądał lepiej.

— Ale mam kaca — poskarżył się, gdy spotkaliśmy się na peronie pięć minut przed odjazdem. — Tylko pamiętaj, nie czepiaj się maseczek. Nie chcę dziś żadnych kłopotów.

Podróż minęła zaskakująco szybko. Najdziwniejsze było to, że zupełnie nie

chciało mi się spać. Czytałem kiedyś, że po przekroczeniu pewnej bariery zmęczenie znika wyparte przez stan przypominający nirwanę. Tak właśnie się czułem. Miałem nadzieję, że nie jest to wstęp do halucynacji.

Do Działdowa przyjechaliśmy o ósmej trzydzieści, czyli zgodnie z rozkładem. Obudziłem Studenta klepinięciem, a potem poszliśmy do dyspozytora. Z pewną ulgą odnotowałem, że według zmodyfikowanego grafiku jutro mam wolne. Do następnego kursu — w środę rano — miałem zatem czterdzieści kilka godzin laby. Prawdziwe wakacje.

Przeszedłem obok przedszkola. Chciałem podejrzeć Olę na placu zabaw, ale mimo ładnej pogody dzieci wciąż były we wnętrzu budynku. Przy oknie sali grupy pomarańczowej podskoczyłem i udało mi się dojrzeć czarne jak smoła włosy Manueli. Chwilę później wpadłem na jej mamę, której — jak zwykle — towarzyszył piesek w kaftaniku. Ukłoniłem się, a ona — ku mojemu zdziwieniu — wykrzywiła usta w namiastce uśmiechu. Nie oczekiwałem niczego więcej. To i tak był gigantyczny postęp.

— Do której pracuje Ewa? — spytałem.

Uśmiech zbladł.

— Do szesnastej.

Piesek odsłonił zęby. Chyba miał ochotę złapać mnie za kostkę. Jego pani również nie wyglądała w połowie tak przyjaźnie, jak jeszcze przed chwilą. Miałem nauczkę. Skoro spędzałem czas z jej córką, nie powinienem pytać o byłą żonę. Na szczęście obok nas pojawił się ktoś przyjazny. Ktoś, kto rozładował napięcie.

— Cześć, Anielko.

— Proszę założyć maseczkę.

Dziewczyna podeszła do mnie i dała się pogłaskać. Jej włosy były równie ciemne, jak włosy Manueli. Patrząc na nie, poczułem, że coś chwyta mnie za serce. Byłem zdecydowanie niewyspany.

— Musimy iść na rehabilitację.

Elżbieta Rogalska wskazała w kierunku stadionu. Skłoniłem się kolejny raz,

a potem patrzyłem, jak odchodzą. Anielka machała mi ręką aż do chwili, w której zniknęły za budynkiem szkoły. Dopiero wtedy ruszyłem w kierunku domu. Jak szło to powiedzenie o córkach i matkach? Jeśli chcesz wiedzieć, jak zestarzeje się twoja żona, przyjrzyj się teściowej... Coś w tym stylu. Matka Manieli była wysoka i dość postawna. Wciąż mogła się podobać, ale miała jedną wadę.

Była wredna.

Przy ulicy stały dwa samochody i radiowóz, ale nie zwróciłem na to większej uwagi. Nie podejrzewałem niczego złego, a po wczorajszym — chyba powinienem. Wdrapałem się po schodach, bardziej ubłoconych niż zazwyczaj. Pierwszą rzeczą, którą zobaczyłem w mieszkaniu, był talerz z okruchami chleba i resztką keczupu. Pozostałości po moim wczorajszym podwieczorku. Zapomniałem go zmyć — dotychczas takie zapominalstwo uchodziło mi na sucho, ale tym razem pani Janina postanowiła mi chyba udzielić lekcji czystości. Gdy zmywałem, mój wzrok padł na fotografię Michaliny. Wisiała także w kuchni. Całe mieszkanie było przystrojone jej zdjęciami niczym choinka bombkami. Niechęć była jednostronna. Dla rodziców wciąż była oczkiem w głowie, tylko... Coś musiało się wydarzyć. Coś między Michaliną i jej matką.

Coś złego.

Odstawiłem talerz na suszarkę i wtedy rozległo się walenie w drzwi. Tak mocne, że aż podskoczyłem. Klatka schodowa była ciemna, więc w pierwszym momencie pomyślałem, że to znowu policjantka z Ukrainy, ale po chwili uświadomiłem sobie swoją pomyłkę.

— Czy ktoś jest w domu? — pytanie, które padło, pozbawione było obcego akcentu.

— Tak, ja.

— Bardzo dowcipne.

Policjantka, która szturmowała moje drzwi, wydała mi się znajoma. Gdy wetknęła głowę za próg, rozpoznałem w niej protokolantkę z wczorajszego

przesłuchania. Jak na protokolantkę poczyniała sobie całkiem śmiało. Nie czekając na zaproszenie, weszła do przedpokoju i popatrzyła na mnie wyczekująco.

— Mogę jakoś pomóc?

— Tak. Niech pan mnie oprowadzi po mieszkaniu.

Przez myśl przemknęła mi kwestia nakazu, którego mi nie okazała, ale nie zamierzałem się stawiać. Po pierwsze, nie wiedziałem, czy te nakazy to czasem nie wymysł scenarzystów filmowych, a po drugie... Babka miała taką minę, jakby tylko czekała na pretekst, by mnie spałować.

— Zapraszam. — Otworzyłem drzwi do siebie, powstrzymując się od przeprosin za bałagan. Pociągnęła nosem niczym pies, który wyczuł trop.

— Kto tu mieszka?

— Ja.

— A Janina Kossakowska?

— Tu, po sąsiedzku.

Duży pokój wyglądał tak, jakby przeszła przez niego nawałnica. Szafy były pootwierane, a na dywanie kłębiły się ubrania. Na przeszklonych drzwiczkach kredensu pojawiło się pęknięcie.

— Co tu się stało?

Rozłożyłem bezradnie ręce.

— Dopiero wróciłem.

— Nie wie pan, gdzie mogą być? Janina i Eugeniusz Kossakowscy? — uściśliła, a ja pokręciłem głową. — Co tu się mogło stać?

Zajrzałem do jednej z szaf, a potem do barku. Miałem swoje podejrzenia, ale postanowiłem ich nie ujawniać. Jeśli Gienek postanowił zabawić się w poszukiwacza skarbów... czytaj: alkoholu, i w ferworze tych poszukiwań uszkodził mebel, to była to sprawa wyłącznie między nim a jego małżonką.

— Nie mam pojęcia — odparłem i nagle poczułem niepokój. Pani Janina powinna być w domu. Przecież nie można pracować cały czas. — Czy pani Janinie coś się stało?

— A co mogło się stać... pańskim zdaniem?

— Bo ja wiem? — Wzruszyłem ramionami, ale ona chyba naprawdę czekała na odpowiedź. — Cały czas pracuje. A ma już swoje lata.

— Co to za puchary? — Wyciągnęła z witrynki pierwszy z brzegu. — *Za zajęcie pierwszego miejsca w konkursie rzutu młotem. Spartakiada młodzieży, czerwiec 1989 roku...* To pana Eugeniusza? Taki z niego sportowiec?

— Trochę się ostatnio zapuścił.

— Podobno nie wychodzi z domu.

— Nie wychodzi sam. Musieli pójść gdzieś razem, z żoną.

— Dokąd mogli pójść?

W opanowanym dotąd głosie policjantki pojawiły się nutki desperacji. O ile to w ogóle możliwe, wyglądała jeszcze gorzej niż ja. Gdy weszliśmy do łazienki, nasze twarze odbiły się w lustrze. Nie był to przyjemny widok. Wyglądaliśmy jak para, która wybierała się na imprezę z okazji Halloween. W przebraniu truposzy.

— Nie mam pojęcia. — Pomyślałem o córce i wnuczce. W normalnej rodzinie takie wspólne, spontaniczne wyjście najprawdopodobniej oznaczałoby odwiedziny u najbliższych, ale to nie była normalna rodzina. — Może poszli do sklepu? Do kościoła? Do kawiarni?

Każdy z tych wariantów był mało realny, ale na szczęście się ode mnie odczepiła. Odebrała telefon, a potem wyszła, skinąwszy mi głową. Pozostał po niej tak silny zapach perfum, że zakręciło mnie w nosie. Tak obficie perfumowali się alkoholicy, żeby zamaskować inne zapachy.

Gdy wreszcie sobie poszła, odczekałem na wszelki wypadek kilka minut, po czym wdrapałem się na strych. Poszukiwania w szafach musiały zakończyć się sukcesem, bo Gienek pochrapywał w swoim fotelu, uśmiechając się przez sen. Obok, w zasięgu ręki, stała otwarta butelka wódki. On nie używał perfum. Pachniał kurzem, tytoniem i alkoholem. Czyli tak, jak zwykle.

Potrząsnąłem delikatnie jego ramieniem. Budził się bardzo powoli, tocząc

wokół mętym wzrokiem. Udało mu się skoncentrować go na mnie i odsłonił w uśmiechu końskie zęby.

— Jesteś, synku — wymamrotał, wciąż balansując na granicy snu.

Tytułując mnie w ten sposób, kompensował sobie zerwany kontakt z córką. Nie miałem nic przeciwko temu. Współczułem mu.

— Co się stało? Spałeś tutaj?

Gienek rozejrzył się, a potem chwycił kurczowo za poręcz fotela. Wyobraziłem sobie, że w jego świecie podłoga jest teraz wzburzonym morzem.

— Był tutaj taki jeden. Z długimi włosami.

Ścisnąłem jego szczupłe ramię. Spodziewałem się, że widziadło z jego snu będzie miało także ogon i rogi, ale opowieść potoczyła się w kierunku, który mnie zaskoczył.

— Mówił, że jest dziennikarzem. Robił ze mną wywiad, o Arkanowiczu.

— Tutaj? Na strychu?

— A czemu nie? — Wskazał na rząd butelek po piwie, a potem przypomniał sobie o innej butelce. Przechylił ją, ściągając spory łyk wódki. Na sam widok zrobiło mi się niedobrze. — Ale to nie był dziennikarz, tylko oszust. Twierdził, że jeszcze przyjdzie, i co? Nie przyszedł. Zostało mi po nim tylko...

Wyjął papierosa. Innego niż zwykle. Nie przemycanego saint george'a, tylko marlboro. Dopiero ten widok uzmysłowił mi, że nie zmyśla.

— Ten dziennikarz miał jakieś imię i nazwisko?

— Olgierd. I coś tam dalej. Udawał zdenerwowanego, ale to był lepszy cwaniak.

Pomyślałem o bałaganie w mieszkaniu. Może to był jakiś wariant oszustwa na wnuczka? Oszustwo na dziennikarza: upicie ofiary, a potem plądrowanie mieszkania. Tylko że w przypadku Kossakowskich nie było czego plądrować. Dwa dni wcześniej Gienek przedstawił mi po pijaku stan rodzinnych finansów. Nie było czego kraść.



— Pytał o Arkanowicza?

— Nie tylko pytał. Oglądał jego rzeczy. I manekin.

— Ten, na którym ćwiczył uderzenia? — Wzdrygnąłem się, a po chwili... wzdrygnąłem się bardziej. Co on gada? — Jak to: manekin jest nowy?!

Podążając za wskazówkami Gienka, odnalazłem tabliczkę znamionową, a potem spróbowałem ją oderwać. Nie drgnęła nawet o milimetr. Była przytwierdzona fabrycznie. Manekin rzeczywiście opuścił fabrykę wtedy, gdy Arkanowicz odsiadywał już wyrok. Patrząc na jego uszkodzenia, zastanawiałem się, co dalej. Należało pokazać go policji, tylko...

Dlaczego to zawsze musiałem być ja?!

— Jeśli to był dziennikarz, to przeczytamy o tym w jutrzejszej prasie... Albo dzisiejszej. Kiedy on tu był?

Liczenie godzin i dni szło Gienkowi bardzo opornie, ale w końcu wspólnie ustaliliśmy, że do wywiadu doszło wczoraj przed południem. Przez chwilę przeglądałem Internet. O Arkanowiczu można było przeczytać w tysiącu źródeł, ale w żadnym nie było wzmianki o manekinie.

— Co robiłeś od tego czasu?

Gienek podrapał się po brudnych włosach, a potem przejechał dłonią po gorsie koszuli. Były na nim tłuste ślady.

— Wieczorem byłem w domu. Janka dała mi żurku.

Zrozumiałem, że to na koszuli to właśnie resztki żurku. Zdziwiło mnie, że nie kazała mu się przebrać. W jego następnych słowach zawarte było jednak wyjaśnienie. Pani Janka nie była przy tym, jak jadł. Zostawiła mu żurek do odgrzania, a sama... Sama była w pracy. Przecież ją tam spotkałem.

— Spałeś w mieszkaniu?

— Tak. Gdy się obudziłem, Janki wciąż nie było. Nigdy nie wracała po nocy tak późno. Trochę się pokręciłem po mieszkaniu, no i przyszedłem tutaj.

Uśmiechnął się cwaniacko i pociągnął z butelki. O tym, że efektem tego kręcenia się po mieszkaniu był koszmarny bałagan, już nie wspomniał.

Zapewne nie zwracał uwagi na takie drobiazgi. Nie musiał. To nie on zajmował się sprzątaniami.

— Może pani Janka została w pracy na kolejnej zmianie?

Oderwał szyjkę butelki od ust i mlasnął z zachwytem, a potem pokręcił głową, stwierdzając, że to niemożliwe.

— Przepisy kodeksu pracy — oznajmił, robiąc mądrą minę. — Na pewno już jest. Pewnie śpi. Po pracy zawsze sobie podsypia, ta moja Janka...

Uśmiechnął się z pobłażaniem, a mnie zrobiło się nieprzyjemnie. Nie miałem serca, by powiedzieć mu o brudnych naczyniach i wścibskiej policjantce. Pani Janina gdzieś się zawieruszyła. Pozostawało mieć nadzieję, że tylko na chwilę.

— Skojarzyłem sobie, że jednak znam twoją córkę. Michasię. Chodziła do klasy z moją siostrą.

— No widzisz! — Klepnął mnie w ramię. — Fajna dziewczucha, co? Mieszka w Warszawie. Ma piękną córeczkę, zresztą... widziałeś ją na zdjęciach, prawda?

Pokiwałem głową. Mnie nie chodziło jednak o wnusię, tylko o zrujnowane kontakty z córką.

— Często ją odwiedzacie?

Pokręcił głową.

— Pokłóciły się z Janką. Będzie już rok. Albo nawet dłużej.

— A o co? — spytałem, bo jakoś nie dawało mi to spokoju.

Matka, córka i wnuczka... Trudno było wyobrazić sobie mocniejszą więź.

— To baby. — Machnął ręką w taki sposób, jakby odpędzał natrętną muchę. — Kto tam za nimi nadąży?

Jak na człowieka, który od pół roku pozostawał na łasce i niełasce swojej żony, okazywał kobietom tylko bardzo umiarkowany szacunek, ale nie zamierzałem go nawracać. W jego przypadku było już na to za późno.

— Ale ty... Ty się nie pokłóciłeś?

— No nie...

— A nie korci cię, żeby do niej pojechać?

Miałem jak najlepsze intencje. Wiedziałem o jego problemach, ale przecież nie zostawiłbym go na lodzie. Zanim jednak zdążyłem mu przedstawić swój plan, według którego odstawiam go pod drzwi córki, by następnego dnia go stamtąd odebrać, zaczął wariować. Wyprężył się jak przed atakiem epilepsji, zaciskając dłonie na poręczach fotela. Położyłem mu dłoń na ramieniu, ale nie zareagował. Odprężył się dopiero wtedy, gdy wetknąłem mu w dłoń butelkę.

— Lepiej?

Przełknął wódkę i niewyraźnie się uśmiechnął.

— Chyba za dużo wzruszeń — stwierdził, ale gdy chciałem ponowić ofertę, stanowczym gestem uniósł rękę, nie dopuszczając mnie do głosu. Uśmiech zniknął. Teraz Gienek był śmiertelnie poważny. — Nie ma szans, bym kiedykolwiek wszedł do pociągu. Nie po tym, co mnie tam spotkało. Nigdy!

Zszedłem do spożywczaka i zostawiłem Gienka z czteropakami, poważnie nadwerężając swoją rezerwę finansową. Jego historia była banalna: szarpanina z wyrostkami, a w jej finale kilka upokorzeń. Znałem to uczucie bezsilności, gdy trzeba było ustąpić przed siłą fizyczną. Moje ego też nieraz cierpiało, ale nigdy tak, bym kompletnie się rozsypał. Być może dlatego, że było niewielkie. Gienek miał przed tym zdarzeniem ego rozdęte do granic możliwości, bo w szkole, gdzie pracował, nikt nie odważył się mu podskoczyć. Dlatego odreagował to tak ciężko. Tak ciężko, że na samo wspomnienie trząsł się jak osika, błędząc oczami po krokwiach...

Nie chciałem go mieć na sumieniu. Na szczęście piwo podziałało na niego jak ekstrakt z waleriany. Gdy wpadłem na strych kwadrans później, panika zniknęła, a po kolejnym kwadransie zapadł w sen. Miałem nadzieję, że gdy się z niego obudzi, wspomnienia odejdą w niepamięć, a w mieszkaniu będzie na niego czekała pani Janka.

Wyciągnąłem się na swoim tapczanie. Miałem wrażenie, że budzik zadzwonił od razu po tym, jak zamknąłem oczy, ale po chwili połapałem się,

że minęły prawie cztery godziny. Pani Janka nie wróciła, a jej mąż wciąż chrapał w swoim fotelu na strychu. Częściowo uspokojony ogoliłem się, wziąłem prysznic i — punktualnie o czternastej — zameldowałem się w przedszkolu.

— Tak, wiem. Ochraniacze.

— Pan nie musi. Może pączka? — Wieść o moich tête-à-tête z Manułą musiała roznieść się również po gmachu przedszkola. Nagle zaczęto traktować mnie tu z sympatią, do której nie byłem przyzwyczajony. Poczęstowałem się pączkiem, pytając o fundatora. Okazało się, że dziś są andrzejki. Podążając za wskazówkami, odnalazłem dozorcę — pana Andrzeja — i złożyłem mu życzenia. Przy tej czynności zastała mnie Manuela.

— A co ty nagle taki towarzyski?

— Zawsze byłem — odparłem, gdy znaleźliśmy się sami. — Ale do tej pory twoi znajomi z pracy na mój widok pluli przez lewe ramię.

— Nie przesadzaj. Zabieraj Olę, pójdź po Adasia, a potem spotkamy się na placu zabaw.

Miała na myśli plac zabaw przy przedszkolu. Normalnie mogły tam wchodzić jedynie przedszkolaki pod opieką pań, ale dla mnie zrobiono dziś wyjątek. Adaś, który w pierwszej chwili okazał powściągliwość, szybko przypomniał sobie, jak fajnie być przedszkolakiem. Nie minęły dwie minuty, a już kręcił się na karuzeli razem z rozchichotaną Olą.

Kiedy rozległ się odgłos pukania w szybę, pomyślałem, że jesteśmy za głośno. Okazało się jednak, że to tylko Manuela. Pukała z sekretariatu. Ku dezaprobach moich dzieci przestałem kręcić kołem zamachowym i potruchtałem pod okno. Ze zdziwieniem odnotowałem, że najpierw poczochrąła mnie po włosach.

— Przepraszam, nie mogłam się powstrzymać. Są takie śmieszne.

— Sama jesteś śmieszna.

— Przyjdź tu, bo sama nie mogę się w tym połapać.

— Przez okno?

— Jeśli potrafisz... Hej, ja żartowałam!

Podciągnąłem się na rękach i przełożyłem nogi przez parapet. Sekretarka, która brała udział w tym zaimprovizowanym spisku, zakrzuszyła się kanapką, ale potem dzielnie się pozbierała. Udawała, że nie widzi ani mnie, ani sterty papierzysk na sąsiednim biurku.

— Nie pozabijają się? — rzuciła w przestrzeń, gdy przez uchylone okno wpadły do wnętrza okrzyki moich dzieci.

— Jakby co... będziemy słyszeć.

Papiery, których stos miał dobry metr wysokości, pochodziły z archiwum urzędu miasta. Po telefonie Manueli dostarczył je tu zaprzyjaźniony kurier. Nikt nie przeprowadził ich kwerendy — wiedzieliśmy jedynie, że dotyczyły funkcjonowania przedszkola na początku lat dziewięćdziesiątych, czyli wtedy, gdy — według prezesa Głazewskiego — pracowała tu dziewczyna Arkanowicza. Tajemnicza Ukrainka, która po jego pochwyceniu rzuciła się pod pociąg, tracąc rękę i nogę.

— Groch z kapustą.

— A czego chciałaś? Cud, że ktoś to jeszcze trzyma. Czego szukamy? Ja zacząłbym od protokołu z rady pedagogicznej. Powinny tam być nazwiska całej kadry.

— Proszę bardzo. — Manuela wskazała na stertę. — Powodzenia.

Niektóre dokumenty sporządzono na tak słabym papierze, że rozpadał się w rękach. Oszczędności w oświacie najwyraźniej nie były niczym nowym. Dokumenty na szczycie sterty dotyczyły zakończonego w dziewięćdziesiątym czwartym roku remontu. Z pewnym poruszeniem uświadomiłem sobie, że pamiętam, jak front budynku pokrywało rusztowanie. Odeгнаłem wspomnienia, koncentrując się na terażniejszości. I chwilę później — niczym igłę ze stogu siana — wyciągnąłem plik papierów, których istnienia nawet nie podejrzewałem.

— Voilà!

Położyłem znalezisko przed Manułą, a potem podszedłem do okna, bo na

placu zabaw zrobiło się podejrzanie cicho. Na szczęście wszystko było okej. Adaś pokazywał Oli wędrującą po drzewie wiewiórkę.

— To ona?

— Raczej tak. — Pochyliłem się nad dokumentami i jeszcze raz odczytałem imię i nazwisko. Oksana Awdiejewa. — Nie sędzę, by w przedszkolu uczyły w tym samym czasie dwie kobiety ze Wschodu, chociaż...

— To kopia świadectwa pracy — przerwała Manuela. — Oksana Awdiejewa odeszła z naszego przedszkola w marcu dziewięćdziesiątego czwartego roku... na rentę inwalidzką!

Powiedziała to takim tonem, jakby renta inwalidzka była tożsama z wygraną w totolotka. A potem spomiędzy wystrzępionych, pomiętych dokumentów wyciągnęła czarno-białą fotografię. Oksana Awdiejewa była smagłą brunetką o pospolitych rysach twarzy i przeciętnej urodzie. Na jej twarzy próżno było szukać tego pierwiastka szaleństwa, który kazał jej rzucić się pod pędzący pociąg.

— To jej opinia. Coś jak odpowiednik dzisiejszej oceny dorobku zawodowego nauczyciela stażysty. — Manuela wyciągnęła kolejną kartkę papieru. Sprawiała wrażenie tak podekscytowanej jak mediewista, który właśnie odnalazł zaginioną kronikę. — Wystawiona przez ówczesną panią dyrektor. Pozytywna, a wręcz... entuzjastyczna. *Oksana Awdiejewa posiada wybitne predyspozycje do pracy z dziećmi oraz oraz umiejętność optymalnego dostosowania wymogów programu nauczania do indywidualnych możliwości poszczególnych podopiecznych.*

— To o niczym nie świadczy — zawyrokowałem, przypominając sobie własne opinie. Też miałem wybitne predyspozycje. Czas pokazał, że głównie do kradzieży. — Typowy oświatowy bełkot. Poszukajmy lepiej jej adresu. Przypominam, że nie piszemy jej biografii. Chcemy ją tylko znaleźć.

Moje cierpkie uwagi nie podcięły jej skrzydeł. Przeciwnie, wciąż wykazywała zapał. Widocznie tak to już jest z prymusami. My, przeciętniacy, podążamy do celu najprostszą drogą, bez oddawania się refleksjom.

— Życiorys. — Rozłożyła przed sobą kartkę pokrytą starannym pismem. — Nasza Oksana pochodzi ze Lwowa. Wtedy, czyli w dziewięćdziesiątym trzecim, miała dwadzieścia trzy lata... czyli teraz ma pięćdziesiąt jeden. Ukończyła szkołę pedagogiczną przy Szczęśliwickiej, w Warszawie. Teraz jest tam Akademia Pedagogiki Specjalnej.

Uśmiechnąłem się do wspomnień. W warszawskich czasach, zanim jeszcze związałem się z Ewką, miałem tam dziewczynę, na surdopedagogice. Na wspomnienie tego, czemu oddawaliśmy się w jej akademiku, zaschło mi w ustach.

— Adres — przypomniałem, ale ten, który odczytała, w żaden sposób nie przybliżał nas do celu. Oksana Awdiejewa posługiwała się adresem przy Skłodowskiej-Curie. Adresem Arkanowicza, a teraz także moim. — Skoro dostała rentę, to musiała być jakaś decyzja. A decyzję trzeba doręczyć... na jakiś adres. Po wypadku nie wróciła na Skłodowskiej-Curie. Musiała gdzieś zamieszkać.

— Może w ośrodku opiekuńczym. — Manuela cierpliwie wertowała dokumenty. — Po jednoczesnej utracie ręki i nogi trudno funkcjonować samodzielnie. To skaza, nie tylko w znaczeniu fizycznym. Również dla psychiki.

W moim rozumieniu świata taką skazą dla psychiki była już próba samobójcza, ale to była semantyka. Zniecierpliwiony metodycznym podejściem Manuely znów podszedłem do okna. Wiewiórka zniknęła. Dzieci również. Wychyliłem się bardziej i zobaczyłem je przy ogrodzeniu. Nieświadome tego, że prawie przyprawiły mnie o zawał, rozmawiały z koleżanką Oli.

— Co tam masz? — spytałem chrapliwym tonem, zdejmując kurtkę.

Przez te kilka sekund, gdy ich nie widziałem, spociałem się jak mysz. Manuela, wciąż pochylona nad papierami, wklepywała coś w komórkę.

— W korespondencji z Zakładem Ubezpieczeń Społecznych jest numer telefonu. Sześciocyfrowy. Jeśli podstawimy szóstkę lub siódmkę, uzyskamy

numer telefonu stacjonarnego... Tak piszą w sieci. Małe szanse, ale chyba warto spróbować.

Chcesz?

Podawała mi swojego smartfona. Z tapety uśmiechała się do mnie Anielka. Podążając za jej wskazaniem, spróbowałem wariacji z szóstką i siódmką, podstawiając lokalny prefiks. Dwadzieścia trzy, tak jak numer na koszulce LeBrona Jamesa.

— Głucho — poinformowałem, ale już mnie nie słuchała.

Znów utonęła w papierach z nieobecny wyrazem twarzy. Zamiłowanie do takich poszukiwań odziedziczyła zapewne po ojcu. Jacek Twardygrosz, zanim umarł, skompletował okazałe archiwum dotyczące Arkanowicza.

Usiadłem niedaleko okna. Dzieci wróciły na karuzelę. Przez chwilę słuchałem ich beztroskich krzyków, a potem obróciłem się z krzesłem w kierunku biurka sekretarki. Chciałem do niej zagadać, ale zdążyła się ulotnić. Został po niej jedynie pusty kubek i wgniecenie w tapicerce.

— Mam!

Manuela aż zerwała się z krzesła. W rękę trzymała pojedynczą kartkę z nadrukiem Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Pogratulowałem sobie w duchu, bo wyszło na moje. Tam, gdzie w grę wchodziły pieniądze, nie można było sobie pozwolić na brak precyzji.

— Działdowo? Czy Ukraina? — dodałem ciszej, bo w tym drugim wypadku nasze możliwości znacznie się zmniejszyły.

Rzecz trzeba by załatwiać listownie. Albo wcale.

— Nie jest tak źle. To nie Działdowo, ale... Już tam byliśmy.

Pokazała mi adres. Nazwa miejscowości brzmiała znajomo. Waplewo. Osada przy linii kolejowej, z której wędrowaliśmy, by odwiedzić starego dziennikarza.

— Chcesz tam pojechać?

Pokiwała głową, nie dzielając mojego sceptycyzmu. Zapewne nie



pamiętała, że jedynym świadectwem cywilizacji był tam stary budynek stacji. Stary i zrujnowany.

Bez śladu życia.

Gdy byłem dzieckiem, uwielbiałem podróże pociągiem. Adaś i Ola odziedziczyli to upodobanie w stu procentach. Co chwila wybuchali głośnym śmiechem, wypatrując za oknem kolejnych atrakcji. Ekscytująca okazała się dla nich nawet kontrola biletów, a młody konduktor był w ich oczach odpowiednikiem superbohatera. Manuela miała w sobie coś z dziecka, bo bawiła się niemal tak dobrze, jak oni.

— Wasz tata też jest konduktorem.

— Super, ciociu.

— Ola, usiądź wreszcie, bo się przewrócisz.

— Dobrze, ciociu.

Waplewo było takie samo, jakim je zapamiętałem. Stacyjka w głuszy, opuszczona i zapomniana. Byliśmy jedynymi wysiadającymi. Nawet konduktor poprzestał na wystawieniu głowy — tak, jakby natychmiast chciał stąd odjechać. Dzieci długo patrzyły za oddalającymi się światłami. W końcu wzięłem je za ręce i pociągnąłem w kierunku odpychającej ruiny, która była kiedyś budynkiem stacji.

— Masz swój adres.

Pokazałem Manueli wyblakłą tabliczkę z numerem jeden. Patrzyła z na wpół otwartymi ustami — na pęknięcia w murze i oczodoły wybitych okien. Entuzjazm, który nie opuszczał jej twarzy od momentu, w którym wyruszyliśmy, teraz zniknął. Było jasne, że nikt tu nie mieszka, i to od wielu lat.

— Co robisz?

— Szukam Oksany. Może tu została.

Żart zabrzmiał cokolwiek makabrycznie. Manuela uczyniła gest, jakby miała popukać się w czoło, ale zerknęła na dzieci i zdołała się powstrzymać.

— Chodźcie. — Wskazała na chwiejącą się tablicę z rozkładem jazdy. — Sprawdzimy, o której jest powrotny.

ZaczeKałem, aż się ode mnie odwróca — wysoka kobieta, dziecko i chudy jak patyk chłopiec o kulach. A potem, po raz drugi tego dnia, sforsowałem okno, przedostając się do wyłączonej z użytkowania poczekalni z okienkiem dawnej kasy biletowej. Nie byłem tu jedynym gościem. Wyżej, na antresoli, wylegiwał się łaciaty kot. Zerknął na mnie leniwie, po czym wrócił do konsumpcji. Z pyszczka dyndały mu gołębie pióra.

— Smacznego! — Mój głos poniósł się po wnętrzu niczym po opuszczonej katedrze.

Nie znałem się na kotach, ale wiedziałem o nich dość, by zakładać, że te bezdomne nie noszą obroży przeciwpchelnych. Kot z antresoli miał właściciela, który musiał gdzieś mieszkać. Gdzieś, ale przecież nie tutaj. Tu, w dawnej poczekalni, wśród miejsc po powyrywanych ławkach, mogły mieszkać jedynie duchy.

W żadnym z okien nie było nawet kawałka szyby. Wybrałem środkowe, dokładnie naprzeciwko tego, którym tu wszedłem. Po drugiej stronie budynku dworcowego biegła droga z prefabrykatów, a za nią zaczynał się las. Z poprzedniej wycieczki wiedziałem, że ciągnie się przez wiele kilometrów, aż do Maróza — wioski, w której żył stary dziennikarz. Ten kierunek odpadał, tak więc udałem się drogą i po chwili dostrzegłem, że do hali tego obróconego w ruinę minidworca przylega niewielki budynek z odrębnymi drzwiami, wyglądający na... mieszkalny.

Obszedłem go i z drugiej strony nieoczekiwanie natknąłem się na wesołą gromadkę — Manuele i dzieci. Adaś z dzielną miną pokonywał kolejne metry nierównej ścieżki, wysypanej tłuczoną cegłą. Manuela, z Olą na rękach, stała przy otworze okiennym. Tu także nie było szyby. Ani mieszkańców. Przyszło im się wynieść wiele lat temu. Zostały po nich jedynie kurz i pajęczyny.

— Na co patrzysz?

— Szukam wskazówek. — Uśmiechnęła się kpiąco, bo oboje zdawaliśmy

sobie sprawę, że wszelkie wskazówki już dawno zatarł czas. Mieszkanie wymieciono ze sprzętów. Nagie, spękane mury ozdobione były jedynie wszechobecnym w takich miejscach graffiti. — Kto tu mieszkał?

— Zapewne dyżurny ruchu. A może zawiadowca stacji?

Wzruszyłem ramionami, bo historia nigdy nie była moim konikiem. Wiedziałem tylko, że kolejarzom w dawnych czasach przysługiwały takie służbowe lokale. I trochę żałowałem, że tamte czasy już nie wrócą, bo sam chętnie przytuliłbym jakieś zakładowe mieszkanie. Choćby i w kamienicy przy Skłodowskiej-Curie.

— Możesz ustalić, gdzie jest teraz?

Cisnęła mi się odpowiedź, że na cmentarzu, ale nie chciałem raczyć takimi tekstami własnych dzieci. Manueli chodziło zapewne o to, bym zwrócił się do pracodawcy: do wydziału kadr, archiwum zakładowego czy czegoś w tym guście... Mógłbym to zrobić, ale bez szans na powodzenie, bo spółka, w której pracowałem, obsługiwała jedynie teren Mazowsza z przyległościami, a znajdowaliśmy się na północy — na granicy Warmii i Mazur. Miałem inny pomysł. Chociaż stacja wyglądała na niezamieszkaną, gdzieś tutaj musieli być ludzie. Choćby i właściciele łaciatego kota.

Wziąłem obie kobiety za ręce. Mała rączka natychmiast zacisnęła się na moich palcach; duża przez chwilę walczyła, aż znieruchomiała, pozostając w mojej dłoni. Z nieba wciąż sączyły się resztki słońca, a na niektórych drzewach zostało jeszcze trochę liści. Pewnie był to efekt chronicznego niewyspania, ale przez chwilę poczułem się jak na rodzinnym wypadzie pod miasto.

— W prawo czy w lewo?

Pozwoliłem zdecydować dzieciom. Droga z prefabrykatów musiała dokądś prowadzić — nie wybudowano jej przecież po to, by ułatwić życie jeleniom. Ruszyliśmy w kierunku zachodzącego słońca niczym bohaterowie westernu. Ja szybko zostałem koniem — z Adasiem na barana marsz nie był już tak przyjemny, ale nie trwał długo. Najpierw usłyszeliśmy ujadanie psa, a po

chwili zza drzew wyłoniły się zabudowania. Wyglądały niewiele lepiej niż budynek stacji, ale nad ceglanym kominem unosiła się wstążka dymu.

— Jak w *Konopielce*, co? — odezwała się Manuela, a ja udąłem, że wiem, o co jej chodzi.

Zwykle nie silę się na intelektualizm, ale przy dzieciach staram się sprawiać wrażenie mądrzejszego niż w rzeczywistości.

— Jak pojawią się smoki, ty bierzesz Olkę.

— Jakie smoki, tatusiu?

— Twój tata tylko tak żartuje.

Smoków nie było, ale gdy się zbliżyliśmy, szczekanie przybrało na sile, a pomiędzy zabudowań wyszła nam na spotkanie kobieta z widłami. Kobieta, a raczej staruszka... z widłami. Nie wiedzieć czemu uznałem to za rzadki widok. Widły te nie były narzędziem obrony ani tym bardziej ataku. Na ich zębach widniały wonne ślady świeżego obornika.

— Pochwalony — zagailem, bo ta archaiczna forma powitania wydała mi się w tych okolicznościach bardzo na miejscu.

Kobieta sprawiała wrażenie przyjaznej. Uśmiechnęła się do Oli, a potem spojrzała na mnie z mieszaniną troski i podziwu.

— Nie boli pana kręgosłup?

— Prawie nie. — Uśmiechnąłem się mężnie, po czym postawiłem syna na ziemi. — Pewnie się pani zdziwi. Szukamy kogoś, kto chyba od dawna tu nie mieszka.

Wcale nie wyglądała na zdziwioną, a co najwyżej na zagniewaną. Sympatia wyparowała. Tak szybko, jakby ktoś wcisnął guzik.

— Kogo? — warknęła, potrząsając widłami.

Uniosłem dłonie w pojednawczym geście, chociaż tak naprawdę miałem ochotę powiedzieć coś niemilego. Świadomie bądź nie, ale wystraszyła dzieci. Manuela, również wytrącona z równowagi, wzięła Olę na rękę.

— Kobiety, która trzydzieści lat temu mieszkała w budynku stacji — powiedziała, cofając się o krok. — Jeśli to problem...

— Żaden problem. — Staruszka znów się rozpogodziła, a potem wymamrotała przeprosiny. — Żył tu kiedyś taki kryminalista... Czasem wciąż o niego pytają, a my nie lubimy takich pytań. Boimy się. Ale tamta kobieta... Nie, ona była w porządku. Będzie już ze dwadzieścia lat, jak nie żyje.

Popatrzyłem na Manuellę. Jej mina zdawała się mówić: masz babo placek.

— Ludzie nazywali ją Czarnulą, chociaż pod koniec swych dni była już siwiuteńka. Nic dziwnego. W życiu spotkało ją niewiele dobrego, miała za to dużo zmartwień.

— Pochodziła z za wschodniej granicy?

Staruszka wbiła widły w gliniastą glebę.

— A kto ją tam wie? Niechętnie gadała z ludźmi. Była sama jak palec. Tylko ona i ten czarci pomiot. Ten lucyfer. Ta zakała... — Wzięła głęboki oddech. Zauważyłem, że Manuela zakryła Oli uszy. Żałowałem, że nie wyświadczyłem tej przysługi Adasiowi, ale następne słowa staruszki nie były już wulgarne: — Jej syn.

— Oksana Awdiejewa miała syna? — wymamrotałem.

Prawda okazała się bardziej złożona.

— Jaka Oksana? — Staruszka popatrzyła na mnie w taki sposób, jakbym głosił herezję. — Na imię było jej Barbara. Pamiętam, chociaż ludzie już o niej zapomnieli... Gdyby zechcieli jeszcze zapomnieć o dzieciaku. Ale nie! Wszyscy o niego pytają. Kiedyś byli tu nawet z prasy. Chcieli wiedzieć, jaki był.

Wyjaśnienie mogło być tylko jedno, ale chciałem usłyszeć to z jej ust.

— Jak się nazywała ta Barbara?

— Tak jak i on. — Kobieta uczyniła znak krzyża, a potem ściszyła głos, jakby jej słowa miały obrazić kogoś tam, na górze: — Barbara i Dariusz... Arkanowicz.

Manuela była wspaniałą dziewczyną. Chociaż ciekawość aż ją paliła, starała się tego nie okazywać. Podczas gdy ja rozmawiałem ze staruszką, razem

z dziećmi zbierała szyszki. Nie chciała, bym rozmawiał przy nich, i bez wątpienia miała rację — to, co usłyszałem, nie było odpowiednie dla dziecięcych uszu.

Gdy ruszyliśmy z powrotem w kierunku stacji, zwolniła do tego stopnia, że wyprzedził nas nawet Adaś. Czekaając, aż znajdziemy się poza zasięgiem jego słuchu, zadałem pytanie, które nasuwało się samo:

— Czemu pozwoliłaś, żebym to ja z nią rozmawiał? Przecież tu chodzi o twojego tatę, a nie mojego.

— Bo jesteś w tym dobry — odparła natychmiast. — Umiesz rozmawiać ze zwykłymi ludźmi. To dar, którego ja niestety... nie mam.

Doceniałem, że użyła takiego sformułowania. Zwykli ludzie — to brzmiało lepiej niż prości. Stwierdziłem, że to żadna umiejętność.

— Sam jestem prosty — dodałem, ale ona wzięła moją szczerość za błazenadę i kazała mi natychmiast powiedzieć, czego się dowiedziałem.

— I dlaczego skręcamy? — Wskazała przed siebie. — Przecież stacja jest tam...

Staruszka, z którą rozmawiałem, pamiętała rzecz jasna dziewczynę bez ręki i nogi. Takich osób się nie zapomina. Nie była mi jednak w stanie podać szczegółów, tych, na których mi zależało. Nie znała jej aktualnego adresu. Nie wiedziała nawet, że Oksana Awdiejewa była dziewczyną Dariusza Arkanowicza.

— Pamiętała tylko, że ktoś taki uczył w tutejszej szkole. Oksana mogła uczyć w szkole. Miała wszystkie niezbędne papiery. Problemem mogła być poważna niepełnosprawność, ale w szkole nauczyciel nie musi być tak mobilny jak ten, który pracuje w przedszkolu.

— Tutaj jest szkoła?!

Rozejrzałem się. Otaczały nas nieużytki, które stopniowo obejmował we władanie sosnowy las. Nie było tu nawet śladu życia. Zdziwienie Manueli było uzasadnione, ale nie wiedziała tego, co ja.

— Za komuny niedaleko stąd był Państwowy Ośrodek Maszynowy, a obok

pegeer. Wszystko wyglądało inaczej niż teraz. Kilkanaście lat temu grałem tu w piłkę. — Wskazałem na pordezwiąły słupek, będący jedyną pozostałością po niegdysiejszym boisku. — Zespół nosił nazwę Pomowiec. Pomowiec Waplewo.

Moje wspomnienia nieszczęśliwie ją wzruszyły.

— Czyli Oksana zamieszkała u niedoszałej teściowej?

— Prawdopodobnie nie miała większego wyboru. Matka Arkanowicza miała pokój z kuchnią, w tym budynku, do którego zaglądałaś.

— Dziwne miejsce do życia.

— Jeśli pracuje się na kolei, to chyba nie takie złe... Miała blisko do pracy. Przynajmniej nie stała w korkach.

— Kim była?

— Dyżurną ruchu. Jej syn wychował się na tej stacji.

Dałem jej chwilę, by to przetrwała. Pobiegłem do Oli i zrobiłem jej samolocik. Gdy wróciłem, Manuela wciąż wyglądała na wstrząśniętą. Owszem, kiedyś to miejsce wyglądało inaczej, ale mieszkanie niemal w głuszy z widokiem na perony z pewnością nie sprzyjało harmonijnemu rozwojowi... czego dowodem było późniejsze życie Arkanowicza.

— Nic dziwnego, że został kolejarzem — podsumowała.

— Nic dziwnego, że zwariował.

Zostawiłem ją i w pięciu susach doskoczyłem do Adasia, który potknął się o korzeń. W miejscu, gdzie powinna stać druga bramka, rosła kilkumetrowa topola.

— Tato, daleko jeszcze?

Zmrużyłem oczy. Za ścianą zarośli udało mi się dojrzeć podupadłe zabudowania nieczynnej od lat cegielni, ze strzelającym w niebo kominem. Jeśli staruszka z widłami niczego nie pokręciła, to znajdowaliśmy się blisko celu.

— Kawaleczek — oznajmiłem, a potem znów wziąłem go na barana. — Uważaj na głowę.

Przedarłem się przez chaszczę. Ola i Manuela podążały po moich śladach. Widok, który ukazał się naszym oczom, stanowił doskonały dowód na potęgę natury. Tam, gdzie jeszcze dwie dekady temu rozbrzmiewał dzwonek i śmiech dzieci, teraz wznosiła się ściana zbrązowiałych pnączy, spod których jedynie gdzieniegdzie wyglądały fragmenty betonowych murów zapomnianej szkoły.

— Czy tam straszy? — spytałem, zanim zdążyłem ugryźć się w język.

Rodzicielskie doświadczenie podpowiadało, by unikać nawiązań do duchów, potworów i innych widziadeł. Takie żarciki, zabawne za dnia, kończyły się najczęściej dziecięcym płaczem i nieprzespanymi nocami.

— On tu naprawdę mieszka?

Manuela dostosowała barwę głosu do panującego wokół nastroju grozy. Robiło się coraz ciemniej. Żałowałem, że nie wziąłem latarki.

— Podobno tak — odparłem w taki sposób, że mogła mnie usłyszeć tylko ona. — Przy szkole jest chałupa. Staruszka z widłami twierdziła, że to dziwak i odludek. Ale mówiła też, że...

Mówiła, że jest niegroźny, ale nie zdążyłem tego powtórzyć. W przytłaczającej ciszy pisk Oli był tak przenikliwy, że odruchowo przyłożyłem dłoń do uszu. Manuela, przyzwyczajona do decybeli, zareagowała bardziej racjonalnie. Objęła moją córkę, a potem wzięła ją na rękę.

— Tam ktoś jest — wyszeptała, wskazując w kierunku krzaków. — Jakiś mężczyzna.

To było niedopowiedzenie. Owszem, to był mężczyzna, ale przede wszystkim — wielkolud. Musiał mieć ze dwa metry, a spiczasty kaptur, pod którym ukrywał głowę, dodawał mu wzrostu. Wspierał się na sękatym kosturze. Twarz miał wykrzywioną niczym maska z greckiej tragedii.

Opis pasował jak ulał. Czując na ramionach rozedrgany ciężar mojego starszego dziecka, nasyciłem głos przyjazną energią.

— Dzień dobry, panie dyrektorze. Przyjmie pan zbłąkanych wędrowców?

Facet wyglądał jak pustelnik, i to z horroru, ale kiedyś rzeczywiście był



dyrektorem. Dyrektorem szkoły, z której pozostały jedynie stare mury. Ze słów staruszki wynikało, że żył w drewnianej chatce, którą zamienił w muzeum miejscowego folkloru. Udzielał się w organizacjach krajoznawczych, ale prywatnie był samotny, przez co — z biegiem lat — trochę zdziczał. Patrząc na niego, trudno było oprzeć się wrażeniu, że w tym opisie było ziarnko prawdy. Gdyby jego broda była jeszcze trochę dłuższa, mógłby używać jej jako okrycia.

— Wy naprawdę do mnie? — Najpierw się zdziwił, a potem ucieszył. Mogłem się założyć, że nieczęsto przyjmował gości. A już na pewno nie takich jak my. Na widok Oli i uczepionego mych ramion Adasia jego spojrzenie złagodniało jeszcze bardziej. Wyłonił się z wieczornego cienia, a moje dzieci wydały zbiorowe westchnienie ulgi. Już nie wyglądał groźnie. Przypominał wyjątkowo niezgrabnego Świętego Mikołaja. — Napijcie się herbaty z miodem?

Gdy pięć minut później spróbowałem swojej, z trudem powstrzymałem się od kaszlu, a oczy wyszły mi na wierzch. Na wszelki wypadek skosztowałem również napoju Oli, ale smakował normalnie. W przeciwieństwie do mojego, w którym miód rozcieńczono rumem.

— Doskonała — pochwaliłem, wdychając zapach żywicznych bierwion.

Chata, o której wspomniała staruszka z widłami, nie była żadnym domkiem na kurzej stopie, tylko porządnym domem z bali. Siedzieliśmy w obszernej izbie, przy dużym stole z dębowego drewna. W kominku płonął ogień, a na deskach podłogi leżały skóry upolowanych zwierząt. Myśliwski wystrój przyprawiłby miłośników natury o palpację, ale moim dzieciom bardzo pasował.

— Wujku, to dzik?

— Nie. To lew. Ustrzeliłem go na podwórku...

— Wujku! Żartujesz tak jak tatuś! Przecież do zwierzątek nie można strzelać.

Chrząknąłem, chcąc przerwać tę wymianę zdań, zanim będzie za późno.

Zerknąłem na Manuellę. Jej herbata również musiała być z prądem — poznałem to po zarumienionych policzkach i oczach, które błyszczały jeszcze bardziej niż zwykle.

— Tak więc, panie dyrektorze...

— Dyrektorem byłem dawno temu. O wiele dawniej niż pan nauczycielem...

Jego pustelnia wcale nie była pustelnią, i nie chodziło nawet o stojący w rogu izby telewizor czy widoczną przez okno antenę Polsatu. Przed chwilą dowiedziałem się, że bywał na Zamku w Działdowie — u mojej żony. Teraz wyszło na jaw, że znał również moją historię. Skłamałbym, gdybym stwierdził, że mnie to ucieszyło.

— Chcielibyśmy skontaktować się z Oksaną Awdiejewą.

Wypowiedziałem to imię i nazwisko po raz trzeci, a on — po raz trzeci — zareagował tak samo. Przeczesał z zadumą brodę, po czym stwierdził, że była jego ulubionym pracownikiem. Tym razem jednak wykonał jeszcze jeden gest. Wstał i klepnął mnie w ramię, a potem wskazał na drzwi.

— Trochę tu duszno. Może się przejdziemy?

Naprawdę wolałem, by w tym spacerze towarzyszyła mu Manuela, ale chociaż dawałem jej znaki, nie zareagowała. Wyszliśmy przed chatę. Sądziłem, że to wystarczy, ale stary dyrektor pociągnął mnie dalej, w mrok. Gdy potknąłem się po raz pierwszy, zapalił latarkę.

— Oczywiście ma pan świadomość, z kim była związana? — Zaczekał, aż pokiwam głową, a potem ciągnął: — To ją definiowało. Ciężyło na niej niczym piętno. Nie należała do osób słabych psychicznie, ale spadło na nią tak wiele. Jak pan zapewne wie, straciła w wypadku przedramię i stopę. Potrzebowała azylu.

Poświecił dookoła. Minęliśmy kilka drzew i teraz znajdowaliśmy się na uroczysku. Symbolika tego gestu była aż nadto jasna.

— To było dobre miejsce, by się ukryć.

— Tak sądziłem. Podupadająca osada, maleńka wiejska szkoła... Idealne

miejsce, by zacząć od nowa. To było naprawdę dobre dziecko. Jej grzechem była miłość do... niewłaściwej osoby. A także naiwność. Nie wiedziała, kim tak naprawdę był jej wybranek. Kiedy się dowiedziała, natychmiast się odkochała. Niestety. Było już za późno.

Uznałem, że oddaliliśmy się wystarczająco od ciekawskich uszu moich dzieci, ale on parł dalej przez szumiącą wiatrem ciemność. Znow weszliśmy między drzewa. Gdzieś nad naszymi głowami rozległ się żalobny głos puszczyka.

— Była bardzo utalentowana i bardzo chciała na nowo się odnaleźć. Niestety, znajomość z Arkanowiczem wisiała nad nią jak cień. Media relacjonowały jego proces, powstawały wciąż kolejne artykuły... Ale najgorsze były plotki. Te szeptane, przenoszące się z ust do ust. Dotarły nawet tutaj.

— Trudno się dziwić. Oksana zamieszkała u matki Arkanowicza. Dziwne, gdyby miejscowi nie zaczęli zadawać pytań. To było jak strzał w kolano...

Urwałem, uchylając się przed napiętą gałązką, która pomknęła w kierunku mojej twarzy z prędkością ciśniętego kamienia. Nie potracił jej celowo, ale w jego ochrypłym głosie zabrzmiały nutki urazy.

— Łatwo jest krytykować. Pochodziła z Ukrainy. Przyjechała do Polski, chcąc zawalczyć o lepsze życie. Była w naszym kraju sama jak palec. Pewnie się pan domyśla, że związek z kimś takim jak Arkanowicz ograniczył jej kontakty towarzyskie. W jednej chwili jej świat rozpadł się na kawałki, a potem doszło jeszcze kalectwo. Nie miała do kogo się zwrócić. Matka Arkanowicza... mówiliśmy o niej per Czarnulka... Już wcześniej była nieszczęśliwą kobietą, a po ujęciu Dariusza jej życie stało się pasmem udreń. Przyjęła Oksanę z otwartymi ramionami. Dała jej dach nad głową, ja dałem jej pracę...

— Dariusza? Powiedział pan: Dariusza? — wypowiedziałem to imię z obrzydzeniem, na jakie nie zasługiwało, ale w tamtym momencie kojarzyło mi się wyłącznie z Arkanowiczem. — Czy pan go znał?

— Czy go znałem? Panie Kacprze. — W głosie dawnego dyrektora pojawiło się niedowierzanie. Chyba nie pojmował, że można aż tak nie nadążyć. Widocznie nigdy nie pracował przez dwie noce z rzędu. — Chodził do mojej szkoły przez całe dziewięć lat.

— Przez dziewięć?

— Raz zostawiłem go na drugi rok, bodaj w siódmej klasie. Miał pałę z historii i z polskiego. To ja zachęciłem go, by złożył papiery do Kolejówki. Gdybym tego nie zrobił, zapewne nie zostałby kolejarzem. Może się pan domyślić, ile razy o tym myślałem... Ile razy rozważałem, jak potoczyłoby się to wszystko, gdyby Dariusz został tu, w Waplewie. Pod sklepem, z butelką wina.

— I co? — spytałem, bo tego chyba ode mnie oczekiwał. — Miał pan wyrzuty sumienia?

Zwolnił, a potem zupełnie się zatrzymał. Nie był młodzieniaszkiem. Marsz leśnym bezdrożem wyraźnie go zmęczył.

— Raczej nie — wydyszał. — Tutaj też prędzej czy później coś poszłoby nie tak... Może działałby dłużej? W tych lasach nie zostawiłby tylu śladów zbrodni... — Odetchnął głęboko kilka razy, a potem podjął wędrówkę, a ja ruszyłem za nim. Nie miałem wyjścia. To on miał latarkę, a poza tym... nie miałem pojęcia, jak stąd wrócić. Staruszek wywiódł mnie na manowce. — Oksana wytrzymała tutaj tylko przez pół roku, z czego samej nauki były może cztery miesiące, bo reszta to wakacje. Zrobiłem jej drewnianą protezę, a ona nauczyła się z niej korzystać. Była bardzo twarda, bardzo żywotna. Jej rehabilitacja po wypadku trwała kilka razy krócej niż standardowo przy podobnych wypadkach. Więcej nie potrzebowała. Po dwóch miesiącach wyszła ze szpitala, a po kolejnych dwóch stała już przy tablicy. Miała rentę, ale chciała pracować. Zatrudniłszy ją na zastępstwo, za koleżankę, która zaszła w ciążę...

Dalej nie słuchałem, bo trafiłem stopą w głęboką dziurę. Od złamania

uratowała mnie tylko wrodzona elastyczność kości. Syknąłem z bólu i rozmasowałem goleń, wyczuwając pod palcami lepkie błoto.

— To wszystko jest bardzo ciekawe, panie dyrektorze — burknąłem, usiłując dojrzeć jego sylwetkę. Tu, w zagajniku, mrok wydawał się wyjątkowo gęsty. — Ale mam dwa pytania. Po pierwsze, dokąd się wyniosła, a po drugie... gdzie my, do cholery, jesteśmy?

— Nie słyszy pan?

Umilkł i w tle rzeczywiście usłyszałem charakterystyczny dźwięk, który w ostatnich dniach stał się częścią mojego jestestwa. Dźwięk pędzącego pociągu. Super, zatem przyprowadził mnie w pobliże torów.

Tylko po co?

— Oksana wróciła do Ukrainy. Nauczyciel musi mieć autorytet, a ona dla wszystkich była dziwką mordercy. I to kulawą. — Zaśmiał się, ale nie był to wesoły śmiech. — Tak o niej mówili: „kulawa dziwka mordercy”. Pewnego dnia zapukała do mojego gabinetu i powiedziała, że dłużej tak nie może. Że nie wytrzyma. Nie mogłem zatrzymać jej na siłę. Nawet nie próbowałem. Miała rację. Wszystko wskazywało na to, że tam będzie jej lepiej.

— Ma pan jej adres?

Zadałem to pytanie z mimowolną niechęcią. Wymiana korespondencji nie mogła zastąpić kontaktu z żywym człowiekiem, ale lepsze to niż nic.

— Tak, kilkakrotnie do mnie pisała. Została nauczycielką polskiego we Lwowie. Dostawała także rentę, więc bez trudu wiązała koniec z końcem. Ale nie odnalazła szczęścia. Z jej korespondencji przebijał smutek.

Uniknąłem chłaśnięcia kolejną gałęzią. Wyszliśmy na otwartą przestrzeń. Po chwili wyczułem pod stopami tłuczeń nasypu, a na tle nieba udało mi się dostrzec ramię semafora.

— Mówi pan o niej w czasie przeszłym... Czy ona nie żyje?

— Nie mam pojęcia, ale to możliwe. Ostatni raz napisała do mnie... Nie wiem dokładnie, ale pewnie z dziesięć lat temu. Albo i więcej.

— Wciąż byłaby niestara. — Jeśli dobrze zapamiętałem, Manuela ustaliła

jej wiek na pięćdziesiąt jeden lat. — Może po prostu nie chciało jej się pisać.

— Może i tak. Ale niech pan nie zapomina o próbie samobójstwa. Takie urazy odzywają się przez całe życie. I potrafią bardzo je skrócić. Chociaż Oksana i tak miała szczęście. Gdy zobaczyłem ją po wypadku, byłem pewien, że jest martwa. Zamiast po karetkę chciałem dzwonić od razu po karawan. Na szczęście inni mieli więcej rozumu...

Wycelował latarkę w ciemność za nasypem. To było dziwne uczucie. Jakby w kręgosłup wbijało mi się tysiąc lodowatych igiełek.

— To stało się... tutaj?!

— Dokładnie na wysokości tego drzewa — odparł spokojnie były dyrektor, oświetlając rozłożysty dąb ze sterczącą w niebo martwą gałęzią. — To znaczy... tutaj leżała. Do uderzenia musiało dojść trochę dalej, w tamtą stronę. — Zatoczył łuk latarką. — Pociąg nadjeżdżał od strony Nidzicy. Maszynista nie miał szans jej zauważyć. Położyła się na torach.

I zasnęła.

Na moment mnie zatkało.

— Jak to: zasnęła?

— Była pijana. Tak przynajmniej mówiła, gdy się ocknęła. Nikt nie robił jej badań. W szpitalu nie mieli czasu na takie detale. Walczyli o jej życie.

— Czy można próbować się zabić... przez sen?

Były dyrektor przez chwilę milczał, zastanawiając się chyba nad odpowiedzią.

— Takie było powszechne mniemanie. Ludzie uważali, że to było samobójstwo. Znaleźli się i tacy, którzy twierdzili, że to dla niej jedyne honorowe wyjście. Oczywiście stanowili margines, ale zawsze...

— Pan nie uważa, że próbowała się zabić?

— Moim zdaniem to był wypadek. Dziewczyna błąkała się przez wiele godzin w stanie kompletnego szoku.

— Po tym, jak zatrzymali Arkanowicza, tak?

— Zatrzymać można każdego, za wszystko. Wierzyła, że to pomyłka, ale

gdy poznała charakter zarzutów... To była mądra dziewczyna. Dopasowała do siebie elementy tej układanki i wyszło jej, że Dariusz rzeczywiście był zabójcą. Trudno sobie wyobrazić, co wtedy poczuła. Można tylko próbować, ale... nie radzę. Łatwo sobie uszkodzić psychikę. W stanie, w którym się znajdowała, nie trzeba dużo, by się upić. A może to nie był alkohol. Może po prostu zasnęła...

— Na torach? — wtrąciłem z powątpiewaniem.

Odkładając na bok rozważania o rzeczywistych intencjach, spanie w takim miejscu musiało być cholernie niewygodne.

— Nigdy się nie dowiemy, jak było naprawdę. Oksana nie pamiętała momentu zderzenia. To był ranek, pobiegłem na miejsce jeszcze przed lekcjami. Z całej nocy, którą spędziła... Bóg wie gdzie, miała tylko przebłyski. Pojedyncze slajdy, i to zniekształcone alkoholem. Gdy rozmawialiśmy o tym później, po jej wyjściu ze szpitala, twierdziła tylko, że na pewno nie chciała się zabić.

Znajomość spraw tego świata podpowiadała mi rozwiązanie, o którym on nawet nie pomyślał. Nie znałem co prawda przepisów emerytalno-rentowych — ani obecnych, ani tych, które obowiązywały trzydzieści lat temu. Można było jednak domniemywać, że przyczyna wypadku i związanej z nim niepełnosprawności mogła mieć wpływ na wysokość świadczenia, albo nawet na jego przyznanie. Byli na pewno ludzie, którzy dla dożywotniego dochodu chętnie pozbawiliby się kończyny... lub nawet dwóch. Sam takich znałem. W końcu nie dorastałem na plażach Malibu, tylko na Wzniesieniach Mławskich.

— Twierdziła, że to nieszczęśliwy wypadek?

Staruszek nieoczekiwanie się zawahał.

— Obrażenia, których doznała, szok, ból... To wszystko trochę pomieszało jej w głowie. Nie umiała myśleć o tym w sposób racjonalny. Najpierw w ogóle nie mówiła, a z biegiem czasu zaczęła fantazjować.

— Na temat wypadku?

Wziął mnie pod rękę i sprowadził z nasypu, oświetlając drogę. Miał świetny słuch. Ja usłyszałem nadjeżdżający pociąg dopiero wtedy, gdy z za zakrętu wyłoniły się charakterystyczne światła: dwa na dole i jedno na górze.

— Fantazjowała na temat wypadku? — powtórzyłem.

— Nikt nie przykładał do tego większej wagi. Zresztą... nie robiła tego często. Pamiętam dwa... Może trzy takie epizody. — Umilkł, czekając, aż na wysokości naszych głów przemknie pociąg. — To, o czym mówiła, brzmiało jak halucynacje — podjął. — Zwidy po alkoholu.

— Jakie zwidy? — spytałem mechanicznie, patrząc na swój telefon. W lesie przez dłuższy czas nie miałem zasięgu i teraz spływały informacje o niezrealizowanych połączeniach. Przez te kilkanaście minut próbowała się do mnie dodzwonić Manuela, a także — co zaniepokoiło mnie znacznie bardziej — Ewa. — Chyba czas wracać.

Dawny dyrektor posłusznie skierował się w stronę gęstego lasu. Widocznie nie było innej drogi.

— Uśmiełby się pan — stwierdził trochę nieobecny tonem, zupełnie jakby myślami przeniósł się do czasów, w których rozmawiał z Oksaną Awdiejewą. — Ona twierdziła, że ktoś ją tam ułożył. Na torach. Sądziła, że ktoś próbował ją zabić.

Nagle zapomniałem o niewygodnej trasie, uwalanych błotem spodniach, a nawet o nieodebranych połączeniach. Liczyło się tylko to, co miał powiedzieć.

— Kto chciał ją zabić?

Dawny dyrektor wciąż był rozbawiony.

— Podobno jakaś kobieta. Mówiła o niej per Czarna Dama.

Głos Ewy rwał się i zanikał, ale szum słabnącego zasięgu nie był w stanie zagłuszyć jej złości. Nie miałem do niej żalu. W ciągu ostatniej doby wiele przeszła — przede wszystkim za sprawą chwilowego zatrzymania Tomka, a teraz także problemów w pracy.



— Wycieczka?! Czy ty do reszty... rozum?! Nie uważasz, że najpierw... skonsultować?!

Jej przerywany głos rozchodził się na cały wagon. Pech chciał, że staliśmy akurat na stacji. Dzieci, jak zwykle w takich momentach, strzygły uszami, robiąc złośliwe miny.

— Gdzie mam je odstawić? — Adaś zrozumiał, o kim mówię. Posmutniał, ale Ola wciąż była uchachana. — Do domu czy na Zamek?

Ruszyliśmy i połączenie niemal natychmiast zostało zerwane. Po raz ostatni rzuciłem okiem na rodzinne gniazdo Arkanowiczów, a potem zacząłem wypatrywać dębu z suchą gałęzią, który przed dwudziestu ośmiu laty był świadkiem... No właśnie, czego? Próby samobójczej, wypadku... a może usiłowania zabójstwa? Manuela musiała myśleć o tym samym, co ja. Nasze spojrzenia na moment się przecięły, a potem znów utkwiała wzrok w ciemnej szybie i przesuwających się za nią drzewach.

*Na Zamek* — odczytałem z ekranu telefonu. Ewka przyozdobiła wiadomość szeregiem mało sympatycznych emotek. Byłem ciekaw, w jakim nastroju będzie po tym, jak z nią pogadam. Nie zamierzałem ukrywać swoich odwiedzin u Michaliny Kossakowskiej. Mogła oskarżyć mnie o wścibstwo, ale to było bez znaczenia. Liczyło się tylko dobro dzieci.

Ku mojemu zdziwieniu Manuela, która wspominała wcześniej o konieczności uzupełnienia swego portfolio nauczyciela stażysty, postanowiła towarzyszyć nam w drodze na Zamek. Wkroczyliśmy na dziedziniec punktualnie o osiemnastej. Trwała właśnie zmiana scenerii, ale centralna postać pozostawała ta sama. Prezes Andrzej Głazewski skończył opowiadać o rozwoju sportu w naszym mieście i szykował się, by wziąć udział w uroczystym laniu wosku z okazji andrzejek.

— Wszystkiego dobrego, prezesie!

— Dobrze cię widzieć, Szczota. — Głazewski odsłonił w uśmiechu cały arsenał sztucznego uzębienia. — Zwłaszcza w takim towarzystwie.

Wyglądał na zachwyconego skandalem, który wywołałem, pojawiając się tu

z Manuelą. Owszem, spacerowaliśmy razem po mieście, ale Andrzejki na Zamku były imprezą z gatunku tych oficjalnych, z delegacją z ratusza, honorowymi gośćmi, okolicznościowymi mowami i całym tym splendorem. W naszą stronę zwróciło się wiele par oczu. Trafiliśmy na najlepszy moment. To było prawdziwe wejście smoka, a prezes postanowił jeszcze je ubarwić.

— Elżbietko!

Z przerażeniem dostrzegłem, że przywołuje matkę Manueli. Zwykle elegancka, dziś miała na sobie okolicznościową bluzę Startu i wyglądała w niej niczym emerytowana członkini sekcji lekkoatletycznej. Patrząc na nią, nietrudno było zgadnąć, po kim Manuela odziedziczyła postawną sylwetkę. Jej zmarły ojciec był niski i szczupły — tak przynajmniej wyglądał na zdjęciach.

Obejrzałem się za siebie, ale Manuela zrejterowała, pozostawiając mnie samego z problemem, który jej najwyraźniej nie wydawał się aż tak poważny. Słyszałem, jak gdzieś za głowami ludzi przekomarza się z moimi dziećmi. Uśmiechnąłem się od ucha do ucha, a potem — pod baczynym okiem prezesa — złożyłem pocałunek na upierścienionej dłoni jej mamusi. Te pierścionki pasowały jak kwiatek do kożucha — zarówno do dresu, jak i do jej wielkich garści. Stwierdziłem, że w porównaniu z matką Manuela jest jednak filigranowa.

— Ma pan prześliczne dzieci. — Usłyszałem i odruchowo przygotowałem się na dalszy ciąg.

Coś w stylu: „niech pan uważa, bo może je spotkać coś złego”. Oczekiwany ciąg dalszy nie nastąpił. Kobieta uśmiechnęła się — tak ciepło, że, jak by powiedział to poeta, roztopiła lód mojego serca. Wcześniej tego nie dostrzegalem. Uśmiechała się tak samo jak Manuela. A także jak Anielka, która wyrosła przy nas jak spod ziemi i popatrzyła na mnie z takim oddaniem, że ścisnęło mi się serce.

— Proszę założyć maseczkę.

— Cześć, piękna!

Potrząsnąłem delikatnie jej wyciągniętą dłonią i wtedy usłyszałem to, na co w głębi serca czekałem.

— Przepraszam, Kacperku. — Matka Manueli pociągnęła nosem. — Byłam straszną jędzą.

Właśnie na ten sielski moment trafiła Ewka. Widziałem, jak wiele kosztuje ją, by nie wybuchnąć. Wytrzymała aż do momentu, w którym jej szefowa oddaliła się z Anielką i nadskakującym im prezesem. Byłem z niej naprawdę dumny, ale nie zdążyłem tego okazać.

— Gdzie się podziewałeś? I gdzie są dzieci?! — Z tą furią było jej bardziej do twarzy niż z przyklejonym wcześniej do ust uśmiechem. Prawdopodobnie dlatego, że furia była szczerą, a uśmiech fałszywy. — Czy musisz się prowadzić z tą Manuelą po całym mieście? Ludzie się śmieją, że zamieniłeś mnie na klona mojej szefowej.

Ewka nie była małostkowa i z reguły miała gdzieś, co mówią ludzie. Wiedziałem, że powody, dla których tak na mnie najeżdżała, miały swoje odmienne źródło. Stawiałem rzecz jasna na sprawę zatrzymania Tomka, ale okazało się, że spudłowałem. Problem tkwił gdzie indziej. Okazało się, że tym problemem byłem... ja.

— Dlaczego chodziłeś do tej biednej Michasi?

Na dłuższą chwilę mnie zatkało. Gdy odzyskałem rezon, na usta cisnęło mi się wiele wzniosłych słów w stylu: robiłem to dla naszych dzieci, chciałem wiedzieć, co im szykujecie...

Ostatecznie jednak postanowiłem ograniczyć się do wzruszenia ramionami. Troska o dobro dzieci była prawdziwa, ale ubrana w słowa brzmiała sztucznie i banalnie.

— Byłem ciekawy — rzuciłem, gdy nalegała, bym się odezwał.

— Co w tym takiego ciekawego?!

Położyłem palec na ustach, bo za bardzo się ekscytowała. Miałem przed chwilą swój moment chwały, gdy pojawiłem się tu z Manuelą. Nie zależało mi na tym, by znaleźć się w centrum uwagi po raz drugi.

— Zastanawiałem się, komu pan idealny kupuje kwiaty — odpowiedziałem po cichu, usiłując zlokalizować Adasia i Olę.

— Tomek nie jest idealny. Ale i tak go kocham. — Trąciła mnie ręką. Potrafiła być bardzo żywiołowa. — Wiem, że masz powody, by go nie lubić, ale każdy ma prawo do prywatności. A nawet do własnych tajemnic. A więc posłuchaj...

Zaczerpnęła powietrza. Nie chciałem, by powiedziała coś, czego później oboje będziemy żałować. Przypomniałem sobie piłkarskie powiedzenie, które powtarzał aż do znudzenia mój trener w juniorach.

Najlepszą obroną jest atak.

— Są takie tajemnice, których lepiej nie mieć.

— Co masz na myśli? — Szykowała się, by znów mnie trącić, ale teraz ręka jej opadła. Zaskoczenie było pełne. Wyzierało z każdej sylaby: — Chyba nie podejrzewasz, że Tomek mógł zabić kogoś łyżką do opon?

Gdyby zwróciła uwagę na chronologię, odkryłaby, że śledziłem go wcześniej — zanim jeszcze znalazłem tę nieszczęsną łychę. Ale jak wiele znanych mi osób nie myślała racjonalnie w emocjach.

— Nie podejrzewam... Ale zastanawia mnie jego zdolność do trzymania pewnych spraw pod kocem.

— Jakich? I... pod czym? Pod kocem? Chyba pod kloszem?

Udawała. Byłem pewien, że rozumie, co mam na myśli, ale dla pewności wyłożyłem jej to prościej:

— Skoro Tomek umiał zachować w tajemnicy fakt posiadania nieślubnego dziecka... przed całym miastem, to może ukryć niemal wszystko. Zdolna bestia, prawda?

— Ukrywa to dziecko ze względu na mnie. I na Michasię. Ona ma szalonych rodziców. Gdybyś ich poznał...

Przełknąłem ślinę. Na szczęście nie wiedziała, u kogo mieszkam. Wspomniałem jej tylko, że wynajmuję pokój od pani, którą poznałem w pociągu.

— Czemu szalonych?

Myślałem, że uraczy mnie historyjką o samobójstwie pana Gienka, ale nawet o nim nie wspomniała. Uosobieniem całego zła była w jej oczach poczciwa pani Janina.

— Kiedy się dowiedziała, że Tomek nie ożeni się z jej córunią, groziła mu, że go zabije. To były typowe groźby kryminalne. Radziłam się w tej sprawie komisarza policji, który był gościem jednej z naszych *Sobót z kryminałem*. Radził mi, by to zgłosić. Wariatom nie wolno odpuszczać, choćby dla ich dobra.

Nie byłem w stanie uwierzyć w jej opowieści. Obraz pani Janiny, który nakreśliła, był tak różny od tego, co sam zaobserwowałem — mieszkając z nią pod jednym dachem — że mogłem tylko się uśmiechnąć. Uznała ten uśmiech za gest pojednania. Przez chwilę znów byliśmy zgodnym małżeństwem, a potem wróciliśmy do swoich narożników. I swoich ról.

— Przejmiesz dzieciaki? Muszę się przespać, bo mam wrażenie, że wyrosło ci trzecie oko...

— Rodzice przejmą. — Potarła się po czole, jakby chciała sprawdzić, czy rzeczywiście ma tam trzecie oko. A potem wyszukała wzrokiem Manuellę i pomachała jej ręką. — Zostańcie chwilę. Dla wybranych będą kanapki, a jeśli się uda — skołuję ci kieliszek szampana.

Nie miałem ochoty na bąbelki z dyskontu, ale postanowiłem jeszcze trochę się pokręcić, bo wśród zaproszonych VIP-ów mignęła mi twarz Konrada. Znalazłem ich w szatni, w najciemniejszym kącie. Piorunowali się wzrokiem, tak jak wiele nawet najbardziej udanych małżeństw, tocząc jakąś kolejną niemą kłótnię. Moje nadejście podziało na nich odprężająco. Konrad uśmiechnął się z pozorowaną bez troską, a Helena zachichotała.

— Ciesz się, że przed wejściem nie ma selekcji.

— Czemu? — Zerknąłem na jej wieczorową suknię i dobraną pod kolor maseczkę antywirusową, teraz zsuniętą na podbródek. Potem spojrzałem na

garnitur Konrada. Przy mankiecie wisiała tekturowa zawieszka z pralni chemicznej, lecz w porównaniu ze mną i tak był światowcem. Zeskrobałem część błota w pociągu, ale niewiele to dało. Wyglądałem przy nich jak obdartus. — I tak by mnie wpuścili. Mam tu znajomości... Jak zdrowie?

Helena już trzeci dzień była na chorobowym, ale nie sprawiała wrażenia osoby, której coś dolega. Przeciwnie, wyglądała jak modelka z reklamy zdrowej żywności. Gdy spojrzałem na nią badawczo, uciekła wzrokiem, a jej mąż zmarszczył brwi. Sprawa domniemanych kontaktów damsko-męskich wciąż stała między nimi niczym niewidzialna przegroda. I nie robili wiele, by ją skruszyć.

— Muszę do łazienki.

— Powodzenia — mruknąłem, szczerząc zęby.

Przed damską toaletą jak zwykle utworzyła się długa kolejka, podczas gdy przed męską hulał wiatr. Gdy odeszła, objąłem Konrada ramieniem i powiodłem do sali, w której serwowano szampana. Tutaj było spokojniej. Pełne ekscytacji okrzyki dzieci tłumili trzystuletnie mury.

Imprezy andrzejkowe na Zamku były w moim mieście długoletnią tradycją. Zawsze, nawet w czasach, gdy organizował je urząd miasta, przebiegały według podobnego schematu z podziałem na sale: w większej rodzice z dziećmi pod opieką animatora oddawali się rozrywce lania wosku, a w mniejszej dorośli — ci bezdzietni, a także szczęściarze, którzy zostawili potomstwo w domach — bawili się przy muzyce, z przerwami na okolicznościowe mowy. To, że znalazłem się w tej drugiej grupie, zawdzięczałem Manueli. Wzięła Adasia i Olę na andrzejkowe wróżby, dzięki czemu mogłem cieszyć się towarzystwem miejscowej elity.

— Kanapki!

Przełykając ślinę, przepchnąłem się przez ludzką cizbę i porwałem od razu dwie. Sądząc po sposobie, w jaki pokrojono szczypiorek, ich przygotowaniem zajmowała się moja była żona. Jej obowiązki nie ograniczały się do prowadzenia imprez — doglądała ich także... no cóż, od kuchni.

Konrad patrzył na mnie z łagodną tolerancją.

— Jadłeś dzisiaj?

— Jestem człowiekiem pracy — odparłem z trudem, bo niełatwo jest zabierać głos z ustami wypełnionymi połową kanapki. — Nie miałem czasu. Nie spędzam całych dni przy biurku, w ciepłej komendzie...

Myślałem, że jak zwykle się najeży, lecz tym razem nie poddał się mojej niewinnej próbie wyprowadzenia go z równowagi. Znałem go dostatecznie długo, by wiedzieć, co to oznacza. Mój przyjaciel był z czegoś dumny, zatem... Ani chybi odniósł sukces.

— Macie tego dowcipnisia od łychy? — spytałem, ale tylko się uśmiechnął. Był to uśmiech człowieka Wschodu, tajemniczy i nieprzenikniony. Poczułem podniecenie. — Chyba nie powiesz, że macie zabójcę?

Wciąż z przyklepionym do ust uśmiechem rozejrzał się na boki, upewniając się, że nikt nas nie słucha.

— Bez komentarza — odparł, patrząc na mnie tak, jakby chciał sprowokować do zadawania pytań. Za dobrze go znałem, by dać się na to złapać. Udałem, że interesują mnie nogi jakiejś dziewczyny z urzędu miasta, która wdrapywała się na ławę, by poruszyć zacinającym się głośnikiem. Jej spódniczka okazała się zbyt krótka. Po chwili cała sala zobaczyła nie tylko nogi. Cała sala... z wyjątkiem Konrada, który wychodził z siebie, by zrobić na mnie wrażenie. — Mogę powiedzieć tylko jedno. Słuchaj wiadomości. Tych ogólnokrajowych.

Pokiwałem głową. W kraju nikogo nie interesował żartowniś podkładający obciążające dowody. Do mediów mainstreamowych mógł za to przebić się temat pochwylenia seryjnego zabójcy. Przebić i pozamiatać.

— Manuela się ucieszy — powiedziałem bez większego przekonania.

Czasami miałem wrażenie, że odczułaby prawdziwą radość tylko wtedy, gdyby pochwyliła zabójcę własnymi rękami i osobiście przekreśliła klucz w zamku celi.

— Wy ciągle razem? — spytał.

Najwyraźniej przyszedł już po naszym *grand entrance*.

— W pewnym sensie — odparłem enigmatycznie. — Słuchaj...

Chciałem zadać mu pytanie, ale w tym momencie zobaczyłem kogoś, kogo się tu nie spodziewałem. Pod ścianą, trzy metry od przygotowującego się do zabrania głosu zastępcy burmistrza stał mój znajomek od długu, z czarnego audi. W garniturze zamiast dresu wyglądał przekomicznie. Niczym odstrojona małpa.

Konrad był policjantem. Płacili mu między innymi za szybką ocenę sytuacji, toteż błyskawicznie się zorientował, co było przyczyną mojego chwilowego zawieszenia. Chrząknął i spojrzał na Romana spod nastroszonych brwi. Ten wyczuł jego spojrzenie i — choć nie robił nic złego — przeszedł na drugi kraniec sali. Na złodzieju czapka gore.

— Znasz go?

— Słabo — odparłem, a potem, nie chcąc, by drażył temat, odgrzebałem kwestię, z którą zamierzałem się do niego zwrócić: — Słuchaj, mówiłeś, że ojciec Manueli narobił kiedyś bałaganu. Miał romans, zgadza się? Zostawił swą przeuroczą małżonkę i poszedł w tango z małolată?

Mniej więcej to powiedział mi kilka dni temu, na stacji benzynowej. W ostatnim etapie rozmowy, podczas której — teraz to dostrzegłem — próbował mnie zniechęcić do adorowania Manueli. Oczywiście od tego momentu moja relacja z Manuelą uległa przeobrażeniu. Dlatego teraz usiłował odwrócić kota ogonem.

— Rozwody się zdarzają. I rzadko jest tak, że winna jest tylko jedna strona.

Jeśli wziąć pod uwagę tarcia w jego własnym małżeństwie, była to bardzo dojrzała opinia. Ale nie dałem się zbyć. Chwyciłem z tacki kieliszek szampana i popiłem nim kanapkę. Chociaż z dyskontu, był całkiem niezły... A może to ja byłem niewybredny?

— Ale tam była Anielka — przypomniałem, a on uniósł brwi.

— Do czego zmierzasz?

— Do tego, że odchodząc z tą małolată, Twardygrosz nie skrzywdził



jedynie swojej żony.

— A ty? Technicznie rzecz biorąc, też odszedłeś. Wyjechałeś z kraju. Takie jest życie. Nie wszystko jest czarno-białe.

To było uderzenie poniżej pasa. Konrad doskonale wiedział, dlaczego wyjechałem, a moje małżeństwo z Ewką rozpadło się na długo przed tym cholernym wypadkiem. Ale zamiast się obrazić, wypowiedziałem na głos to, co nie dawało mi spokoju już od dawna:

— Czy gdybym umarł, mnie też ludzie zapaliliby tyle zniczy, co Twardygroszowi?

Miałem wątpliwości.

Wystąpienie zastępcy burmistrza było długie, ale nawet w ułamku nie tak nużące, jak występ prezesa Głazewskiego. Podobno głądził już wcześniej, podczas uroczystości o siedemnastej, ale teraz podochocił się szampanem i przeszedł samego siebie. W przemówieniu padło przynajmniej kilkadziesiąt nazwisk członków klubu — w tym także te sprzed kilku dekad. Jego konikiem była rzecz jasna lekkoatletyka, ale na koniec wspomniał także o mnie. Manuela nawiązała do tego na parkiecie.

— Jesteś sławny, Szczota — stwierdziła, bawiąc się zwisającą z szyi zawieszka z kluczami, którą — w przyływie fantazji — zastąpiłem krawat.

Tańczyliśmy w najciemniejszym rogu sali. Wcale nie dlatego, że przeszkadzały nam ciekawskie spojrzenia. Po prostu tak wyszło. Manuela była świetną tancerką, tak więc... wymiataliśmy. Ale gdy didżej puścił wolny kawałek, przestaliśmy tańczyć. Trwaliśmy przytuleni, nie drgając nawet o milimetr. Czas się zatrzymał.

— Uwierzysz, że znamy się od sześciu dni?

— Od pięciu — sprostowała, a potem przysunęła się jeszcze bliżej. Gdyby między nami była gazeta, to uległaby sprasowaniu. — To były najgorsze chwile mojego życia. Już nie są.

Miałem nadzieję, że mówiąc o najgorszych chwilach, ma na myśli

zabójstwo ojca, a nie nasze pierwsze spotkania. To nie był odpowiedni moment, by zapytać o rozwód jej rodziców, chociaż... można było wyobrazić sobie gorsze. Zanim jednak zebrałem się w sobie, przejechała palcami po mojej niesfornej fryzurze. Przymknąłem oczy, ale po chwili je otworzyłem, bo zamiast mnie pocałować, zadała pytanie:

— Kim ona była? Kim była kobieta, która wepchnęła Oksanę pod pociąg? I co, do ciężkiej cholery, nią kierowało? Jak można zrobić coś takiego?

— Trzeba mieć nie po kolei w głowie. A tym, co najbardziej w niej miesza, jest miłość.

— Miłość... Ale do kogo? Do jednej z ofiar? Taka podwójna zemsta, tak? Najpierw telefon na policję, po którym Arkanowicz ląduje w więzieniu, a potem jeszcze zabójstwo jego partnerki? To chcesz mi powiedzieć?

Nie chciałem nic mówić. Woląłem udawać, że tańczę, i chłonać bliskość jej ciała, ale skoro potrzebowała do szczęścia mojego głosu...

— Miłość bywa różna. — Sprzedałem sentencję wartą milion dolarów. Następna też była niezła: — Ma wiele oblicz. — Przesunąłem rękę niżej, na dolną część pleców Manueli. — Może ta kobieta kochała Arkanowicza?

— I na niego doniosła? Nie zapominaj, że na policję telefonowała kobieta...

— Na świecie jest wiele kobiet — przerwałem. — A poza tym... pamiętaj: od miłości do nienawiści jeden krok. Zwłaszcza jeśli ktoś ma chory umysł.

— To groźba? — spytała, błyskając w półmroku zębami. Muzyka przyspieszyła, ale my wciąż trwaliśmy w romantycznym klinczu. Takie chwile są bezcenne. I rzadkie. Doświadczałem ich dopiero drugi raz w życiu. Za pierwszym razem trzymałem w ramionach Ewę. — Jeśli jest tak, jak mówisz, to ta wariatka chciała zabić Oksanę z zazdrości. A przedtem ukarała ukochanego... który ją odrzucił. Jesteś genialny!

— Ja? Przecież ja nic takiego...

Zamknęła mi usta pocałunkiem. Naszym pierwszym. Dużo później, już na zewnątrz, pocałowała mnie jeszcze raz, ale tym razem było to cmoknięcie w policzek. Też ją cmoknąłem, po czym musnąłem ustami również policzek

czekającej na to Anielki. Chciały mnie podrzucić, ale nie zwykłem rozbijać się taksówkami. Zamknąłem za nimi drzwi i ruszyłem wzdłuż zamkowego muru, usiłując poukładać sobie w głowie wszystko to, co się wydarzyło — na parkiecie, a później w zamkniętym na klucz pomieszczeniu służbowym.

Nie zdążyłem.

Gdy znalazłem się między drzewami, usłyszałem świst. Było za późno na reakcję. Nogi rozjechały mi się na śliskim dywanie liści, a potem poczułem się tak, jakby ktoś wyłączył światło. Ból trwał tylko chwilę. Najwyżej sekundę. Zanim zapadłem się w otchłań nieświadomości, wyczułem woń mokrej ziemi i butwiejących liści.

Zapach śmierci.

## 12.

Gdy każdy dzień jest mniej udany od poprzedniego, wiedz, że coś jest nie tak. Ewa Słubicka dostrzegała problem, ale nie umiała sobie z nim poradzić. Od wielu miesięcy walczyła z atakującą ją falami depresją. Adaś zrobił postępy, więc powinno być lepiej. Ale zamiast tego było gorzej. Dlaczego?

Tabletki, które przepisał jej psychiatra, już się kończyły. Ich działanie było bardzo łagodne. Według ulotki mogły je zażywać nawet kobiety w ciąży. Może dlatego nie czuła po nich żadnej różnicy? Ale i tak je łykała — wtedy, gdy smutek łapał ją za gardło, a sytuacja wymagała uśmiechniętej twarzy. Zostały tylko dwie — przez chwilę się wahała, a potem wycisnęła jedną wprost do ust i przyłożyła do warg wysmukłą szampanówkę.

Nie była aż tak zdesperowana, by popijać psychotropę alkoholem. W kieliszku była woda, od wielu miesięcy nie pijała niczego mocniejszego. Alkohol i depresja... Nauczyła się już, że to najgorszy z możliwych duetów.

— Co tu robisz?

Elżbieta Rogalska była jedną z tych osób, których główny cel życiowy stanowiło podcinanie skrzydeł. Rządziła domem kultury już od trzech lat. Po tym, jak niespodziewanie wygrała konkurs na kierowniczkę, Ewa nawet się cieszyła. Uważała, że instytucji, w której pracowała od matury, przyda się trochę świeżej krwi, ale jej entuzjazm szybko wygasł. Rogalska zaczęła traktować ją jak — nie przymierzając — służącą. Zrzucała na jej barki całą czarną robotę i dusiła w zarodku wszystkie pomysły. Całą inicjatywę. Przez te trzy lata zniknął nie tylko entuzjazm, ale też większość pasji, która wcześniej czyniła tę pracę tak ekscytującą. Resztki tej pasji ledwo się tliły. Ewa coraz częściej przychodziła do pracy jak na ścięcie.

— Pytam, co tu robisz. Dziewczyno, co z tobą? Piłás?

Szefowa powąchała jej kieliszek. Niewiele brakowało, a posunęłyby się

o krok dalej i obwąchała również ją. Ewa miała ochotę ją odepchnąć, ale tylko spuściła głowę. Ludzie uważali ją za babkę z jajami... Niestety przy szefowej zamieniała się w szarą myszkę.

— Jestem potrzebna?

— Na pewno bardziej niż tutaj. Jakiś dzieciak zwymiotował na podłogę... No i zginął klucz od trójki. Zajmij się tym. Możesz?

Ewa skinęła głową i poszła do łazienki. Miała ochotę popłakać, ale zamiast zamknąć się w kabinie, wzięła mop i wyruszyła na poszukiwania tego, co zostawił dla niej jakiś bachor. W przejściu między szatnią a głównym korytarzem zamkowym minęła się z lekarzem, który przepisał jej tabletki. Udała, że go nie widzi. Za każdym razem, gdy na siebie wpadali, a działo się to często, bo Działdowo nie było dużym miastem, ogarniała ją panika. Nie chciała, by ktokolwiek się dowiedział. Korzystanie z usług psychiatry traktowała jako słabość, do której lepiej się nie przyznawać. Na szczęście lekarz zdawał się rozumieć ten punkt widzenia i nigdy, ale to nigdy nie wprowadził jej w zakłopotanie.

Tajemnica zawodowa nie była dla niego jedynie pustym frazesem.

Impreza z laniem wosku skończyła się godzinę temu. Oba pomieszczenia domu kultury zaanektowali dorośli. Było gwarnie, tłoczno i duszno. Ola i Adaś byli już w łózkach, w domu rodziców. Dziękowała opatrności choćby i za to — gdyby jeszcze musiała się nimi zajmować, chyba wyzionęłaby ducha. Depresja wiązała się z ciągłym zmęczeniem...

— Pani Ewo, czy będą jeszcze kanapki?

— Superimpreza, pani Ewuniu. Całuję rączki.

Rozdając na prawo i lewo sztuczne uśmiechy i równie sztuczne zapewnienia, że catering pracuje pełną parą (nie pracował), przepchnęła się przez większą z sal i odnalazła w jej rogu cuchnącą plamę. Powstrzymując mdłości, wytarła ją na mokro, a potem skropiła podłogę detergentem. Ściskając w dłoni kubek z nieczystościami, ruszyła z powrotem do łazienki.

Gdy przechodziła korytarzem, zza zamkniętych drzwi dobiegły ją stłumione odgłosy chaotycznej rozmowy, przeplatanej śmiechem.

— Halo! — Zastukała w drzwi.

To była ta trójka, czyli pomieszczenie, do którego zginął klucz. Usłyszała stłumiony chichot. Potem drzwi uchyliły się tak, że zmieściła się w nich głowa. Na widok znajomych ciemnych loków z piersi Ewy wydobyło się bolesne westchnienie.

— Grunt to dyskrecja, prawda, Kacperku?! — huknęła mu wprost do ucha.

Były mąż podskoczył, a potem złapał się za serce. Czerwień jego policzków mogła świadczyć o zawstydzeniu. Albo o czymś innym, w co wołała nie wnikać. Manuela, która przemknęła obok z cichym „sorry”, miała potargane włosy i krzywo zapięte guziki. Słowem, miłość kwitła...

Ewa mrugnęła do Kacpra, ale wewnątrz, tam, gdzie nikt nie miał wstępu, zrobiło jej się jeszcze bardziej przykro. To nie była zazdrość. Wiedziała, że nigdy do siebie nie wróca, a w każdym razie... nie na stałe. Uważała Kacpra za świetnego faceta, życzyła mu jak najlepiej, ale... odgrzewane kotlety nigdy nie smakują tak samo jak świeże.

Smutek, który ją ogarnął, miał swoje źródło w jakości jej obecnego związku. Chociaż nikt o tym nie wiedział, kiepsko się ostatnio dogadywali. Zdawała sobie sprawę, że odpowiada za to przynajmniej w takim samym stopniu, co Tomek. Nie była święta, to raz. A dwa... najważniejsze były dla niej dzieci. Tomek, chociaż sam miał własne dziecko, jakoś nie umiał tego zaakceptować.

— Ewka, zatańczysz?

— Następnym razem, Pedro. Na dzisiaj kończymy, bo nas stąd wyrzuca.

Jedynym pozytywnym akcentem tego dnia było to, że miał się zaraz skończyć. Dom kultury nie był dyskoteką. Imprezy nie trwały zazwyczaj dłużej niż do dwudziestej drugiej, a było już pięć po. Didżej zarzucił standardowy numer — *To już jest koniec Elektrycznych Gitar*, a potem zaczął

się pakować. Parkiet opustoszał. Szampana nie było aż tyle, by aktywować u zgromadzonych gen przekory.

— Mogłabyś przetrzeć podłogę?

Gdy brzydkie siostry wyszły na dziedziniec, by wypalić ostatnie papierosy, Ewa — występując w charakterze Kopciuszka — rzuciła na podłogę wilgotną szmatę. Jej suknia była zbyt droga, by używać jej jako fartucha. Zamknęła się w trójce, podobnie jak wcześniej Kacper z Manułą, i zrzuciła ją, a potem przez chwilę przeglądała się w lustrze. Jej ciało, jeszcze niedawno szczupłe i jędrne, zaczynało nabierać kształtów. Te zmiany były nieuniknione, ale i tak napełniały ją przerażeniem. Nie planowała tej ciąży. I wciąż nie wiedziała, jak powiedzieć o niej Tomkowi.

Otarła łzę, po czym wcisnęła się w dres, który z każdym dniem wydawał się jej coraz ciaśniejszy. Na tyłku niemal pękał w szwach.

— Ale z ciebie seksowna mama — zakpiła, zwracając się do swojego zmęczonego odbicia.

Chciała, by ktoś powiedział jej coś miłego, tak od serca. Niestety Tomek nie umiał prawić komplementów, a Kacper... on zwykł obracać wszystko w żarty, które bawiły głównie jego.

Mniejsza sala była już pusta, więc postanowiła zacząć od niej. Nie miała złudzeń, że ktoś jej pomoże. Szefowa nigdy nie kalała rąk sprzątaniami, a Marysia — druga pracownica domu kultury — jeszcze przez kilka miesięcy miała przebywać na urlopie wychowawczym. Zaczęła, jak zwykle, od stolików. Pozbierała brudne kieliszki i zniosła je do kuchni, a papierowe tacki z okruchami kanapek wyrzucała na bieżąco do stulitrowego worka na śmieci.

— Czy mógłbym pani pomóc?

Nie spodziewała się niczyjej obecności. Męski głos zaskoczył ją do tego stopnia, że worek wypadł jej z ręki, a resztki jedzenia pofrunęły w powietrze niczym konfetti.

— Masz ci los...

— Matko przenajświętsza, przepraszam! Nie sądziłem, że budzę taki

popłoch. Proszę to zostawić. To moja wina!

Facet był wysoki, dobrze zbudowany i bardzo elegancki. Odwiesił marynarkę na oparcie krzesła i zanim zdążyła coś powiedzieć — chwycił za szczotkę i zaczął zamiatać. O dziwo, miał w tym wprawę. Po kilkunastu sekundach resztki jedzenia znalazły się na szufelce, a chwilę później w worku.

— To było... niepotrzebne — wyjąkała w końcu Ewa.

— Przeciwnie. — Facet wyciągnął do niej dłoń. Z pewnym wahaniem podała mu swoją. — Pani pozwoli. Olgierd Zaniewski. Bardzo chciałem panią poznać.

Ewa zawsze czuła się w męskim towarzystwie jak ryba w wodzie, ale w tej chwili nie miała nastroju na nowe znajomości, a tym bardziej flirt.

— Niestety spóźnił się pan. — Popatrzyła ostentacyjnie na zegarek. — Od dwudziestu minut jesteśmy nieczynni, tak więc, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu...

Wskazała na drzwi. Gest był dobitny, bo zrobiła to kijem od mopa, ale facet nawet nie drgnął. Był nie tylko wysoki, lecz także przystojny. Niczym antyczny posąg. Tyle że w obowiązkowej maseczce.

— Ależ ja nie jestem tu służbowo, tylko całkiem prywatnie. Chciałem złożyć wyrazy osobistego uznania... Nikt nie robi tego lepiej niż wy.

Ewa ujęła się pod boki. Facet był natrętny. Powinna na niego huknąć, ale ze zdziwieniem zdała sobie sprawę, że nie umie.

— Czego nie robi lepiej? — spytała podejrzliwie, a on się rozpromienił.

— Takich imprez. Jestem naprawdę pod wrażeniem, zwłaszcza że mam szerokie porównanie. Odwiedziłem kilkanaście domów kultury, w całym województwie. Wczoraj na przykład byłem w Nidzicy, a w zeszłym tygodniu w Reszlu i Dobrym Mieście.

Odruchowo zlokalizowała te miejscowości na mapie województwa.

— Ma pan sporo wolnego czasu — zauważyła, a potem, trochę na siebie zła, zaczęła trzeć podłogę.

Co ją to obchodziło?



— Tak będzie łatwiej. — Podniósł dwa krzesła naraz i położył je na blacie stolika, nogami do góry. — Wiem, co pani sobie myśli.

— Czyżby?

— Tak jest. Mogę w pani czytać jak w otwartej księdze. Myśli sobie pani, że facet przyjeżdża na gotowe i kradnie pomysły. Ale ja naprawdę nie myślę o tym w kategorii kradzieży. Od kogo się uczyć, jak nie od najlepszych?

Ewa odłożyła kij od mopa. Po tekście o czytaniu z otwartej księgi miała ochotę go nim palnąć, ale kolejne zdania wprawiły ją w konsternację.

— Kim pan jest?

— Pani wybaczy... Rozmawiałem z pani szefową i myślałem... — Jeszcze raz wyciągnął rękę. — Olgierd Zaniewski. Jestem zastępcą sekretarza gminy Kurzętnik. My też chcemy mieć u siebie dom kultury i podpatrujemy, jak to działa u sąsiadów.

Ewka uścisnęła mu dłoń i podała swoje nazwisko. Zrobiło jej się głupio. Facet chwalił robotę, którą tu wykonywali, prawił komplementy, a ona potraktowała go jak natrętnego lowelasa.

— Gdzie leży pańska gmina?

— Obok Nowego Miasta Lubawskiego. — Przystąpił z nogi na nogę, a potem powtórzył jej nazwisko. — Pani wybaczy śmiałość, ale... znałem kiedyś człowieka, który nazywał się Słubicki i był z Działdowa. Nie jestem pewien, ale chyba miał na imię Kacper...

— Grał pan w piłkę?

— Tak. Poznaliśmy się na boisku. To znaczy... ja poznałem jego. I zapamiętałem. Strzelił nam cztery bramki. Czy to pani rodzina?

Ewa, niespodziewanie dla samej siebie, poczuła dumę. Tak jak wtedy, gdy była nastolatką, która umawiała się z najlepszym napastnikiem.

— Tam wszyscy mówili na niego Szczota — powiedziała, zestawiając krzesła. Sprzątanie mogło poczekać. — To mój były mąż... Panie Olgierdzie, będę robić sobie kawę. Napije się pan?

— Z przyjemnością. Ale pod jednym warunkiem.

— Jakim?

Rozejrzał się po sali. Na ścianie wciąż wisiała dekoracja z benefisu prezesa Głazewskiego, a z sufitu zwisały balony.

— Pod warunkiem że opowie mi pani, jak to się robi.

Olgierd Zaniewski był wdzięcznym słuchaczem. Ewka nie pamiętała, by ktoś wsłuchiwał się w jej głos z aż takim natężeniem. Nie bardzo wiedziała, od czego zacząć. Sądziła, że się zbłąźni, ale gdy zaczęła opowiadać o podejmowanych inicjatywach, wpadła w słowotok. Oczywiście poszedł za nią do pomieszczenia socjalnego i zmył dla siebie filiżankę. Nie tylko słuchał, ale także nie odrywał od niej wzroku.

— Mam coś na twarzy?

— Nie, przepraszam. Po prostu lubię patrzeć na ludzi z pasją. Mam nadzieję zaangażować takich u siebie... A może chciałaby pani przenieść się do Kurzętnika?

Zaśmiała się tak, jak nie śmiała się od dobrych kilku dni.

— Wie pan, że przez chwilę... Ale nie. Nie, nie mogę. Mam dzieci. Mogę natomiast dać panu radę.

— Zamieniam się w słuch.

— Najważniejsza jest głowa. Kierownictwo. Lepsze stado baranów wiedzione przez lwa niż stado lwów — przez barana.

— Doskonale. — Ubawiony klepnął się w kolano. — Muszę to opowiedzieć u siebie w szpitalu.

— W szpitalu? Myślałam...

— Funkcję w gminie pełnię społecznie. A na życie zarabiam jako lekarz.

— Jakiej specjalności, jeśli można wiedzieć?

Uwadze Ewy nie umknęło, że na moment się zawahał. Po chwili zrozumiała dlaczego.

— Jestem psychiatrą. Każdy psychiatra to trochę wariat, ale spokojnie... Jestem niegroźny, naprawdę.

Uśmiechnęła się, lecz tym razem sztucznie. W głowie kotłowało jej się

milion myśli, z których najważniejsza dotyczyła nieudanej terapii psychotropowej. Perspektywa zmiany psychiatry na takiego, który przyjmował w innym mieście, jawiła się jako kusząca, ale przecież nie mogła poruszyć tego tu i teraz.

— Mam do pana pytanie — zawiesiła głos i otworzyła cukiernicę. — Słodzi pan?

— Tylko jedną łyżeczkę... — Wzięli swoje kubki i przeszli z powrotem do sali, którą z jakiegoś powodu nazywano salą rycerską. Druga, ta większa, funkcjonowała pod nazwą sali dworskiej. — Niech pani jeszcze powie, jak radzicie sobie z pandemią?

— Tak, jak pan widział. Mamy limit wejść, teoretycznie powinno się zasłaniać nos i usta. — Pokręciła głową, myśląc o Kacprze i Manueli. Gdy wchodzili na parkiet, ich maski były tam, gdzie powinny, ale potem już ich nie mieli. Łatwo było się domyślić, w czym przeszkadzały. — Szefowa wprowadziła pracę zmianową.

— Naprawdę? — Wyglądał na zdziwionego. — Czy to potrzebne? Przecież dziś wieczorem było tu mnóstwo osób...

— To fakt. — Lojalność walczyła u Ewy z chęcią skrytykowania przełożonej. Pomysł z pracą zmianową rzeczywiście był bezsensowny. I bardzo utrudniał jej życie. — Pani kierownik ma trochę wybiórcze podejście do przepisów sanitarnych. Po części ta zmianowość jest jej na rękę. Może się lepiej dostosować do harmonogramu córki, bo Anielka jest niepełnosprawna...

— A pani musi przez to siedzieć wieczorami?

— O różnych porach. — Ewa przewróciła oczami, po czym przywołała się do porządku. — Ale jak dotąd żadna z nas nie chorowała, zatem...

— A więc jednak stado lwów?

Nie dokończył, że wiedzionych przez barana, lecz wynikało to z kontekstu. Ewa uśmiechnęła się nieśmiało.

— Różnie to bywa — powiedziała enigmatycznie. — Ale wszystko jakoś

się kręci. W tym roku mieliśmy czterdziestu ośmiu gości. Średnio prawie jeden na tydzień, a przecież na wiosnę był odgórny lockdown.

— Zapraszacie też sportowców?

— Raczej rzadko. Pan prezes to nie tylko sportowiec, ale również kawał historii miasta.

— Uroczy starszy pan. — Zaniewski uśmiechnął się, po czym wstał i podszedł do jednej z witryn, w której, na potrzeby dzisiejszego spotkania, upchnięto kilkanaście starych fotografii i dwa zaśniedziałe puchary. — Działdowo stoi lekkoatletyką, prawda?

Ewa pokiwała głową. Psychiatra czy nie, przede wszystkim był facetem, a ci mieli świra na punkcie sportu. Tomek był pod tym względem chlubnym wyjątkiem.

— Głównie konkurencje siłowe. Słuchając prezesa Głazewskiego, można odnieść wrażenie, że tutaj co druga osoba czymś rzucała. Oszczepem albo młotem.

Jeszcze przez chwilę oglądał eksponaty. Przypomniało to Ewie, że musi je jutro spakować i odwieźć do klubu. Ale to jutro. Wszystko jutro, nawet sprzątanie. Dziś zamierzała dopić kawę i wrócić do domu.

— Czy macie jakieś udogodnienia dla niepełnosprawnych?

Zaprowadziła go do wejścia. Z dziedzińca schodziło się do wnętrza po kilku stromych stopniach. W zeszłym roku zainstalowano windę dla wózków inwalidzkich. Przydawała się. Uruchamiano ją przynajmniej raz w tygodniu.

— To duży wydatek. Jeśli macie możliwość, to lepiej ulokować ośrodek kultury w budynku bez schodów. Albo z możliwością dobudowania podjazdu...

Urwała, bo u szczytu schodów stała kobieta. Nie byłoby w tym nic dziwnego, z dziedzińca wciąż dobiegały głosy zapóźnionych imprezowiczów... ale ta kobieta była niepełnosprawna. Reflektor nad wejściem oświetlał kulę ortopedyczną. Czy facet był jasnowidzem?

— Potrzebuje pani pomocy?

Kobieta zaczęła schodzić. Robiła to bardzo powoli. Ewa ruszyła, by jej pomóc, ale Zaniewski był szybszy. Ujął ją pod rękę i sprowadził na dół, do pomieszczenia szatni. Kobieta zrzuciła płaszcz i wtedy Ewa zobaczyła także protezę dłoni.

— To właśnie pani, której zamierzam powierzyć stanowisko dyrektora naszego ośrodka. Czy wszystko już pani obejrzała?

Kobieta sprawiała wrażenie zziębniętej. Tak, jakby spędziła na zewnątrz dużo czasu. Ewa natychmiast zaproponowała jej kawę, ale kobieta podziękowała.

— Późno już. Chciałabym pójść — zwróciła się do Zaniewskiego.

Mówiła z dziwnym zaśpiewem. Prawdopodobnie pochodziła ze Wschodu.

— Ależ... pani Oksano — zaprotestował Zaniewski, ale kobieta nie ustąpiła.

W jej głosie obok obcego akcentu pojawiła się determinacja.

— Musimy iść. Natychmiast.

## 13.

W pokoju Maćka pachniało kacem. On sam leżał na podłodze, ściskając abażur lampy. Agata prezentowała się lepiej, ale tylko trochę. Owinięta prześcieradłem siedziała na rozbebeszonym łóżku i mrugała oczami, próbując uświadomić sobie, kim jest i gdzie się znajduje. Olga widywała gorsze rzeczy, ale i tak była zażenowana. Tak bardzo, że zgasła górne światło, pozostawiając jedynie zapalony kinkiet w przedsionku.

— Szósta czterdzieści — oznajmiła, odpowiadając na zadane słabym głosem pytanie o godzinę.

— To czemu, do cholery...

— W nocy przyszła lista uczniów i uczennic gastronomika w Olsztynie z lat, w których działał Arkanowicz. Na liście jest pani Janina Kossakowska, lat czterdzieści osiem, zamieszkała przy ulicy Skłodowskiej-Curie, w tym samym lokalu, w którym mieszkał kiedyś Arkanowicz. — Olga zaczerpnęła powietrza. — Są podstawy, by przypuszczać, że to ona odbywała praktyki w wagonie restauracyjnym ekspresu „Świętowit”. Co więcej...

Urwała, bo przełożona zerwała się z łóżka i pognęła do łazienki, gubiąc po drodze prześcieradło. Po chwili tupot bosych stóp zastąpiły odgłosy gwałtownych torsji. Olga stanęła przy drzwiach, nie wiedząc, jak się zachować. Gdyby to była koleżanka, przytrzymałaby jej włosy, ale ich wzajemne relacje nie upoważniały do takiej poufałości. Ostatecznie odważyła się zajrzeć, ale szybko się cofnęła. Widok Agaty — z głową przy muszli klozetowej i wypiętym tyłkiem — onieśmiał.

— Żyjesz?

Najpierw rozległo się jęknięcie, a potem zbolęły głos jak z zaświatów.

— Żyję. Mów dalej.

Olga, nie zważając na odgłosy czkawki, podzieliła się dalszą częścią ustaleń

dokonanych ubiegłej się nocy.

— Na łyżce od opon zidentyfikowano trzy różne zestawy odcisków palców. Dwa pierwsze należą do Kacpra Słubickiego i Iwony Ciechańskiej, czyli konduktorów, którzy ją znaleźli. Trzeci komplet odcisków również zidentyfikowano dzięki zasobom PKP. Technik usiłował skontaktować się najpierw z tobą, a potem zadzwonił do mnie. Pięć... nie, już dziesięć minut temu.

Agata stęknęła, podnosząc się z kolan. Potem rozległ się odgłos lejącej się wody. Olga zajrzała do środka, spodziewając się zobaczyć przełożoną pod prysznicem, ale Agata zaskoczyła ją po raz kolejny. Nachylała się nad zlewem i chleptała wodę prosto z kranu, ubrana tylko w fioletową gumkę do włosów.

— Słuchasz mnie?

Odpowiedziało jej potakujące parsknięcie. Agata była żywym dowodem, jak może się skończyć nieodpowiedzialne pijaństwo. Fioletowa gumka przy bliższym poznaniu okazała się rzeczywiście gumką, ale nie do włosów. Olga wolałaby tego nie zobaczyć.

— Trzeci komplet odcisków na łyżce do opon należy do tej samej Janiny Kossakowskiej. Lat czterdzieści osiem, pracownicy spółki córki PKP odpowiedzialnej za infrastrukturę kolejową. Dyżurny z komendy powiatowej twierdzi, że Kossakowska zajmuje się utrzymaniem czystości. Jest sprzątaczką. Ma zatem swobodny dostęp do pociągów, no i podróżuje nimi... można powiedzieć, że służbowo.

Agata wsadziła głowę pod kran. Zużyta prezerwatywa pacnęła w dno zlewu, a potem zatkała odpływ.

— Jak to... służbowo?

— Usługa „jedź i sprzątaj”. Składy, które kursują kilka razy w ciągu dnia, są podobno sprzątane w drodze. Tak w każdym razie wynika ze...

— Nie kończ. Przecież wiem. — Agata rzuciła prezerwatywę na podłogę, a potem owinęła się w pasie ręcznikiem w nagłym i spóźnionym przypiływie

zawstydzenia. Zawstydzenie pojawiło się również w jej głosie: — Widziałaś kiedyś coś żałośniejszego?

— Tak — odparła szybko Olga. — Kiedyś znajomy policjant po służbowej imprezie, i to w gronie najlepszych kolegów, wyjął sobie taką gumkę z... Nie chcesz wiedzieć. To dopiero dylemat, co? Zgłosić? Czy nie zgłosić?

Oczywiście nie była to prawdziwa sytuacja, tylko wariacja na temat topornego żartu rodem z najbardziej plugawych zakamarków Dworca Centralnego, ale Agata wzięła słowa Olgi na poważnie.

— Powinien był zgłosić. To było zgwałcenie. — Agata zerknęła w stronę sofy, zza której dobiegały odgłosy chrapania. — A to nie było — dodała, nawiązując do wydarzeń wczorajszego wieczoru. — Tu była obopólna zgoda. Psiakrew.

Stała przed lustrem i to, co w nim zobaczyła, najwyraźniej jej się nie spodobało. Ręcznik zjechał na podłogę. Odpakowała mydło hotelowe i weszła pod prysznic, po czym puściła wodę. Chyba zimną, bo na udach i piersiach natychmiast pojawiła jej się gęsia skórka.

— Wejdz — nakazała, przekrzykując szum. Drzwiczki z pleksi pozostały otwarte. Odbite od jej ciała krople tworzyły mgiełkę, która osiadała na kaflach podłogi. — Śmiało. No, co z tobą? Nie widziałaś nigdy staruszki, która poszła w tango?

Olga zapewniła ją, że widziała, a potem stanęła plecami do ściany kabiny. W lustrze nad zlewem widziała odbicie twarzy szefowej. I tylko twarzy. To w zupełności wystarczało.

— Z tą Janiną Kossakowską jest tylko jeden problem — oznajmiła. — Kwestia siły fizycznej. W przedziale, w którym zginął Twardygrosz, zabezpieczyliśmy żebrowaną półkę wygiętą od uderzenia jakimś ciężkim narzędziem, prawdopodobnie narzędziem zbrodni. To solidny metal. Lekki, ale solidny. Według raportu z laboratorium narzędzie musiało być duże... Kawał młota. A siła, której użyto, wskazuje na atletę, a nie panią o wzroście metr sześćdziesiąt trzy.



Policjant z KSP przesłał jej zeskanowane dane Janiny Kossakowskiej z bazy dowodów osobistych. Obok wieku, wzrostu i adresu zamieszkania było tam także zdjęcie. Olga powiększyła je i przyłożyła telefon do ścianki kabiny.

— Kawał baby — stwierdziła Agata. Kobieta ze zdjęcia rzeczywiście miała pełną twarz, mogącą wskazywać na otyłość. — Czasem wzrost o niczym nie świadczy. Liczy się masa. Zastanawia mnie coś innego. — Jęknęła, jakby wysiłek umysłowy przyprawiał ją o ból głowy. Zapewne tak było. — Pracowała na dworcu w Działdowie, a także w pociągach, zgadza się?

— Tak. Miała swobodny dostęp do łazienek w pociągach.

— Ja nie o tym. Kwestia tej łychy do opon ma znaczenie drugorzędne. Zastanawiam się, czy pracowała również na Centralnym.

— Czy sprzątała na Dworcu Centralnym? — Olga szybko przewinęła w głowie informacje o personelu sprzątającym, które zebrała w trakcie swej kilkumiesięcznej służby w komisariacie kolejowym. — Wątpię. Za porządek na dworcu odpowiada firma zewnętrzna, wyłoniona w przetargu. Jej pracownicy nie są zatrudnieni przez spółki grupy PKP...

— A pani Janina jest. — Agata wyłączyła wodę i zaczęła się wycierać. Po chwili jej włosy zniknęły pod turbanem z ręcznika. — Na Centralnym jest trzysta kamer...

— Trzysta sześćdziesiąt sześć — doprecyzowała Olga.

— Trudno ich uniknąć, a jednak zabójcy Zajcewa się to udało. Wybrał jedno z nielicznych miejsc nieobjętych monitoringiem. Nie wierzę w takie przypadki... Czy na zapisie monitoringu z tamtej nocy mamy grubą kobietę? — To było pytanie do Maćka, który spędził nad tymi nagraniami kilkanaście godzin. Agata postanowiła odłożyć je na później. — No i jest coś jeszcze. Brak motywu. Trudno uwierzyć, że pani sprzątaczką nagle postanowiła zabijać przypadkowe osoby. Dlatego, że śmieciły?

Olga nie próbowała nawet udawać, że ją to bawi.

— Jacek Twardygrosz nie był przypadkową osobą. Musieli się znać, jeśli nawet nie z dworca i pociągów, to na pewno z kamienicy. Byli sąsiadami.

A Twardygrosza zabił... znajomy. Przecież nie wpuściłby obcej osoby do strefy, która była dostępna tylko dla obsługi pociągu.

Agata nie sprawiała wrażenia nawet w połowie tak podekscytowanej, jak Olga.

— Może tak, może nie. Zobaczymy... Wiesz, co nie daje mi spokoju? Rola tego faceta z długimi włosami.

Wyszła z kabiny prysznicowej i — bez skrępowania — przysiadła na sedesie. Olga na moment straciła wątek.

— Którego?

— Tego, który przedstawia się jako Olgierd Zaniewski i kręci się nam przy śledztwie. Wczoraj spotkał się z żoną Arkanowicza, która wcześniej była przy Skłodowskiej-Curie. Prawdopodobnie jeszcze wcześniej spotkali się z tą Janiną Kossakowską. Kim oni dla siebie są? Zaniewski, Arkanowiczowa i Kossakowska? Wspólnikami? Jeśli tak, to... co ich łączy?

Olga nie dostrzegała sensu w takich spekulacjach. Odpowiedź była w zasięgu ręki. Arkanowiczowa wróciła do Gostynina, a Janina Kossakowska była tu, na miejscu. Trzeba było je przycisnąć, najlepiej... jednocześnie. Agata najwyraźniej doszła do tego samego wniosku, bo nagle zaczęła się spieszyć. Spuściła wodę, wyparowała do pokoju i włączyła czajnik, a potem zaczęła się ubierać.

— Nie budzisz go?

Olga wskazała na Maćka, który wciąż leżał na dywanie z rozrzuconymi rękami. Gdyby nie chrapał, można by go było wziąć za trupa.

— Nie ma pośpiechu, niech jeszcze chwilę poleży.

— Nie idzie z nami?

— Idzie. Ale nie potrzebuje tyle czasu, co ja. Ochlapie się wodą, wypije kawę i będzie gotowy do działania. — Trąciła go stopą niczym kukłę. — Ma zdumiewającą zdolność regeneracji.

Przez jej zmęczoną twarz przemknął dyskretny uśmiech. Olga domyśliła

się, że ta zdolność regeneracji rozciąga się również na sfery niezwiązane z pracą.

— To nie był... To nie był wasz pierwszy raz, prawda?

Pożałowała tego pytania, gdy tylko je zadała, ale okazało się, że niepotrzebnie. Agata nie sprawiała wrażenia dotkniętej. Przeciwnie — po raz pierwszy tego poranka pozwoliła sobie na chwilę odprężenia.

— Nie był. — Wyciągnęła się na sofie i wyjęła z torebki zestaw do makijażu tak wielki, że przypominał paletę artysty malarza. — Kiedyś robiliśmy to całkiem często. Zaryzykowałabym nawet twierdzenie, że codziennie. Bo widzisz, moja droga, byliśmy kiedyś małżeństwem.

Olga zapomniała na chwilę o wszystkim, nawet o Trepanatorze. Maciek wielokrotnie wspominał o byłej żonie, ale nigdy nie dał do zrozumienia, że była nią Agata.

— Przecież on ma inne nazwisko — wybełkotała, chociaż to o niczym nie świadczyło. — Po rozwodzie wróciłaś do panińskiego?

— Nigdy nie zmieniałam. Zostałam przy swoim. Taka fanaberia panny młodej, która oszczędziła mi później latania po urzędach.

— Macie razem... dzieci?

— Ja mam dzieci. — Spojrzenie Agaty stwardniało, najpewniej na wspomnienie batalii sądowej, którą musiała o nie stoczyć. Maciek twierdził, że był o krok od zwycięstwa. — On ma prawo je odwiedzać. Nasze losy są splątane. Niestety również zawodowo.

— Pracowaliście razem, prawda? Maciek przeszedł do nas ze stołecznej.

— To niedopowiedzenie. Został do was relegowany, zaraz po tym jak awansowałam na naczelnika naszego wydziału.

— Wyrzuciłaś go?

— Ktoś z góry zrobił to za mnie. Nasza współpraca nie układała się tak, jak powinna. — Agata przerwała i przez chwilę wcierała krem, a potem sięgnęła po podkład. Jej twarz przestała się świecić. Trudy ostatniego wieczoru zaczęły stopniowo znikać pod kolejnymi warstwami makijażu. — Jak zdążyłaś się

zorientować, wciąż nie jesteśmy sobie obojętni. Przez większość czasu skaczymy sobie do gardeł, a czasami dochodzi do... Widziałas do czego. Mam wrażenie, że określenie „toksyczne relacje” zostały stworzone właśnie dla nas.

— To dlaczego...

Olga urwała. W końcu to nie była jej sprawa, ale Agata czuła chyba potrzebę, by mówić dalej. Ludzie różnie radzą sobie z kacem. Ona postanowiła go zagadać.

— Dlaczego wzięłam go do pomocy przy tej sprawie? Bo go znam. To dobry policjant.

— Jedyne dobry policjant, jakiego znasz?

— Jeden z nielicznych. — Przez chwilę milczała, chcąc chyba podkreślić wagę tego stwierdzenia. — Maciek nie zasługuje na to, by... z całym szacunkiem dla twojej pracy, pomagać bezdomnym i łapać kieszonkowców. Nasi szefowie, chcąc ułatwić mi życie, wylali dziecko z kąpielą. Znasz to powiedzenie?

— Słyszałam je. Nie mam pojęcia, co oznacza, ale zawsze mnie rozśmieszało.

Agata pociągnęła usta błyszczkiem.

— Nie mogę pracować z Maćkiem — stwierdziła, a potem, niezadowolona z efektu, wytarła wargi mokrą chusteczką. — Wspomniałam o tym raz czy dwa w prywatnych rozmowach. Chciałam, by przesunęli go do innego wydziału, a zamiast tego postanowili go upokorzyć. Bardzo chciałabym to odkręcić.

— Wzięłaś go, by się wykazał?

Agata zmieniła kolor błyszczyka, a potem, usatysfakcjonowana, zaczęła podkręcać rzęsy. Była to czynność wymagająca skupienia i precyzji, więc odpowiedziała dopiero po chwili.

— Owszem. I mam nadzieję, że to zrobi, bo uwierz mi... Praca z byłym mężem to nie sielanka. Są chwile, w których mam dość.

Wstała, zalała kawę, a potem pochyliła się nad Maćkiem i przejechała

dłonią po jego rzednących włosach. Gest ten, z pozoru zwyczajny, miał w sobie ogromny ładunek uczucia. I zupełnie nie pasował do tego, co stało się później.

— Wstawaj, zdechlaku!

Szarpała nim do momentu, w którym otworzył oczy. Gdy próbował się odsunąć, chlasnęła go w policzek. Zaklął, a potem zerwał się na nogi.

— Co jest?!

— Wypij to. — Podała mu kubek z prawie wrzącą kawą. — A potem włóż coś, co nie śmierdzi gorzałą. Mamy robotę.

Maciek rzeczywiście był niezniszczalny. To, co Agacie zajęło pół godziny, osiągnął w ciągu dwóch minut. Nie zadawał pytań, nie jęczał, nie wzdychał... Zmoczył jedynie głowę, a potem wskoczył w nowe ciuchy i dopiero wtedy zauważył Olę.

— Cześć, młoda. Idziesz z nami?

Olga podniosła się z krzesła, ale głos Agaty osadził ją w miejscu.

— Nie. Zostaje.

— Jak to... — chciała zaprotestować.

Ale to nie był koncert życzeń, tylko służba, a w służbie obowiązywała hierarchizacja. Sprzeciw nic by nie dał.

— Zostajesz. — Agata zwróciła się bezpośrednio do niej. — Masz wolne do południa. Potem skontaktuj się z Heleną Wiącek. Chciała pogadać... poza komisariatem.

— Czemu nie mogę iść z wami do Janiny Kossakowskiej?

Agata spojrzała na przysłuchującego im się Maćka i wskazała na drzwi. Jej głos chłostał niczym bykowiec.

— Zaczekaj przy recepcji — warknęła. Gdy zniknął, odezwała się pojednawczo. — Wybacz, ale... To on ma się wykazać.

Złość nie dała Oldze zasnąć. Najpierw złość, a potem także zdziwienie, bo nie miała pojęcia, co się z nią dzieje. Powinna rozumieć, że to praca zespołowa,

ale... Nie umiała się z tym pogodzić. Czuła się odstawiona na boczny tor i upokorzona. Tak bardzo, że szczypały ją oczy. Gdy postanowiła wstać, rozległo się stukanie — ciche, jakby nieśmiałe.

— Ty... płakałaś? — Dawid miał taką minę, jakby chciał czmychnąć do siebie, ale mu nie dała.

Musiała się przed kimś wyzalić. Czuła, że w przeciwnym wypadku eksploduje niczym wulkan. Tak jak się spodziewała, nie wykazał zainteresowania uczuciową stroną tej sytuacji, tylko skoncentrował się na faktach.

— Brak jasnego motywu, kwestia nieznamości rozkładu kamer, brak siły fizycznej... Chyba trochę tego za dużo jak na pewny strzał. Nie uważasz?

Chwilowo nie miała zdania. Bezczynność wprawiła ją w złość, ale ta, nie znalazłszy ujścia, zaczęła zmieniać się w apatię. Usiadła przed telewizorem i włączyła program informacyjny. Tematem przewodnim była oczywiście pandemia.

— Trochę pokręciłem się wczoraj po mieście.

— Poważnie? — Oderwała wzrok od ekranu, bo Dawid w roli amatora nocnych rozrywek wydał jej się niewiarygodny.

— Tak, poważnie. Ale ten spacer był wirtualny. Starłem się chodzić po śladach pana Twardygrosza, który, jak słusznie zauważyłaś, jest w tej sprawie obiektem absolutnie kluczowym.

Olga nie określiłaby ofiary brutalnego zabójstwa mianem obiektu, ale z resztą całkowicie się zgadzała. Zabójca musiał być dla Twardygrosza kimś znajomym. Tak jak Janina Kossakowska.

— Masz ochotę się przespacerować... ale tym razem nie wirtualnie? — spytała, bo kamienica przy Skłodowskiej-Curie przyciągała ją jak magnes.

— Owszem. Właśnie dlatego przyszedłem. Bo widzisz, podczas tego wirtualnego spaceru dotarłem w ciekawe miejsce.

Usiadł obok niej i położył na kolanie telefon. Na stronie, którą przeglądał, znajdował się krótki nekrolog Twardygrosza.

— To lokalny portal. Mają sekcję poświęconą zmarłym: nekrologi, informacje o pogrzebie, wspomnienia, wirtualne znicze... Zwykle odwiedzin jest niewiele, a wpisów jeszcze mniej, ale w przypadku Twardygrosza pojawiło się ich całkiem sporo. Prawie wszystkie są do siebie podobne. *Wspaniały człowiek, wyrazy współczucia dla rodziny...* I tak dalej. Nuda. Jeden z wpisów jest natomiast inny niż wszystkie. Kiedy go przeczytałem, natychmiast skontaktowałem się z tutejszą komendą.

— Wczoraj wieczorem?

— Nie, dziś rano.

We wpisie, o którym mówił, nie było nic dramatycznego. Ktoś posługujący się nickiem Marcin Wiercioch, który prawdopodobnie był prawdziwym imieniem i nazwiskiem, podsumowywał w kilku zdaniach życie zmarłego, wspominając w jednym miejscu o trudnym rozwodzie.

— Po prostu się zdziwiłem, dlaczego nikt wcześniej nie zwrócił na to uwagi. Byłe żony potrafią być mściwe. Podoba ci się ta koncepcja?

Olga pokiwała głową. To, że stosunki byłych małżonków potrafią być skomplikowane, wiedziała nie od dziś, a przed chwilą — obserwując Agatę i Maćka — jeszcze się w tym utwierdziła. Okazało się jednak, że Twardygrosz żył ze swoją byłą żoną na stopie względnie przyjacielskiej. Opiekowali się wspólnie niepełnosprawnym dzieckiem, Anielką.

— Tak przynajmniej twierdzi policjant, z którym rozmawiałem. Od byłej żony ciekawszy wydaje się sam rozwód. Doszło do niego w dziewięćdziesiątym ósmym roku.

— Tak dawno? — Olga zrozumiała, dlaczego nie był to wątek, który absorbowałyby myśli śledczych. A potem przypomniała sobie wczorajsze przesłuchanie Słubickiego. — Czy ta niepełnosprawna córka nie pracuje czasem w przedszkolu?

— Nie, w przedszkolu pracuje ich starsza córka, Manuela. Dwadzieścia siedem lat. Anielka jest o cztery lata młodsza. Ma dwadzieścia trzy lata...

— Czyli urodziła się mniej więcej wtedy, gdy się rozwiedli?

— Dokładnie wtedy. Ten policjant twierdzi, że Twardygrosz uciekł w ten sposób od odpowiedzialności. Swego czasu ten rozwód był miejscowym skandalem, a Twardygrosz — lokalnym pariasem. Podobno później się poprawił. Brał udział w wychowaniu córek, opiekował się tą młodszą, niepełnosprawną... Opinia publiczna ostatecznie mu wybaczyła. Świadczy o tym liczba zniczy.

— Wirtualnych?

Spojrzał na telefon i pokiwał głową.

— Wirtualnych... ale i prawdziwych. Ludzie ustawiali je pod oknami jego mieszkania.

— No tak. — Olga przypomniała sobie spacer sprzed kilku dni. Agata wspomniała wtedy o zapalanych zniczach. — Nie rozumiem tylko, co jest takiego ciekawego w tym rozwodzie. Facet przestraszył się problemów, zwiął, a potem — gdy z rodziny zostały gruzy — dojrzał i się opamiętał. Historia, jakich wiele. Przecież od dawna wiadomo, że każdy facet to świnia...

Dawid kiepsko chwycił żarty, ale tym razem załapał, że nie powiedziała tego poważnie. Zdawkowo się uśmiechnął, a potem zaczął okręcać szyję szalikiem.

— Zapowiadali silny wiatr — wyjaśnił. — A przy dworcu jest dużo otwartej przestrzeni.

— Chcesz iść na dworzec? Po co? I... o co chodzi z tym rozwodem?

— Policjant twierdzi, że Twardygrosz kogoś miał. Kobietę. To głównie dlatego wybuchł skandal.

Olga poczuła, że nie nadąza za jego rozumowaniem.

— Skandal, bo uciekł... z kobietą?

— To nie była zwyczajna kobieta, tylko niejaka Dominika Wróbel.

— Co w niej takiego niezwykłego?

— To bezdomna. Mieszkała... i wciąż mieszka na dworcu.

Listopad bywa ciemny i ponury, ale tego dnia błękitu nieba nie zakłócała



choćby jedna chmurka. Słońce przygrzewało, a wiatr, przed którym Dawid chronił się szalikiem, był co najwyżej neutralnym dla samopoczucia zefirkiem. W dni takie jak ten warszawscy bezdomni, skupieni w ciągu dnia w okolicach Centralnego, zwykli opuszczać teren dworca i wylegiwać się na ławkach przed Kinoteką. W Działdowie nie było Kinoteki, a dworzec nie znajdował się pod ziemią, ale Dominika Wróbel — bezdomna, którą Olga widziała w tym miejscu dwa dni temu — była nieobecna i nikt nie był w stanie wskazać miejsca, w którym należało jej szukać.

— Przyjdzie po południu — poinformowała ich kasjerka. — Spróbujcie koło piętnastej, wtedy straż miejska przywozi tu jedzenie. Dla niej i innych, takich jak ona.

Wyszli przed budynek stacyjny. Olga nie zamierzała czekać. Niechęć, z jaką kasjerka wyrażała się o bezdomnych, stanowiła wskazówkę, której nie dało się zignorować. Ludzie nie lubili bliźnich bez dachu nad głową. Trochę się ich bali, trochę nimi pogardzali... A przede wszystkim nie chcieli ich oglądać. Bezdomni starali się na ogół schodzić innym z drogi. Jeśli nie byli zajęci zdobywaniem pożywienia i pieniędzy na alkohol, to wybierali miejsca, gdzie nie było tylu ludzi, co gdzie indziej. W centrum Warszawy takim miejscem był rozległy plac Defilad — z ławkami przy Kinotece. W okolicach dworca w Działdowie — teren po drugiej stronie torów w postaci zaniedbanych nieużytków. Uwagę Olgi przykuła zwłaszcza wstążka dymu, unosząca się nad pozostałościami murowanej budowli, którą porastała trawa. Skinęła na Dawida, który jak zwykle w takich okolicznościach wolał trzymać się z tyłu.

— Nie czaj się tak. Przecież nas nie zjedzą.

W stronę murowanej ruinki wiodła dobrze wydeptana ścieżka. Gdzieś tam trafiała się kałuża błota, ale przy odrobinie akrobacji można było dotrzeć do celu suchą stopą. Pod murkiem z czerwonej cegły siedziało kilkoro ludzi w brudnych, znoszonych ubraniach. Kilka kroków dalej płonęło ognisko, a na zaimprovizowanym rożnie piekł się podejrzanie wyglądający kawał mięsa. Ludzie nie czekali beczynn timer. Pili, przekazując sobie flaszkę

z bezbarwnym płynem. Na widok obcych flaszka znikła, ale pozostał zapach. Na szczęście nie ten najbardziej intensywny — bezdomni nie pili denaturatu, tylko rozcieńczony spirytus, prawdopodobnie przemycony ze Wschodu.

— Spokojnie. To tylko policja.

Olga uśmiechnęła się, nie chcąc ich spłoszyć. W Warszawie większość bezdomnych nie boi się policji, ale tutaj mogło być inaczej. Zwłaszcza że schowali butelkę — jej znajomi z Centralnego bez wątpienia piliby dalej.

— My tylko...

Facet, który się odezwał, był zbyt pijany, by dokończyć zdanie. Owszem, zdarzali się bezdomni, którzy nie pili, ale z obserwacji Olgi wynikało, że było ich mniej od czarnych łabędzi. Większość bezdomnych przez cały czas znajdowała się pod wpływem — niezależnie od pory dnia i nocy. Wątpliwej jakości alkohol dziurawił im mózgi. Niestety w wielu przypadkach te zmiany okazywały się nieodwracalne.

— Pani Dominika, prawda?

Olga zatrzymała się przed jedyną w tym towarzystwie kobietą. Bezdomnych kobiet było o wiele mniej niż mężczyzn, a ich los był jeszcze bardziej przejmujący. Aby zdobyć alkohol, sprzedawały to, co najcenniejsze. Siebie. I swoją godność.

— A o co chodzi?

Pytanie nie padło z ust kobiety, tylko siedzącego obok niej draba, zarośniętego aż po linię oczu. Bezdomne kobiety, by przetrwać w tym brutalnym świecie, najczęściej łączyły się w pary. Drab był zapewne jej partnerem. Porównując go z pozostałymi, Olga doszła do wniosku, że Dominika Wróbel mogła wybrać lepiej.

— Zaraz wszystko wyjaśnię... Ale muszę mieć pewność, że rozmawiam z panią Dominiką.

Facet był w nastroju konfrontacyjnym, ale gdy kobieta położyła dłoń na jego ufajdanych spodniach, spokorniał. Wtedy wręczyła Oldze dowód osobisty.

— Wiem, że nieważny — wychrypiała. — Ale to wciąż ja. Można porównać ze zdjęciem.

To była zapewne próba żartu, lecz Olga wolała udawać, że bierze jej słowa na poważnie. Kobieta ze zdjęcia była zaniedbaną, ale przy tym dość atrakcyjną czterdziestolatką. Teraz po tej atrakcyjności nie było już śladu. Rzadkie białe włosy, skóra upstrzona plamami i wysypką, brak przednich zębów, ubranie uwalane błotem i wszelkimi możliwymi wydzielinami ludzkiego ciała... Wyglądała odpychająco. Lata, które spędziła na ulicy, uczyniły ją staruszką, a nie miała nawet sześćdziesięciu lat.

— Chcielibyśmy pogadać z panią w cztery oczy.

Sięgnęła rękami do włosów w groteskowej próbie poprawy wyglądu. Miała na nich fioletową kokardę, tę samą, co przedwczoraj na dworcu. Olga, która spodziewała się, że jej partner będzie robić problemy, była mile zaskoczona jego apatią. Facet wpadł w alkoholowy stupor — siedział sztywno jak manekin, wpatrując się w ceglany mur.

— Możemy. Tylko że ja kiepsko chodzę...

Olga wciągnęła jednorazowe rękawiczki i pomogła jej wstać. Posługiwanie się rękawiczkami trudno było uznać za eleganckie, ale wolała być nieelegancka niż złapać świerzb. Nie kierowały nią uprzedzenia, tylko wieloletnia praktyka.

— Złamanie? — spytała, obserwując niepewne kroki bezdomnej.

— Nie. Woda w nogach. Rano i tak jest lepiej niż wieczorem.

Postanowiła jej nie męczyć. Okrążyły mur, po czym usadowiły się na betonowej płycie. Sądząc po zapachu, miejsce służyło bezdomnym za wychodek. Dawid, który przywędrował tu za nimi, wyglądał tak, jakby zaraz miał wymiotować.

— Wolisz wirtualne spacerzy, co?

Dominika Wróbel pojękiwała, masując obolałe kostki. Olga dała jej tyle czasu, ile trzeba. Patrząc na tę kupkę nieszczęścia, trudno było uwierzyć, że ktoś stracił dla niej głowę, ale nie można było pominąć upływu czasu. Skoro

Wróbel wyglądała atrakcyjnie na zdjęciu zrobionym w wieku czterdziestu lat, to jako trzydziestolatka mogła być — i zapewne była — seksbombą.

— Dlaczego wylądowała pani na ulicy? — Pytanie było bezpośrednie, ale czy nie takie powinna zadawać policja?

— Naprawdę to panią interesuje? — Bezdomna sprawiała wrażenie zaskoczonej, a nawet... podejrzliwej. — To żaden sekret. Wszyscy to wiedzą. Swojego czasu wytykało mnie palcami całe Działdowo. Taka ładna, taka zdolna, a tu ulica... Robiłam za przestrożę. Za ostrzeżenie.

— Przed czym?

Wyjęła z kieszeni plastikową butelkę.

— Przed tym, co z człowiekiem robi alkohol — odparła, odsłaniając w uśmiechu bezzębne dziąsła. — Byłam pijaczką. Od samego początku, od szkoły. Znaleźli się ludzie, którzy próbowali pomóc, ale nie było szans. Wiecie, że miałam dwóch mężów? Dwóch mężów, dwa rozwody... I to wszystko przed dwudziestymi urodzinami. Chyba rekord, nie?

Mówiła to wszystko łagodnym tonem babci czytającej do snu kilkuletnim wnukom. Kontrast między tonem a sensem wypowiedzi był szokujący nawet dla obytej z ludzkim nieszczęściem Olgi.

— Potem zostałam prostytutką. Najpierw było duże miasto i eleganccy panowie, których sama wybierałam. Potem wybór się zmniejszył. Panowie nie byli już eleganccy, a ja nie stałam przy Monciaku, tylko obok trasy szybkiego ruchu. Gdy wróciłam do Działdowa, oddawałam się każdemu, kto chciał. I kto miał na butelkę jabola. Rodzina nie chciała mnie znać. Minęło trochę czasu, no i... jestem.

Tragiczna historia zmarnowanego życia, zawarta w kilku zdaniach. To robiło wrażenie. Także na Dawidzie, który porzucił swą pozę neutralnego obserwatora.

— Nie próbowała... nie starała się pani skorzystać z pomocy którejś z organizacji? Są miejsca, do których można się zgłosić po... pomoc — wydukał, uruchamiając lawinę słów.

— A co was to obchodzi? Pytacie, to odpowiadam. Nie proszę o rady. Kim wy jesteście, żeby mnie oceniać?

— Spokojnie. — Olga uniosła rękę. — Na pewno nie Armią Zbawienia. Jacek Twardygrosz. Mówi to pani coś?

To, czy kobieta pamięta dawnego kochanka, wcale nie było takie oczywiste. Alkohol naprawdę wypalał dziury, ale nie w tym wypadku.

— Szkoda, że umarł. Jak go widziałam, zawsze dawał mi parę groszy albo chociaż coś do jedzenia. Prawdę mówiąc, często na niego czekałam. Miał mnie dość, ale wciąż dawał i dawał... Nie zapomniał.

— Nie zapomniał... czego?

Kobieta machnęła ręką, odpędzając ospałą muchę.

— Kiedyś mu pomogłam. Gdy ktoś ląduje na ulicy, na początku nie jest łatwo.

Olga poczekała, aż mucha usiądzie jej na przedramieniu, a potem rozgniotła ją palcem. To był odruch, atawistyczny i brutalny. Pstryknęła, posyłając zwłoki muchy w trawę i leżące w niej fekalia.

— W jakim sensie mu pani pomogła?

Kobieta przez chwilę się zastanawiała.

— Spędził ze mną kilka nocy — stwierdziła wreszcie. — A potem wprowadził się do ojca i brata.

— Słyszałam, że byliście parą, ale... to było tylko kilka nocy?

Bezdomna otworzyła butelkę i przyłożyła ją do ust. Jej indycza szyja poruszyła się dwukrotnie, gdy przelykała.

— Musiałam się napić — wyjaśniła, a potem zarechotała. Był to śmiech, jaki można usłyszeć na oddziale zamkniętym szpitala psychiatrycznego. Śmiech szaleńca. — Nie byliśmy parą... w takim sensie. Nie był zainteresowany. I ja również. Głupi ludzie dorobili sobie teorię, że Jacek uciekł od żony w moje ramiona... Ale to bzdura. Dałam mu spać obok siebie, pokazałam, skąd brać wodę... I to wszystko. Nie uciekł do mnie. Uciekł... od swojego życia.

— Nie mieliście romansu?

Wciąż rozbawiona uderzyła się w pierś. Miała długie, czarne od brudu paznokcie.

— Przysięgam. Romans ze mną? Ja wtedy nie nadawałam się już na romanse. Mogłam zrobić loda, rozłożyć nogi... i tyle. Bez uczuć.

— I on nie chciał... między te nogi?

— Nie chciał. — Temat nóg przypomniał jej o bolących kostkach. Zsunęła bandaż, odsłaniając opuchnięte, sine ciało. Kostka była wielkości kuli do kręgli. — Nie miał do tego głowy. Był załamany. Bo jemu urodziła się wtedy córka...

— To od niej uciekł, tak?

Bezdomna pokiwała głową.

— Ale bardzo się tym gryzł. Obwinił się o to, co się stało.

— Chyba słusznie. Nikt go przecież nie wyrzucił. Odszedł z domu z własnej woli. — Olga pokręciła głową, bo postępowanie Twardygrosza wydało jej się nie tylko wstrętne, lecz także irracjonalne. — Wolał nocować na dworcu, niż zajmować się dzieckiem... Nie mógł zaczekać? Zorganizować sobie jakiegoś lokum?

Dominika Wróbel znów się napiła. Jej wzrok stał się szklisty.

— To dziecko było niepełnosprawne. Jest niepełnosprawne. Widziałam ją niedawno... To dziewczynka. Chyba Aniela. Jacek mówił o niej wtedy: mój aniołek.

— Dlaczego spał na dworcu? Czemu nie wprowadził się od razu do swojego ojca?

— Był załamany. Bardzo je kochał...

— Pani Dominiko, niech pani spróbuje odpowiedzieć na moje pytanie: czemu Jacek Twardygrosz nocował na dworcu?

— Był załamany. Obwinił się.

Bezdomna odpływała. Chcąc zwrócić jej uwagę, Olga ujęła ją za dłoń.

Nawet przez gumową rękawiczkę wyczuwała zgrubienia, które pozostawił mróz.

— Był załamany. Twierdził, że to jego wina.

— Pani Dominiko... — Olga wzięła wdech, by powtórzyć pytanie, ale nagle zrozumiała, że kobieta przez cały czas udziela jej odpowiedzi.

— Był załamany. Obwinił się.

— Winił się, że jego córka urodziła się chora?

— Przez cały czas. Mówił o tym nawet przez sen.

— I sądzi pani, że na dworzec przygnało go poczucie winy? — Olga rozważała tę nową koncepcję i z każdą chwilą uznawała ją za coraz bardziej prawdopodobną. — To miała być forma kary?

Kobieta wzruszyła ramionami. A potem znów powtórzyła swój koronny tekst.

— Był załamany. Winił siebie.

— Dlaczego się winił?

Olga obawiała się, że kolejny łyk przezroczystego płynu popchnie bezdomną na krawędź otępienia, ale tym razem efekt był odwrotny. Kobieta przypomniała sobie, że zna jeszcze inne słowa, a nie tylko pochodne od winy i załamania.

— Jacek miał brata. Niedorozwiniętego, z garbem. Brat mieszkał z ojcem. Nie mówił.

Olga nie знаła nazwy schorzenia, na które cierpiała Anielka, ale z tych fragmentów akt, które poznała, a także z relacji Słubickiego wynikało, że jej wada nie jest wadą nabytą, tylko wrodzoną. Konkluzja była prosta.

— Twardygrosz winił się za obciążenie genetyczne?

Kobieta wyraźnie się rozpromieniła. Słowa, które wypowiadała od kilku minut, nabrały nowego znaczenia.

— Tak. Winił się. Był załamany.

Rozmowa z Dominiką Wróbel nie dostarczyła informacji, które popchnęłyby

śledztwo do przodu, ale Olga i tak sporządziła z niej notatkę służbową, a potem poprosiła Dawida o jej redakcję. Guzdrał się z tym tak długo, że zdążyła zjeść drugie śniadanie, a także pomalować sobie paznokcie. Agata i Maciek nie dawali znaku życia, co było raczej nie najlepszą wróżbą. Jeśli sprawa z Janiną Kossakowską zakończyłaby się sukcesem, to Maciek na pewno by ją zawiadomił. Był niepoprawnym chwalipiętą. A tak — możliwości były dwie.

Albo była niewinna, albo — nieobecna.

Punktualnie o dwunastej w południe zadzwoniła do Heleny Wiącek. Pierwsze połączenie zostało odrzucone, a gdy pół godziny później zatelefonowała ponownie, usłyszała, że to pomyłka — i to zanim zdążyła wyjaśnić, w jakiej sprawie dzwoni. Niezadowolona skontaktowała się z Agatą, a ta poradziła jej spróbować ponownie.

— Tylko odczekaj kilka minut. Może nie mogła swobodnie gadać.

— A co z Kossakowską?

— Na razie dupa. Obiekt nieobecny. Mąż obiektu również. Spotkałam tylko tego twojego Słubickiego...

— Taki on mój, jak i twój.

Olga zakończyła połączenie, a potem lekko się uśmiechnęła. Chociaż przekonywała się, że jest inaczej, fakt, że Agata nie zdołała dotąd namierzyć Janiny Kossakowskiej, napępiał jej serce mroczną satysfakcją. Od razu łatwiej było też znieść tę czarną robotę, którą jej zlecono. Gdy kwadrans później ponownie dzwoniła do Heleny Wiącek, w duszy grała jej skoczna muzyka, doskonale korespondująca ze skocznym kawałkiem melodyjki na czekanie.

— Halo.

Damski głos w słuchawce wciąż był ostrożny, ale nie aż tak, jak poprzednio. No i brzmiał o dwa tony głośniej.

— Z tej strony Olga Bojko...

— Niech pani podjedzie do Szczuplin — przerwała jej bezceremonialnie,



dodając, że będzie czekać na parkingu pod sklepem. — To dwadzieścia kilka kilometrów, przy trasie na Nowe Miasto. Mogę tam być za kwadrans, a pani?

— Ja też — odparła niepewnie Olga, bo nie spodziewała się, że do spotkania dojdzie za miastem.

— Tylko... niech pani będzie sama. I proszę się upewnić, że nikt za panią nie jedzie.

Helena Wiącek nie czekała na potwierdzenie. Po jej ostatnich słowach połączenie zostało przerwane. Okazało się, że słynna łamaczka męskich serc jest przy tym paranoiczką, co — wobec fantasmagorycznej zazdrości jej małżonka — można było od biedy uznać za uzasadnione.

— Masz wolne — rzuciła w stronę Dawida, który wciąż pastwił się nad jej notatką. Poprawki wprowadzał w trybie śledzenia zmian, co sprawiało, że projekt dokumentu wyglądał jak po ataku nawiedzonej nauczycielki polskiego. Skreśleń było więcej niż właściwego tekstu. — Jakbym nie wróciła, to zapamiętaj. Szczupliny, sklep obok dawnego kołchozu.

— Czego?

— Inaczej pegeeru — uściśliła zadowolona, że i ona może czegoś go nauczyć.

Szczupliny okazały się przedziwną wioską, w której przepiękne okoliczności przyrody rywalizowały o uwagę z sypiącymi się ze starości zabudowaniami pegeeru i blokami z betonu. Bloki te, na przykład w takim Działdowie, nie budziłyby zdziwienia, ale tu — zaraz przy malowniczym jeziorze — wyglądały surrealistycznie. Budynek sklepu wznosił się przy nieczynnej pętli autobusowej, zaadaptowanej na parking. Stał tam tylko jeden samochód, a przy nim — młoda kobieta przestępująca z nogi na nogę. Olga zatrzymała się obok i opuściła szybę.

— Pani Helena, tak? — Odpowiedziało jej nerwowe kiwnięcie głową. — Czy można wiedzieć, dlaczego tutaj?

Kobieta rozejrzała się, a potem wsiadła do samochodu Olgi i zapięła pas.

— Możemy kawałek podjechać? Znam wygodny zjazd nad jezioro.

Olga wzruszyła ramionami, ale zastosowała się do dziwnej prośby. Tego oczekiwała od niej Agata. Jadąc „wygodnym zjazdem”, który okazał się najeżonym dziurami bezdrożem, zaobserwowała, że jej towarzyszka przez cały czas obraca się za siebie.

— Spokojnie. Nikt normalny tędy nie pojedzie.

— Łatwo pani mówić. Powiedziałam mężowi, że jadę na działkę. Zdarzyło się już, że mnie sprawdzał. Lepiej, żeby się nie zorientował, że mnie tam nie ma.

— A samochód?

Przez chwilę patrzyła na Olgę jak na kosmitkę, a potem załapała.

— Ten na parkingu? To nie mój. Mój został na działce. Niedaleko, dwa kilometry stąd.

Kobieta, która z powodu strachu przed własnym mężem decydowała się na takie akrobacje, z dwukilometrowym marszem przez podmokłe bezdroża włącznie, zasługiwała na współczucie. Albo... na solidnego kopa. Olga nie zamierzała jednak roztrząsać zagadnienia przemocy psychicznej ani podpowiadać gotowych rozwiązań, bo tych nie było. Czasem należało przeciąć taki związek jak ropiejący wrzód, a innym razem lepiej było poddać się leczeniu. Dlatego poprzestała jedynie na krótkim i neutralnym „jasne”, które — nie wiedzieć czemu — wprowadziło Helenę Wiącek w ledwo tamowaną złość.

— Myśli pani, że robię z siebie idiotkę?

— Myślę tylko o tym, jak nie rozbić misy olejowej — odparła Olga, kręcąc kierownicą.

— Konrad jest cudownym mężem. Naprawdę. Wiem, że pani uważa inaczej...

— Szczerze? Nie mam zdania. Czy musimy jechać dalej?

— Za chwilę będzie polanka. Będzie pani mogła tam zawrócić. Przepraszam, że się tak wydarłam. Od dwóch dni czuję się non stop oceniana i trochę mi się ułało.

Olga popatrzyła na nią uważnie.

— Mam nadzieję, że to tylko taka przerośnia.

Helena Wiącek wybuchnęła śmiechem. Była jedną z tych kobiet, którym wesołość dodawała urody. Z poważną miną była względnie atrakcyjną babeczką, ale gdy się uśmiechnęła, robiła się cholernie atrakcyjna.

— To przerośnia — potwierdziła, a potem otarła łzę. Łzę śmiechu. Olga poczuła, że ją lubi. — Przepraszam, będę bardziej dosłowna. Konrad jest super. To ja kiedyś... w pewnym sensie go zawiodłam i trochę mu odbiło. Dlatego teraz wolałam spotkać się z wami w tajemnicy. Pani szefowa powiedziała, że da się to tak zorganizować, by ten materiał był niejawnym.

Olga nie miała pojęcia, do jakich kłamstw posunęła się Agata, by bardziej otworzyć małżonkę flirtującą, dlatego poprzestała na zapewnieniu, że wszystko będzie w porządku.

— Jest taki chłopak... Nazywam go Amatorem. Rozumie pani, amatorem wdzięków, czy jak to się mówi. Jeździ porannym pociągiem. Wstaje tak wcześnie tylko po to, by mnie spotkać. W tych dniach, gdy mam wolne, jeździ później, pociągiem o piątej czterdzieści. Trochę wariat, ale bardzo zabawny.

Dotarły do obiecanej polanki — miejsca, w którym można było zawrócić. Olga zrobiła to natychmiast. Nigdy nie wiadomo, kiedy trzeba będzie uciekać.

— O której rusza pierwszy pociąg?

— O wpół do trzeciej. Czyli ponad trzy godziny wcześniej.

Olę zatkalo.

— Chce pani powiedzieć, że chłopak wstaje dwie godziny wcześniej tylko po to, by powiedzieć pani „dzień dobry”?

— Tylko dwa... najwyżej trzy razy w tygodniu. Wtedy, gdy mam dyżur.

Olga spotkała się już z kilkoma definicjami wariata, ale żadna z nich nie była tak trafna, jak ta: *wstaje dwie godziny wcześniej, by powiedzieć „dzień dobry” ładnej pani konduktor.*

— I pani nie widzi w tym nic niestosownego?

Helena wysiadła z samochodu i rozejrzała się dookoła w taki sposób, jakby

wypatrywała intruza. Olga poszła w jej ślady, ale zamiast się kręcić, stanęła przodem do przeświecającej zza drzew wody i wciągnęła do płuc wilgotny zapach jeziora. Był upajający. Uderzał do głowy bardziej niż szampan.

— Wiele razy chciałam z nim pogadać. Ale nie było kiedy. W pociągu... tam jestem cały czas w biegu. A tutaj, w Działdowie, mam Konrada. Wiele lat temu, w czasie szkolnej imprezy, zaczęłam się całować z przyjacielem... i on nas nakrył. Od tego czasu... No cóż, ma na mnie oko.

— Czy tym przyjacielem był Kacper Słubicki?

Była poważna, nawet bardzo... ale po tym pytaniu znów się roześmiała.

— Zna pani Szczotę? Nie, to nie on. Z nim chodziłam na początku, ale oddał mnie Konradowi za nowe korki. Takie buty, do gry w piłkę. Konrad kupił mu te korki jako łapówkę, wyobraża sobie pani? A Szczota przestał mnie zauważać. Sama nie wiem, czemu wciąż się z nim zadaję.

Olga zadrżała. Mimo słonecznej pogody tu, nad jeziorem, kąsał chłód.

— Może wrócimy do tego Amatora. Jak się nazywa?

— Grzesiek. Jest informatykiem. I trochę nerdem, a nawet bardzo. Wydał mi się zabawny. Nie oczekiwałam, że poczuje coś poważnego. Z reguły mężczyźni wyczuwają, gdzie jest granica, a on ją przekraczał. Kilka razy wręczył mi kwiaty. Było mi go żal i trochę się bałam.

— Uważa pani, że może być niebezpieczny?

— Nie bałam się jego, tylko... o niego. Przecież jakby mój Konrad przypadkiem zobaczył, że wręcza mi te kwiaty, toby go chyba zabił. — Gwałtownie zasłoniła dłonią usta. — Ale tego niech pani nie pisze, dobrze? Jak pani wie, Konrad jest policjantem, a policjant nie powinien dokonywać samosądu, prawda?

Olga obiecała, że o tym nie wspomni. Słabe nerwy Konrada interesowały ją jak zeszłoroczny śnieg. Liczyło się to, że nie był zabójcą. Ale czy mógł nim być Grzesiek alias Amator?

— Dlaczego uznała pani, że powinniśmy o nim wiedzieć?

Helena Wiącek przez chwilę się wahała.

— Ma pani męża? — spytała, a potem, nie chcąc chyba wyjść na małomiasteczkową gęś, uzupełniła na jednym wdechu: — Albo narzeczonego, partnera, bliskiego znajomego albo znajomą...

Olga z rozbawieniem pokręciła głową.

— Z moją pensją? A kto by mnie chciał?

— Ale pewnie pani kogoś miała, co? I na pewno pani wie, że trudno jest przez cały czas unikać rozmów o pracy, o tym, co się robi...

— A pani unika? — spytała, nie wiedząc, do czego zmierzają.

— Chodzi o Konrada, mojego męża. Wiem, że pracuje przy śledztwie i że to bardzo tajne śledztwo... Ale mi powiedział, niechący. Potem kazał o tym zapomnieć, ale nie umiem.

— O czym pani powiedział?

Odpowiedź niemal zwała Olę z nóg.

— O tym, że te zabójstwa to robota świra. Co się stało? Wiem, nie powinnam tego wiedzieć... To tajemnica.

Olga jakimś cudem zdołała opanować śmiech. To, co usłyszała Helena, wcale nie było tajemnicą. Wiadomo, że zabójcy są świrami. A zwłaszcza ci, którzy do zabijania używają młotków.

— Spokojnie. O tym też nie napiszę.

Na twarzy Heleny Wiącek pojawiła się ulga, ale tylko na moment. Potem zagościło na niej napięcie. Przez dłuższą chwilę obserwowała sunącą przez jezioro rybacką łódkę. Odetchnęła dopiero wtedy, gdy łódka zniknęła za pasem trzciny.

— Grzesiek nie jest do końca normalny.

— Cieszę się, że pani też to dostrzega.

— Ale tu wcale nie chodzi o niegroźnego bzika. Bardzo chciałam z nim porozmawiać. Dać mu do zrozumienia, że nie porzucę męża i córki i nie ucieknę z nim na bezludną wyspę... czy co mu tam chodzi po głowie. A już na pewno nie z jego matką. — Zaśmiała się, a potem wzruszyła ramionami. —

On naprawdę mieszka z matką. Stary koń, dwadzieścia osiem lat... Mama robi mu kanapki i prasuje koszule. Uwierzy pani?

Olga wcale nie uznała tego za dziwne. Owszem, Helena Wiącek, która miała siedmioletnią córkę, już dawno wyrwała się z rodzinnego gniazda, ale to nie oznaczało, że ta ścieżka życiowego rozwoju była jedyną właściwą. W Warszawie Bojko co rusz poznawała nawet starszych mężczyzn, którzy wciąż nie wyfrunęli z rodzinnego gniazda, i wcale nie odbierała ich jako mniej atrakcyjnych. Przeciwnie — często mieli większy potencjał, a gdy już opuszczali dom, z reguły szybko rozwijali skrzydła. Późniejsze usamodzielnienie pozwalało unikać dziecinnych błędów.

— Ciekawe, co jego matka myśli o pani.

— Tego na szczęście się nie dowiedziałam. Jak dotąd — dodała z nieudawanym strachem. — Jakiś czas temu wreszcie pojawiła się okazja, by z nim pogadać. Zobaczyłam go na afiszu.

— Jakim? Filmowym?

— Prawie. Mamy w miasteczku dom kultury, w którym co chwila organizowane są różne imprezy. Dziś na przykład idziemy z mężem na zabawę andrzejkową, są też spotkania z różnymi ciekawymi ludźmi: pisarzami, aktorami...

— I Grześkiem, tak? On ma jakieś nazwisko?

Helena Wiącek zrobiła przeproszającą minę.

— Wyleciało mi z głowy. Nigdy nie miałam pamięci do nazwisk.

— On jest kimś sławnym czy co?

— Nie, skąd. Ale ma fajną robotę. Jest informatykiem, zna się na technice... Pewnie powiedziałabym coś więcej, ale przyszłam na Zamek dopiero po spotkaniu...

— Czemu na Zamek?

— Tam właśnie jest ten dom kultury. Mój mąż miał dyżur od dziewiętnastej, ja wpadłam chwilę później. Tam obok Zamku jest mały park, dosłownie kilka drzew na krzyż. I nikt tam nie chodzi. Jak mnie zobaczył,

chciał iść na piwo, kawę, pizzę... Wymienił wszelkie możliwe rozrywki, łącznie z kinem w Mławie. Ale kiedy zaprosiłam go tam, między te drzewa, też był szczęśliwy. Tak szczęśliwy, że chyba nie docierało do niego, co mówię. Patrzył mi w oczy i ciągle powtarzał to swoje: „tak, śliczna”. Wciąż z takim samym zachwytem. A potem zaczęliśmy gadać, wygłupiać się i... zrobił się z tego całkiem miły wieczór. Naprawdę miły. Zanim się zorientowałam, wybiła północ. Wiem, co pani sobie o mnie myśli, ale... ja po prostu lubię ludzi.

— Ktoś już tak kiedyś mówił.

— Tak. — Helena zachichotała. — Prezydent Kwaśniewski.

Olga słyszała ten tekst z ust jednego z podopiecznych na dworcu, Kudłatego Lolka. Nie wiedziała, że cytował prezydenta.

— Czy pani nie lubi ich trochę za bardzo?

— Być może. W każdym razie z tej sympatii zostawiłam pod drzewem torebkę z portfelem. Kiedy po nią wróciłam, wciąż tam był, sam, w środku nocy. Siedział pod drzewem i... Na pewno nie zgadnie pani, co robił.

Wbrew pozorom nie było to wcale takie trudne. Olga spotykała w życiu naprawdę różnych ludzi.

— Esemesował z mamą? — zakpiła, lecz Helena pozostała poważna.

— Oczywiście udałam, że nie widzę, on się zerwał, ale... Nie mogłam się pomylić. Siedział pod Zamkiem i się... zabawiał. Sam ze sobą. To nie jest normalne, co?

— Raczej nie.

— Jeszcze rozumiem, gdyby to był nastolatek. Albo jakiś wiecznie pijany robotnik... Kiedyś nakryłam takiego, jak robił to w pociągu.

— To choroba, która nie wybiera. Jednego dnia kominiarz, drugiego prezes banku.

Olga nie uznała tej informacji za tak istotną, by zawiadamiać Agatę. Od zaburzeń seksualnych do mordowania ludzi młotkiem była naprawdę daleka

droga. Helena sprawiała wrażenie rozczarowanej. Łatwo było ją zrozumieć — tyle stresu, kombinowania, a efekt... w zasadzie żaden.

— Grzesiek ma wyższe wykształcenie. Pracuje w PKP, a to zobowiązuje. Kiedy go spotykam, trudno mi zapomnieć o tym, co wtedy widziałam. W pewnym sensie to było nawet miłe, ale kiedy sobie pomyślę, co jeszcze mógł zrobić... Z drugiej strony... sama nie wiem. To taki fajny, wrażliwy chłopak.

Miotła się — od oburzenia po sympatię. Naprawdę nie wiedziała, co o nim sądzić. Olga w innych okolicznościach nazwałaby ją w duchu hipokrytką, ale to, co usłyszała między oskarżeniami i ich bagatelizowaniem, trąciło czułą strunę.

— Gdzie pracuje?

— W PKP. W jednym z tych budynków przy stacji Warszawa-Ochota.

— I czym się tam zajmuje?

— Jest informatykiem. Jego praca polega na obsłudze systemu monitoringu. Na Dworcu Centralnym.

Zatrzymań, o ile to możliwe, dokonuje się w miejscu zamieszkania. Tak jest najwygodniej i najbezpieczniej. Taką też decyzję podjął prokurator — Grzegorz Umer, podejrzany o dokonanie czterech zabójstw, miał być zatrzymany w swoim domu przy ulicy Diamentowej, zaraz po tym, jak wróci z pracy.

Aktualnie Grzegorz Umer był właśnie w drodze z pracy do domu. W jego wypadku była to bardzo długa droga — z biurowca będącego siedzibą PKP Informatyka aż na dworzec w Działdowie i dalej, na Diamentową. W drodze tej od samego początku towarzyszyli mu policjanci. Byli incognito, w cywilnych ciuchach, i mieli reagować tylko w sytuacji zagrożenia.

— Minęli Mławę — poinformowała Agata. Jej głos dobywał się z radia i był zniekształcony. — Jeśli nie będzie dalszych przygód, to za dwadzieścia minut będą na miejscu.



Olga poprawiła się w fotelu. Insignia była wygodna, ale po dwóch godzinach bolał ją już tyłek.

— Przyjęłam — odparła, tłumiąc ziewnięcie. Psycholog na kursie tłumaczył, że to objaw stresu, ale w jej wypadku czynnikiem determinującym ziewanie było też przemęczenie. I tak nie była w najgorszej sytuacji. Agata i Maciek, którzy siedzieli nieopodal domu Umera, by — wraz z zespołem antyterrorystów — dokonać zatrzymania, mieli za sobą pijacką noc, a po niej dzień strawiony na bezskutecznym namierzaniu Janiny Kossakowskiej, która zapadła się pod ziemię.

— Denerwujesz się?

— Ja? — Dawid usiłował udawać zdziwionego, ale wychodziło mu to co najwyżej średnio. — Skąd. Zawsze chciałem wykazać się w terenie.

— Mówisz to tak, jakbyśmy musieli go odbić z rąk specnazu. A my mamy go tylko odprowadzić... Przypilnować, żeby się nie zgubił. Z tylnego siedzenia.

Za kółkiem siedział funkcjonariusz z miejscowej komendy. Agata się uparła, by kierowcą był ktoś, kto dobrze zna miasto. Oprócz ich insigni na parkingu pod dworcem stały jeszcze dwa cywilne pojazdy. Na wszelki wypadek czy też — jak określiła to Agata — na wypadek... wypadku. Do zderzaka samochodu Umera przymocowano dodatkowo nadajnik GPS, a na peronie czuwali dwaj kolejni funkcjonariusze w cywilu — po to, by przypilnować go na trasie z pociągu do samochodu. To nie wszystko. Jeszcze jeden funkcjonariusz był w poczekalni, a kolejny — przy toaletach. Wszystko było zapięte na ostatni guzik.

Trudno było wyobrazić sobie sytuację, w której coś mogło pójść nie tak.

— Gadałam z nim. — Olga obiecywała sobie, że zachowa to dla siebie, ale nie wytrzymała. — Maciek przesłuchiwał go jako specjalistę od kamer. Chłopak ma mocne nerwy. W ogóle nie było po nim widać zdenerwowania.

Dawid nie odpowiedział. Kierowca też nie był dobrym partnerem do rozmowy. Policjanci z Działdowa nie mogli zrozumieć, dlaczego tak poważna

operacja odbywa się za plecami ich przełożonego, którego — jak można było wysnuć z ich niechętniej reakcji — lubili i cenili. Agata była jednak nieugięta. Najpierw, ni z gruchy, ni z pietruchy pogratulowała Konradowi Wiąckowi sprawności, z jaką udzielał im pomocy, a potem odesłała go do domu. Odprawę zwołała dopiero wtedy, kiedy wyszedł, zapowiadając na wstępie, że jeśli ktoś szepnie mu choćby słówko o dzisiejszej operacji, to od jutra będzie mógł zająć się szukaniem nowej pracy. Decyzja, aby dokonać zatrzymania bez udziału Wiącka, miała sens, bo w sprawę zaangażowana była jego żona — na punkcie której miał bzika. Agata wolała dmuchać na zimne. Była jednak także druga strona medalu. Wiącek miał się dowiedzieć o swoim pominięciu, i to najpóźniej jutro. Można było sobie wyobrazić, że nie będzie tym zachwycony. Ale Agata mogła się z tego śmiać. To nie był jej problem.

Jutro będzie daleko stąd.

Wina Grzegorza Umera nie była bezsporna, lecz wiele wskazywało na to, że tym razem trafili. Z danych BTS wynikało, że Umer znajdował się w pociągu, w którym zginął kibol Marcel Zieliński. Jeździł na trasie Działdowo–Warszawa w okresie, gdy w Pomiechówku został zabity Zbigniew de Wayher. W nocy, gdy zginął Wasyl Zajcew, pełnił nocny dyżur w budynku zlokalizowanym zaledwie przecznicę od Dworca Centralnego. No i oczywiście znał rozkład i zasięg kamer: nie tylko na Centralnym, ale też stacjach pośrednich i w pociągach. Na dodatek jako pracownik PKP mógł dostać się do strefy zamkniętej ekspresu „Kormoran”, w którym zginął Twardygrosz. Był przy tym niezłe zbudowany — miał metr osiemdziesiąt osiem, no i wreszcie...

Miał motyw.

Tym motywem była miłość do Heleny. Miłość bezwarunkowa i — jak wskazywało jego zachowanie po ich jedynej niby-randce — nie tylko platoniczna. A dodatkowo niespełniona. Nie trzeba było mieć doktoratu z psychologii, by stwierdzić, że w takim wypadku możliwości jest wiele. Jedni

słuchają w domach melancholijnej muzyki, inni kupują sobie kota, a jeszcze inni — siedmiostrzałowe magnum. Albo solidny młotek.

— Pociąg minął Iłowo. Pięć minut do celu.

Dawid po raz pięćdziesiąty zmienił pozycję. Ta, którą przyjął — ze skrzyżowanymi nogami i zaplecionymi rękami — zdawała się krzyknąć: „zabierzcie mnie stąd!”. Z głośników popłynął monotony głos elektronicznego spikera:

— Opóźniony pociąg osobowy przyspieszony ze stacji Warszawa Centralna do stacji Działdowo, planowy przyjazd o godzinie dwudziestej drugiej trzydzieści siedem, wjedzie na tor trzeci przy peronie drugim.

— Opóźniony przyspieszony. Nieźle, co? — Olga starała się, jak mogła, ale Dawid nie zmienił swojego nastawienia. — Dobra, zapinamy pasy... — urwała, bo w radiu odezwała się Agata.

Głos szefowej brzmiał tak, jakby była bardzo zmęczona. Znacznie bardziej niż dotychczas.

— Olga, gdzie jesteś?

— Przy dworcu. — Co to w ogóle było za pytanie? — W samochodzie, dwa stanowiska parkingowe od figuranta. Za chwilę ruszamy za nim na Diamentową.

W ciemności po lewej ukazały się światła pociągu. Najpierw to na górze, a po chwili — dwa dolne.

— Ty ruszasz natychmiast. Powiedz kierowcy, żeby cię zawiózł do szpitala. Na SOR.

Pociąg powoli wtaczał się na peron, ale zanim się zatrzymał, kierowca wystartował z miejsca parkingowego i ruszył w stronę centrum. Olga rozpięła pas i utkwiała wzrok w tylnej szybie.

— Po co na SOR? Wszyscy jesteśmy zdrowi.

— Nie wygłupiaj się. — W głosie Agaty obok zmęczenia pojawiło się zniechęcenie. — Jest kolejna ofiara z rozbitą czaszką.

Dworzec zniknął za rzędem budynków, lecz Olga wciąż klęczała, gapiąc się

do tyłu.

— W pociągu?

— Nie, pod Zamkiem. Właśnie zabrali go karetką.

Dumała nad tą informacją przez okrągłą sekundę. Ich rachuby wzięły w łeb.

Mordercą z pewnością nie był Grzegorz Umer.

— Ofiara żyje?

— Nie wiem.

— Kto to?

Odpowiedź wstrząsnęła nią jeszcze bardziej.

— Kacper Słubicki.

## 14.

Przyjazd opóźnił się o prawie godzinę, ale Mykoła Chruszczow nigdzie się nie spieszył. Odczekał, aż z pociągu wysypali się ostatni pasażerowie, a potem okrojona drużyna konduktorska — Kazio Ścibor i ta młoda czarnulka, której imię zaczynało się na I. Gdy Kazio pozdrowił go przez radio, mruknął swe standardowe „do swidanija”, po czym pchnął dźwignię. Skład potoczył się z prędkością manewrową w kierunku stanowiska postojowego za peronami.

To nie należało do jego obowiązków, ale gdy opuścił lokomotywę, sprawdził kondycję obręczy. Używał do tego młotka rewidenckiego. Opukiwał nim elementy podwozia, uważnie nasłuchując odgłosów. Nauczył się tego w Ukrainie. Pociągi, które tam prowadził, były w znacznie gorszym stanie technicznym — podczas kilkunastoletniej pracy wyłapał w ten sposób kilka uszkodzeń, które mogły skutkować poważnym wypadkiem, a nawet katastrofą. W Ukrainie takie opukiwanie było niczym katechizm, natomiast w Polsce traktowano je jak dziwactwo. Tu maszyniści nauczyli się wierzyć nowoczesnym technologiom i oddanym swej pracy serwisantom, ale Mykoła, który w zeszłym roku przekroczył pięćdziesiątkę, nie zrezygnował ze starych przyzwyczajień.

Gdy sprawdził, że wszystko brzmi, jak należy, pogłaskał swoje narzędzie pracy, po czym wsadził je za pasek. Młotek przysłali mu z Doniecka starzy koledzy, gdy tylko się dowiedział, że dostał wymarzoną pracę. Było to trzy lata temu. Przez te trzy lata młotek był dla niego niczym amulet. Praktycznie się z nim nie rozstawał, z wyjątkiem tego zabawnego epizodu, kiedy skonfiskowała go policja — podejrzewając, że był narzędziem zbrodni. Mykoła nie śmiał się zbyt często, a właściwie nie robił tego prawie nigdy... Ale tamtego dnia chichotał jak podchmielona panienska. Młotek ważył mniej

niż kilogram. Gdyby ktoś chciał go użyć do rozbicia czaszki, bardzo by się zdziwił, bo można nim było co najwyżej nabić guza.

Znał skrót przez dziurę w parkanie, ale tego wieczoru opuścił teren kolei normalną drogą, przez halę dworca. Jak niemal codziennie, zaczepiła go tam kłoszardka, chcąc wysepić papierosa. Tym razem jej odmówił, bo w paczce zostało mu tylko kilka sztuk. Pogrzebał po kieszeniach i dał jej dwa złote. Mimo mrukowatej natury nie był złym człowiekiem, a dziś miał szczególny powód, by świętować: po siedmiu kolejnych dniach w robocie jutro miał wolne. Nareszcie.

W domu nikt na niego nie czekał. Żona i dzieci zostały w Doniecku, gdzie odwiedzał ich cztery razy w roku. Co miesiąc wysyłał im pieniądze. Żył oszczędnie, ale w takie dni jak ten pozwalał sobie na odrobinę rozrzutności. Nogi same zaniósły go do całodobowego przy Skłodowskiej-Curie. Papierosy kupował poza oficjalnym obiegiem, lecz alkohol to co innego. Nie był pijakiem, tylko koneserem.

— Wino. Czerwone.

— Jakie? — spytała ekspedientka przez okienko w zamkniętych drzwiach. Wyglądała jak celniczka na granicy i była chyba równie znudzona. — Najtańsze?

Mykoła chrząknął i podkręcił wąsa. Ekspedientka, słysząc jego akcent, uległa obraźliwemu stereotypowi. A może powodem był mundur kolejarza? Miał ochotę odpowiedzieć, że najdroższe, ale rozrzutność miała swoje granice.

— Gruzińskie. Kindźmarauli?

Zazwyczaj, tak jak i teraz, posługiwał się pojedynczymi słowami. Nie próbował uczyć się polskiego, z wyjątkiem słów, które były mu niezbędne w pracy. Uważał to za stratę czasu. Marzył o dniu, w którym będzie mu dane wrócić do rodzinnego domu. Tęsknota zżerała go od środka, a w takie samotne wieczory jak ten stawała się nie do wytrzymania.

— Doliczyć reklamówkę?

— *Nie nado.*

Mieszkał niedaleko dworca, razem z dwoma kolegami z Doniecka zatrudnionymi w firmie produkującej meble. Zwykle nie włączył się po mieście. Był domatorem, lecz tego wieczoru — a właściwie już nocy — chciał się trochę przewietrzyć. Jego Walentyna pokpiwała z niego, że gdyby pracował w Paryżu, to nie wybrałby się nawet pod wieżę Eiffla. Działdowo z pewnością nie było Paryżem, ale był tu Zamek, a on postanowił wreszcie go zobaczyć.

Zanim ruszył w drogę, odkorkował butelkę. Wino mogłoby być trochę chłodniejsze, mimo to i tak mlasnął z zachwytem. Przypomniały mu się leniwe wieczory na słonecznym Krymie, w podróży poślubnej. Wtedy też pił wino prosto z butelki. Tęsknota za domem, zamiast zniknąć, wróciła ze zdwojoną mocą. Aby ją stłumić, napił się jeszcze raz. Pomogło.

Działdowo ułożyło się już do snu. Na rynku nie było żywego ducha, a okna kamienic, które mijał, w większości były ciemne. Jedyne w nielicznych widać było niebieskawą poświatę telewizorów. Niebieskawa poświata unosiła się również nad parkiem, za którym — według planu miasta — wznosił się ten cholerny Zamek. Mykoła podszedł bliżej i naliczył trzy radiowozy migające niebieskimi lampami. Wystarczająco dużo, by zniechęcić nawet najbardziej brawurowego pijaka.

— *Eto słozno* — mruknął sam do siebie, po czym zawrócił, zderzając się z innym nocnym przechodniem.

— Co tam się stało?

Zignorował zarówno pytanie, jak i mężczyznę, który je zadał. Okazało się jednak, że nie byli sami. Tuż obok, w ciemnej bramie stał ktoś jeszcze. Mykoła widział jedynie sylwetkę z pomarańczowym punkcikiem jarzącego się papierosa.

— Trup na miejscu.

— Leży?

— Już nie. Wzięła go karetka. Będzie z pół godziny temu.

— Jak karetka, to może nie trup?

— Jak nie trup, to po co by tak długo stali? — W ciemnym tle bramy jeszcze ciemniejsza ręka wskazała w kierunku radiowozów. — Zbierają ślady. Dla prokuratora.

Mykoła zrozumiał wystarczająco dużo. Od czasu, gdy prowadzony przez niego pociąg — kilka kilometrów za Krzywym Rogiem — przerobił na mielonkę spacerującego po torach pijaczka, był wrażliwy na gwałtowną śmierć. Tak bardzo, że przeszła mu ochota na spacer i na picie. Ruszył w stronę miejsca, w którym sypiał, a niedopite kindźmarauli wylądowało w najbliższym koszu na śmieci. Zaraz po tym usłyszał damski płacz, a chwilę później słowa, które zrozumiał znacznie lepiej niż rozmowę w bramie.

— *Neszczastia.*

Nie był żadnym separatystą, ale na co dzień — tak jak wielu Ukraińców z Donbasu — posługiwał się językiem rosyjskim. Różnica była niewielka, jednak nie miał wątpliwości, że kobieta wypowiedziała to słowo po ukraińsku. Niezależnie od tego poczuł więź. Tak dawno nie był w domu...

— Co się stało? — spytał, podchodząc do ławki zwróconej w kierunku nieczynnej fontanny w sercu rynku. — Potrzebujesz pomocy?

Kobieta okazała się starsza, niż wynikałoby to z barwy głosu. Światło latarni mogło mylić, ale ocenił ją na swoją rówieśniczkę. Na ławce, obok niej, leżała kula ortopedyczna.

— On nie żyje — wyszlochała, przechodząc na rosyjski. — Na pewno nie żyje...

— Kto?

Mykoła cofnął się o krok. Gdyby miał podjąć tę decyzję jeszcze raz, na pewno by tu nie podszedł. Kobieta wyglądała niepokojąco. W jej oczach błyszczało szaleństwo.

— Ten biedny chłopiec. Widziałam, jak leżał. Biały i sztywny. Mój Boże, co my zrobiliśmy?!

Mykoła uczynił kolejny krok w tył. Ze słów kobiety można było wywnioskować, że mówi o ofierze spod Zamku. O trupie. W taki sposób,



jakby miała coś wspólnego z tym, co się tam wydarzyło. Nie chciał być w nic zamieszany.

Chciał zostać w Polsce i dalej pomagać rodzinie.

— Muszę iść — wymamrotał, ale zanim zdążył odejść, złapała go za kurtkę.

Szarpnął się, a potem chwycił ją za drugą dłoń. Była zimna jak marmur, a gdy odskoczył, oderwała się od jej ciała i upadła na trotuar. Zrobiło mu się tak słabo, że przysiadł na krawężniku.

— Pomóż mi. Trzeba to przerwać. Trzeba wreszcie to przerwać. Trzeba pójść na policję.

— To idź...

— Nie mogę. On mi nie pozwoli. Zaraz tu będzie. To szaleństwo.

Podniosła oderwaną kończynę i przytwierdziła ją z powrotem. Zrozumiał, że to proteza, ale wcale nie zrobiło mu się lepiej. Znow zaciśnęła palce tej drugiej, zdrowej ręki na jego kurtce. Na szczęście obok nich pojawił się ktoś jeszcze. Młody, postawny mężczyzna w wełnianej czapce.

— Co pani najlepszego wyprawia? — powiedział po polsku. To nie było pytanie, tylko wyrzut. Chwycił kobietę za ramiona i siłą posadził na ławce, a potem pochylił się nad Mykołą i pomógł mu wstać. W jego ręce, zupełnie niespodziewanie, pojawiła się strzykawka. — Bardzo pana przepraszam.

Mykoła nie czekał, aż los zgotuje mu kolejną niemiłą niespodziankę. Zaciśnął dłoń i z całej siły uderzył Polaka w podbródek, a potem, nie czekając, aż tamten się pozbiera, rzucił się do ucieczki. Nigdy w życiu nie biegł tak szybko. Odwrócił się dopiero dwie ulice dalej. Nikt go nie gonił. Działdowo znow sprawiało wrażenie miasta pogrążonego w głębokim śnie. Z nieba zaczął prószyć śnieg.

Było tak cicho i spokojnie... Tak, jakby nic się nie wydarzyło.

# 15.

Widok pustego łóżka na OIOM-ie budzi wiadome skojarzenia. Olga szybko cofnęła się do przeszklonego stanowiska pielęgniarek; wystraszony Dawid stał tam z taką miną, jakby sam miał zostać kandydatem na pacjenta.

— Tam nikogo nie ma — powiedziała do kobiety w białym kitlu.

— Widocznie zabrali go na tomografię.

— Wyjdzie z tego?

— Nie oberwał mocno, ale głowa to głowa. Przy takich urazach... wszystko jest możliwe. Napijcie się czegoś?

Olga pokręciła głową. Polecenie Agaty było jednoznaczne. Miała odnaleźć Słubickiego i strzec go jak źrenicy oka — nawet martwego. Na szczęście wszystko wskazywało na to, że jest żywy.

— Wolalabym pójść tam, gdzie robią mu tę tomografię.

— Jak pani chce. Ale nic mu tu nie grozi. Mamy ochronę.

Szpitalna ochrona nie była według Olgi kordonem, który powstrzymałby zdeterminowanego zabójcę. Istniało ryzyko, że będzie chciał dokończyć to, co zaczął. Poszła za pielęgniarką korytarzem, aż do drzwi, nad którymi widniał podświetlony napis: *nie wchodzić*. Nie zastosowała się do tej instrukcji. Pchnęła drzwi i — za szklaną przegrodą — zobaczyła leżącego nieruchomo Kacpra. Z jej perspektywy wyglądał jak trup.

— Żyje?

Siedząca w pomieszczeniu kobieta oderwała wzrok od monitora.

— Żyje. I ma się dobrze. Przed chwilą próbował żartować. Prosił, żebym ogoliła mu głowę... — Wcisnęła klawisz i spoziomowana sylwetka Słubickiego zaczęła znikać w mechanicznej paszczy tomografu. — To rzadka okazja, by zobaczyć, co siedzi w głowie facetowi. Jest pani zainteresowana?

Skinęła zapraszająco ręką. Olga obejrzała się za siebie, ale Dawid nie

dotarł. Przypomniała sobie, że gdy wchodzili do szpitala, wspominał coś o łazience. Szpitalne zapachy musiały przyprawić go o rozstrój żołądka.

— Jest przytomny?

— Jeszcze tak. Podaliśmy mu silne leki na uspokojenie, więc niewykluczone, że zaraz zaśnie. Twierdzi, że miał mnóstwo szczęścia. Uderzenie tylko prześlizgnęło się po głowie. Guz, trochę krwi... Wszystko wskazuje na to, że nic mu nie będzie. — Urwała i popatrzyła w ekran, na którym pojawił się zarys głowy z obrazem jej wnętrza. Po sekundzie gwałtownie zaczerpnęła powietrza. — Och, myliłam się.

— Znalazła pani coś złego?

— Znalazłam mózg. — Kobieta roześmiała się, po czym zaczęła przeproszać. — Proszę mi wybaczyć. Chodziłam z Kacprem do szkoły. Kiedy o niego chodzi, nie umiem się powstrzymać, by nie żartować.

— Niech pani jednak spróbuje — poprosiła Olga. Żart pani doktor bardzo podniósł jej ciśnienie. — Czy będzie można go przesłuchać?

— Myślę, że tak. Ale może gadać od rzeczy bardziej niż zazwyczaj... Dostał silny środek wyciszający.

— Pani chyba bardzo go lubi.

Lekarka zanotowała coś na kartce.

— Tak jak myślałam, wszystko jest okej. Teraz go lubię, ale jeszcze niedawno wieszalałam na nim psy, tak jak całe miasto.

— Czemu?

— Pani nie jest stąd, prawda? Syn Kacpra miał poważny wypadek, po którym wylądował na wózku. Zaraz potem Kacper narobił głupstw, a później zniknął. Myślałam, że po prostu zwiął przed odpowiedzialnością, ale ostatnio koleżanka uświadomiła mi, że to bez sensu.

— Dlaczego?

— To proste. Facet chodzi w ciuchach kupionych na wagę. Dziwne jak na kogoś, kto przez rok zarobił na platformie wiertniczej kilkadziesiąt tysięcy

euro. Albo i kilkaset. On nie uciekł, tylko wyjechał, by zarobić na leczenie syna.

Olga zrewidowała swą opinię, w myśl której Słubicki był beztroskim utracjuszem.

— Nie wiedziałam...

— Jego żona zarabia jakieś grosze w domu kultury, a jej partner otworzył warsztat i tkwi po uszy w kredytach. A dzieciak ma najlepszy sprzęt, najlepszą opiekę medyczną i płatną rehabilitację. — przerwała i znów coś zanotowała. Olga zajrzała jej przez ramię. Parametry w normie. — Trochę słabo, że tak po nim jadą na mieście, ale Kacper jest ostatnim człowiekiem, który przejmowałby się plotkami. Ma grubą skórę. Gorzej, że ktoś zaatakował go fizycznie...

— Mówił, kto mu to zrobił?

Lekarka pokręciła głową.

— Twierdził, że nic nie pamięta. Dziwne. Obrażenia nie uzasadniają częściowej amnezji, ale z drugiej strony...

— Głowa to głowa, tak?

— Zgadza się. Trzeba go obserwować. Zaraz odwieziemy go na OIOM.

Przewidywania lekarki, że po zażyciu środka wyciszającego Słubicki będzie oszołomiony, sprawdziły się w stu dziesięciu procentach. Olga widziała przez szybę, jak o własnych siłach zajmuje miejsce na mobilnym łóżku, ale gdy wyjechał na korytarz, oczy miał przymknięte, a klatka piersiowa unosiła mu się w regularnym rytmie.

— Śpi? — Olga odruchowo ściszyła głos do szeptu.

— Jeśli nie, to niewiele mu brakuje. — Lekarka musnęła palcami ciemne kędziory, a potem pomogła pielęgniarce przy transporcie. Olga chwyciła łóżko od drugiej strony, a gdy znaleźli się przy jego właściwym łóżku na OIOM-ie, ujęła go za szczupłe kostki. Lekarka uśmiechnęła się z wdzięcznością. — To na trzy. Raz, dwa...

Gdy Słubicki znalazł się w łóżku, usiadły po jego przeciwnych stronach.

Lekarka podłączyła pacjenta pod aparaturę, a Olga obejrzała w przydymionym świetle tę część jego twarzy, która była widoczna spod opatrunku. Kacper Słubicki był bardzo blady, co odejmowało mu lat.

— Wygląda jak licealista.

— W liceum był prawdziwą gwiazdą. Robił karierę w lokalnym klubie sportowym. Gdyby wystarczyło mu determinacji, zostałby zawodowym sportowcem. Ale on nigdy nie umiał rozpychać się łokciami. — Lekarka oderwała spojrzenie od twarzy Kacpra i skupiła wzrok na Oldze. — Mam nadzieję, że wreszcie go złapiecie, bo jak na razie... kiepsko to wam wychodzi.

Przytyk był zaskakujący, lecz Olga wykazała się refleksem.

— Od napaści minęło kilkadziesiąt minut.

— Nie mówię o tej napaści. Przecież wszyscy wiedzą, że polujecie na seryjnego zabójcę.

— Tak? — Olga udała zdziwienie. — Widocznie o czymś nie wiem.

— Widocznie nie — burknęła lekarka. — Niech pani popyta kolegów. Najlepiej tych, którzy przychodzili tu z ankietą. Jak to szło? *Wymień przypadki interwencji medycznych dokonanych na ofiarach zdarzeń, do których doszło w obrębie terenów kolejowych, ze szczególnym uwzględnieniem pociągów...* Czy jakoś tak.

Olga przypomniała sobie swoją rozmowę z nieco już wtedy podpita Agatą. Dowiedziała się wówczas, że do wszystkich ośrodków opieki medycznej wpłynęło zapytanie o ofiary przemocy w pociągach. Działdowo nie było tu wyjątkiem.

— I jakie były wyniki tej ankiety?

— Negatywne. W ciągu ostatnich miesięcy udzieliliśmy pomocy medycznej tylko jednemu pasażerowi. Była to reanimacja ofiary zawału serca. Wcześniej też nie działo się wiele. Zeszłej zimy mieliśmy otwarte złamanie nogi na śliskim peronie, a na jesieni zeszłego roku — obrażenia wewnętrzne po upadku ze schodów, niestety śmiertelne. Wszystko to przypadki samoistne.

Porządnej bójkі nie było od prawie trzech lat, co skłania do twierdzenia, że kolej to jednak względnie bezpieczne miejsce...

Lekarka urwała i przez chwilę wpatrywała się w odczyty na ekranie. Tętno Kacpra skoczyło do sześćdziesięciu pięciu — wcześniej oscyloowało wokół pięćdziesiątki.

— Kto wezwał do Kacpra pogotowie?

— Zgłoszenie było anonimowe. Początkowo dyspozytor podejrzewał głupi dowcip, bo osoba dzwoniąca odmówiła podania swojego imienia i nazwiska. To była kobieta, z akcentem... — głos lekarki stał się miękki, jakby przepraszający — z podobnym akcentem, co pani.

Przez Polskę w ciągu ostatnich trzydziestu lat przewinęło się kilka milionów Ukraińców, lecz Olga w pierwszej chwili pomyślała o jednym, a konkretniej — jednej. O partnerce Dariusza Arkanowicza ze studniówki w technikum kolejowym.

— Skąd dzwoniła?

— Z miejsca zdarzenia. — Centrum zgłoszeniowe pogotowia ratunkowego dysponowało systemem namierzania telefonów na wypadek niemożności dostatecznego porozumienia się z osobą zgłaszającą wypadek. — Słubicki nie był w stanie określić, kto wezwał pomoc. Zarzekał się jedynie, że to nie on.

Tętno Kacpra podskoczyło o kilka jednostek, wciąż było jednak względnie wolne. Olga wiedziała, że wolne bicie serca jest charakterystyczne dla osób uprawiających sport. Jej nikt nie wziąłby za sportowca. Serce waliło jej jak oszalałe nawet wtedy, gdy była spokojna.

— Dowcipniś — skwitowała, a potem pozwoliła sobie na złośliwość: — Ciekawe, czy będzie taki wesoły na własnym pogrzebie.

Wskazanie tętna jeszcze wzrosło. Tym razem do pełnej osiemdziesiątki. Gdy zaniepokojona lekarka złapała pacjenta za nadgarstek, nieoczekiwanie otworzył oczy.

— Nie zamierzam się tam pojawiać — oznajmił. Przeciągał sylaby w taki sposób jak ludzie, którzy są na rauszu. — Nie lubię pogrzebów.

— Jak się czujesz? — spytała lekarka. Jej palce jeszcze przez chwilę badały puls. Potem, chyba uspokojona, cofnęła dłoń. — Od dawna podsłuchujesz?

— Nie podsłuchiwałem — zaprzeczył Słubicki, usiłując skupić wzrok na młodej twarzy lekarki. Potem odwrócił się do Olgi. — No dobrze, może trochę.

— Panie Kacprze... — chciała mu przekazać, by oszczędzał siły, bo mówił jak ktoś, kto walczy, by nie odpłynąć.

— Zna pani Gienka... Eugeniusza Kossakowskiego?

— Ze słyszenia — odparła, powstrzymując się od dodania, że połowa miejscowej policji jest zaangażowana w poszukiwanie jego żony. — Co z nim?

— Teraz już nic — wybełkotał Słubicki. — Ale jeśli się nie mylę, to ankieta nie była dokładna.

— Jaka ankieta?

Przeniósł wzrok z powrotem na lekarkę. Olga nagle skojarzyła, że gdy rozmawiała z nią o pytaniach od policji, Słubickiemu skoczyło tętno.

— Kossakowski zgłosił się do was z urazem. — Słubicki wstrząsnął głową, jakby chciał ją pobudzić do myślenia. A potem syknął z bólu. — To było jakoś w lecie. W lipcu lub sierpniu.

Lekarka popatrzyła na niego tak, jakby rozważała, czy nie powtórzyć badania tomografem.

— Ale co to ma wspólnego...

— Obrażenia Kossakowskiego były efektem pobicia. W pociągu.

Lekarka podniosła się ze stołka.

— Jeśli obiecasz, że nie dostaniesz zapaści, to spróbuję poszukać jego dokumentacji. Przy okazji mogę kogoś zawiadomić. Czy życzysz sobie zobaczyć swoją uroczą Manuele?

Odsłoniła w uśmiechu białe zęby. Sam uśmiech był nieco złośliwy, ale intencje dobre, a ona — przesympatyczna. Słubicki odebrał to inaczej. Zrobił taką minę, jakby chciał się przeżegnać.

— Manułę? A po co? Po co ją budzić?

— Docierają do mnie plotki, z których wynika, że nie miałyby nic przeciwko temu.

— Nie, daj jej spokój. Nie chcę nikogo. Nikogo, chociaż... Nie. Jednak kogoś chcę.

— Kogo? — Lekarka wyglądała na zdziwioną, ale to było tylko preludium.

— Zadzwoń po Ewkę.

Lekarka skwitowała prośbę Słubickiego dobitnym „to niesłychane”, po czym przepadła w spowijającym OIOM półmroku. Zostali sami — inni pacjenci leżeli w przeciwnym końcu otwartej przestrzeni, za stanowiskiem pielęgniarek, a Dawid wciąż nie wrócił z toalety. Olga zaczynała się o niego niepokoić, ale nie do tego stopnia, by wszczynać alarm. Słubicki zachowywał się jak po kilku głębszych. Szczerzył się do niej tak długo, aż odpowiedziała mu uśmiechem.

— Pani też myśli, że to dziwne, co?

— Żeby tak myśleć, musiałabym wiedzieć, kim jest Manuela, a kim Ewka.

— Ewka to moja była żona, a Manuela...

— Jeśli czuje się pan na siłach, to wolałabym pogadać o czymś innym.

— Manuela to moja dziewczyna. To znaczy... Chyba nią jest. Poprosiłem pani kolegów, żeby mieli na nią oko. Tak na wszelki wypadek.

Słubicki bredził jak w gorączce, ale jego ostatnie słowa wydały się Oldze zastanawiające.

— Podejrzewa pan, że to mogła być Manuela? — Kacper wybałuszył na nią oczy. — To Manuela uderzyła pana w głowę?

Opadł na poduszkę. Myślała, że stracił siły, okazało się jednak, że powodem tej słabości było niedowierzenie.

— Ona miałyby mnie uderzyć? Dziewczyno... Oprzytomnij! Ona może być kolejnym celem! Kolejną ofiarą! Wie tyle samo, co ja, a może nawet jeszcze więcej...



Olga uznała, że rozmowa z Manuelą powinna znaleźć się na czele listy priorytetów. Nie chodziło nawet o to, że wie więcej niż Kacper. Liczyła się forma przekazu. Kacper bredził. Trudno było zrozumieć, o co mu chodzi.

Jedyne, co pozostało, to zdać się na instynkt.

— Kogo pan poprosił o ochronę dla Manuli? — spytała, przerywając jego monolog.

Ścisnął skronie, a potem jęknął. Jęknięcie zbiegło się w czasie z nadejściem pielęgniarki zaniepokojonej jego wcześniejszymi krzykami.

— Wszystko okej. — Grymas bólu na jego twarzy świadczył o czymś przeciwnym, ale postanowiła uwierzyć mu na słowo. — Razem z pogotowiem przyjechał radiowóz. Policjant obiecał, że przekaze tę prośbę dalej. I powiedział, żebym się nie przejmował.

— Jak wtedy wyglądałeś? — Naiwność Słubickiego wymykała się klasyfikacji. Był niczym dziecko we mgle i tak trzeba było z nim rozmawiać. Jak z dzieckiem. — Leżałeś na noszach i ciekła z ciebie krew, tak?

— Mniej więcej. Wkładali mnie do karetki...

— Co twoim zdaniem miał ci powiedzieć ten policjant? Żebyś nie zawracał mu głowy?

Trochę to trwało, ale w końcu załapał.

— Nie przekazał mojej prośby do centrali, tak?

— Do jakiej centrali? Nieważne... Tak, nie przekazał. Twoja Manuela, której nie chcesz narażać, jest bezbronna. Jeśli chcesz, żebyśmy jej pomogli, to musisz mi powiedzieć wszystko, co wiesz. Po kolei. Może być w punktach.

Znów jęknął i dotknął sterczących spod bandaża włosów. Olga pomyślała, że przeholowała, ale jakoś się pozbierał. Instynkt jej nie zawiódł — tajemnicza Manuela, której nie chciał tu widzieć, była dla niego kimś cholernie ważnym.

— Już ci powiedziałem. — Również zrezygnował z formy pani. Tak było prościej. — Powiedziałem ci o Gienku Kossakowskim. Oberwał w pociągu. Chyba dość poważnie, bo niedługo później próbował się powiesić w szatni.

— W szatni? — nie wytrzymała, chociaż była to wiedza z gatunku tych najmniej istotnych.

— W szkolnej szatni. W tej, w której przebiera się mój syn. Wiesz, dlaczego oberwał? Bo zwrócił uwagę jakimś typom, którzy siedzieli bez maseczek.

— No i co z tego? — zdziwiła się Olga, a Kacper wyraźnie się stropił. — Jaki to ma związek z tym, że dostałeś po głowie?

Uniósł się do pozycji siedzącej, ale to chyba nie był dobry pomysł, bo chwilę później znów zaległ na poduszce.

— Myślałem, że się tym interesujecie. Pytaliście o niego. — Uniósł rękę i wycelował palcem w półmrok ponad jej ramieniem. Palec drżał jak u pijaka. — Ona pytała.

Olga odwróciła głowę i dostrzegła za sobą Agatę. Policjantka najpierw przez chwilę studiowała dane na monitorze przy łóżku, a dopiero potem spojrzała na Kacpra.

— Wywinął się pan śmierci spod topora... Albo i nie. Co tam dokładnie się stało?

Kacper jęknął i przewrócił oczami.

— Już to mówiłem pani kolegom. I pięknej pani chyba też. — Uśmiechnął się przymilnie, zezując na Olgę. Zrozumiała, że to ona jest tą piękną panią. — Nie pamiętam. Mam czarną dziurę. Szedłem sobie przez park i nagle... Po prostu zrobiło się ciemno.

— Może pan zasłabł i uderzył się w głowę? — Słubicki zamilkł, jakby rzeczywiście się nad tym zastanawiał. — Czy cierpi pan na zawroty głowy? A może ma pan jakąś inną przypadłość? Na przykład nie lubi pan mówić prawdy?

— Mówię prawdę. — Był chyba silniejszy, niż wynikałoby to z jego wcześniejszego zachowania, bo niespodziewanie wstał i odłączył pulsoksymetr. A potem, niczym grzesznik przy Ścianie Płaczu, opadł na

kolana. — Błagam, zajmijcie się Manułą. Odpowiemy na każde pytanie, ale poślijcie kogoś...

— Posłaliśmy. Pod jej domem stoi radiowóz. Chłopcy zajrzeli nawet przez okno. Pani Manuela... — Agata, sprawiając wrażenie niewzruszonej jego manifestacją, zerknęła na kartkę — położyła spać swoją siostrę Anielę, a potem położyła się sama. Jak będzie po wszystkim, niech pan jej powie, żeby zasuwiała żaluzje...

Słubicki uczynił taki gest, jakby chciał cmoknąć ją w kolano, ale ostatecznie poprzestał na pełnym wdzięczności „dziękuję!”, po czym wstał i z ciężkim westchnieniem rzucił się na łóżko. Olga była zła. Agata, informując go o podjętych na jego wniosek działaniach, pozbawiła ich stronę elementu przewagi. Teraz Słubicki, zamiast odpowiadać na pytania, mógł po prostu stwierdzić, że jest zbyt zmęczony, by mówić. Teatralne ziewnięcie wyglądało na wstęp do takiego zamknięcia tematu.

— Czyli co to było? Cios czy zasłabnięcie?

— Gdyby to było zasłabnięcie, to czy prosiłbym o ochronę dla Manuli?

— Brawo. — Agata popatrzyła na niego jak surowa nauczycielka na trójkowego ucznia. — Pierwszy test na prawdomówność zaliczony. Teraz będzie drugi: czy widział pan napastnika?

— Nie widziałem. — Agata otworzyła usta, ale zanim zdążyła na niego huknąć, odezwał się ponownie: — Słyszałem coś. Kroki, a potem świst.

— Świst?

— Jakby ktoś zamachnął się czymś ciężkim.

— Czym?

Przez chwilę milczał. Agata dyszała nad nim jak bulterier.

— Na pewno nie była to łyżka do opon. Coś cięższego. Dużo cięższego. Młot kamieniarski, a może kiścień.

Olga wiedziała, że każde zbędne słowo mogło zakłócić klimat przesłuchania, burząc ewentualną taktykę. Dlatego zamiast zapytać, wklepała

obce słowo w wyszukiwarce. Okazało się, że kiścień to rodzaj broni obuchowej używanej w średniowieczu. Kolczasta kula ze stali, na łańcuchu.

— Test numer dwa również zaliczony — powiedziała tymczasem Agata. — Według osoby zgłaszającej został pan uderzony ciężkim narzędziem. Niestety zamiast dostarczyć nam większej ilości szczegółów, osoba ta postanowiła się rozłączyć. Z jej słów wynika, że była świadkiem tego, co się stało. Panie Kacprze, czy ma pan pojęcie, kto to mógł być?

— Było ciemno. Szedłem od Zamku... Nikogo nie widziałem. Ani osoby, która mnie uderzyła, ani świadka. Nikogo. Naprawdę.

— Ale ma pan świadomość, że dla napastnika prawdopodobnie to nie był pierwszy raz?

— Inaczej nie obawiałbym się o Manuele...

— Słuchaj, chłopasiu. Skup się, bo jeśli tego nie zrobisz, to wcale nie piękna Manuela będzie potrzebować ochrony. Tylko ty! — Agata złapała Słubickiego za szpitalną koszulę i szarpnęła tak mocno, że rozległ się odgłos prucia. Pacjent był kompletnie zaskoczony. — Co takiego zrobiłeś, że wybrał akurat ciebie?! Myśl, do cholery! Myśl!

— Myślę, tylko... Trochę mi słabo. — Słubicki zerknął w kierunku stanowiska dla pielęgniarek, ale odsiecz nie nadeszła. Widocznie pielęgniarka nie miała ochoty na konfrontację z rozwścieczoną Agatą. — Razem z Manuellą trochę przy tym grzebaliśmy...

— Przy czym?!

— Ofiarą był jej tata. Już to wam mówiłem... Wybraliśmy się w kilka miejsc, zadawaliśmy pytania... Przepraszam, ale... Robi mi się ciemno.

Słubicki opadł na poduszki. Rzeczywiście wyglądał słabo. Pielęgniarka, która podglądała tę scenę przez szybę, pokonała wewnętrzne opory i wyrosła tuż obok jak spod ziemi.

— Proszę natychmiast przestać. Wzywam lekarza.

Lekarka pojawiła się kilkadziesiąt sekund później. Najpierw nałożyła

Słubickiemu pulsoksymetr, a potem kazała wszystkim odejść i przez chwilę go badała.

— Przykro mi, ale Kacper chwilowo będzie niedostępny — poinformowała, zwracając się bardziej do Olgi niż do Agaty. — Potrzebuje spokoju i odpoczynku. Normalna rozmowa nie powinna mu zaszkodzić, ale mówi, że wzięły go panie w krzyżowy ogień pytań...

— Tak mówi?!

— Trochę rozregulowały mu się parametry... Niech pani tam nie idzie. — W głosie lekarki pojawiły się stalowe nuty. Agata, z wyraźną niechęcią, zatrzymała się w połowie drogi do łóżka. Jej szeroko otwarte oczy zdawały się miotać błyskawice. Mam dla was lekturę, na uspokojenie. Dokumentację Eugeniusza Kossakowskiego. Kacper miał rację. Udzieliliśmy mu pomocy w trybie ambulatoryjnym. Dwunastego sierpnia tego roku.

Olga wyciągnęła rękę, ale Agata była szybsza. Dokumentacja Kossakowskiego znajdowała się w brązowej kopercie — rozdarła ją, wyciągając kilka kartek. Olga doskonale rozumiała pośpiech. Być może powodem był młody wiek, a być może — późna pora... W każdym razie lekarka zdawała się nie pamiętać, że wszelkie dane o leczeniu objęte są tajemnicą lekarską, a zgodę na ich udostępnienie musi wydać sąd.

— Karta wywiadu lekarskiego — odczytała, wyteżając wzrok w kiepskim świetle. — Przerwany łuk brwiowy, otarcie skóry w okolicach podbródka, ból w okolicy obręczy barkowej, naderwana małżowina uszna...

— Tutaj. — Agata wskazała na rubrykę zatytułowaną *uwagi dodatkowe*. Pismo było niewyraźne, a litery małe — dokonujący wpisu chciał się zmieścić między liniami. — Według relacji pacjenta obrażenia powstały... w wyniku napaści z udziałem trójki mężczyzn.

— Trójki. — Głos Olgi lekko drżał. Nie umiała nad tym zapanować. — Ani słowa o pociągu, ale...

Popatrzyły na siebie, bo nagle wszystko stało się jasne. Trójka brutalnych mężczyzn. Marcel Zieliński, Zbigniew de Wayher i Wasyl Zajcew... Agata

przerwała ten kontakt wzrokowy pierwsza. Przejrzała pozostałe elementy dokumentacji, a potem oddała plik czekającej obok lekarce. Ta miała niepewną minę.

— Zastanawiam się...

— Wiem. Ale dobrze pani zrobiła, że nam to pokazała. Jutro wrócimy z postanowieniem sądu i zapoznamy się z tym oficjalnie, a dziś w nocy... — Uśmiechnęła się diabolicznie, a potem dodała tak cicho, że usłyszeć ją mogła tylko Olga: — Dziś w nocy zatrzymamy zabójcę.

Bojko chciałaby mieć tyle pewności, co starsza koleżanka. Janina Kossakowska, żona Eugeniusza, którą podejrzewały o zemstę na prześladowcach małżonka, ukrywała się przed policją już prawie pełną dobę. Ale wątpliwości Olgi miały także drugie i trzecie dno. Kossakowska dobiegała pięćdziesiątki. Skąd miałyby tyle siły? No i dlaczego postanowiła zaatakować Kacpra?

Myśli Agaty musiały biec tym samym torem, bo kiedy lekarka — wciąż pełna wątpliwości, czy zachowała się właściwie — zniknęła w labiryncie szpitalnych korytarzy, trąciła Olgę, ruchem głowy wskazując na leżącego nieruchomo Słubickiego.

— Spytaj go, czy wie, gdzie się ukryła.

— Kto? Janina Kossakowska?

— Nie, święta Łucja... Zrobiłabym to sama, ale na mój widok zaraz skoczy mu ciśnienie. A poza tym nie ufam mu.

— Dlaczego?

— Instynkt, przeczucie... Nazwij to, jak chcesz. On nie jest z nami szczerzy i wie, że ja to wiem. Potrzebujemy dobrego policjanta. Jedziesz, młoda.

Olga podeszła po cichu do łóżka. Sądziła, że będzie musiała obudzić Kacpra, ale nie spał — chociaż bardzo chciał, by tak myślała. Zaciskał powieki tak mocno jak małe dziecko, któremu rodzice kazali natychmiast zasnąć. Bez większych ceregieli poklepała go po ramieniu.

— Wyspałeś się? — spytała, omal nie dławiąc się własnym sarkazmem.

Usiadła na łóżku i przez chwilę obserwowała, jak pozoruje wybudzanie się ze snu. Agata miała rację. Słubicki rzeczywiście coś ukrywał. — Toś ty taki?

— Jaki?

Zrezygnowała z roli dobrej policjantki. Ta taktyka miała wadę — nie działała na cwaniaków.

— Gdzie jest Janina Kossakowska? — Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby nie bardzo wiedział, o kogo chodzi. — Mam czas. Nie spiesz się. Mogę stać tu nad tobą całą noc.

— Pochodzisz z Ukrainy?

— Tak. Jak chcesz, to możemy pogadać o moim dzieciństwie, ale potem i tak zapytam cię o Kossakowską...

— To na pewno nie była pani Janka...

— Taki jesteś pewny? Skąd wiesz, skoro jej nie widziałeś?

Stropił się, ale tylko na chwilę.

— To schorowana kobieta z nadwagą.

— Gdzie jest? — Wzruszył ramionami. — Dlaczego tak ją kryjesz? Kim ona dla ciebie jest? Ma na ciebie jakieś kwity czy co?

— Nie kryję jej.

— Skoro jest taka niewinna, to czemu uciekła?

Kacper podrapał się po włosach. Kto wie, czy nie zawdzięczał im życia. Nie dlatego, że stłumiły siłę ciosu, bo to było niemożliwe. Po prostu powiększały obrys jego głowy. W ciemności te kilka dodatkowych centymetrów mogło decydować o życiu i śmierci.

— Pani Janka... mogła mieć coś wspólnego z tą cholerną łyżką do opon. Ma prawo, żeby nie lubić mojego... następcy.

Kacper wyraził się nieprecyzyjnie, lecz Olga bez trudu się domyśliła, że chodzi o Tomka. Wysłuchiła urywanej relacji o córce Kossakowskich i jej nieślubnym dziecku, a potem wycofała się do siedzącej w półmroku Agaty.

— To rzeczywiście może tłumaczyć jej ucieczkę. Może rzeczywiście tylko podrzuciła tę łychę. Sprząta pociągi, więc to dla niej żaden problem...

— Nie myśl teraz o Kossakowskiej. Zostaw to mnie.

— Czy coś się stało?

Agata schowała telefon. Na jej twarzy malowała się podejrzliwość.

— W zasadzie to nie, ale... Mam wrażenie, że w tej sprawie wszystko układa się pod ciebie.

Olga nie wiedziała, czy ma się oburzyć, czy przeciwnie — podziękować. Wybrała rozwiązanie pośrednie.

— Możesz rozwinąć?

— Proszę. Posłuchaj sama.

Podła jej telefon i podłączone do niego słuchawki. Olga, po krótkim wahaniu, wetknęła jedną do ucha. Przez chwilę nic się nie działo, a potem ze słuchawki popłynęły głosy. Jeden spokojny i zrównoważony, a drugi rozhisteryzowany. Oba damskie.

— To zgłoszenie ataku na Słubickiego — stwierdziła Olga, robiąc wielkie oczy. Przez następne dwadzieścia sekund, aż do końca nagrania, nie odezwała się ani słowem, a potem... — Przecież to Ukrainka.

— Jesteś pewna, że na przykład nie Rosjanka?

— Prawie. — Nie czekając na polecenie, wróciła do Słubickiego i zadała mu kolejne pytanie: — Czy utrzymujesz kontakty z obywatelami Ukrainy?

Być może źle go oceniła. Sądziła, że się ze sobą pieści, ale teraz rzeczywiście wyglądał na oszołomionego.

— Tylko z tobą — odparł, posyłając jej namiastkę uśmiechu. — Przysięgam, nie znam stamtąd nikogo oprócz ciebie.

Nie pozostało jej nic innego, tylko wzruszyć ramionami. Jeśli mówił prawdę — tkwili w martwym punkcie. A jeśli kłamał, to i tak nie mieli środków, by wyciągnąć z niego prawdę. Przesłuchania trzeciego stopnia były prawnie zakazane — nawet w sprawach o zabójstwo.

— No dobra...

— Zaczekaj! — zawołał.

Olga obróciła się na pięcie. Ton jego głosu przywołał także Agatę, która



usiadła po przeciwnej stronie łóżka. Przez chwilę spoglądał to na jedną, to na drugą, niczym kibic podczas meczu tenisa. Agata od razu przejęła inicjatywę.

— Chce pan nam powiedzieć coś o Kossakowskiej?

— Nie. Ale mam dla was jedną Ukrainkę...

## 16.

Gdy wreszcie dały mi spokój, byłem wyczerpany niczym po przebiegnięciu maratonu. Dwie bezwzględne harpie — jedna agresywniejsza od drugiej. Chciały wiedzieć wszystko. Poznać każdy szczegół. Dały mi spokój dopiero po interwencji Kaśki... i to nie na długo.

— Wiesz, gdzie jest Janina Kossakowska?

Teraz i ta starsza mówiła mi po imieniu. Jakoś nie miałem śmiałości odpowiedzieć jej tym samym.

— Mówiłem już pani. Nie mam pojęcia.

— A jej mąż?

Moje myśli pomknęły na strych, do Eugeniusza. Pani Janka mówiła mi, że potrafi tam spędzić nawet dwa dni.

— Też nie wiem — skłamałem.

Nie chciałem ułatwiać im zadania. Miałem nadzieję, że uda mi się dopaść panią Jankę przed policją. To była sprawa osobista. Na samą myśl aż mnie skręcało.

— Jemu chyba naprawdę jest gorzej.

— Gdyby nie fryzura, byłoby po nim.

Mówiły o mnie tak, jakby mnie tam nie było. Nie miałem o to pretensji. Zależało mi tylko na jednym. Żeby już sobie poszły.

— Oksana Awdiejewa — wymamrotałem, chcąc przypomnieć im nazwisko, od którego zaczęła się ta ich niezdrowa ekscytacja.

— Spokojnie, zapisałam.

— Pochodzi ze Lwowa, tak jak ty...

— I osiemset tysięcy innych ludzi.

Młodsza z policjantek bywała złośliwa, ale przynajmniej się nade mną nie

pastwiła. Pod służbową skorupą można było wyczuć empatię. Co innego starsza. Ta była zimną suką.

— Skup się! Dlaczego kryjesz Kossakowską?

Przymknąłem oczy, bo to był jedyny sposób, by dała mi spokój. Wcale nie udawałem. Naprawdę miałem już dosyć. Przestrzeń nad okiem wysyłała takie sygnały, jakby pod bandażem zamiast opatrunku znajdowały się raniące ciało pinezki. Nie oberwałem mocno, ale odkąd minął pierwszy szok, bolało jak wszyscy diabli.

— Powiedziałem wszystko, co wiem — wymamrotałem.

To stwierdzenie nie było w stu procentach prawdziwe, ale w moim stanie nie można mnie było łapać za słówka.

— Chcemy jeszcze wiedzieć, gdzie jest Janina.

— A kto by nie chciał?

Opowiedziałem im wszystko to, czego dowiedzieliśmy się z Manułą. Nie zataiłem nawet jednego szczegółu. Byłem pewien, że zarówno stary dziennikarz z Maróza, jak i emerytowany dyrektor z Waplewa będą mieli rano niezapowiedziane wizyty. Miałem to gdzieś. Zależało mi na bezpieczeństwie Manuli. To był mój absolutny priorytet, a to, co powiedziałem, działało na rzecz jej ochrony. Po mojej relacji stało się jasne, że skoro zabójca próbował załatwić mnie, to mógł zaatakować również Manułę.

— Gdzie jest pani Janina?

— Kobieto, co ja ci zrobiłem...?

Liczyłem na to, że w końcu tego doczekam. Słowa Kasi, mojej koleżanki z liceum, która pełniła dziś dyżur na

OIOM-ie, zabrzmiały w moich uszach niczym najcudowniejsza muzyka:

— Zostawcie go już. Nalegam.

— Jeszcze pięć minut...

— Nie. Proszę odejść od łóżka pacjenta, bo...

Zawahała się. Jak na lekarzkę miała poważne deficyty pewności siebie. Postanowiłem jej pomóc — tak, jak umiałem.

— Powiedz, że jeśli nie posłuchają, to wezwiesz policję.

Mój żart nie wywołał u nikogo wesołości, ale nie taki był cel. Ważne, że wreszcie się zabrały. Zapadła cisza tak błoga, że w innych okolicznościach zasnąłbym jak dziecko. Nie trwała jednak długo.

— Wkurzyły cię, co?

Uchyliłem oko i zobaczyłem, że wpatruje się w tablicę z odczytem moich funkcji życiowych. Odnalazłem cyfry określające puls. Sto cztery. Serce waliło mi jak oszalałe — za każdym razem, gdy choć przez chwilę myślałem o pani Janinie.

— Poszły?

— Tak. — Uśmiechnęła się konspiracyjnie. — Dam ci coś na sen. Gdy wrócą, będą mogły co najwyżej posłuchać, jak chrapiesz.

Kiedyś ciągałem ją za warkocze, a teraz była wszechmocną panią doktor. A przecież wcale nie minęło tak wiele czasu.

— Zawiadomiłaś Ewkę?

— Oddzwoniła dopiero przed chwilą. — Podała mi tabletkę. Posłusznie włożyłem ją do ust. — Już tu jedzie. Przez telefon sprawiała wrażenie cholernie przejętej, ale... Czy na pewno nie zawiadamiać Manueli?

Po raz kolejny odmówiłem. W mieszkaniu była bezpieczna, a poza tym... słabo ją znałem. Nie wiedziałem, jak zareaguje, a to nie był czas na nieprzemyślane zachowania. Wszystko należało rozgrywać na zimno.

— Ty też jesteś zła, prawda? — strzeliłem, chociaż jej skrzywiona twarz mogła być naturalną częścią składową każdego nocnego dyżuru.

— A żebyś wiedział. Zaskoczyły mnie. Nie powinnam była mówić im o wypadku pana Gienka. A tym bardziej pokazywać dokumentacji. Jeśli to wypłynie... mogę mieć problemy z izbą lekarską.

— Nie wypłynie.

Zza okna dobiegło pischczenie opon. Miałem nadzieję, że to Ewka. Zawsze jeździła jak wariatka.

— Mam nadzieję. Gadałam z koleżanką, która ich przyjmowała.

— Ich?

— Pan Gienek nie był sam. Przyproceedził go ten kolejarz, który zginął.

— Jacek Twardygroisz? — Potwierdziła, a potem pokręciła głową. — Nie przekażę tego policji. Nie wcześniej niż wrócą z postanowieniem sądu o zwolnieniu z tajemnicy lekarskiej. Zresztą... przecież i tak go nie przesłuchają. Ani jego, ani tej małej.

Przez chwilę trwałem w milczeniu, bo to, co usłyszałem, zmroziło mi krew.

— Tej małej, czyli... Anielki?

— Nie znam jej imienia. To była córka tego kolejarza... Niepełnosprawna. — Nagle dotknęła dłonią ust. — Zaraz, zaraz... Czy twoja Manuela nie ma czasem niepełnosprawnej siostry?

Gdy skończyłem jej wyjaśniać powiązania rodzinne Twardygroiszów, musnęła moje czoło.

— Masz gorączkę.

— Nie czuję — skłamałem.

Prawda była taka, że cały płonąłem. Okazało się, że klucz do rozwiązania sprawy pobicia Gienka trzymała w swoich dłoniach Anielka. Czy była bezpieczna? Nie mogłem mieć pewności. Nie miałem też pomysłu, jak to zrobić. Jak wydobyć prawdę od dziewczyny, która umiała wypowiedzieć tylko jedno zdanie.

„Proszę założyć maseczkę”.

Kaśka była zaskoczona, bo kiedy na OIOM weszła Ewka, znalazłem dość siły, by wstać.

— Dałam ci dawkę, która uspiłaby konia.

Wróciłem pod kołdrę. Szpitalne koszule mają to do siebie, że nawet supermodel wygląda w nich jak ostatnia sierota. Moja była żona sprawiała wrażenie przejętej. Podbiegła do Kaśki, a gdy usłyszała od niej, że będę żył, mocno ją przytuliła.

— Puść... I włóż maseczkę, bo mnie wywałą.

Kaśka musiała mieć jakieś niejasne podejrzenia co do charakteru naszych stosunków, a żywiołowa reakcja Ewki tylko ją w tym utwierdziła. Na chwilę zniknęła, a potem wróciła — pchając przed sobą przenośny parawan. Nagle przy moim łóżku zrobiło się zacisznie, przytulnie, a nawet intymnie. Żałowałem, że nie wpadła na ten pomysł wcześniej i nie odgrodziła mnie od policjantek.

— W co ty się wpakowałeś?

— Chciałbym to wiedzieć — odparłem niejasno. Ewka cmoknęła mnie w czoło. Pocałunek był bardzo matczyzny. — Będę miał do ciebie gorącą prośbę, ale najpierw... opowiedz mi, co się działo w Zamku po tym, jak poszedłem. Kto został, a kogo już nie było?

Wiedziałem, że policja pozyska te dane z monitoringu. Działanie objęte było nadzorem kamer, a przynajmniej taką informację umieszczono przy wejściu. Wierzyłem jednak, że Ewka będzie skuteczniejsza od najlepszego monitoringu. Miała analityczny umysł i była cholernie spostrzegawcza, co udowodniła już w pierwszym zdaniu:

— Nieźle się zabawiałeś.

— Nikomu od tego nie ubyło — zauważyłem, a potem ścisnąłem jej dłoń. Pod wpływem mojego uścisku oderwała wzrok od cyfr określających moje czynności życiowe. Cokolwiek by mówić o naszych stosunkach, jedno widać było czarno na białym. Miała dobry wpływ na moje serce. Tętno znów spadło do leniwej siedemdziesiątki. — Zaraz potem wyszedłem. Czy w pomieszczeniach domu kultury został ktoś jeszcze oprócz ciebie?

Wiedziałem, że do jej obowiązków należało także sprzątanie po imprezach. Zwykle nikt jej nie pomagał. Szefowa co najwyżej ją nadzorowała, a druga pracownica przebywała na długotrwałym zwolnieniu.

— Byłam sama... Przez chwilę. Potem zjawił się jakiś obcy facet. To znaczy... Niezupełnie obcy. Przedstawił się.

Ze zdziwieniem wysłuchałem opowieści o człowieku, który poprzedniego dnia odwiedził Gienka. Wtedy podawał się za dziennikarza, a teraz — za

pracownika urzędu miasta w Nowym Mieście Lubawskim. Zgadzało się tylko imię i nazwisko. Olgierd Zaniewski. Byłem na siebie zły, bo nie wspomniałem o nim policjantkom. Nie było w tym premedytacji, tylko roztargnienie, ale wiedziałem, że kiedy przyjdzie co do czego, będę się musiał tłumaczyć.

— Czego chciał ten twój Olgierd?

— A jaki tam mój — zachnęła się. — Interesował się funkcjonowaniem domu kultury. I organizacją takich eventów.

— Nie obraż się, ale czemu rozmawiał z tobą, a nie z twoją szefową?

— Z mamusią Manueli, tak? — Odśloniła zęby w złośliwym uśmiechu. — Widziałam, jak sobie ćwierkaliście... Uważaj na nią. To suka.

Domyśliłem się, że mówi o matce, a nie córce, a jeśli nawet nie... to i tak nie miało znaczenia.

— Czemu nie rozmawiał z panią Elżbietą?

— Rozmawiał, tylko wcześniej. Widocznie nie dowiedział się wszystkiego, czego chciał... — Delikatnie uniosła mi głowę i poprawiła poduszkę. — To twój znajomy z boiska. Wspominał, że grał z tobą w piłkę.

— Ze mną czy przeciwko mnie? — Powiedziała, że przeciwko, więc pozostało mi tylko wzruszenie ramion. Rozegrałem w życiu wiele meczów. Liczba moich rywali sięgała setek, a może nawet tysięcy osób. — Sprawdziłaś go jakoś? — Uniosła brew. — Pokazał ci jakąś legitymację? Dowód osobisty? Pełnomocnictwo? Cokolwiek?

— Najpierw pomagał mi sprzątać, a potem piliśmy kawę. Miałam go wylegitymować? Dlatego, że wspomniał o tobie? Bądź poważny. — Przewróciła oczami. — On interesował się sportem. Usłyszał moje nazwisko i widocznie skojarzył je z tobą...

— Interesował się sportem? W jakim sensie?

Podobnie jak wcześniej Kasia, ona też położyła mi dłoń na czole. W jej głosie pojawiła się troska.

— Na pewno dobrze się czujesz?

— Powiedzmy, że średnio...

— Bo bredzisz jak potłuczony — westchnęła. — Po prostu oglądał wystawę. Historia lekkoatletyki w naszym mieście. Gdybyś nie był tak zajęty... czymś przyjemniejszym, też byś ją zauważył. Przygotowywałam ją przez kilka dni, razem z tym twoim prezesem Głazewskim. Na zlecenie twojej własnej teściowej.

Nie chciałem, żeby używała takich określeń. Teściowa... To brzmiało strasznie. Być może byłem uprzedzony, ale matka Ewy naprawdę dała mi popalić.

— Chciałbym zobaczyć tę twoją wystawę.

— Niestety, jutro ją rozbieram.

— Chciałbym zobaczyć ją zaraz — uściśliłem, ale chyba nie potraktowała moich słów poważnie. — Czy długo siedzieliście?

— Z Zaniewskim? Nie, najwyżej pół godziny. Potem przyszła taka dziwna kobieta. Bez ręki i nogi.

Pokręciłem głową. Gdziekolwiek się obróciłem, tam pojawiali się starzy znajomi. Teraz postanowiła objawić się także Oksana Awdiejewa.

— Dziwna? To chyba nie najlepsze określenie dla osoby niepełnosprawnej, nie uważasz?

— Ale ona naprawdę była dziwna. Wyglądała tak, jakby lada chwila miała dostać jakiegoś ataku. Ucieszyłam się, że ten Zaniewski jest lekarzem. Pytałam nawet, czy dokądś ich podrzucić, ale podziękowali. Zamknęłam drzwi i wróciłam do domu...

— Masz klucze? — upewniłem się, a potem wyjąłem spod poduszki nietkniętą tabletkę, tę, którą dostałem od Kasi. — Wywal to gdzieś. Żeby nie znalazł tego jakiś dzieciak. I przemyć mi tutaj ubranie.

Patrzyła na mnie z niedowierzaniem.

— Żartujesz, tak?

— Nie żartuję.

— To zwariowałeś.

— Ewka... Wiem, co robię.



Przez chwilę stała bez słowa i wydawało mi się, że moje rachuby wzięły w łeb. Ostatecznie jednak kiwnęła głową, po czym zniknęła po drugiej stronie parawanu — cicho niczym duch. Znała mnie tak, jak nikt inny. I chyba mi ufała. Gdyby na jej miejscu była Manuela... Wątpiłem, by zrobiła dla mnie to, co ona.

— Proszę. — Rzuciła na łóżko kurtkę i spodnie, a buty postawiła na podłodze. Niczego więcej nie potrzebowałem. — Masz świadomość, że jak uciekniesz, wezwą policję?

— Policja ma dzisiaj co robić — stwierdziłem z pewnością, której nie odczuwałem. Ale czy mógł być większy priorytet niż poszukiwanie niedoszłej ofiary seryjnego zabójcy? — Załóż to. Bo jak nie będzie sygnału, włączy się alarm.

Posłusznie zacisnęła na palcu szczęki pulsoksymetru. Wskaźniki natychmiast poszły w górę. Mogło to świadczyć o wzburzeniu. Albo o strachu.

— Zamkną mnie. Cholera, Szczota, czy ty zawsze musisz mi wycinać jakieś numery?

Zapiąłem kurtkę, po czym podszedłem do okna. Wychodziło na ciemny skrawek terenu między budynkiem i ogrodzeniem. Miałem nadzieję, że nie ma tam kamer.

— Dzięki — rzuciłem krótko, bo nie było nic do dodania.

Otworzyłem okno. W powietrzu wirowały płatki śniegu.

Wstrzymałem oddech i skoczyłem w noc.

# 17.

Swoją pierwszą noc po przybyciu do Polski Olga spędziła w hali Dworca Centralnego. W tamtych czasach zdarzało się jeszcze spotkać nocujących tu bezdomnych. Działała siła przyzwyczajenia — wszak Centralny był dla nich domem przez wiele długich lat, aż do remontu w dwa tysiące dwunastym. Tamtej nocy, zaraz po przyjeździe, była świadkiem, jak dwaj bezdomni zostali wyprowadzeni przez pracowników ochrony. Teraz takie widoki były rzadkością. Bezdomni zjawiali się tu w dzień, bo przy dworcach łatwiej było wysepić parę groszy lub coś do jedzenia. Nocą wracali do swoich tymczasowych siedzib — w squatach, kanałach ciepłowniczych, a w lecie także pod gołym niebem, najchętniej w okolicach Wisły.

Olga mogła zacząć od każdego z tych miejsc, ale najpierw przyszła tu, na dworzec. Wkraczając do podziemnego świata, poczuła ukłucie nostalgii. Lubiła podróżować, ale lubiła także wracać do domu. Jej dom był właśnie tutaj — darzyła ten brzydki labirynt przejść podziemnych, peronów i stoisk z kanapkami uczuciem, którego kiedyś nawet by u siebie nie podejrzewała.

Zjechała na peron drugi i znalazła go tam, gdzie zwykle. Gargamel również sypiał w squacie, ale w przeciwieństwie do swoich kolegów robił to w dzień; noce spędzał tu, na ławeczce, do której po jego śmierci ktoś powinien przytwierdzić tabliczkę z jego nazwiskiem albo przynajmniej ksywką. Każde miejsce miało swoją historię. On tworzył historię tego, a może nawet... Sam był historią.

Głosem epoki, która powoli odchodziła w przeszłość.

— Cześć, Gargamel.

Drzemał, ale na dźwięk jej głosu otworzył oko. Wyglądał jak siedem nieszczęść, brudny i wymięty. Patrząc na niego, stwierdziła, że do siebie pasują. Teraz, o czwartej nad ranem, po ciężkim dniu i jeszcze cięższej nocy

zwieńczonej blisko trzygodzinną podróżą z Działdowa, też była brudna i wymięta. A obok nie było nikogo, komu mogła się poskarżyć.

— Wpadłaś pogadać o tych zabójstwach?

Jak przez mgłę przypomniła sobie, że to tutaj, na tej samej ławce, dowiadywała się o zbrodniach Arkanowicza. I o zbrodniach, które mu przypisywano. To było ledwie kilka dni temu, a miała wrażenie, że upłynęła cała epoka.

— Szukam Antonia.

— A ja ci nie wystarczę?

— A siedziałeś ostatnio w szpitalu psychiatrycznym? — Pokręcił głową, a nawet lekko się wzdrygnął. — Szukam kogoś, kto nawiał z psychiatrika.

— Dobrze zrobił. — Gargamel lubił uderzać w wysokie tony. I lubił filozofować, ale nie była to filozofia z uniwersytetu, tylko spod budki z piwem. — Trzeba być głupkiem, żeby dać się zamknąć z innymi wariatami.

— Dziękuję...

— To fakt, nie opinia.

— Doceniam głębię przemyśleń. — Gargamel o każdej porze dnia i nocy był nawalony. — Gdzie znajdę Antonia?

— Przed chwilą tu był. Z tym swoim kulasem na pewno nie odszedł daleko.

Wiedziała, że alkoholicy tacy jak Gargamel mają zaburzone poczucie czasu, ale i tak się rozejrzała. Niepotrzebnie. Na peronach nie było żywego ducha. Oprócz tych brudnoszarych gołębi, które — nie wiedzieć czemu — upodobały sobie ten podziemny świat betonowych tuneli, przedkładając go nad to, co na powierzchni. Podobnie jak Gargamel.

— Ciągłe nocuje na Białołęce?

— A kto chciałby tam nocować?

W końcu wyciągnęła od niego, że Antonio nocuje w squacie przy Alejach Jerozolimskich. Było to wyjątkowe miejsce. Kamienica z lat trzydziestych wznosiła się dokładnie naprzeciwko młodszego o dwadzieścia lat Pałacu Kultury, między dwoma sąsiadkami — odrestaurowanymi, przyciągającymi

wzrok odnowionymi fasadami. Był to jeden z najlepszych punktów w mieście — każdy metr kwadratowy mieszkania kosztował tu dziesięć tysięcy euro, a lokalu użytkowego — kilka razy więcej. Kamienica, w której nocowali bezdomni, nie była odnowiona. Nikt nie sprzedawał tu mieszkań, nikt nie myślał o remoncie. Jej funkcjonowanie w obecnym kształcie było ponurym dziedzictwem zaszłości historycznej, związanej z tak zwanym dekretem Bieruta. O kamienicę walczyli spadkobiercy — sprawa toczyła się przed wszystkimi możliwymi organami, nawet ministrem infrastruktury i samorządowym kolegium odwoławczym. Wciąż nie było widać końca, nie było wiadomo, kto mógł czerpać z niej pożytki, kto miał zapłacić za remont... Na tym wszystkim cierpiał wizerunek miasta. Zyskiwali za to bezdomni.

Nie było innego miasta, w którym mogliby nocować pod tak ekskluzywnym adresem.

Olga mieszkała w Warszawie wystarczająco długo, by przestało ją to dziwić. Przemierzyła puste podziemia, mając świadomość, że każdy jej krok jest śledzony przez kolegów z komisariatu. Pomachała do ostatniej z kamer, obiecując sobie, że potem złoży im wizytę. Wyszła na powierzchnię i dwie minuty później znalazła się pod starym rusztowaniem. Wiedziała, co robić. Ignorując bramę zabitą płytą pilśniową, wdrapała się na pierwszy poziom rusztowań i ruszyła wzdłuż okien — zasłoniętych takimi samymi płytami jak brama poniżej. Sprawdziała każdą z płyt. Wszystkie sprawiały wrażenie zamontowanych nad wyraz solidnie, ale siódma bądź ósma w kolejności — Olga pomyliła się w rachunkach — dała się podważyć. Pogłaskała broń, którą trzymała tam, gdzie zawsze. W kaburze, pod lewą pachą. A potem napała na płytę i wsunęła się do wnętrza budynku przez utworzoną w ten sposób szparę. Rozległo się gniewne miauknięcie. W squacie nocowali nie tylko bezdomni, ale także bezdomne koty.

Gdy była tu poprzednio, interwencja zakończyła się odnalezieniem rozkładających się zwłok. Nic przyjemnego, ale wtedy było przynajmniej widno. Teraz płyty pilśniowe w oknach nie przepuszczały nawet odrobiny

świateł nocnej Warszawy. Przyświeciła sobie telefonem, ale efekt był mizerny. Pozostawały inne zmysły. Dotyk. Słuch. I węch.

Gdy zbierała odwagę, niezbędną do rozpoczęcia eksploracji tego domu widma, jej myśli pomknęły ku Dawidowi. Partnerowi również przypadło trudne zadanie, ale nie musiał przynajmniej wdzierać się do miejsca, które budziło skojarzenie z wczesnymi książkami Stephena Kinga. W tej chwili powinien być w szpitalu psychiatrycznym przy Nowowiejskiej. Pić kawę i rozmawiać z dyżurnym lekarzem o Oksanie Awdiejewej, którą przywiozła tam karetka i która — po kilkudniowej hospitalizacji — wypisała się na własne żądanie.

Dokładnie sześć dni temu. Sześć dni temu przepadła jak kamień w wodę.

Według danych z bazy Pobyt Oksana Awdiejewa, zamieszkała we Lwowie przy prospekcie Swobody, przybyła do Polski w lipcu tego roku. Wcześniej, przez wiele lat pracowała w szkolnictwie, w tym jako nauczycielka języka polskiego. Nie przyjechała tu do pracy; była niepełnosprawna, a powodem jej przyjazdu była eksperymentalna terapia dla osób po amputacjach, realizowana przez prywatne centrum ortopedii. Z wniosku o wizę można było się dowiedzieć, że terapia miała trwać trzy miesiące. Po upływie tego czasu Awdiejewa zniknęła, by odnaleźć się jako bezdomna pacjentka Szpitala Nowowiejskiego. Teraz zniknęła znowu.

Uwagę zwracała zbieżność, że jej obecność w Polsce pokrywała się z okresem, w którym działał seryjny morderca albo... seryjna morderczyni. Agata typowała Janinę Kossakowską. Czy zabójczynią mogła być Oksana Awdiejewa? Czy niepełnosprawna pięćdziesięcioletnia nauczycielka miałaby dość siły, by rozwalać czaszki?

Nie, to było bez sensu. A poza tym czy to nie ona zawiadomiła policję o napaści na Słubickiego? Oczywiście w sprawie mogła przechodzić jeszcze jedna kobieta mówiąca z ukraińskim akcentem, ale — przynajmniej zdaniem Olgi — było to mało prawdopodobne. Czy Oksana była ich sojuszniczką?

Może tak, może nie. Ale na pewno miała wiedzę, którą trzeba było

pozyskać.

Podłogę w bezpieczeństwa kamienicy pokrywała gruba warstwa kurzu, w którym zalegały różne przedmioty. Głównie śmieci i odpadki, i to obrzydliwe. Kiedy latarka wyłowiła z ciemności szczątki zdechłego szczura, Olga postanowiła nie świecić pod nogi. Brodząc w śmieciach, dotarła do pierwszych drzwi, a potem do drugich... W końcu dostała się na korytarz. Zbutwiałe drewno parkietów ustąpiło miejsca znacznie twardszemu marmurowi. A może bazaltowi? Nie miało to większego znaczenia. Ważne było to, że buty, zamiast zapadać się w próchno, znalazły wreszcie wygodne podłoże.

Olga ruszyła w górę po schodach, dodając sobie animuszu głośnym tupaniem. Na każdym półpiętrze posuwała się o krok dalej i przez chwilę uderzała rytmicznie podszwami, stojąc w miejscu. Nie chciała nikogo zaskakiwać. Zaskoczenie wiązało się ze strachem, strach wywoływał nerwowość... a przecież nie potrzebowała awantur.

Na każdym piętrze znajdowały się dwa ogromne mieszkania. Bezdomni koczowali na podłogach — w grupach, parami albo pojedynczo. Funkcję sienników spełniały najczęściej panele styropianu, chociaż niektórzy dysponowali karimatami, a nawet dmuchanymi materacami. Olga poruszała się od grupki do grupki — i za którymś razem trafiła wreszcie na kogoś zorientowanego.

— Piękny Antonio? — Facet nie podniósł nawet głowy z kibici swej pochrapującej towarzyszki, ale poinformował ją z dokładnością przedwojennego dozorca: — Piwnica, lewy korytarz, trzecie drzwi na lewo.

Bojko zeszła na dół i stwierdziła, że pomieszczenia w piwnicy są — wbrew pozorom — atrakcyjniejsze od tych na górze. Było tu znacznie cieplej, prawie tak jak w prawdziwym domu. Górne pomieszczenia nieogrzewanej kamienicy kąsały chłodem, a tutaj... Tutaj kąsał jedynie zapach niemytych ciał.

— Puk, puk. — Zastukała w nieheblowane drewno i ostrożnie pchnęła drzwi.

Otworzyły się bez żadnego dźwięku, tak jakby ktoś naoliwił zamek. Antonio nie spał. Leżał na wytrzaśniętym skądś sienniku i obejmował swojego towarzysza — mniej więcej trzydziestoletniego chudzielca o delikatnej urodzie, którą szpeciła drobna wysypka. Bezdomni nie piętnowali homoseksualizmu. Takie związki jak ten nie były w tym środowisku niczym niezwykłym, a tym bardziej — powodem szykan.

— Proszę. — Był chyba urażony, ale przeszło mu, gdy tylko oświetliła swoją twarz.

Odkleił się od partnera, muskając ustami jego czoło. Ten nawet tego nie zauważył. Spał twardo jak kamień, prawdopodobnie znieczulony alkoholem. Pod ścianami walały się jakieś żelastwa. Handel złomem był dla tych ludzi głównym źródłem dochodu.

— Już nie na Białoleńce?

Wstał i niezgrabnie się uklonił.

— Zakochałem się — szepnął. — Czuję się jak nastolatek.

W dawnych czasach zakochał się co drugi dzień. Olga miała nadzieję, że długotrwała terapia w szpitalu psychiatrycznym wyleczyła go również z niewierności. Bezdomni nie mieli dostępu do środków antykoncepcyjnych i rzadko dbali o higienę. Takie skakanie z kwiatka na kwiatek nie było ani zdrowe, ani bezpieczne.

— Ja tylko na chwilę. Na momencik. Jedno krótkie pytanie i znikam. Czy w szpitalu poznałeś może Ukrainkę?

Skrzywił się, ale nie był to przejaw dyskryminacji, a w każdym razie — nie narodowościowej. Krzywił się na myśl, że posądzała go o nawiązanie znajomości z kobietą. Spotkała się z teorią, w myśl której nikt nie był w stu procentach homo lub hetero. Jej twórcy nigdy nie poznali kogoś takiego jak Antonio. Myśl o intymnej relacji z kobietą wywoływała u niego odruch wymiotny. Wiedząc o tym, trudno było uwierzyć, że kiedyś — jak plotkowano — kształcił się na lekarza ginekologa.

— Szpital psychiatryczny to nie jest miejsce, w którym zawiera się

znajomości — odparł sucho. Olga nie spodziewała się po nim cudów, ale sądziła, że ze względu na starą znajomość okaże choć odrobinę zainteresowania. Wyjęła telefon i pokazała mu zdjęcie, które dyżurny z KSP ściągnął dla niej z bazy Pobyt. Oksana Awdiejewa miała siwiejące włosy i pociągłą twarz. — Nie znam jej.

— Pomyśl. Na zdjęciu nie widać wszystkiego. Ta kobieta nie ma przedramienia... i stopy.

Antonio opuścił głowę, ale nie zrobił tego dostatecznie szybko. Olga zdążyła dostrzec jego twarz, na której rozlało się uczucie niechęci.

— Był ktoś taki — burknął po chwili. Olga zauważyła, że zaciska pięści, co było o tyle dziwne, że nigdy nie zdradzał nawet najmniejszych symptomów agresji. — Rzeczywiście, zaciągała. Pojawiła się pod sam koniec. Głupi babsztyl.

— Pod sam koniec... czego? — spytała Olga, zachodząc w głowę, co takiego musiała nawywijać Awdiejewa, by zrazić do siebie tak kulturalnego człowieka.

— Pod koniec mojego pobytu w szpitalu. Nigdy nie poznałem bardziej irytującej osoby. Nigdy. Wolałbym o niej zapomnieć. Naprawdę, Olga. Chyba że interesujesz się nią, bo...

Nie dokończył. Olga, ze względu na późno-wczesną porę, załapała dopiero po chwili.

— Nic z tego. Ona żyje.

— Cholera — odparł i skrzywił się z podobnym obrzydzeniem jak wtedy, gdy wymieniła jej narodowość.

— Od początku wiedziałeś, o kogo chodzi. Mam rację? — Kiwnął głową. — Co ona ci zrobiła? Powiedz. Okradła cię? Coś powiedziała?

Kręcił głową. W upiornym świetle komórki Olga miała wrażenie, że głowa lada moment oderwie się od szyi i potoczy po podłodze.

— Przejdźmy się — zaproponował, po czym, nie czekając na akceptację, zagarnął ją ramieniem, wypychając na korytarz.



Zanim się oddalili, starannie zamknął drzwi na klucz.

— To nie jest bezprawne pozbawienie wolności?

— Nie. Przysługa. Tu jest wielu takich, którzy mają na niego chrapkę.

Olga postanowiła nie wnikać w ich sprawy. Ruszyła za Antoniem, starając się nie nadepnąć na żadnego z przebiegających pod nogami szczurów. Antonio powiódł ją do drugiej klatki schodowej — wąskiej i drewnianej, z której w dawnych czasach korzystała służba. Było tu zaskakująco pusto. U stóp schodów nie było nawet jednego siennika. Nic oprócz czegoś, co wyglądało jak pokruszona cegła.

— To eternit. — Antonio wskazał na pokruszone resztki w taki sposób, jakby prezentował lokalną ciekawostkę. — Rakotwórcza trucizna. Nikt normalny tu nie przychodzi.

— Dziękuję, że przyprowadziłeś mnie.

Olga zakryła usta i nos szalikiem, ale wrażenie, że na tkance jej płuc osiada rakotwórczy pył, wcale nie stało się mniejsze. Antonio udawał, że nie widzi w tym nic niewłaściwego. Odetchnął głęboko, jakby stali przy solance.

— Przynajmniej nikt nas nie podsłucha. Nie chcę, żeby Natan się dowiedział... Natan to właśnie ten mój chłopak.

— O czym ma się nie dowiedzieć?

— O Karolu. Poznałem go w szpitalu. Jest idealny. A ona go omotała.

— Oksana Awdiejewa? Związała się z pacjentem?

— Karol nie jest pacjentem. Jest lekarzem psychiatrą. Najlepszym. I najprzystojniejszym.

Zachichotał jak pensjonarka, a Olga wytrzeszczyła oczy. Lekarz wykorzystujący pacjentów? Nie, to chyba niemożliwe...

— Chcesz powiedzieć, że ten lekarz wchodził w relacje intymne z pacjentami?

Antonio posmutniał.

— Niestety, przysięga Hipokratesa nie pozwala na takie relacje. Ale wiem, że żałował... Przynajmniej do momentu, w którym pojawiła się ta przybłąda

z Ukrainy. — Spojrzał na Olgę i się zreflektował. W nienaturalnym świetle latarki z telefonu jego wykrzywiona w poczuciu winy twarz sprawiała wrażenie pozieleniałej. — Przepraszam, nie chodziło mi...

— Luzik. — W oparach eternitu ostatnią rzeczą, na którą zwracała uwagę, były konwenanse. — Ten Karol zajmował się jej leczeniem, tak?

— Żeby tylko. Miała na jego punkcie obsesję, a on... On jej ulegał. Spędzali razem mnóstwo czasu, w jego gabinecie. — Twarz ściągnęła mu się w bólu. — Mogę się tylko domyślać, co tam robili.

Olga nie traktowała jego rewelacji poważnie. Miłość, a szczególnie ta niespełniona, nie sprzyjała obiektywizmowi. Uznała jednak, że powinna wiedzieć, o kogo chodzi. Dawid, który miał ogarnąć temat od strony szpitala i lekarzy, bywał nieskuteczny — zwłaszcza jeśli zadanie wymagało kontaktów z ludźmi.

— Nazwisko tego lekarza?

— Szwarc. To świetny specjalista. Postawny. Wysoki. I taki przystojny.

— Możesz mi go opisać?

— Już to zrobiłem. Ach, jeszcze jedno. Ma cudowne długie włosy.

Odcinek między squatem a Szpitalem Nowowiejskim pokonała niemalże sprintem. Długie włosy u mężczyzn nie były rzadkością, ale opis, który przedstawił Antonio, pasował idealnie do osoby, z którą bardzo chciała porozmawiać. W drzwiach izby przyjęć zderzyła się z Dawidem. Wyglądał inaczej niż zwykle. Biła od niego pewność siebie.

— Pozwól, że cię komuś przedstawię. To mój przyjaciel. — Odwrócił się w stronę wysokiego mężczyzny z męskim, trzydniowym zarostem i długimi, wypielegnowanymi włosami. — Doktor Karol Szwarc. A to moja koleżanka... Olga, co z tobą?

Olga, walcząc o oddech, który utraciła w trakcie biegu z placu Defilad, złapała długowłosego mężczyznę za ramiona i mocno je ścisnęła. Facet był zbudowany jak biblijny Goliat. Widziała już tę sylwetkę. Całkiem niedawno.

— Czy pan... był w... Działdowie?

— Właśnie stamtąd wracam. — Głos miał niski i przyjemny.

Nagranie z kamery nad wejściem do kawiarni pozbawione było dźwięku, ale obraz był wystarczająco wyraźny. To on towarzyszył Sabinie Arkanowicz.

— Olgierd... Zaniewski?

Dawid chciał coś powiedzieć, ale jego przyjaciel okazał się szybszy. Z twarzy biła mu radość.

— Co za ulga — powiedział, a potem uśmiechnął się jeszcze szerzej. — Zaczynałem wątpić, czy mnie znajdziecie.

# 18.

Tak jak większość pokrzyżackich zamków, Zamek w Działdowie również miał swoją Damę. Czarną, a może Białą... Nie pamiętałem. Legenda była długa i skomplikowana: był w niej zły Krzyżak, nieszczęśliwa miłość, niewinna siostra i waleczny książę pruski. Summa summarum wszyscy ginęli. Zawsze odbierałem tę historię jako przejmującą, ale tamtej nocy losy siostry i księcia wcale nie wydały mi się aż tak tragiczne. Tam wszystko było czarno-białe, podczas gdy tu — w prawdziwym życiu — dominowały odcienie szarości.

Przechodząc obok miejsca, w którym oberwałem w głowę, odruchowo odwróciłem wzrok. Było ciemno i tak zimno, że szczykałem zębami. Skaleczenie nad czołem paliło mnie żywym ogniem. Trochę żałowałem, że wyplułem wszystkie tabletki, ale z ich przyjmowaniem wiązało się pewne ryzyko. Odpowiednia ilość leku uśmierzała ból, ale przedawkowanie, o które było bardzo łatwo, zmieniłoby mnie w ociężałego zombie. Tej nocy nie mogłem być ociężały. Na szczęście ból, który czułem, nie odbierał mi zdolności do działania.

Zamkowe wzgórze spowijał mrok. Przechodząc przez dziedziniec, zadarłem głowę. Nie wypatrywałem Czarnej Damy, której chętnie oddałbym pokłon, tylko kamer monitoringu. Nie byłem pewien, czy działają całodobowo — sądziłem, że raczej nie, ale nie chciałem ryzykować. Ewka i tak zrobiła dla mnie bardzo dużo. Nie chciałem, by wyszło na jaw, że umożliwiła mi także włamanie.

W pomieszczeniach ośrodka kultury nie było instalacji alarmowej. Nie przechowywano tu cennych przedmiotów ani tym bardziej pieniędzy. Wszelkie płatności realizowano w kasie urzędu miasta — w przeciwległym skrzydle Zamku. Przekręciłem klucz — tak duży, że od biedy mógł służyć także jako broń — po czym wszedłem w czeluść drzwi, powstrzymując

odruch, który nakazywał mi zapalić światło. Trudno było uwierzyć, że jeszcze kilka godzin temu spędziłem tu miłe chwile z Manułą. Teraz mój nastrój był diametralnie różny. Dyszałem chęcią zemsty — byłem tak wściekły, że z trudem powstrzymywałem się, by nie biec. Raz, dwa, trzy... — liczyłem w duchu, gdy furia odbierała mi rozum. Pomagało, ale tylko na chwilę. Myślałem głównie o pani Jance. O tym, co jej zrobię, gdy uda mi się ją dorwać.

Salę domu kultury położone były w przyziemi. Okna tej mniejszej były niskie i wąskie, a ponadto wychodziły na bezludny kawałek parku, więc — gdy zdołałem wreszcie wymacać pudełko zapalek — odważyłem się zapalić świeczkę. Ekspozycja, na którą wcześniej nie zwróciłem większej uwagi, rzeczywiście robiła wrażenie. Osiemdziesiąt lat działdowskiej lekkoatletyki na jednej ścianie. Pomiąłem puchary, podobne do tych, które widziałem u Kossakowskich, i skoncentrowałem uwagę na zdjęciach. Panią Jankę odnalazłem już na pierwszym z nich. Na szyi miała krążek niewiadomego koloru, a w ręku ścisnęła sportowy młot. Stalową kulę na stalowej lince.

Cztery kilogramy czystej energii, wystarczającej, by roztrzaskać nawet najgrubszą czaszkę.

Kilka godzin temu oberwałem właśnie takim młotem. Przede mną, bardziej pechowo, oberwał nim Jacek Twardygroisz, a także pozostałe ofiary zabójcy. A także, wiele lat temu, Florian Zaniewski i facet ze Świnoujścia, którego personalia umknęły mi z pamięci. Generowana przez młot siła była tak niszczycielska, że zawodnicy i zawodniczki w momencie rzutu musieli się znajdować za owalnym ogrodzeniem z ultraodpornego polipropylenu.

Taką zawodniczką była niegdyś Janina Kossakowska. Puchary, które zdobiły jej mieszkanie, wcale nie należały do jej męża. Już podczas pierwszej rozmowy sam na sam dał mi do zrozumienia, że gdyby miał coś do gadania, wyrzuciłby je na złomowisko. Ale nie miał nic do gadania. Puchary nie były jego. Sprawdziłem to ponad wszelką wątpliwość dziś... nie, wczoraj rano, po tym, jak odespałem intensywną noc i długi poranek.

Janina Kossakowska musiała być świetną zawodniczką, bo pojawiała się jeszcze na wielu zdjęciach. W młodości również była krępa, ale wtedy były to czyste mięśnie, które z biegiem lat miały się zamienić w galaretowaty tłuszcz. Na niektórych zdjęciach pozowała razem z prezesem Głazewskim, a na innych — z kolegami i koleżankami. Chociaż przypatrywałem się uważnie, nie natknąłem się na inne znajome twarze. Rozpoznawałem jedynie Janinę i szczerzącego się prezesa.

Gdybym dotarł wcześniej, usłyszałbym zapewne, jak o niej opowiada. Ale teraz nie potrzebowałem już ostrzeżenia. Wiedziałem, że wciąż ma dużo siły. Zawodowi sportowcy nigdy nie rdzewieli w stu procentach. Musiałem mieć się na baczności, ale w swym obecnym stanie nie bałbym się nawet Pudziana. Byłem poturbowany i kręciło mi się w głowie, lecz byłem też naładowany. Złością. Krążyła w moich żyłach niczym paliwo rakietowe.

Obejrzałem zdjęcia jeszcze raz, a potem zdmuchnąłem świeczkę i zamknąłem za sobą drzwi. Przeszedłem przez dziedziniec, znów unikając kamer. Nogi same poniosły mnie tą samą ścieżką, co kilka godzin temu. Wzdłuż muru, w kierunku drzew. Analizowałem każdy metr, usiłując przyglądać się światu w taki sposób, w jaki robią to policjanci. Możliwości rosły lawinowo, aż zrobiło się ich tak dużo, że nie dawały już się policzyć. Tu, za murami, nie było ani jednej kamery. Zabójca ze sportowym młotem mógł nadejść z każdej strony — od dziedzińca, parkingu, a nawet urzędu miasta. Albo z przeciwnej strony. To mógł być każdy z imprezowiczów. Albo ktoś z zewnątrz.

Zabójca był cholernie sprytny. A miejsce, które wybrał — najlepsze z możliwych.

Utwierdzony w tym przekonaniu ruszyłem przez pogrążone w ciemności miasto. Dochodziła już piąta nad ranem, więc gdzieś palilo się światło, lecz ulice były wyludnione. Gdy usłyszałem szum silnika, na wszelki wypadek ukryłem się za śmietnikiem, ale moje obawy okazały się na wyrost. To nie był radiowóz, tylko furgon piekarni. Dostawcy pieczywa wstawali

z samego rana. Wcześniej od nich swój dzień pracy zaczynali tylko pracownicy PKP.

Do bloku Manueli zbliżyłem się od strony podwórka. Wychyliłem się zza rogu budynku i z satysfakcją dostrzegłem zaparkowany przy ulicy samochód miejscowej komendy. Cywilnego fiata, którym kiedyś podrzucał mnie Konrad. W świetle latarni widać było wewnątrz zarys dwóch sylwetek. Policjanci siedzieli nieruchomo, ale w ustach jednego z nich zobaczyłem papierosa. Nie da się palić przez sen, a zatem... nie spali. Manuela była bezpieczna — przynajmniej na tyle, na ile się dało. Kryjąc się za płataniną bezlistnych krzewów, stanąłem pod jej oknem i ostrożnie zerknąłem do środka. Starsza policjantka miała rację. Manuela rzeczywiście powinna zainwestować w żaluzje. Na parterze często okazywały się niezbędne.

Pokój oświetlała pomarańczowa lampka w kształcie księżyca. Z miejsca, w którym stałem, widać było ramę łóżka, a także wystającą spod koca szczupłą stopę. Widok wydał mi się wzruszający — tak bardzo, że zapiekło mnie pod powiekami. Po chwili serce mi zatrzepotało, bo w zasięgu wzroku pojawiła się Manuela. Miała na sobie prostą białą koszulę. Wyglądała jak anioł. I niczym anioł pochyliła się nad śpiącą siostrą, poprawiając koc.

Patrzyłem za nią, aż zniknęła w głębi mieszkania. Gdyby podłączyli mnie teraz pod monitor, ustanowiłbym chyba rekord uderzeń serca na minutę. Wiedziałem, że to nie będzie trwało wiecznie, ale przez ostatnie miesiące nauczyłem się żyć chwilą. I bardzo chciałem, by ta chwila trwała jak najdłużej. Manuela była super. Chciałem z nią być. Był tylko jeden problem.

Nie wiedziałem, jak spojrzę jej w oczy.

Dworzec kolejowy miał stać się moim drugim domem, ale przemierzając halę, wcale nie czułem się po domowemu. Uczuciowe rozterki zostały z tyłu, pod oknami mieszkania Manueli. Teraz myślałem tylko o tym, co przede mną. Przebiegłem przez przejście podziemne i wyłoniłem się po drugiej stronie stacji. Na wprost rozciągał się nieużytek, a za nim — ogródki działkowe.

Znałem w Działdowie niemal każdy kąt, ale akurat tam nigdy mnie nie poniosło. Prawda była taka, że odnotowałem istnienie tego miejsca bardzo niedawno. Kilka dni temu. Podczas rozmowy z panią Janiną.

Gdy powiedziała mi, że po pracy wybrała się na działkę koleżanki, by zebrać zgniłe jabłka.

Ogródki działkowe były ogrodzone wysokim parkanem, ale tamtej nocy przeszkodą nie byłby dla mnie nawet Chiński Mur. Według dworcowego zegara minęła właśnie piąta trzydzieści. W całkowitych ciemnościach przesadziłem ogrodzenie i — nie mogąc wykorzystać wzroku — włączyłem węch. Sam jeszcze przed tygodniem nocowałem w podobnym miejscu. I chociaż po rocznym pobycie na platformie byłem zahartowany, to nad ranem trząsałem się z zimna.

Jeśli ktoś tu nocował, to musiał dysponować źródłem ciepła.

Teren ogródków działkowych nie był rozległy. Wkrótce, potykając się raz po raz na nierównościach, dotarłem do jego przeciwległej krawędzi i wtedy wyczułem zapach dymu. Był ulotny do tego stopnia, że chwilę później byłem pewien, że padłem ofiarą złudzenia... Ale wtedy podmuch wiatru przyniósł go więcej, a na tle czarnej jak smoła nicości pojawił się o ton jaśniejszy prostokąt — okno, przez które sączył się widmowy poblask.

Biegłem przez pół Działdowa niczym pies gończy, jednak teraz przestałem się spieszyć. Stąpałem na palcach po cienkiej warstwie zmrożonej ziemi — warstwie lukru, pod którą kryło się błoto. Dotarłem do płotu z metalowych prętów — końcówki prętów były zastrzone, lecz sam płot tak niski, że nie musiałem się wysilać. Po drugiej stronie nie było wszechobecnego błota, tylko sztywny od mrozu dywan trawy. Chociaż mijałem drzewa owocowe, pod moimi stopami nie zachrząścił nawet jeden liść. Posesja była dokładnie zamieciona. Ktoś bardzo o nią dbał.

Gdy dotarłem do okna, uświadomiłem sobie, że do moich uszu docierają dźwięki. Coś jak gęganie wodnego ptactwa, nad którym unosił się melodyjny



damski głos. Głos Krystyny Czubówny. Czuć było dymem, a także gotowaną kapustą. Zapach nie był przykry. Przeciwnie. Wdychając go, poczułem głód.

Ktoś urządził tu sobie kryjówkę i o piątej trzydzieści nad ranem przygrzewał kapuśniak, oglądając w telewizji film przyrodniczy. Zbliżyłem się jeszcze bardziej i dostrzegłem, że okno zakryte jest od wewnątrz jakąś tkaniną. Prawdopodobnie kocem.

Po mojej lewej stronie znajdowała się drewniana balustrada, a za nią — miniaturowa weranda. Sam domek obito sidingiem, po którym poprowadzono blaszaną rurę komina. Wewnątrz musiała znajdować się tak zwana koza — żeliwny piecyk, który dawał ciepło. Był tu też prąd, ale nikły, przesączaający się przez zaimprovizowaną zasłonę blask był blaskiem ognia. Prawdopodobnie koza, podobnie jak piecyk na działce Konrada i Heleny, miała przeszklone drzwiczki.

Wstrzymując oddech, nacisnąłem klamkę. Ku mojemu zdziwieniu drzwi ustąpiły. Nie były zamknięte na zamek. Ktoś, kto ukrywał się w środku, musiał się czuć bezpiecznie, ale idylliczny spokój właśnie dobiegał kresu. Zajrzałem przez szparę, a potem — bez najmniejszego szmeru — przestąpiłem próg. W centralnej części jednoizbowego domku, naprzeciwko małego telewizora, a tyłem do drzwi, stał bujany fotel. Obok niego — tak jak zakładałem — znajdowała się przeszklona koza. Z miejsca, w którym stałem, widać było poręcz fotela, a na nim — złożone leniwie przedramię. Gdy wraz ze mną do środka wtargnął przeciąg, przedramię drgnęło, ale potem znieruchomiało. Postać w fotelu nadal spała. Świadczyło o tym miarowe chrapanie.

Niczym uznany baletmistrz stąpałem na czubkach palców. Okrążyłem pokój i stanąłem pod ścianą. Pani Janina wciąż pochrapywała nieświadoma budzącego się we mnie instynktu.

Instynktu zabójcy. Żałowałem, że nie mam pod ręką sportowego młota.

Szarpiąca mną nienawiść nie pozwoliła mi rozegrać tego na spokojnie. Podszedłem do fotela i zacisnąłem pięść, ale w ostatniej chwili zmieniłem

zamiar. Nie umiałem uderzyć śpiącej kobiety, nawet jeśli podejrzewałem ją o najgorsze. Wyładowałem się na glinianym czajniczku. Poleciał w odległą część pokoju i roztrzaskał się o ścianę, a zbudzona hałasem pani Janina szarpnęła się gwałtownie i razem z fotelem poleciała do przodu, na spotkanie desek podłogi.

— Wstawaj! — Rozpaczliwie marzyłem, że da mi okazję. Chciałem się na niej wyładować, ale nawet nie próbowała się bronić. Była przerażoną starszą kobietą. Trudno było w niej rozpoznać tę pełną siły i życia wojowniczkę, którą pół godziny temu oglądałem na zdjęciach z zawodów. — No już, na nogi.

Zamiast się bronić, zaczęła szlochać. Był to rozdzierający szloch kobiety, która zrozumiała swoje błędy. I wiedziała, że już za późno, by je naprawić.

— Wiedziałam, że to będziesz ty. — Usiadła na podłodze i objęła się ramionami. Zajmowała w ten sposób niemal pół domku, ale i tak wyglądała bezbrinnie. — Nie powinnam się ukrywać. Powinnam pójść i się przyznać, ale nie miałam odwagi. A teraz przepadło. Policja już tu jedzie, prawda?

— Policja jest twoim najmniejszym problemem.

— Kacperku, tak bardzo cię przepraszam. Nienawidzę go, rozumiesz? On zniszczył moje marzenia. Odebrał mi sens życia.

Uniosłem pięść i znów wyładowałem złość na przedmiocie. Tym razem padło na kubek. Walnął w podłogę i pękł na pół. Pani Janina skuliła się na podłodze. Poczulem pogardę. Wcześniej miałem ochotę wymierzyć jej kopniaka, ale zamiast tego odwróciłem się plecami. Nie bałem się. To nie ona zaatakowała mnie pod Zamkiem. To nie ona zabijała.

Jej przewina była znacznie cięższa.

— To był impuls, Kacperku. Musiałam się zemścić. Ty nie wiesz, co to jest miłość do wnuków.

Na spotkanie z podłogą pofrunął tym razem zawieszony na kołku widoczek. Rama wytrzymała, ale szybka rozprysła się w drobny mak.

— Ale wiem, co to miłość do dzieci.

— To nie to samo. Zobaczysz, Kacperku. On mi to zabrał. Być może już na

zawsze.

Mówiła rzecz jasna o Tomku, partnerze mojej byłej żony. Nie mogła mu wybaczyć, że nie ożenił się z jej córką, Michasią — po tym, jak zrobił jej dziecko. Nie umiała też wybaczyć córce, która zaakceptowała tę decyzję. I która, po kolejnej awanturze, usunęła ją ze swojego życia.

— Nie mogłaś go palnąć młotem? Tak byłoby prościej... dla wszystkich.

— Był czas, gdy chciałam go zabić. Naprawdę. Ale nie umiałam. Nie byłam w stanie. Myślałam, że to najlepsze rozwiązanie.

Znów uderzyłem w ścianę. Tym razem na podłogę spadł różaniec. Odrobinę mnie to otrzeźwiło. Nie pochodziłem z religijnego domu, ale gdy Adaś uległ wypadkowi, zacząłem się modlić — najpierw o jego życie, a potem zdrowie. Robiłem to do dziś. Dlatego schyliłem się i zawiesiłem różaniec na gwoździu.

— To, co zrobiłaś, było lepsze, tak?

Chlipnęła.

— To było głupie, wiem. Ale wtedy nie myślałam racjonalnie. Znalazłam tę łyżkę, wiesz? Zostawił ją w bagażniku naszego peugeota w zeszłym roku, kiedy Gienio wrócił ze zmiany opon...

Zdałem sobie sprawę, że się nie rozumiemy. Ona głądziła o tej cholernej łyżce, którą wymazała zwierzęcą krwią i podrzuciła do łazienki w pociągu. A ja... Ja mówiłem o zdarzeniu, które wywróciło do góry nogami całe życie. Moje i mojej rodziny. Tym razem nie uderzyłem w ścianę, tylko nachyliłem się nad kobietą, której nienawidziłem, i chwyciłem ją za cuchnące, przepoczone ubranie. A potem zacząłem nią potrząsać.

— Dlaczego... to... zrobiłaś?! Dlaczego posłałaś na wózek... mojego syna?!

Potrząsałem Kossakowską tak długo, aż rozbolały mnie ręce, i wykrzykiwałem ciągle te same pytania. Nie broniła się. Była bezwładna jak szmaciana lalka. Po jej obwisłych policzkach spływały łzy.

— Przepraszam — wyszeptała wreszcie.

Przeprosiny niczego nie rozwiązywały, bo mój syn wciąż nie odzyskał sprawności, a istniało ryzyko, że nie odzyska jej już nigdy. Mimo to puściłem jej ubranie i ciężko dysząc, oparłem się o ścianę. Wstała i zdjęła z gwoźdźcia różaniec, po czym zaczęła szeptać modlitwę.

— To, co zrobiłaś, było bardzo katolickie — zakpiłem, a ona spuściła głowę. — Jak to rozegrałaś? Układ hamulcowy? Czy kierowniczy? Wystarczy poluzować śrubę...

Nie przestała się modlić, a po jej twarzy wciąż spływały łzy. Powinienem był domyślić się już wcześniej, nawet wtedy, gdy zaczepiła mnie w pociągu. Takie oferty wynajmu nie spadają z nieba. Trzysta pięćdziesiąt złotych miesięcznie... Janina przygarnęła mnie pod swój dach, bo gryzło ją poczucie winy. Kierowała nią potrzeba zadośćuczynienia. Za zło, które uczyniła. Zło, którego przypadkową ofiarą stał się mój syn. Nie wiedziała, że będzie w tym samochodzie. Nie mogła wiedzieć, ale mój gniew wcale nie był przez to mniejszy.

— Byłam zbuntowanym dzieckiem — powiedziała, pociągając nosem. Na jej miejscu w ogóle nie otwierałbym ust. Dla tego, co zrobiła, nie było usprawiedliwienia, ale mimo to postanowiła spróbować. — Wyprowadziłam się z domu, raniąc rodziców. Na szczęście zdążyłam się z nimi pojednać, zanim było za późno. Moja mama odchodziła, ale zdążyła mi przebaczyć... — Wykrzywiła usta w podkówkę, a z oczu popłynęło jej jeszcze więcej łez. — Wychowywałam swoją córkę tak, by była inna... Nie tak harda i uparta jak ja. Ale widocznie miała to w genach. Wciąż mam nadzieję, że się pogodzimy, ale... Ona też nie umie mi wybaczyć. Tak jak ty.

— Wzruszająca historia — zakpiłem, bo co mi pozostało. Wiedziałem już, że nic jej nie zrobię. Nie umiałem się mścić. Być może tak było lepiej. — Pewnie jest też w niej miejsce dla chłopca, który od dziecka kopał piłkę, a teraz nie jest w stanie normalnie chodzić.

— Nigdy sobie tego nie wybaczę. I zawsze będę się za niego modlić.

— Obejdzie się.

— To kwestia wiary. Wolałabym nie wierzyć, ale niestety wierzę. I na tym polega całe moje przekleństwo... Wybacz mi, Kacperku. I proszę, zostań z nami. Zostaniesz?

— Wolałbym nocować pod płótem. Nie wrócę na Skłodowskiej-Curie nawet wtedy, gdy będziesz już w więzieniu.

— Zamkną mnie? Naprawdę? — Załamała ręce. — W takim razie musisz zostać. Bo kto zajmie się Gieniem?

To nie był mój problem. Miałem nadzieję, że Kossakowska spędzi w więzieniu długie lata. Nie dlatego, że pragnąłem zemsty. To nieprawda, że zemsta ma smak, a jeśli już — jest to smak pomyj. Po prostu nie chciałem, by skrzywdziła kogoś jeszcze. Kobieta, która majstruje przy samochodzie ojca swojej wnuczki, chcąc wyprawić go na tamten świat, musi być zdolna do wszystkiego.

— Dostaniesz przepustkę... na pogrzeb — burknąłem, a ona zaczęła zawodzić.

— Gienio to taki... dobry człowiek.

— To pijaczyna — wtrąciłem, chcąc ją zranić.

— Kacperku, on traktuje cię jak syna. Kiedyś taki nie był. To wszystko przez ten wypadek w pociągu. Przez to, że stanął w obronie kogoś słabszego.

Szybko dodałem dwa do dwóch. Kossakowskiego przyprowadził na SOR Jacek Twardygrosz. Nie był wtedy sam.

— W obronie Anielki?

— Tak. Anielki, tego biednego aniołka. Źli ludzie... — Załkała. — Brak słów.

— Co się stało?

— Powiedziała, żeby założyli maseczki. Jej ojciec pracował, był w innej części pociągu. Gienio zareagował... No i zaciągnęli go do przejścia i pobili... Upodlili.

Zwiesiłem głowę. Było mi wstyd, że nazwałem go pijaczyną. Nie, nie przed jego żoną. Było mi wstyd przed samym sobą.

— Może czasem go odwiedzę — mruknąłem, bo w gruncie rzeczy miałem dobre serce. Facet był w porządku. Nie powinienem karać go za grzechy żony. — Niech się pani odsunie. Nie chcę... I nie umiem pani wybaczyć.

Zdjęła ręce z moich barków i z kieszeni bluzy wyciągnęła telefon.

— Chyba czas skończyć z tym ukrywaniem — stwierdziła. Moja spontaniczna deklaracja sprawiła, że przestała płakać. — Ile mogą mi dać za tę łyżkę?

— Za łyżkę? Nic. Ale za wypadek Tomka i Adasia... Nie wiem, pewnie kilka lat.

Znów zaczęła się modlić. Jeszcze żarliwiej niż przedtem. Nie miałem tu nic więcej do roboty. Wstałem i chciałem wyjść, ale wtedy odłożyła różaniec.

— Pewnie pójdę do piekła — stwierdziła. — Ale do więzienia nie pójdę.

— Pani wybór.

Nie wiem, jak bym zareagował, gdyby zaczęła się wieszać, ale ona zaskoczyła mnie jeszcze bardziej.

— Nie majstrowałam przy samochodzie. Myślałam o tym... i o wszystkich innych sposobach, ale nie miałam odwagi. Nie umiałam go zabić. Nie własnoręcznie. Pozostało mi tylko jedno. Poszłam do niego. I go przeklęłam.

— Co pani zrobiła?

— Powiedziałam mu, że go przeklinam. W imię Boga.

— W imię... A tak można?

— Nie wiem. Kilka dni później miał ten wypadek. Ile ja nocy przepłakałam, by to odwrócić. Ale się nie dało. Powiedziałam córce. Odpowiedziała, że nie chce mnie znać...

— Tylko go pani przeklęła? Nic więcej?! Nie pocięła pani przewodów hamulcowych?

— Nawet nie wiem, że jest coś takiego... Jestem winna, ale tylko przed Bogiem. W ludzkim prawie nie ma chyba kar za rzucenie klątwy?

Zakręciło mi się w głowie. Stres i wzruszenie... Prawda była taka, że

powinienem leżeć w szpitalnym łóżku. Zdjąłem czapkę i wtedy zobaczyła bandaż.

— Co ci, Kacperku?

— Nic. — Wyciągnąłem rękę i dotknąłem jej nadgarstka. Mogła wierzyć w siłę klątw, ale ja nie wierzyłem. Wypadek Tomka był tylko wypadkiem. Zwykłym, losowym wypadkiem. — Niech pani nie dzwoni — dodałem, a potem łagodnie odebrałem jej komórkę. — Policja nie szuka pani z powodu tej łyżki. Ani z powodu klątwy. Jest coś, o czym powinna pani wiedzieć.

Opowiedziałem jej to, czego się dowiedziałem. I czego się domyślałem. Gdy zrozumiała, że jest główną podejrzaną w sprawie o szereg zabójstw, zbladła jak prześcieradło.

— Od lat nie rzucałam młotem.

— Zabójca też nie musiał rzucać...

— Od lat nie miałam go w ręku. Mój kręgosłup jest na wykończeniu. Ledwo chodzę. Gdybym spróbowała zakręcić młotem, rozpadłabym się na części.

— Ale oni o tym nie wiedzą. Myślą, że postanowiła pani zemścić się za to, co spotkało pani męża.

— Tamci zabici... to ci, którzy go pobili?

— Nie wiem. Na pewno nie wszyscy — dodałem, myśląc o sobie. A także o Jacku Twardygroszu. — Musimy się zastanowić... Zatrzymają panią, założą kajdanki i odwiozą do aresztu, najpierw na czterdzieści osiem godzin. Areszt to nie jest nic fajnego. Może... Może dostałaby pani ataku rwy kulszowej? Zamiast do aresztu wezmą panią do szpitala, a tam zrobią badania, które wykluczą, że miała pani dość siły, by machać tym żelastwem.

— Na rwę kulszową nie biorą do szpitala. Trudno, areszt też dla ludzi.

— Nie. — Wstałem i podszedłem do kozy. Musiałem ogrzać dłonie. — Myślmy dalej.

— Chyba już za późno. Przyszli...

Z zewnątrz dobiegło skrzypnięcie furtki, a potem pokasływanie. Moje

wyobrażenia o działaniu służb nie dopuszczały wizji, w której funkcjonariusze, tuż przed ważnym zatrzymaniem, skrzypią furtkami i kaszlą. Na wszelki wypadek stanąłem jednak na środku pokoju z rękami na widoku. Nie chciałem dostać przypadkowej kulki. Pani Janina zastygła w swej dotychczasowej pozycji — skulona pod ścianą. Drzwi otworzyły się na całą szerokość. Na czarnym tle zobaczyłem zarys potężnej sylwetki, a potem, spod kapelusza rodem z gangsterskiego filmu dobiegł niski, ochryply głos:

— Co tu się dzieje?

Cofnąłem się o krok, czując, jak miękną mi kolana. Mężczyzna trzymał w ręku jakiś ciężki przedmiot. Gdy uderzył nim we framugę drzwi, rozległ się głuchy, obejmujący odgłos. A potem wewnątrz pomieszczenia zalało jasne światło. Przez przymrużone powieki dostrzegłem osobę, z którą kilka godzin temu uciałem sobie sympatyczną pogawędkę. Teraz jednak nie było sympatycznie.

— Co tu robisz?! — Prezes Andrzej Głazewski wywinął młynka ciężką torbą. — Co tu się stało?

Zerknął na porozbijane sprzęty, a potem ruszył w moją stronę niczym rozjuszony stary nosorożec. Z boku dobiegł mnie głos pani Janiny. Zgłupiałem do reszty.

— Nie rób głupstw! Tato, on jest niegroźny...

Tato? Cofnąłem się w róg pokoju. To był już koniec. Dalej nie dało się uciec.

— Prezesie...

— Nie bój się, córuś. Nic się nie bój...

— Tato, nie!

Zamachnął się z wdziękiem, którego nie zdołały przyćmić te wszystkie lata. Był świetnym młociarzem, byłem reprezentantem kraju. Ku mojej głowie pomknęła śmierć. Krzyknąłem i uniosłem ręce. Śmieszny gest.

Równie dobrze mógłbym zasłonić się gazetą.



# 19.

Wybierając numer, Olga nie była pewna, czy nie wyrwie Agaty z objęć Morfeusza, ale przełożona nie spała. Przeciwnie, sprawiała wrażenie tak rozbudzonej, że bardziej się nie dało.

— Wiesz, co zrobił ten twój kretyn? Uciekł!

— Słubicki? Jak to uciekł?

— Normalnie. Była żona dostarczyła mu ubranie, a on wyszedł przez okno. I zniknął. Nie możemy go znaleźć. I co ty na to?

Olga nie wiedziała, dlaczego Agata ma pretensje akurat do niej. Przecież była prawie dwieście kilometrów od Działdowa, na oddziale psychiatrycznym.

— Uciekł to uciekł. Mam dwie rzeczy. Po pierwsze, zabójcą jest niejaki Andrzej Głazewski, prezes klubu sportowego Start.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Olga mogła się założyć, że Agata w ciągu sekundy na dobre zapomniała o Słubickim. Przez chwilę słychać było jedynie jej ciężki oddech.

— A po drugie? — spytała wreszcie.

— Potrzebujemy sędziego, który wyda na cito postanowienie o zwolnieniu z tajemnicy zawodowej lekarza Szpitala Nowowiejskiego, pana Karola Szwarca... którego znaliśmy dotąd jako Olgierda Zaniewskiego. Twierdzi, że bez tego postanowienia może nam zdradzić jedynie nazwisko sprawcy. Czyli tego Głazewskiego...

— Zatrzymajcie go.

— Prezes Głazewski jest w Działdowie.

— Zatrzymajcie tego lekarza — uściśliła Agata. — I załóżcie mu kaftan.

— On wcale nie sprawia wrażenia, jakby był szalony. Dzwoniłam do dyżurnego prokuratora. Jest gotów pomóc, ale potrzebuje twojego błogosławieństwa. Twierdzi, że jeśli trzeba, to da tego sędziego do telefonu.

— Jakiego sędziego?

— Dyżurnego. Ten lekarz bardzo chce nam pomóc. Twierdzi, że nie potrzebuje postanowienia. Wystarczy mu ustne zapewnienie sędziego, że takie postanowienie zostanie wydane.

— Co to za tryb?

— Ultrapilny. On nie chce, by zginął ktoś jeszcze. Jest przerażony, podobnie jak jego pacjentka.

— Oksana Awdiejewa? — Agata może i była daleko, ale trzymała rękę na pulsie.

— Zgadza się. Przywiózł tę Oksanę do swojego szpitala. Z Działdowa. Dwie godziny temu.

— Co tam robił? I co robił w Świnoujściu, w Stacji Muzeum...

— Nie chce powiedzieć. Twierdzi tylko, że starał się zostawić za sobą szeroki ślad. Chciał, żebyśmy go znaleźli.

— Zastanówcie się nad tym kaftanem.

— Wolalabym sędziego.

— Zgoda. Ale tylko dlatego, że pan Głazewski znajduje się na liście osób, które były w Zamku. Które uczestniczyły w tych cholernych andrzejkach...

— Mamy taką listę?

— Właśnie powstaje. Ściągnęliśmy kierowniczkę domu kultury. I Ewę Słubicką, chociaż ją powinno się akurat zamknąć, i to w wariatkowie. Taka lojalność wobec byłego męża to choroba. To trzeba leczyć.

Olga nie zamierzała dyskutować z Agatą o stosunku do byłych mężów. Wczorajszej nocy widziała dość, by ominąć ten temat szerokim łukiem. Pożegnała się i poszła do łazienki. Gdy wróciła do salki konferencyjnej, do której zaprosił ich Szwarz vel Zaniewski, lekarz właśnie kończył rozmawiać. Agata umiała działać naprawdę szybko.

— Dziękuję, panie sędzio. Tak. Dzięki. — Położył telefon na blacie, a potem uśmiechnął się z ulgą. — I już. Kamień z serca. Pogadamy... a potem wreszcie będę mógł spokojnie zasnąć. Ostatni tydzień to była masakra.

Masakra — powtórzył, a potem nachylił się nad stołem. Opalizujące spojrzenie zielonych oczu zdawało się spoglądać na samo dno duszy. — Jak zapewne wiecie, od kilku lat współpracuję z wymiarem sprawiedliwości, diagnozując ewentualne zaburzenia u najgroźniejszych przestępców.

Dla Olgi była to zupełna nowość, ale siedzący obok niej Dawid energicznie pokiwał głową. Jego spojrzenie wyrażało zachwyt.

— Dwa lata temu pisałem u Karola pracę zaliczeniową — oznajmił niepytany. — To wtedy się poznaliśmy. Jest w tej wąskiej dziedzinie absolutnym ekspertem.

— Jaka to dziedzina?

— Zajmuję się naukowo hybristofilią — odpowiedział Szwarz. — Jest to zaburzenie objawiające się specyficznym doborem partnerów seksualnych. W hybristofilii preferowanym obiektem pożądania są sprawcy najcięższych przestępstw. Zaburzenie to bywa określane w sposób potoczny jako miłość do zbrodniarzy.

— Ach tak. — Olga zrozumiała, że to właśnie on był tym doktorantem, o którym kilka dni temu wspomniał Dawid. — Rozumiem, że Arkanowicz jest dla pana ciekawym obiektem badań.

Szwarc entuzjastycznie pokiwał głową.

— Jego przypadek jest ekscytujący. Dariusz dostaje rocznie po kilka propozycji małżeństwa. I mnóstwo wiadomości od fanek. Poznałem go od strony zawodowej, ale po kilku sesjach przestał mnie traktować jako medyka. Otworzył się... co bardzo wzbogaciło moje badania. Dzięki niemu udało mi się dotrzeć do kilku zajmujących osób. Między innymi do Oksany Awdiejewej, którą poznałem we Lwowie. Pani Oksana przyjechała do Polski jako nastolatka, w pogoni za lepszym życiem. Jako studentka kolegium nauczycielskiego przy Szczęśliwickiej poznała Dariusza Arkanowicza — ucznia pobliskiej Kolejówki. Zostali parą, a po ukończeniu nauki przenieśli się do Działdowa. Ona podjęła pracę w tamtejszym przedszkolu, a on pracował...

i mordował w PKP. Po ujęciu Dariusza Oksana przeżyła załamanie nerwowe i odniosła obrażenia w wyniku potrącenia przez pociąg.

— To była próba samobójcza czy...

— Teraz, po latach, wciąż nie jest tego pewna. Doznała wstrząsu i jej wspomnienia mogą być zaburzone. Rozumiem pani wątpliwości... — Uniósł rękę, chociaż Olga niczego takiego nie zgłosiła. — Też analizowałem to, co mówiła: o szamotaniu, o odurzeniu, o tajemniczej Czarnej Damie... Ale skłaniałbym się jednak ku twierdzeniu, że to wszystko było wytworem jej wyobraźni. Oksana doświadcza takich zaburzeń regularnie. Na jesieni trafiła do nas właśnie z tego powodu.

— A co robiła w Polsce?

— Kolega załatwił jej udział w eksperymencie medycznym z dziedziny ortopedii. Dzięki serii zastrzyków i intensywnej fizjoterapii odzyskała część funkcji w okaleczonych kończynach. Po zakończeniu terapii postanowiła na jakiś czas pozostać w Polsce, a potem, zapewne pod wpływem wspomnień, pojawiły się problemy psychiczne i musiała pobyć trochę u nas. — Zawiesił spojrzenie na zakratowanym oknie. To była biurowa część szpitala, ale kiedyś musiała pełnić funkcję oddziału zamkniętego. — Wróćmy jednak do Arkanowicza i naszej rozmowy sprzed tygodnia. Czułem się tak, jakbym oberwał w głowę kijem do bejsbola... Przestępcy z ośrodka dla bestii mieli dostęp do radia, telewizji i — w ograniczonym zakresie — do Internetu. Za mury docierały przeróżne informacje. Zabójstwa w składach Kolei Mazowieckich nie odbiły się w mediach szerokim echem, ale Arkanowiczowi wystarczyły wzmianki. Szybko powiązał ze sobą kolejne akty przemocy i doszedł do poprawnego wniosku, że morduje jeden człowiek... Siedzieliśmy w przestrzeni wspólnej, tylko we dwóch. Ochroniarz stał na tyle daleko, że nie słyszał, o czym mówimy. Gadaliśmy o sporcie. Nagle Dariusz ni stąd, ni zowąd wypalił, że ostatnie dwie spośród ofiar, które mu przypisano, wcale nie zginęły z jego ręki. Twierdził, że w ekspresie „Świętowit” pojawił się jego naśladowca, silniejszy i skuteczniejszy. A potem zasugerował, że ofiary

z ostatnich tygodni giną w ten sam sposób, co ofiary naśladowcy. Gdy to przemyślałem, stwierdziłem, że jego słowa mają sens. Chciałem od razu do was pobiec. Był tylko jeden problem...

Treść rozmów z Arkanowiczem była objęta tajemnicą lekarską. Nie mogłem jej ujawnić bez zgody pacjenta, a ten... odmówił zgody.

— Uznacie to za dziwne, ale on bardzo się wstydził. To osobowość psychotyczna. Każde z zabójstw było dla niego czymś w rodzaju trofeum i nagle po raz pierwszy przyznał — także przed sobą — że dwa spośród tych trofeów wcale nie należały do niego. Przywłaszczył je... Tak, jak można sobie przywłaszczyć medal zwycięzcy, który nie stawiał się na dekoracji. To był dla niego ogromny problem.

Olga przypomniała sobie spotkanie z Arkanowiczem i musiała przyznać psychiatrze rację. Arkanowicz, zdradziwszy im swoją tajemnicę, dostał ataku. Szwarc napił się wody i mówił dalej.

— Miałem ograniczone możliwości działania. Chcąc być w zgodzie z samym sobą, nie mogłem do was przyjść i zażądać, żebyście mnie przesłuchali. Wiązała mnie ta piekielna tajemnica lekarska. Postanowiłem przyjrzeć się sprawie dwóch ostatnich zabójstw przypisywanych Dariuszowi i działać przy tym w taki sposób, żebyście sami mnie znaleźli. Miałem tylko jedną wskazówkę. Nazwisko Floriana Zaniewskiego, które podał mi Arkanowicz. Poszperałem w sieci i wyszedł mi ten Lidzbark Warmiński. Pojechałem tam i okazało się, że mam szczęście...

— Byliśmy tam. Nikt o panu nie słyszał.

— A z kim rozmawialiście?

— Z sąsiadami. Z pierwszego i drugiego mieszkania.

— Ja trafiłem na lepsze źródło. Żona Zaniewskiego, która umarła kilka miesięcy temu, w końcowym okresie życia wymagała opieki. Przychodziła do niej kobieta z ośrodka pomocy społecznej. Z wykształcenia psycholog. Okazało się, że wykładała na jej podyplomówce. Za piątkę na dyplomie — mrugnął okiem, by nie było wątpliwości, że żartuje — opowiedziała mi

wszystko, czego się dowiedziała. W tym to, że Zaniewski przed śmiercią miał swoje podejrzenia co do tego, kto jest zabójcą. Wdowa twierdziła, że wskazywał na Arkanowicza... No bo to Arkanowicz okazał się winny. Wtedy też tak pomyślałem, więc zacząłem sobie zadawać pytanie...

— Kto chciał ochronić Arkanowicza...

— Dokładnie. Komu zależało na nim tak bardzo, że był gotów zabić... aby tylko Arkanowicz nie został ujęty? Kto to mógł być? Kto byłby skłonny do aż takiego ryzyka?

Odpowiedź nasuwała się sama.

— Zakochana kobieta.

— Też tak pomyślałem, a jeszcze bardziej utwierdziłem się w tym przekonaniu, gdy odwiedziłem Dziwnów i Świnoujście. Bosacki, pracownik Warszawy, zginął na plaży. Był niepoprawnym kobieciarzem. Ergo zabiła go kobieta. Bo przecież nie wybrałby się na spacer z facetem.

Olga coraz mniej z tego rozumiała. Skoro wszystko wskazywało na kobietę, to czemu, do jasnej cholery, działdowscy policjanci latali teraz za jakimś prezesem?

— Potem pojechał pan do Działdowa?

— Nie. Potem pojechałem do Nidzicy, i to już nie sam, tylko z Oksaną. Zadałem jej wcześniej wiele pytań o tamte czasy i domyśliła się, że poluję na zabójcę. Ona też śledziła media. I też powiązała obecne zabójstwa ze sprawą Arkanowicza. Po powrocie do Ukrainy miała dwadzieścia osiem lat, by wszystko dokładnie przemyśleć. Pod wpływem moich pytań doszła do tych samych wniosków, co ja. I chciała pomóc.

— Czemu nie przyszła do nas?

— Nie pozwoliłem jej. Poznała część faktów pod wpływem naszych rozmów. Tajemnicy lekarskiej nie można ujawniać nawet przez pośredników... Gdy zorientowałem się, że mnie śledzi... po wizycie w Stacji Muzeum zaproponowałem jej współpracę. Razem pojechaliliśmy do Świnoujścia, a potem — za jej radą, ale już nie jej samochodem, tylko moim

— do Nidzicy. Do pana Kazimierza Ścibora, który jeździł pociągiem z Arkanowiczem. Tam też postanowiłem urządzić przedstawienie, tak by mnie zapamiętano. W Stacji Muzeum byłem genealogiem, w Świnoujściu angielskim prawnikiem, a w Nidzicy... — Nieoczekiwanie się uśmiechnął. — Postanowiłem zostać księdzem, a konkretniej zakonnikiem. Ojcem Olgierdem Zaniewskim, franciszkaninem z klasztoru w Vichy, który wyruszył na pielgrzymkę do Polski, aby odnaleźć prawdę o tragicznej śmierci wuja.

Olga pomyślała, że pomysł z kaftanem wcale nie był taki zły. Spotkała się z opinią, że w każdym psychiatrze tkwi cząstka szaleństwa. Chyba rzeczywiście coś w tym było...

— Skąd pomysł, by przedstawiać się imieniem i nazwiskiem zmarłego dziecka?

— Z cmentarza w Lidzbarku. To tam wymyśliłem, że muszę zostawić za sobą trop, po którym do mnie traficie. Nazwisko osoby luźno związanej ze sprawą Arkanowicza, a jednocześnie zmarłej zwracało uwagę, nieprawdaż? Po raz pierwszy posłużyłem się nim w Stacji Muzeum, gdy odgrywałem wnuka. Tam też wpadłem na to, by podawać numer telefonu zarejestrowanego na Arkanowicza. Byłem pewien, że was to zaintryguje. Zaintrygowało, prawda?

Olga pomyślała o całej energii, którą pochłonęła identyfikacja fałszywego Olgierda Zaniewskiego, ale zdołała zapanować nad irytacją.

— Czego dowiedział się pan w tej Nidzicy?

— Pan Kazio okazał się wojującym antyklerykałem, więc trochę podyskutowaliśmy przy pysznej nalewce jego małżonki. Okazał się też skarbnicą wiedzy o historii Arkanowicza, a na koniec rozmowy, rozmiękczony nalewką, opowiedział mi o epizodzie, który wolałby wyrzucić z pamięci. Chyba mimo niechętnego stosunku do wiary oczekiwał rozgrzeszenia.

— Co panu powiedział?

— Zdradził mi sekret. Otóż dwadzieścia osiem lat temu zarówno on, jak i pozostali członkowie załogi konduktorskiej postanowili zgodnie okłamać policję. Składając zeznania, nie wspomnieli o osobie, która w dniu zabójstwa

Zaniewskiego wchodziła w skład obsługi wagonu restauracyjnego. O kobiecie. Pan Kazio nie pamięta jej nazwiska ani nawet wyglądu. Ale za to doskonale pamięta ojca. Wielkiego faceta, lokalnego maharadzę... Tak go określił.

— Prezesa Głazewskiego?

— Tak jest. Podobno po zabójstwie Zaniewskiego prezes Głazewski dał każdemu kolejarzowi grubą kopertę. Wraz z sugestią, że jego córki wcale tam nie było... Tak więc postanowiłem odwiedzić tę córkę. W Działdowie, na starych śmieciach Arkanowicza.

— Córka Głazewskiego jest Janina Kossakowska?

— Tak. Ustaliłem to bez trudu, bo Głazewski to w Działdowie nie byle jaka persona. Pan Kazio miał rację. To prawdziwy maharadza. Odwiedziłem więc jego córkę, ale zamiast niej spotkałem zięcia, niejakiego Eugeniusza. Tym razem odgrywałem znerwicowanego dziennikarza. Najpierw utwierdziłem się w swoich podejrzeniach, bo na strychu znalazłem manekin, na którym ktoś, całkiem niedawno, ćwiczył ciosy. A w mieszkaniu... sto pucharów. Wszystkie dla Janiny. Najpierw Głazewskiej, a potem Kossakowskiej — za triumfy w konkurencji rzutu młotem.

— Młot sportowy jako narzędzie zbrodni?

— Wie pani, jak wygląda taki młot? Jeśli zna się technikę, to można nim rozwalić nawet czaszkę hipopotama. Byłem przekonany, że mam mordercę... I nie wiedziałem, co zrobić z tą wiedzą. Myślałem, że zwariuję. Zaraz potem spotkałem się na kawie z Sabiną Arkanowicz.

— Dlaczego pan się z nią spotkał?

— Chciała pogadać o mężu. Często niepokoi się jego stanem. Odwiedza mnie w Warszawie, więc nie byłem specjalnie zdziwiony, że chciało jej się przyjeżdżać do Działdowa i przez godzinę czekać pod kamienicą, aż skończę gadać z panem Eugeniuszem. Podczas rozmowy w kawiarni namówiła mnie na telefon do Dariusza. On często zamyka się w sobie, a ja jestem jedyną osobą, która potrafi do niego dotrzeć. Tak było i tym razem. A skoro już



rozmawialiśmy, zagadnąłem go, czy też dostał łapówkę od prezesa. Okazało się, że świetnie go pamięta. Często chodził do klubu i nawet się z nim przyjaźnił. Gdy spytałem o córkę prezesa, nagle zaniemówił. A potem powiedział mi, że ta dziewczyna była jeszcze bardziej walnięta od niego.

— Doprawdy?!

— No właśnie. Ale powiedział coś jeszcze. Podobno się zakochała. I przestała jeździć w trasy. Wtedy, gdy zginął Florian Zaniewski, nie wchodziła w skład załogi. Nie było jej na pokładzie.

— To czemu jej ojciec rozdawał te koperty?

— Dariusz nie umiał na to odpowiedzieć. Ale zasiał w moim sercu ziarno wątpliwości. Bo jego wersja zgadzała się z tym, co usłyszałem od męża Janiny, pana Gienka. Twierdził, że był wtedy w wojsku, a gdy wyszedł, wzięli z Janiną ślub. Powstało więc pytanie...

— Po co prezes rozdawał kasę.

— A także — co tam robił. Na dworcu, zaraz po zabójstwie... Zastanawiałem się, co dalej, i wtedy dopisało mi szczęście. Gdy wychodziłem z kawiarni, zobaczyłem ogłoszenie. *Benefis Andrzeja Głazewskiego*, w lokalnym domu kultury. Uznałem, że to dobry moment, żeby zadać mu kilka pytań. Tym razem zjawiłem się tam jako samorządowiec z okolic Nowego Miasta Lubawskiego. Pan Głazewski okazał się czarującym starszym panem. Przez pół spotkania mówił tylko o swojej córce. O jej sukcesach. O rekordach. I o tym, jak rozwalila sobie kręgosłup. Potem spotkaliśmy się w tak zwanych kuluarach. Również był czarujący, ale tylko do momentu, w którym się przedstawiłem. Gdy usłyszał nazwisko Zaniewski, stało się z nim coś dziwnego. Natychmiast się usztywnił. Tak, jakbym uwolnił duchy przeszłości. Chciał odejść, ale nie popuściłem. Spytałem, dlaczego jego córka nie zrobiła jeszcze większej kariery. Krajowej albo nawet międzynarodowej. Stwierdził, że dokonywała złych wyborów, że wiązała się z niewłaściwymi mężczyznami. A potem dodał... — Szwarc wstał i zgarbił plecy. Jego głos był

imitacją głosu starego, wystraszzonego człowieka: — „To dobre dziecko. Nie szukajcie dziury w całym”.

— Tak powiedział? Nie szukajcie...?

— Dziadek kompletnie się rozkleił. Musiał mnie wziąć za głos sumienia. Chwilę później wyszedł i wtedy mnie olśniło. Zrozumiałem, że na tamtym etapie nikt jeszcze nie wiedział, że te zabójstwa to robota Arkanowicza. I nagle wszystko wskoczyło na swoje miejsca. Uwaga Dariusza, że Janina była bardziej szalona niż on. To, że Zaniewski nie poszedł na policję, chociaż wytypował podejrzanego... Być może wcale nie był pewien, kto nim jest? Arkanowicz... a może ktoś inny? Idźmy dalej. Nagła rezygnacja Janiny z pracy w obsłudze Warsu. Łapówki dla załogi...

— Głazewski obawiał się, że jego córka była zamieszana w zabójstwa Arkanowicza? — przerwała Olga.

Psychiatra pokiwał głową.

— Takie same wątpliwości miał Zaniewski, a także Bosacki z Warsu. Oczywiście okazało się to bzdurą, ale wtedy nikt nie wiedział, że zabójcą jest Arkanowicz. Równie dobrze można było podejrzewać jego szaloną koleżankę. A może i dziewczynę... Staruszek wspominał przecież o niewłaściwych mężczyznach, którymi się otaczała. Jednym mógł być pan Gienio, a pozostali? Arkanowicz pasuje jak ulał. Oksana podejrzewała, że nie był jej wierny...

Olga słuchała teorii Szwarca, czując, jak puchnie jej głowa. Nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Pewne było tylko jedno. Jeśli Janiny rzeczywiście nie było wtedy w pociągu, to na pewno nie zabiła Floriana Zaniewskiego. Proste i logiczne.

— Twierdzi pan, że prezes zabił dwóch ludzi... Zaniewskiego i tego drugiego, ze Świnoujścia, tylko po to, by nie donieśli, że jego córka zabiła przedtem pięciu?

— Ojcowie robili bardziej desperackie rzeczy. Kiedy chodzi o dziecko, zdrowy rozsądek bywa zaburzony.

— Ale żeby aż tak?

— To nie koniec. Podobno Andrzej Głazewski był kiepskim ojcem. Przez wiele lat nie utrzymywał z córką żadnych kontaktów. Może dręczyło go poczucie winy?

— I postanowił w ten sposób odpokutować swoje błędy wychowawcze? — Olga pokręciła głową. Motywacja była dziwaczna, ale jeszcze bardziej zgrzytało w tej sprawie coś innego. — To starzec. Ile on miał wtedy lat? I ile ma teraz?

— Mężczyzna nie ma wieku. — Psychiatra mrugnął okiem, ale sekundę później był już w stu procentach poważny. — Andrzej Głazewski sam był wybitnym zawodnikiem. Rywalizował na poziomie ogólnokrajowym aż do czterdziestki, a potem brał udział w zawodach oldbojów. Ostatni raz trzy lata temu. W przeciwieństwie do córki wciąż jest sprawny. No i był wtedy na dworcu. Błagał, by nie wspominać o córce, by nie wiązać jej z tym, co się stało.

— A w Świnoujściu?

Lekarz posłał jej spojrzenie pełne dumy. Usiłował uchodzić za światowca, ale miał w sobie coś z zaściankowego narcyza.

— Start jeździł tam regularnie na obozy kondycyjne. Na ekspozycji znalazłem zdjęcie, na którym Głazewski stoi na plaży pod flagą z napisem *Świnoujście '93*. Nieźle, co?

Olga niechętnie przyznała mu rację. Była sceptyczna, ale to, co mówił, wydawało się jej coraz bardziej przekonujące.

— Wspomniał pan, że Głazewski wyszedł wcześniej...

— Wyszedł z budynku. To znaczy z Zamku. Ale nie wiem, czy sobie poszedł, czy został. Miał ze sobą dużą torbę.

— A w torbie?

— Wieczorem rozmawiałem też z Ewą Słubicką — powiedział, ignorując jej pytanie. — Chciałem jeszcze raz, na spokojnie, obejrzeć zdjęcia. No i zostawić za sobą jeszcze wyraźniejszy trop, dla was... I wtedy przybiegła

Oksana. Tak jak podczas poprzednich moich rozmów, kręciła się w pobliżu... Czyli w tym przypadku nieopodal murów, w ciemnym parku. I zobaczyła...

Oblizła wargi. Olga nie wytrzymała i podniosła się z krzesła. Cała dotychczasowa rozmowa wydała jej się błaha. Bez znaczenia.

— Zobaczyła, jak zabójca atakuje Kacpra Słubickiego?

— Nie wiemy, jak się nazywał. To był młody mężczyzna. Oksana zobaczyła sam moment uderzenia.

— A napastnika?

— Było ciemno, ale rozpoznała, że napastnik jest wysoki. — Zawiesił głos. Nie musiał dodawać, że wysoki jest także prezes. — Natychmiast uciekł. Oksana podeszła do chłopaka, ale on leżał we krwi, z zamkniętymi oczami. Ciężko ranny albo martwy. Zawiadomiła policję, a potem... Zupełnie się rozsypała. To było dla niej zbyt wiele. Chciała uciec, ale udało mi się ją znaleźć. Przywiozłem ją tutaj... i dopiero gdy niosłem jej rzeczy do depozytu, zorientowałem się, że jej torebka jest za ciężka. Dużo za ciężka.

Sięgnął pod stół i wyciągnął spod niego zawiniątko. Owalny przedmiot owinięty foliową torbą.

— Co to? — wyszeptała Olga.

Karol Szwarc bez słowa rozchylił brzegi torby. W jej wnętrzu spoczywała metalowa kula zespolona ze stalową linką. Przymrużył oczy. Był zadowolony. Bardzo zadowolony.

— To młot sportowy — oznajmił uroczystym tonem. — Narzędzie zbrodni. Na ręczce powinny być odciski palców prezesa Głazewskiego, a na tej kuli — mikroślady tego chłopaka.

Wyciągnęła ręce, ale Dawid okazał się szybszy. Siedział dotąd cichutko jak myszka. Niemal zapomniała, że tu jest.

— Najwyżej cztery kilogramy — stwierdził, trzymając reklamówkę i przyglądając się uważnie zabójczej zawartości. W jego głosie było słycać pełno wątpliwości. — Pan Głazewski jest byłym sportowcem. Można

powiedzieć, że sportowcem starej daty. A tacy zazwyczaj cenią sobie uczciwość.

— Co to ma do rzeczy? — prychnęła Olga.

— Być może nic. — Wzruszył ramionami. Napastliwy ton wyraźnie go peszył. — Ale czy ktoś taki jak Andrzej Głazewski posłużyłby się młotem dla kobiet?

## 20.

Było prawie tak jak dawniej. Stałem pod natryskiem, chwiejąc się na nogach ze zmęczenia i wystawiając zmarznięte ciało na strumienie rozkosznie ciepłej wody. Nie była to łazienka w hotelu Sheraton, tylko pokryta popękkanymi kafelkami salka przy klubowej szatni, ale... Nie chciałem niczego więcej. Czułem się tu jak w domu, bo kiedyś to naprawdę był mój dom. W stosunku do dawnych czasów różnica była tylko jedna — obok mnie nie kapało się piętnastu innych, wiecznie rozwrzeszczanych brudasów. Byłem sam i to była przyjemna odmiana. Mogłem nucić pod nosem bez żadnego ryzyka, że Marcel — rezerwowy stoper i jednocześnie drużynowy błazen — w przypływie dobrego humoru nasika mi na nogę.

Gdy splukiwałem głowę, rozległo się energiczne walenie w drzwi. Zmyłem resztę szamponu, który pożyczyłem z szafki na rzeczy znalezione, a potem uchyliłem jedno oko i ze zdziwieniem odkryłem, że przede mną stoi pani Janina. Była tak blisko, że odbijające się od mojego ciała krople wody moczyły powyciągany klubowy dres, którym zastąpiła stare, brudne ubranie. Podskoczyłem, po czym — tak szybko, jak umiałem — zakryłem się ręcznikiem. To, że ze sobą mieszkaliśmy, nie upoważniało jej do mycia mi pleców.

— Pani Janino, co się...

— Spójrz za okno.

Kłęby unoszącej się w pomieszczeniu pary wodnej sprawiały, że jej twarz zdawała się kryć za przegrodą z matowego szkła. Zdradziła ją dopiero barwa głosu. Pani Janina z trudem panowała nad łzami — co było dość dziwne, bo zaledwie kilka minut temu dała się wreszcie przekonać, że wszystko będzie dobrze.

— Pani Janino.

— Przez okno.

W innych okolicznościach zarzuciłbym jej złośliwość. Okno było wysoko, a ja nie należałem do wielkoludów, ale przecież nie mogłem zignorować prośby — nie, kiedy została wyrażona takim tonem. Poradziłem sobie, wdrapując się jedną stopą na żeliwną rurę, a drugą — na pordezwiasty kran, z którego nigdy nie leciała woda. Zrozumiałem, co czują kobiety w minispódniczkach, gdy wdrapują się na strome schody. Jedną ręką przytrzymałem ręcznik, a drugą przejechałem po zaparowanej szybie, usuwając wilgoć. Widok, który ujrzałem, wstrząsnął mną do głębi — niewiele brakowało, a poleciałbym do tyłu.

— Co oni robią?

Na podjeździe przed wejściem do klubowego budynku stały trzy auta policyjne — dwa osobowe i jedna okratowana furgonetka. Funkcjonariusze wyprowadzali właśnie prezesa Głazewskiego. Na przegubach miał kajdanki, a na twarzy — wyraz bezgranicznego zdziwienia. Policjanci mieli czarne mundury. Jeśli dobrze kojarzyłem, był to strój formacji BOA — Biura Operacji Antyterrorystycznych. Naliczyłem siedmiu, trzech pozostałych siedziało za kierownicami samochodów.

— Co się dzieje?

— Zamykają go za to, że nam pomógł.

Głos pani Janiny drżał, a oczy znów były mokre. W ciągu ostatnich dwóch godzin wylała wiadro łez.

— Czy w takim wypadku nie powinni zamknąć także i nas? — Policjanci pomogli Głazewskiemu zająć miejsce w jednym z pojazdów, a potem odjechali zupełnie niezainteresowani zatrzymywaniem kogokolwiek innego. Zeskoczyłem na śliską podłogę i niewiele brakowało, a wywinąłbym orła. Poczulem ból w miejscu, które wczoraj w nocy musnęła ciężka siata prezesa. Po raz kolejny pomyślałem, że powinienem się ujawnić — i pojechać do szpitala. Zdrowie powinno być na pierwszym miejscu. Ale tego dnia miałem do załatwienia coś ważniejszego. — Pani nie płacze. — Wytarłem się

pobieżnie, a potem zacząłem się ubierać. Głazewski pożyczył dres także i mnie — tyle że o dwa rozmiary mniejszy od tego, który miała na sobie Kossakowska. — Pani ojciec to najuczciwszy człowiek, jakiego znam. To musi być pomyłka... — Urwałem tknięty przecuciem. — A może zatrzymują wszystkich, którzy byli wczoraj w Zamku?

— Podejrzewają, że to... on?

Ta myśl była tak absurdalna, że oboje zachichotaliśmy. Prezes, podobnie jak większość ludzi o jego gabarytach, był łagodnym człowiekiem, który nie skrzywdziłby muchy, a co dopiero swojego ulubionego ekspikarza. Nawet gdy zobaczył mnie ze swoją ukochaną córeczką w zdewastowanym wnętrzu działkowej altany, stać go było jedynie na zamarkowanie ciosu przyniesionym w siatce termosem.

— To na pewno rutynowe działanie. Albo pomyłka — dodałem, bo chociaż obecność funkcjonariuszy BOA była zastanawiająca, nie chciałem jej denerwować. I tak wiele już przeszła. Postanowiłem sprowadzić rozmowę na bezpieczniejsze tory. — Nie wiedziałem, że jest pani jego córką. Sądziłem, że nie ma dzieci.

— Przez wiele lat nie utrzymywaliśmy kontaktu. Teraz nadrabiamy stracony czas. Pamiętaj, Kacperku. Życie jest zbyt krótkie, by wojować z najbliższymi.

— Nie wierzę, by kiedykolwiek z panią wojował — zaryzykowałem, przypominając sobie rozmowę, którą odbyliśmy kilka kroków stąd, w jego gabinecie.

Zasugerował wtedy, że zawodniczki sekcji siłowych są mało atrakcyjne, ale zaraz dodał, że nie wszystkie. Trudno, by odmawiał urody własnej córce.

— Wina była po mojej stronie — przyznała pani Janina. Zza okna dobiegł dźwięk uruchomionej na moment policyjnej syreny. Kobieta położyła dłoń na obfitej piersi. Jej głos stał się nagle głosem bezradnej staruszki: — Czego oni mogą chcieć? A może chodzi o te... łapówki?

— O jakie łapówki? — spytałem zaniepokojony, ale jej następne słowa



sprawiły, że odetchnąłem z ulgą.

— O te koperty, które wręczał kolejarzom, gdy odbywałam praktyki. Skoro drażą sprawę Arkanowicza, to mogli się tym zainteresować.

— To była policja, a nie CBA. Zresztą to nie były łapówki. Przecież mówił, że płacił im, żeby mieli na panią oko.

— Byłam trochę niesforna, to fakt.

Nie byłem w nastroju, ale i tak się roześmiałem. Znałem ją jako stateczną, odpowiedzialną kobietę, ale dziś dowiedziałem się, że nie zawsze taka była. Trzydzieści lat temu była zbuntowaną nastolatką. Pijącą, palącą i oddającą się innym zakazanym rozrywkom. Mogłoby się wydawać, że Głazewskiego najbardziej zabolalo, gdy w ostatniej klasie technikum zrezygnowała z treningów. Ale nie. Najpierw był ojcem, a dopiero potem trenerem. Kochał ją do szaleństwa i robił wszystko, by ją ochraniać. Gdy usłyszał o jej nieobyčajnym zachowaniu podczas służbowej podróży ekspresem „Świętowit”, zaczął regularnie opłacać kolejarzy, by mieli na nią oko, a gdy pociąg przejeżdżał przez Działdowo, niczym żandarm pojawiał się na pokładzie, by poddać ją rodzicielskiej kontroli.

Robił tak nawet wtedy, gdy zaczęła się zamieniać.

Janina po raz pierwszy zamieniła się w czerwcu, zaraz po tym, jak się zakochała. Gdy jej wybranka, Eugeniusza Kossakowskiego, wzięli do wojska, jeździła ekspresem „Świętowit” coraz rzadziej. Po tym, jak nie było jej na miejscu podczas pierwszej przepustki, nie chciała przegapić kolejnej. Głazewski nie pochwalił jej wyboru z wielu względów, a jednym z nich była niepewność. Od kiedy w życiu Janiny pojawił się Eugeniusz, nigdy nie wiedział, czy w przedziale Warszawy powita go poirytowana córka, czy jej uśmiechnięta koleżanka. Zżymał się na te zamiany, ale kolejarzom było wszystko jedno. Swe koperty i tak brali z góry.

— Może odkryli, że znał się z tym kolejarzem, który zginął?

Kossakowska otarła mokrą twarz. To nie było nierealne.

— Nazywał się Zaniewski. Ojciec mówił na niego „księgowy”, bo podobno

najszybciej przeliczał pieniądze z kopert... Kacperku, co robimy? Ukrywamy się dalej czy...

Zawahałem się, a potem włączyłem telefon. W szatni, tak jak za dawnych lat, nie było zasięgu, więc ruszyłem korytarzem w stronę gabinetu prezesa. Minęła siódma i w klubie zaczęli się pojawiać pierwsi pracownicy. Przed gabinetem fizjoterapii stał masażysta, który zajmował się także moim Adasiem.

— Czy ja dobrze widziałem? Miałem wrażenie, że z bramy wyjeżdżała policja.

— Poważnie? — spytałem szybko, nie chcąc, by pani Janina powiedziała o słowo za dużo.

To było małe miasto, a takie miasteczka karmiły się plotką.

— Co się panu stało?

Przejrzałem się w wypucowanej szybie mijanej witryny. Na czole miałem kolorowego sińca, a w jego centralnym punkcie — dwa świeżutkie szwy. Pilnie potrzebowałem plastra.

— Nie uwierzy pan, ale potknąłem się na schodach.

— Bywa i tak — mruknął, udając, że mi wierzy.

Moja reputacja podpowiadała mu zapewne, że wymieniałem ciosy pod sklepem nocnym.

Gabinet Głazewskiego pozostał otwarty. W jego wnętrzu odzyskałem zasięg. Zaczęły spływać wiadomości, głównie o nieudanych połączeniach. Kilka pochodziło z numeru zastrzeżonego, a zatem — prawdopodobnie — z policji. Dzwonił do mnie także Konrad. Helena. A nawet Ewka. No i oczywiście Manuela. Wybrałem jej numer, ale zanim uzyskałem połączenie, wcisnąłem czerwoną słuchawkę.

Wciąż brakowało mi odwagi.

— Powinniśmy pójść na policję.

— Jeszcze chwilę, pani Janinko. Jeszcze chwilę.

Stała pod dużym, nisko nasyconym kolorami zdjęciem, na którym jakiś

zapomniany fotograf uwiecznił jej twarz, młodszą o trzydzieści lat. Młodsza Janina, występująca wówczas pod panińskim nazwiskiem Głazewska, obejmowała na zdjęciu wyższą, szczuplejszą i o wiele ładniejszą koleżankę. Odwróciłem wzrok w kierunku okna, za którym ćwiczyły ich następczynie. Byli też panowie, o ciałach gladiatorów. Obserwując, jak truchtają, doszedłem do wniosku, że tak musieliby wyglądać synowie Herkulesa i królowej Amazonek. Dobrze, że nie było ich na miejscu, gdy zatrzymywali prezesa. Gdyby doszło do przepychanek, funkcjonariusze BOA mieliby problem.

Z tych mało konstruktywnych rozważań wyrwał mnie dźwięk melodii, którą przypisałem w kontaktach Manueli. Zaczerpnąłem powietrza jak przed skokiem na głęboką wodę. A potem odebrałem. Zanim zdążyłem powiedzieć „cześć”, zasypała mnie gradem pytań, które można by streścić jednym: jak się czuję i czemu, do cholery, uciekłem ze szpitala.

— Jest okej. — Zacisnąłem powieki. Dlaczego to było takie trudne? — Słuchaj, Manuelo, pewnie się zastanawiasz, co pod twoimi oknami robi policja...

— Ja jestem teraz na policji. Składam zeznania. Oni chcą, byś natychmiast tu przyjechał.

— Zaraz będę.

— Nie, masz wrócić do szpitala. Natychmiast. Zaraz po tym, jak mi odpowiesz. Dlaczego nie kazałeś mnie zawiadomić?!

Zawodnicy sekcji lekkoatletycznej truchtali w moją stronę. W porannej szarówce ich twarze były rozmazane, ale udało mi się rozpoznać tego, który pozdrawiał moją matkę. Zaraz po tym, jak z kolegami wybawił mnie z opresji.

— Nie chciałem zawracać ci głowy.

— Słucham?! Przecież... chyba coś nas łączy?

Matka trenowała w klubie pod koniec lat osiemdziesiątych. Jedyne przez dwa lata, bo potem urodziła mnie.

— Manuelo, nie denerwuj się. Powiedz mi... jest z tobą Anielka?

Zawodnicy nie mieli prawa poznać mojej mamy. Ostatni raz była tu wiele

lat temu, w charakterze kibica. Mojego kibica. Jej przygoda z lekkoatletyką była jedynie niewartym wspomnienia epizodem.

— Anielka jest z moją mamą.

— Na komendzie?

— Nie. Chcą ją przesłuchać, ale to przecież bez sensu. Jedzie tu psycholog...

— A gdzie jest?

— Anielka? Mama wzięła ją na fizjoterapię. Powinny wrócić za jakieś pół godziny.

Te słowa brzęczały mi w głowie niczym rój dzikich pszczół. Spojrzałem na panią Janinę, a potem przeniosłem wzrok na zdjęcie. Jej koleżanka sprzed lat trzymała w ręku młot — z taką lekkością, jakby to był wachlarz. Twarz wyglądała znajomo. Ten uśmiech... Nie sposób było pomylić go z innym.

— Czy jest tam gdzieś Konrad?

— Przed chwilą przechodził.

— Dogoń go. I przekaz mu słuchawkę.

— Ale...

Zawodnik, który prosił, by pozdrowić mamę, nie miał na myśli mojej mamy. Zwracał się nie do mnie, tylko do Manueli. Jej mama była w młodości świetną zawodniczką. To ona uśmiechała się ze zdjęcia w gabinecie prezesa, obejmując jego córkę. Były najlepszymi przyjaciółkami. To Elżbieta Rogalska była koleżanką, która zastępowała Janinę jako barmanka w Warsie ekspresu „Świętowit”.

Ich losy potoczyły się inaczej. Pani Janina skończyła gastronomik i została kucharką, a potem podjęła pracę w PKP. Dawne kontuzje sprawiły, że obecnie balansowała na granicy inwalidztwa. Z kolei Elżbieta po urodzeniu Manueli skończyła studia, a potem się rozwiodła i wróciwszy do panińskiego nazwiska Rogalska — zaczęła karierę w samorządzie. Obecnie kierowała domem kultury. W przeciwieństwie do dawnej koleżanki uniknęła poważnych kontuzji i zachowała zdrowie. Wciąż umiała machać młotem.

Wczorajszej nocy przekonałem się o tym na własnej skórze.

Gdy dobiegłem na dworzec, słańałem się na nogach. Marzyłem, by paść na ziemię i zasnąć, ale stawka była zbyt duża, by odpuścić. Moje myśli wypełniały dwie kobiety i żadną z nich nie była Manuela. Myślałem o Anieli i jej szalonej matce. Nie miałem pojęcia, czy była aż tak szalona, by skrzywdzić własne dziecko. Na razie wiedziałem jedynie, że nie dotarła z nią na zajęcia z fizjoterapeutą. Zniknęła. Razem z córką zapadły się pod ziemię.

To było przerażające.

Nie wiedziałem, czemu przybiegłem właśnie tutaj. Być może dlatego, że od wielu dni moje życie kręciło się wokół dworców, pociągów i pasażerów. Szanse, że spotkam tu Anielkę, były mizerne. Jej matka miała przecież samochód. Ale drogi wyjazdowe to była teraz broszka Konrada. Obiecał, że wszystkim się zajmie, i doradził, bym wrócił do szpitala. Doradził, a nie nakazał.

Znał mnie zbyt dobrze. Wiedział, że go nie posłucham.

Gdy uspokoiłem oddech tak, że byłem w stanie mówić, podszedłem do okienka kasowego.

— Czy widziała pani kobietę... z niepełnosprawną... dziewczynką? — wydyszałem.

Niestety kasjerka nie potrafiła mi pomóc. Sama pojawiła się tu przed kilkoma minutami.

— Osoby niepełnosprawne mogą kupić bilet bezpośrednio od konduktora, bez dopłaty — pouczyła mnie, jakbym tego nie wiedział.

Zagadnąłem jeszcze kilka osób, ale w odpowiedzi otrzymałem same zaprzeczenia. Źle formułowałem pytanie. Aniela wyglądała jak zwyczajna dwudziestolatka. Jej deficyty na pierwszy rzut oka były prawie niewidoczne.

— Czy widziała pani dwie kobiety? Matkę z córką?

Bezdomna obdartuska zakaszłała, a potem wsadziła do bezzębnych ust połówkę papierosa, którą wygrzebała ze śmieci.

— A jeśli tak, to co?

Zrozumiałem, że domaga się zapłaty za informację. Niestety, nie miałem niczego, co mogłem jej dać. Ruszyłem w kierunku peronu, ale kazała mi poczekać. W brudnych włosach miała dziwną fioletową kokardę, którą musiała gwizdnąć jakiejś siedmiolatce.

— Pojechały osobowym do Olsztyna.

— Czy młodsza z kobiet... — Nie wiedziałem, jak to sformułować. Ostatecznie postawiłem na prostotę przekazu, bo to nie był czas na ozdoby: — Czy była inna?

— Płakała. A matka ciągnęła ją za kurtkę.

Opis mógł pasować do wielu osób, ale chwyciłem się go jak ostatniej deski ratunku. Musiałem coś zrobić, bo inaczej załamałbym się nerwowo. Podbiegłem do tablicy z rozkładem jazdy. Zła informacja była taka, że pociąg odjechał czterdzieści minut temu, a dobra — że następny miał być za pięć. Kręcąc się nerwowo po peronie, zignorowałem kolejne połączenie od Manieli. Bardzo mi na niej zależało. Nie chciałem być tym, który poinformuje ją, że jej własna matka jest zimmokrwistą morderczynią.

Po takim wyznaniu trudno jest zbudować szczęśliwy związek.

Pociąg nadjechał dwie minuty przed czasem. Nie zdarzało się to często. Podeszedłem do konduktora i pokazałem mu swoją legitymację PKP. Obrzucił zdziwionym spojrzeniem mój klubowy dres i poplamioną kurtkę, a potem zatrzymał wzrok na rozbitej głowie.

— Potrzebujesz pomocy, kolego? — spytał niechętnie.

— Tak. Czy może pan sprawdzić...

Nie robił problemów. Połączył się przez radio z załogą wskazanego przeze mnie pociągu i przez chwilę czekał na odpowiedź.

— Zgadza się. — Wydobywający się z radia głos był metaliczny, a w tle pobrzmiwały charakterystyczne dla takich rozmów szumy. — Koleżanka sprzedawała bilet ze zniżką dla niepełnosprawnych. Do Waplewa.

Podziękowałem, a potem — poruszając się sztywno niczym robot —

zająłem miejsce w wagonie. Wcześniej byłem zaniepokojony, ale teraz poczułem przerażenie. Dlaczego ta wariatka jechała z dzieckiem do Waplewa? Tam niczego nie było. Tylko opuszczony dworzec, ruiny szkoły i...

I ten cholerny zakręt, na którym Oksana Awdiejewa straciła rękę i nogę.

Konduktor przyłożył nadajnik do ust i powiedział do niego znajomą sekwencję słów. Pociąg numer taki a taki — gotów do odjazdu. Wsiadł tuż przed zamknięciem drzwi i skinął mi głową. W tym samym momencie pociąg ruszył z miejsca. Zaczął się rozpędzać i wtedy...

Wtedy zobaczyłem, jak na peron wbiega zdyszana Manuela.

— Każ zatrzymać!

Konduktor zareagował błyskawicznie. Sekundę później szarpnęło i pociąg wytracił prędkość, aż wreszcie stanął — na samej krawędzi peronu.

— Kolego, bez takich numerów.

Pogroził mi palcem, ale kazał maszyniście zdjąć blokadę z drzwi. Manuela dopadła do ostatnich. Przymknąłem oczy. Po chwili usłyszałem stukanie jej butów.

— Kacper?

Poczułem na policzku dotknięcie jej ust. Podniosłem powieki, ale nie umiałem się zmusić, by spojrzeć jej w oczy.

— Jesteś?

— Tak, jestem. — W jej głosie nie było słabości, rozżalenia czy szoku, lecz jedynie determinacja. — Zabrała ją do Waplewa?

— Skąd wiesz?

— Bo to do niej podobne. — Ścisnęła mi nadgarstek. Tak mocno, że syknąłem. — Moja matka zawsze była jebnięta. Nie wiedziałam tylko, że aż tak.

Gdy jechaliśmy tą trasą ostatnim razem, towarzyszyły nam dzieci. Było głośno, niekiedy wesoło, a czas płynął tak szybko, że ani się obejrzeliśmy, a byliśmy już na miejscu. Teraz było zupełnie inaczej. Miałem wrażenie, że

pociąg posuwa się wolniej, znacznie wolniej. Pewnie jechał normalnie, ale w tym stanie świadomości zbyt wolna byłaby dla mnie nawet rakietka.

— Czy ona już tam była?

Manuela wzruszyła ramionami. Chociaż posłużyłem się enigmatycznym „ona”, doskonale wiedziała, że pytam o jej matkę.

— Pewnie to ona wpełzła pod pociąg Oksanę.

— Tak myślisz?

— Nie myślę. Po prostu wiem, że jest zdolna do wszystkiego. To chory człowiek.

— Nie da się ukryć — potwierdziłem ostrożnie.

Czułem się cholernie niezręcznie, ale to wcale nie był największy problem. Problemem była Aniela. To dlatego jej starsza siostra przygryzała wargę aż do krwi.

— Ona naprawdę jest chora. Leczy się psychiatrycznie. To dlatego tak się wkurzyłam, gdy nazwałeś ją wariatką, tam, na Zamku. Nieświadomie trafiłeś w mój czuły punkt. Chorych psychicznie nie powinno się nazywać wariatami.

Powstrzymałem się od przypomnienia, że przed chwilą określiła ją dużo gorzej. Potrafiłem myśleć tylko o tym cholernym fragmencie torów. Oczywiście dałem znać Konradowi, ale przecież nie wiedział, w którym miejscu pociąg potrafił Oksanę. Policja nie mogła obstawić całego odcinka. Był zbyt długi.

— Ojciec musiał się domyślać. — Manuela pod wpływem stresu wpadała w słowotok. Zazdrościłem jej. Mnie robiło się niedobrze. — Znał ją jak nikt inny. Wiedział, że jest niezrównowazona. Ale nie wierzył, że zaatakuje także jego. Przecież gdyby było inaczej, to nie dałby się zaskoczyć.

— Wiedział, że jeździła ekspresem „Świętówit”, z Arkanowiczem? Jako barmanka w Warszawie?

— Nie mam pojęcia. Pracował w tym czasie w Warszawie.

— A ty?

— Ja byłam dopiero w planach. Dopiero miałam się urodzić. Podobno gdy



przyszłam na świat, matka miała lepszy okres. Jej choroba ujawniła się w pełni dopiero po narodzinach Anieli. Wiesz, co zrobiła?

Pociąg zatrzymał się w Nidzicy. Miałem ochotę wrzasnąć na wsiadających ludzi, by robili to sprawniej.

— Skąd mam wiedzieć?

— Wyrzuciła ojca z domu. Uważała, że to jego wina. Że to przez niego Anielka jest... specjalnym dzieckiem. Bo tata miał niepełnosprawnego brata.

Przypomniałem sobie zdjęcie garbatego karła wiszące w salonie mieszkania Twardygrosza. Gdy je ujrzałem, myślałem, że to tylko ozdoba, taka jak zawieszona obok repliki szabel czy fajans wrocławski. Przejaw specyficznego gustu.

— Ojciec zgodził się wynieść?

— Nie widziałeś jej. Dostała szału. Ale przez następne lata ojciec opiekował się nami częściej niż ona. Ona wciąż się leczyła i nadszedł w końcu czas... — Uderzyła pięścią w oparcie fotela, za którym siedziała. — Wyleczyła się. Podobno. Wróciła do pracy, zrobiła karierę, wdrapała się na ten swój stołek kierowniczkowski domu kultury... Ale ja nigdy jej nie ufałam.

— Nie?

— A niby dlaczego wyjechałam? Kocham Działdowo. Bardziej niż tę cholerną Hiszpanię. Ale nie chciałam z nią mieszkać. Nie chciałam z nią żyć. Nie wierzyłam, że zrobi coś takiego... Prawdę mówiąc, wciąż nie mogę w to uwierzyć. Ale była trudna. Cholernie trudna we współżyciu.

Pomyślałem, że mogłaby przybić piątkę z Ewą. Moja była żona uważała podobnie. I prawdopodobnie wiedziała o problemach psychicznych pryncypalki. To było małe miasto. Określenie „wariatka”, które stosowała z takim upodobaniem, nie było przypadkowe.

— A jednak wróciłaś. Wróciłaś do Działdowa.

Zacisnęła dłoń w pięść, a potem ją rozwarła. W okolicach nadgarstka w jej skórze odcisnęły się półksiężycy paznokci.

— Żał mi było Anielki. Chciałam ją zabrać, ale nie wyszło. Wynajęłam

mieszkanie w sąsiednim bloku, zatrudniłam się w przedszkolu... Ale to miało być tymczasowe. Miałam wyjechać. Nie chciałam mieszkać z nią w tym samym mieście.

Ani razu nie nazwała jej matką, a gdy o niej mówiła, z jej oczu sypały się iskry. Zebrałem się na odwagę i ująłem jej dłoń. Nie odtrąciła mojej ręki. Przeciwnie, przywarła do mnie i musnęła ustami ranę na czole.

— Nawet nie wiesz, jak mi wstyd...

— Daj spokój. Zobaczysz, jeszcze mnie polubi. — Chrząknąłem. To nie był odpowiedni moment na żarty, ale nie umiałem inaczej. — Kiedyś rozwiązywano takie sprawy czarną polewką... Co robiła na strychu u Kossakowskich?

Wciąż miałem w pamięci manekin, na którym trenowała uderzenia. Gdyby się bardziej przykładała, leżałbym w kostnicy, zamiast siedzieć tutaj.

— To wspólny strych. Dostęp do niego mają wszyscy mieszkańcy kamienicy. Także mój ojciec. Jakiś czas temu poprosiła, żebym pożyczyła od niego klucze. Twierdziła, że chce przechować tam stare książki... Widocznie uznała, że to dobre miejsce do ćwiczeń. — Wzdrygnęła się. — Na pewno lepsze niż ten pokój z kuchnią, w którym mieszka... To nie tutaj?

Wstała, a raczej — zerwała się na nogi. Stacyjka była podobna, ale ta w Waplewie znajdowała się dalej w stronę Olsztyna. Mimo to na leśnej drodze zobaczyłem zaparkowany radiowóz. Napięcie, które odczuwałem, nieco zelżało. Konrad obstawił cały teren.

— Po co Anielka jeździ do Warszawy? — spytałem, ściągając ją z powrotem na fotel. Przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby nie rozumiała, o co pytam. — Po co jeździła tam w sierpniu?

— Byłam wtedy za granicą. — Zmarszczyła czoło. — Zdaje się, że miała badania w Centrum Zdrowia Dziecka. Formalnie nie jest już dzieckiem, ale z medycznego punktu widzenia... Sam wiesz, jak jest. Anielka robiła postępy, ale niestety w czasie wakacji bardzo się uwsteczniła. Można powiedzieć, że zrobiła kilka kroków w tył.

— Dlaczego?

— Kto to może wiedzieć?

— Czy taka... regresja może być efektem urazu psychicznego? Stresu?

Nie umiała mi odpowiedzieć, ale wyczułem, że jestem na dobrym tropie. Nie byłem psychiatrą, ale nie sądziłem, by medycyna знаła przypadki, w których zaleczone deficyty powracały tak po prostu, bez wyraźnego powodu.

— Anielka jest dla niej ważna, prawda?

— Tak. Taką mam nadzieję. — Znów zacisnęła pięści. — Tylko to trzyma mnie przy zdrowych zmysłach. Mogłaby skrzywdzić każdego... Ale nie ją.

Odwróciłem twarz do okna. Jeśli Anielka była świadkiem napaści na Gienka Kossakowskiego, to z pewnością doświadczyła traumy. Gniew jej matki musiał zwrócić się w stronę tych, którzy za to odpowiadali. Czyli w stronę napastników. A także tych, którzy do tego dopuścili. Czyli obsługi pociągu. Byłego męża, który zamiast zajmować się córką... na przykład sprawdzał bilety.

Potwierdzenie tej koncepcji nie było skomplikowane. Przynajmniej w teorii, bo numer Gienka nie odpowiadał. Spróbowałem jeszcze raz, a potem się podniosłem.

— Gdzie idziesz?

— Zaczekaj.

— Nie ma mowy.

Ruszyła za mną na czoło pociągu, który ruszał właśnie z kolejnej stacyjki. Tej, która poprzedzała Waplewo. Konduktor już nie patrzył na mnie z wyższością. Stał wyprężony niczym struna, nie wierząc w to, co słyszy.

— ...zachować szczególną ostrożność. Powtarzam, na odcinku między stacjami Bujaki i Waplewo należy zredukować prędkość do dwudziestu kilometrów na godzinę i zachować szczególną ostrożność.

— Czy pan wie, o co chodzi?

Odetchnąłem z ulgą, bo przyszedłem tu z zamiarem powiedzenia tego

samego, co dyspozytor ruchu, i bałem się, że nie zostanę wysłuchany. Konrad spisał się na medal.

— Chcę wejść do kabiny maszynisty.

— To wbrew procedurom...

— Powiesz, że cię sterroryzowałem.

Byłem gotów wcielić tę groźbę w życie, ale nie musiałem. Konduktor oddał mi klucze, a potem porozumiał się z maszynistą. Chwilę później znaleźliśmy się za jego plecami. Zareagował na błysk lampki czuwaka, a potem zredukował prędkość.

— Samobójca? — Był człowiekiem w średnim wieku, z niestandardowym zarostem à la młody Adam Mickiewicz. Bokobrody dochodziły mu aż do linii szczęki. — Pamiętam podobną sytuację z czasów, gdy jeździłem na LHS-ce. Tam była kobieta z małym dzieckiem. To się nazywa samobójstwo rozszerzone...

— Niech pan nie kracze — poprosiłem, czując, jak stojąca przy mnie Manuela sztywnieje z niepokoju. — Jak daleko jest stąd do Waplewa?

— Cztery minuty... Przy normalnym tempie. Czyli jakieś pięć kilometrów.

Liczenie zawsze szło mi lepiej, gdy byłem przy tablicy. Stres, zamiast paraliżować, motywował mnie do wysiłku.

— Czyli przy tym tempie piętnaście minut.

Patrzyłem przez szybę panoramiczną, wypatrując jakiegokolwiek anomalii. Ale nic się nie działo. Na bezlistnych drzewach siedziały wrony, a tor — prosty jak strzała — dzielił zadrzewiony teren na dwie identyczne części niczym podwójna stalowa bariera.

— Samobójcy to plaga. Mój kolega ma na rozkładzie czterech... Śmiejemy się, że ma szczęście, ale komuś wrażliwшему nie byłoby do śmiechu. Ludzie, którzy rzucają się pod pociąg, to egoiści. Nawet nie pomyślą, że...

— Ona nie mogłaby tego zrobić — przerwała Manuela. Maszynista zrozumiał, że ma do czynienia z aktorami rozgrywającego się dramatu. Więcej

się nie odezwał. — Anielka jest dla niej wszystkim. Nie fundowałaby jej takich wrażeń...

W żółtym tempie pokonaliśmy prosty odcinek, a potem kilka zakrętów. Las ustąpił miejsca ponurym nieużytkom, a potem polom czarnym od wron. Gdy wjechaliśmy z powrotem między drzewa, przygotowałem się na najgorsze, ale tor wciąż był pusty. Zakręt, który minęliśmy, był bliźniaczo podobny do tego, który pokazał mi stary nauczyciel.

— Chyba już po strachu — powiedziałem.

I wtedy się zaczęło.

— Hamuj! — wrzasnęła Manuela. Maszynista zareagował błyskawicznie. Szarpnęło i rozległ się wywołujący dreszcze dźwięk tarcia metalu o metal. — Mamo, co ty robisz?!

Na torach szamotały się dwie osoby. Dziewczyna w pomarańczowej czapce z pomponem i kobieta w sile wieku. Aniela i jej matka. Pociąg zwalniał, ale nie dość szybko. Kobiety rosły w oczach. Anielka chciała uciekać, lecz jej matka miała inne plany. Była tak blisko, że widziałem jej oczy. I to, co się w nich czaiło.

Dziki szaleństwo.

I obietnica śmierci.

Zanim uderzyliśmy w kłębiące się ciała, w oczach Elżbiety Rogalskiej pojawiło się coś jeszcze. Ból. Okazało się, że na torach znajdowała się jeszcze jedna żywa istota, którą Rogalska ściągnęła tu na śmierć. Pies, a konkretniej — hałaśliwy jamnik, który zawsze na mnie szczekał. Instynkt przeżycia okazał się silniejszy od przywiązania do właścicielki. Wyrwał się i wbił zęby w łydkę swej szalonej pani. Rogalska straciła równowagę i — szarpnięta przez zdezorientowaną i przerażoną Anielkę — spadła z nasypu. Prawie się o nie otarliśmy. Z szyn uniosły się snopy iskier, a piętnaście metrów dalej pociąg wreszcie stanął.

— Drzwi.

Maszynista posłusznie zdjął blokadę, a potem przetarł spoconą twarz i — niespodziewanie — wybuchnął ochrypłym śmiechem. Miałem ochotę się przyłączyć. Też byłem w szoku, ale nie aż takim, by tego nie dostrzegać. Anielka wciąż nie była bezpieczna. Co prawda widmo śmierci na chwilę się oddaliło... lecz nie znikło.

Wyskoczyłem na kruszywo nasypu, a potem pomknąłem wzdłuż pociągu, łkając z bezradnej wściekłości.

— Anielka!

Pomarańczowa czapka leżała w zwiędłej trawie. Odruchowo ją podniosłem, a potem — między drzewami — dostrzegłem ruch. Manuela, która wysiadła z pociągu zaraz po mnie, pomknęła w tamtą stronę jak wypuszczona z łuku strzała. Ja nie byłem aż tak odważny i w pierwszej kolejności sięgnąłem po grubą gałąź. Gdy wbiegłem między drzewa, było po wszystkim... ale w tym dobrym sensie.

Manuela trzymała siostrę w ramionach i obie zanosiły się płaczem.

— W którą stronę uciekła? — spytałem spokojnie, chociaż serce wciąż starało się wyskoczyć mi przez usta.

Manuela, nie wypuszczając siostry, wskazała w swoje lewo, a zatem w kierunku, gdzie znajdowały się ruiny szkoły i dalej — pozostałości po zabudowaniach pegeeru. Wybierając numer Konrada, odnotowałem obecność pieska. Tym razem nie szczekał. Stał z łbem zwróconym w kierunku prześwitującego zza drzew pociągu, a przez jego tłuste boczki raz po raz przebiegało drzenie. Ze strachu zabrudził sobie tylne łapy.

— Jesteśmy przy torach, jakiś kilometr przed stacją w Waplewie.

— Wiem. — Konrad prywatnie był rozlazłym gadułą, ale w sprawach służbowych cenił konkrety. — Macie młodą?

— Tak. Cała, zdrowa i przerażona.

— Przyślemy karetkę. Da się tam dojechać?

Obok przebiegała leśna dróżka. Musiała dokądś prowadzić, ale nie miałem pojęcia dokąd.

— Diabli wiedzą.

— Nieważne. Jakoś do was dotrą. Co ze starą?

— Tu jest opuszczony pegeer. Pobiegną w jego stronę.

Kazał mi zostać na miejscu. Nie marzyłem o niczym innym, ale stojąc obok zapłakanych sióstr, poczułem się jak intruz. To były ich chwile. I tylko ich. Zrobiłem krok w stronę ściany drzew. A potem następny. I jeszcze jeden... Wreszcie nogi same zerwały się do biegu. Biegłem, by odreagować przymusową bezczynność z pociągu. I stres, który mnie zabijał. Ani się obejrzałem, jak znalazłem się przy ruinach szkoły. Zwolniłem i wtedy za pasem zarośli mignęła mi jej jasnozielona kurtka. Ta sama, którą miała wczoraj — gdy zdzieliła mnie przez łeb.

Gdyby niosła ze sobą młot, poprzestałbym na obserwacji. Ale wiedziałem, że ucieka z pustymi rękami, przerażona i zdezorientowana. Była niebezpieczna... Dla innej kobiety, dla dziecka... ale nie dla mnie. Wydłużyłem krok. Miała niemal tak długie nogi jak Manuela, ale stawiała je ciężko. Coraz ciężiej. Była już u kresu swej drogi. I u kresu sił.

Zbliżając się do niej, odebrałem połączenie od Konrada. Nie usiłowałem być dyskretny. Czas subtelnych rozwiązań już dawno się skończył.

— Namierzacie mój telefon? — spytałem między wdechem a wydechem.

— Tak. Jesteś wielką czarną plamą na południe od Waplewa. Jeśli postanowiłeś zabawić się w bohatera, to pamiętaj... Nasi ludzie mają broń.

Gdy się rozłączałem, przez głowę przemknęła mi myśl, że nikt nie zna nas lepiej niż nasi przyjaciele z dzieciństwa. Konrad nie musiał śledzić mojego telefonu. Wiedział, że nie usiedzę na tyłku. Biegając, rozglądałem się teraz także na boki, wypatrując policjantów. Z tego wszystkiego zapomniałem, że powinienem przede wszystkim patrzeć pod nogi. Trafiłem stopą w jakąś dziurę i wywinąłem orła, a gdy się podnosiłem, była tuż obok. Zielona kurtka przywoływała wspomnienie rozbitej głowy.

— Słuchaj... — Nie wiedziałem, co powiedzieć.

W takiej sytuacji słowa były zbędne. Powinienem skoczyć i ją przewrócić,

a potem zaczekać na policjantów, ale zamiast tego po prostu patrzyłem jej w oczy — tak samo zielone, jak oczy Manueli.

— Nigdy nie zrozumiesz...

— Nie zrozumiem. Pozwól, żeby pozostało to dla mnie niepojęte.

— Nie jesteś dla niej odpowiednim mężczyzną. Nie będzie z tobą szczęśliwa.

— Może masz rację. Ale wiesz co? Na pewno mnie z tego powodu nie zabije. Tak jak ty zabiłaś swojego męża.

— Jacek powiedział, że odbierze mi Anielkę. — Jej głos był pusty i bezosobowy. — Nie potrafił o nią zadbać, tam, w pociągu... A potem mnie straszyl. Nie miałam wyjścia. Musiałam go usunąć. Ukarać. Tak samo, jak ukarałam tych trzech bandytów. To wcale nie było łatwe. Najpierw musiałam ich znaleźć. Zidentyfikować. A potem zabijać ich tak, by za wcześniej mnie nie złapali. Bo musiałam zabić... wszystkich trzech.

Zrozumiałem, dlaczego psychoterapeuci wyceniali swoje usługi tak wysoko. Nie byłem w stanie słuchać tego bełkotu. Było mi wszystko jedno, co z nią będzie. Chciałem tylko, żeby przestała gadać.

— Idź już. Męczysz mnie.

Skinęła ręką w geście pożegnania. Tuż obok wznosił się czerwony komin — pozostałość po starej cegielni. Matka Manueli wciąż była sprawna. Najniższa kłamra znajdowała się dwa metry nad ziemią, a mimo to zdołała się na nią wdrapać. Ruszyła w górę tak szybko, jak wytrawny taternik. Gdy usłyszałem za sobą odgłosy tupania, była już w połowie wysokości i dalej parła naprzód.

— Co ona robi?

To była policjantka, starsza z tych dwóch, które pastwiły się nade mną na OIOM-ie.

— Ułatwia życie. Sobie... i innym.

Myślałem, że policjantka zrobi coś bezsensownego: na przykład wyciągnie megafon i zacznie namawiać Rogalską, by zeszła i oddała się w ręce



sprawiedliwości. Ale zamiast się ciskać, usiadła obok i poczęstowała mnie gumą do żucia.

— Mamy miejsce w pierwszym rzędzie. Lubisz takie widoki?

Pokręciłem głową.

— Nie. Ale chcę mieć pewność.

— To tak jak ja.

Nie czekaliśmy długo. Matka Manueli chciała dotrzeć na sam szczyt, ale jedna z klamer nie wytrzymała jej ciężaru. Poleciała głową w dół — z kilkunastu metrów wprost na betonowy fundament. Rozległo się plaśnięcie, a szary beton zrosiły krople krwi. Ze szczytu komina dobiegło drwiące krakanie.

Elżbieta Rogalska skończyła tak, jak jej ofiary. Z rozwaloną czaszką.

# 21.

Styczeń 2022 r.

Olga czytała kiedyś, że w małym miasteczku w Stanach Zjednoczonych po zakończeniu szczególnie trudnej sprawy kryminalnej miejscowa społeczność uczciła sukces policjantów, organizując na ich cześć uroczystą paradę. W sprawie Elżbiety Rogalskiej, nazwanej przez media sprawą Trepanatora, a potem — Matki Mścicielki — nie było co liczyć na paradę. Nie miało też być nagród, awansów, orderów i listów gratulacyjnych. Nic z tych rzeczy. Tak w każdym razie zapowiedziała Agata, a Olga w głębi serca się z nią zgadzała. Sukcesem byłoby ujęcie zabójczyni, a nie zeszkrobywanie jej krwi i mózgu z betonowej płyty.

Maciek, który był jednym z naocznych świadków upadku Rogalskiej, twierdził, że krwi było naprawdę dużo. Jego szczegółowe relacje ubarwiały Oldze kolejne, podobne do siebie dni służby na Dworcu Centralnym. Kiedy pokazał jej faks z komendy stołecznej — z imiennym zaproszeniem do Działdowa — myślała, że to żart. Ale okazało się, że o niej nie zapomniano. I tym sposobem przyjechała tu ponownie, w charakterze gościa specjalnego. Na imprezę organizowaną wspólnie przez komendę stołeczną i urząd miasta.

Impreza odbywała się na działdowskim Zamku, nieopodal miejsca, w którym Rogalska zaatakowała Kacpra Słubickiego. Konferansjerkę prowadziła Ewa Słubicka — jego była żona. Zaproszenia były imienne — na sali, oprócz zaproszonych gości, znaleźli się przedstawiciele miejscowej śmietanki towarzyskiej. Najbardziej szanowani obywatele miasta. Osobą,

która zdecydowanie wyróżniała się z tłumu, był prezes Głazewski. Uśmiechnięty od ucha do ucha raczył wszystkich historią o tym, jak to został zatrzymany i — chwilę później — wypuszczony.

Olga siedziała za stołem konferencyjnym, mając po prawej ręce Maćka, a po lewej — psychiatrę Karola Szwarca. Oprócz nich za stołem siedział jeszcze Konrad Wiącek. I to do niego, jako lokalnego bohatera, adresowana była większość pytań. Celował w nich okularnik z pierwszego rzędu reprezentujący lokalny portal informacyjny.

— Jak to możliwe, że Elżbieta Rogalska tak skutecznie unikała kamer?

Konrad, do tej pory uśmiechnięty i jowialny, nagle się zachmurzył.

— Pan, który mógłby udzielić odpowiedzi na to pytanie, jest niestety nieobecny. Być może powodem jest postępowanie dyscyplinarne, które na nasz wniosek jest teraz prowadzone w jego zakładzie pracy. — Przez ponurą twarz policjanta przemknął pełen satysfakcji uśmiech. Olga utwierdziła się w mniemaniu, że facet jest palantem. — Otóż nasz pan... Nie jestem upoważniony do podawania nazwisk, więc nazwijmy go panem Grzegorzem U., zamieszkałym w Działdowie... — urwał, upewniając się, że imię i charakterystyczny inicjał zostały zanotowane, po czym referował dalej: — Otóż kilka miesięcy temu pan Grzegorz U. został zaproszony tu, do domu kultury, aby opowiedzieć o... technicznych aspektach kontroli audiowizualnej. Czyli o działaniu kamer. Rozpędził się tak bardzo, że przekazał Elżbiecie Rogalskiej dokładne plany rozmieszczenia kamer między innymi na Dworcu Centralnym i stacji w Pomiechówku. Było to niewątpliwe naruszenie dyscypliny służbowej — zakończył z paskudnym uśmiechem.

Olga dobrze wiedziała, że powodem tej satysfakcji jest niechęć mająca swe korzenie w afekcie Grzegorza U. do żony Wiącka.

— A czy to prawda, że w ciągu ostatnich miesięcy Elżbieta Rogalska podróżowała na trasie Działdowo–Warszawa kilkadziesiąt razy?

Konrad, który był adresatem tego pytania, zerknął w ich stronę. To nie była

jego działka. Olga westchnęła i zaczerpnęła powietrza, ale na szczęście ubiegł ją Maciek.

— Technicznie rzecz ujmując, nie jesteśmy w stanie ustalić, jak często to robiła. W każdym razie wystarczająco często, by zidentyfikować ludzi, którzy zaczepili jej córkę. Temat był wałkowany w mediach, więc powtórzę tylko pokrótce: podróżująca tym pociągiem niepełnosprawna Aniela T. zwróciła uwagę trzem siedzącym niedaleko mężczyznom na brak maseczek. Była to tylko stereotypia słowna, charakterystyczna dla jej zaburzeń rozwojowych. Powtarzała to bardzo często: „proszę założyć maseczkę”. Mężczyźni z niewiadomych powodów odpowiedzieli agresją, najpierw w stosunku do Anielki, a potem do podróżującego tym samym pociągiem Eugeniusza K., który stanął w obronie dziewczynki. Matka dziewczynki podczas swoich licznych podróży zidentyfikowała trójkę mężczyzn na podstawie opisu pana Eugeniusza oraz braku stosowania maseczek... a następnie w kilkutygodniowych odstępach czasu pozbawiła ich życia. Identyfikacja była prawdopodobnie prawidłowa. Warto przy tym podkreślić, że swobodne podróżowanie umożliwił jej zmianowy rozkład czasu pracy, który wprowadziła w zarządzanym przez siebie domu kultury...

W tym momencie rozległo się skrzyknięcie. Większość zgromadzonych osób obróciła głowy w kierunku drzwi. Na twarzach pojawiły się uśmiechy — sympatii, a czasem współczucia. Kacper Słubicki pomachał ręką, a potem wprowadził gościa specjalnego. Aniela miała na sobie białą koszulę i czarną spódnicę, a na głowie — piękne warkocze. Trzy tygodnie temu własna matka usiłowała wepchnąć ją pod pociąg... Świadomość tego była przerażająca, ale mała radziła sobie zaskakująco dobrze — a przynajmniej tak twierdził Słubicki. Twierdził też, że zaburzone postrzeganie rzeczywistości akurat w tym przypadku okazało się błogosławieństwem. Olga, nie zgadzając się rzecz jasna z takim doborem słów, uważała, że na swój — przewrotny — sposób chłopak ma rację. Najważniejsze było to, że kolejna, znacznie

silniejsza trauma nie spowodowała takich spustoszeń jak pierwsza, ta z pociągu. Dziewczyna była na dobrej drodze, by robić dalsze postępy.

Korzystając z zamieszania spowodowanego pojawieniem się Anielki, Olga pogratulowała Maćkowi klarownego przedstawienia najważniejszych faktów. Sama nie chciała zabierać głosu. Agata udzieliła im blisko godzinnej instrukcji, o czym mogą mówić, a o czym mają nie wspominać... Pod koniec miała w głowie taki mętlik, że nie wiedziała nawet, czy może się przedstawić.

— Ja też gratuluję — odparł, ukrywając kwaśną minę za fałszywym uśmiechem.

Przed samym wyjazdem Agata zakomunikowała im, że ma dla nich decyzje personalne. Gdy Maciek wyczytał w swojej, że otrzymał dodatek do pensji — trzysta złotych netto — Bojko myślała, że jej decyzja również dotyczy dodatku, tylko proporcjonalnie niższego. Okazało się, że była w błędzie. Od pierwszego marca miała rozpocząć służbę w nowej jednostce organizacyjnej — Wydziale do walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw. Czyli u Agaty.

— Może w przyszłości się tam spotkamy — powiedziała teraz, ściskając mu dłoń.

Wiedziała, że za możliwość pracy w jej nowej jednostce dałby się pokroić, ale udał, że wcale mu nie zależy.

— Patrz, jakie ładne sklepienia. — Wskazał palcem na łukowaty sufit. — Romańskie.

— Agata twierdziła, że gotyckie.

— Wsadź sobie tę swoją Agatę w...

Nie dokończył tylko dlatego, że po zainicjowanych przez Ewę Słubicką oklaskach na cześć Anielki w pomieszczeniu zapadła głucha cisza. Po chwili z sali padło kolejne pytanie:

— Czy Elżbieta Rogalska była zakochana w Dariuszu Arkanowiczu?

Olga odszukała wzrokiem Anielkę. Słubicki prowadził ją w stronę szatni, szepcząc jej coś do ucha. Nie miała szansy usłyszeć pytania, ale samo to, że je zadano, uznała za nieeleganckie.

— Niestety, pan Arkanowicz postanowił nie zabierać w tej sprawie głosu — odparła, chcąc zdusić te jałowe rozważania w zarodku. — Możemy stawiać różne hipotezy, ale pozostaną one wyłącznie hipotezami.

W swoim gronie zgadzali się co do tego, że Rogalską i Arkanowicza rzeczywiście łączyło uczucie. Może jednostronne, a może nie... Prawdopodobnie uczucie to, przynajmniej po stronie Rogalskiej, wybuchło z siłą wulkanu. Było tak silne, że pchnęło ją do brutalnego zabójstwa obu członków załogi konduktorskiej — tych, którzy podejrzewali Arkanowicza. A potem gwałtownie wygasło i wtedy postanowiła na niego donieść. Oksana Awdiejewa zeznała, że Arkanowicz często chodził do klubu, a prezes — że lubił sobie popatrzeć na sportsmenki. Ale to wszystko było jedynie poszlaką. Poszlaką, na którą brakowało dowodów i która była obecnie zupełnie nieistotna. Nikt nie zamierzał grzebać w przeszłości. Nawet Dawid i jego Archiwum X.

— Czy prawdą jest, że to Rogalska była autorką anonimowego doniesienia na Arkanowicza?

— Jest to jedno z rozwiązań, które uznaliśmy za prawdopodobne — odpowiedział Maciek.

Olga stłumiła uśmiech, bo odpowiedź zawierała nieściskość. To nie było jedno z rozwiązań, tylko... jedyne. Jedyne, które uznali za logiczne.

— Kilka dni po ujęciu Arkanowicza pod pociąg wpadła jego narzeczona, Ukrainka — uściślił dziennikarz, łypiąc na Olgę zza okularów. — Ponoć twierdziła, że do tego wypadku przyczyniła się kobieta, którą określała mianem Czarnej Damy. Czy tą Czarną Damą była Rogalska?

Olga odparła, że nie ma pojęcia. Bo co innego miała powiedzieć? To było pytanie do Oksany, a ta, z głową pełną demonów, wróciła już do Lwowa. Pewną wskazówką mógł być kolor. Czarna Dama... Włosy Elżbiety Rogalskiej z upływem lat posiwiały, ale kiedyś były czarne niczym smoła. Tak jak włosy Manueli.

— Jak do całej tej sprawy odnosi się Dariusz Arkanowicz?

To była działka Karola Szwarca. Psychiatra nalał sobie wody, a potem zwrócił się wprost do dociekliwego dziennikarza:

— Niestety nijak. — Podniósł plastikowy kubek. — Pan Arkanowicz odmawia rozmów z policją, psychologiem, personelem ośrodka, a nawet z własną żoną. Robimy wszystko, by pomóc mu w przezwyciężeniu tego kryzysu... Oj!

Ściśnięty zbyt mocno kubek eksplodował, oblewając wodą nie tylko jego, lecz także Olę. Sięgnęła po chusteczki, ale niemal natychmiast o nich zapomniała. Psychiatra wyglądał tak, jakby zobaczył ducha. Spoglądał na drzwi, w których pojawiła się...

— Kto to?

— Manuela Twardygrosz — odpowiedziała Olga.

— O cholera.

Wciąż na nią patrzył. Nieświadoma poruszenia, jakie wywołała, Manuela ruszyła w stronę podwyższenia i zajęła ostatnie wolne miejsce, obok Ewy Słubickiej. Przez chwilę szeptały do siebie niczym najlepsze przyjaciółki.

— Taka ładna?

Chyba nie dosłyszał wypowiedzianego szeptem pytania. Sprawdzał coś w telefonie, a potem bez słowa pokazał Oldze ekran. Ze zdziwieniem odkryła, że otworzył podstronę Filmwebu. Serial pod tytułem *Manuela* miał ponad dwieście ocen.

— Po co mi to pokazujesz?

— Arkanowicz uwielbiał ten serial.

— I co z tego?

— Spójrz na nią. Te rysy twarzy... Podbródek, kości policzkowe... Nie poznajesz?

Odebrał jej telefon i wyświetlił fotografię Arkanowicza. Olga gwałtownie wciągnęła powietrze.

Podobieństwo było uderzające.

— Czy... chcesz jej powiedzieć? — spytała, gdy odzyskała głos.

Znaleźli brakujący dowód. Manuela była brakującym dowodem na to, że Arkanowicza i Elżbietę łączyło coś więcej niż przelotne uczucie.

— Niczego jej nie powiemy — stwierdził psychiatra. — Pewnie i tak nie jest jej łatwo żyć ze świadomością, że jej matka była... jaka była. Zostawmy jej chociaż ojca, okej?

Olga przyznała mu rację, a potem się wzdrygnęła.

Manuela Twardygrosz miała niepokojące geny.



# OD AUTORA

Tak jak bohaterowie *Biletu dla zabójcy*, ja także regularnie pojawiaam się w pociągach Kolei Mazowieckich. Pierwsze pomysły, potem bardziej szczegółowy plan, aż wreszcie zrąb pierwotnego tekstu — wszystko to powstało podczas moich porannych podróży do pracy. Podróże te często zahaczały o Dworzec Centralny, który jest sceną zabójstwa z pierwszych stron. Spacerując dworcowymi zakamarkami, wypatrywałem kamer, śledziłem poczynania mieszanych patroli (policjanci i sokiści), a pewnego dnia — mniej więcej w jednej trzeciej prac nad książką — wybrałem się (oczywiście pociągiem) na wycieczkę do Działdowa. Nie próbowałem tylko jednego. Nie kręciłem młotem sportowym. Ani w wagonie kolejowym, ani nigdzie indziej. To, co robił swoim ofiarom mój książkowy czarny charakter, z czysto technicznego punktu widzenia mogłoby okazać się zbyt trudne do przeprowadzenia. I dobrze. Rolą pisarza jest dostarczać rozrywki, a nie... inspiracji. Bardzo bym chciał, aby przemoc, za którą „odpowiadam”, pozostała tam, gdzie jest, czyli wyłącznie na kartach książki.

Chociaż starałem się, by świat z *Biletu dla zabójcy* możliwie wiernie oddawał rzeczywistość, to opowiedziana przeze mnie historia jest w stu procentach fikcyjna. A fikcja, jak wiadomo, rządzi się swoimi prawami. Niektóre miejsca w Działdowie, takie jak stadion lekkoatletyczny, miejski ośrodek kultury czy przedwojenna kamienica dla kolejarzy powstały wyłącznie w mojej wyobraźni, a miejsca, które w rzeczywistości istnieją, zostały przeze mnie wykorzystane w charakterze aren dla wydarzeń, które nigdy nie miały prawa się zdarzyć. Istniejące instytucje (np. policja, Stacja Muzeum), przedsiębiorstwa kolejowe (np. Koleje Mazowieckie, Wars) czy szeroko rozumiane obiekty użyteczności publicznej (np. szpital, szkoła, przedszkole, jednostka penitencyjna w Działdowie, obiekty PKP wraz

z infrastrukturą) są w *Bilecie* sprowadzone wyłącznie do szyldów. Ich realne funkcjonowanie nie ma nic wspólnego z rzeczywistością stworzoną dla potrzeb fabuły. Oczywiście fikcyjni są także bohaterowie, a wszelkie podobieństwo do prawdziwych osób lub wydarzeń jest wyłącznie przypadkowe.

Chciałbym podziękować tym wszystkim, którzy razem ze mną stworzyli tę historię, a więc Najbliższym — za inspirujące rozmowy i lekturę maszynopisu, a także ekipie z Wydawnictwa — za żmudną pracę nad tekstem i profesjonalne działania marketingowe. Przede wszystkim jednak dziękuję Tobie, drogi Czytelniku. Za to, że jesteś, że czytasz... To dla mnie bardzo ważne.